

**Antologia**

# **Deszcze niespokojne**

**2005**



*Jarosław Grzędowicz*

# **WILCZA ZAMIEĆ**

Jarosław Grzędowicz urodzony w 1965 roku, debiutował w 1982. W 1990 roku wraz z Andrzejem Łaskim, Krzysztofem Sokołowskim, Dariuszem Zientalakiem i Rafałem Ziemkiewiczem założył magazyn literacki „Fenix”, w którym prowadził dział prozy polskiej, a od 1993 roku był jego redaktorem naczelnym. Oprócz tego pracuje jako dziennikarz, prowadzi stałą rubrykę naukowo–cywilizacyjną w Gazecie Polskiej i tłumaczy komiksy, głównie z serii *Usagi Yojimbo* i *Batman*. W Fabryce Słów ukazały się dotąd *Księga jesiennych demonów* (2003), jego pierwszy autorski zbiór opowiadań grozy, oraz *Pan Lodowego Ogrodu* (2005) — najnowsza powieść mistrzowsko łącząca elementy science fiction i fantasy.

*Bracia bić i zabijać się będą,  
Dzieci sióstr rodzonych związki krwi kalają,  
Czasy szaleństwa, bezwstydu, cudzołóstwa,  
Wiek topora, wiek miecza i tarcz strzaskanych,  
Wiek zamieci wilczych, nim świat w przepaść runie.*

*Völuspa — Wieszcza Vólvy*

*Atlantyk Północny*  
*Wrzesień 1944*

64°27' N 13°11' W  
stan morza — 3  
wiatr — 4B NNW

Świat zalany ołowiem, pomyślał Reinhardt, wciskając się między chrapy a kolumnę peryskopu, by utrzymać równowagę na chybottliwym pokładzie. Ołowiane morze marszczyło się długimi, gładkimi falami przypominającymi fałdy na dywanie. Ciężkie, sine niebo wisiało nad głowami jak nagrobna płyta. Dziób okrętu wbijający się w kolejne fale również był szary. Podobnie jak twarz stojącego obok Fanghorsta. Marynarz wyglądał jak dziwaczny stwór o lśniącej, czarnej skórze i z oczami wystającymi z głowy na dwóch czarnych szypułach. Ciekawe, czy kiedykolwiek zdoła oderwać lornetkę od twarzy? Nawet bryzgi piany, wykładające się w odkosach dziobowych i zwieszające jak festony ze spychacza sieci, wydawały się szare. Ołowiany świat. Słysząc było tylko świst wiatru i dźwięczne, głębokie uderzenia fal o zbiorniki balastowe jak o pustą beczkę.

W szklach widać było dwie szare płaszczyzny — ciemniejszą na dole i jaśniejszą na górze. Przecięte niemi podziałki, nieznośnie monotonne i puste.

— Wracamy do domu, panie *Oberleutnant*? — zapytał Fanghorst. Z tyłu mat Zemke przepatrujący swój kwadrant tylko parsknął.

— A gdzie się panu niby tak spieszy? — mruknął niewyraźnie Reinhardt, przygryzając ustnik fajki. — Do tych blaszanych baraków i fiordów? Tam jest gorzej niż tutaj.

— Trondheim! — zawtórował mu z tyłu Zemke, cedząc to słowo jak ordynarne przekleństwo. — Zastrana świńska dziura! Nawet nie ma gdzie postawić patyka! Jak pomyślę o St. Nazaire...

— W St. Nazaire pewnie już są Tomki i ciupciają tę twoją Żermenę, aż iskry lecą.

— Ma szansę się zrehabilitować — dorzucił któryś. — Musi odstawić tylko pięć patriotycznych numerków za każdy kolaboracyjny, szwabski sztos z tobą.

— Dość rajdania — warknął Reinhardt. — Zaraz nadleci jakiś Tomek i zrobi ci Trondheim z dupy!

Jeszcze tego brakowało. Nadciągał dyżurny Temat Numer Jeden. Już i tak cały okręt od przedziału torpedowego po maszynownię rozbrzmiewał Tematem Numer Jeden. Gówniarze wyżywali się w gadaniu. Jeszcze tylko brakowało tego na pomoście podczas wachty. Można było dostać kiły od samego słuchania.

Zemke ucichł natychmiast.

Wszyscy wyglądali jak lśniące, czarne kukły. Zapięci szczelnie w ubrania sztormowe, tak żeby pomiędzy postawionym kołnierzem uszczelnionym ręcznikiem a okapem zudwestki mieściły się tylko okulary lornetek.

Przepatrywać horyzont. Minuta po minucie i stopień po stopniu. Każda plamka, która pojawi się w tej szarej, ołowianej nicości, to może być cholerny hudson z brzuchem pełnym bomb głębinowych.

Albo mewa.

Atlantyk nie należał już do nich. Wilki zamieniły się w zwierzynę.

Korba rygła zakręciła się, a potem ostrożnie uniesiono właz. Człowiek, który stał na drabince, najwyraźniej uważał, że nie jest odpowiednio ubrany na spacer w taką pogodę. Boczna fala łupnęła o kiosk i zasypała ich gradem lodowatych kropli.

— Szyfrogram do pana pierwszego oficera!

Reinhardt opuścił lornetkę i rozmasował zdrętwiałe palce. Odczekał kolejne przejście fali, a

potem wystukał fajkę o stalowy falochron. Pedantycznie — od zawietrznej, żeby popiół i iskry poleciały w morze. W środku wszystko mu się gotowało. Szyfrogram. Zamiast rozkazu powrotu szyfrogram.

Przeciek nad kolektorami głównego zbiornika balastowego, przeciek przy oringach lewego wału śruby, brak żarcia, dwie tony paliwa, jedna jedyna torpeda w rurze. Chrapy biorą wodę. Wgnieciony cudowny, nowiutki kadłub elastyczny. Wylane osiem akumulatorów, zbocznikowane jakimiś śmieciami. A oni przysyłają szyfrogram. I to jeszcze taki, którego nie może rozłożyć radzik. Chłopak zapewne przepuścił już wszystko przez Enigmę i zobaczył tylko słowo „pierwszy oficer”, a potem ciąg literowo–cyfrowych bzdur.

Niedobrze. Szyfrogram jest jak nagły telegram. Nigdy nic dobrego.

Reinhardt otworzył właz i zszedł na dół, starannie stąpając po szczeblach. Rozkosz. Nie trzeba zjeżdżać na łeb na szyję, nie trzeba zdzierać gardła przy zanurzeniu alarmowym. Radiowiec stał obok z depeszą w ręku, jak nadgorliwy kamerdyner.

Reinhardt rozsznurował taśmy zudwestki i zdjął ją z daleka od ciała, a potem wziął się za rozpinanie sztormowego płaszcza.

Zapleśnieję w tej gumie, skórach, filcach i wełnach, pomyślał. Tu trzeba dostępu powietrza. To nie jest tylko kwestia wody, mydła, ani też wody kolońskiej. Od tygodni nie zdjąłem ubrania.

Gdyby nawet w tej chwili weszła tutaj sama Marlena Dietrich, Marlena otulona tylko szlafrocikiem, miękka, pachnąca i gładka, a potem wślizgnęła się do koi i kiwała na niego palcem zza zasłonki, nawet by jej nie dotknął. Wstydziliby się. To nie po ludzku.

Najpierw kąpiel. Długa kąpiel. Mydło, pumeks, proszek do zębów.

I żyletka, oczywiście. Zgolić tę paskudną, cuchnącą koźlą brodę.

Natrzeć się wodą kolońską.

Potem dopiero można pokazać się kobiecie.

Boże, jak tu cuchnie, jęknął w duchu. Do końca życia przypuszczalnie nie tknę limburskiego sera.

Jednak przyszło mu do głowy, że nawet najbardziej dojrzały i oślizgły limburger to o wiele za mało, by odtworzyć niepowtarzalny aromat okrętu podwodnego. To duszny, słodkawy smród brudnych ciał, rozkładającego się męskiego potu, zwłaszcza tego na stopach, zmieszany z ropą, gumą, kwasem akumulatorowym z zęzy, z delikatną nutą pleśni, wymiocin i amoniaku. Do tego resztki aromatu neoprenowego kleju i farby. Taki koźło–techniczny odór.

Bosman nazywał to krótko — „mokra bździna”.

— Panie pierwszy, radiogram. — Radiowiec dźgnął powietrze trzymaną w dłoni kartką, jakby chciał wepchnąć mu ją do ust. Pod rzadką jak islandzkie porosty, niedorozwiniętą bródką widać było woskową cerę i czerwone rumieńce na policzkach. Dzieci. To wszystko były dzieci. Podwodne przedszkole Północnego Atlantyku. Zapewne tak samo jak na frachtowcach i w niszczycielach Tomków. Dziecięca wojna. Ten tutaj podskakuje już ze zniecierpliwienia. „No i co? No i co? Puchatku?”

— Czekać! — burknął Reinhardt, walcząc z guzikami zdrętwiałymi i przemarzniętymi na kolki palcami. Zdjął wreszcie ciężki jak nieszczęście płaszcz i powiesił go na kolumnie peryskopu, żeby ociekł. Radiowiec uniósł się lekko na palcach, podsuwając znowu swój świstek niczym lokaj srebrną tacę z poranną pocztą, ale Reinhardt, przysiadłszy na skrzyni z mapami, ścigał ciężkie, podbite od środka korkiem i filcem morskie buty.

— Naprawdę pan sądzi, że nasz dawca szczęścia, *Oberbefehlshaber der Kriegsmarine, Großadmiral* Karl Dönitz, nie wytrzyma, zanim zdejmę płaszcz?

Radzik spąsował pod swoim złotym puchem.

— Taa... — wycedził z zadowoleniem Reinhardt, ścigając przez głowę wilgotny, sfilcowany

pulower w nieokreślonym, burym kolorze. Drogi pulower z lamiej wełny, zapinany na zamek błyskawiczny aż po uszy, który jeszcze miesiąc temu był niebieski. — Właśnie tak. Spokojnie i po kolei. Nie szarpać się i nie miotać. Zawodowo trzeba, panie radio. Kuk! Co się dzieje z kawą, o którą prosiłem pół godziny temu?

— Się parzy, panie pierwszy.

— Cholerny zwierzak selcerski, gryzie tę kawę zamiast zmielić — burczał Reinhardt. — Gdzie jest mat z centrali? Co tu się dzieje? Zanieść mi to mokre gówno, jak tylko obcieknie. Rozwiesić pięknie w maszynowni. Ma być suche jak pieprz za pół godziny! Buty też! Dawaj pan ten radiogram.

Nowiutki, jeszcze niedawno nawet pachnący farbą i klejami okręt typu XXI oferował rozmaite luksusy, o których na starym U-250 mógł tylko pomarzyć. Dwie toalety zamiast jednej. Prysznic. Umywalnia. Niestety, wskutek awarii odsalaczy na razie tylko teoretycznie. Można się było wykapać, ale jedynie w słonej, pompowanej zza burty wodzie. Jednak chyba mniej tu śmierdziało. Gdyby klimatyzatory lepiej działały, może nawet powietrze można by uznać za czyste. Ale najważniejsze, że pierwszy oficer dorobił się malusieńkiego kantorka — niemalże prawdziwej kajuty, którą dzielił jedynie z czifem. Cudowne. Coś jak kibel w wagonie kolejowym drugiej klasy. Na starym VIIC miał tylko koję z zasłonką w przedziale O, jak każdy oficer pokładowy. Teraz z rozkoszą zamknął drzwiczki z udającego drewno arkusza sklejki i mógł rozkoszować się namiastką samotności.

Natychmiast założył inny pulower oraz tenisówki. Odetchnął ciężko i zabrał się do roboty.

Położył kartę na maleńkim składanym stolyczku i otworzył drewniane pudło z Enigmą. Wyglądała jak przerośnięta, cudaczna maszyna do pisania. Klnąc pod nosem, Reinhardt wyszukał w wyłożonych miętko gniazdach cylindry szyfrujące i założył je na osie. Potem zamknął oczy, bębniąc palcami po stole, następnie spojrzął na kalendarz i w sufit, szukając w pamięci aktualnych nastaw.

— 2178, teraz kontakty: REGENBOGEN, ULLA 88 NORDPOL — zamruczał pod nosem, ustawiając oznaczone literami i cyframi pierścienie, a potem przekładając wtyczki do oznaczonych literowo gniazd. — Szlag by ich trafił, banda błaznów. Komancze w dupę jechani.

Pisał niewprawnie, kciukami i palcami wskazującymi, gryząc wygasłą fajkę i cedząc w ustnik okropne słowa. Stukał powoli, potykając się, niczym gminny urzędnik. Nie znosił tego. Mieli tu kalkę, suszki, dziurkacze i kopiowe ołówki. Walizkową maszynę do pisania „Torpedo”, zawierającą czcionkę ze swastyczką, i drugą — ze znacznikiem SS. Pływająca kancelaria pośrodku Atlantyku. Kawa się kończyła, chleb pleśniał, brakowało już aspiryny, ale spinaczy — w żadnym wypadku. Porządek musi być. Stary był prawdopodobnie szczęśliwy.

Reinhardt stukał w klawisze, nie patrząc na efekt, tylko zerkając na kartę pełną kodów, żeby czegoś nie pomylić.

Dopiero po wszystkim spojrzął na kartę z rozszyfrowanym tekstem i zmartwił.

*KAPITÄNLEUTNANT ZUR SEE* — to były jedyne sensowne słowa. Resztę stanowił ciąg liter i cyfr bez żadnego sensu. Potrójny szyfr. Naprawdę niedobrze. Zdecydowanie, rzeczywiście, poważnie niedobrze. Nie-pozytywnie. Ponuro. Bardzo złożona sytuacja. Kłopoty.

Zabrał poprzednią kartę i tę nową, po czym odsunął drzwiczki i poszedł do Starego. Ten też dorobił się lepszej kajutki w miejsce dziupli, którą musiał się zadowalać na poprzednim okręcie.

O ile był jakiś poprzedni okręt, pomyślał Reinhardt złośliwie. Wszystko wskazywało na to, że jego wódz żeglował dotąd jedynie na biurku przez oceany paragrafów. Kiedy było już wiadomo, że wchodzi na nowy, oceaniczny XXI, cała załoga była absolutnie pewna, że to Reinhardt dostanie trzeci złoty pasek oraz założy nieprzepisowy, choć tradycyjny, biały pokrowiec na czapkę. Prawdę powiedziawszy, w głębi serca Reinhardt też był tego pewien.

Niestety. *C'est la vie*. Skończyło się na kawałku blachy na szyję. Taki fetysz. Coś w rodzaju kości kazuara do wetknięcia w przegrodę nosa.

— Szyfrogram dla *Kaleu* — oznajmił Reinhardt i zapukał do kajuty. Na okręcie zapadła grobowa cisza, która przeniosła się w górę do centrali i w obu kierunkach wzdłuż kadłuba jak trujący gaz. Najpierw szept: „szyfrogram... kapitański...”, potem zduszone przekleństwa i cisza, jakby zabił ich tymi trzema słowami.

Stary siedział, oczywiście, przy blacie swojego biurka i skrobał piórem w zeszycie. Wokół piętrzyły się papierzyska, pisma i kwestionariusze. Ścianę nad koją zdobiła wyszyta przez żonę makatka. Niebieskim kordonkiem, łańcuszkiem, w bardzo pruskim stylu. Z pewnością była tam jakaś patriotyczna, budująca sentencja, ale wisiała tak, że nie sposób było cokolwiek zobaczyć. Zakładano się o to. Fenrich Fanghorst upierał się, że to z pewnością „Boże, skaż Anglię!”. Natomiast motorzyści ustalili między sobą, że obstawiają „Naprzód, do zwycięstwa!”.

Reinhardt prywatnie sądził, że raczej „Jeden Naród, jedna Rzesza, jeden *Führer*”. I pod tym wyprężony hitlerok wśród kwiatków, ptaszków i baranków.

— Słucham, Reinhardt? — Stary uniósł tę swoją bezlitosną twarz belfra od matematyki i spojrzał na Pierwszego przez okulary.

— Szyfrogram trzeciego stopnia, *Herr Kaleu* — wycedził Reinhardt. — Przyniosłem kartę i maszynę.

— Proszę postawić na stole i wychodząc, zamknąć za sobą drzwi. Przepisy, *Oberleutnant*.

— Według rozkazu.

— I... Reinhardt?

— Tak?

— Po co pan wrzeszczy na cały okręt, że dostałem szyfrówkę? To budzi tylko niepotrzebne emocje. Załoga powinna cierpliwie czekać na rozkazy, a nie się dekoncentrować. Ci, którzy nie mają wachty, mają obowiązek wypoczywać i pozostawać w gotowości.

— Tak jest — durny bucu, dodał w myślach. Zaraz powie coś o odpowiedniej postawie i żołnierskim wyczynku.

— Odmaszerować.

\* \* \*

Reinhardt wcisnął się za stół w mesie O i napotkał ciężki wzrok czifa, który udawał, że czyta wystrzępione numery „Signala” sprzed miesiąca.

— Kuk, kawę do mesy, biegiem! — krzyknął Pierwszy. — Z cukrem i mlekiem! I gorącą jak piekło!

— Ten interes już się kończy — stwierdził czif, składając starannie pismo.

— A skąd to taki brak ducha? Dostał pan nowy, cudowny okręt, perłę niemieckiej myśli technicznej, i jeszcze przed podwieczorkiem zaczyna pan wątpić w zwycięstwo?

— Jak pan opalał się w ogródku na tarasie, dostaliśmy dwa „trzygwiazdkowe” meldunki.

— Kto?

— U-489 i U-88.

— To pewne?

— Ten sam konwój, który zrąbał nam dupę. I jeszcze samoloty.

— 489 to chyba Hagenstoss, a ten drugi?

— Korbatschek.

— Nie znałem. To jakiś nowy. Ale na 489 pływał Vogelmann. Cholera, niemożliwe. Vogelmann?! Znałem go jeszcze ze Szkoły Marynarki. Służyliśmy razem na „Scharnhorście”...

— Dwa jednego dnia! Wyobraża pan sobie coś takiego jeszcze dwa lata temu? Tak, panowie z konkurencji robią się coraz sprawniejsi. W tym tygodniu to już będzie...

— Dziesięć okrętów. Jeszcze dwa i tuzin. Cała paczka. Powinniśmy im dorzucić coś w promocji.

— Taa. Kupują już hurtowo.

— I wcale tanio. Ile zarobiliśmy na całej tej awanturze?

— My jeden i Stimmt jednego, do kupy jakieś sześć tysięcy ton.

— Ale trofea! Zaczynamy już strzelać kutry jakieś.

W przejściu obok mesy zrobiło się ciasno. Zmiana wachty na kiosku. Wszyscy w skórze i cuchnących sztormiakach, już z rącznikami wokół szyi i z zudwestkami w rękę.

— Zmiana. Nareszcie coś zjemy — ucieszył się Reinhardt. — Stołowy, dlaczego dostają kawę w tym blaszanym świństwie? Nie ma już filiżanek?

— Wyłukły się — wycedził ponuro marynarz. — Podczas nalotu, melduję posłusznie. Może bym znalazł, ale kuk mówił, że się panu spieszy.

— Spieszy?! Prosiłem o tę kawę godzinę temu! Co się wyprawia na tym okręcie?

— Co pan z nim gada — zauważył czif. — Wołaj pan od razu oberkelnera. Albo lepiej kierownika sali!

Reinhardt ledwo zdążył dźgnąć widelcem parującą papkę z puszkowej kaszanki z cebulą i octową sałatkę z ziemniaków, gdy usłyszał dolatujące z mesy PO komentarze:

— Przecież to śmierdzi gównem! Z puszek ta kaszanka?

— Nie, z twojej babci.

— Och, zamknij się! Zastrane głupoty!

— Pierwszy do kapitana! — zabrzmiało gromko z centrali.

— *Scheiße!* — powiedział Reinhardt.

— Na wieki wieków, amen — dodał czif uroczyście.

\* \* \*

— Otrzymaliśmy drugą szansę — oznajmił kapitan, patrząc na Reinhardta.

Czyli urodzimy się po raz drugi?! W Kanadzie?! — przemknęło tamtemu przez głowę, ale milczał cierpliwie. Wobec *Kapitänleutnanta zur See* Waltera Rittera żadne żarciki nie wchodziły w ogóle w rachubę.

— Dobrze pan wie, jakie to szczęście. Otrzymaliśmy doskonały okręt, prosto ze stoczni, i zamiast rozbić konwój zawiedliśmy.

Rozbić konwój jednym okrętem, ty patentowany koźle?! — ryczał w myślach Reinhardt. Prawie że eksperymentalnym i skomplikowanym jak cholera? Na którym połowa tych cudownych patentów w ogóle nie chce działać?! Z bandą dzieciaków, która jeszcze niczego się nie nauczyła? Po tygodniowym rejsie szkolnym wzdłuż Norwegii? Z psującą się instalacją? Czterema uszkodzonymi torpedami? Z przeciekającym balastem?! Tamci mieli ASDIC, który wykrywał ich, jak chciał, mieli te straszne nowe wyrzutnie, które kładły cały dywan bomb głębinowych jedną serią, mieli nawet oryginalną Enigmę, mieli te przeklęte elektronowe maszyny liczące, które łamały każdy szyfr. Mieli dziesiątki niszczycieli, niebo pełne samolotów, a my nie mieliśmy nawet dosyć paliwa, ty bałwanie! Zatopili dziesięciu w tym tygodniu, świński pies! Dziesięciu tylko w rejonie Lofotów!

— Tak. Zawiedliśmy. Wiem, co pan powie: jeden frachtowiec. Ale co to jest jeden frachtowiec, jeżeli przepuściliśmy ich dziesiątki? Naród odjął sobie od ust żywność. Spaliliśmy paliwo, o którym nasi towarzysze w czołgach marzą po nocach. I w zamian co dajemy *Führerowi*? Jeden

maleńki frachtowiec!

„Marysia mała pierdolca miała” — zaśpiewało w głowie Pierwszego. — „Pierdolca jasnego jak śnieg...”

— Dlatego jestem szczęśliwy z naszych nowych rozkazów. Wyznaczono nam spotkanie na pełnym morzu ze statkiem zaopatrzeniowym „Oxfolt”.

„Gdziekolwiek biegła Marysia mała...”

— Tam otrzymamy zaopatrzenie, paliwo, nawet części do naprawienia tych wydumanych, mazgajskich uszkodzeń oraz dalsze rozkazy. Wracamy do akcji!

„Pierdolec rozsadzał jej łeb”. (Oklaski)

— Czy zna pan dokładną pozycję, panie *Oberleutnant*?

— Ze zliczenia, panie kapitanie.

— Co to znaczy?

Nie wiesz, co to jest zliczona pozycja, pruski, kapustożerny bawole?

— Ostatni namiar braliśmy w nocy poprzedzającej atak. Potem płynęliśmy w zanurzeniu, częściowo klucząc pod bombami, potem po wynurzeniu znaleźliśmy się we mgle, również dzisiaj ze względu na brak widoczności słońca nie można było potwierdzić namiarów. Znamy pozycję z analizy kursowej i...

— Może pan wyznaczyć kurs do podanej pozycji? Tutaj?

Reinhardt spojrział na kartkę.

— Oczywiście.

— Więc proszę to zrobić. Musimy zdążyć na jutro na czwartą rano. Da pan radę?

— Sądzę, że tak. Mogę potwierdzić to po konsultacji z pierwszym mechanikiem.

— Proszę go przysłać.

— *Herr Kaleu...* Proszę o pozwolenie przekazania krótkiego komunikatu załodze.

— Wie pan, że jestem temu przeciwny. Żołnierz ma stulić pysk i służyć, a nie politykować.

Zaraz się złączą dyskusje.

— Jednak serdecznie doradzam. Wiem z doświadczenia, że ludzie lepiej pracują, kiedy wiedzą, o co chodzi. Spodziewali się powrotu do portu. Powinni się zmobilizować.

— Dobrze, skoro się pan upiera. Ale krótko i rzeczowo. I żadnych dyskusji.

\* \* \*

Obiad był już niemal zimny, co gorsza, drugi oficer wymieszał swoją porcję z musztardą, produkując coś takiego, na co w ogóle nie dało się patrzeć. Wyglądało jak rzadka zawartość pieluchy.

— Czifie, ma pan iść do zarządu. Natychmiast.

— *Scheise!* — warknął czif i wypił duszkiem resztę herbaty.

— Na wieki wieków.

\* \* \*

Stali nad stołem nakresowym, patrząc na mapę przykrytą pełnym oznaczeń arkuszem celuloideu. Czif ogryzał w milczeniu koniec ołówka. Na czole pogłębiała mu się pionowa zmarszczka będąca wyrazem zwątpienia.

— To tylko głupie dwieście mil — zachęcił go Reinhardt. — No, powiedzże pan coś. Co pana tak martwi, czifie?

— W kolejności? Najpierw te rozchrzanione baterie. Nie ma mowy o przejściu tego w zanurzeniu na czas. Na wierzchu nadziejemy się na samolot, zanim zdąży pan powiedzieć *mamma mia*.

— Dlatego pójdziemy na peryskopowej. Przecież ma pan cudowny wynalazek — te chrapy. Wystawimy je i pojedziemy pięknie na dieslach.

— Te słynne chrapy też mnie martwią. Potrzepało je. Pamięta pan te bliskie bomby nad kioskiem, a potem przechył? Teraz cały czas biorą wodę. Dławiki się blokują. Jak mi się ta woda dostanie do oleju... — Pokręcił głową. — Łożyska cały czas hałasują, wał się grzeje, jeszcze te oringi... To najmniejszy problem. Przeciek usuniemy pompą zęzową do zbiornika wyrównawczego i za burtę. Trym się utrzyma jako tako. Kwas już kazałem zneutralizować, wypompujemy hurtem.

— A paliwo?

— To jest główny problem. Cały czas gubimy. Dużo mniej niż przedtem i nawet wiem już, którędy. Uszczelniliśmy jak się dało, ale środkami pokładowymi... — Znowu powątpiewający gest głową. — Altenberg tłucze w chrapy i może coś z tego będzie. Dojść dojdziemy. Martwi mnie co innego. To nie jest miła okolica.

— Wiem — przyznał Reinhardt. — Jeszcze ta cisza radiowa...

— Przypuśćmy, że dojdziemy tylko po to, żeby dowiedzieć się, że tego mitycznego „Oxfolta” kupiła już konkurencja. Co wtedy?

Reinhardt pokiwał głową.

— Do Trondheim na wiosłach.

\* \* \*

Dopóki było jasno, Reinhardt siedział za peryskopem, kręcąc się jak na karuzeli. Lewo, prawo, unosił głowicę wyżej — na krótko, żeby zerknąć między falami — i z powrotem nisko, tuż nad wodę.

Należało się spodziewać niszczycieli, dozorowców, nawet ścigaczy.

Kilka razy minęli maszt na horyzoncie, sterczący pomiędzy falami jak odległa tyczka do grochu.

Co jakiś czas akustyk unosił głowę, przytrzymując palcem słuchawki.

— Szumy śrub z SW, daleko. Oddalają się. Chyba niszczyciel.

Reszta załogi wolnej wachty siedziała w kojach. Nie bardzo nawet rozmawiano. W dziobowym torpedyści bez przekonania grali w skata, ale raczej dla zamanifestowania, że mają wszystko gdzieś.

Ritter się nie naprzykrzał. Siedział w swoim kantorku i wypisywał niekończące się sprawozdania. Ze zużycia torped, zapotrzebowania na części zamienne, protokoły awaryjne. „Mam mnóstwo pracy. Poradzi pan sobie?”

„Na wojnie najważniejsza jest sprawozdawczość. Bez tego nie ma porządku”.

Z kolei czif nie wychodził z maszynowni, obserwując z troską swoje diesle, sprawdzał co chwila smarowanie i z marsem na czole spoglądał na wskaźniki temperatury i obrotów, i patrzył na lśniące osie wałów.

Łożyska wału grzechotały, ale się kręciły. Co dziesięć minut włączali na chwilę pompę zęzową, usuwając to, co naciurkało przez różne nieszczelności.

Jakoś płynęli.

Pod wieczór Reinhardt zszedł z centrali, nakazawszy utrzymywać nasłuch radiowy i akustyczny, i usiadł w mesie, żeby napić się herbaty. Trochę liczył na to, że będzie pusta. Rzadko

się to zdarzało, ale na XXI i tak było luźno. Przynajmniej w porównaniu z tym, co się działo na poprzednich okrętach. Niestety, w samym kącie siedział lekarz okrętowy, ponury Austriak, który, zdaniem Reinhardta, był słabo zaleczonym alkoholikiem, i Ritter. Lekarz usiłował czytać postrzępiony kryminał, a kapitan patrzył nieruchomo w grodz, splótszy palce na blacie stołu. Zawsze tak było. Siedział i gapił się przed siebie. Nigdy nie czytał, nie bardzo rozmawiał, jadał też zawsze na osobności. Reinhardt przez całe życie nie spotkał drugiego takiego sztywniaka. Ritter zawsze, w dzień czy w nocy, był tak oficjalny, że aż nieprawdziwy. Do tego wszystko, nawet najpotworniejsze propagandowe brednie, które oficerowie czytali sobie nawzajem, rycząc ze śmiechu, traktował absolutnie serio. Nie dało się nawet ustalić, czy jest taki głupi, czy tylko udaje.

Kiedyś Reinhardt usiłował zgadnąć, jak stary jest Stary. Od lat na okręcie podwodnym oficer, który przekroczył trzydziestkę, uważany był za wiekowego. Sam Reinhardt, który miał trzydzieści pięć — sam środek Conradowej „smugi cienia” tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki — uchodził za jakiegoś matuzalema. Marynarze mieli i po dziewiętnaście lat. Ale Ritter wyglądał na co najmniej pięćdziesiąt. Skąd się wziął? Skąd przybył i dokąd zmierzał? Nie wiadomo.

Gdyby służył na *U-Boatach*, Reinhardt powinien go znać. Sam był jednym z ostatnich „asów wilczych stad”. Służył od mata do Pierwszego.

— Panie pierwszy?

Reinhardt drgnął i oderwał wzrok od kubka z herbatą. Niechętnie. Podnieść oczy w tej chwili oznaczało patrzeć na martwą, belferską fizjonomię kapitana, a gdyby zerknąć jeszcze wyżej, nieuchronnie spoglądało się na wiszącą na grodzi, oprawioną w szkło fotografię Gröfaza. Na innych okrętach w mesie wisiały portrety egzotycznych piękności, jakieś alpejskie widoczki albo fregaty pod żaglami czy tropikalne wyspy. Tutaj gapił ci się w talerz Największy Wódz Wszech Czasów ze swoim kretyńskim wąsikiem i wbitą na oczy, zbyt dużą czapkę. Obok smutnym wzrokiem głodnej małpki patrzył Dönitz z odstającymi na boki uszami. To stanowczo odbierało apetyt.

— Kiedy znajdziemy się na pozycji „Oxfolta”?

— Godzinę przed czasem, jeżeli nie będzie kłopotów.

— Proszę przygotować listę członków załogi, którzy mogą zejść z okrętu.

— Słucham?!

— To dalszy ciąg rozkazu, którego szczegółów nie musi pan znać. Proszę opróżnić z ludzi dwa przedziały dziobowe. Zabierzemy kilka osób, które zamieszkają w przedziale torpedowym. Płyniemy dalej ze szkieletową załogą. Trzeba zostawić co najmniej piętnaście, a najlepiej dwadzieścia osób. Zejdą na „Oxfolta” i wrócą z nim do bazy.

— *Herr Kaleu*, to wyklucza prowadzenie boju zaczepnego. I tak okręt nie jest obsadzony. Bez torpedystów...

— Nie będziemy prowadzić działań zaczepnych. Nasze zadanie będzie inne. Musi pan wiedzieć tylko tyle, że załoga ma być jak najmniejsza i że na pokład wejdzie kilka osób. Będą traktowane jak pasażerowie specjalni.

— Ilu?

— Mniej niż dziesięciu, ale muszą mieć odpowiednio dużo miejsca i będą przewozić też ładunek. Kilka dużych skrzyń. — Kapitan uniósł się i przecisnął obok stołu.

— I, Reinhardt...

— Tak?

— Na okręcie mają zostać tylko prawdziwi Aryjczycy.

— Słucham?!

— Słyszał pan. Pan ich lepiej zna. Rozkazy są jasne. Żadnej skażonej krwi. Żadnych mieszaneńców, *Mischlingów*, jestem pewien, że co najmniej kilku to w jednej czwartej Słowianie,

Żydzi albo jeszcze jakieś inne bydło. Ma pan oczyścić okręt i nie dyskutować. Co to jest, na przykład, za nazwisko: „Boditschek”?

Nie wiadomo, skąd przysłała mu do głowy obłądna myśl, by odpowiedzieć: „To nazwisko Boditschka, *Herr Kaleu*”, ale zmilczał.

— To *Sudettendeutsch*, kapitanie. Z Marianenbadu.

— Wszystko jedno. Będę u siebie. Proszę kazać podać mi tam kolację o dziewiątej.

Kiedy Ritter zasunął drzwi, Reinhardt wezwał bosmana.

— Dwudziestu ludzi to wszystko, na co możemy sobie pozwolić — powiedział. — Zostaw pan tyłu, ilu się da. Proszę wybrać do spisania z pokładu przede wszystkim żonatych, szczególnie od niedawna, i tych, co mają jakieś dzieci, o których wiedzą. No i takich, którzy są do niczego. Głupi albo wypaleni, albo ze zszarganymi nerwami. Muszę mieć jakąś załogę pokładową, muszę mieć motorzystów i palaczy. Na tej luksusowej trumnie co rusz wszystko się psuje. I muszę mieć artylerzystów. Może pan oddać część „lordów”. Proszę przyjąć, że będziemy w takim razie robić trzy wachty zamiast czterech.

— Zrobi się — powiedział bosman, drapiąc się pod czarną furazerką, która siedziała na jego wielkiej, łysej głowie niczym zawiązek na ziarnie bobu. — Spiszemy Houdiniego, Głuchokrzykacza i Himmericha, i... Utter się ożenił, i...

— Niech pan zrobi listę i przygotuje im karty urlopowe. Nie muszę tego w tej chwili wiedzieć. Przecież nie będę się żegnał z każdym z osobna.

Potem poszedł siedzieć w centrali, ale po godzinie machnął ręką. Sternik sterował, akustyk nasłuchiwał, gdzieś dookoła pojawiały się czasem okręty, ale raczej daleko.

— ASDIC-ów to się pan *Oberleutnant* może nie obawiać — mówił pierwszy sternik. — Oni mogą namierzać tylko do dwunastu węzłów, a my robimy teraz czternaście. Za szybko idziemy. Robimy czternaście węzłów. Jeżeli będą chcieli nas gonić, to stracą namiar. Chrap na radarze też nie zobaczą, bo za duża fala. W razie czego sprawdzimy, jak działa ta... niby... buna, co to niby pochłania ultradźwięki i radar, i wszystko. Ta dzidzia jednak zupełnie nieźle chodzi. Pan się połóż, panie pierwszy. Od wczoraj pan na nogach. Gdyby co, będziemy budzić.

Reinhardt podrapał się w głowę, a potem postanowił rzeczywiście zejść na dół. Dla spokoju sumienia poszedł jeszcze zobaczyć, co się dzieje w maszynowni.

Potem zjadł kolację, mimo że nie miał apetytu. Wmuszał w siebie chleb, suchą kiełbasę i sardynki, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. W świecie niedobrych podejrzeń. Pasażerowie, ładunek, potrójny szyfrogram...

Rejs do Ameryki, Boże uchojaj? Z ładunkiem szpiegów albo dywersantów?

Raczej nie chodzi o to odwieczne *idée fixe* z rejsem do amerykańskiego wybrzeża i zatapianiem im statków w portach, bo kazali oddać torpedystów. A zatem szpiedzy.

Dlaczego nie?

To chyba lepsze niż samobójcze ataki na konwoje. „Znaleźć! Zatopić! Zawsze naprzód! Jak Blucher pod Katzbach!”. Ach, bzdury. I lanie za każdym razem. Czuf miał rację. Ten interes już się kończył. Każdy mógł to jasno zobaczyć, gdyby tylko miał olej w głowie. Kiedy zaczynamy tracić, to trzeba wstawać od stołu. A to właśnie oznaczała utrata Afryki, Włoch, Normandii, Rosji, Grecji, Polski... Patrzyć tylko, jak będziemy się bić o stację *S-Bahnu* w Berlinie. Każdy to widział, tylko nie ci dumie. A te konwoje? Atakując konwoje, Reinhardt czuł się teraz jak pies szczekający na pociąg, a nie straszliwy wilk Atlantyku.

Wlaził do swojej kajutki i położył się.

\* \* \*

Nie miał pojęcia, co go zbudziło. Łoskot powietrza szasującego balasty? Tupot nóg? Czy dopiero blaszane „czszwuum!” fal tłukących o kiosk. Zerwał się na nogi.

— Co się dzieje?! Meldunki!

— Trochę się przejaśniło, na chwilę. Okazja gwiazdy strzelać, panie pierwszy. Drugi oficer poszedł z sekstansem na pomost. Będziemy mieli pozycję.

Reinhardt rozmasował zdrętwiałe policzki i powieki, jakby chciał wepchnąć do środka oczy. Póki się nie kładł, jakoś to jechało. Po trzech godzinach snu czuł się po prostu chory.

Wsunął nogi w grubych, sfilcowanych skarpetach w buty i namacał wiszącą na grodzi ciężką, skórzaną kurtkę podbitą filcem. Znalazł jeszcze wełnianą czapkę i poczłapał do centrali.

— Jeden na pomost?

— Można!

Zdążył tylko postawić nogę na szczeblach drabinki.

Wszystko wydarzyło się naraz.

Najpierw operator radiolokatora wrzasnął:

— Lotnik! Nadchodzi! Kierunek dwieście! Osiem mil!

Równocześnie rozległ się wrzask: „Alarm!”. Drugi oficer zjechał mu po poręczach zejściówki prosto na głowę, za nim mat z centrali. Jazgot dzwonka złał się z krzykiem zbierającego się z pokładu centrali Reinhardta.

— Zanurzenie alarmowe!

Mat wisiał już na korbie rygla i zamykał właz, woda waliła z góry jak z wodospadu.

— Cała naprzód! Sternik — ostro w prawo! Ster dwieście! Wszyscy na dziób! — wrzeszczał Reinhardt.

Okręt przechylił się wyraźnie na dziób. Otworzyła się jakaś szafka, coś wywróciło się z hukiem i potoczyło po podłodze. W mesie O z brzękiem posypały się jakieś naczynia. Okręt klasy XXI umiał wejść awaryjnie pod wodę w osiem sekund.

Słysząc było, jak syczy powietrze wypychane ze zbiorników, skrzypi i jęczy kadłub, jak brzęczą silniki elektryczne. Okręt pochylił się na burtę, wykonując najciaśniejszy z możliwych skręt. Prosto pod nadlatujący samolot. Tak jest najbezpieczniej. Skrócić dystans.

Niech hamuje, niech robi zwroty, niech wyrzuci go poza obszar ataku.

— Poszły dwie — oznajmił akustyk uroczystym tonem. Wszyscy przysiedli odruchowo, chowając głowy w ramionach. Reinhardt przytrzymał się tylko barierki.

Zapadła cisza.

Widzieli je. Na wewnętrznej stronie zaciśniętych powiek. Tak wyraźnie, jakby każdemu otworzyło się trzecie oko. Dwa obłe, lśniące kształty, które wbijają się coraz głębiej w atramentowoczną wodę, ciągnąc warkocz fosforyzujących bąbelków powietrza. A potem zamieniają się w upiorne, małe słońca i rozdierają toń pęcherzami zgazowanej wody.

Pierwsza eksplozja spadła nagle, jak uderzenie topora. Przerażliwy łomot, światło zamigotało, ktoś wrzasnął.

— Spokój! — ryknął oburzony Reinhardt. — Przecież to nic nie jest! Kompletnie pudło!

— Przeciek pod kolektorem szasu awaryjnego!

Kolejny grzmot. Okręt przebiegły fale wibracji, potem wstrząs, słysząc było grzechot, z jakim podrzuciło podłogowe gretingi. Zapadła ciemność.

— Przedział maszynowy daje wodę!

— Bez hysterii! Jak tak można! Zapłonęło niebieskie światło awaryjne.

— No i tyle — oznajmił Reinhardt. — O co tyle wrzasku? Rąbnął w pianę pozanurzeniową. Po najmniejszej linii oporu. Zejść na sto osiemdziesiąt. Kurs sto dwadzieścia. Panie Wichtelmann, dlaczego stanowiska oerlikonów nie były obsadzone? Mogliśmy zdjąć tego drania.

— Kazałem wynurzyć tylko na chwilę, *Herr Oberleutnant* — tłumaczył drugi oficer. — Tylko żeby zdjąć namiary.

— I wystarczyło — skonstatował Reinhardt. — Już nie możemy nawet pokazać głowy na tym morzu? Aż niewiarygodne, co za pech. Wziął pan te namiary przynajmniej?

— Zdążyłem.

— Zostaniemy pod wodą jeszcze pół godziny. Potem wrócić na peryskopową i przejść na diesle.

— Ale jakim cudem w nocy? Przecież nie mógł nas zobaczyć! — indyczył się ktoś w przedziale podoficerskim.

— Człowieku! Oni od dawna mają radary w samolotach! Nie do wiary, jak można być takim wołem! Zajrzyj sobie w dupę i zobacz, czy tam jeszcze jesteś!

— Reinhardt, co się dzieje? Proszę o meldunek. — Ritter otworzył drzwi i wkroczył mężnie na plac boju. Brzęknęły bezpieczniki i znów zapłonęło światło.

Pierwszy westchnął.

\* \* \*

Na miejsce dotarli następnego dnia o drugiej w nocy. Reinhardt kazał zastopować maszyny i stanęli w dryfie. Wysunęli peryskop, ale morze wokół było zupełnie puste. Przypadkowy kwadrat północnego Atlantyku, oznaczony na mapach czteroliterowym kodem.

Niczego tu nie było. Ani statku zaopatrzeniowego, ani Royal Navy, ani nawet mew.

— Czifie, jak z paliwem?

— Niedobrze. Do domu na pewno nie wystarczy.

— Radionamiernik, pytam namiary?

— Nic, panie pierwszy.

— Akustyk?

— Nic.

— Czekamy — oznajmił Reinhardt. Splótł dłonie na dźwigniach peryskopu i oparł głowę o kolumnę. — Kuk, proszę o kawę!

— Oczywiście, że będą — oznajmił kapitan ostrym głosem. — Niech pan nie rozsiewa defetyzmu!

\* \* \*

Jakieś dwie godziny później Reinhardt polecił wynurzyć okręt i opływać powoli sektor. Sam wyszedł na górę i kazał sobie dać lampę sygnalizacyjną Aldissa.

Silniki mrucały.

Kapitan siedział oparty o pluszową kanapę w mesie ze szklanym wzrokiem wbitym w grodz i kontemplował nicość. Lekarz apatycznie tasował wyświechtane karty. Bez końca. Okręt zamienił się w gigantyczną poczekalnię gabinetu dentystycznego.

Wszyscy siedzieli na kojach albo w mesach i milczeli. Mniej więcej co dziesięć sekund ktoś spoglądał na ścienny zegar elektryczny. Niektórzy kładli się spać przepelnieni żołnierskim fatalizmem. Wiadomo, że niczego na wojnie nie da się przegapić. Obudzą. Póki się da, trzeba spać. A co ma być, to będzie.

Dlatego skrzypnięcie włazu i kanonada żwawych wrzasków Reinhardta podziały jak wybuch granatu w zamkniętej przestrzeni.

— Mała naprzód! Ster trzydzieści pięć! Załoga pokładowa na górę! Szykować okręt do cumowania! Biegiem! Obsada artylerii na stanowiska! Przygotować luki załadunkowe! Szykować cumy! Wysunąć polery! Ruszać się, ludzie! — Po czym normalnym głosem do centrali: — A ten radionamiernik to se pan w dupę wsadź!

\* \* \*

Statek zaopatrzeniowy „Oxfolt” okazał się przebudowanym rudowęglowcem, całym w resztkach zielonej farby i rdzawych zaciekach, nie wiedzieć dlaczego, kryjącym się za szwedzką banderą. Tak jakby ktokolwiek mógł uwierzyć, że te górne pokłady najeżone bronią przeciwlotniczą należą do neutralnego statku.

Wszystko odbywało się po ciemku i wydawało się trochę nierzeczywiste. Krzyki marynarzy, rzędy wielkich odbijaczy zwieszane między burtami niczym gigantyczne kiełbasy, worki prowiantu spuszczone z góry do luków załadunkowych, torpedy kołyszące się na żurawikach, karbowany, gruby wąż dystrybutora ropy zwieszający się nad rufą jak dziwaczna pępowina.

Niebo siniało.

Przy zbiorniku balastowym słychać było syk spawarek i pomimo ochronnych ekranów rozbłyski i pęki iskier musiały być widoczne na wiele mil. Wewnątrz okrętu zostawiono tylko słabe, czerwone światło. Załoga miotła się po pokładach, marynarze z naręczami bochenków chleba i kręgami serów włązili w drogę tym, którzy wymieniali akumulatory albo nieśli elementy instalacji. Chaos. Czif ciskał się między nimi jak oszalały szaman Papuasów i kierował naprawami.

Reinhardt i kapitan weszli po drabince na pokład „Oxfolta”.

Okręt podwodny nowej generacji mógł wydawać się luksusowy, ale tylko podwodniakom. Tutaj pod nogami ścielił się kokosowy, czerwony dywan, ostre światło biło w oczy, w mesie kapitańskiej wśród eleganckich mahoniowych mebli pysznił się nakryty białym obrusem stół zastawiony jak na św. Marcina, były półmiski kiełbas, pieczone gęsi, pasztety, spienione, zimne piwo w szklanych kufkach. Płomyki świec odbijały się w kryształach.

Stali w salonie jak dwóch oszołomionych wędrownych dziadów. Ritter w swoim popękany i wyszmelcowany skórzany płaszczu, Reinhardt w ciężkich pokładowych butach i cuchnącej smarem, pokrytej zaciekami soli kurtce, obaj zarośnięci, brudni i bladzi. Obaj mrużyli oczy jak wykopane na polu krety.

Kapitan „Oxfolta” i jego świta wyglądali z kolei, jakby urwali się z opery. Czarne mundury, śnieżnobiałe koszule, lśniące złotem paski na mankietach, orderzy wypucowane sidolem do połysku.

Zapach cygar i wody kolońskiej.

Huknęli obcasami, prężąc ręce w salucie. Ritter ochoczo dźgnął dłonią, jakby chciał wydłubać komuś oko, Reinhardt wykonał tylko nieokreślony gest przypominający coś pomiędzy pożegnaniem ciotki na peronie a próbą odwieszenia kapelusza.

— Panowie, czym chata bogata...

— Nasi morscy bohaterowie...

— Rycerze podwodnej bitwy...

— Wilki Atlantyku...

— *Prosit!*

Głosy mieszały się w zgiełku. Kapitan pozwolił się zaprowadzić do stołu. W tej chwili tak bardzo przypominał złachmanionego nauczyciela matematyki jak to tylko możliwe. Na okręcie wydawało się, że jest schludny. Żadnych cywilnych łachów, żadnej brody. Codziennie drapał szczękę żyłką, kazał sobie czyścić szczotką mundur. A teraz wystarczyło trochę światła i czar

pryskał. Pojawiały się wyświecone mankiety, postrzępione dystynkcje, jakieś odbarwienia, plamy i zacieki. Do tego żółtawa cera, jak po ciężkiej chorobie.

Kiedyś Reinhardt dąsał się na takie cyrki, przewracał oczami na toasty, uprzejmie odmawiał prezentów i heroicznie wyносił co się dało załodze, po czym uciekał na okręt. Teraz już zmądrzał. Wiedział, że później i tak ocean zamknie mu się nad głową, a on będzie siedział w stalowej rurze i tęsknie wspominał każdego papierosa i każdą lampkę koniaku, których odmówił.

Pozwalał się więc rozpieszczać, poklepywać po plecach, przyjmował cygara, piersiówki i tabliczki czekolady.

— Reinhardt, proszę poznać naszych gości — odezwał się Ritter, chwytając Pierwszego za rękaw. — To *Herr* Klaus Vordinger, doktor Alfred Wiesmann... A to *Fräulein* Ewa Loewengang.

Ewa Loewengang zwracała uwagę. Przed wszystkim wzrostem. Jej głowa udekorowana loczkami „na pudła” wznosiła się odrobinę ponad top pierwszego, dodatkowo szacunek budziły szerokie bary i imponująca, łabędzia pierś pod kosmatym sweterkiem. Jej kształt przywodził na myśl dwie gruszki dziobowe bliźniaczych niszczycieli.

Reinhardt strzelił obcasami swoich morskich buciorów i uściskał dłonie. Smukłą, silną dłoń damy, lodowatą, szkieletowatą łapkę Vordingera i suchą Wiesmanna.

Vordinger nosił wąs i wyglądał jak stalowski, emerytowany lekarz, a Wiesmann był chudy, miał okrągłe, druciane okulary i dwa razy za dużo zębów. Przypominał ucłowieczonego krokodyla.

— Czy kajuty naszych gości już są gotowe?

— Niestety, trudno to nazwać kajutami — zauważył Reinhardt — ale kazałem już opróżnić dwa przedziały, według rozkazu.

— Poznaje mnie pan, *Herr Oberleutnant*? — zapytała postawna blond-bestia.

Reinhardt wpadł w popłoch. Mózg ruszył mu na najwyższych obrotach jak przelicznik artyleryjski, ale wśród epizodów, przygód, a nawet pijackich incydentów nie figurowało wspomnienie o prawie dwumetrowej blond — szkapie z cycem jak dwie pławy i głosem niczym nurkujący sztukas. Z pewnością nie.

— Pani wybaczy... ale...

— *Madame* Ewa jest diwą Opery Berlińskiej — oznajmił surowo Ritter. Siadać Reinhardt! Niedostatecznie! — Jej wykonanie Wagnera wzbudziło zachwyt samego *Führera*!

— Przepraszam, ale ostatnio nie bywam w operze.

— Może zechce się pan wykąpać? — zaproponował kapitan „Oxfolta”.

— Dziękuję, ale powinniśmy jak najprędzej odpłynąć. Kiedy nastanie świt...

— *Herr Oberleutnant*, jest pan pod ochroną naszych baterii przeciwlotniczych i stoimy z daleka od szlaków. Okręt jest tu bezpieczny.

— Chyba się pan nie boi, poruczniku? — Ewa spojrzała na niego oczami błękitnymi jak szafiry zamrożone w bryłkach lodu.

— Boję się, proszę pani. O załogę i okręt. Spięci cumami jesteśmy bezbronni i niezdolni do manewrów. Zaopatrzenie należy pobierać jak najszybciej. Do tego stan morza może się pogorszyć...

— Och, mają tu tyle tych armat... Może pan być zupełnie spokojny. Na pewno nic się nie stanie.

— To państwa zabieramy na pokład?

— Panie Reinhardt, pański kapitan jeszcze nie panu nie mówił? — zagadnął Vordinger. — Nie tylko nas. Jeszcze ładunek i naszych ludzi. Mam nadzieję, że się zmieścimy.

Reinhardt spojrzał za jego dłoń i z osłupieniem zarejestrował czterech potężnie umięśnionych blondynów w czarnych jak sadza mundurach i polowych czapkach, którzy podpierali rzędem ścianę i przypominali ożywione plakaty *Volkssturmu*. Granitowe szczęki, niebieskie oczka łypiące

spod czarnych daszków, włosy barwy lnu. Nosili bryczesy, koalicyjki i wypucowane do połysku oficerki, ale nie mógł rozpoznać formacji. Nie mieli chyba nawet przepisowego godła na ramieniu.

Pomyślał, że to niekoniecznie wojsko. Tyle było rozmaitych organizacji i służb, a wszyscy oblekali się w jakieś mundury, i to coraz bardziej operetkowe.

Obaj przedstawieni mu mężczyźni niby byli w cywilu, ale ubierali się identycznie. Obaj mieli okrągłe swastyki wpięte w krawaty i jakieś znaczki w klapach marynarek. Coś, co wyglądało jak czarna strzałka skierowana grotem do góry, obwiedziona bielą, na czerwonym tle. Diabli wiedzieli, co to jest.

— Zmieście się państwo. W tych dwóch przedziałach zwykle podróżuje do dwudziestu ludzi, ale komfortu tam nie ma. Zwłaszcza dla pani nie będzie odpowiednich warunków.

— Wszystko dla zwycięstwa, *Herr Oberleutnant*. To jest warte każdej ceny.

Reinhardt postanowił dać sobie godzinę. Jedną godzinę przeznaczoną na korzystanie z piwa, koniaku, pieczonej gęsi z czerwoną kapustą, rolady i wątrobianych kluseczek. Tam na dole i tak musiało potrwać.

„Proszę skosztować kielbasy, panie pierwszy. Prawdziwy *Wurst!* W kraju pan nic takiego teraz nie zje, mam kuka, który pochodzi z Gór Kacperskich!”

„Za zwycięstwo!”

Dosyć tego bałwaństwa, pomyślał sobie po jakimś czasie Reinhardt. Postanowił wyslizgnąć się stąd i wracać na okręt. Równocześnie ładowano prowiant i zaopatrzenie, na gwałt naprawiano co większe uszkodzenia, dwudziestu ludzi z dziobowego pakowało w pośpiechu toboły. To musiało być istne pandemonium.

Był już w połowie pomieszczenia, kiedy dopadł go Wiesmann i z miejsca zaczął łąpać za guzik. Był już lekko podпиты. Reinhardt nie znosił takich typków z lepкими rączkami. Aż się prosiło, żeby przydzwonić mu w tę krokodylą szczękę.

— Wykonał pan rozkaz?

— Znaczy?

— W załodze nie może być elementów nieczystych rasowo. Do trzeciego pokolenia... Tylko czysta krew. To bardzo ważne. — W ogólnym zgiełku nie za bardzo było go słyhać.

— Zredukowałem załogę, według rozkazu — powiedział Reinhardt wymijająco.

— Tak... Zredukować. Żadnych mieszaińców. Tylko Aryjczycy. Prawdziwi. Jak się nazywa pański okręt?

— Nie nazywa się. To okręt podwodny. U-966. Oznaczenie wywoławcze ULF.

— Więc Ulf! Ulf, czyli wilk po starogermańsku! Wspaniale. Panowie, za pomyślność okrętu Ulf, który przyniesie nam wszystkim upragnione zwycięstwo! Za operację *Götterdämmerung!* *Heil Hitler!*

Wszyscy wstali, ktoś wcisnął osłupiałemu Reinhardtowi kieliszek koniaku.

Więc tak wygląda w Abwehrze najwyższy stopień tajemnicy? — skonstatował w duchu. Poddam się. To nie ma sensu. Poddam się pierwszemu napotkanemu niszczycielowi i pojedę sobie do Kanady karczować lasy. Starego się uduśi... Ta wojna prowadzona jest przez imbecylów. Szkoda mojego czasu. Panie i panowie, zostaliśmy nabrani.

Podszedł do stołu, szukając Rittera, i zastał go rozmawiającego ze śpiewaczką i Vordingerem.

— Jakże państwu zazdroszczę — mówił Ritter. — Bardzo chciałbym też zobaczyć *Führera* na własne oczy.

— Ależ, panie kapitanie — wdzięczyła się diwa. — Kiedy wrócimy, jestem pewna, że przyjmie pana osobiście! Nawet pan nie wie, jak wiele od tego zależy. My...

— Najuprzejmiej przepraszam panią — powiedział Reinhardt. — Panie kapitanie. Proszę o pozwolenie powrotu na okręt. Muszę dopilnować prac pokładowych i przygotować wszystko do

odpłynięcia.

— Co...? Ach, tak, Reinhardt. Przygotować. Słusznie. Zezwalam.

— Już pan nas opuszcza, *Herr Oberleutnant*?

— Niestety. Serdecznie radzę, żeby państwo również przygotowali się do odpłynięcia i weszli na pokład najdalej za dwie godziny.

\* \* \*

Czif wyglądał jak duch ojca Hamleta. Z podwiniętymi rękawami, po łokcie utyłany smarem, którego smugi pojawiły się nawet na jasnej brodzie, z włosami zlepionymi od potu siedział pod barierką diesla i apatycznie wycierał dłonie szmatą.

— Baterie akumulatorów i siłownia elektryczna sprawne — powiedział Reinhardtowi zmęczonym głosem. Gdzieś w tle jego mechanicy zbierali narzędzia i kawałki kabli, z hałasem układali na miejscu lśniące kraty gretingów. — Dławiki chrap i siłowniki sprawne, nieszczelności głównego kolektora za wodowskazem załatane, dwa odsalacze sprawne, łożyska wału obsadzone, oringi wymienione, uszkodzenie kadłuba nad zbiornikiem balastowym zaspawane. Da się jechać. Zostało trochę drobiazgu, ale to możemy spokojnie połączyć po drodze. Mamy paliwo. A jak wygląda na górze?

— Dziękuję. — Reinhardt podał tamtemu butelkę piwa. Główny mechanik przyjął ją z wdzięcznością i jednym ruchem odbił kapsel o śrubę bloku silnika. Piwo huknęło jak szampan, kapsel poleciał gdzieś, rykoszetując z brzękiem niczym pocisk. Czif uniósł się, znalazł kawałek blaszki i posłał ją do wiadra ze zużytym olejem. Mechanik pił duszkiem, piana wsiąkała mu w brodę i widać było, jak niezmordowanie porusza chudą grdyką.

— Dwóch kretynów, moim zdaniem, Abwehra, czterech byczków prosto z aryjskiej farmy rozplodowej i śpiewaczka operowa. Mamy to wszystko wieźć w ocean. Nie wiem, dokąd, i nie wiem, dlaczego. Mam nadzieję, że chodzi o to, żeby ich gdzieś utopić.

— Śpiewaczka? — zapytał czif z niedowierzaniem.

— Operowa — potwierdził Reinhardt z goryczą. — Dwa metry, tleniony blond, brak nosa, oczy krowy i cyce jak pontony. Głupia jak bawarskie gacie. Prezes jest zachwycony.

— Robi się coraz dziwniej.

\* \* \*

W centrali zrobił się tłok. Długi sznur marynarzy z workami w rękach tłoczył się do wyjścia, tymczasem ciągle jeszcze noszono skrzynki konserw i suszone kiełbasy, przy radionamierniku szafki straszyły płataniną kabli i biedzili się tam elektrycy.

Reinhardt starał się nie przeszkadzać. Siedział w mesie O, popijając sok jabłkowy z butelki, i czekał, aż chaos przeistoczy się w coś sensownego.

— Mamy teraz torpedy we wszystkich wyrzutniach, ale żadnego zapasu — mówił drugi oficer. Napił się ofiarowanego mu piwa i mlasnął. — Amunicji do pelotek nie braliśmy w ogóle, bo mamy komplet. Dwa przedziały dziobowe wolne, a ponieważ nie ma zapasu torped, niczego nie trzeba będzie regulować, więc to w zasadzie bez znaczenia. Będziemy odpalać elektrycznie. Spisaliśmy siedemnastu ludzi. Będziemy robić trzy wachty i jakoś to będzie. Jeśli nie mamy prowadzić normalnych ataków, to w zasadzie nie ma problemu.

Marynarze w centrali ruszyli wreszcie na górę, a potem po zrzuconej im z burty „Oxfolta” sieci. Na pokładzie natychmiast rozległy się wrzaski.

— Nie zapomnijcie pisać, cholerni szczęściarze! A wsadź swojej starej raz ode mnie! Trzymać mi tam koje gotowe do akcji, aż wrócę! Pozdrówcie zimne Norweżki! Rozgrzać je jak należy!

— Szczęściarze — mruknął Drugi.

— Czy ja wiem... Zimno, parszywe żarcie, naloty. Sam już nie wiem, gdzie gorzej. Widział pan, jakie dali zaopatrzenie? Świeże sery, owoce, kiełbasa, konserwy...

— Widziałem nawet rosyjski kawior, pasztety i łososia w puszkach. Skąd to wytrzasnęli?

— To raczej dla pasażerów. Niech pan nie liczy, że zobaczymy takie rzeczy na stole w mesie.

Na kiosku rozległy się kroki i kobiecy śmiech.

— Jaki on malutki! Jaki maleńki!

— Ona mówi o okręcie? — zapytał ktoś w mesie podoficerów, chyba Fanghorst.

— Nie! O twoim fiutku!

— Och, zamknij się, stara świnió, z nikim tu nie można porozmawiać!

Reinhardt westchnął i napił się soku.

Na pomoście znowu rozległ się piskliwy chichot, a potem krzyk: „Chrzczę cię! Chrzczę cię... Nibelung!”. A potem szklany łomot o burtę. Drugi skrzywił się odruchowo.

— Co to było?!

— Butelka po szampanie, prawdopodobnie. Kolacja, mianowicie, dobiegła już końca.

Kolejny dźwięk, który rozległ się na górze, w pierwszej chwili kojarzył się z syreną alarmową. Akustyk, siedzący apatycznie na swoim stanowisku, nagle zdarł z głowy słuchawki i poderwał się z krzesła.

— A to co?!

— Aria. Zdaje się, „Pierścień Nibelungów” Wagnera. Drugi oficer zrzucił furazerkę na stół i rozmasował twarz.

— Co tu się wyprawia?! W co my się pakujemy? Właz do centrali otworzył się ze skrzypnięciem, po czym pokazała się szczupła noga obleczone jedwabną pończochą ze szwem, w damskim pantoflu i poła futra. A potem rozległ się chichot.

— Jakie to ciasne! Ostrożnie, bo złamię obcas! Au! Tu wszystko jest żelazne!

Kiedy *madame* Loewengang gramoliła się po zejściówce, wszyscy obecni w centrali jak jeden mąż w milczeniu patrzyli w górę. Nawet akustyk odwrócił się na swoim siedzisku. Śpiewaczka miała na sobie długie futro i stojąc już na pokładzie, marszczyła nos jak rozzłoszczony pekińczyk.

— Fuj! Przecież tu trzeba wywietrzyć! Okropne! Mój kufer się nie zmieści! Trzeba zabrać mój kufer!

Istotnie. Nie tylko jej kufer obity skórą i spięty skórzanymi pasami, ale i cztery pokaźne skrzynie, podobne do amunicyjnych, nie miały szansy zmieścić się w luku.

Reinhardt wyszedł na górę i otaksował stertę bagażu.

— Do luku załadunkowego przedziału torpedowego z tym wszystkim! Ruszaj się, człowieku!

— Ostrożnie!

— Już ja się za was wezmę, chłopcy! — dobiegało z dołu. — Jeszcze będziecie jeść z kwiatami na stole!

Na pomoście i w centrali znowu zrobił się tłok i chaos osiągnął szczyt. Pasażerowie przeciskali się przez gradzie na dziób, Ewa straciła równowagę i z piskiem usiadła na koi w sekcji motorzystów, lądując jednemu z marynarzy na kolanach. Czterej ubrani na czarno Aryjczycy pchali się w milczeniu, holując swoje toboły. Ktoś potknął się o próg sztormowy w mesie PO, przewracając butelkę z sokiem w czyjaś pościel. Ritter wcisnął się do centrali i stał pośrodku wsparty majestatycznie o barierę stanowiska radionamierników, zawadzając każdemu, kto chciałby gdziekolwiek przejść. Pierwszy sternik przeciskał się na swoje miejsce.

— Szykować się do zdjęcia cum! Chować polery! — wrzeszczał Reinhardt na pomoście. Na

horyzoncie niebo już różowiało i zaczynało się robić szaro. Burta okrętu stojącego obok nich zmieniła się w czarny masyw.

A potem w jednej sekundzie świat stanął nagle na głowie.

Najpierw rozległ się ryk klaksonu na kiosku, niemal prosto w ucho, a potem wrzask Rittera: „Alarm! Lotnik!”. Reinhardt aż przysiadł z wrażenia. Ryknął: „Rzucać cumy!” i rozejrzał się bezradnie po niebie, ale zobaczył tylko czarną masę nieruchomego „Oxfolta” wiszącą nad nim jak górskie zbocze. Marynarz na dolnym pokładzie zrzucił cumę z ostatniego polera i pobiegł do luku załadunkowego. Reinhardt spojrział jeszcze na dziób i rufę, upewniając się, że zamknięto wszystkie luki, i zjechał w głąb kiosku, zamykając właz i dokręcając rygle w momencie, kiedy okręt szedł już pod wodę.

— Wszyscy na dziób! Zanurzenie alarmowe! Gdzieś z przodu rozległo się Ewy: „Auu! Nadepnął mi pan na nogę!” i nerwowy tupot. Reinhardt przytrzymał się barierki stołu nakresowego. Z łoskotem po pokładzie potoczyła się jakaś butelka.

— Radionamiernik, pytam namiar?

— Nic nie miałem — powiedział operator. — Zupełnie nic. Albo „Oxfolt” go zasłonił, albo to fałszywy alarm.

W tym momencie potężna eksplozja wstrząsnęła morzem. Jedno krótkie, głębokie tąpnięcie, które mogło połamać zęby, a potem seria wibracji, która przepląnęła przez kil okrętu. Światło zamigotało.

— Dostali ich?! Jedną bombą? — zapytał ktoś w osłupieniu. Spojrzeli na akustyka, który przyciskał słuchawki do głowy i patrzył nieobecny wzrokiem gdzieś w przestrzeń. Reinhardt otworzył usta, ale niepotrzebnie. Było już słyhać doskonale, także bez słuchawek. Dźwięk, który znał aż za dobrze — wielorybie, przeciągłe zawodzenie konającego statku. Wiedział, że źródłem hałasu jest powietrze wypychane przez wodę z komór kadłuba, ale i tak ciarki zawsze chodziły mu po plecach.

— Co to jest?! — usłyszał przerażony głos Ewy.

— Śmierć statku — odpowiedział ktoś. — Zawsze tak krzyczą, kiedy toną.

Idący na dno „Oxfolt” minął ich w odległości dwustu metrów. Słyhać było, jak fragmenty kadłuba szczękają i obijają się o siebie, potem skrzypienie i potrzaskiwanie pękających grodzi.

— Houdini... — szepnął ktoś. — Himmerich...

— Ofiary są niezbędne dla zwycięstwa — oznajmił nagle Wiesmann gdzieś z dziobu. — Zresztą, to byli tylko podludzie...

Gdzieś za mesą elektryków słyhać szamotaninę, ktoś coś przewrócił, ktoś syknął zduszonym głosem:

„Nie, kretynie... Zamknij się... Puść mnie! Nie! Spokój!” — ale wszystko szeptem. Reinhardt z trudem rozluźnił szczęki i zobaczył zalaną zielonkawym światłem przyrządów mostka twarz Starego. Bez wyrazu, ze zmrużonymi oczami. Kapitan patrzył na niego badawczo. Akustyk trzymał się kurczowo za barierkę, a chude kostki jego dłoni były zupełnie białe.

— Głębokość peryskopowa! — krzyknął Reinhardt. — Zwrot! Kurs w rejon katastrofy!

— Nie! — huknął Stary. — Co pan sobie wyobraża! Był alarm lotniczy!

— Tam mogą być rozbitkowie.

— Samolot może wrócić!

— Nie słyzałem żadnego samolotu — powiedział Reinhardt, patrząc kapitanowi prosto w oczy. — Nie było też namiaru.

— Powiedziałem: nie!

— Proszę zostać pod wodą — odezwał się sucho Wiesmann. — Wiem, że uważa nas pan za pasażerów, ale zapewniam, że pański kapitan wyprowadzi pana z błędu. Wiem, jak to jest z

marynarzami. Chciałby pan powiedzieć, że na morzu mam siedzieć w kajucie, a pan dowiezie mnie na miejsce, i że tutaj dowodzi kapitan albo pan w jego imieniu. Myli się pan. Tu chodzi o ostateczne zwycięstwo. Te romantyczne bzdury o morskim obyczaju nie mają zastosowania.

Zbliżył twarz do twarzy Reinhardta i wlepił w niego bladoniebieski, obłąkany wzrok. Pierwszy patrzył spokojnie, a nawet pogodnie, i raptem zaczął się uśmiechać. Lekko i niewinnie, ale za to coraz szerzej.

Sternik nieraz odwiedzał w towarzystwie Reinhardta rozmaite knajpy od Marsylii po Gdańsk i doskonale wiedział, co to znaczy. Chwycił oficera za ramię i unieruchomił mu rękę.

— Panie pierwszy, pan usiądzie — powiedział, odgradzając go od Wiesmanna.

— Nie wynurzy się pan — oznajmił Wiesmann. — Natomiast wyznaczysz pan kurs do tego miejsca. — Podał mu kartkę z zakodowanymi współrzędnymi, które można znaleźć tylko na mapach Dowództwa Okrętów Podwodnych.

\* \* \*

— Po pierwsze, była tylko jedna eksplozja — mówił Reinhardt, niemal nie otwierając ust. Oparty o mapy na stole nakresowym uważnie przesuwiał linią. — Nie było serii bomb, tylko pojedyncza eksplozja, po której dziesięciotysięcznik zatonął w ciągu pięciu minut.

— Statek idący pod szwedzką banderą — powiedział Drugi, gryząc jabłko.

— Mniejsza o banderę. Stary okrzyknął alarm i natychmiast poszliśmy pod wodę. A „Oxfolt” milczał. Przecież tam była cała wystawa techniki przeciwlotniczej. Daleki horyzont obserwacji, radiolokatory, namierniki i nie zauważyli samolotu? Nie było namiaru radiolokacyjnego, nie było słyhać silnika, żadnej strzelaniny. A pół minuty później trafienie. Do tego patrzyłem na naszych gości. Żadnej paniki. Alarmowe zanurzenie w momencie, kiedy wchodzi na pokład, i „nadepnął mi pan na nogę”. A statek tonął kilka minut. Tak idą na dno tylko niszczyciele. I to o ile płyną pełną parą i dostaną torpedę w dziób. Owszem. Ale nie frachtowiec stojący w dryfie. Przecież to jest wanna.

— Co pan sugeruje?

— Że „Oxfolt” został wysadzony w powietrze. Znalazł drugi namiar i zrobił malutki krzyżyk ołówkiem, po czym wyznaczył kurs.

— I dokąd płyniemy?

— Donikąd. Kawalek. Dwieście mil na północ od Islandii. W miejsce, w którym nie ma kompletnie nic.

— Powinien pan złożyć raport. Tak czy inaczej. Dönitz nie przepada za Abwehrą.

Reinhardt przygryzł tylko cybuch pustej fajki i pokręcił głową.

— Stary pokazał mi papiery. To są rozkazy z Kancelarii Rzeszy, panie Wichtelmann, a nie żadna Abwehra. I niech pan zgadnie, kto je podpisał. Ta banda błaznów dostała okręt w prezencie. Jeżeli każą panu wsadzić sobie strusie pióra w zadek i tańczyć na stole nawigacyjnym albo wystrzelić się z torpedą, będę mógł tylko rozłożyć ręce. Sternik! Kurs sto osiemdziesiąt! Za dwadzieścia minut wyjść na peryskopową.

\* \* \*

Przed zamkniętą grodzią przedziału dziobowego stał wartownik. Jeden z czterech blondynów, których zaczęto uważać już za czworaczki. Stał w rozkroku w swoim czarnym mundurze, z MP40 przewieszonym przez pierś i w błyszczącym, pokrytym chromem hełmie, w którym wyglądał jak

strażak. Stał i patrzył przed siebie przymrużonymi oczami, zupełnie jakby pilnował Reichstagu.

Natknąwszy się na niego po raz pierwszy, Reinhardt zbaraniał. Jediną sztuką broni osobistej na pokładzie był do tej pory pistolet zamknięty w szafce dowódcy. Nawet nie chciało mu się wyobrazić sobie skutków, jakie miałyby strzelanie wewnątrz okrętu z szybkostrzelnej armaty wiszącej na piersi wartownika.

— Poza tym grodzie muszą być otwarte — tłumaczył Wiesmannowi delikatnie, takim tonem, jakim rozmawia się z wariatem. — Chodzi o przepływ powietrza. To jest okręt podwodny. Nie można otworzyć okien. W razie alarmu musi być dostęp do sekcji dziobowej. Do tego tam jest druga toaleta i umywalnia. Nie możecie jej tak po prostu zablokować.

— Zgoda, panie *Oberleutnant*. Drzwi będą otwarte, a wartownik będzie stał wewnątrz przedziału. Ale niech załoga nie wchodzi tam bez potrzeby. Proszę mi powiedzieć, *Herr* Reinhardt, to jest imię czy nazwisko?

— W moim przypadku nazwisko. Nazywam się Udo Reinhardt.

— Bardzo ciekawe... Skoro już o tym mówimy, pani Ewa skarżyła się na marynarzy.

Reinhardt uniósł brwi.

— Tak?

— Chodzi o atmosferę... Szczerze mówiąc, ja też spodziewałem się, że jest tutaj więcej żołnierskiej postawy. Więcej patriotyzmu. Tymczasem marynarze rozmawiają wyłącznie o jedzeniu i o... spółkowaniu. I te wulgarne żarty... Żołnierze aryjscy nie powinni się tak zachowywać. Nie widać w nich poczucia misji. No i ten brak higieny. Czy tak wyglądają Niemcy?

— Spodziewał się pan błędnych rycerzy, Wiesmann? Może psalmów? A może pelargonii w luku torpedowym i gipsowego krasnala na pomoście? — Reinhardt poczuł, że chce stąd wyjść. Chociażby na kiosk. A najlepiej wysiąść. — To po prostu marynarze. I to marynarze floty podwodnej. Od chwili wyjścia z portu wszyscy na nich polują. Może ich zabić najgłupsza awaria. Większość okrętów nie wraca już z pierwszego rejsu. A dla tego okrętu to jest pierwszy rejs i oni dobrze o tym wiedzą. W tej chwili w całej flocie jest może ze stu ludzi, którzy przeżyli na *U-Boatach* dłużej niż trzy lata.

— A jednak...

— A jednak — powtórzył Reinhardt z naciskiem — Wiesmann, to są młodzi chłopcy. Większość nie ma jeszcze osiemnastu lat. A pańska przyjaciółka wcale miło spędza czas tam w dziobie. Łatwo zauważyć, że jest śpiewaczką, bo słychać ją aż w maszynowni. Jak panu się zdaje, jaki to może mieć wpływ na morale czterdziestu młodych mężczyzn, którzy od tygodni nie widzieli kobiety?

Wiesmann zrobił się purpurowy na twarzy.

— Ja sobie wypraszam...!

— A wypraszaj pan sobie — warknął Reinhardt. — Ale nie zawracaj mi pan głowy bzdurami!

\* \* \*

Kolejnego dnia rejsu goście rozpanoszyli się po całym statku. Ewa Loewengang z własnej inicjatywy postanowiła poprawić morale załogi i umilała im czas, śpiewając wybrane arie z Wagnera przez radiowęzeł. Wiesmann i Vordinger siedzieli w centrali, co gorsza, w towarzystwie Starego.

To chyba nastąpiło właśnie wtedy.

Potem wielokrotnie Reinhardt usiłował sobie uświadomić, kiedy świat oszalał. Schwycić ten moment, kiedy rejs zamienił się w koszmar wariata. Gdy tamci weszli na pokład? Później?

Ale to chyba była ta chwila, kiedy zaczęli rzucać kości wróżebne na stole nakresowym w

centrali.

Zrazu myślał, że to jakaś gra. Coś w rodzaju mah–jonga. Rozsypali po mapach garść płaskich, rzecznych otoczków z wymalowanymi zygzakowatymi znaczkami. Otworzył już usta, by poprosić ich o przeniesienie się z tym do mesy, „to jednak jest pomost bojowy okrętu podwodnego, panowie”. Ale usłyszał nieprzytomne: „raidho... mannaz... jera... w domu Asgardhu...”.

— Skuld — odpowiedział na to Vordinger. — Kenaz... Perthro. Tak. Przyszłość jest jasna. Zamierzenia oczywiste. — Spojrzał na Reinhardta i wskazał palcem przypadkowy punkt na mapie. — Tu. Kiedy tu możemy być?

— Za godzinę, podejrzewam — powiedział Pierwszy.

— Niech pan każe tam wynurzyć.

Reinhardt spojrział przeciągle na kapitana.

— Słyszał pan, Reinhardt — warknął Stary.

— Proszę uprzejmie — powiedział Reinhardt. — Według rozkazu.

\* \* \*

W rzeczywistości znaleźli się w tym punkcie prawie dwie godziny później. Reinhardt kazał wystawić najpierw peryskop, wreszcie wynurzył kiosk i z ulgą wyszedł na pomost, rozpalając fajkę już na schodkach zejściówki.

Obaj dziwni pasażerowie również wyszli na pomost. Bez ceregieli, nie uprzedzając nikogo, zupełnie jak na balkon u cioci.

Ocean był całkiem spokojny i nad wodą nisko wisiała gęsta mgła, więc nie trzeba było obawiać się samolotów. Reinhardt, oparty o przedni falochron, całkowicie poświęcił się rozkoszom palenia fajki. Pasma i smugi mgły snuły się nad wodą, dziób rozcinał niewielkie fale. Nagle Reinhardt, zmarszczywszy brwi, uniósł lornetkę do oczu. Zesztywniał cały, a ściskana w zębach fajka lekko obwisła.

Wpływali na morze trupów.

Najpierw były to pojedyncze sylwetki kołyszące się w kamizelkach ratunkowych jak spławiki albo makabryczne boje. Ludzie bez rąk albo tylko bez palców, o twarzach czarnych od poparzeń i zakrzepłej krwi, czasem wydziobanych do gołej czaszki przez mewy. Kamizelki były staroświeckie, z kostek korka zaszytych w żółtym brezencie, takie jakie zdarzały się już tylko na transportowcach. Widać je było z obydwu burt jak okiem sięgnąć. Kołysały się na falach. Tuż pod wodą przy każdym nieboszczyku kłębiły się małe ławice ryb.

Reinhardt przygryzł fajkę i miał już nakazać zanurzenie, ale spojrzął tylko na obydwu jegomościów na pomoście, którzy uśmiechali się radośnie, i dał spokój. Vordinger wyjął z kieszeni płaszcz mały aparat fotograficzny i robił zdjęcia topielcom.

Skąd ich tyłu? — pomyślał rozpaczliwie oficer. Przecież Tomki przeszukują cały sektor, kiedy tylko stracą statek. Za każdym konwojem idą statki ratownicze. Mają samoloty poszukiwawcze. Skąd ci nieszczęśnicy się wzięli?

Zza kolejnej fali wynurzyło się coś, co wyglądało jak gigantyczna meduza. Pływający kilem do góry kawałek szalupy otoczony wianuszkami rozbitków. Na niej siedziało kilku, pozostali zanurzali się do pasa w wodzie i najwyraźniej żyli.

Gdybym mógł ich zabrać, pomyślał Reinhardt. Gdyby to była cywilizowana wojna, powinienem ich zabrać i odstawić na ląd. Tak to się powinno robić. To musiało się stać niedawno. To musiało być niedawno, bo jeszcze żyją pomimo wyziębienia.

Miał nadzieję, że jego weseli goście nie zobaczą żywych rozbitków, bo gotowi zażądać karabinów maszynowych.

Mylił się. Co dziwniejsze, Wiesmann zareagował okrzykiem: „Tam są!” — zupełnie jakby na kogoś czekał.

— Reinhardt! Proszę podpłynąć do tych ludzi. — Vordinger wyciągnął rękę, a potem zrobił rozbitkom zdjęcie. — Bierzemy ich na pokład.

— Niestety, nie możemy brać rozbitków. To wyraźne rozkazy *Kommando der Unterseeboote*.

— A ja panu mówię jeszcze raz, że nie podlega pan już Dönitzowi, tylko *Thulegesellschaft*. I ma pan tylko moje rozkazy. A ja mówię, wyłowić tych ludzi.

Reinhardt odpiął mikrofon interkomu, patrząc na tamtego w osłupieniu. Jego fajka zgasła.

Rozbitków było dziewięciu. Posadzono ich na azurowym przednim pokładzie, Reinhardt kazał wyciągnąć dla nich koce i gotować gorącą herbatę. Nie wiedział, jak się zachować. Kręcił się między rozbitkami, patrzył na zapadnięte twarze, włosy posklejane ropą, na usta popękane od soli i pokryte strupami. Wolał utrzymywać się w przekonaniu, że walczy ze statkami. Z wielkimi, sunącymi na horyzoncie lewiatanami o skórze z nitowanej blachy. Widok dygocących rozbitków był nie do zniesienia. Tak łatwo było podzielić ich los. Dryfować potem po oceanie i konać powoli dzień po dniu, wisząc w tych sparciałych korkach nad otchłanią. Nie umiał spojrzeć im w oczy.

— *What ship?* — zapytał wreszcie.

Bez odpowiedzi. Patrzyli na niego tylko wielkimi, sarnimi oczami.

— „*Millehaven Lady*”, *sir!* — odezwał się wreszcie któryś niechętnie.

— Przecież nie mogą leżeć na pokładzie — powiedział Reinhardt. — Musimy się zanurzyć.

— Popłyną w przedziale torpedowym, na samym dziobie — oznajmił Vordinger. — Ścieśnimy się trochę i kilka dni wytrzymamy.

Dlaczego kilka dni? — pomyślał Reinhardt. Co będzie za kilka dni?

Otwarto luk artyleryjski i dwóch bliźniaków w hełmach zagoniło rozbitków pod pokład.

— Jak daleko jeszcze do celu, panie Reinhardt? — zapytał Vordinger.

— Niedaleko — powiedział. — O ile chodzi panu o tamte współrzędne na północ od Islandii.

— A wie pan, kiedy będzie jesień równonoc?

— Równonoc? Za dwa dni.

— Więc niech pan doloży starań, żebyśmy zdążyli tam wcześniej.

\* \* \*

— Słyszał pan kiedykolwiek o czymś, co by się nazywało Towarzystwo Thule? — zapytał Reinhardt półgłosem, krojąc chleb. Cził pokręcił głową.

— Kojarzy mi się to z jakimś klubem gimnastycznym.

— Ja słyszałem — oznajmił drugi oficer. — Moja ciotka jest mianowicie okultystką. Kompletnie szurnięta. Kupowała sobie broszury. Zakon Germanów, Zakon Nowych Templariuszy, *Hammerbund* i takie tam gówna. Zdaje się, że było tam coś o tym Towarzystwie Thule. Taka aryjska mistyka. Wotan, mity germańskie i tak dalej. Wszędzie u niej w domu było pełno tego gówna. Ktoś mi mówił, że Gröfaz się tym specjalnie interesuje. — Zniżył głos do szeptu. — To ma być nowa religia Tysiącletniej Rzeszy. Ponoć poszczególne ofensywy planują magowie i wróżki...

— Cicho, cicho — mruknął Reinhardt. — Bo sobie pan napyta biedy. O tym to już wszyscy słyszeliśmy. Zresztą rzekłbym, że to widać z geniuszu strategicznego, jaki nam się tu prezentuje.

Głośnik zatrzeszczał i popłynęły z niego znane już do obrzydzenia dźwięki Wagnera.

— Jeżeli ta płyta polecą jeszcze raz, zacznę się modlić o bombę głębinową prosto w kiosk — oznajmił cził.

— Wszystko jest lepsze niż śpiew tej szlamy.

- Ale nie sądziłem, że zatęsknię do marszów puszcanych przez Starego.  
— Za dwa dni staniemy na środku Morza Północnego, na współrzędnych, które pokazali.  
Ciekawe, co dalej. Wsiądą?  
— Załadowali cztery gumowe łodzie. Może wsiądą.  
— I powiosłują na biegun?

\* \* \*

— Jesteśmy w miejscu, które pan wskazał — powiedział Reinhardt.  
— Doskonale. Kiedy jest równonoc?  
— Dzisiaj.  
— Świetnie, proszę wynurzyć i wyłączyć motory. — Vordinger sięgnął do swojego skórzanego woreczka i wyjął pięć kamieni, które ułożył na mapie. — Doskonale... Gdyby tylko mógł pan zdać sobie sprawę z wagi sytuacji. Za chwilę wygramy wojnę, panie Reinhardt. Pański okręt i my. Nie samoloty tego grubego błazna, nie Himmler, nie czołgi dywizji *Großdeutschland*. Nie żadna *Wunderwaffe*. Tylko my, z niewielkim pańskim udziałem. W tej chwili dzieje się historia.

Wyglądał na podekscytowanego, głos mu się łamał i trzęsły ręce. Poklepał oficera po ramieniu i wszedł do centrali. Przez radiowęzeł powiedział coś w zasadzie podobnego, ale jeszcze bardziej pompatycznie. Motorzyści, „lordowie”, marynarze z centrali i artylerzyści zastygli w swoich podartych podkoszulkach i niewiarygodnych swetrach, drapiąc się albo trzymając w dłoni zatłuszczone karty, i patrzyli tępo w kratki głośników. Przemowę zakończyło wezwanie załogi do trzykrotnego *Heil!*, a potem Ewa Loewengang zaczęła śpiewać.

Reinhardt miał taką minę, jakby rozboleł go ząb, i odczekał cierpliwie niemal do końca, zanim przełączył mikrofon. To było najbardziej osłupiałe *Heil!*, jakie w życiu słyszałem, stwierdził w myślach.

- Szasować — oznajmił sucho. — Do wynurzenia.  
— Niech nikt nie wychodzi na pomost — zażądał Wiesmann. — Tylko my, kapitan i pan.

Właz otworzył się z hukiem przywodzącym na myśl korek od szampana, przez okręt przebiegł podmuch i ciśnienia wyrównały się. Reinhardt wyszedł niespiesznie na pomost i zapalił fajkę. Morze zdążyło się trochę rozhuścić i wiał ostry wiatr. Mgła opadła, ale wciąż było szaro. Zrobiło się wyraźnie zimniej.

Stojący w dryfie okręt wpadł w dokuczliwy boczny przechył, a potem zaczął odwracać się do wiatru. Fale łomotały o kiosk i łamały się z hukiem na dolnym pokładzie.

Stary milczał, a Reinhardt również nie czuł się w obowiązku podtrzymywać rozmowę. Postawił tylko kołnierz kurtki i wcisnął głębiej czapkę, żeby wiatr jej nie zabrał.

Otworzył się właz załadunkowy i na dolny pokład wyszło najpierw dwóch bliźniaków w swoich lśniących nocnikach na głowie i w długich, skórzanym płaszczach. Za nimi wyprowadzono trzech rozbitków. Reinhardt chwycił kurczowo za falochron i patrzył szeroko otwartymi oczami, jak z włazu wychodzą Wiesmann i Vordinger, obaj owinięci kosmatymi futrami, w jakichś kretyńskich operetkowych strojach, hełmach z krętymi, imponującymi rogami. Za nimi wygramoliła się Ewa, ubrana równie idiotycznie, w futro spięte na ramionach i pancierz zaopatrzony w złote, błyszczące, ozdobione swastykami miseczki, które kryły imponujące piersi. Jej hełm wieńczyły rozłożone skrzydła, przez co wyglądała, jakby kaczką usiłowała usiąść jej na głowie. Potknęła się na rozkołysanym pokładzie i przytrzymała ociekającego wodą relingu. Za Ewą pojawiły się chromowane hełmy pozostałych bliźniaków, jak pokryte lśniącą pleśnią grzyby.

Reinhardt pyknął z fajki i zaśmiał się cichutko przez zęby. Spojrzał jednak na bosych, obdartych, trzęsących się na kracie pokładu marynarzy i przestało mu być do śmiechu.

Nie podobał mu się sposób, w jaki ich ustawiono — ślizgających się na pokładzie i czepiających siebie nawzajem. Ani ten, w jakim stanęły czworaczki. Zwłaszcza zaś nie podobał mu się jeden z nich, ten odwrócony tyłem do jeńców, który zerkał w górę na kiosk i przyglądającego się widowisku Reinhardta.

Megafon na kolumnie masztu antenowego zatrzeszczał i bluznął mu prosto w ucho dziką, pompatyczną muzyką. Ewa zaczęła śpiewać.

*Runy otrzymasz i czytelne znaki  
Bardzo wielkie runy  
Bardzo mocne runy  
Co Olbrzym Śpiewak zabarwiał, a bogowie  
stworzyli  
I boski run Głosiciel rytował  
Odin — Asom, Alfom — Dain,  
Dwalin — karłom,  
Alswidr — Olbrzymom, a ludzkiemu  
Pokoleniu  
Ja sam runy kreśliłem.*

Wiatr przybierał na sile, ale okręt obrócił się już dziobem do fal i teraz dostał się w łatwiejsze do zniesienia kołysanie wzdłużne.

Przebierańcy na dziobie z trudem utrzymywali równowagę, fale obmywały kadłub i syczały im pod nogami.

Vordinger krzyknął coś, na co dwaj bliźniacy chwycili jednego z jeńców pod ręce i zmusili do uklęknięcia. Vordinger wyjął nagle błyszczący miecz z jelcem zawiniętym w spiralę i poderznął mu gardło.

Wiatr gwizdał na sztagu i spychaczu sieci, głośnik ryczał, Ewa śpiewała, a człowiek szarpiący się w ramionach bliźniaków wykrwawiał się na pokład i korpus głównego zbiornika balastowego wyraźną, ciemną strugą spienionej krwi. Reinhardt widział jego białe stopy dygocące w drgawkach i pulsujący strumień uderzający o blachę jak z ogrodowego węża.

*Dziewiątą znam: gdy muszę ratować  
Mą łódź pędzoną po morzu,  
Wicher uspokoję na fali I uśpię całą wodę.*

Reinhardt stał jak skamieniały, blady jak płótno, i trzymał się kurczowo falochronu. Żołnierz przed nim bez słowa odciągnął suwadło automatu i lekko uniósł lufę.

Z tyłu jego „bracia” zepchnęli z pokładu pierwszą ofiarę i powalili drugiego rozbitka. Nie wierząc własnym oczom, Reinhardt patrzył, jak marynarz pogrąża się w spienionej, szmaragdowej wodzie, a wokół niego rozlewa się ciemna plama wyglądająca jak dym.

— *Bastard! Fucken nazi bastard!* — wrzasnął trzeci marynarz, ale jeden z bliźniaków wykonał szybki ruch i uderzył go lufą empi w twarz, po czym przydepnął leżącemu plecy.

*Jedenastą znam: gdy mam na bój druhów wieść,  
Śpiewam w tarczę, a oni siłą naprzód pędzą,  
Zdrowi do boju  
I zdrowi z boju,*

*Żadna ich szkoda nie spotka.*

Reinhardt trwał nieruchomo, aż rzeźnia dobiegła końca. Ewa kilka razy straciła równowagę i zwymiotowała przez reling. Vordinger zebrał część krwi do miski, po czym przytrzymywany za pas przez jednego z czworaczków podszedł do kiosku i zaczął malować na nim takie same zygzakowate znaki, jakie miał na swoich kamieniach. Reinhardt odwrócił się i odprowadził wzrokiem trzeciego marynarza, który tonął w pozycji siedzącej, i kątem oka zobaczył błysk metalu. Ritter z nieprzeniknioną, kamienną twarzą belfra chował do kabury swój pistolet. Pistolet z szafki kapitańskiej.

— Teraz proszę płynąć! — krzyknął Vordinger, zadzierając głowę w kierunku pomostu. — Nie zanurzać okrętu i płynąć dokładnie na północ.

— Poradzi pan sobie z tym, Reinhardt? — wycedził kapitan.

— *Jawohl* — odparł Reinhardt nieswoim głosem. Bardzo chętnie płynął teraz na powierzchni. Szczerze mówiąc, niczego sobie tak nie życzył jak samolotu RAF'u albo niszczyciela.

\* \* \*

— Czifie — powiedział półgłosem Reinhardt. — Niech pan znajdzie wśród swoich skarbów spirytus do konserwacji torped i wleje mi na trzy palce do pustej butelki. Potem proszę dopełnić to sokiem cytrynowym z łyżką miodu i podesłać mi na pomost. Ale niech zwłaszcza doktor nie widzi, co pan robi.

— Co tam się stało?

— Nie chce pan wiedzieć. Egzekucja. Ale szczegóły sobie darujemy. Ten okręt jest we władzy szaleńców.

— Jak cały świat, *Herr Oberleutnant*. Jeszcze pan się nie zorientował?

Wyszedł na pomost, nakazawszy trzymać kurs na północ, i został tam oparty przedramionami o falochron, pykając z fajki i pociągając ze swojej butelki. Tylko morze było uczciwe. Okrutne, ale szczerze i uczciwe, takie jak zawsze. Reinhardt patrzył na fale i od czasu do czasu przepatrywał horyzont. A potem opuszczał lornetkę na pierś i pociągał łyk.

— No dalej, *boys* — mruknął. — Akurat jak jesteście potrzebni, nigdy was nie ma. Dalej. Jestem tu. Jak na patelni. Możecie załatwić oceaniczny XXI. Wilka Atlantyku.

Ale horyzont był pusty. Ani nisko lecącego hudsona, ani przysadzistego halifaksa, ani prującego fale rekiniego dzioba niszczyciela. Nic.

Pomyślał, że skoro ma pełne zbiorniki ropy, mógłby właściwie uciec. Uciec od tego kretyńskiego świata, od nawiedzonych dyktatorów, aroganckich premierów, zdurniałych generałów i ich parszywej wojny. Zostać zwyczajnym piratem. Wywiesić Jolly Rogera na maszcie antenowym i płynąć gdzie mu się podoba. Na Karaiby albo na Kubę. Miał sześć torped i mnóstwo amunicji. Mógłby łatwo sterroryzować niewielki port i zażądać paliwa albo żywności. Mógłby zresztą rabować frachtowce zamiast je bezmyślnie zatapiać. Miał okręt o największej dzielności morskiej, jaki kiedykolwiek skonstruowano. W zanurzeniu mógł drwić sobie z najcięższych sztormów i płynąć choćby na koniec świata. Kto by go zatrzymał?

— Niemiecki Nemo się znalazł — mruknął pod nosem, ale pomysł mu się podobał. Właściwie, dlaczego nie? Co miał do stracenia? Trzeba by tylko utopić Starego i tę bandę popaprańców, która panoszyła się na jego okręcie, i — hulaj dusza! Wydało mu się, że to dużo rozsądniejsze niż dać się zatopić w kretyńskiej, przegranej wojnie.

Kiedyś, na początku, wydawało mu się, że wie, o co walczy. Mieli odzyskać utraconą godność, odebrać siłą to, co im się należało, a przy okazji podpalić stęchły świat i zbudować na zgliszczach

coś lepszego i sensowniejszego. W oparciu o logiczną, niemiecką cywilizację. O Schillera, Junga, Plancka, Heideggera. Jednak od dawna nic mu z tego przekonania nie zostało. Doskonale rozumiał, że to były jakieś romantyczne bzdury.

Owszem, udało się spalić i zniszczyć, i to bardzo wiele, ale niczego nie budowano. A jeśli już, to na pewno nic lepszego od tego, co zostało zniszczone, za to spotworniałe i bezsensowne jak rak. Teraz, jak wszyscy, był jedynie wykonawcą rozkazów oszalałej maszyny, której nikt nie umiał zatrzymać. Czuł się już tylko zbrukany i wykorzystany.

Pomost drżał od wibracji, dziób ciął fale i okręt płynął na północ. Reinhardt patrzył na wodę i niebo i starał się o niczym nie myśleć.

Najpierw sądził, że odbłask, który widzi na kursie, to płonący tankowiec. Potem, kiedy zaczął się zbliżać, uznał, że zorza polarna. Jednak tęczowe lśnienia zamiast pozostać na horyzoncie przybliżyły się i rozlały po obu burtach. Reinhardt zgłupiał. Niebo i woda mieniły się różnokolorowymi błyskami, które rzucały plamy wielobarwnego światła na pomost, kadłub okrętu i na bładą, osłupiałą twarz Pierwszego. Wszystko to przelewało się wokół niego barwami od królewskiej purpury i fioletu po ciepłą czerwień. Podniósł twarz i patrzył w osłupieniu. Nie miał pojęcia, co to było, ale było piękne.

Dopłynąłem do krańca tęczy? — pomyślał z zachwytem. Dogoniłem zorzę polarną? Kraniec horyzontu?

Właz uchylił się i ukazała się twarz Wiesmanna.

— Proszę meldować, kiedy zobaczy pan coś dziwnego.

— Właśnie teraz widzę — warknął Reinhardt. Właz odskoczył.

— Co?! Dlaczego pan nic... To niesamowite! To Bifrost! — Schował się na chwilę i słysząc było, jak wrzeszczy do centrali: „Dopłynęliśmy! Płyniemy Tęczowym Mostem! Udało się! To już Bifrost! Cudownie!”.

— Proszę trzymać kurs! — krzyczał ktoś na sternika. — Proszę nie zboczyć nawet o milimetr!

Na pomoście zrobiło się ciasno. Obaj okultyści tańczyli i klepali się po plecach, załoga pokładowa w osłupieniu gapiała się w utkane z różnobarwnego światła draperie wijące się wokół okrętu, tylko Reinhardt czuł się tak, jakby coś mu ukradziono.

Zjawisko, które Wiesmann nazwał „tęczowym mostem”, przypominało raczej tunel i utrzymywało się jeszcze przez pół godziny.

Potem zostało jakoś z tyłu i rozwiało się. Okręt płynął przez noc. Reinhardt zmarł w końcu na kość i uświadomił sobie, że nie może zamieszkać na stałe na pomoście. Wyzaczył wachty i zszedł na dół.

Podano świąteczną kolację. Stół nakryty obrusem, pekelflajsz z puszką w kapuście, świeży chleb i pikle. Kapitan świętował na szczęście razem z gośćmi w przedziale dziobowym. Reinhardt jadł, patrząc w talerz, i walczył z wszechogarniającą chęcią upicia się. Ale tak porządnie. Bez żadnej taryfy ulgowej.

— Okazja na namiar według gwiazd! — krzyknął ktoś z pomostu.

— Zjedz pan najpierw spokojnie — polecił Reinhardt, widząc, że drugi oficer już na stojąco zgarnia ostatni kawałek mięsa z talerza i napycha usta kapustą. — O co ten gwałt?

Sam postanowił zaszyć się w swojej kajucie i spokojnie osuszyć piersiówkę martella, którą podarowali mu w czasie kolacji na „Oxfolcie”. Drugi oficer z sekstanssem pod pachą wgramolił się po drabince do centrali i zniknął, przez cały czas żując.

— Nie wie pan, co teraz? — zapytał czif.

— Nie wiem. Dopłynęliśmy gdzie chcieli, widzieliśmy dziwną zorzę, a teraz kazali trzymać kurs na północ. To znaczy, że za parę dni dopłyniemy do granicy pływającego lodu. Dalej i tak się nie da. Możemy wtedy odśpiewać *Deutschland, Deutschland über alles* i wracać do domu.

— Pan pierwszy oficer proszony na pomost! Reinhardt westchnął i zgarnął swoją ciężką kurtkę ze skrzyni z mapami.

— O co chodzi?

— Lepiej niech pan sam zobaczy!

— Panie Wichtelmann, to nie są imieniny u ciotki, tylko okręt podwodny! Czy muszę pana uczyć, co musi zawierać meldunek? Co to za zgadywanki?

— Tak jest, *Herr Oberleutnant*. Melduję posłusznie, że pomiar nawigacyjny jest niemożliwy z powodu braku znanych gwiazdozbiorów!

— Pan jest pijany, panie drugi, czy stroi sobie żarty?

— Chciałbym, *Herr Oberleutnant*!

Reinhardt wyszedł na pomost i zamarł z zadartą do góry głową. Wszyscy stojący tam marynarze milczeli i również patrzyli w niebo.

Gwiazdy były wielkie, kolorowe i w zupełnie innych miejscach. Niektóre wyraźnie przesuwają się płynnym ruchem, zakreślając jakieś niemożliwe, kręte linie.

Patrzyli tak długo i długo milczeli.

— Proszę zapisać w dzienniku, panie drugi — odezwał się Reinhardt. — Pomiar gwiazd niemożliwy z powodu braku widoczności. Nie widzieliśmy tego, panowie. Nie wiem, co to jest, ale nie widzieliśmy tego.

— Ale... To jest... niebo, panie pierwszy — wyjąkał któryś z rozpaczą. — Co za szajs!

— Też nic nie rozumiem. To jakieś złudzenie optyczne i tyle. Coś jak fatamorgana. Proszę trzymać wachtę. Nie zwracajcie na to uwagi. Zmianie powiedzcie od razu, że to złudzenie charakterystyczne dla okolic polarnych. Proszę odznaczyć pozycję ze zliczenia.

\* \* \*

Łąd pojawił się następnego dnia po śniadaniu, akurat kiedy Reinhardt stał pod prysznicem i szorował się mydłem do morskiej wody. Oczywiście nie miało prawa być tu żadnego łądu. Poprzednia pozycja, którą osiągnęli wczoraj, miała normalny namiar. Był to punkt pośrodku niczego, po czym płynęli dokładnie na północ.

— Co jest, *Donnerwetter*!! — warczał, szamocąc się ze spodniami. — Grenlandia czy co?! Panie Wichtelmann, co to za nawigacja?! Skąd tu łąd?! Gdzie my jesteśmy?

— Nie wiem, panie pierwszy. Nic nie rozumiem.

Kiedy wyszedł na pomost, byli już z kilometr od brzegu. Łąd był bury, skalisty, ale wcale niepokryty śniegiem ani lodem. Rosła tam trawa i drzewa, w oddali widać było wzgórze i ciągnące się jak okiem sięgnąć wysokie mury przypominające wypolerowany metal. A gdzieś w oddali wznosiło się gigantyczne drzewo. Było tak monstrualne, że Reinhardt uznał je za kolejne złudzenie optyczne albo formację chmur. Tytaniczny pień przykryty niebieskawą mgiełką wbijał się w niebo, a korona nikła w chmurach. Wyglądało jak odległy szczyt górski.

— Nadal pan nie wie, co to jest, panie Reinhardt? — zapytał Wiesmann, szczerząc krokodyle zęby. — A może pan sprawdzi na swoich mapach?

— To może pan mi powie?

— Chętnie. Bo teraz nie będzie pan mógł drwić. To Asaheim. Kraina Asów. Germańskich bogów. Ta olbrzymia, lśniąca budowla, którą pan tam widzi, to Walhalla. Dwór Wotana, w którym zmarli wojownicy szykują się do ostatecznej bitwy. Do ostatecznej bitwy, panie Reinhardt. A my poprowadzimy ich na tę bitwę. To jak, wierzy pan już? Czy zobaczyć to jeszcze za mało?

Reinhardt milczał, stojąc z rącznikiem w rękę i patrząc na łąd przed dziobem.

Na przednim pokładzie krzątali się marynarze nadmuchujący przewodem podłączonym do

okrętowej sprężarki pokaźne, czarne łodzie pneumatyczne. Dwie z nich były już gotowe i leżały na pokładzie jak stłoczone na plaży foki.

— Po co to panu?

— Schodzimy na ląd, a jak pan sądzi? Porozumieć się z Wotanem i przekazać mu zaproszenie od Największego Wodza Wszech Czasów. Zaproszenie do ostatecznej bitwy. Na tym polega nasza misja. Sprowadzimy największego germańskiego boga i jego wojowników. Jak pan sądzi, jaki to będzie miało wpływ na przebieg wojny? Czy tamci zdołają ściągnąć swojego wiszącego na krzyżu Żydka, żeby im pomógł? Bóg jest z nami, Reinhardt. I to nie byle jaki bóg. Sigfödr — Ojciec Zwycięstw, Wotan — Szalony, Ojciec Poległych. Nie jakiś rabin od nadstawiania drugiego policzka.

Reinhardt zapalił fajkę i patrzył zupełnie spokojnie. Otaczający go obłęd osiągnął rozmiary, wobec których każda reakcja była już bez sensu. Pozostawał tylko stoicyzm.

— Kuk, proszę o kawę i kanapki na pomost!

Okazało się, że na ląd schodzą obaj mistycy w swoich absurdalnych strojach operetkowych rycerzy, Ewa przebrana za walkirię, czworaczki, wszyscy rozbitkowie i kapitan. W specjalnie na tę okazję wypastowanym płaszczu i butach, z białym szalikiem i wyszorowanym Krzyżem Rycerskim na szyi. A do tego jeszcze czterech wybranych marynarzy do pomocy.

— Schodzę na ląd — oznajmił. — Przejmie pan na ten czas dowodzenie, Reinhardt. Proszę kazać podejść jak najbliżej do brzegu.

— Sternik, podejście do brzegu, na echosondzie — zawołał Reinhardt.

Wpłynęli do niewielkiej zatoczki i stanęli jakieś pięćdziesiąt metrów od kamienistej plaży. Dalej nie dało się już dopłynąć, bo dno usiane było skałami. Reinhardt kazał rzucić dziobową kotwicę.

— Ojej... To jeszcze się używa czegoś takiego? Słyszałam, że kotwice to były na takich starych statkach — zawołała Ewa. Reinhardt spojrział na nią spod daszka i napił się kawy z kubka.

Łodzie napompowano i pierwszą z nich zaopatrzone w dostawny zaburtowy silnik. Kawalkada połączonych pontonów odbyła całą podróż tam i z powrotem trzykrotnie, wożąc ludzi, w tym związanych długą cumą rozbitków, skrzynie i worki.

— Niech pan mówi, co tam się dzieje, panie pierwszy — poprosił Fanghorst.

— Kazali rozbitkom siedzieć na plaży. Teraz wypakowują worki. — Reinhardt ugryzł kanapkę i ponownie uniósł lornetkę do oczu. Na brzegu Wiesmann wskazał uschnięte drzewo stojące opodal i ustawiono wokół niego krąg masztów ze zwieszającymi się w dół czerwonymi proporcami opatrzonymi czarnymi znakami: swastyką i kanciastymi runami. Pomiędzy flagami marynarze wetknęli w ziemię metalowe pochodnie. Widać było, jak mat Zemke obchodzi je, przypalając zapalniczką końcówki podobne do suchego spirytusu.

— Będzie chyba marsz z pochodniami — komentował Reinhardt. — Do kupy w czternaście osób niezbyt imponujący, ale zawsze. Nie wiem tylko, czy będą maszerować po wyspie, czy wokół tego drzewa.

— A mają tam bębny?

— Nie widać.

— Ale! To jak: bez bębnów?

— Za to mają portret Gröfaza. Ustawiają go na jakichś sztalugach.

Śpiew Ewy Loewengang docierał jednak na okręt mimo wiatru i odległości. Wykonywała arie z zaangażowaniem, robiąc egzaltowane miny. Wiatr szarpał proporcami, a pochodnie kopciły czarnym dymem.

Rozbitkowie siedzieli rzędem twarzami do morza, pilnowani przez jednego z bliźniaków z pistoletem maszynowym przewieszonym przez pierś.

Po kilku minutach dwóch bliźniaków zeszło na plażę, zabrało jednego z jeńców i trzymając pod rękę, powlokło w stronę drzewa.

— *Himmelherrgott* — wyjąkał po chwili Reinhardt. — Wieszają ich. Wieszają rozbitków.

— Odyna nazywali „Ojcem Powieszonych”, panie *Oberleutnant*. Oni składają ich w ofierze — powiedział ktoś martwym głosem.

— Skąd to wiecie?

— Ja jestem w połowie Duńczyk, *Herr Oberleutnant*. Słyszałem bajdy o starych bogach od babci. Jestem *Obermatrose* Frenssen.

Na pokręconych i uschłych konarach drzewa szarpało się i dygotało w drgawkach sześciu niedoszłych topielców, a obaj mistycy obeszlili drzewo, przebijając każdego skazańca włócznią z kutym, wąskim grotem.

Reinhardt opuścił lornetkę i pokręcił głową.

— To jest obłąd. Normalny obłąd. *Scheiße!* Widziałem! Zamordowali tych ludzi!

Odpiął mikrofon od kolumny radionamiernika.

— Uwaga, załoga! Obsadzić działa pokładowe!

— Co pan robi?

— Nie podoba mi się ta okolica — wycedził Reinhardt.

Tupot butów artylerzystów i ich sprawne, celowe ruchy, kiedy ustawiali pelotki i zakładali bębny amunicyjne, wydawały mu się jakoś kojące. Miał ogromną ochotę otworzyć ogień w grupkę na brzegu, ale nie był pewien, czy ludzie go posłuchają. Działa wyjechały ze swoich komór, patrzył, jak opuszczają się podwójnie sprzężone lufy działek w wieżyczkach. W jarzmie w tylnej części pomostu ustawiono już cekaemy.

— Mimo wszystko, niech pan się zastanowi — mruknął drugi oficer.

— Stoimy przy nieznanym wyspie, na terenie kontrolowanym przez lotnictwo nieprzyjaciela. Nad czym tu się zastanawiać?

Nie zauważył, kto wrzasnął. Co najmniej kilku ludzi równocześnie, i był to krzyk autentycznego, nagłego przerażenia.

— Co się dzieje! — huknął Reinhardt. — Bez hysterii mi tutaj!

— Tam... na brzegu...

Na brzegu pojawił się jeździec. Brodaty, z włócznią w ręku. I mimo że siedział w siodle, nie mogli nie zauważyć, że miał przynajmniej ze cztery metry wysokości. Ale nie chodziło tylko o wzrost. Koń, na którym siedział wojownik, miał pod brzuchem istną płataninę nóg. Na ramieniu olbrzyma siedział kruk wielkości kondora, a nad jego głową unosił się drugi taki sam.

Reinhardt ugryzł kanapkę.

— Pytam namiar radiolokacyjny — krzyknął do centrali. — Obiekt na brzegu, kierunek trzysta czterdzieści!

— Potwierdzam, nieruchomy obiekt na brzegu — usłyszał w odpowiedzi.

— Przynajmniej coś rzeczywiście tam jest. Frenssen skulił się z jakimś dziwnym skowytym i zjechał po ścianie falochronu, po czym zwinął się w kłębek na pokładzie.

— Co to znaczy! W tej chwili weźcie się w garść, marynarzu! — wrzasnął Reinhardt.

Drugi chwycił Frenssena za ramię i szarpnięciem postawił na nogi. Ten usiłował stać, ale kolana ugięły się pod nim i przebiegały go fale drgawek. Reinhardt patrzył na niego z obrzydzeniem.

— Tto jest Odyn... — wybełkotał marynarz. — Na ośmionogim koniu... S... Sleipnirze...

— Klawo — wycedził Reinhardt. — Uspokój się, człowieku, albo staniesz do raportu!

Wychylił się przez falochron do obsady działek.

— Załoga do strzału!

— Gotów!

— Chce pan strzelać do boga? — zapytał niepewnie Wichtelmann.

— Czy ten dziadek z dzidą jeżdżący wierzchem na stonodze kojarzy się panu z jakimś bogiem? Poza tym na razie do niczego nie strzelam.

Olbrzym zeskoczył z konia i podszedł kilka kroków w kierunku drzewa. Zmarszczył brwi, patrząc na wisielców, na płonące pochodnie i łopocące flagi. Całe towarzystwo — obaj mistycy, śpiewaczka, bliźniacy, a nawet kapitan — padło na kolana i biło mu pokłony, unosząc ramiona. Wyglądało to groteskowo nawet z daleka i przez lornetkę.

W końcu Wiesmann wstał i ostrożnie podszedł do starca wspartego na swojej włóczni, tłumacząc coś i gestykułując. Była to niewątpliwie płomienna przemowa, pełna okrzyków i dramatycznych gestów.

Odyn wycedził coś z nieszczególnie przyjaznym wyrazem twarzy. A potem wydał z siebie wściekły ryk. Nie jakiś nieartykułowany wrzask, było to zdanie, ale wykrzyczane przez niewątpliwie rozwścieczonego osobnika. Jego głos był przerażający — przeniknął wibracjami okręt, pokrył zmarszczkami fal wodę w zatoce. Wszyscy chwycili się za uszy i skulili na pokładzie lub za falochronem. Ludzie na plaży zwalili się na plecy jak odrzuceni podmuchem eksplozji. Starzec wyciągnął włócznię, wskazując niebo, potem uderzył nią w ziemię. Ziemia pokryła się pęknięciami, w stronę okrętu popłynęło kilka sporych fal.

— Frenssen, tłumaczyć — krzyknął Reinhardt. — Rozumiecie coś z tego, co on gada?

— Ogłuszył mnie — jęknął marynarz.

— Na dół, do stanowiska akustyka. Ścisz na słuchawkach, może coś zrozumiesz przez wodę. Zawsze trochę tłumi.

— On dziwnie mówi, to niezupełnie po duńsku, rozumiem tylko pojedyncze słowa — meldował Frenssen z centrali. — Coś... że idź do szronowych... czy lodowych olbrzymów... Coś o tchórzostwie i wojowaniu z babami i dziećmi... Wieczny mrok czy lód, nie rozumiem, szaleństwo... Czas szaleństwa i zamieć... wilki... nie. Tego nie rozumiem.

Leżący mistyk przekręcił się i na czworakach podczołgał do Odyna, rogaty hełm spadł mu z głowy i potoczył się po piasku. Olbrzymi starzec przykucnął, wysunął przed siebie dłoń i położył Wiesmannowi na głowie takim gestem, jakim dorosły mężczyzna mógłby chcieć zmierzić włosy dwuletniego dziecka. A potem zacisnął mu palce na czaszce i mimochodem skrzył kark.

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Towarzystwo na brzegu wpadło w panikę. Odyn uniósł włócznię i w ułamku sekundy jednym ciosem przybił do pnia dwóch bliźniaków. Natychmiast wyjął miecz długości sporego dyszla i zamachnąwszy się, przeciął w pół kolejnego razem z jego skórzanym płaszczem i razem z kołyszącym się na gałęzi wisielcem. Po czym wpadł pomiędzy biegających panicznie i przewracających się o proporce ludzi. Odrąbana głowa Vordingera przeleciała nad okrętem i plusnęła w wodę zatoki. Marynarze na pomoście w osłupieniu odprowadzili ją wzrokiem.

— Dla ciebie kozi mocz, a nie miód Walhalli — tłumaczył z dołu Frenssen monotonnym głosem. — Runę „Thurs” ci rytuję czy rysuję... i trzy... znaki... ogień... śmierć i rzeka ostrzy... Coś o węzłach... Tego nie rozumiem.

— Oerlikon, do strzału na wprost — wyrąbał Reinhardt. — Krótkimi seriami, cel na optycznej, szykuj się.

— Nie ryzykowałbym — zasugerował Wichtelmann.

— Tam są nasi marynarze — odpowiedział Reinhardt i uniósł rękę, otwierając usta do komendy.

Olbrzym też wyciągnął rękę. Włócznia wyskoczyła z pnia i wróciła mu do dłoni, uwalniając oba ciała, które runęły na ziemię. Obrócił ją ostrzem w dół i narysował coś na piasku, i w tym momencie cały brzeg stanął w ogniu. Ogarnął go huczący, pomarańczowy płomień, jaki Reinhardt

widował dotąd tylko na pokładach trafionych zbiornikowców. Znowu przykucnęli za falochronem, chroniąc twarze przed uderzeniem gorąca. Na brzegu rozległ się przeraźliwy, chóralny wrzask płonących ludzi.

Trwało to kilka sekund, a kiedy wyjrzeni zza osłony, brzeg był pusty. Nadal rosła tam trawa, nadal łopotały proporce, a jedynym śladem pożaru były niewielkie sterty jasnego popiołu wysypujące się z leżących na ziemi, nietkniętych ubrań. Odyn zniknął.

Milczeli w osłupieniu, stojąc na pomoście, ale nic się więcej nie wydarzyło. Tylko wiatr kołysał pustymi pętlami zwisającymi z konarów.

— Panie Wichtelmann — głos Reinhardta przerwał grobową ciszę. — Proszę zapisać w dzienniku pod dzisiejszą datą: „Godzina ósma rano, przybicie do nieoznaczonej na mapie wyspy w rejonie Islandii”, tu poda pan współrzędne ze zliczenia, „pasażerowie specjalni wraz z kapitanem Ritterem schodzą na ląd w celu przeprowadzenia swojej misji. Dowodzenie okrętem przejmuje Udo Reinhardt, pierwszy oficer. Godzina ósma trzydzieści pięć, atak lotniczy na brzegu, odpowiedź ogniem artylerii pokładowej, wszyscy uczestnicy desantu zabici w wyniku eksplozji bomby fosforowej, na okręcie bez strat. Jako najwyższy stopniem na zasadzie prawa wojennego przejmuję tymczasowe dowodzenie. Zarządzam powrót okrętu w rejon bazowania. Udo Reinhardt. — ULF”. Sporządzi pan szyfrogram o tej samej treści, tylko doda pan, że czekam na rozkazy, i nada go pan do dowództwa. Co pan tak patrzy? Nie nauczyli pana, że w komunikatach dla dowództwa floty należy unikać wspominania o syrenach i krasnoludkach? Wolałby pan: pasażerowie wraz z kapitanem schodzą na ląd w celu dokonania krwawej ofiary i wzbudzają gniew germańskiego boga, przypuszczalnie nazwiskiem Wotan lub Odyn, po czym giną porażeni jego ognistym oddechem?

— Nadam ten radiogram — powiedział Wichtelmann, schodząc do centrali.

— Proszę nakazać przygotowanie tratwy ratunkowej, jeżeli jakaś została, i dać mi jednego marynarza. Schodzę na ląd.

— Ale, panie pierwszy...

— Może ktoś przeżył. Panie Wichtelmann, przejmuje pan dowodzenie. Proszę nas osłaniać.

Wrócili dziesięć minut później w dwa pontony, przywożąc trzy ocalałe empi i ładownice z magazynkami, Reinhardt odnalazł jeszcze pas z kapitańskim pistoletem. Zabrali też dwie nie otwarte jeszcze skrzynie.

— Jak pan sądzi, co tam jest? — zapytał Drugi.

— Nie wiem, ale są zabezpieczone. Coś mi mówi, że lepiej zabrać to z powrotem. Pod pokład z tym. Do komory torpedowej. Z łodzi spuścić powietrze. Rwać kotwicę i cała wstecz. Wynosimy się stąd.

\* \* \*

— *Herr Kaleu...* To od załogi. My... znaczy, w naszym imieniu, chcielibyśmy... — Bosman trzymał w ręku starą czapkę Reinhardta, która zapadła mu się natychmiast po odbiciu od wyspy. Teraz patrzył znad stołu nakresowego, unosząc brwi. Czapka została oczyszczona, pozrywane i rozplecione hafty naprawiono złotym bajorkiem, a denko obszyto nowym, białym pokrowcem. Czapka dowódcy okrętu.

— Bosmanie... — powiedział powoli Reinhardt. — To bardzo miły gest. Doceniam... Ale nie dostałem nominacji. To tylko tymczasowe dowództwo. Czapkę przyjmę, bo w końcu jest moja, ale kategorycznie proszę nie tytułować mnie *Kaleu*. Widzi pan na moim rękawie trzeci pasek *Kapitänleutnanta*? Nie? To proszę się trzymać regulaminu. Mimo wszystko nie jesteśmy okrętem pirackim.

Wrócił do mapy.

- Sternik, jak długo płynęliśmy kursem na północ?
- Dwadzieścia osiem godzin, z marszową prędkością dwanaście węzłów.
- Proszę przyspieszyć i trzymać kurs dziewięćdziesiąt.
- Jest, kurs dziewięćdziesiąt.

Reinhardt wyszedł z centrali i zszedł na dół. Wahał się przez chwilę, ale w końcu pchnął drzwi kapitańskiej kajuty i wszedł. Wciśnięta pod ścianę koja, kilka półek, na ścianie mosiężny wieszak z mundurem wyjściowym, obok ubranie sztormowe. Niemal nieużywane. Usiadł za biurkiem i odpiął pas z kaburą. Pistolet kapitański wyglądał dziwnie obco, jakoś zagranicznie. Trochę przypominał FN-kę, a trochę amerykańskiego automatycznego colta, ale nabito na nim cechy niemieckie. P-35(p)\*. Nie słyszał o takiej broni. Wpisane w trójkąt litery FB na okładzinach rękojeści też nic mu nie mówiły. Spodziewał się raczej walthera. Wysunął magazynek, po czym przeładował dwukrotnie dla bezpieczeństwa i wrzucił pistolet do szuflady razem z kaburą. Papiery na biurku kapitana leżały starannie posortowane i pospinane, niektóre włożono do specjalnych przegródek. „Na wojnie najważniejsza jest sprawozdawczość, Reinhardt”.

Przy przymocowanym stalową taśmą kubku na ołówki i pióra stał maleńki szklany pingwinek. Pingwinek zaniepokoił Reinhardta. Nie pasował do lodowatego belfra. Co to było? Pamiątka? Amulet? Nie chciał wiedzieć.

Przypomniał sobie o makatce i zajrzał do koi.

Zacisnął szczęki i wziął kilka głębokich oddechów, po czym kciukiem i palcem wskazującym usunął przypadkową wilgoć z kącików oczu.

Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem ostrożnie wydlubał pinezki, złożył makatkę na czworo i pieczołowicie włożył do walizki z kapitańskimi rzeczami osobistymi. Razem z dziecięcym rysunkiem przedstawiającym żaglowiec, z podpisem „Tatuś wraca do Helgi”. Razem ze zdjęciami Rittersa trzymającego na kolanach dwie sześciolateczki, Rittersa w krótkich spodenkach bawiącego się z dużym wilczurem oraz kędzierzawej, ciemnowłosej kobiety jadącej na rowerze przez łąkę, siedzącej na oplecionej różami werandzie albo stojącej na plaży z ogromną piłką w rękach. Nawet niebrzydka. Pospolita, ale zgrabna. I wyraźnie młodsza od Starego. Pomiedzy materacem a ścianą koi znalazł jeszcze jeden cienki plik zdjęć przedstawiających tę samą kobietę, ale zupełnie innych. Stała naga z jedną nogą opartą o taboret i bezwstydnie rozchyłała swoje wdzięki prosto do obiektywu albo leżała na łące, albo...

Wrzucił je wszystkie do kuferka i zatrzasnął zamki. A potem siedział przy biurku z kamienną twarzą.

— Przestań udawać człowieka, przeklęty skurwielu — wycedził z goryczą. — To tutaj, to była twoja prawdziwa twarz. Nie odbierzesz mi mojego osądu, skurwysynu. Ani nie odbierzesz mi już mojego okrętu.

Potem posiedział jeszcze przy biurku, patrząc przed siebie, i w końcu powiedział z uczuciem: „gównno”.

Otworzył drzwiczki i wyszedł do mesy.

\* \* \*

— Lotnik! Nadchodzi! Kierunek osiemdziesiąt! — wrzeszczano na pomoście.

---

\* P-35(p) — „FB” na rękojeści to skrót od Fabryka Broni w Radomiu. Przed wojną i w jej trakcie produkowano tam doskonale pistolety wojskowe VIS. P-35(p) to niemieckie oznaczenie tej broni używanej przez Wehrmacht i inne formacje hitlerowskie, [przyp. red.]

— Ale, panie *Oberleutnant*, to nie jest samolot!

Ogromna kobieta galopowała na dzikim, prychającym pianą rumaku, naga, tylko w kolczudze i z rozwianymi rudymi włosami pod miskowatym hełmem. Znajdowała się na wysokości dwustu metrów i przecinała ich kurs przed dziobem.

— *Scheiße!* — warknął Reinhardt i zsunął czapkę na tył głowy. — Jak mnie to wkurza! Flak<sup>\*</sup>, alarm przeciwlotniczy, szykować się do salwy według rozkazu! Na razie czekać!

Szczęknęły zamki, obie lufy dwudziestek uniosły się i zaczęły się obracać.

— Ja pierdziele...! — wyrwało się komuś na pomoście.

— Spokój — wycedził Reinhardt. — Czekać!

Ktoś przełknął ślinę. Działko obracało się, kanonier siedział z nogą uniesioną nad pedałem spustu, czekając na rozkaz. Druciany krążek kolimatora sunął przez niebo, prowadząc sylwetkę galopującej wojowniczkii.

Minęła ich, po czym wydała z siebie przeraźliwy wrzask, który przygiął ich w pół. Brzmiał jak dźwięk syreny nurkującego sztukasa.

Reinhardt zaklął i odpiął mikrofon interkomu.

— Sternik, jeden długi sygnał rogiem mgłowym!

Okręt zagrział w odpowiedzi, ale odgłos nie był aż tak imponujący.

— No tak, panowie — wycedził Reinhardt. — Walkiria. Ktoś chce może zanucić Wagnera?

— *Herr gott*, gdzie my jesteśmy, panie *Oberleutnant*?

— Według mnie, na Morzu Północnym. I płyniemy sobie chwilowo kursem na Islandię.

— Ale co to wszystko znaczy?

— Wiem tyle, co i pan. Moja rada — proszę się skupić na tym, co można zrozumieć. Na swojej wachcie. Musimy dopłynąć do Trondheim. Reszta jest bez znaczenia.

\* \* \*

— Pytam o możliwość pomiaru pozycji gwiazd?

— Bez zmian, panie *Oberleutnant*.

— To znaczy?

— To znaczy dalej to popierdzielone niebo, to znaczy, przepraszam — złudzenie optyczne okolic polarnych.

— Nie rozumiem — powiedział Wichtelmann. — Powinniśmy dawno opuścić tamten rejon.

— Co panu wyszło ze strzelania słońca? — zapytał Reinhardt.

— Przykro mi, ale namiary były błędne.

— Co to znaczy?

— Zrobiłem wszystko jak zawsze i wyszło mi, że jesteśmy pośrodku Sahary. To jeszcze nie wszystko. Albo nasze kompasy są wadliwe, albo to słońce zachodziło na południu.

— Co takiego?!

— Główny żyrokompas elektryczny i kompas pomocnicze mogły się zepsuć, bo są elektryczne. Ale kompas klasyczny wskazuje dokładnie to samo. Tylko że to się nie zgadza ze słońcem.

Obaj pokręcili głowami i ponownie spojrzeli na mapę.

— Właściwie to ja bym chciał zobaczyć jakiegoś Tomka. Cokolwiek normalnego. Statek, samolot. Miałbym przynajmniej nadzieję, że może nie zwariowałem. Tak to mam wrażenie, że wszystko mi się śni.

---

\* Flak — (niem.) od *Flugzeugabwehrkanone* lub *Flugabwehrkanone* — działo przeciwlotnicze, [przyp. red.]

\* \* \*

O świcie rabanu narobił dyżurny akustyk. Przez dłuższą chwilę nie mógł wykrztusić sensownego meldunku. Nie chodziło o okręt nieprzyjaciela ani o nic, co umiałby zidentyfikować. Słysząc było szum. Potężny, przeciągły i niepowstrzymany, jak odgłos spadającej wody.

Reinhardt zabrał mu słuchawki i przez chwilę sam schylał się nad stanowiskiem, przyciskając jedną słuchawkę do ucha z głupią miną, wreszcie wyszedł na pomost kiosku.

— Wał mgły na kursie, *Herr Oberleutnant!* — zameldował wachtowy. — Na całym przednim perymetrze!

Istotnie, okręt sunął prosto w ścianę białego oparu stojącą na całej szerokości morza i ta ściana wyraźnie się zbliżała.

— Nie podoba mi się to! — powiedział Reinhardt. — Maszyny stop!

Równe łomotanie diesli zmieniło się w odgłos jałowego biegu, ale okręt sunął z tą samą prędkością, a nawet jakby szybciej.

— Oba wstecz! — krzyknął Reinhardt. Za rufą zagotowało się, ale okręt nadal płynął sennie do przodu.

— Coś nas ściąga — powiedział Wichtelmann. — Jak prąd jakiś.

Reinhardt zszedł do centrali.

— Peryskop góra! Na całą wysokość!

Rozległ się wizg silnika i kolumna peryskopu wyjechała wysoko nad kiosk. Reinhardt przekręcił czapkę daszkiem do tyłu i wtulił twarz w muszlę okularu.

Trwało to chwilę, wreszcie odsunął się blady jak płótno.

— Cała wstecz! Pełna moc!

— Co tam jest?

Reinhardt wstał z siodła peryskopu.

— Koniec świata. Dogoniliśmy horyzont. Jak pan nie wierzysz, to sam sobie popatrz. — Pognał po schodkach na pomost.

Istotnie. Morze kończyło się jak ucięte nożem, a wody przelewały się przez krawędź i spadały w nicość, wzbijając chmury wodnego pyłu. Tak samo było aż do końca horyzontu. Ogromna półkula nieba i gigantyczny wodospad od krańca do krańca.

Silniki wyły, za rufą kipiała woda, unosiły się kłęby czarnego dymu.

— Zwrot! Ostro! Ster sto! Cała naprzód! — wrzeszczał Reinhardt do interkomu.

Okręt, dygocąc jak koń chory na febrę, zaczął skręcać, ale czuło się, że jakimś nienaturalnie szerokim łukiem.

— Lewy, mała naprzód, prawy, cała! — krzyczał Reinhardt.

— Nie zdążymy — wyszeptał ktoś.

— Bzdura! Jechać!

Odwrócili się wreszcie rufą do przepaści i Reinhardt kazał dać pełną moc. Okręt ruszył, ale wydawało się, że z każdym obrotem śruby zwalnia.

Silniki ryczały, a okręt płynął coraz wolniej.

— Panie *Oberleutnant*, ten prąd jest powierzchniowy! — krzyknął czif. — Uciekniemy pod wodą!

— Zanurzenie alarmowe! — ryknął Reinhardt bez namysłu. — Ruszać się! Pod wodę!

Prąd puścił dopiero na stu pięćdziesięciu metrach. Stopniowo, ale uwolnili się. Trwało to prawie godzinę, podczas której siedzieli w milczeniu, patrząc na wskaźnik logu, wyłamując palce albo wbijając pełen wysiłku wzrok w plecy sternika, który wyglądał, jakby popychał okręt siłą woli.

— Może log idzie, bo prąd nim kręci? — wyszeptał Drugi.

Reinhardt pokręcił głową.

— Nie. Już byśmy spadli. Płyniemy!

Wrzask entuzjazmu niemal rozsadził okręt. Tylko Reinhardt siedział nieruchomo w mesie i patrzył, jak klepią się po plecach, unoszą jeden drugiego i tańczą na gretingach. Odczekał, aż wszystko się uspokoi.

— Płyniemy w przeciwną stronę — oznajmił. — Z powrotem do Asaheimu.

Euforia przycichła.

— Gdzie jest starszy marynarz Frenssen?

— W mesie torpedystów.

— Dawać go do centrali!

Frenssen był święcie przekonany, że staje do zaległego raportu za atak paniki na pomoście, i szedł jak na ścięcie. Reinhardt popatrzył na jego szczenięcą gębę i poczuł się okropnie stary i zmęczony.

— Frenssen, usiądzie pan z drugim oficerem w nawigacyjnej i opowie mu pan wszystko, co pan słyszał od swojej babci. Weźmiecie papier i postaracie się sporządzić mapy tego całego Asaheimu.

— Panie *Oberleutnant*, przecież to bajki, zresztą byłem dzieckiem i...

— Wykonać, *Obermatrose* Frenssen! Przypomnijcie sobie! Jako jedyny wiecie, o co tu chodzi!

— *Jawohl!* Wykonać... mapę Asgardu...

\* \* \*

— Wie pan, co mi to przypomina najbardziej? — zapytał czif przy kolacji.

— No?

— Odyseję.

Reinhardt pokręcił głową.

— Nie ma tak dobrze. Odys mógł sobie żeglować i dwadzieścia lat, ale my musimy mieć paliwo.

— Według tego małego Duńczyka Frenssena kluczem jest ten „tęczowy most”. On ma łączyć światy.

— Popłynęliśmy dokładnie tam, gdzie był. Zniknął. — Reinhardt posmarował kawałek chleba pasztetem i pokiwał głową. — Będziemy się teraz tak kręcić pomiędzy jakimiś karłami, Wanami, Asami, aż któryś nas załatwi albo zabraknie paliwa. Mapa Frenssena nie daje nam wielkiego wyboru. Czy chciałby pan popłynąć może do Alfheimu, gdzie mieszkają karły, Świetliści Alfowie, co to opiekują się zwierzętami, albo może Czarni Alfowie, parający się kowalstwem? Albo może do Jottunheimu, gdzie mieszkają... — spojrzał na kartkę — Lodowe Olbrzymy? Nie chce pan zwiedzić Żelaznego Lasu? To może Wybrzeże Trupów? Spodziewałbym się tam kurortu. — Odgryzł potężny kęs i znów pokręcił głową z politowaniem. — Martwię się też o ludzi. Nie każda psychika wytrzyma coś takiego. Dzisiaj rano ten Fliecke z „lordów” dostał szału. Chciał gramolić się do kiosku i skakać za burtę. Trzeba było go związać. Teraz leży w przedziale torpedowym. Doktor dał mu jakieś proszki, ale to się może rozprzestrzeniać.

— A dlaczego nam nie odbija?

— Po prawie sześciu latach wojny? Mam wrażenie, że widziałem już bardziej idiotyczne rzeczy. Wypaliłem się. Nic mnie już nie dziwi. Nie chce mi się już nawet dziwić. I tyle.

— W każdym razie w tej Walhalli chyba nie mamy już czego szukać.

— Dziwi się pan? Pojawiliśmy się i na dzień dobry obwiesiliśmy drzewo stryczkami, po czym odstawiliśmy miniwiec hitlerowski. Oto nasza wizytówka. Pan by z takimi gadał?

\* \* \*

— Co to znaczy, że akustyk słyszy wołanie o pomoc? — zapytał Reinhardt cierpliwie mata z centrali. — Pod wodą?

— Powtarzam meldunek, panie *Oberleutnant*.

Reinhardt wygramolił się z koi i ruszył na górę, zakładając po drodze koszulę.

— Ktoś woła po niemiecku, panie dowódco! Krzyczy, jakby okropnie cierpiał.

— Pokaż! — Założył na chwilę słuchawki i pokręcił głową z niedowierzaniem. — Namiar?

— Kierunek dwadzieścia pięć!

— Ster dwadzieścia pięć! Zobaczymy, o co chodzi. Sternik, jechać według wskazówek akustyka. Idę na górę. W razie zmian meldować.

Okręt sunął na krótkiej fali, było pochmurno i zimno.

Łąd ukazał się po półgodzinie dokładnie przed dziobem. Ciemnobrunatny pasek na horyzoncie, potem coraz wyraźniejsze zęby skał, białe jak głowy cukru lodowce i zwały śniegu. Reinhardt odpiął mikrofon.

— Ziemia na kursie! Czy te... głosy są nadal słyszalne?

— Coraz wyraźniej, *Herr Oberleutnant*.

Stanęli w dryfie jakieś dwieście metrów od skalistego brzegu. Krzyk było słychać zupełnie wyraźnie, już bez pomocy aparatury. Zachrypli, przeciągli, pełen cierpienia, ale mocny.

Drugi oficer wyszedł na pomost, przynosząc kawę i żując chleb z kiełbasą.

— Nie wydaje się to panu dziwne? Wołanie o pomoc po niemiecku? Tutaj?

— Nie umiem ocenić, panie Wichtelmann. A latająca goła cizia nie wydaje się panu dziwna? Co tu tak naprawdę uznać za dziwne?

— Wchodzimy do tej zatoki?

— Tak. Niech pan każe obsadzić działa.

Wąska, otoczona skałami zatoka była wystarczająco głęboka, żeby wprowadzić tam okręt, ale płynęli jak najostrożniej. Obie wieżyczki obracały się z burty na burtę. Na pomoście bojowym *Obermat* Lietzmann założył do kaemów bębny amunicyjne, trzasnął suwadłem i wpasował ramiona w obszyte skórą kolby. Panowała cisza. Krzyk ustał. Oficerowie zastygli z lornetkami przy twarzy, przepatrując każdy centymetr skalistego brzegu. Zaskrzeczała mewa. Kawalek lodowca oderwał się z trzaskiem i zjechał do wody.

— Co to za dźwięk?

— To pękający lód, panie *Oberleutnant*. Lód tak skrzypi. Topi się i zaraz znowu gdzieś się oberwie.

— Ale gdzie?

Skrzypiało i trzeszczało coraz głośniej, aż zauważyli, gdzie. Kawalek lodowca pokrył się bliźniaczymi pęknięciami, ale zamiast odpaść uniósł się do góry, ukazując szklistą, białosrebrną twarz wielkości fasady małego ratusza. Nieprzyjemną twarz, dziką, z wybałuszonymi oczami lśniącymi zimnym, niebieskim blaskiem acetylenowego płomienia i pełną wyszczerzonych kłów jak dwumetrowe sople. Na pokładzie zapanowała głucha cisza. Potwór, klęczący dotąd na brzegu, zaczął wstawać i prostować się, gubiąc płyty lodu, potrzaskując i skrzypiąc. Miał z osiem metrów wzrostu.

— Szronowy olbrzym — wyszeptał Frenssen.

— Silniki cała wstecz, pelotki, przygotować się do otwarcia ognia... — powiedział spokojnie Reinhardt.

Potwór rozwarł karykaturalną, półludzką paszczę i wydał z siebie ryk, który brzmiał

ogłuszająco, lecz nisko, jakby pękał łądolód Arktyki. Ni to trzask, ni przeciągły grzmot, który ściął wody zatoki jęzorem szronu i dmuchnął im w twarze piekącym mrozem. Lęk marynarzy utonął w tym ryku, część padła na kolana, zatykając uszy, ale w tym samym momencie spadł na nich suchy łomot oerlikonów. Brzeg porósł nagle ognistymi krzakami eksplozji pocisków przeciwlotniczych zasypujących zatokę odłamkami. Potwór poruszał się jak błyskawica i jakimś cudem pozostał nietknięty.

— Pudło! — wrzasnął Reinhardt. — Na stu pięćdziesięciu metrach, skandal! Poprawić!

Olbrzym skulił się i zaskakująco szybko pomknął pomiędzy skałami, wokół niego eksplodowały pociski przeciwlotnicze. Lód i kamienie wybuchały mu pod nogami i tuż za zgarbionymi plecami, ale nie można było ocenić, czy cokolwiek mu zaszkodziło. Lietzmann pogonił go jeszcze strumieniami pocisków ze swoich jazgoczących kaemów, ale bez większego efektu. Kanonierzy kręcili korbami jak szaleni, obracając oerlikonem. Gorące łuski sypały się do wody.

Olbrzym ukazał się znowu, unosząc nad głowę kawał lodu wielkości traktora, i zamachnął się.

— Uwaga! — wrzasnął Reinhardt. — Ster lewo! Cała wstecz!

— Całkiem jak Polifem — zadrwił drugi oficer. Bryła lodu przeleciała z szumem nad pokładem i rąbnęła dziesięć metrów od burty, wyrzucając słup wody i potrzaskanego lodu. Okręt zakołysał się, wielki kawał lodu rozbryznął się o kiosk, przewracając artylerzystów. Celowniczy schował głowę w ramiona i obrócił korbami, po czym nadepnął na spust. Lufy działka dziobowego wypuły strugę ognia, cel utonął w dymie, fontannach odprysków i rozpylonego śniegu. Na zatokę i okręt posypał się grad odłamków. Kiedy się uspokoiło i Reinhardt wychylił się zza falochronu, wszystko dookoła, brzeg i skały, zbryzgane było zabarwionym na czerwono śniegiem, hałdami kryształków przypominającymi malinowy sorbet, które dopiero teraz zaczęły topnieć i płynąć jak krew.

Nad zatoką eksplodował zwycięski wrzask.

— No dobra. Artyleria, pozostać na stanowiskach. Ponton i dwóch ludzi do desantu — zawołał Reinhardt. — Bosman, wydać trzy automaty. Panie Wichtelmann, proszę być gotowym przyjąć nas na pokład w każdej chwili. I niech ktoś obudzi doktora.

— Marynarz ranny! — rozległ się krzyk od dziobowej wieżyczki.

— Co się dzieje?

— To Frenssen, *Herr Oberleutnant*. Rzuciło nim o właz komory amunicyjnej. Nieprzytomny, ale chyba żyje. Ma rozwalony łeb.

— Pod pokład z nim, niech doktor go opatrzy.

— Chyba nie powinien pan iść — odezwał się Wichtelmann. — To nierozsądne, żeby dowódca szedł na zwiad. Pójdę z bosmanem i...

— Nie, panie drugi. Trochę to trudno wytłumaczyć, ale chcę choć raz zrobić coś jak człowiek. Rozumie pan? Nie rozstrzelać rozbitka, nie spalić bezbronny kuter, nie powiesić jeńców, tylko postąpić po ludzku. Na przykład zareagować na wołanie o pomoc i pomóc komuś. Nie żeby go zaraz obrabować, zatłuc albo wysłać do obozu i zrobić z niego mydło. Chcę coś zrobić jak człowiek, raz w życiu, rozumie pan? Prześladuje mnie myśl, że zmuszono mnie do oszukańczej gry.

Reinhardt zapiął pas z kapitańskim pistoletem, przewiesił przez ramię automat i wziął jeszcze ładownicę z pięcioma magazynkami.

Nad skałami znowu popłynął nagle rozpaczliwy jęk, i okrzyk: „Ludzie, pomocy! Ratunku!”

Ziemia zadrżała lekko i przez zatoczkę przebiegły fale.

— Idziemy. Bosmanie, niech pan weźmie jeszcze linę i granaty. Kto jeszcze idzie?

— Fanghorst, panie pierwszy.

Wspinali się ostrożnie między skałami, grzęznąc w śniegu, przygięci i niepewni, jakby

odzwyczaili się od nieruchomego ładu. Reinhardt zadyszał się, dotarłszy na górę klifu, i przerzucił empi za plecy.

— Skąd dochodzi ten wrzask?

— Tam. Pod tą skalną ścianą, widzi pan?

Przed nimi wznosiła się ponura ściana z płytką pieczarą. Krzyk dochodził stamtąd.

Reinhardt odciągnął suwadło i przewiesił automat przez pierś.

— Coś się tam rusza. Ja i bosman idziemy na skrzydle, pan, Fanghorst, w ariergardzie. Nie strzelać bez rozkazu.

— Coś stamtąd wycieka, widzi pan? Spod tego nawisu. Paruje i ziemia wygląda tam jak wypalona.

Podeszli do pieczary z obu stron, wzdłuż ściany. Reinhardt przyklęknął i zajrzał ostrożnie pod nawis akurat w momencie, kiedy rozbrzmiał stamtąd ogłuszający krzyk. Cofnął się natychmiast, krzywiąc twarz, po czym zajrzał jeszcze raz. Z pieczary wypłynęła struga cuchnącego ostro, dymiącego płynu. Wydawało się, że kamienie parują i kipią w zetknięciu z cieczą.

Pod skalnym nawisem leżał nagi mężczyzna rozkrzyżowany na skałach, ramiona miał skute kajdanami, a z góry, gdzieś ze stropu jaskini, sączył się cuchnący, parujący płyn, prosto na pokrytą czerwonymi oparzeniami twarz. Przy jego głowie klęczała półnaga dziewczyna o skołtunionych włosach, okryta jakąś niemożliwie brudną i podartą szmatą. Trzymała w dłoni misę, usiłując chwytać strumyczki cieczy i chronić głowę mężczyzny. Na przedramionach miała takie same ropiejące blizny, jakie znaczyły twarz i pierś mężczyzny. Misa dygotała w jej dłoniach. Włosy okrywały umorusaną twarz i Reinhardt widział tylko oczy. Wielkie i przerażone.

— Proszę, pomocy... To mój mąż, jad się zaraz przeleje, ja muszę opróżnić misę... Błagam... Pomóżcie nam...

Płyn istotnie wypełniał już naczynie. Dziewczyna pochyliła się i chlusnęła cuchnącą cieczą poza jaskinię, ale kilka kropli spadło natychmiast na twarz mężczyzny, tworząc parujące wżery. Ten wyprężył się konwulsyjnie i wrzasnął przeraźliwie. Z sufitu posypał się piasek, ziemia zadrżała.

— Bosmanie, proszę wziąć misę od pani — powiedział Reinhardt. — Spokojnie, pomożemy wam. Niech pani usiądzie. Co to jest? Co to za płyn?

Dziewczyna niechętnie oddała naczynie, po czym osunęła się na ziemię, dygocąc z wyczerpania. Skuty mężczyzna zajęczał rozpaczliwie. Był półprzytomny z bólu.

— To jad... Tam jest wąż... Jego jad ścieka na twarz mego męża dzień za dniem i rok za rokiem. Chwytam jad w misę; kiedy jest pełna, wylewam... Rok za rokiem...

— Co ona gada, panie pierwszy?

— Nie wiem, ale faktycznie coś się rusza tam na górze. Niech pan czeka, najważniejsze łańcuchy.

— Może przynieść palnik acetylenowy z okrętu?

— Szkoda czasu. Te łańcuchy oplatają skałę i kończą się za tamtą ścianą. Może je rozsadzić?

— A nie zawali jaskini?

— Jest solidna, a to tylko granat. Tam z tyłu jest wielka komora. Nie będzie skoku ciśnienia.

Reinhardt wczuł się za skałę i wepchnął granat pomiędzy ogniwa łańcucha, odkręcił nakrętkę trzonka, wydobyl sznurek z zawleczką na zewnątrz, po czym przywiązał do kółka kawałek linki. Potem znalazł wilgotną glinę i ulepił z niej zatyczki do uszu, żeby zabezpieczyć mężczyznę. Na koniec obwiązali mu nogi liną i wyprowadzili dziewczynę pod skałę.

— Będę musiał wylać ten szajs — ostrzegł bosman. — Cuchnie jak kwas akumulatorowy i iperyt naraz. Zaraz się przeleje.

— To wylewaj pan, nie ma rady. — Reinhardt zajrzał ostrożnie w górę jaskini i wydawało mu

się, że widzi płaski, trójkątny łeb wielkości maski ciężarówki, nieruchomy jak krokodyl w hamburskim zoo. Z rozchylonej paszczy kapał jad, jak rzadki, trujący deszczyk. Wydawało mu się, że widzi bladeżółte oczy rozmiaru melonów.

— Nie mogę trzymać misy, jak będziemy detonować granat. Może pogonić to bydlę serią?

Reinhardt wpakował w górę ogłuszającą serię z empi, po czym szarpnął za sznurek i obaj uciekli z jaskini. Kiedy strzelał, tam w górze coś eksplodowało konwulsyjnym, wijącym się ruchem, jak gigantyczna, zwolniona sprężyna.

Huknęło, dopiero kiedy Reinhardt był już całkiem pewien, że to niewypał. Pomarańczowy rozbłysk, potem z pieczary zionęło kłębamii dymu. Pociągnęli za linę i mężczyzna wyjechał na wznak na świeże powietrze. Był nieprzytomny, a zerwane łańcuchy ciągnęły się za nim po ziemi.

Powlekli go między sobą łąką w kierunku klifu. Dziewczyna snuła się za nimi, potykając się z wyczerpania i chlipiąc. Zdążyli zrobić połowę drogi, kiedy Reinhardt zerknął przez ramię i zobaczył ogromny, pokaleczony pysk pokryty łuskami wyjeżdżający z pieczary niczym szarżujący czołg. Fanghorst przyklęknął i zaczął strzelać.

Reinhardt upuścił rannego i uniósł automat, naciskając spust. Bosman zamachnął się i posłał syczący granat prosto pod sunący łeb.

— Padnij!

Eksplozja targnęła sucho powietrzem, z góry posypały się kamienie, kawałki darni i bryły lodu. Wąż zwinął się w miejscu ścigany kolejnymi strumieniami pocisków i zanurkował w głąb pieczary. Reinhardt wstał i odpiął magazynek.

— Już? Pusty? Ależ to szybko idzie. Nie jestem pewien, czy go trafiłem. Nie miałem tego w ręku od szkółki.

— A ja jeszcze nigdy nie strzelałem z empi — powiedział Fanghorst. — W szkółce dali nam mauzery. Jak na polowanie.

— Zabierajmy się stąd. A gdzie jest delikwent? Mężczyzna zniknął. Nie było też śladu jego towarzyszki. Zostali sami.

— Trochę głupio — skonstatował Reinhardt. — Przynajmniej rozprostowaliśmy nogi.

\* \* \*

— Jad ściekał mu na twarz?! — pytał Frenssen. Miał obandażowaną głowę i szwy pod okiem zaklejone opatrunkiem, ale trząsał się z wrażenia. — Kobieta podstawiła misę?!

— Przecież wam mówię.

— Jezu, panie *Oberleutnant*, czy pan wie, coście zrobili?

— Uwolniliśmy torturowanego człowieka wzywającego pomocy — zauważył sucho Reinhardt, nabijając fajkę.

— Przecież to był Loki! Loki! Bóg-oszust, który został zakuty, żeby nie sprowadził końca świata i zagłady! To on wywoła Ragnarok — wiek ciemności i ostatecznej bitwy, w której wszystko przepadnie! Zginą bogowie i cały świat pogrzeży się w mroku!

— Trudno. Już się stało. Niech pan nie rozpacza. Co pana obchodzi koniec świata skandynawskich bogów? My musimy znaleźć tylko ten cały Bifrost i wynieść się stąd.

— Panie *Oberleutnant*! Nasłuch ma sygnał radiowy! Bardzo silny!

Reinhardt pomknął do centrali, przeskakując stopnie.

— Co to za częstotliwość?

— Eee... — powiedział radiotelegrafista. — Nadaje na wszystkich częstotliwościach. Na fonii.

— Dawać na głośnik!

Najpierw zatrzeszczało jak zdarta płyta, po czym rozległo się monotonnym głosem: „Loki do

kapitana ULF. Loki do kapitana ULF...”

— Tu dowódca ULF, *Oberleutnant* Reinhardt. Słucham?

„Chciałbym podziękować... Uratował mnie pan. Możemy porozmawiać?”

— Rozmawiamy przecież.

„Normalnie — w cztery oczy. Czekam na brzegu. Bez odbioru”.

— Panie *Oberleutnant*, niech pan nie idzie! To oszust! Bóg zła!

— Mam doświadczenie, Frenssen. Taki sam wieszał mi Krzyż Rycerski na szyi. Wychodzę na pomost. Zamknąć wszystkie włazy. Wchodzę do pierwszej wieżyczki przeciwlotniczej. Jeżeli nie odezwę się przez interkom, to znaczy, że zginąłem. W takim razie idźcie w zanurzenie i wychodźcie z zatoki. Wichtelmann, przejmuje pan dowodzenie.

— Aha, *Herr Oberleutnant*... Zajrzeliśmy w tamte skrzynie. Na moją odpowiedzialność. Miałem nadzieję na mapy albo cokolwiek, co pozwoli znaleźć nam drogę powrotną. Stanę do raportu, jeśli...

— Dobrze już. Co w nich było?

— Paznokcie, *Herr Oberleutnant*. Obcięte ludzkie paznokcie. Rzygać się chce.

— I nic więcej?

— Nic.

\* \* \*

Reinhardt wyszedł na pomost i tupnął we właz.

— Zamykać!

Właz opadł, słychać było trzask rygli. Reinhardt przede wszystkim starannie rozpałił fajkę. Następnie wgramolił się na stanowisko strzelca i sprawdził stan bębnow amunicyjnych działek. Były wypełnione.

Bóg-oszust siedział na brzegu wśród skał oparty wygodnie o ścianę skalną. Miał teraz ze cztery metry wzrostu, lekko świetlistą skórę i co chwila przykładął do twarzy kompres z chusty, który moczył w misce wielkości pokaźnej wanny. Jednak poza tym nie robił wrażenia specjalnie zmasakrowanego. Wyglądał teraz jak atletycznie zbudowany, długowłosy młodzieniec.

Reinhardt odciągnął po kolei oba zamki, po czym zakręcił korbami, obracając działo w stronę rozmówcy. Lufy oerlikona opadły, a potem wieżyczka przekręciła się w lewo. Druciany krążek kolimatora zawisł na wprost piersi olbrzyma.

— Co pan robi, kapitanie? — zapytał Loki aksamitnym głosem.

— Powiedzmy, że wyrównuję szanse. Nie dysponuję boskimi atrybutami, ale mam sprzężone działka przeciwlotnicze dwadzieścia milimetrów. Wystrzeliwiają ze trzysta pocisków na minutę z jednej lufy. Są zaprojektowane do niszczenia celów powietrznych. Zapewniam, że z takiej odległości rozniosą na strzępy wszystko, co się znajduje na brzegu. Jeżeli nawet jesteś nieśmiertelny, będziesz się zbierał z małych kawałków. Wystarczy, że nacisnę ten pedał. Także padając.

— Tak, widziałem, co pan zrobił biednemu Eggdirowi. Nie był może specjalnie mądry, ale to coś zmieniło go w śnieg w jednym błysku. Jest pan niebezpiecznym wojownikiem, kapitanie.

— Tylko kiedy ktoś wejdzie mi w drogę.

— A jednak nie ma pan powodu do mnie strzelać.

— Wykorzystałeś mnie. Jesteś bogiem-oszustem, który zniszczy świat, sprowadzi zagładę i rozpęta wieczną wojnę.

— Oczywiście. To część faktów. Wiem o tym, odkąd się urodziłem, i wszyscy inni też o tym wiedzieli. A mimo to mi dokuczali. My tu nie mamy łatwych charakterów. Zwłaszcza Asowie.

Nawet pan sobie nie wyobraża, jak to jest dorastać w takim środowisku. Dobrze — ja też im dokuczałem, ale tylko po to, żeby coś się działo. Przecież to trwa już prawie pięćdziesiąt tysięcy lat. Narodziłem się pod koniec paleolitu. Jeszcze trwała epoka lodowcowa, ma pan pojęcie? Zresztą, posługiwali się mną. Kiedy chcieli kogoś wykiwać, okraść albo mu nie zapłacić, ja załatwiałem sprawę. Bo jestem zły, pan rozumie? Widzi pan ten paradoks? Dobry Odyn chce mieć nieprzebyty mur wokół Asgardu i czym kusi budowniczego? Freją. Potem, oczywiście, do mnie z płaczem: „Zrób coś, nie chcę, żeby ten olbrzym rznął mi Freję!” On nie może nikogo oszwabić. Przepraszam za to określenie. Od tego jestem ja — zły bóg—oszust. Więc załatwiam sprawę. Istotnie. Sprowadzę na cały ten burdel Ragnarok. Jak pan widzi, jestem najzupełniej szczerzy. Zrobię to poniekąd dzięki panu, bo uwolnił mnie pan z łańcuchów.

— Jakoś chyba czujesz się już lepiej — zauważył Reinhardt kwaśno. — Ja nie zdążyłem zmienić przemoczonych butów ani wypić herbaty. A tobie nie tylko wygoiła się twarz, ale i urosłeś ze dwa metry z okładem.

— Och, no przecież jestem bogiem, mimo wszystko! Zresztą, twarz trochę mi jeszcze dokucza. Blizny i dzioby już chyba zostaną. Widział pan, w jakim byłem stanie? To trwało gdzieś od siedemsetnego roku. Tysiąc dwieście czterdzieści cztery lata tortur! Skoro chcieli mnie unieszkodliwić, mogli darować sobie ten jad, prawda? Zwłaszcza że są niby tacy szlachetni?

— Jednak coś mi zawdzięczasz, prawda?

— Do czego pan zmierza, kapitanie? Przecież to ja prosiłem o tę rozmowę, to znaczy, że chcę się odwdziżyć.

— Świetnie. Chcemy znaleźć Bifrost i przepłynąć nim w drugą stronę.

— Aj, zaraz Bifrost i Bifrost! Porozmawiajmy najpierw. Przecież most panu nie ucieknie.

— Loki, jeżeli uznam, że kręcisz i że nie dojdę z tobą do ładu, odpalam. Daję całą wstecz i wychodzę z zatoki. Bifrost mi uciekł właśnie. Nie ma go tam, gdzie był.

— Nie oszukuję, kapitanie. Szczerze mówiąc, pan już został wkręcony i to wcale nie przeze mnie.

— Co to znaczy?

— No... Asgard to jest w zasadzie zaświat. Trochę lepszy niż Helj, ale... No, sam pan wie, jak i dlaczego trafia się do Walhalli.

— To znaczy, że ja nie żyję? I cała załoga?

— Żeby to było takie proste. Wtedy by pan tu może nie trafił, chyba że jest pan żarliwym neopoganinem. Ale i wtedy przecież nie okrętem, w czapce i w ogóle. Siadłby pan w Dworcu Odyna, by pić miód bohaterów, i tak dalej. Pan tu wpłynął żywcem. Jako pierwszy od bardzo dawna. Dzięki magii. Ale wypłynąć... — Loki pokręcił głową.

— Żyję czy nie?

— Technicznie rzecz biorąc...

— Rzeczowo, Loki.

— Jest pan pomiędzy. Zawieszony. Musiałbym panu wytłumaczyć, jak to jest z Nornami i ich linią losu, co zmienia napicie się ze źródła Urd, na przykład. To nie jest takie proste, że wszystko jest zapisane. Mamy wolną wolę, ale ona jest częścią osnowy tego, co tkają Prządki.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Wiedziałem. To najłatwiej pokazać matematyką... Dobra. Spróbujemy inaczej. Zniknął im pan z radarów.

Prządkom. Uznany za zaginionego. I przeszedł pan w zaświaty. Pan nie ma obecnie losu. Załoga też nie. Jeżeli wrócicie, to prosto pod bomby. Albo na celownik niszczyciela. *Verstehen?*

— Dlaczego?

— Bo tamten świat chce wrócić do równowagi. Tak jest skonstruowany. Odrobina magii od

razu wywołuje reakcję obronną. Teraz jest tak, jak byście już nie żyli. Rzeczywistość waszego świata może to kupić. Najwyżej trochę zafaluje. Ale kiedy wrócicie, postawicie ją na głowie. Uruchomicie wszystkie zabezpieczenia. Mogę pomóc wam znaleźć Bifrost, kapitanie. Ale niech pan się zastanowi, czy warto.

— Ja muszę się jeszcze zastanowić, czy aby to wszystko, co mówisz, to nie jest lipa.

— Dobra. Przyznaję, że nie jestem tego pewien tak na sto procent. Natomiast jest to wysoce prawdopodobne. Ale przyjmijmy, że się mylę. Przypuśćmy, że wypłyniecie i nic się nie stanie. Co będzie dalej? Będzie pan atakował konwoje? Ma to sens i szansę powodzenia? Ile pan pożyje, próbując toczyć tę wojnę? Ona potrwa do maja 1945 roku. Do Berlina wejdą Rosjanie. Pańskie Drezno zostanie zbombardowane. Totalnie. Alianci też popełniają błędy. Ktoś sobie wymyśli, że to was powinno złamać, i rozpieprzy to miasto do zera. Nic im to nie da i w zasadzie będzie im potem głupio, ale domu ani rodziny już pan nie będzie miał. Z kolei Trudi... Przykro mi to mówić, ale w końcu zorientowali się, że jest w jakiejś części Żydówką, i wywieźli ją do Dachau. Już nie żyje. Hitler strzelił sobie w łeb, niektórzy uciekną, innych powieszają, zachodnią połowę pańskiego kraju zajmą alianci i tam po jakimś czasie da się żyć jeszcze jakoś, wschodnią zabiorą Rosjanie i zrobią z niej kraj komunistyczny. Pan sobie wyobraża, jak się żyje w kraju Prusaków udających komunistów? Do tego trzeba będzie żyć z piętnem hańby. Dlaczego? Pan pamięta te plotki o obozach? No, to wszystko prawda, tylko że jest sto razy gorzej, niż pan myślał. To się działo na skalę kilku milionów ludzi. Bezbronnych cywili. Tego to wam świat nie daruje. A pan jest podwodniakiem, za wami też nikt nie przepada. Zatapiałiście cywilne statki. Słowem — mam dla pana lepszą propozycję.

— Słucham.

— Ragnarok.

— Strzelam.

— Chwileczkę! Jest pan żołnierzem. Żeglarzem. Czy pan rozumie, czym jest Ragnarok?

— Bezsensowną, krwawą zawieruchą. Apokalipsą. Zniszczeniem dla zniszczenia, byle wszystko rozpieprzyć. Dziękuję, już brałem w czymś takim udział.

— Nie! — krzyknął Loki. Od jego okrzyku ziemia zadrżała, od lodowców oderwało się kilka płaskich tafli lodu i runęło w wodę. — Przeklęta propaganda! To będzie ogień, który strawi świat, prawda. Wiesz, dlaczego chcą go za wszelką cenę powstrzymać? Żeby zachować *status quo*! Bo im odpowiada świat taki, jaki jest! A tobie odpowiada? A teraz powiem ci, o co będę walczył. Tak! Uwolnię wilka Fenrira! Zbuduję straszliwy Drakkar z trupich paznokci, zwany Naglfarem! Tak, ściągnę armię Olbrzymów, Surta i Byleipta. Tak! Powalę wszystkich bogów. A potem? Posłuchaj:

*Rola nieobsiana będzie rodziła  
Zło w dobro się przemieni; Baldr wróci  
Na Hropta boiskach zamieszka Höd i Baldr  
W świątyni bogów — wiecie teraz czy nie?*

*Salę widzę, od słońca piękniejszą,  
Dach złotem kryty, na Gimlei  
Sprawiedliwi tam mieszkać będą  
Szczęścia wiecznego doznawać będą.*

Tak mówi wieszczba o świecie, który nastanie po mojej wojnie. Wszyscy o tym wiedzą. Ja tego nie wymyśliłem. I Asowie, i Wanowie, i wszyscy! Wiedzą! Powiedz mi, panie kapitanie: nie warto? Raz cię namówiono, żebyś podpalił świat. W nikczemnej sprawie. Złamali ci życie i zrobili

z ciebie wilka. Wojownika. Będiesz potrafił uczyć w szkole albo przybijając pieczątki na pocztce? Napij się miodu, kapitanie.

— Siedz, gdzie siedzisz — wycedził Reinhardt. — Myślę.

Loki nalał miodu do rogu, a potem dmuchnął lekko na wodę i postawił róg pionowo na tafli. Naczynie zakotłosało się jak boja, po czym miękko popłynęło w stronę *U-Boota*, aż stuknęło o pancierz zbiornika balastowego. Wystarczyło pochylić się i sięgnąć.

Reinhardt wypił łyk.

— Ci, którzy nas tu sprowadzili, przyплыnęli z podobną propozycją — zauważył. — I Odyn rozniósł ich na strzępy.

Loki zaśmiał się i pokręcił głową.

— To zupełnie inna sytuacja. Słuchaj, można o Starym powiedzieć niejedno, ale nie jest głupi. Nie jest głupi. Zwłaszcza on, który oddał własne oko za wiedzę. Przecież dobrze wiedział, co to za jedni. Przyплыnęli, powiesili kilku bezbronnych i rannych jeńców — w prezencie dla niego, uważasz — po czym usiłowali mu wmówić, że jest taki sam jak oni i jeszcze że ma walczyć dla chwały ich małego, pokręconego tyranka. On — Odyn! Wiesz, dlaczego nazywają go Hangagud, „Bóg powieszonych”? Przecież nie dlatego, że lubi egzekucje albo wieszka bezbronnych! On się sam powiesił! Sam złożył się sobie w ofierze, żeby uzyskać moc run. Albo by ją osiągnął, albo skisł na tym drzewie! Udowodnił, jak wiele może poświęcić, żeby uzyskać tak cenny dar! To było poświęcenie! A oni ofiarowują mu tchórzliwe morderstwo. Nic dziwnego, że się wściekł. Ci głupcy nie wiedzieli nawet, że jego wyobrażenia jako dzikiego okrutnika to późniejsza chrześcijańska propaganda. Nie. Ja mam inną propozycję. Posłuchaj, kapitanie. Bądź szczery sam ze sobą. Wejrzyj głęboko w swoją duszę i posłuchaj. Co ci zostało? A gdyby tak podpalić świat naprawdę? Naprawdę sfajczyć to wszystko — politykę, hipokryzję, Hitlerów, Stalinów, ale i Churchillów, adwokatów, tych, co pierwsi rzucą kamieniem, i tych, co zawsze mają wszystko na tacy, tych, co wszystkiego się domagają, i tych, co rozdają przywileje? Sfajczyć cały ten spleśniały świat, niech go zetnie mróz i niech po nim odrodzą się wreszcie szczęśliwe łąki? Spójrz w swoje sumienie! Po której stronie chcesz stać podczas ostatniej bitwy? Nieskalanych, świetlistych hipokrytów, którzy chcą chronić Republikę Jest Jak Jest? A może desperatów, którzy chcą walczyć o marzenia albo zginąć? Kim pan jest, kapitanie? Czy to nie brzmi dla pana znajomo? Pociągająco? Lepiej być piratem czy niewolnikiem, Reinhardt? Niech pan posłucha. Miałem zbudować Drakkar. Przerazający okręt, który zanieś ostateczną bitwę wrogom. Budzący przerażenie Naglfar zbudowany z trupich paznokci. Ale tak pomyślałem — czy to musi być Drakkar? A gdyby to tak był oceaniczny okręt podwodny typu XXI? Nie bezimienny U-ileśtam pływający na posyłki jakiegoś kretyna? Moje karły potrafią skopiować wszystko. Wezmą ten okręt na wzór i wkrótce powstanie przerażający „Naglfar”, który przyniesie spleśniałemu światu zawieruchę. *U-Boot* z trupich paznokci. Sześć wyrzutni torpedowych. Działa przeciwlotnicze. I pan. W białej czapce dowódcy.

Reinhardt pociągnął łyk miodu. Milczał.

— Słucham? — zapytał Loki.

Reinhardt wstał.

— Muszę pogadać z załogą.

— Będę czekał. Nie spiesz mi się.

\* \* \*

Jednak przepływamy przez Tęczowy Most. Tam i z powrotem.

Potrzeba paznokci. Dużo paznokci. Przestaliśmy się już na to krzywić. W zręcznych dłoniach

karłów z Nilfheimu trupie paznokcie stają się kowalne jak metal. Zmieniają się w doskonały, lekki i wytrzymały materiał, z którego mogą zbudować wszystko. Czasem wchodzimy do jaskini zmienionej w suchy dok, żeby popatrzeć jak stawiają wręgi, zabudowują zbiorniki balastowe, jak układają kolektory szasu, kadłub sztywne, klapy wyrzutni. Patrząc na lśniące złotem, srebrem i platyną kartery diesli, na dźwignie i przełączniki tablic sterowania lśniące złotem i polerowaną kością. Patrzymy na pęki iskier ze spawarek, słuchamy huku nitownic.

Jest piękny.

Pod zręcznymi palcami małych kowali z Nilfheimu nasz „Naglfar” trochę się zmienia. Kil i wręgi przypominają kręgosłup i łuki żeber, przewody wiją się we wnętrzu jak nerwy i żyły żywej istoty.

Jeszcze trochę i skończymy. „Naglfar” będzie gotowy. Poniesie ogień parszywemu, nieudanemu światu. Koniec z niesprawiedliwością, koniec z płaczem, nędzą i rozpaczą. Koniec czasów szaleństwa, bezwstydu i cudzołóstwa.

Jeszcze trochę.

Nadchodzi wiek topora, wiek miecza i tarcz strzaskanych.

Nadchodzi wilcza zamieć.

Jeszcze trochę.

Trzeba tylko paznokci. Więcej paznokci.

Na szczęście, to, czego wasz zgniół świat daje w nadmiarze, to właśnie trupie paznokcie. I krew, która tak pięknie zapłonie w cylindrach naszych diesli. I niespełnione pożądanie, którym można naładować akumulatory. „Naglfar” może się wykarmić tym, czego wasz świat ma w nadmiarze.

Trzeba tylko więcej paznokci.

Więc przepływamy Tęczowy Most i suniemy przez wody waszego świata. Możemy wynurzyć się wszędzie tam, gdzie czyjeś szaleństwo każe mordować innych bez powodu. Wynurzamy się i zbieramy plon pychy szalonego muły albo zwierzęcej nienawiści skaczących sobie do gardeł warlordów lub opętanej ideologią tyrana. Nawet ląd nie jest dla nas przeszkodą.

Darfur, Srebrenica, pola pod Phenianem, Sierra Leone. Hawana.

Tyle miejsc. Tyle paznokci.

Opowiadają sobie o nas na morzach. O przeklętym *U-Boocie* z załogą upiorów. O kapitanie w sztywnej od soli kurtce, o oczach jak ołów północnego morza. Wiedzą o nas marynarze tanich bander i samotni żeglarze. A także załogi pięknych, kosztownych jachtów. Ale rzadko mogą podzielić się tą wiedzą. Krew, pożądanie i paznokcie. Tyle nam trzeba.

Wracamy potem na Wybrzeże Trupów i czekamy. Czujemy, że nasz czas się zbliża, ale wciąż nic się nie dzieje.

Czekamy.

— Już niedługo — mówi Loki. — Nadejdzie nasz czas. Wkrótce zaszczeka Garm. Fenrir-wilk zerwie łańcuchy i połknie słońce. Wyplynie „Naglfar”. Przyjdzie wilcza zamieć. Już niedługo. Nadchodzi czas.

Niedługo.

*Eugeniusz Dębski*

## **ODNIEMCY**

urodzony 26 stycznia 1952 roku w Truskawcu, mieszka na stałe we Wrocławiu. Z wykształcenia rusycysta, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Na swoim koncie ma kilka powieści z gatunku SF i fantasy, thriller SF, melange powieści sensacyjnych i fantastycznych. Ponadto kilkadziesiąt opowiadań opublikowano na łamach „Fantastyki”, „Nowej Fantastyki”, „Fenixa”, „Portalu” i „Science Fiction”. Otrzymał nagrodę Śląskiego Klubu Fantastyki „Śląkfa”. Czterokrotnie nominowany do nagrody im. Janusza A. Zajdla, jednak nigdy jej nie zagarnął. Jest bodajże jedynym pisarzem na świecie posiadającym aż dwie nagrody specjalnie dlań ustanowione: Nagrodę Mątwy i Srebrnej Muszli. Wraz z żoną Ewą ochoczo tłumaczą fantastykę rosyjską: Bułyczowa, Pierumowa, Wasiliewa, Rybakowa, Jeskowa i innych. W „Fabryce Słów” ukazały się jego powieści: *Władcy nocy, złodzieje snów* (2002), *Tropem Kameleona* (2003), *Śmierć magów z Yara* (2005), oraz zbiór opowiadań *Szklany Szpon* (2004).

Dwie ciężarówki, jedna pusta, druga z dwiema drużynami żołnierzy, i *Kubelwagen* różnie toczyły się po zakurzonej, wyschniętej leśnej drodze. Deszczu nie było od dawna, ale wysokie drzewa trzymały drogę w cieniu, nie dawały wyschnąć. Pył nie dokuczał nawet jadącym z tyłu, w ciężarówce bez budy. Zwyczajna pacyfikacja, pewnie trzeba będzie w pysk dać sołtysowi, może jakiegoś kmiota żydopodobnego powiesić. Zabrać trochę kur, kilka cieląt, krowy i tyle.

*Leutnant* Schwibel zdjął czapkę, wychylił się za burtę wozu i podstawił twarz pod chłodny, aromatyczny powiew z lasu.

— Jak się to nazywa? — zapytał siedzącego z przodu kaprała Kutzke.

— Jakiś las, panie poruczniku — odpowiedział Kutzke. — Drobne literki, nie mogę odczytać, a te polskie mapy to niech je... Zielone lasy? Znajomy Las? Może...

— Dobra, nieważne — machnął ręką porucznik.

Co za różnica, jak się wieś nazywa? Wiadomo, że na końcu drogi jest tylko ta jedna, nie da się zboczyć, zbłądzić i... Roześmiał się w duchu. Tak mu się ta myśl spodobała, że postanowił podzielić się nią z kapralem, choć to świnia orłu nie towarzysz, ale można przeciwżyć na nim *bon mot*.

— A jakbyśmy tak zbłądzili i spacyfikowali nie tę wieś, co, Kutzke?

Kapral zastanawiał się chwilę.

— Jak to nie tę, panie poruczniku? Przecież wszystkie są do spacyfikowania — zdziwił się, odwrócił się do tyłu i widząc podpowiedz — uśmiech na twarzy porucznika — zrozumiał dowcip. Roześmieli się obaj.

Służba zbliża.

Z mapy wynikało, że jeszcze cztery kilometry i przekroczą strugę, pewnie jakiś bród. I jeszcze dwa kilometry...

\* \* \*

Natalkę z ogrodu zabrała mama.

— Przyszły Andzia i Marytka, idźcie się pobawić — powiedziała.

Natalka ucieszyła się. Zabawa zawsze lepsza od pielenia marchwi, nawet jeśli można potem zjeść dwie chłodne, prosto z ziemi, słodkie. I skubnąć zielonego groszku.

— Na łąkę możemy, mamus?

— Nie, Natalko, do szopy.

Aha, do szopy. No dobrze. To też lepsze od pracy w ogrodzie.

Wybiegła na podwórze, pomachała do stojących pod bramą koleżanek, te szybko podążyły w jej stronę.

— Jak się uwiniemy, to możemy się potem jeszcze pobawić ze żrebackami, tak powiedziała mama — oświadczyła Marytka.

— No to idziemy.

W szopie, w ich królestwie, było sucho, cicho, powietrze miało nieprzyjemny posmak kurzu i pajęczyn — nikt tu nie zaglądał. Kiedy Marytka zawinęła długą spódnicą, wbił się mały obłoczek pyłu i leniwie zaczął wznosić się w górę.

— Co mamy zrobić? — zapytała Andzia.

I ona, i Natalka popatrzyły na Marytkę, najstarszą w ich trójcy.

— Jadą odniemy — powiedziała i pokazała klepisko.

Wokół starannie wyrysowanego kręgu dziewczynki nawtykały patyczków, tylko z jednej strony zamiast drewniek była wygładzona ręką wstęga, przecięta pełznącym po stycznej do miniaturowego lasu rowkiem.

— Jakie? — zainteresowała się Andzia.

— Ci! — skarciła ją Natalka, która sama chciała zadać pytanie. — Takie jak ten w czarnej sukni? Tak? — zwróciła się do Marytki. — Ty za mała jesteś, przyjechał w zeszłym roku podwodą, latał po wsi, wrzeszczał, wszystkich pryskał wodą, a potem powiesił na zborze dzwonek i dzwonił... A tatko wziął widły i poszli, wszyscy dorośli poszli. A kiedy wrócili, to tatka widły były czyściutkie, prosto z wody, w rowie może umył czy co? Głupi Burek przylazł do tych wideł, jak tatko je powiesił, obwąchał i zaczął wyć. To mu tatko takiego śpica dali, choć gołą nogą, że się rozjazgotał i na dwa dni w budzie schował.

— Nie — oświadczyła Marytka. — Tamten był odmiemiec, a ci są miency albo niency... — Zawahała się.

— Ło matko! A co to za różnica? — piasnęła w dłonie staruszkowym gestem Andzia. — Odniemce to odniemce.

— No!

— To co mamy zrobić?

— Nie puścić — rzuciła Marytka. No pewnie, jak nieraz już.

— No to dalej.

Wstały z kucek, rozeszły się dokoła wyrysowanego kręgu, potem Andzia pomachała ręką i wskazała kilka patyczków:

— Hadziuki tu porębę zrobili!

Marytka powiedziała „uhu” i skinęła głową, Andzia szybko wyjęła parę kijków, robiąc tym sposobem karczowisko. I już było dobrze, tak jak naprawdę we wsi.

Umilkły, zapatrzyły się w klepisko, potem zaczęły mrużyć cicho i wolno, bokiem, nie odwracając spojrzenia od polepy, okrążyły „wieś” z prawej na lewo siedem razy i siedem z lewej na prawo.

Nie liczyły okrążeń, żadna nie umiała nawet do siedmiu doliczyć, ale wiedziały znakomicie, ile razy należy zrobić „toczeń”, żeby zadziałał. Co kilka kroków przystawały jednocześnie i wydmuchiwały mocno powietrze z płuc.

I wracały w tan.

\* \* \*

*Leutnant* Schwibel poczuł nagle dziwną niechęć do dalszej jazdy.

Coś zabulgotało mu w gardle, zakrztusił się śliną, omal nie zadławił. Poderwał się, ukląkł na siedzeniu i wychyliwszy się, zwrócił całe domowe śniadanie. W *Kubelwagenie* nikt nie zwrócił na to uwagi: silnik nagle strzelił głośno dwa razy, potem jeszcze raz i nagle nastała cisza, choć wóz toczył się jeszcze chwilę. Schwi — bel otarł usta, odcharknął, splunął.

— Co jest?

— *Scheifiel* — odważył się warknąć kierowca. — Czuję, że dojechaliśmy.

Stanęli. Kierowca i Kutzke rzucili się do przeglądu silnika. *Leutnant* podszedł do żołnierzy i krzyknął:

— Kto chce, może rozprostować kości!

Dziwne, ale nikt nie skorzystał. Inna sprawa, że jechali dopiero drugą godzinę. Ale przede wszystkim las stał się jakiś... Niemiły... Niechętny... Wrogi? Żołnierze z własnej inicjatywy porozsiadali się tak, by mieć oko na wszystkie strony. Oko i celowniki.

— No i co tu mamy?

Porucznik przepłukał usta wodą z manierki. Splunął, była jakaś siarkowa, kleista i śliska.

— Coś ty tu nalał, Kutzke? — warknął Schwibel.

— Ja nic, to Waldstein, ale widziałem, że łał prosto z wiadra przy studni, jak pan kazał.

*Leutnant* zaklął w duchu, cisnął manierkę do wozu.

— Co z silnikiem?

— Nic nie zrobię, panie poruczniku. Nie wiem, pierwszy raz takie coś widzę...

Schwibel miał ochotę zerwać czapkę, cisnąć ją na ziemię i podeptać doszczętnie, ale przecież niemiecki oficer nie będzie się wygłupiał przed *gemeinen Soldaten*?!

— Musimy wziąć go na hol — powiedział kierowca.

— Tak, i będę jechał i łykał kurz z ciężarówki! — warknął *Leutnant*. — Zostawimy was tu z nim — zdecydował po chwili namysłu. — Jadę w pierwszej ciężarówce, Kutzke — do drugiej. Jazda!

Po chwili ruszyli.

Do brodu było półtora kilometra.

\* \* \*

— Nie stoją — powiedziała Andzia.

Widziały to wszystkie. Toczył zatrzymał ich, ale tylko na chwilę. Trudno, trzeba będzie inaczej. Popatrzyły po sobie.

— Ja! — Natalka pierwsza podniosła palec. — Ene, due, like, fake...

Wypadło na Andzię. Mała zacisnęła usteczka, zmarszczyła czoło, po chwili uśmiechnęła się i przykucnęła nad rowkiem, tam, gdzie przecinał się z wstęgą drogi.

— No! — pogroziła jej Mary tka. — Bo myślałam, że pójde po cebrzyk i będziesz piła, aż tryśnie z ciebie!

Roześmiały się wszystkie.

Już za chwilę będą mogły pójść się bawić ze żrebakami i cielaczkami.

\* \* \*

Droga skręciła raz jeszcze i pokazała się najpierw tablica, chyba z nazwą wsi, a za nią mostek.

No tak — Zielone Las?

Mostek solidny, nadspodziewanie solidny, z grubych modrzewiowych bali, na to jodłowe kłocce. Ciężarówki przejadą spokojnie, pomyślał *Leutnant* Schwibel.

W złą godzinę.

Nad lasem nagle przemknęło lichy. Nie mogło to być nic innego — niespodziewanie w środku słonecznego letniego dnia w szczyty drzew chlasnęło coś ciemnego, zimnego, siekącego... Wiatr w pierwszej chwili przemknął w poprzek drogi, ale zaraz jakby zawrócił i zaatakował kolumnę z dwóch wozów od czoła. Droga, dotąd uklepana i zwarta, sypnęła pod podmuchem kurzawą pyłu, liści, szpilek, kory, gałązek...

Kierowca gwałtownie wbił stopę w pedał hamulca, jakiś większy kawał drzazgi z poręby huknął w szybę, zerwał wycieraczkę. Nad i za swoją głową porucznik słyszał przekleństwa żołnierzy, którzy nawet nie pomyśleli jeszcze o naciągnięciu tentu.

— *Wirfahren zurück!*

— *Verdammtes Land!*

— *Scheiße, Scheiße!*

— *Heilige Maria!*

— Au — ła!!

A potem, jeśli ktoś myślał, że znaleźli się w piekle, to miał okazję zrewidować swoją myśl. To był czyściec albo przedczyściec.

Piekło zaczęło się dopiero teraz. Upiorna burza zwała się prosto na nich. Huragan targał i miotał czterotonowymi maszynami jak wściekły ojciec drącym się od kilku godzin w kołysce bachorem. Z nieba waliła gęsta, sina i zimna struga wody. Pioruny rąbały chyba wszędzie, omijając — może na razie — ciężarówkę. Schwibel pomyślał, że w rowie może być bezpieczniej, sięgnął do klamki. Kierowca rzucił się do niego.

— Nie wylaż! — wrzasnął, ze strachu przechodząc na ty. — W samochód piorun nie strzeli! Huknęło tak, że wszyscy ogłuchli na moment. Jakieś drzewo eksplodowało i nawet płonęło mimo ulewy. Potoki wody pokonały jednak ogień. Potem na chwilę deszcz jakby zelżał, zobaczyli drogę, piorun strzelił dwukrotnie w dwa potężne buki po lewej od mostu. Zwały się natychmiast, krusząc go i załamując swoim ciężarem. Znowu zaczęło lać silniej, znowu świat za szybami szoferki zniknął zmyty strugami wody.

— *Vater unser im Himmel...* — Kierowca szybko mamrotał pacierz, wczepiwszy się dłońmi w poprzeczki kierownicy tworzące, jakby ktoś chciał tak myśleć, kształt krzyża.

Nagle wszystko ucichło. Tak samo raptownie, jak się zaczęło. Jeden mocny podmuch, ciężarówka się za — kołysała, deszcz ustał w jednej chwili, dmuchnęło jeszcze raz, z dachu i jakichś wklęsłości na szybę poleciała woda. Ulewa się skończyła.

Odczekali chwilę, potem Schwibel otworzył drzwi, popatrzył na grunt pod stopami, wybrał miejsce i wyskoczył na drogę tak, by nie wpaść do kałuży. Poszedł wzdłuż paki. Żołnierze, doszczętnie i kompletnie mokrzy, przeklinali i milkli na jego widok. Potrząsali swoimi mauzerami, niektórzy, co odnotował *Leutnant*, wyławiali broń z basenu, w jaki nagle zmieniła się paka ciężarówka — szczelinami ciągle lały się z niej płaskie strugi, musiało tam być z pół metra wody. Ktoś w końcu otworzył tylną klapę, chlusnęło. Schwibel zastanawiał się chwilę, ale nie przychodził mu do głowy żaden rozsądny rozkaz, no bo co: Rozbierać się? Suszyć? Zamknąć gęby?

Ruszył w kierunku mostu.

Nie mieli żadnych szans dostać się na drugą stronę, ponieważ z mostu pozostały jedynie żalosse resztki, a i bród był kompletnie zatarasowany dwoma gigantycznymi, wiekowymi bukami. Z tymi piłami, które mieli w obowiązkowych zestawach w samochodach, walczyliby z przeszkodą dwa tygodnie.

Splunął pod nogi, potem pomyślał, że w tym przeklętym miejscu nie należy tak okazywać swojej niechęci. Szybko wrócił do ciężarówki.

— Dasz radę zawrócić? — zawołał do dygocącego ciągle kierowcy.

Tamten rozejrzał się, pokręcił przecząco głową.

Trudno. Muszą w wstecznym, kilkaset metrów dalej, jak Schwibel pamiętał, jest nieco szerzej, tam zawrócą.

— Wsiadać. Kto zresztą chce, może się przebiec na rozgrzewkę! — krzyknął do żołnierzy.

Połowa skorzystała z możliwości. Schwibel też szedł.

Odwrócił się i popatrzył jeszcze raz na mostek. Dziwne, ale spomiędzy gałęzi wystawała nadal tablica.

## EJOMME LAS

Co za parszywy język ten polski, przemknęło *Leutnantowi* przez myśl. Zaraz jednak zaprzętnął go inny problem. Jak opowiem o tej upiornej burzy i pokażę glanc buty, to mnie pod sąd postawią.

Z tego też powodu, gdy się pośliznął, skorzystał z okazji i zwał się w błoto, nie bacząc na

krótkie chichoty żołnierzy. Odpowiedni moment wybrał sobie na ten upadek, bo po dwustu metrach blocko się skończyło. Tu — jest, a dwa kroki dalej — nie ma. Jak nożem.

Żołnierze wychodzili na suchą drogę, tupali, strzepywali wodę z włosów i rękawów, wszyscy co do jednego odwracali się i patrzyli na kałuże, przez które przed chwilą brnęli. Wszyscy milczeli, robili zwrot i myśleli tylko o tym, jak by tu o tym nie myśleć.

Kierowcy udało się zawrócić na suchym, porucznik wsiadł do szoferki. Gdy ruszyli, rzucił jeszcze jedno spojrzenie w lusterko.

W lusterku nazwa wsi kompletnie się odmieniła, ale wóz podskoczył na garbie koleiny, Schwibel omal nie odgryzł sobie koniuszka języka.

Szlag by trafił, wojna trwa niecały rok, a on ma już jej powyżej uszu!

\* \* \*

Dziewczynki popędziły do zagrody dla cieląt, źrebiąt i jagniąt. Nie co dzień pozwalano im się bawić z tymi małymi, puchatymi, mięciutkimi stworzeniami. To nie zabawa, to żywe istoty dane człowiekowi do pracy. Nie do igr.

Ale tym razem — pozwolono.

Matka Andzi przystanęła przy studni, przyglądała się długą chwilę dziewczynkom radośnie obcałowującym owieczki. Westchnęła.

— No co? — zapytał Tompac z nieodłącznym śmierzduchem w ustach. — Przecież udało się?

— Tak — westchnęła. — Znowu.

— No, znowu. Właśnie. To czym się przejmujesz?

Objął żonę, rzucił ponad jej głową szybkie spojrzenie w lewo i prawo, zacisnął dłoń na twardej piersi.

— Idź ty! — Wyrwała się z objęć.

— No co?

— Nic. Nie podoba mi się to. Wiedział, co miała na myśli, mówiąc „to”.

— Dlaczego? Zawsze tak było, zawsze mieliśmy wsparcie i ochronę, i dobrze nam z tym, nie? Patrz, tam gdzieś podobno się biją, palą, mordują... A my? My mamy swoje dziewczynki i to nam wystarczy. Ziemia rodzi, deszcze na zamówienie, nie ma pożarów, grabieży... Raj.

— Raj! — prychnęła.

— No, nie taki, jak obiecują ci tam... wiesz... Ale ofiarowany przez naszego Pana, nam, więc korzystajmy z tego.

— A dziewczynki?

— Co dziewczynki?

— Wiesz, co. One wyrastają, i już nie są takie miłe, i takie chętne, i takie dobre, prawda?

Przemilczał.

— No właśnie. Wszystkim się podoba, że mamy takie pomocnice małe, a to, co się dzieje z dużymi, to już nikogo nie obchodzi!

— A niby co się dzieje? — mruknął, podeszwą bosej, sękaty stopy wygładzając ziemię.

— No niby nic, tylko musimy się ich pozbywać, nie?

Milczał.

— I udajemy, że nie podrzucamy innym takich... kukułczych jaj, nie? A przecież one nie są już takie milusie! Nie są chętne do czynienia dobra, a nawet powiedziałabym, że są chętne do robienia czego innego.

— No... nie wiem...

— Właśnie — westchnęła. — Nie wiesz... Nikt nie wie, bo i nie chce wiedzieć... A ja się

czasem budzę i pytam samą siebie: co się dzieje z tą Janką, co to wy — wędrowała pod Oświęcim, z tą Olą, co to umieścili ją pod Lublinem? Co z tą Kasią, co to pojechała do Niemiec aż? Co? A chłop milczał...

*Tomasz Pacyński*

# **DER TOTENKOPF**

Tomasz Pacyński urodzony 4 lutego 1958 roku, zmarł 30 maja 2005 roku. W roku 2001 po opublikowaniu powieści *Sherwood* porzucił zawód informatyka i skoncentrował się na pracy twórczej. W 2002 roku opublikował *Wrzesień* — powieść political fiction, która spotkała się z szerokim oddźwiękiem w środowiskach czytelniczych i wśród krytyków. Kolejne lata poza kontynuacją *Sherwood* zaowocowały licznymi opowiadaniem, które ukazały się między innymi w zbiorze *Linia Ognia* (Fabryka Słów, 2005). Tomasz Pacyński dał się również poznać jako publicysta. Jego felietony, podobnie jak opowiadania, ukazywały się na łamach „SFery”, „Fantasy” oraz „Science Fiction”. Razem z Eugeniuszem Dębskim i Andrzejem Ziemiańskim przyczynił się do powstania największego polskiego e-zinu poświęconego literaturze fantastycznej — „Fahrenheit”, którego do chwili śmierci był redaktorem naczelnym.

## I

Odkładany widelec cichutko brzęknął o brzeg talerza. *Hauptsturmführer* Otto Diehl uniósł wysmukły kieliszek, popatrzył na płonące w lichtarzu świece poprzez rubinowy płyn.

— *Prosit*, panie kolego. Człowiek tytułowany kolegą zwlekał chwilę. Wiedział, że to idiotyczne, ale przez cały czas starał się chować dłonie. Sine, podbiegłe krwiakami paznokcie nie pasowały do śnieżnobiałego obrusa, porcelanowej zastawy, przygaszonego, matowego poblasku sreber. Do kieliszków i czerwonego, ciężkiego bordeaux. W końcu ujął szklaną nóżkę i omal nie zadławił się powstrzymywanym, histerycznym śmiechem. Mały palec sterczał zabawnie w bok, jak u małomiasteczkowego eleganta, który usiłuje być wykwintny.

Nie mógł na to nic poradzić. Opuchnięte stawy nie chciały się zginać. Lewa dłoń wyglądała jeszcze gorzej. Trzeba przyznać, pomyślał, że znali się na rzeczy. Nic nie złamali, co wzięwszy pod uwagę, że używali ciężkich buciorów, zakrawało wręcz na artyzm.

Wciąż był oszołomiony sytuacją. Kontrast pomiędzy dyskretnie eleganckim wnętrzem a celą z betonową posadzką był zbyt wielki. Wcześniej jazda więzienną karetką bez okien, na tyle długa, by wiele razy mierzyć w myśli odległość, jaka dzieli więzienie na Pawiaku od lasu w Palmirach. A na koniec niespodzianka.

Potrząsnął bezwiednie głową. Był z natury analitykiem, starał się porządkować fakty, wyciągać wnioski. Ale to, co się działo, było zbyt irracjonalne, zbyt zwariowane. Rankiem brutalne śledztwo, cuchnąca strachem i śmiercią cela, wieczorem wykwintna kolacja z kimś, kto wprawdzie nosił zniechęcony czarny mundur, ale tytułował go „kolegą”.

Postanowił niczemu się nie dziwić. I tak wszystko musi się wyjaśnić, w końcu nie zaprasza się kogoś na kolację, by zaraz potem, kiedy służba uprzątnie zastawę i pogasi lichtarze, rozstrzelać.

Uniósł swój kieliszek. Już nie starał się ukryć śladów przesłuchania. I tak były widoczne, również na twarzy. Miał okazję obejrzeć się dokładnie w lustrze, po kąpieli.

— *Prosit* — odpowiedział uprzejmie.

Umoczył wargi w winie. Było niezłe.

Diehl podziękował skinieniem głowy. I milczał.

Mężczyzna tytułowany kolegą przyglądał mu się uważnie, choć starał się czynić to niezbyt natarczywie. Diehl pasował do tego wnętrza, tym bardziej teraz, w znakomicie skrojonym garniturze. Nie miał w sobie nic ze stereotypu esesmana, świńskiego blondyna o niebieskich oczach. Przypominał raczej południowca, szczupłego, o szybkich, nieco nerwowych ruchach i ciemnych, gładko przylizanych włosach. Dość długich, jak można było zauważyć, i niewątpliwie nieregulaminowych.

Niemiec uśmiechnął się. Widać spostrzegł, że jest obiektem obserwacji. Uśmiech był nieoczekiwanie ciepły i ujmujący.

— I jak wypadłem, panie kolego? — spytał. Spoważniał nagle i otarł serwetką usta. — Cóż... — zaczął powoli. — Wybacz pan, *Herr Doktor*, ale daruję sobie przeprosiny.

Popatrzył wymownie na sine, poobijane dłonie rozmówcy.

— Jest wojna — ciągnął tonem towarzyskiej konwersacji. — Powtarzam truizmy zapewne, bo i tak pan o tym wie, panie kolego. I tak się składa, że jest pan po przeciwnej stronie. Tej, która przegrała.

Uśmiechnął się znów.

— Wiem, mamy rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci. I może pan powiedzieć, że jeszcze nie wiadomo, kto tak naprawdę wygrał. Cofamy się planowo na froncie wschodnim, a pan może z

tego wysnuwać dowolne wnioski.

Skrzywił się i obrócił w palcach pusty kieliszek.

— Byle nie za daleko idące. — Jego głos stwardniał. — Cóż, jestem realistą, panie kolego. I radziłbym też, *Herr Doktor*, wziąć przykład ze mnie. Zwłaszcza w pańskiej obecnej sytuacji.

Pokręcił głową.

— Niech mnie pan źle nie zrozumie. To nie groźba, ale musi pan przyznać, że owa sytuacja jest... hmm...

Zmarszczył brwi, szukając odpowiedniego słowa.

— Asymetryczna — dokończył wreszcie. — Tak, to dobre określenie, choć przecież eufemizm. Prawda, doktorze Krauze?

Mężczyzna nazwany doktorem Krauze spuścił wzrok. Machinalnie grzebał widelcem w talerzu.

— Niech pan je, panie kolego — zatroszczył się Diehl. — Cóż ze mnie za gospodarz, zanudzam gościa.

Krauze popatrzył mu prosto w oczy. Esesman nie zmieszał się ani trochę.

— Tak, gościa — potwierdził z naciskiem. — Co więcej, mogę panu obiecać już teraz, że ta cała godna pożałowania sprawa zostanie puszczona w niepamięć. Chociaż to trudne, jak zapewne pan wie...

Zawiesił głos. Obserwował przez chwilę, jak Krauze niezdarnie usiłuje odkroić kawałek soczystego kotleta schabowego. Szło mu niesporo, sztucce wymykały się ze sztywnych, opuchniętych palców.

— ...*Herr Hauptmann* — dokończył Niemiec i zmrużył ironicznie oczy. Z uznaniem spostrzegł, że twarz Polaka nawet nie drgnęła. Ale spodziewał się tego.

— Jeschke! — rzucił ostro i strzelił palcami. Siwowłosy, krótko ostrzyżony mężczyzna w średnim wieku podbiegł do stołu, strzelił obcasami.

O ile Diehl w dobrze skrojonym garniturze pasował do mieszczańskiej elegancji wnętrza, do obitych pluszem mebli, miękkich zasłon, skrzącego się kryształowymi szybkami kredensu, to Jeschke wyglądał zupełnie nie na miejscu. Białą kelnerską marynarkę nosił z wyraźnym obrzydzeniem, widać było, że mu nieswojo. Znacznie lepiej czułby się w plamistej pelerynie, ze szmajserem zamiast srebrnej tacy.

— Nowe nakrycie dla pana doktora — rzucił Diehl. — I kotlet ma być pokrojony.

— Tak jest, *Hauptsturmführer* — szczerką przebrany za kelnera podoficer. Wykonał wzorowy w tył zwrot, omal nie wyrywając obcasami dziur w dywanie.

Diehl spojrział za nim z zadumą. Wydobył z kieszeni srebrną papierośnicę. Szczerką zameczkiem.

— Nie częstuję, pan będzie jeszcze jadł — mruknął przepaszająco.

Trzasnęła zapalniczka, Niemiec zaciągnął się głęboko. Obrócił papierosa w palcach, popatrzył na bibułkę.

— Amerykańskie — dodał. — Korzyści ze stanowiska, jak się pan zapewne domyśla. I dobre układy w zaopatrzeniu.

Krauze pokiwał głową. Zapach dymu, który wydmuchnął Diehl nad stołem, spowodował, że poczuł skurcze żołądka. Dałby wszystko, żeby teraz zapalić. Ale postanowił, że nie poprosi.

Wrócił Jeschke, balansując srebrną tacą. Udało mu się zmienić nakrycia, nie zalewając zbytnio obrusa sosem. Diehl, widząc tłustą plamę, lekko zmarszczył brwi.

— Niech pan je, *Herr Doktor*. — Uczynił zapraszający gest. — A ja skorzystam z okazji i wyjaśnię parę spraw.

Skrzywił wargi w swoim ujmującym uśmiechu.

— Bo coś się nam ta rozmowa nie klei, przyzna pan, kolego? Wiem, wiem... — Machnął

uspokajająco ręką. — Nie dziwię się, na pańskim miejscu też byłbym zaniepokojony.

Mam nadzieję, że szybko znajdziesz się na moim miejscu, przemknęło Krauzemu przez głowę. Nie tu, naturalnie, tylko na Pawiaku. Albo w innym równie miłym miejscu. I z równie miłymi perspektywami na przyszłość.

Wbił widelec w apetyczny, pachnący kawałek mięsa. Jeschke, lub ktokolwiek inny, kogo tam przebrano za kucharza, postarał się. Przyrumieniony schab był pokrojony z iście niemiecką dokładnością.

Żuł ostrożnie. Zęby też się ruszały, jeden był złamany. Krauze nie mógł się powstrzymać od dotykania go językiem, choć to bolało. Widać nerw został na wierzchu.

— Jerzy Krauze... — zaczął Diehl cicho. — Dobre niemieckie nazwisko.

Trzeba było żuć jedną stroną. Wtedy mniej bolało, chociaż ułamany pień i tak już pokaleczył policzek od wewnątrz. Krauze nabrał na widelec kiszonej kapusty, tłustej, przysmażanej ze skwarkami. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni taką jadł. Jeszcze przed wojną chyba, pomyślał, tak, na pewno. Przecież później nie było okazji. Przymknął oczy. Przed oczyma stanęło wspomnienie przywołane smakiem i zapachem. Jasna sala restauracyjna, melodyjny kobiecy głos...

— Co, nie zaprotestuje pan? — Śmiech Niemca wyrwał go ze wspomnień.

Spojrzał. W oczach Diehla błyskała kpina.

— Nie powie pan, że jest Polakiem? — Esesman pokręcił głową z udawanym zdumieniem. — Przecież na ogół tak mówicie, o ile wiem. Jeden taki nawet dowcip opowiedział. Że jeśli kura zniesie przypadkiem jajo w chlewie, to nie znaczy, że się z niego wykluje świnia.

Popatrzył uważnie w twarz rozmówcy.

— Nie śmiesz to pana, *Herr Doktor*? — spytał.

Krauze uniósł kolejny kęs do ust. Żując ostrożnie, pokręcił w milczeniu głową.

— I słusznie — mruknął Diehl. — Kiepski dowcip. Choć trzeba przyznać, że opowiadanie go wymaga odwagi.

Popatrzył na siedzącego naprzeciw mężczyznę, który odłożył widelec zdecydowanym ruchem.

— Niech pan wreszcie powie, o co chodzi. — W głosie Krauzego brzmiało znużenie. Rzeczywiście, miał dość. Obawiał się poza tym, że za chwilę powie za dużo, a domyślał się, że wkrótce zacznie się właściwa rozmowa. Wycieńczony śledztwem i głodówką popełnił błąd. Czuł ciężar w żołądku, zdradliwe uczucie sytości, które powodowało błogie ośpienie. Najchętniej położyłby się, zasnął i nie myślał o niczym.

Diehl schylił się po zgrabną, skórzaną aktówkę, którą wcześniej oparł o krzesło.

— No proszę, jednak się pan w końcu odezwał. Nie, nie... — Machnął ręką w proteście. — To nie pretensje. W końcu rozumiem doskonale pańskie położenie, panie kolego. Ale do rzeczy.

Wydobył z aktówki kartonową teczkę. Położył przed sobą na stole, ale wciąż nie otwierał.

— Kawy? — zaproponował.

Krauze nie mógł powstrzymać grymasu zdziwienia. Nie liczył na to wcale, nie spodziewał się żadnych ułatwień. Prędzej może, że komedia skończy się wreszcie, a obaj Niemcy, Diehl i ten drugi, Jeschke, skoczą i zaczną go kopać podkutymi buciorami.

— Tak, dziękuję — odparł niepewnie. Wciąż niczego nie rozumiał, ale poczuł nagły przypływ optymizmu. Miał nadzieję, że kofeina postawi go na nogi.

Esesman strzelił palcami. Gdzieś za plecami Krauze — go rozległo się stuknięcie obcasów, potem skrzypnęły drzwi. Pełniący chwilowo obowiązki kelnera *Rottenführer* Jeschke poszedł po kawę.

— Świetnie pan mówi po polsku — mruknął Krauze. Diehl bębnił palcami w szarą tekturę teczki. Milczał chwilę. Spoza salonu dobiegł podniesiony głos. Jeschke widać z ulgą zrzucił skórę

kelnera, kiedy tylko znalazł się za drzwiami. Sztorcował właśnie kucharza, traktując go per *Schweinehund*. Ta niespotykana zoologiczna krzyżówka raczej nie była nazwiskiem.

*Hauptsturmführer* też słyszał. Skrzywił się nieznacznie.

— Musi pan wybaczyć, panie kolego. Jest wojna, jak mówiłem, a pocziwy Jeschke to tak zwany swój chłop — wyjaśnił.

Przesunął w stronę Krauzego srebrną papierośnicę. Ten skwapliwie skorzystał, starając się ukryć drżenie rąk. Udało mu się wyłuskać jednego papierosa mimo braku czucia w opuszkach palców. Diehl pochylił się w jego stronę, podał ogień. Krauze podziękował uprzejmym skinieniem głowy.

Pierdolony Wersal, przemknęła myśl. Zaciągnął się głęboko i rozkaszał.

— Niech pan uważa, mocne — skarcił go łagodnie Diehl. — A pan pewnie długo nie palił.

Istotnie, pomyślał Krauze. Zwłaszcza cameli. Będzie ze trzy miesiące.

— Pytał pan, skąd znam polski? — Diehl coś mówił jeszcze, ale Krauze już w zasadzie nie słuchał. Od nikotyny zaszumiało mu w głowie bardziej niż od dwóch wypitych wcześniej kieliszków wina. Ledwie do niego docierał cichy, kulturalny głos esesmana, bez zauważalnego obcego akcentu.

— Urodziłem się w Bromberg. Po waszemu Bydgoszcz. Był pan tam kiedyś?

Nie doczekał się odpowiedzi i pokiwał głową.

— I nie ma pan czego żałować. To dziura. Po prostu dziura.

\* \* \*

— Jerzy Krauze. Porucznik rezerwy. — Diehl położył przed sobą kartkę maszynopisu ozdobioną sinymi pieczęciami, ale nawet na nią nie spoglądał. Wpatrywał się w twarz rozmówcy. — Lat czterdzieści dwa. Urodzony...

Popatrzył teatralnie na maszynopis. Postukał weń ołówkiem.

— No proszę — uśmiechnął się złośliwie. — W Bydgoszczy.

Krauze milczał. Oglądał swoje posiniałe, podbiegłe krwią paznokcie.

— Nieładnie — pokręcił głową Diehl. — Nie bawmy się w małe kłamstewka, dobrze?

Tym razem Krauze się uśmiechnął. Gra zaczynała go wciągać. I tak nie miał nic do stracenia.

— Przecież nie zaprzeczyłem — odparł. Esesman spowaźniał.

— To prawda, nie zaprzeczył pan — przyznał. — Ale umówmy się. Nie będzie pan ukrywał drobiazgów, dobrze? Szybciej dojdziemy do porozumienia.

Śmiech Krauzego zabrzmiał całkiem szczerze.

— Pan żartuje — powiedział tylko, kiedy już uspokoił się na tyle, że mógł w ogóle wydobyć głos. — Wie pan tyle, że o żadnym porozumieniu chyba nie ma mowy. Panie kolego... — przeciągnął ironicznie dwa ostatnie wyrazy.

Wiedział, że ryzykuje. Ale miał wrażenie, że sytuacja wymyka mu się z rąk, o ile w ogóle mógł jeszcze sądzić, że nad czymkolwiek panuje.

Miał nadzieję, że Diehl straci panowanie nad sobą. Że da się sprowokować, pryśnie cienka warstewka dobrych manier. I znów będzie wszystko jasne. Zdawał sobie sprawę, że Niemiec doskonale zna jego tożsamość. Pytanie tylko, jak wiele wie. I po co ta cała komedia. Nie sądził, że Diehl może być aż tak naiwny, żeby zakładać, iż obietnicą dobrego traktowania przeciągnie go na swoją stronę. O ile wiedział, jak dotąd nic podobnego się jeszcze nie wydarzyło. Ale i tak gdzieś głęboko kołatała się nadzieja. Może nie wszystko stracone, może głupia wpadka nie oznacza jeszcze śmierci. Dlatego trzeba podjąć grę, choć nadal nie wiadomo, na czym ona polega. Złościło go, że nie wie, kim jest Diehl. *Hauptsturmführer*, dość wysoki stopień w SS. Co gorsza, miał

wrażenie, że już kiedyś słyszał to nazwisko. I za nic nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy.

Zdziwił się, nie widząc złości na twarzy esesmana. Tylko dziwny grymas. Diehl wyglądał, jakby ktoś wyrządził mu niezасłużoną przykrość.

— No cóż, nie wierzy mi pan. — Pokiwał głową. — Wypada mi tylko powtórzyć, że specjalnie się panu nie dziwię. No dobrze...

Odchrząknął, poprawił się na krześle.

— To w takim razie zacznę. Być może, jaśniej pokaże to panu moje intencje, wyzbędzie się pan wątpliwości. I inaczej rozpatrzy ofertę.

Spojrzał zniechęcony na Krauzego. Ten nie potrafił ukryć zaskoczenia.

— Tak, będzie i oferta. — Głos esesmana stwardniał. — A pan, *Herr Doktor*, będzie miał wolny wybór. Skorzystać z niej lub wrócić tam, skąd pan dziś przybył.

Krauze zacisnął bezwiednie pięści. Zabolalo. Ale wreszcie wszystko zaczynało stawać się jasne.

— Jerzy Krauze. Porucznik rezerwy, ukończona Szkoła Podchorążych w Thorin. W Toruniu, znaczy. Artylerzysta, prawda?

Diehl rzucił szybkie spojrzenie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął dalej.

— Rozwiedziony, bezdzietny. Zmobilizowany trzydziestego dziewiątego w sierpniu. Nie trafił do niewoli. I tak naprawdę słuch o nim zaginął.

Esesman sięgnął do teczki, wyjął drugi dokument. Przebiegł wzrokiem, choć i tak znał na pamięć jego treść.

— Zatrzymany przed miesiącem, posługiwał się dokumentami na nazwisko Kozioł. W obozie przejściowym na Skaryszewskiej rozpoznany przez niejakiego...

Diehl przewrócił kartkę.

— Gonschorka...

Józio Gąsiorek, pomyślał Krauze i nie zważając na ból, zacisnął zęby. Kto by przypuszczał, szeregowy z mojej baterii jest pierdolonym folksdojczem.

— Przekazany gestapo — dokończył Diehl. Zawahał się. — Zdaję sobie sprawę, że metody moich kolegów...

— Jest wojna — przerwał ironicznie Krauze. — Jak pan mówił, to wiele usprawiedliwia.

Niemiec pokiwał głową w zamyśleniu.

— I owszem. — Podniósł wzrok znad papierów. — Bo te metody, jak się okazuje, są skuteczne. Wprawdzie nie wobec pana. Ale wiemy skądinąd, że już podczas śledztwa wyszło na jaw, że pan Kozioł to tak naprawdę żaden Kozioł, i nawet nie Krauze, ale kapitan Żagiew. Ładne pseudo — uśmiechnął się Diehl.

Kapitan nie odpowiedział uśmiechem. Nie chciał się już nawet zastanawiać, kto sypnął. I nie mógł nikogo winić. Zdawał sobie sprawę, że sam przeszedł za ledwie przedsmak śledztwa. Oprawcy wciąż mieli nadzieję, że dowiedzą się więcej. Byli ostrożni.

Diehl zamilkł. Przeglądał w zamyśleniu kolejne papiery. Krauze pociągnął ostatni łyk z filiżanki, sięgnął po dzbanek. Jak spod ziemi pojawił się Jeschke, uprzedzając jego ruch.

Krauze spojrzał na Niemca, kiedy ten ostrożnie nalewał kawę. Gęba podoficera skrzywiła się w uśmiechu. On też starał się być uprzejmy.

— *Danke* — mruknął kapitan, kiedy Jeschke podsunął mu cukiernicę. *Rottenführer* stuknął obcasami.

Kawa była mocna, słodka i wciąż gorąca. Rozjaśniała myśli. Ale wciąż nic się nie chciało układać.

— Widzi pan... — zaczął wreszcie Diehl po dłuższym, ciężkim milczeniu. — Jest pan wrogiem. Według prawodawstwa Rzeszy winien pan być stracony. Tak, wiem, jest pan oficerem,

żołnierzem. Jak my wszyscy. Ale jest wojna i pan jest w tej gorszej sytuacji. Pan przegrał.

Krauze pokiwał głową. Co masz w zanadru, zastanawiał się cały czas, ile wiesz? On sam wiedział jedno. Póki rozmawiają, jest jeszcze czas. Są szansę.

— Zgadza się pan, prawda? — spytał Niemiec i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej. — Więc wie pan również, że nie ma nic do stracenia. Oprócz, zapewne, tygodni śledztwa. Bo koniec i tak jest przesądzony. Jest pan winien jak cholera.

Uderzył wyprostowaną dłoń w papiery na stole. Zastawa zadzwoniła cicho.

— Mogę? — spytał Krauze. Wskazał otwartą papierośnicę.

— Ależ oczywiście. — W kącikach oczu esesmana pojawiała się drobna siateczka zmarszczek, kiedy się uśmiechał. Nie jest tak młody, na jakiego wygląda na pierwszy rzut oka, spostrzegł Krauze ze zdziwieniem. W rysach Niemca było coś znajomego, aż zmarszczył brwi z namysłem.

— Niech pan się tylko dobrze zastanowi, *Herr Doktor*. — W głosie Diehla dało się słyszeć nutkę ostrzeżenia. — I niech pan nie uważa tego za ostatniego papierosa, bardzo proszę. Żadnych oklepanych zdań o honorze, obaj wiemy, czym jest. Jesteśmy przecież żołnierzami.

Trzasnął kółkiem zapalniczki. Sam też zapalił.

— Dobrze, nie traćmy czasu. — Zgarnął zdecydowanym ruchem papiery z obrusa. Wepchnął je do aktówki, gniotąc niedbale, jakby przestały już być potrzebne. Zapewne nie były, Diehl doskonale pamiętał fakty. Ale urzędowe dokumenty zawsze robiły wrażenie. Były bezosobowe, stanowiły wytwór potężnej urzędniczej maszyny. I wszechwiedzącej. Życiorys odczytany z kartoteki sprawiał wrażenie przemielonego przez niewidzialne tryby, redukowało człowieka do rubryk z wpisanymi adnotacjami. Kwalifikował ostatecznie i nieodwołalnie.

Krauze o mało się nie roześmiał, kiedy spostrzegł, że odetchnął z ulgą, gdy papiery zniknęły. To bez sensu, pomyślał, w tej sytuacji zwłaszcza. Los był wcześniej przesądzony, pytanie tylko, ile brutalnych przesłuchań trzeba będzie wytrzymać. Bo przecież nie można nikogo rozstrzelać dwa razy.

Miał teraz dziwne uczucie zawieszenia. Już przecież pożegnał się z życiem. Owszem, jak przystało na oficera, nie poddawał się. Ale też zdawał sobie sprawę, że ucieczka była nierealna. Pozostawał tylko jeden problem. Wytrzymać i nie sypać.

Kiedy wcześniej poprowadzono go do samochodu, zwykłej, wojskowej ciężarówki na dziedzińcu, poczuł ulgę rozlewającą się ciepłem po całym ciele. Już nie musiał się bać, już się dokonało. Albo niedługo dokona. Las, głęboki wykop, ostatni haust świeżego powietrza. I spokój. Bez strachu, bez lęku o własną wytrzymałość, odporność na ból. Bez niepewności.

Nagły przeskok z celi, potem trzęsącej się skrzyni pokrytej plandeką, do stołu przykrytego śnieżnobiałym obrusem był zupełnie abstrakcyjny, jak z sennej fantazji. Krauze wciąż zastanawiał się, czy po prostu nie zwariował, czy jego umysł nie uciekł w obłąd. Ale świat, pomijawszy irracjonalne okoliczności, był wciąż realny.

— *Herr Krauze*? — Natarczywy głos Niemca przywrócił go do rzeczywistości.

Poderwał głowę. Chwilę spoglądał nieprzytomnie, sylwetka Diehla po drugiej stronie stołu jawiła się jako niewyraźny kształt. Długą chwilę trwało, zanim udało mu się zogniskować wzrok na tyle, by w oczach esesmana dojrzeć nieklamane zaniepokojenie.

Jestem słaby, musiał przyznać. Wycieńczony, zagłodzony i pobity, szansę na ucieczkę są mizerne, jakkolwiek pojawiłaby się okazja.

— Panie kolego? — Diehl pochylił się nad stołem, potrząsnął go za ramię. — Przepraszam, zaraz skończymy. Teraz niech pan jeszcze chwilę uważnie posłucha, od tego wiele zależy.

Krauze już się ocknął. Zebrał wszystkie siły, jakie jeszcze mu pozostały. I właśnie w tej chwili w nagłym błysku przypomnienia rozpoznał pochylającą się nad nim twarz. Aż się roześmiał.

Esesman cofnął się zaskoczony.

To było takie proste, pomyślał Krauze. Wyraźne wskazówki, choćby uparte tytułowanie *Herr Doktor*. Był zły na siebie. Nawet biorąc pod uwagę okoliczności, powinien przecież pamiętać, choć to już tak dawno. Prawie zapomniał, kim sam był kiedyś, teraz nie myślał o sobie inaczej jak o żołnierzu. Jak mało trzeba, błysnęła refleksja, by stracić jasność myślenia, spostrzegawczość. Kilkanaście dni bicia, głodu. Odepchnął z wysiłkiem niechciane myśli.

— Otto Diehl — powiedział powoli. — Doktor Otto Diehl, jak sądzę?  
Niemiec uśmiechnął się melancholijnie.

— No, nareszcie — powiedział z ulgą. — Mundur zmienia człowieka, prawda? — zauważył.  
Zwłaszcza ten mundur, pomyślał Krauze. Skinął potakująco głową.

\* \* \*

Pożółkła od tytoniowego dymu firanka zaczepiła się o pelargonie na parapecie. Starszy mężczyzna w grubych okularach zmrużył oczy i zaklął pod nosem. Chwilę szarpał się z oporną koronką, usiłując wysupłać z niej blade, zimowe listki. Wreszcie zrezygnował. Ułamana gałązka wplątana w materiał pozostała.

Przypomina belfra, pomyślał po raz któryś Krauze. Nudnego, złośliwego dziadygę, który zaraz otworzy dziennik i będzie przepytował z łacińskiej koniugacji. Albo równie irracjonalnych rzeczy. Potem wygłosi wykład o leniwej dzisiejszej młodzieży.

Starszy pan jeszcze raz odchylił firankę, zerknął na ulicę, pustą i wyludnioną. Stał jak zwykle nieco z boku, tuż przy ścianie. Ktoś, kto spoglądałby akurat w okno, uznałby zapewne, że to przeciąg porusza zasłonami. Krauze uśmiechnął się pod nosem.

Te środki bezpieczeństwa były i tak iluzoryczne. A co więcej — niepotrzebne. Lokal był czysty, sprawdzony. A w bramach przy brukowanej kocimi łbami czerniakowskiej uliczce stało kilku znudzonych chłopaków w lśniących oficerkach, gotowych w każdej chwili rozpiąć kapoty i błysnąć matową oksydą lufy szmajsera czy stena.

— Coś pana śmieszy, kapitanie? — rzucił ostro siwowłosey, wracając do stołu. Krauze wyprężył się odruchowo na krześle. Spowaźniał.

— Nie, panie majorze — odpowiedział krótko.

Wyglądający na belfra starszy pan tylko przypominał z wyglądu puchacza, w swych okrągłych okularach, ze sterczącymi po bokach czaszki siwymi włosami. Ci, którzy uważali go za starego niezgułę, rychło rozumieli swój błąd. Puchatek, jak go powszechnie nazywano, ignorując jego oficjalne pseudo, potrafił być ostry dla podwładnych. I przykry.

— No to proszę kontynuować.

Puchatek usiadł naprzeciw, przy okrągłym, przykrytym koronkowym obrusem stole. Przymknął oczy. Krauze milczał jeszcze chwilę, zbierał myśli.

Rozmawiali już czwarty raz. Trudno zresztą było to nazwać rozmową, nawet nie składaniem raportu. Bardziej przesłuchaniem.

Kapitan nie dziwił się z początku. W końcu historia była niewiarygodna, co siłą rzeczy musiało budzić podejrzenia. Co prawda nieraz się zastanawiał, że przecież gdyby Niemcy chcieli ulokować w samym kierownictwie Kedywu podwójnego agenta, wymyśliliby coś bardziej sensownego. Ale z drugiej strony... To było tak niewiarygodne, że przecież mogłoby być prawdziwe.

Jednak był coraz bardziej zniecierpliwiony. Nie po to wracał do kraju, nie po to wyskakiwał z halifaksa gdzieś nad pogrążoną w mroku Kielecczyzną, by teraz po raz kolejny składać raport z tych samych wydarzeń.

Zdawał sobie sprawę, że jest odsunięty od wszystkiego, że kontaktują się z nim tylko ci, którzy muszą. Do których trafił sam po niezwyklej ucieczce. I Puchatek. Nie mógł powstrzymać się od

szczerego podziwu dla starego, który podjął ryzyko spotkań, licząc się z wszelkimi niebezpieczeństwami.

Major Leliwa, skarcił się w duchu Krauze, nie żaden Puchatek. Szef kontrwywiadu okręgu AK.

— Tak jest, panie majorze — powiedział. — Wtedy go poznałem. I, oczywiście, powiedziałem mu o tym. Wydawało mi się, że tak jest lepiej.

Zza okularów błysnęło na chwilę uważne spojrzenie. Za chwilę starszy pan znów przymknął powieki. Zdawał się podrzemywać.

No, spytaj wreszcie, ponaglił go w myśli kapitan. Zawsze, kiedy dochodził do tego momentu, Leliwa spoglądał uważnie, jakby chciał zadać jedno ze swoich krótkich, treściwych pytań. Pytania były przydatne, celnie ujmowały sprawy. Przywoływały wspomnienia, zwracały uwagę na aspekty, które sam Krauze pomiął lub których wręcz nie zauważył.

Ale i teraz major nie spytał.

— Tak zdecydowałem, panie majorze — jak i przy poprzednich rozmowach kapitan zaczął wyjaśniać nieproszony. — Nie miałem nic do stracenia. I tak wiedział o mnie wiele, prawie wszystko...

— Prawie? — wtrącił major. Palce jego prawej dłoni na koronkowym obrusie drgnęły. Jakby starszy pan chciał coś zanotować.

— Prawie — potwierdził Krauze. — Najprawdopodobniej sądził, że ukrywałem się w kraju od początku okupacji. Nie wiedział nic o Anglii. I zresztą nie wnikał wcale, nie pytał. Od razu wyłożył swą, nazwijmy to, propozycję.

Zamilkł na chwilę, zmarszczył czoło, chcąc przypomnieć sobie jak najdokładniej wszystkie szczegóły. Zastanawiał się, czy nie pomiął czegoś, co mogło przecież być istotne.

— Słucham, kapitanie — ponaglił go Leliwa, kiedy cisza się przedłużała. Już nie sprawiał wrażenia, jakby podrzemywał.

\* \* \*

— Mam dla pana, *Herr Doktor*, propozycję. — Otto Diehl robił wrażenie rozluźnionego, jakby fakt, że został rozpoznany, sprawił mu nieoczekiwaną ulgę. — Można to chyba tak nazwać. Chwileczkę...

Uniósł dłoń, widząc, że Krauze chce coś powiedzieć.

— Radziłbym jednak, panie kolego, wysłuchać do końca. — Głos stwardniał nagle. Diehl znów był esesmanem. — Nie mówić nic pochopnie, zwłaszcza niczego, czego nie można cofnąć.

Skrzywił się w złym uśmiechu.

— Żadnych bredni o odwiecznym wrogu. Honorze oficerskim i takich innych. Teraz ja mówię!

Uderzył dłonią w stół, aż zastawa zadzwięczała głośno, a płomyki świec w srebrnym lichtarzu zafalowały niespokojnie. Krauze zamknął usta.

Jest zdenerwowany, pojął nagle z zaskoczeniem. Bardziej chyba niż ja. Za chwilę Diehl zaskoczył go jeszcze bardziej.

— *Dreckiger Krieg* — mruknął i niecierpliwym gestem rozluźnił kołnierzyk pod szyją. — Przepraszam, kolego. Jak pan widzi, trudno się pozbyć tej drugiej skóry. A przecież my, naukowcy, powinniśmy się dogadać.

Krauze pokiwał głową, mając nadzieję, że panuje nad twarzą, że jego kolega nie dostrzeże szyderstwa. Już kojarzył Diehla i jego dokonania. I miał o nich niezbyt wysokie mniemanie.

— Przepraszam — powtórzył Niemiec. — Postaram się załatwić to jak najszybciej. Niech pan uzna, że robię, co muszę. Nie ma w tym nic osobistego. Ani też nie uznaję pana za wroga. My, naukowcy, musimy być czasem ponad to. W zamian za to proszę tylko, by wysłuchał pan do

końca. Mimo że jest pan oficerem.

Uśmiech stał się nieco wymuszony.

— Nic pan nie traci.

Istotnie, pomyślał Krauze, nic nie tracę, słuchając. Nawet jeśli odmówię. Nie mógł co prawda zrozumieć, na co liczy *Hauptsturmführer* Diehl. Czyżby sądził, że jakieś więzy koleżeństwa skłonią go do współpracy z wrogiem? Przecież to bzdura. Nie jest chyba aż tak naiwny.

Aby zyskać na czasie, sięgnął po filiżankę z wystygłą już kawą. Sączył zimny płyn zmieszany z fusami z dna naczynia.

On musi wiedzieć więcej, myślał. Oni muszą wiedzieć, poprawił się, niemożliwe, żeby była to inicjatywa jednego oficera. Ale zdają sobie sprawę, że mają w garści nie zwykłą płotkę, tylko kogoś bardziej znaczącego. Zrzutka z Anglii, przeszkolonego, przysłanego z konkretną misją. Krauze wiedział już, że musi podjąć grę, jakakolwiek by była. Bo oferta oznacza jedno — ktoś sypie, i to ktoś ulokowany niezwykle wysoko. I choć sam miał już niewielką nadzieję ocalenia, to istniała szansa, że zdoła ostrzec przełożonych.

— Dobrze — przerwał milczenie Diehl. — Zaczniemy od tej gorszej strony. Naturalnie, może pan odmówić.

Zawiesił głos i wydał pogardliwie wargi.

— Odwołać się do oficerskiego honoru — podjął po chwili. — Wtedy, jak pan zapewne rozumie, nie będzie dalszych rozmów. Zostanie pan odwieziony z powrotem. Nie, nie, bez specjalnych instrukcji dla kolegów z gestapo. Ale to niewiele zmienia, prawda?

Przyglądał się swoim wypielęgowanym paznokciom, potem od niechcienia przesunął spojrzenie na dłonie Krauzego.

— Pewnie lepiej byłoby, gdybym, w przypadku odmowy, naturalnie, wydał rozkaz — dodał uprzejmie. — Jeschke wykonałby go bez mrugnięcia okiem, niech się pan nie da zwieść jego miłemu wyglądowi.

Pokiwał głową z udawanym ubolewaniem.

— To straszny skurwysyn, między nami mówiąc. Z przyjemnością by pana zastrzelił. Ale jak już mówiłem, nic z tego. Wróci pan na Pawiak w stanie nienaruszonym. Naturalnie, ten stan nie potrwa długo.

Krauze uśmiechnął się lekko. Popatrzył na swoje paznokcie, na opuchnięte i sine palce.

— Ależ, drogi Ottonie — z premedytacją zwrócił się do Niemca po imieniu. Zauważył, jak Diehl zeszytniał momentalnie, a jego palce zaczęły wybijać mimowolny werbel na obrusie. — Przecież to było od początku jasne. Nie uważa mnie pan za dziecko, panie kolego?

Esesman był wyraźnie niezadowolony, że inicjatywa wymyka mu się z rąk. Nie takiej reakcji, zapewne, się spodziewał.

— Nie, nie uważam — wtrącił pospiesznie. — Przepraszam po raz kolejny, ot, druga natura.

Zrobił nieokreślony gest dłonią, coś pomiędzy salutem a hitlerowskim pozdrowieniem.

— Zaskoczę pana, panie Krauze — ciągnął. — Spodziewa się pan, że będę namawiał do... Do zdrady?

Parsknął krótkim śmiechem.

— Nie, tak nisko pana nie oceniam, naprawdę. Owszem, korzystam z sytuacji, bo wiem, że w innych okolicznościach nie zechciałby pan ze mną rozmawiać. Podejrzewam nawet, że zastrzeliliby mnie pan z równą satysfakcją jak Jeschke pana. Mam rację?

Ku jego zaskoczeniu Krauze spokojnie kiwnął głową.

— Naturalnie, panie kolego. Z największą przyjemnością — zakpił. Wciąż był spięty, ale gra zaczynała go wciągać. Zastanawiał się, na ile może sobie pozwolić, nie przeciągając struny.

— Tak i myślałem — przyznał Diehl. — Jest w panu coś, co budzi szacunek. A my potrafimy to

docenić.

— My? — wpadł mu w słowo Krauze.

— My, Niemcy — padła oczywista, automatyczna odpowiedź. Kimkolwiek Diehl był, kogokolwiek starał się udawać, reagował stereotypowo.

Krauze pokiwał głową.

— Zawsze można na was liczyć — skwitował. Esesman spojrzał podejrzliwie, nie wiedząc, czy to drwina. W końcu wolał uznać, że jednak nie.

— Może wreszcie pozwoli mi pan skończyć? — zniecierpliwił się nieco. — Późno się robi.

Zerknął demonstracyjnie na zegarek.

— Otóż, jak mówiłem, zdziwi się pan. Nie oczekuję zdrady, jakby pan to zapewne określił. Nie interesuje mnie pańska działalność jako oficera. Mogę ją uznać za niebyłą. A raczej przejść nad nią do porządku.

Mówił niby w przestrzeń, bawiąc się pustym kieliszkiem. Ale spod oka obserwował reakcje Krauzego. Wreszcie były takie, jakich oczekiwał.

— Źle mówię — ciągnął z satysfakcją. — Nie przejdę, a przejdziemy. Oferta obejmuje dokumenty na nazwisko, jakie pan uzna za stosowne. Wizę jednego z krajów neutralnych, do wyboru, szwajcarską, szwedzką, portugalską. I, naturalnie, gratyfikację w reichsmarkach.

Uniósł wskazujący palec, uśmiechnął się.

— Skromną gratyfikację — dodał. — W końcu prowadzimy wojnę. Nie proponuję panu funtów ani dolarów...

Popatrzył na rozmówcę.

— Jak pan zapewne wie, sami je drukujemy. Krauze już nic nie rozumiał. Znów miał wrażenie, że to wyjątkowo realistyczny sen. Że obudzi się zeń na twardej więziennej pryczy. Ale kiedy zacisnął bezwiednie pięści, ból potłuczonych palców upewnił go, że to jednak jawa.

— Trudno w to uwierzyć, prawda? — zaśmiał się Diehl. Wróciła mu pewność siebie, znów czuł przewa —

Spoważniał, chwilę zastanawiał się, marszcząc czoło.

— Jest i inna możliwość — powiedział wreszcie cicho. — Pewnego dnia się po prostu rozstaniemy, w dowolnie wybranym miejscu. Nikt nie będzie pana śledził. Tylko, rozumie pan sam, panie kolego...

Popatrzył Krauzemu prosto w oczy. Ten pojął, że Diehl mówi szczerze. I — nie wiedzieć czemu — pomyślał, że istotnie nie oszuka. Wywiąże się ze zobowiązań z honorem niemieckiego oficera, cokolwiek by to znaczyło.

— Wtedy lepiej, żebyśmy się nigdy więcej nie spotkali. Mówię serio.

Co do tego nie ma wątpliwości, pomyślał kapitan. Powoli, z namysłem, skinął głową, nie spuszczać wzroku z twarzy Diehla. I za chwilę mógł wyczytać na niej satysfakcję i — z pewnym zaskoczeniem — również starannie skrywaną ulgę.

Otto Diehl wiedział już, że jego oferta zostanie przyjęta. I nie potrafił do końca ukryć, że bardzo mu na tym zależało.

\* \* \*

Major Leliwa zdjął szkła w okrągłych oprawkach. Chuchnął na soczewki, przetaił je starannie chusteczką. Mrugał przy tym zażawionymi, krótkowzrocznymi oczyma. Powieki miał zaczerwienione i spuchnięte.

Założył z powrotem okulary, poprawił je na nosie. Odchrząknął.

— No tak, kapitanie — powiedział powoli i z namysłem. — Powiada pan, że Diehl nie składał

panu żadnych propozycji przejścia na stronę wroga? Nie domagał się podania kontaktów, nazwisk?

Krauze policzył w myśli do dziesięciu.

— Nie, panie majorze — odparł krótko. Tak samo jak już odpowiadał poprzednim razem. I jeszcze poprzednim. Dokładnie tak samo jak napisał w raporcie.

— I nie zdziwiło to pana? — naciskał Puchatek. Również tak jak poprzednim razem. Jego uważny wzrok zza grubych szkieł wwierał się badawczo w twarz kapitana.

— Owszem, zdziwiło — przyznał Krauze. Wciąż zresztą nie rozumiał, usiłował poukładać sobie wszystko, zanalizować. Ale miał za mało danych, choć musiał przyznać, że rozmowy z majorem wiele pomogły, pozwoliły spojrzeć na fakty z innej perspektywy. Przypomnieć sobie nieistotne z pozoru szczegóły.

Ale fragmenty nie pasowały do siebie. Zwłaszcza sam *Hauptsturmführer* Otto Diehl.

— Zdziwiło, i to mocno — powtórzył, wciąż czując na sobie badawczy wzrok Leliwy. Wiedział, że dowódca nie potrafi mu uwierzyć. A w najlepszym wypadku ma wątpliwości. Nie miał żalu, sam byłby nieufny, być może, od razu sięgnąłby po radykalne środki. Ale też zaczynał odczuwać złość zmieszaną z bezradnością. Kurwa mać, zaklął w duchu. Ile razy będę musiał powtarzać? Przecież chyba są sposoby, żeby sprawdzić, choć częściowo. Kim jest Diehl, czym się zajmuje. Skąd znalazł się nagle w Polsce.

Krauze doceniał możliwości wywiadu AK. Ostatecznie sam miał dostęp do dossier ważniejszych niemieckich urzędników. O gestapowcu, który go przesłuchiwał, wiedział zapewne więcej niż ów Niemiec o nim. Gdyby nie pech, spotkaliby się w zupełnie innych okolicznościach, gestapowiec był już skazany prawomocnym wyrokiem podziemnego sądu.

Leliwa niewątpliwie sprawdził już Diehla. Esesman miał wystarczająco wysoki stopień, by jego pojawienie się w Warszawie wzbudziło zainteresowanie odpowiedniej komórki wywiadu. Ale major milczał, a Krauze nie pytał wprost. A na aluzje Puchatek nie zareagował nawet mrugnięciem oka.

Teraz też nie mrugał. I nie przynaglał, pozornie obojętny, wyglądało na to, że dawał podwładnemu czas na zastanowienie, na przywołanie szczegółów. Jednak było już jasne, że niczego więcej się nie dowie, przecież relację miał usłyszeć już czwarty raz. Milczenie zatem nabierało całkiem innego wymiaru, a ciężki, nieruchomy wzrok starszego pana — całkiem nowego znaczenia.

Nie wierzy, pomyślał Krauze nie po raz pierwszy. Przypuszczał, że Leliwa chce go przyłapać na niekonsekwencji, ma nadzieję, że za którymś razem bajeczka zacznie pruć się w szwach. Ledwo powstrzymał gorzki grymas. Bajeczka. Sam zaczynał już myśleć w ten sposób o swoim raporcie.

Nie, nie miał pretensji do majora. Trudno było uwierzyć, że Diehl nie wiedział, kogo miał w swoich rękach. A jeszcze trudniej w propozycję.

Krauze przymknął na moment oczy. Miał doskonałą, wyćwiczoną pamięć i spostrzegawczość, nie osłabiły ich nawet tortury śledztwa. Potrafił rejestrować drobne niuanse, zwracać uwagę na pozornie nieistotne szczegóły. I wyłapywać niekonsekwencje. Ale musiał przyznać, że był bezradny. Nie potrafił dostrzec niczego, co dałoby punkt zaczepienia.

Co gorsza, nie wiedział, jak przekonać Puchatka. I zdawał sobie sprawę, że ma coraz mniej czasu.

Otworzył oczy, przetarł je gestem pełnym zmęczenia. Popatrzył prosto w twarz przełożonego.

— Diehl nie proponował niczego, co stanowiłoby zagrożenie dla organizacji — powiedział cicho, dokładnie tymi samymi słowami, co poprzednim razem. I jeszcze poprzednim. — Nie wymienił żadnego nazwiska, poza jednym.

— Jak brzmiało to nazwisko? — wtrącił Leliwa szybko, jakby spodziewał się ni z tego, ni z

owego, że Krauze zapomniał.

— Kazimierz Stołyhwo — odparł kapitan i uśmiechnął się mimo woli. — Profesor Stołyhwo.

Nawet nie uznał za stosowne dodać, że przecież wyraźnie napisał to w raporcie. I zdążył powtórzyć kilka razy.

— Pana coś śmieszy, kapitanie? — spytał znów Puchatek. Krauze ze znużeniem, w zupełnie niewojskowy sposób, pokręcił głową.

— To dobrze — skwitował major. — W takim razie proszę kontynuować...

Zawahał się, sięgnął do szkieł, jakby chciał je znów przetrzeć. Ale zatrzymał się w pół gestu i z irytacją machnął dłonią.

Staremu zaczynają puszczać nerwy, zrozumiał kapitan. A także to, że nie ma już wiele czasu. Przymknął oczy. I nie otwierając ich, zaczął mówić.

\* \* \*

— O nic więcej pan nie zapyta, panie kolego? Zaprzeczył ruchem głowy, bez słowa.

— To dobrze. — Diehl wyglądał na zadowolonego. — W końcu nie jesteśmy dziećmi, prawda, *mein Herr*? Rozumie pan swoją sytuację, wybór jest niewielki.

Stał się przyjacielski i gadatliwy. Krauze obserwował go spod oka. Odeszło zmęczenie i wyczerpanie, może pomogła mocna kawa, prawdziwa, nie żaden *Ersatz*. Albo zaczęła go wciągać gra, której celu wciąż nie rozumiał.

Niepokoila go inna sprawa. Jak wiele Niemiec wie? Jeśli znał jego prawdziwe nazwisko, dogrzebał się przeszłości, to musiał wiedzieć także, że kapitan jest zrzutkiem z Anglii. Niestety, sam Krauze wpadł na samym początku, nie miał żadnych danych, jak daleki krąg objęły aresztowania. Wsypa wyglądała na potężną, sięgała daleko.

Pomyślał, że o ile Diehl sam się nie wygada, spróbuje go sprowokować. Uznał, że nie może już wiele zaszkodzić. Jeśli tylko esesman da po temu okazję.

Skupił się jeszcze bardziej. Już nie czuł zmęczenia, przestał odczuwać nawet tępy ból obnażonego nerwu w ułamku wybitego zęba. Obserwował Diehla, wsłuchiwał się w każde słowo.

— Na początek jedno nazwisko...

Krauze sprężył się w oczekiwaniu. Wreszcie coś konkretnego, pomyślał. Teraz będzie musiał szybko reagować; kiedy padną już nazwiska, zorientuje się, w jakim kierunku zmierza propozycja, czy raczej szantaż Niemca. I jak długo będzie mógł zwlekać i zwodzić, zanim Diehl się zorientuje.

Zawisł wzrokiem na wargach esesmana. I aż otworzył usta ze zdumienia, kiedy wreszcie usłyszał.

— Kazimierz Stołyhwo — rzucił Otto Diehl od niechcienia. Popatrzył wyczekująco.

Zdziwienie musiało odbić się na posiniaczonej twarzy kapitana, kiedy gorączkowe myśli przebiegały mu przez głowę. Spodziewał się wszystkiego, ale nie czegoś takiego.

— Zaraz — powiedział powoli. — Chodzi panu o...

— Profesora Stołyhwo — rzucił niecierpliwie Niemiec. — Antropologa, jak pan i ja. Bądź pan poważny, kolego, przecież nie będzie pan zaprzeczał, że pan go znał. I kontynuował jego prace.

Pochylił się, sięgnął znów do teczki. Grzebał w niej chwilę, wyciągnął zmięte papiery opatrzone pieczęciami z wroną, cisnął je niecierpliwie na dywan. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Rozprostował zmięty maszynopis, przesunął kartkę przez stół.

Krauzemu wystarczył jeden rzut oka. *Le crane de Nowosiółka considéré comme preuve de l'existence à l'époque historique de fortnes aparentées a H. primigenius*. Zacisnął pięść, omal nie gniołąc kartki w kulę. Odchylił się na krześle.

Znał doskonale tekst, nie musiał go czytać. Przed oczyma stanęła mu czaszka, poczerniała i

krucha, ale przecież wcale niesfossilizowana\*. Niewiarygodna jak na miejsce i czas, gdzie ją znaleziono. Przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy, gdy ją ujrzał, wodził opuszkami palców po grubych, ciężkich łukach nadoczodołowych. Jak nie dowierzając własnym oczom i tabelkom sporządzonym przez sumiennego profesora, mierzył kątem twarzy.

— O co tu chodzi, Diehl? — spytał wreszcie. — Może mi pan wyjaśni, panie kolego? Mamy wojnę, przypominam. Co mają do rzeczy stare kości?

Esesman milczał. Krauze ze zdumieniem dostrzegł w jego oczach lęk. Starannie ukrywany, ale przecież wyraźnie widoczny. Uświadomił sobie, że jak dotąd źle oceniał sytuację. Diehl wcale nie był jej panem.

Postanowił skorzystać z okazji, docisnąć lekko.

— Przecież zdaje pan sobie sprawę, drogi Ottonie...

Był ciekaw, jaka będzie reakcja na tak bezceremonialne potraktowanie. Oto w jakiś sposób zrównywał siebie, żałosnego i sponiewieranego więźnia, z esesmanem, na którego łaskę i niełaskę właśnie się zdał.

— Zdaje pan sobie sprawę, że ostatnimi czasy...

Reakcja nastąpiła szybko, ale zupełnie nie taka, jakiej się spodziewał. Diehl nie wybuchnął gniewem, nie próbował nawet przywołać go do porządku wyniośle i pogardliwie. Gwałtownie pochylił się nad stołem, zbliżył się, na ile pozwalał blat. Rozejrzał się szybko.

— Zamknij się, *Mensch!* — syknął zduszonym głosem. — Nie wiem, co robiłeś, człowieku, i nie chcę wiedzieć! A ty miej trochę rozumu i pamiętaj, że i ja mam przełożonych.

Krauze, zaskoczony, skinął tylko machinalnie głową. Diehl sapnął jeszcze przez chwilę, po czym odchylił się na krześle.

— Każda gra ma swoje reguły — mówił już spokojniej. — Ja dotrzymam obietnic. A pan niech będzie rozsądniejszy.

On się boi, zrozumiał Krauze. Działa zapewne na własną rękę, musiał złamać przepisy. Zaryzykować i odsłonić się.

— Czyżbyśmy jechali na jednym wózku, *Hauptsturmführer*? — docisnął jeszcze mocniej.

Diehl, o dziwo, uśmiechnął się w odpowiedzi.

— W rzeczy samej, kolego. Pan może stracić życie, ale ja też ryzykuję.

W jego oczach na chwilę błysnęły weselsze ogniki.

— Ale nie robi pan nic nierozsądnego. Bo jest pan naukowcem. Przede wszystkim naukowcem — zaakcentował. — I jest pan ciekawy. Nie myślę się?

Krauze przytaknął. Rzeczywiście, był ciekawy. Bo przecież spędził nad tą cholerną czaszką całe lata. Bez rezultatów.

— Zastanawia się pan, co w środku wojny robi ten cholerny neandertalczyk. Dlaczego jest taki ważny?

Diehl zdawał się czytać w myślach kapitana. Sięgnął po butelkę, napełnił kieliszki.

— Powiem panu. Być może, ta wojna to pomyłka.

\* \* \*

Zgrzytnęły tryby i ścienny zegar zaczął wybijać godzinę. Obaj mężczyźni przy stole drgnęli wyrwani z własnych myśli. Zaskrzypiała lekko wielka, trzydrzwiowa szafa nadżarta zębem czasu i przez korniki.

---

\* Fossilizacja — termin z paleontologii oznaczający procesy powstawania skamieniałości polegające na przemianie organicznej szczątków roślin i zwierząt w nieorganiczne składniki skorupy ziemskiej, [przyp. red.]

Krauze powstrzymał się w ostatniej chwili przed spojrzeniem na stary mebel. Poczł nagły chłód. Mam coraz mniej czasu, pomyślał.

— Neandertalczyk, powiada pan, kapitanie — powiedział szybko major Leliwa. Zbyt szybko, ocenił kapitan. Wprawdzie Puchatek nie dał nic po sobie poznać, ale Krauze był przekonany, że decyzje już zapadły. Albo zapadną wkrótce.

Nie odpowiedział od razu. W końcu przecież powtarzał to już czwarty raz. Wreszcie zaczął. Leliwa bębniał palcami po stole, kapitan machinalnie obserwował jego paznokcie, krótko obcięte, z sinawymi półksiężycami u nasady. Stary ma problemy z sercem, pomyślał obojętnie. Gdyby nie wojna, dawno byłby emerytem.

Krauze mówił powoli, nieświadomie wpadając w ton wykładu. Trudno oszukać swą właściwą naturę. Puchatek nie przerywał jak za pierwszym razem, kiedy zadawał pytania, całe mnóstwo pytań. Starszy pan był systematyczny, nawet jeśli uznał, że wszystko jest stekiem bzdur, dziwną bajeczką, to przecież chciał zrozumieć. Choć było to dla niego zapewne absurdalne.

Trudno się dziwić, pomyślał kapitan. Dla dowódcy istotną tajemnicą było, jak doszło do wyspy, która sparaliżowała prawie działalność okręgu AK. A nie zagadka przodków człowieka rozumnego.

Musiał poświęcić sporo czasu, by wyjaśnić, kim był człowiek neandertalski. Puchatek nie przerywał, bardziej niż zwykle sprawiał wrażenie belfra, który słucha referatu zdolnego ucznia. Krauze nie wiedział, kim major był z zawodu. Domyślał się jedynie, że ma niezłe przygotowanie akademickie, mógł to wywnioskować z pytań, które dowódca wtrącał.

Ale zdawał sobie też sprawę, że major zupełnie nie jest w stanie pojąć, jak zaskakujące było odkrycie lwowskiego profesora. W jakim stopniu stawiało na głowie całą dotychczasową wiedzę.

— *Homo primigenius* — powiedział teraz cicho. — Znany też jako *homo neanderthalensis*. Był zapewne naszym przodkiem, małpoludem, jak zwykło się mówić. Człowiek jaskiniowy. Istniał jeszcze jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Potem zniknął. Wygasł, zamienił się w nas...

Krauze przerwał na chwilę, zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i zakaszał. Wydmuchnął gryzący dym.

— A może nie? — Nieświadomie z relacji przeszedł do rozważań. — Może nie wyginał? I może wcale nie był naszym przodkiem? Zwariowana teoria...

Strzepnął z irytacją szary wałeczek popiołu. Nie trafił do szklanej, wypełnionej już prawie popielniczki, starł dłonią pył z koronkowego obrusu.

— Teoria, powiada pan? — wtrącił Leliwa. — Nowa, jak rozumiem? I usłyszał pan o niej właśnie od owego Niemca?

Kapitan przytaknął.

— Tak, od niego.

Spuścił wzrok, starannie strząsnął popiół. Wciąż czuł na sobie badawcze spojrzenie Puchatka. Miał nadzieję, że major nie zorientuje się, że właśnie coś zataił. Być może, kluczową kwestię.

Ale nie miał już wyrzutów sumienia jak przy poprzednich przesłuchaniach. Bo sprawa zaczęła wyglądać zgoła inaczej. Miał wrażenie, jakby po plecach, wzdłuż krzyża, maszerował mu cały oddział mrówek.

Nie dziwił się. W końcu siedział odwrócony tyłem do wielkiej, trzydrzwiowej szafy.

\* \* \*

— Już pan rozumie, panie kolego, do czego jest pan potrzebny? — Diehl przekładał kartki maszynopisu. Spomiędzy nich wypadł lśniący prostokąt. Zdjęcie. Krauze nie musiał się przyglądać, by wiedzieć, co przedstawia.

— Rozumiem — potwierdził. — Poświęciłem sporo lat, jak pan zapewne wie.

Spojrzał znacząco na Niemca, który bez skrępowania przytaknął.

— Owszem, wiem — odparł krótko. — I to wiedziałem już od dawna, zanim zaczęła się wojna.

W końcu był pan znany w środowisku.

Krauze skrzywił się cierpko.

— Owszem, byłem — uciął.

Diehl spodziewał się takiej reakcji.

— Cóż — powiedział powoli. — Taki jest los ludzi, którzy mają odwagę spojrzeć dalej.

Przełamać uprzedzenia. Zająć się sprawami, które ogół środowiska uważa za humbug i brednie.

— Co pan może wiedzieć — parsknął Krauze lekceważąco, zanim zdążył się powstrzymać.

Diehl natychmiast skorzystał z okazji. Był inteligentnym, byстрыm graczem.

— Niewiele — przyznał. — Dotąd nie przegrałem jak pan, *Herr Doktor*.

Musisz uważać, upomniał się kapitan. Nie dać się sprowokować. Zdawał sobie sprawę, że omal zapomniał, gdzie się znajduje. Z kim rozmawia, a przede wszystkim, skąd przybył.

I gdzie może wrócić. Jeśli popełni najmniejszą nieostrożność.

— Naprawdę wydobyl mnie pan z więzienia, by prowadzić naukowe dysputy? — spytał zimno.

— Tak — odpalił esesman. — Właśnie po to.

— O odkryciu, które nigdy nie zostało potwierdzone? Które uznano za oszustwo?

— Dokładnie — przytaknął Diehl. — Bo miał pan rację. A cała reszta, ci wszyscy profesorowie w gronostajach mylili się paskudnie.

Krauze zamyślił się. Wciąż nie rozumiał, jakie znaczenie może mieć dla wroga jego teoria. Ale wiedział już, że przynajmniej na razie będzie osamotniony w grze, którą właśnie podjął. W całej Europie znało się na tym może kilkudziesięciu ludzi.

— Dobrze, doktorze Diehl — zdecydował wreszcie. — Ma pan rację, jestem ciekawy. I dopóki nie uznam, że stoi to w sprzeczności z moją oficerską przysięgą, odpowiem na pańskie pytania.

Niemiecki antropolog, bo tak już myślał o nim Krauze, pokręcił głową.

— Myli się pan — powiedział stanowczo. — Nie zależy mi na odpowiedziach. Chcę współpracy.

Zastanawiał się chwilę, mięśnie jego policzka lekko drgnęły.

— Chcę pomocy — dodał cicho.

I znów Krauzemu wydało się, że w oczach Niemca błysnął strach.

\* \* \*

— Niech pan powie jeszcze raz o tym *homo*... — Puchatek zawiesił głos, jakby zapomniał trudnej łacińskiej nazwy. Krauze nie miał złudzeń. Starszy pan miał pamięć niczym słoń.

— *Homo primigenius* — odpowiedział powoli. — Inaczej *homo neanderthalensis*.

Dwie nazwy gatunkowe, które wryły się w pamięć. Pamiętał wrażenie, kiedy po raz pierwszy przeczytał o niewiarygodnym odkryciu.

Teraz wydawało mu się, że jego słowa napotykają mur niezrozumienia. Tak niewątpliwie było. Major Leliwa mógł mieć uniwersyteckie przygotowanie, jednak nie był w stanie docenić całej niezwykłości odkrycia Kazimierza Stołyhwo, który w scytyjskim kurhanie nieopodal Nowosiółki znalazł dobrze zachowany szkielet o wyraźnych cechach neandertalskich.

Neandertalczyk odziany w koleczugę. Praczlówek w czasach historycznych. Odkrycie, które mogło zmie — nić pojmowanie świata i historii rodzaju ludzkiego. Oczywiście, gdyby nie zostało zlekceważone.

— Nieważne — machnął dłonią Leliwa. Spoglądał na ścienny zegar, jakby nagle zaczął się

spieszyć. Rzeczywiście, robiło się późno. Pokój po — mroczniał. Wkrótce, by zapalić światło, trzeba będzie zaciągnąć zasłony z czarnego papieru. Inaczej byle niemiecki patrol zacznie strzelać w okna. Odkąd front znów zaczął się zbliżać, okupant bezwzględnie przestrzegał zaciemnienia.

— Będziemy kończyć na dziś, kapitanie — zdecydował Puchatek. — Reszta następnym razem.

Krauze zastanawiał się, czy będzie następny raz. Major wyglądał na zniecierpliwionego. Po raz pierwszy wydawało się, że słucha wyłącznie z obowiązku. Zwłaszcza pod koniec.

Starszy pan wstał ociężale, podszedł do okna. Odsunął poźółkłą od dymu, brudną firankę, po czym zdjął z parapetu doniczkę z pelargonią.

Mógłby ją ktoś podlać, błysnęła Krauzemu bezsensowna myśl. Inaczej zwiędnie całkiem. Mieszkanie było tylko punktem kontaktowym, bezpiecznym, bo z podwórza prowadziły dwa wyjścia. I w całej obskurnej kamieniczce nie mieszkał ani jeden folksdojcz.

Doskonale rozumiał, dlaczego spotykali się właśnie tutaj. Był spalony, trudno narażać ludzi, kiedy wciąż nie wiadomo, po czyjej jest stronie. Od powrotu, równie niewiarygodnego jak cała reszta historii, widywał tylko tych, którzy musieli się z nim spotkać. I był pewien, że wszyscy, na których spadł ten obowiązek, zmienili dotychczasowe meliny.

Brak pelargonii w oknie był sygnałem. Obstawa mogła się już zwijać, Krauze wiedział dobrze, że chronią Leliwę, nie jego. I odejda wcześniej, by przypadkiem nie zobaczył ich twarzy.

Poczuł bezsilną złość, która tliła się w nim już od dawna. Teraz dołączyło ukłucie lęku. Nie chciał zginąć z ręki swoich.

— Zasiedzieliśmy się — pogadywał dobrodusznie Puchatek, ale jego spojrzenie, które Krauze złowił raz i drugi, pozostało zimne i twarde. Nie uwierzył ostatecznie, zrozumiał kapitan, i teraz podejmie decyzję.

— Panie majorze... — zaczął.

— Później, kapitanie, później — uciął Leliwa. — Następnym razem porozmawiamy o pańskim... powrocie. I na tym chyba zakończymy formalności.

Spojrzał na zegarek, tym razem własny, na przegubie.

— Łączniczka pana zawiadomi. Proszę, żeby pan nie kręcił się po mieście, punkt jest bezpieczny.

Choć użył słowa „proszę”, Krauze wiedział, że jest to rozkaz. Domyślał się też, że Puchatek zostałby od razu powiadomiony o niesubordynacji.

— Tak jest, panie majorze — odpowiedział krótko. Wyprężył się na baczność, zamarkował stuknięcie obcasami. Tylko zamarkował, bo jego szyte na miarę oficerki przepadły na Pawiaku. Teraz zapewne nosił je któryś ze strażników, a Niemcy potrafili docenić kunszt polskich szewców.

Ale ukłon wyszedł jak za najlepszych, podchorążackich czasów. Nawet w spojrzeniu Puchatka zza grubych szkielec błysnęło ciepło. Starszy pan lubił zupacki dryl, którego konspiracja go pozbawiła.

— Na razie jest pan spalony, Żagiew — major po raz pierwszy użył pseudonimu. — Tak musimy przyjąć, sam pan rozumie.

Krauze stał wciąż na baczność. Nie przytaknął, choć rozumiał problem, z jakim boryka się jego dowódca. Zwłaszcza jeśli zastanowić się lepiej nad „powrotem”. Sam musiał przyznać, że był on jeszcze mniej wiarygodny niż neandertalczyk w scytyjskim kurhanie.

Nieszczęsny, anachroniczny hominid miał przynajmniej jedną zaletę. Nie żył od tak dawna, że było dokładnie wszystko jedno, jak zginął.

\* \* \*

W powietrzu czuło się już przedwiośnie. Głęboki wdech spowodował, że Krauzemu zakręciło

się w głowie. Zbyt długo siedział w zamknięciu, w dusznej, śmierdzącej, wieloosobowej celi wypełnionej wyziewami strachu i niemytych ciał.

Starał się nie rozglądać zbyt ostentacyjnie, choć Diehl nie zwracał na to wielkiej uwagi. Od rana, kiedy to spotkali się w hallu, był jakby nieobecny. Zachowywał się też bardziej sztywno.

Jednak mundur zmienia człowieka, pomyślał Krauze, spoglądając z ukosa na esesmana, który stał obok na szerokich schodach eleganckiej willi. Zniknęły nawet zmarszczki w kącikach oczu świadczące o częstym uśmiechu. *Hauptsturmführer* Otto Diehl wyglądał dokładnie jak powinien. Już nie był kolegą, antropologiem. Znów był wrogiem.

Kapitan starał się stłumić w sobie to wrażenie. Było irracjonalne, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. W końcu Diehl nie ściągał go tutaj, nie przedstawiał szalonej i intrygującej oferty, by teraz wyjąć z kabury swojego walthera i zastrzelić go na schodach.

Diehl słuchał z roztargnieniem przyciszonego meldunku, który składał Jeschke. *Rottenführer* pozbył się białej kelnerskiej kurtki najwyraźniej z ulgą. Stał wyprężony, a jego czerstwa, gładko ogolona twarz jaśniała zadowoleniem.

Coś dziwnego było jednak w sylwetce żołnierza. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy Krauze przyjrzał się bliżej, zorientował się, w czym rzecz.

Na piersi podoficera połyskiwała żandarmaska blacha. Mundur też miał zwyczajny, *feldgrau*, długi płaszcz i hełm bez plamiastego pokrowca. Wyglądał jak zwyczajny żandarm, jakich pełno można było spotkać na posterunkach rozrzuconych po całym Generalnym Gubernatorstwie. Nawet utracił sporo ze swej aparycji zabijaki, która rzucała się w oczy, nawet kiedy Jeschke obleczony był w kelnerską biel. Teraz pod okapem typowego hełmu jego twarz, wyrazista przecież, nabrała cech anonimowości.

Jeschke wciąż coś mówił schylony do ucha przełożonego. Nie wyglądało to na normalny meldunek, w całej scenie było coś nienaturalnego, ale mimo iż kapitan wyteżył słuch, nie dotarły doń nawet strzępki wypowiedzianych słów. Widział tylko kątem oka, jak poruszają się wargi podoficera.

Za to Diehl sprawiał wrażenie niezadowolonego. Właśnie niezadowolonego, uświadomił sobie Krauze, nie zaniepokojonego. Esesman nie zmienił wyrazu twarzy, wciąż była obojętna, wręcz nieobecna. Spojrzenie błądziło po podjeździe wysypanym żwirem, po ogrodzeniu z kutych prętów, za którymi można było dostrzec kolejne hełmy. Też zwykłe. O niezadowoleniu Diehla świadczyła rękawiczka, czarna, skórkowa, którą trzymał w dłoni i rytmicznie uderzał w połę płaszcza.

*Rottenführer* skończył. Zamarkował stuknięcie obcasami krótkich saperek, odstaąpił o krok. Diehl skinął głową i nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko. Po raz pierwszy tego poranka. Jednak uśmiech był wymuszony, esesman tylko rozciągnął wargi. W kącikach oczu nie pojawiła się zwykła siateczka drobnych zmarszczek.

Ciemnozielone korony wysokich sosen otaczających willę zaszumiały poruszone silniejszym powiewem przedwiosennego wiatru, niosącego ze sobą wilgotny chłód. Wspomnienie zimy, śniegu, który zalegał pewnie jeszcze w lasach, roztapiając się w dzień i tężejąc nocą w twardą skorupę. Krauze wstrząsnął się, otulił płaszczem.

Okrycie było ciepłe, z futrzanym kołnierzem. Rano znalazł w garderobie nawet szalik i miękkie rękawiczki. Ale tygodnie śledztwa nie pozostały bez śladu. Wciąż był słaby, nadal doskwierało mu zimno. Wewnętrzny chłód, którego jak dotąd nie zdążył rozgrzać.

— Już niedługo — powiedział Diehl, który przyglądał mu się uważnie. Kapitan poczuł złość. Nie chciał, by esesman widział jego słabość. Zaś ton współczucia, który zadźwięczał w głosie, przypominał natrętnie, iż Krauze jest na łasce i niełasce tego wymuszanego niemieckiego oficera.

Właśnie, oficera. Znów zaczęły się budzić wątpliwości, powróciła niepewność. Czy można układać się z wrogiem, nawet za cenę życia? Co gorsza, Krauze zdawał sobie sprawę, że jest w tym

wszystkim coś jeszcze.

Zwykła ciekawość. A to niosło ze sobą paskudne dylematy moralne.

Jest wojna, przypomniał sobie słowa Diehla. I jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, cóż znaczą zetlane kości? Skoro tyle jest świeżych, z których nawet jeszcze nie odpadło ciało? Czym są tajemnice prehistorii, skoro sami możemy stać się historią? Wymarłą rasą.

Zgarbił się i otulił szczelniej płaszczem. Ale chłód, który tkwił w nim samym, nie chciał ustąpić.

Przecież nie mam wyjścia, powtórzył w myśli. Nie miałem. Korzystam z szansy.

— Już niedługo — powtórzył esesman. — Proszę wybaczyć, panie kolego, za wcześniej pana obudzono, mógł się pan lepiej wyspać.

Uśmiechnął się, tym razem szczerze. Oczy zabłyśły mu tłumioną wesołością.

— Powinien pan docenić warunki. — Wskazał willę. Była rzeczywiście okazała, nie nosiła żadnych śladów wojennych zniszczeń.

Zajęli ją na początku wojny, pomyślał machinalnie Krauze. Dopiero w tej chwili zaczął się zastanawiać, dokąd go przywieziono. Wcześniej było to nieważne, ucieczka i tak była nierealna.

Powiódł wzrokiem dokoła, po rozległym, niezle utrzymanym ogrodzie. Wygrabione starannie ścieżki świadczyły, iż ktoś dbał przez cały czas o posiadłość. Dalej, za wyniosłymi sosnami, niemal zasłonięte, majaczyły mury podobnej budowli. Prawie pałacyku.

Zapewne Konstancin, pomyślał kapitan. Albo Otwock, w każdym razie któraś z modnych przed wojną podwarszawskich miejscowości. Pamiętał, że jazda więzienną karetką nie trwała zbyt długo.

— Doceniam, *Herr Doktor* — odparł krótko. Nie warto było się zastanawiać, wkrótce powinien się przekonać, dokąd trafił. Nie sądził, by podróż powrotną miał odbyć tym samym środkiem lokomocji, zakrawałoby to na okrutny żart. W dodatku bezsensowny.

— Doceniam — powtórzył i zmusił się do uśmiechu. Zmrużył oczy, zmierzył Diehla wymownym spojrzeniem. — Może powinienem powiedzieć: doceniam, panie *Hauptsturmführer*?

Uśmiech spelzł z twarzy Niemca, w oczach błysnęła złość. Krótko, zaraz przygasła, gdy Diehl na moment przymknął powieki.

— Nie, panie kolego, nie powinien pan — odparł powoli. Wciąż był poważny. Nie jest głupi, pomyślał Krauze, dobrze wie, że próbuję wyprowadzić go z równowagi. Że postanowiłem zaryzykować, by sprawdzić, na ile pozwoli.

— SS, panie kolego, to demokratyczna instytucja — cedził powoli Diehl. — Jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało. Wie pan, braterstwo, te sprawy... Dlatego wystarczy, jeśli pan powie: doceniam, *Hauptsturmführer*. Bez „pana”.

Pokiwał głową.

— Aczkolwiek... — Zamilkł na chwilę, skrzywił się. — Wolałbym, żeby nazywał mnie pan kolegą — dokończył cicho.

Krauze spoglądał mu prosto w twarz. Niemiec wytrzymał to spojrzenie.

— Ten mundur? — spytał wreszcie, kiedy milczenie się przedłużało.

Kapitan przytaknął bez słowa.

— Cóż... — odparł Diehl, na jego twarzy znów pojawił się charakterystyczny, złośliwy uśmiešek. — Pan w ogóle nie nosił munduru, panie kapitanie.

Zaakcentował złośliwie ostatnie dwa słowa.

— Kiedyś nosiłem — odparował Krauze.

Spostrzegł, że *Rottenführer* Jeschke oddalił się dyskretnie. Odwrócił się plecami, demonstrując ostentacyjnie brak zainteresowania rozmową. Kapitan nie zauważył, czy Diehl dał jakiś dyskretny znak. Zaczynał go złościć własny brak spostrzegawczości, nie wszystko przecież mógł zrzucić na karb osłabienia.

— Owszem — przyznał Diehl. — Nosił pan. Ale wolałbym odwołać się do czasów, kiedy obaj

byliśmy tylko cywilami.

Naciągał powoli rękawiczkę. Wydawał się tym całkowicie pochłonięty, starannie dociskał skórę między palcami, by przylegała jak najdokładniej. Kilkakrotnie rozprostowywał palce i z powrotem zaciskał pięść, spoglądając krytycznie.

— Czy przypomniał pan sobie temat mojej publikacji? — spytał znienacka. — Bo wczoraj przy kolacji sprawiał pan wrażenie...

Krauze parsknął śmiechem w odpowiedzi. Proszę bardzo, pomyślał, skoro sam o to pytasz...

— Ależ naturalnie, panie kolego. Dość głośna była przecież.

Po twarzy Diehla przemknął ledwie dostrzegalny cień przykrości. Ale nie złość, choć widać było, że dopiekl mu ten śmiech. Kapitan pojął nagle, że jest dla tego człowieka, antropologa w esesmańskim mundurze, niekwestionowanym autorytetem.

— Nieważne — mruknął Diehl po chwili. — Strasznie dużo się zdezaktualizowało.

Dużo? — pomyślał Krauze. Próbował przypomnieć sobie szczegóły, co nie było łatwe. Publikacja doktora Ottona Diehla budziła co najwyżej uśmiechy politowania, naturalnie poza granicami Tysiącletniej Rzeszy. I nigdy nie była aktualna. Mruknął coś niewyraźnie pod nosem i odwrócił wzrok.

— Coś pan mówił? — spytał Diehl, ale w jego głosie nie można było doszukać się zaczepnych tonów. Po prostu starał się być uprzejmy.

— *Quatsch* — odparł Krauze prosto z mostu. — Czyli bzdura, drogi kolego. Zbyt się pan przejął obowiązującymi u was teoriami. Nie, nie...

Machnął ręką, uprzedzając protest Niemca.

— To nie dlatego, że to między innymi ja byłem... hmmm... obiektem badań. Tylko...

— Tylko co? — przerwał Diehl ostro.

— To wiara, drogi kolego — odparł Krauze. — Nie nauka. A raczej propaganda. Powinien pan raczej pracować u Goebbelsa. Też doktor, podobno.

Zdawało się, że esesman wybuchnie. Jego twarz pobladła mocno, zacisnął wargi. *Rottenführer* Jeschke obejrzał się przez ramię, błysnęło czujne spojrzenie. Jak dobry pies wyczuwał nastroje swojego pana, zdawało się, że czeka na rozkaz, krótkie szczeknięcie — bierz go!

Ale Diehl nie wydał rozkazu. Przymknął na chwilę oczy, sapnął tylko, wypuszczając obłoczek pary, oddechu skroplonego w chłodnym przedwiosennym powietrzu.

— Nie będziemy prowadzić naukowych dysput na schodach — powiedział wreszcie cicho. — I tak będziemy mieli dużo czasu.

Krauze skinął głową. Był potwornie zmęczony, krótki sen w czystej pościeli, na szerokim, miękkim tapczanie, nie przyniósł wypoczynku. Przez dłuższą część nocy kapitan przewracał się z boku na bok, usiłując zasnąć, ale nie pozwalał mu nadmiar wrażeń. Na dodatek wszystkie pytania i wątpliwości kłębiły się pod czaszką. Nie dowiedział się przecież wiele, Diehl umiejętnie dozował informacje. Wszelkie pytania ucinał krótkim „później”.

Nie pamiętał, kiedy wreszcie zasnął, przypominał sobie tylko mętne światło przebijające przez matowe szyby w drzwiach, cienie niewyraźnych sylwetek na korytarzu. Był pilnowany, to nie ulegało wątpliwości. Nie myślał więc nawet o ucieczce, nie próbował otwierać okna ani wyjrzeć przez nie. Wystarczył cichy, lecz wyraźny chrzęst żwiru pod podszewkami butów żołnierza, który przechadzał się na zewnątrz. Miał bez wątpienia ściśle określone zadanie. Nie wyszedł przecież ot tak, na papierosa.

Otrząsnął się.

— Nie, nie będziemy — zgodził się. — I co dalej, panie kolego?

Diehl chciał odpowiedzieć. Otworzył już nawet usta, kiedy przerwał mu szczęk żelaznej bramy z kutych prętów, niewyraźne okrzyki żołnierzy.

— Dowie się pan zaraz — rzucił szybko. — Proszę tu zostać. Nasz poczciwy Jeschke dotrzyma panu towarzystwa.

Nie odwracając się, zbiegł po szerokich, marmurowych schodach. Podążył w stronę bramy. Krauze posłusznie został.

Poczciwy Jeschke wyszczerzył zęby w uśmiechu. Spod okapu hełmu błysnęło jego spojrzenie. Dotrzyma mi towarzystwa, pomyślał Krauze, widząc, jak podoficer pieszczotliwie gładzi oksydowaną lufę przewieszzonego na szyi MP-40. A w razie czego zastrzeli.

— Zastrzelicie mnie, kapralu? — spytał po polsku, odwzajemniając spojrzenie.

— *Nicht verstehen* — odparł Jeschke. Krauze nie spuścił zeń wzroku.

— Nie dziwię się, boś dupek — rzucił z uprzejmym uśmiechem.

Twarz podoficera zastygła. Coś tam jednak niewątpliwie rozumiał. Pogłaskał wymownie zamek szmajsera. Przez chwilę Krauze chciał, z czystej złośliwości, kontynuować tę mocno jednostronną konwersację. Jednak zrezygnował. Nie było sensu.

Zamiast tego pomyślał, co czeka go dalej. Spodziewał się, że zostanie gdzieś przewieziony w dobrze strzeżone miejsce, w którym Diehl będzie mógł spokojnie prowadzić swoje indagacje, skorzystać z wiedzy swojego nowego współpracownika. A potem... Kapitan nie miał złudzeń, co się stanie, kiedy przestanie być potrzebny. Ale póki był, wciąż miał szansę.

Warkot samochodowego silnika przerwał niewesołe rozważania. Od bramy, chrzęszcząc zwiem pod oponami, toczył się powoli osobowy opel pomalowany matową, maskującą farbą. Na stopniu auta, trzymając się słupka otwartego okna, stał Diehl. Zeskoczył, zanim jeszcze samochód znieruchomiał na podjeździe przed szerokimi schodami willi.

Krauze przyglądał się jeszcze, kiedy poczuł szturchnięcie lufą peemu. Obejrzał się. Małe oczka Jeschkego błysnęły złośliwie.

— Zaś ale już czas — mruknął podoficer poznańską polszczyzną.

Kapitan wzruszył tylko ramionami. Mógł się tego spodziewać.

\* \* \*

— Proszę wsiadać. — Diehl uprzejmie uchylił drzwiczki. Przednie, jak zauważył Krauze ze zdziwieniem.

— Nie skuje mi pan rąk? — spytał drwiąco, spoglądając esesmanowi prosto w oczy. I zamarł zaskoczony reakcją.

— Nie wygłupiaj się, *Mensch* — syknął Diehl ze złością. Widać było, że jest zdenerwowany, jego ruchy stały się nagle nerwowe i pospieszne. — Wsiadaj, ale już! Nie mamy czasu.

Kapitan spoważniał. Bez słowa wsunął się na skórzaną kanapę opla. Zachowanie esesmana zaczynało go intrygować, tym bardziej że zdążył dostrzec nagle poruszenie wśród przebranych za zwykłych żandarmów żołnierzy SS. Przez przednią szybę widział, jak Jeschke wykrzykuje jakieś rozkazy. Czyżby złe wieści? — zdążył jeszcze pomyśleć.

W samochodzie nie było kierowcy, widać wysiadł wcześniej. Resory opla jęknęły, kiedy na tylną kanapę wsunął się Diehl. Trzasnęły zamykane drzwiczki.

— Mamy mało czasu — esesman potwierdził przypuszczenia Krauzego. — Dlatego nie przerywaj. I nie pytaj, dokąd cię zawieziemy.

Kapitan skrzywił się. Nie spodziewał się niczego innego. Sięgnął do lusterka, przestawił je tak, by widzieć w nim twarz esesmana. W zasadzie część twarzy, bo lusterko było małe.

— Przecież nie pytam — powiedział ze znużeniem. — Ty decydujesz, kolego.

Nawet nie starał się, by w jego słowach zabrzmiała kpina. Dostrzegł w lusterku, jak oczy Niemca zwęziły się nagle. Cóż, pomyślał, pierwszy przeszedłeś na „ty”. Przynajmniej

oszczędziliśmy sobie bruderszaftu.

Z tyłu zaszeleściły papiery. Diehl grzebał w swojej aktówce.

— Mylisz się — usłyszał Krauze i poczuł stuknięcie w ramię. — Bierz.

Wyciągnął rękę, nie oglądając się. Ze zdziwieniem poczuł w palcach sztywną, szarą kopertę. Obracał ją w dłoniach. Była czysta, bez napisów, bez stempli.

— Otwórz, człowieku. — W głosie Niemca brzmiało zniecierpliwienie. Krauze posłuchał. Chwilę biedził się, poobijane palce nie chciały go słuchać. W końcu oderwał cały brzeg. Na kolana wypadły małe kartoniki — ausweis, kenkarta. I coś jeszcze. Przez chwilę wpatrywał się w swoje zdjęcie. Coś mu nie grało z tą fotografią, ale zanim zdążył uświadomić sobie, co, Diehl znów przerwał mu tok myśli.

— Nazywasz się teraz Krauze. — W jego głosie zadźwięczały weselsze nutki. — Gerhard Krauze, imię powinienes zapamiętać. To dobre dokumenty. Lepsze od tych, które miałeś.

Istotnie, zauważył Krauze, a raczej już Gerhard Krauze, Ślązak, urodzony w Hindenburg. Papiery były podniszczone, z nawyku przeciągnął palcem po kartonie, ale nie wyczuł śladów sztucznego postarzenia.

— Mylisz się — powtórzył Diehl. — Ty zdecydujesz, dokąd pojedziesz, dokąd zawiezie cię kierowca. Pod warunkiem, że będzie to w Warszawie. Nikt nie będzie cię śledził. Możesz zniknąć, jeśli tylko zechcesz.

Kapitan odwrócił się zaskoczony. Spojrzał ponad oparciem samochodowej kanapy. W oczach Diehla zobaczył wyraz solennej powagi. On nie oszukuje, zrozumiał, mówi prawdę.

— Nazwij to próbą. — Esesman uśmiechnął się. — Nie interesuje mnie, co robiłeś i czy dotrzymasz słowa...

— Nie dawałem żadnego słowa — przerwał Krauze ostro.

Diehl pokiwał głową.

— Owszem, nie dawałeś — zgodził się. — I zauważ, że nie oczekiwałem. Zgodziłeś się na warunki, nie wiedząc nawet, jakie są.

Zaśmiał się krótko.

— I trudno się dziwić, zważywszy alternatywę.

Popatrzył na zegarek, skrzywił się wyraźnie.

— Nie mamy czasu — rzucił ze złością. — Nie będę cię przekonywał. Masz rację, to próba. Zobaczymy, czy wrócisz.

Krauze pokiwał głową. Odwrócił się, znów popatrzył przez przednią szybę. Żołnierze zniknęli już z pola widzenia, został tylko kierowca, ubrany po cywilnemu w długi, skórzany, tak ulubiony przez Niemców płaszcz. Na głowie miał tyrolski kapelusik z borsuczym pędzelkiem. Wyglądał jak archetyp Szwaba z dowcipów rysunkowych.

Przestępował niecierpliwie z nogi na nogę, rzucał spojrzenia na samochód. Zapewne marzył w swoim skórzanym płaszczyku, ale nie śmiał podejść bliżej.

— A jeśli nie wrócę? — rzucił kapitan w przestrzeń, nie odwracając się. Diehl chwilę nie odpowiadał.

Krauze zaczynał rozumieć. Jeśli nie chciałby podjąć współpracy, esesman nie ryzykował wiele, niczego nie tracił. Ostatecznie wszystko jedno, pomyślał, czy wpadnę do zbiorowego grobu z kulą we łbie, czy zniknę. I tak nie będzie miał pożytku. Wie, że nie może mnie zmusić, więc liczy na moją ciekawość i na to, że i ja zaryzykuję. W dodatku, skurwysyn, ma rację, przemknęła myśl.

— Wrócisz. — W głosie Diehla obok pewności drżała wesołość. — Nie przepuścisz takiej szansy. Strawiłeś nad tą cholerną czaszką pół życia. A wierz mi...

Zawahał się. Milczał chwilę.

— Wierz mi... — Zdecydował się wreszcie. — To jeszcze nic. Dowiesz się więcej, znacznie

więcej.

Krauze znów miał wrażenie, że dosłyszał nutę strachu. Niemiec znów stuknął go w ramię.

— Trzymaj.

Wyciągnął rękę i drgnął, poczuwszy w dłoni chłodny ciężar.

— To nie twój — wyjaśnił esesman jakby przepraszająco. — Ale wiem, że jesteś przyzwyczajony.

Skąd, kurwa, wiesz? — chciał spytać kapitan, wpatrując się w znajomy kształt colta wzór 1911. Ciężar i wyważenie wskazywały, że broń jest naładowana, uniesiony pazur wyciągu świadczył, że w komorze znajduje się nabój.

— Teraz już wiesz, że musiałem ci zaufać — skwitował krótko Diehl.

Krauze pokiwał tylko głową.

— Pora na ciebie — dodał esesman. Otworzył drzwiczki opla, ale zamarł na chwilę z nogą na stopniu.

— W kopercie znajdziesz kilka numerów telefonów. Pamiętaj, że nie wszystkie numery są warszawskie. Naucz się na pamięć, kartkę zniszcz. Zresztą, co ja cię będę uczył...

Szczęknął zatrask magazynka. Kapitan przeładował pistolet i chwycił w dłoń wielki niczym palec nabój o kalibrze 11,43 milimetra. Amunicja nie była wojskowa, półpłaszczowy pocisk załśnił szarym połyskiem ołowiu.

Diehl wciąż się nie ruszał, jakby nie mógł się zdecydować na ostateczne rozstanie.

— Nie dopilnuję cię — zaczął wreszcie cicho i jakby niepewnie. — Na tym zresztą polega próba. Czekam na wiadomość. Nie zwlekaj zbyt długo i...

Zawahał się.

— Pewnie mi nie uwierzysz — podjął po chwili. — Ale jeśli będziesz za dużo gadał, zginiesz.

Chwilę trwała cisza. Typ w tyrolskim kapelusiku przestępował z nogi na nogę, niecierpliwiąc się coraz bardziej. I to nie ty mnie zabijesz, pomyślał Krauze, bo też się czegoś boisz.

— Domyślam się — powiedział.

— To dobrze. — W głosie Niemca dźwięczała ulga. Ręką zamarkował niewyraźny salut.

— Diehl? — odezwał się Krauze, zanim jeszcze esesman zdążył wysiąść.

— Tak?

Kapitan roześmiał się. Rozchylił płaszcz, rozpiął marynarkę. Wepchnął pistolet za pasek.

— Nigdy nie noś colta z kulą w lufie. Odstrzelisz sobie jajka.

\* \* \*

Zaczęło padać. Wycieraczki czyściły małe półkola na płaskiej przedniej szybie opla. Jechali wolno, cywil w tyrolskim kapelusiku mamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak przekleństwo.

Drugi siedział z tyłu. Krauze nie zdążył mu się przyjrzeć, nie odwracał się, ale zauważył, że osobnik, który dosiadł się już za bramą, wygląda niczym bliźniak kierowcy. Obaj jak dotąd nie odezwali się doń ani słowem.

Wyjechali już z wąskich uliczek, spomiędzy ogrodów otaczających wille i żydowskie, drewniane letniaki. Mijali właśnie papiernię w Jeziornie, budynki z czerwonej cegły, ciemnej teraz i nasiąkniętej wilgocią. Niemiec zwolnił jeszcze bardziej, mokry bruk był śliski.

W Klarysewie, obok stacyjki wilanowskiej ciuchci, Krauze odezwał się po raz pierwszy.

— *Links* — rzucił krótko. — *Nach* Powsin.

Osobnik w tyrolskim kapelusiku nie skwitował polecenia nawet słowem, wpatrywał się przed siebie, jakby nie dosłyszał albo nie zrozumiał. Ale posłusznie skręcił we właściwą ulicę.

Kapitan nie zdecydował się jeszcze, dokąd mają go zawieźć. Miał niezłą melinę na Powiślu, o

której nie wiedzieli nawet koledzy z konspiracji. Ot, przedwojenna jeszcze znajomość, która teraz mogła się bardzo przydać. Nie dowierzał do końca Diehlowi, dlatego uznał, że najlepsze będzie Śródmieście. Zakładał, że dokumenty, które dostał, są na tyle dobre, by wytrzymać każdą próbę wylegitymowania.

Samochód piął się w górę, na wiślaną skarpe. Na myśl o dokumentach Krauze przygryzł wargi ze złości. Czuł niejasny niepokój. Coś mu w związku z papierami nie pasowało. Ale za nic nie mógł sobie uświadomić, co.

Przyspieszyli trochę. Droga była szutrowa, ale niezła. W taki deszcz bezpieczniejsza od kocich łbów, mniej śliska. Kapitan przestał zwracać uwagę na otoczenie, Niemiec powinien sobie sam poradzić. Wkrótce dotrą do szosy na Piaseczno, omijając Lasy Kabackie, które mogły być mocno niezdrowym miejscem dla samotnego opla bez eskorty, za to z wojskowymi numerami rejestracyjnymi i pomalowanego maskującą farbą. Diabli wiedzą, kto może się tam kręcić, pomyślał Krauze. Sam całkiem niedawno, przed wpadką, zabezpieczał tam zrzut.

Przymknął oczy. Ciepło w samochodzie działało usypiająco, dawało też poznać o sobie odprężenie. W końcu udało mu się uciec śmierci spod kosy, choć sposób ucieczki był co najmniej dziwny. Przez chwilę zmagał się ze słabością i zmęczeniem, lecz myśli mąciły się coraz bardziej. Zaczął zapadać w krótkie, kilkusekundowe najwyżej drzemki, budząc się gwałtownie, kiedy głowa opadała mu na piersi. Wreszcie poddał się i oparł wygodniej na kanapie. Chwila snu nie zaszkodzi, zdążył jeszcze pomyśleć, zanim zapadł w ciemność.

Nie umiał potem powiedzieć, jak długo spał. Nie zdążyli jednak ujechać zbyt daleko, kiedy nagle hamowanie rzuciło nim do przodu. Instynktownie, nie całkiem jeszcze rozbudzony, wyciągnął rękę, co uchroniło go przed rozbiciem głowy o deskę rozdzielczą.

— *Scheiße...* — usłyszał syczące przekleństwo, zanim jeszcze zorientował się, że samochód stanął, a silnik zgasł. Cicho poskrzypywały wycieraczki zgarniające z szyby kropelki coraz gęstszego deszczu.

— *Scheiße* — powtórzył kierowca, przekręcając kluczyk w stacyjce. Rozrusznik jazgotał chwilę. Wreszcie silnik podjął znów pracę. Ale wciąż nie ruszali.

Dopiero teraz Krauze zorientował się, dlaczego stoją. Drogę zagradzał wyładowany drewnem wóz zaprzęzony w dychawicznego konika. Woźnica zamiast poganiać zwierzaka kręcił się bezsensownie obok wozu, przekładając z ręki do ręki długie biczysko. Spoglądał co chwila spode łba na samochód.

— *Himmelherrgottkreuzmillionendonnerwetter!* zniecierpliwził się wreszcie kierowca. Począł odkręcać szybę.

Krauze widział, jak chłop nagle odwraca się przodem, staje na szeroko rozstawionych nogach i odrzuca biczysko. Czas zwolnił, kiedy serce podeszło kapitanowi do gardła wraz z nagłym zrozumieniem.

Uważaj! — chciał krzyknąć, choć nie wiedział do kogo. Ale zamarł z otwartymi ustami, widząc, jak woźnica rozchyła kapotę, spod której błyska nieoksydowaną chłodnicą lufa stena. Za chwilę przestał widzieć cokolwiek.

Przednia szyba zmatowiała nagle i pokryła się siateczką pęknięć, kiedy trafiły w nią pierwsze pociski. Wycieraczki zatrzymały się w pół ruchu. Z tyłu też zajazgotała stłumiona seria. Opel zatrzęsł się i zakołysał, osiadając na przestrzelonych pneumatykach. Tylne okienko rozprysnęło się. Cywil z tyłu zakwiczał coś nieartykułowanie i zwinął się w kłębek na skórzanej kanapie. Przyciskał do brzucha teczkę, jakby chciał ją ochronić za wszelką cenę.

Krauze siedział chwilę skamieniały, widząc, jak kierowca wypręża się i drga, kiedy jego pierś przeszywają dziewięciomilimetrowe pociski. Niemiec coś krzyczał, ale w łoskocie wystrzałów, w huku przebijających blachę kul nic nie było słychać.

Peemy zachłyśnięty się na chwilę i umilkły. Widać strzelcy zmieniali magazynki. Kierowca żył jeszcze, w oczach tliła się resztką świadomości. Ale osuwał się powoli po oparciu, krew z przestrzelonej tętnicy szyjnej chlustała wysokim łukiem, Krauze poczuł, jak lepka, gorąca ciecz spływa mu po twarzy. I wtedy wreszcie zareagował, dało znać o sobie wyszkolenie, rutyna wzięła górę nad zaskoczeniem i wyczerpaniem.

Zwinął się, osunął na podłogę, pozwalając, by ciało Niemca zważyło się na niego. Miał nadzieję, że blok silnika osłoni go z przodu. Namacał za paskiem rękojeść colta. Przez chwilę mignęła myśl, czy nie otworzyć drzwiczek, nie wyturlać się na zewnątrz. Ale nie miał szans. Mógł się zorientować, że strzelają co najmniej dwa peemy.

I przecież, kurwa, do swoich nie będę strzelał, pomyślał z rozpaczą.

Następna seria trafiła niżej, w maskę silnika. Była krótka, umilkła zaraz. Ten z tyłu już nie strzelał.

Zapadła cisza. Tylko para uchodziła z sykiem z podziurawionej chłodnicy. Dopiero po chwili Krauze zaczął rozróżniać inne dźwięki. Parskanie spłoszonego konia, który targał uprząż, i bulgotliwe odgłosy, wraz z którymi z Niemca na tylnym siedzeniu uchodziło życie.

Niewyraźny okrzyk z zewnątrz, który zabrzmiał jak komenda.

Jeśli odskoczą teraz, mam szansę, błysnęła nadzieja. I zaraz zgasła, wraz z odgłosem kroków na zwirowanej drodze.

Zaskrzypiała blacha. Ktoś mocował się z tylnymi drzwiczkami podziurawionymi przez pociski. W końcu puściły z trzaskiem.

Krauze leżał bez ruchu, starając się nawet nie oddychać. Czuł, jak krew kierowcy, który przygniatał go do podłogi, spływa mu za kołnierz. Wciąż gorąca i lepka.

Trup drgnął, kiedy ktoś, kto zaglądał do samochodu, trącił go lufą. Cywil na tylnej kanapie wciąż oddychał ze spazmatycznym poświstem, kiedy powietrze uchodziło przez dziury w klatce piersiowej.

Trzasnął magazynek peemu wbity dłonią w gniazdo. Szczęknęła odciągana sprężyna.

Po nieskończeniu długiej chwili, odmierzanej przez uderzenia galopującego serca, w zamkniętej blaszanej przestrzeni zagrziała ogłuszająca seria.

## II

Murowana wygódka na podwórzu śmierdziała okrutnie. Na dodatek pozbawiona była drzwi i ciepły wiaterek wywiewał cały smród na zewnątrz. Dokładnie w załomek pomiędzy wychodkiem a ceglana ścianą sąsiedniej kamieniczki, tam, gdzie ukrył się Krauze.

Kapitan wiedział, że nie będzie musiał długo czekać. I nie pomylił się. Przez szpary w spróchniałych deskach ogrodzenia, za którym przykucnął, dojrzał znajomą sylwetkę starszego pana. W prochowcu i czarnym berecie Puchatek jeszcze bardziej wyglądał na emerytowanego belfra.

Leliwa zatrzymał się, spojrzął w ciemniejące niebo, jakby chciał sprawdzić, czy będzie mógł uczynić pożytek ze swego czarnego parasola. Stał chwilę, po czym przewiesił parasol na ramieniu i ruszył do bramy. Krauze odetchnął z ulgą.

Nie przypuszczał wprawdzie, by major, człowiek w końcu w poważnym wieku, skorzystał z drugiego wyjścia z posesji. Starszemu panu nie przystoi raczej przemykać się za wychodkiem, a potem wspinać na zrujnowany murek. Ale Leliwa czasem potrafił zaskakiwać.

Nie tym razem, uśmiechnął się Krauze, kiedy jasna plama prochowca zniknęła w cieniu wąskiej, śmierdzącej kotami bramy. Dotknął machinalnie kolby tkwiącego za paskiem pistoletu i spowaźniał. Wiedział, że teraz też nie będzie musiał długo czekać.

Istotnie, nie musiał.

Nie spoglądał na zegarek, ale był pewien, że nie minęło nawet pięć minut, kiedy w gęstniejącym już mroku zamajaczyła kolejna sylwetka. Ruszyła prosto w kierunku cuchnącej, murowanej wygódki w kącie podwórza.

Krauze uśmiechnął się pod nosem. Szansę, że ów człowiek wybierze trudniejsze, ale bezpieczniejsze wyjście z posesji, oceniał wcześniej na jakieś dziewięćdziesiąt procent. Nie było niczego trudnego w tym przewidywaniu. W końcu szkolili się razem.

Wstał rad, że nogi nie ścierpły od dłuższego oczekiwania. Cofnął się jak najdalej w załomek między wychodkiem a murem, by jak najlepiej wtopić się w coraz gęstszą ciemność. Czując na plecach dotyk cegieł, chłodny nawet przez płaszcz, dobył pistoletu.

Czekał. Słyszał, jak oficerki nadchodzącego postukują po bruku. Kroki były coraz bliższe. Opuścił głowę, by nie zdradziła go jaśniejsza plama twarzy, gdyby nadchodzący przypadkiem spojrzął w ciemny zakamarek.

Nie spojrzął. Krauze zanotował w myśli kolejny minus.

Młody człowiek nie rozglądał się nawet. Tu, na Czerniakowie, czuł się widać bezpiecznie. Cóż, pomyślał Krauze, wszyscy popełniamy błędy. Ciesz się, że to ja tu czekam, a nie kto inny.

Ostrożnie odkleił się od ściany, starając się nie czynić najmniejszego hałasu. Wcześniej rozejrzał się dokładnie, czy na ziemi nie wala się jakieś potłuczone szkło czy cokolwiek, co mogłoby pęknąć z trzaskiem pod podeszwą. Niczego takiego nie było, ale ostrożność nigdy nie zawadzi.

Młody człowiek uchwycił krawędź niskiego, ceglano murku. Stęknął cicho, szykując się, aby podciągnąć na rękach i przesadzić przeszkodę. I nagle zamarł.

Szczęk przeladowywanej broni zabrzmiał w ciszy jak wystrzał.

— Cześć, Kosa — rzucił Krauze i postąpił parę kroków naprzód. — Nie, nie opuszczaj rąk ani się nie odwracaj.

\* \* \*

Kosa drgnął, kiedy lufa colta wbiła mu się w plecy na wysokości nerek. Stał spokojnie i nie robił nic głupiego. Krauze odchylił mu kurtkę, wyłuskał pistolet zza paska. Zważył go w dłoni, po czym widząc, że jest zabezpieczony, wrzucił niedbale do kieszeni. Cofnął się kilka kroków.

— Możesz się odwrócić — powiedział. — Powoli i ostrożnie. Ręce też możesz opuścić.

Z ociąganiem, powoli, Kosa posłuchał. Stał pod niskim murkiem i wbił w Krauzego spojrzenie pełne wściekłości i rozpacz.

— Pierdolony szpicel — mruknął i splunął. Podrzucił głowę. — No, strzelaj...

Twarz Krauzego ściągnęła się i pobladła. Miał wrażenie, że colt zaciążył mu nagle w dłoni, lufa zadrgała i opadła. Powoli i z wysiłkiem, jakby poruszał ręką w gęstej smole, uniósł broń i wycelował ponownie.

Spodziewał się, że to właśnie usłyszy. Zdawał sobie sprawę już od dłuższego czasu, że interpretacja jego relacji może być tylko jedna. Opowiadał wszak rzeczy niewiarygodne, co więcej, podejrzone.

Ale co innego spodziewać się, co innego usłyszeć. Zwłaszcza z ust... przyjaciela?

Pokręcił bezwiednie głową. Nie, to nie takie proste, pomyślał. Kosa był zbyt młody. Miał jeszcze tę bezwzględność osądów. Ale mimo wszystko Krauze czuł przede wszystkim żal. I złość, że tak szybko go wszyscy skreślili, tak szybko uznali, że po prostu zdradził.

Wolną ręką otarł twarz, która nagle pokryła się drobnymi kropelkami potu. Pomyślał, że jednak postąpił słusznie, choć jeszcze przed chwilą miał wątpliwości. Jednak już go osądzono. I jeśli nie zaryzykowałby, mógłby tylko bezwolnie czekać. Podejrzał, że niezbyt długo.

Wstrząsnął nim dreszcz. Nie chciał ginąć z ręki swoich z piętnem zdrajcy.

Trzeba wziąć się w garść, nakazał sobie. Popatrzył prosto w twarz Kosy.

— Już mnie osądziłeś? — spytał. Choć bardzo się starał unikać goryczy, to jednak wyraźnie zabrzmiała w jego głosie. — I skazałeś?

Twarz młodego człowieka była już teraz tylko plamą jaśniejącą w coraz gęstszym mroku. Jednak kiedy odpowiedział, nie słyhać już było poprzedniej pewności.

— Nie ja od tego jestem. Decyduje...

— Sąd polowy? — wpadł mu w słowo Krauze i roześmiał się z goryczą. — Daj spokój. Ty mnie już skazałeś, myślisz, że wyrok będzie inny?

Spoważniał nagle.

— Nawet ty, Kosa — powiedział cicho. — Nieważne, co było, prawda? Skreśliłeś mnie.

— Nie... — Kosa zająknął się, urwał.

— Nieprawda? To chciałeś powiedzieć? — zadrwił kapitan. — Nie kłam.

Zapadło milczenie. W ciszy wiosennego wieczoru słyhać było tylko ciężkie oddechy dwóch mężczyzn. I daleki, stłumiony dźwięk syren *Überfallkommando*.

Obaj nasłuchiwali przez chwilę. Dopiero kiedy ucichł oddalający się jęk, Krauze wrócił do rzeczywistości.

— Dasz mi szansę, Kosa? — spytał cicho. — Wierz mi, głupio mi tak stać i trzymać cię na muszce.

Nie doczekał się odpowiedzi. Bardziej domyślił się, niż zobaczył niezdecydowany ruch głową.

— Jesteś mi to winien — docisnął.

Jeszcze całkiem niedawno nie przypuszczał nawet, że będzie do tego zdolny. Że kiedykolwiek wykorzysta zobowiązania. Ale teraz też chodziło o życie, pora odebrać dług.

— Pamiętasz? Kiedyś przysięgałeś.

— Kurwa mać, Jurek... — przerwał mu Kosa z rozpaczą. — Czego ty chcesz? Owszem,

przysięgałem, nie tylko tobie.

Postąpił krok do przodu, rozłożył ręce, jakby chciał się rzucić na Krauzego z gołymi rękoma.

— Czego, kurwa, chcesz?! — krzyknął. — Pociągnąć mnie za sobą?! Weź mnie lepiej, kurwa, od razu zastrzel!

— Stój, gdzie stoisz — chłodno ostrzegł kapitan. Wycelował dokładniej, mając nadzieję, że broń jest dobrze widoczna w mroku. Już nie czuł drżenia rąk, odeszły wątpliwości.

— Nie sprowokujesz mnie — dodał. — Nie zastrzelę cię od razu, rozwalę ci kolano. Wiesz, że potrafię.

Ramiona Kosy opadły z rezygnacją. Dobrze wiedział.

— Czego ty, kurwa, chcesz? — jęknął.

Krauze uśmiechnął się nieznacznie.

— Żebyś mnie posłuchał — rzucił twardo. — Daj mi jeden dzień, nie więcej. Obiecuję.

Zawiesił głos na chwilę.

— Jesteś mi to winien — powtórzył z naciskiem. Demonstracyjnie uniósł colta. Cichy trzask skrzydełka bezpiecznika zabrzmiał wyraźnie, nie sposób było go z czymkolwiek pomylić. Kosa się nie poruszył, ale Krauze wiedział już, że tę rundę wygrał.

\* \* \*

— Skąd miałeś kopyto? — spytał Kosa. — Przecież chłopaki cię sprawdzali, byłeś czysty.

Spytał nieco zbyt głośno, zbyt zaczepnym tonem. Ochłonął już widać po przeżyciach kilku ostatnich godzin i zaczął rozumieć sytuację, w jakiej się obaj znaleźli. I nawet poweselał, kiedy tylko dostał z powrotem swojego visa.

Krauze obserwował go spod oka. Miał wyrzuty sumienia, że tak go potraktował, że nie zawahał się przypomnieć o zobowiązaniach, co do których sam kiedyś myślał, że nie istnieją. Ot, zwykła rzecz na wojnie, dziś ja ratuję twoje dupsko, jutro ty moje. Tak się zawsze mówiło, nie traktując tego jutra poważnie. Ale okazało się, że nadeszło.

Gdzieś na dnie tkwiła jednak gorycz, nie dawała o sobie zapomnieć. Bo skoro on, Kosa, z którym przeżyli tak wiele, prawie nie rozstawali się przez długie lata, tak szybko uwierzył... Tak łatwo przyjął, że człowiek, z którym przedzierał się do Francji, by potem powrócić w jesienią, dżdżystą noc, jest zdrajcą. Jakby wszystko przedtem było nieważne...

Jeśli nawet on tak uważał, pomyślał Krauze, to jak mogę dziwić się innym? Zacisnął palce na musztardówce z grubego szkła wypełnionej do połowy mętym bimbrem.

— Pierdolona wojna — mruknął pod nosem. Zbyt cicho, żeby Kosa dosłyszał.

Uniósł szklanke, umoczył wargi w śmierdzącym fuzlem płynie.

— Za pomyślność. — Skrzywił się. — Będzie nam potrzebna. Zwłaszcza mnie.

Kosa odwzajemnił toast. Wypił do dna; kiedy odstawił szklanke na pokryty ceratą stół, kropelki bimbrowy spływając po ściankach naczynia, zamigotały w ostrym świetle karbidówki.

— Nie pij już więcej — przestrzegł Krauze.

Dla pewności wbił korek w szyjkę ledwie otwartej półlitrowki. Odstawił ją na podłogę obok rozłożystego kredensu.

— Żeby nie kusilo — wyjaśnił.

Kosa uśmiechnął się.

— Ech, tego mi brakowało w Anglii. — Przerwał, przegryzł kiszonym ogórkiem. — Właśnie bimbrowy. Wiesz, ja jestem chłopak z Targówka. Nie dla mnie ta ich nalewka na pluskwach. Pamiętasz...

Kapitan przestał słuchać. Wiedział, że Kosa musi się wygadać, odreagować stres. I dobrze,

pomyślał. Wiedział już, że porucznik podporządkował się jego autorytetowi, jakby z ulgą, że nie musi sam decydować, rozstrzygać czegokolwiek. Kwestie domniemanej zdrady, winy i kary.

— Nie słuchasz... — Kosa wyrwał go z zamyślenia. — A coś mi się wydaje, że jesteś mi jednak winien wyjaśnienia.

Porucznik błysnął zębami w uśmiechu. Ale to nie był radosny uśmiech.

— I to obszerniejsze, niż dałeś Puchatkowi — dodał już poważnie. — Bo nie powiedziałaś wszystkiego, prawda?

Krauze pokręcił głową.

— Co chcesz wiedzieć? Skąd miałem spluwę? No pomyśl trochę, czegoś cię chyba w Ridgway nauczyli...

Kosa skrzywił się, był zły.

— Nie pytam przecież, gdzie ją schowałeś, aż tak głupi nie jestem. Mogłeś gdziekolwiek.

Kapitan nie odpowiedział. Istotnie, to było oczywiste. A spluwę chował za wygodką. W murze sąsiedniej posesji była nawet odpowiednia wnęka po obluźowanej cegle.

Do dziś nie wiedział, czy było to po prostu przecucie — schował broń tknięty impulsem, kiedy szedł po raz pierwszy składać raport. Tak przynajmniej się to jeszcze wtedy nazywało oficjalnie, choć od razu przypominało przesłuchanie. Zresztą już wtedy pomyślał, że major Leliwa uwierzył we wszystko, ale nie w to, że Diehl na odchodnym podarował mu colta.

— Pytam, skąd go masz. — Kosa nie miał zamiaru ustąpić. — Czterdziestkapiątka to rzadkość, nie zabrałeś jej pijanemu banszucowi.

Krauze niecierpliwie machnął ręką.

— Później — zbagatelizował. — To naprawdę nie jest najważniejsze...

— Owszem — wpadł mu w słowo Kosa. — Ważniejsze są papiery.

Istotnie, pomyślał kapitan, to musiał być szok dla porucznika. Zwłaszcza kiedy podoficer niemieckiego patrolu na widok dokumentów zasalutował uprzejmie i przestrzegł, by uważać na polskich bandytów, na których natknąć się można po godzinie policyjnej. Długo trwało, zanim gorliwy żandarm dał się przekonać, że raczej niepotrzebna im eskorta.

Krauze też był zaskoczony. Sam sprawdził po raz pierwszy skuteczność papierka, który dostał od Diehla. Oczekiwał, że zaświadczenie, iż pozostaje w służbie Wehrmachtu, wystarczy najwyżej, by patrol przestał się czepiać. Jednak okazało się, że dokument zawierał coś więcej. Coś, co starszawego podoficera postawiło na baczność.

Złościło go to. Diehl mógłby uprzedzić, pomyślał.

— Owszem — przyznał. — Papiery są ważniejsze. Bo okaże się dopiero, na ile są ważne.

Kosa przyglądał mu się dłuższy czas. Jego oczy lśniły w blasku karbidówki.

— Zdecydowałeś się — powiedział w końcu. To nie było pytanie, lecz Krauze i tak odpowiedział.

— Tak.

Porucznik milczał jeszcze chwilę. Postukiwał palcami po blacie pokrytym wytartą, pokrojoną ceratą.

— Dobrze, Jurek...

Krauze drgnął. Kosa po raz drugi tego dnia zwrócił się do niego po imieniu.

— Wierzę ci — ciągnął Kosa ze znużeniem. — Nie rozumiem, ale ci wierzę. I pomogę, choćby miało mnie to wiele kosztować.

Poderwał głowę, spojrzał kapitanowi prosto w oczy.

— Bo jestem ci to winien, prawda? Muszę spłacić dług.

Krauze wytrzymał spojrzenie, choć wiele go to kosztowało. Chwilę trwało milczenie, cisza wypełniona tylko sykiem karbidowej lampki i potrzaskiwaniem drewnianej rudery gdzieś między

Targówkiem a Zaciszem.

Wiosenny wiatr, niosący już zapowiedź ciepłych dni, załomotał okiennicami. Obaj mężczyźni przy stole drgnęli.

— Nie dlatego... — Krauzemu zaschło w gardle, musiał odchrząknąć. — Nie dlatego, Kosa.

Porucznik wciąż nie spuszczał z niego ciężkiego, nieruchomego wzroku.

— Uratowałeś mi życie — przypomniał. — Tam, na Słowacji. Nie zostawiłeś w górach ze złamaną nogą, żebym zdechł w śnieżycy albo doczekał pograniczników. Niosłeś na własnych plecach, wiedząc, jak zmniejsza to twoje szansę. I doniosłeś.

Krauze zdecydował się. Sięgnął po flaszkę, wybił korek uderzeniem dłoni. Rozlał bimber do musztardówek.

— Nie, Kosa. — Uniósł swoją szklankę. — Dlatego, że tylko do ciebie mogłem się zwrócić. Nikt inny by nie uwierzył.

— Ja też jeszcze nie wierzę — wtrącił twardo porucznik. — Jeszcze nie teraz, jeszcze coś trzymasz w zanadrzu. Nie powiedziałaś wszystkiego.

Kapitan przytaknął.

— Nie powiedziałem — przyznał. — Masz rację. Ale powiem, długa noc przed nami. No, Kosa, wypijmy. Obu nam tego trzeba.

Powoli, z ociąganiem, porucznik ujął naczynie. I stuknął nim we wzniesioną szklankę Krauzego.

Bimber zapiekł w gardle, wycisnął łzy z oczu. Obaj jak na komendę sięgnęli po ogórki.

\* \* \*

— No dobrze, powiedziałem swoje. — Krauze zakaszłał, zdusił papierosa w pełnej już po brzegi popielniczce. — Teraz ja będę pytał, bo paru rzeczy nie wiem, a idę o zakład, że Puchatek sprawdził.

W małej izdebce było ciemno od dymu. Wkrótce zaczniesz się rozwidniać, pomyślał kapitan, będzie można otworzyć te cholerne okiennice, wpuścić trochę świeżego powietrza.

— Zaraz, zaraz — przerwał Kosa. — To wszystko? Przecież to wiem. No, może poza spluwą. I dalej, kurwa, nie rozumiem...

Ależ rozumiesz, kapitan pokiwał głową w zadumie. I nadal nie pasuje ci to wszystko. Cóż, mnie też.

— Twoja kolej — powiedział na głos. — Wiem, cała sprawa wydaje się bez sensu. Ale bez informacji, które być może macie, nie dojdziemy do niczego.

Popatrzył na porucznika.

— Za każdym razem siedziałeś w szafie? — spytał zniechęcony.

Kosa zmieszał się wyraźnie.

— Tak — przyznał po chwili niechętnie. — Skąd wiedziałeś?

Krauze skrzywił się pobłaźliwie.

— Nie wiedziałem — odparł. — Nie spodziewałem się, że od początku Leliwa nie będzie mi ufał, że będzie podejrzewał. To znaczy...

Zawahał się.

— To znaczy, spodziewałem się, oczywiście — kontynuował. — Ale nie przypuszczałem, że aż w takim stopniu, żeby się zabezpieczać. Przyznaj się, siedziałeś tam ze spluwą?

Kosa umknął spojrzeniem. To wystarczyło za odpowiedź.

— Nie wiedziałem aż do ostatniego razu. Kiedy zacząłeś się kręcić. — Krauze skrzywił się złośliwie. — To stary mebel, trzeszczał mocno.

Porucznik wciąż patrzył w podłogę.

— Pierdolona naftalina — mruknął tylko. — Myślałem, że się uduszę.

— No, ale wszystko słyszałeś. Tyle, ile i Puchatek. A teraz wiesz więcej.

Krauze sięgnął do pudełka po następnego papierosa. Nie znalazł i ze złością zgniótł pusty kartonik. Ociężale wstał i wyjął nową paczkę z kieszeni prochowca.

— Sprawdzaliście Diehla — rzucił z niecierpliwością. Poobijane paznokcie wciąż nie odrosły porządnie, miał problemy z otwarciem pudełka. W końcu podważył karton ostrzem noża, który Kosa przyniósł do krojenia ogórków.

— Sprawdzaliśmy — przytaknął porucznik. — Mogłeś tego oczekiwać.

— Oczywiście, że mogłem — burknął Krauze.

Wydłubał papierosa, zapalił, cisnął bezceremonialnie wypaloną zapałkę na podłogę. Zaciągnął się głęboko, czując, jak w skroniach budzi się tępy ból. Za dużo już wypalił.

— Mogłem i spodziewałem się — dodał. — Ale Leliwa nic nie chciał powiedzieć. Wysłuchał tylko, co ja miałem do powiedzenia.

Odsunął krzesło, usiadł na nim, odwróconym tak, że wsparł ręce na oparciu.

— A ja o nim gównie wiem. — Skrzywił się i zgasił papierosa nadpalonego w jednej trzeciej. — Nie był nikim ważnym, nikim, kto by się liczył. Ot, kolejny doktorek z Monachium, coś tam opublikował. Zapamiętałem, bo śmieszna ta praca była. Zamyślił się na chwilę.

— Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało... — Zmarszczył brwi z zastanowieniem. — W którym to było? W trzydziestym siódmym bodajże. Teraz to inaczej wygląda, zapewne.

— A jak wygląda? — spytał zimno Kosa. — I jak wyglądało wtedy? Czego dotyczyła ta publikacja?

Krauze popatrzył zaskoczony. Nie podejrzewał porucznika, by ten zrozumiał cokolwiek z opowieści o pracźlowieku. Kosa nie był głupi ani niewykształcony. Daleko zaszedł jak na chłopaka z Targówka. W końcu przed wojną był oficerem policji. Ale takiej wiedzy po prostu nie miał.

Ty coś wiesz, zrozumiał Krauze. Dobrze.

— Diehl to antropolog — zaczął powoli. — A antropologia w Niemczech zaczynała już wtedy służyć paskudnym rzeczom. Praca była o cechach prymitywnych u ludów słowiańskich. Zupełnie nienaukowa, fałszywe przesłanki... Ale pasowała do teorii.

— Nienaukowa, powiadasz? — spytał Kosa i oczy załśniły mu twardo. — Całkiem niezłe wnioski można wyciągnąć, jak się okazuje, z fałszywych przesłanek. I całkiem niezłą praktykę dorobić do teorii...

Kapitan parsknął ze złością.

— Przestań owijać w bawełnę, stary — rzucił krótko. — Sprawdziliście Diehla. Więc mów, co wiesz.

Kosa przymknął oczy, odchylił się na krześle. Zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć jak najdokładniej. Nie było to trudne, miał fotograficzną pamięć.

— Weź pod uwagę, Jurek, że mogę nie wiedzieć wszystkiego — zastrzegł, nie otwierając oczu. — Jakies materiały mogły dojść do Puchatka przez normalnego łącznika. Wiem tylko tyle, ile sam widziałem.

Krauze uśmiechnął się nieznacznie. Znał porucznika. Zdziwiłby się, gdyby ten nie przeczytał meldunku, który niekoniecznie dla niego był przeznaczony. A meldunki zwykle były na świstkach, bo zapieczętowaną kopertę znacznie trudniej przełknąć w razie czego.

— Mów, ile wiesz — ponaglił, kiedy milczenie się przedłużało.

Kosa otworzył oczy, pochylił się i oparł łokcie na stole.

— Otto Diehl — zaczął. — *Hauptsturmführer* SS, doktor antropologii. W Warszawie pojawił

się niedawno, może dwa tygodnie przed twoją wpadką. Nawiasem mówiąc, mówił prawdę. Ty też mówiłeś.

Kosa rzucił szybkie spojrzenie.

— Gonschorka ktoś stuknął. Ciekawe, bo nikt go nie podejrzewał, wręcz przeciwnie. Uchodził za naszą wtykę na Skaryszewskiej, sporo ludzi stamtąd wyciągnął. A ciebie, jak mówisz, zakapował.

Kapitan kiwnął głową z namysłem.

— W każdym razie Gonschorek zmarł. Z powodu gwałtownego zatrucia ołowiem. Dużo go miał w organizmie, cały magazynek.

Porucznik umilkł na chwilę, pogładził pieszczotliwie kolbę visa leżącego wciąż na ceracie, pomiędzy nadgryzionymi ogórkami.

— I to nikt z naszych nie dał mu w czapę. Nie było sensu, bo przecież nie wiedzieliśmy, że był konfidentem. Nawet nikt nie wiedział, że podpisał volkslistę.

— Ja też nie wiedziałem — wyrwało się Krauzemu z żalem. Wciąż pamiętał Józia Gąsiorka. Przed oczyma miał roześmianą, nieco cwaniacką gębę kaprała.

— Więc Diehl nie kłamał — podsumował Kosa. — On już ci nie zaszkodzi. A szkopy zrezygnowały ze znakomitego agenta, ot, tak sobie. Daj no papierosa...

Nie czekając na pozwolenie, wyciągnął rękę, stuknął pudełkiem o blat.

— Ważny jesteś, Jurek, na to wychodzi. I ty chcesz, żeby ktoś uwierzył, że chodzi tutaj tylko o prehistoryczne truchło? Jakieś pierdolone kości? No, stary...

— To przecież... — Krauze chciał zaprotestować odruchowo, ale ugryzł się w język. Istotnie, pomyślał, dla kogo to jest ważne? Jest wojna. A to, że sam strawił lata nad tajemniczą czaszką, znaczyło tyle co nic.

— No dobrze. — Kosa znów odchylił się na krześle, przeciągnął, aż trzasnęło mu w stawach. — Wracajmy do Diehla.

Przejmuje inicjatywę, dostrzegł Krauze z mimowolnym rozbawieniem. Wyłazi z niego policjant. Kiedyś był dobrym oficerem śledczym, mimo że taki młody. Młodszy ode mnie o dobrych piętnaście lat. I dobrze, podsumował w myśli. Może on się czegoś dopatrzy.

— Diehl przeszedł od teorii do praktyki. — Kosa przypalił papierosa. Może to było tylko złudzenie, ale wydawało się, że płomyk zapałki drży lekko. — Już nie jest doktorkiem z Monachium jakich wielu. Dość tajemnicza postać w ogóle.

Odchylił głowę do tyłu, wydmuchnął wąski pióropusz dymu.

— Ale to oprawca. Wywiad długo szukał, wiem...

Kosa uśmiechnął się krzywo.

— Dowiedziałem się, powiedzmy, nieoficjalnie. Zna się, kogo trzeba. Ale nieważne.

Zakaszłał, spojrzał z niesmakiem na papierosa w palcach.

— Zabije mnie to palenie — burknął. — Jeśli zdąży. Krauze był zniecierpliwiony. Kosa zaczynał cedzić informacje, co więcej, kapitan zdawał sobie sprawę, że dawny przyjaciel śledzi jego reakcje. Niczym na przesłuchaniu.

— Kosa, do rzeczy... — przynaglił ze złością. — Co o nim wiemy?

— Wiemy? — spytał przeciągle porucznik i spojrzał znów jak na schwytanego na gorącym uczynku doliniarza z Kercelaka. Zmitygował się, napotkawszy wzrok Krauzego.

— Przepraszam, Jurek — powiedział cicho.

Kapitan skinął głową bez słowa.

— Diehl pojawił się w Warszawie niedawno — powtórzył Kosa tonem już rzeczowym, bez ledwie słyszalnej kpiącej nutki. Jakby składał meldunek przełożonemu. — Nie miał określonego przydziału, w każdym razie nic na ten temat nie mogliśmy się dowiedzieć.

Krauze wiedział, że porucznik, mówiąc „my”, ma na myśli akowski wywiad. Skuteczny jak dotąd w rozpracowywaniu hitlerowskich oficerów w okupowanej Warszawie.

— Ale mamy raporty z Oświęcimia. To oprawca, Jurek. Jeden z tych pierdolonych aryjskich lekarzy i naukowców, a raczej bydląt, które każą się tak nazywać.

Zgasił z wściekłością papierosa w przepelnionej popielniczce. Ręka wyraźnie mu drżała. Spojrzał Krauze — mu prosto w oczy.

— Nie powinienem ci tego mówić — powiedział wprost. — Jeśli...

Zawahał się na chwilę.

— Jeśli się mylę co do ciebie, jeśli dałem się zwieść przyjaźni, to mogę wydać wyrok śmierci na wielu ludzi. Ale, kurwa, muszę...

Głos porucznika załamał się na chwilę.

— Wierzę ci — podjął wreszcie z trudem. — To jest tak zwariowane, tak nie trzyma się kupy, że nie mogę nie uwierzyć. Musiałbyś być idiotą, żeby wrócić ot tak, pieprzyć bzdury, w które nikt normalny nie uwierzy. Samobójcą, bo przecież wiedziałeś, jak to się skończy. Wiedziałeś, że zarobisz w czapę prawomocnym wyrokiem sądu.

Zaśmiał się chrypliwie.

— I wiem jeszcze jedno — dodał z ironią. — Gdybyś był na miejscu Puchatka, zdecydowałbyś tak samo. Przyznaj się.

Z ociąganiem, powoli, Krauze skinął głową.

— Tak — odparł ze znużeniem. — Nie miałbym wyjścia. Tak jak wy.

— Wy? — Porucznik podrzucił głowę. — A co ja, kurwa, teraz robię? Nie wydaje ci się, że jednak co innego?

Kapitan już miał na końcu języka ciętą odpowiedź. Ale zrezygnował.

— Mów dalej — powiedział. — To wszystko już ustaliliśmy. A ja muszę wiedzieć jak najszybciej.

Zacisnął palce na oparciu krzesła. Wstał po chwili ociężale, począł się przechadzać po izbie. Deski podłogi poskrzypywały cicho przy każdym kroku.

Miał nieprzyjemną świadomość, że czas ucieka. Musiał sam sobie przyznać, że wierzy w ostrzeżenia Diehla. I gdzieś głęboko tkwił niepokój, który starał się wciąż zepchnąć głębiej i uciszyć. Ale ciągle powracało to samo wrażenie, echo ostrzeżeń esesmana. Obawiał się niejasno, że ryzykuje wiele, wciągając w sprawę Kosę. Nie tylko dlatego, że skłonił porucznika w imię zobowiązań i lojalności do niesubordynacji graniczącej wręcz ze zdradą. Ryzykował więcej, jak sobie uświadamiał. Bo w słowach Diehla mogła tkwić prawda.

Otrząsnął się. Poza samym Diehlem pozostawała jeszcze jedna sprawa. Ale kawałki łamigłówek zaczynały do siebie pasować. I obraz, jaki się wyłaniał, był niepokojący.

Po kolei, nakazał sobie w myśli. Dojdziemy i do tego. Liczył na przenikliwość Kosy, a także na jego, jak sam porucznik określał, dojścia.

— Mamy raport z samego obozu. — W głosie Kosy zabrzmiały dziwne nutki. Krauze nie słyszał jeszcze takich. Wielokrotnie rozmawiali przecież o wrogu, obaj byli żołnierzami. Wyszkolonymi oficerami wywiadu. Teraz słyszał... lęk? Tak, strach zmieszany z odrazą.

— *Hauptsturmführer* Diehl przebywał w Oświęcimiu ponad dwa miesiące. — Słowa padały równo, lecz były głuche i stłumione. Kosa nie patrzył już na kapitana, wbił wzrok w pokrojoną niezliczonymi cięciami noża, wytartą ceratę. Palcem machinalnie rozgarniał popiół przylepiony do pochłapanego sokiem z kiszonych ogórków i bimbrem blatu. Kreślił zawiłe linie. — Głównie na tak zwanym rewirze. Nie wiemy dokładnie, kiedy. Informacje są niejasne, czasem sprzeczne. Inne nie mogą być.

Krauze pokiwał głową w milczeniu. Dobrze, że w ogóle są, pomyślał. Rozumiał dobrze, czego

obawiał się Kosa. Opowiadając to, narażał nieznanym nikomu ludzi na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Jakby nie wisiało nad nimi i tak śmiertelne zagrożenie.

— On od swojej pracy przeszedł do praktyki, Jurek. — Kosa zacisnął dłoń na nadgryzionym ogórku, pomiędzy palców wytrysnęła zielona maź zmieszana z pestkami. — Wybierał więźniów, zapisywał numery na apelu. Chodził po całym obozie z paroma esesmanami, zaglądał ludziom w twarze. Mierzył głowy czymś, co opisują jako cyrkiel.

Prognatyzm, pomyślał machinalnie Krauze. Kąt twarzowy. Przymknął powieki, wspomnienia przywołały obraz brunatnych czaszek, niespodziewanie ciężkich, kiedy je wziąć do ręki, bo sfosylizowanych. Wyszukiwanie charakterystycznych punktów pomiarowych, serie odczytów, cierpliwe wpisywanie do tabelki. Znow wstrząsnął nim dreszcz. Czaszki, pomyślał, tylko czaszki. Było coś niewłaściwego w pomiarach żywych ludzi. Coś złowieszczonego.

— Wtedy też zapisywał numery. I więźniów zabierali z komanda na rewir.

Krauze domyślał się już, co za chwilę usłyszy. Odetchnął głęboko.

— Potem *Himmelfahrtskommando*... — Kosa urwał na chwilę, popatrzył na kapitana. — Więźniowie, którzy obsługują krematorium — wyjaśnił.

Niepotrzebnie. Krauze słyszał już ów termin.

— Więźniowie pakowali czaszki do skrzyń. Starannie wypreparowane. I pakowali też z istic niemiecką starannością. Każdą opisaną, owiniętą w watę drzewną.

— Tylko czaszki? — wtrącił szybko Krauze i skrzywił się. — Nic dziwnego, że te jego publikacje...

Kosa poderwał głowę znad stołu.

— Jurek, co ty pierdolisz? — parsknął z wściekłością zmieszaną z niedowierzaniem. — O czym ty, kurwa, mówisz? To ludzie! Nie małpy w klatce, nie króliki doświadczalne!

Krauze zatrzymał się nagle.

— Co powiedziałeś? — spytał powoli z nagłym napięciem w głosie. — No powtórz, do cholery!

Porucznik zamarł z otwartymi ustami. Nie takiej reakcji się spodziewał. Krauze ciężko usiadł na krześle, potarł znużonym gestem twarz.

Ten skurwysyn coś znalazł, pomyślał. Nie coś, poprawił się zaraz, wiadomo przecież, co. Znalazł potwierdzenie swojej kretyńskiej teorii, człowieka o reliktowych cechach. Tylko co w tym takiego niezwykłego, właśnie teraz? Do czego mu jestem potrzebny, przecież nie po to, żeby się dzielił własnym odkryciem, i to jeszcze z kim? Z wrogiem? A przynajmniej z konkurentem? Dla niego byłoby najłepiej, gdybym leżał już w grobie z kulą we łbie.

— Jurek?

Głos Kosy przywołał go do rzeczywistości. Otrząsnął się. To też nie ma sensu, pomyślał.

— Nic, mów dalej — mruknął. — Przepraszam.

Kosa wzruszył ramionami. Przeszła mu też złość. Wyglądał po prostu na zmęczonego.

— Ktoś dotarł dalej. Nie powiem, kto, sam tego nie wiem. — Uśmiechnął się przepaszająco. — Słyszałeś o *Ahnenerbe*?

Kapitan potwierdził skinieniem głowy. Mimo to Kosa ciągnął dalej.

— Niemieckie dziedzictwo krwi. Organizacja, której przewodzi sam Himmler. A nasz znajomy, Otto Diehl, jest tam nie lada szyczą, jak się okazuje.

Coś się zaczyna układać, pomyślał Krauze. Niewiele, ale zawsze coś.

— I to tyle, Jurek — podsumował porucznik. Otarł dłoń umazaną mokrym popiołem i mazią z rozgniecionego ogórka o spodnie. Chwilę spoglądał na przyjaciela. I zastanawiał się ponuro, czy nie popełnił właśnie strasznego błędu. Czy siedzący naprzeciw niego człowiek nadal jest jego przyjacielem.

— Gdyby to ode mnie zależało, dałbym Diehlowi w czapę — powiedział wreszcie twardo. —

Nawet, kurwa, bez wyroku. Warto byłoby, kiedy to bydlę jest w Warszawie. Wiesz...

Urwał na moment. Poglądził pieszczotliwie kolbę swojego visa.

— Nawet się zastanawiałem przez chwilę, czy nie skorzystać z okazji — przyznał. — Żebyś mnie do niego doprowadził. Chętnie bym rozwalil tę jego nordycką czaszkę.

— I nie proponujesz? — spytał chłodno Krauze.

Kosa uśmiechnął się drwiąco.

— Nie — odparł. — A ty dobrze wiesz, dlaczego.

Bo nic tu nie pasuje, pomyślał kapitan. I nic nie powiedział.

— Nie miej złudzeń, Jurek — dodał Kosa. — Ja ci uwierzyłem z oczywistego powodu. Ale nikt inny nie uwierzy. Masz rację, został ci jeden sposób, by spróbować wyjść z tej sprawy cało.

Popatrzył Krauzemu prosto w oczy.

— Brnąć dalej. To jedyna szansa.

To była prawda. Innej szansy nie było. Krauze odchrząknął.

— Dziękuję — powiedział po prostu.

Kosa roześmiał się zmieszany, ale tylko na chwilę.

— Za co, Jurek? — spytał z gorzką ironią. — Znam cię, przynajmniej znałem. Nie byłbyś chyba takim idiotą, żeby wracać z nieprawdopodobną historyjką, gdybyś naprawdę był szpiclem. Przecież to się kupy nie trzyma! Ale wiesz...

Spowaźniał.

— Ja mogę sobie pozwolić na luksus wątpliwości. Inni, jak sobie zdajesz sprawę, nie mogą. Za dużo wiesz. I ja...

Zawahał się chwilę.

— I ja bym nie mógł — dokończył twardo. — Jeśli dostałbym rozkaz. Rozwalilibym ci łeb, nie bacząc na zobowiązania. Ale masz szczęście, nie dostałem jeszcze.

Krauze skrzywił się drwiąco.

— Wiem — powiedział. — I za to cię, Kosa, lubię. Szczerzy chłopak jesteś.

Sięgnął po flaszkę bimbrowa.

— I za to się z tobą napiję. Bo chyba skończyliśmy. Szyjka butelki brzęknęła o brzег musztardówki. Zabulgotał mętny, ostro śmierdzący fuzlem płyn.

— Twoje zdrowie, Kosa. — Kapitan uniósł szklanke.

Porucznik nawet nie drgnął.

— Powinieneś jeszcze coś wiedzieć — powiedział.

Krauze uniósł pytająco brwi.

— To twoje „cudowne ocalenie”. To przeważyło. Bo Leliwa był pewien, że kłamiesz. Sprawdziliśmy, to nie był nikt od nas.

Kapitan spojrział na niego zaskoczony.

— Jak to? — zdołał tylko spytać.

— Ano tak, po prostu. — Kosa wypił bimber jednym haustem. Skrzywił się, odkaszlnął, rozejrzał za ogórkiem. Bez rezultatu, ostatniego rozgniół w garści.

— Mocny, cholera — mruknął zduszonym głosem.

— Gadaj — przynaglił go Krauze. — Jak to nikt od nas? Kosa odkaszlnął jeszcze raz i odstawił szklanke.

— No nikt. Sprawdzałem dokładnie, nieoficjalnie też. Myślałem z początku, że jakaś samowolna akcja, rozbajanka. Ot, chłopaki w lesie się nudzą, broni mało, to postanowili zrobić zasadzkę na drodze. Ale nic.

Napotkał niedowierzające spojrzenie Krauzego. Pokręcił głową.

— Wierz mi, Jurek, mam swoje sposoby — zapewnił. — Lepsze niż Puchatek i cały jego

wywiad. Nikt od nas. Co więcej...

Skrzywił się nieznacznie.

— Mam też inne dojścia, którymi się specjalnie nie chwale. U komunistów jest paru chłopaków z Targówka. I nic. Oni też nie. Zresztą, Kabaty to nie ich teren.

Krauze zaczynał już rozumieć. Pokiwał głową w zamyśleniu, kiedy przypomniał sobie starannie maskowany strach, który błyskał czasem w oczach Diehla. Jego nerwowy pośpiech pod sam koniec, tuż przed wyjazdem.

— Na początku też pomyślałem, że po prostu łiesz — dotarł do niego głos porucznika. — Teraz już tak nie myślę. Za to jest niewątpliwie gorzej.

Kosa był bystry. Jego policyjny węch i tym razem wskazał nieomylnie, gdzie w całej sprawie mocno śmierdzi.

— To ja byłem celem — powiedział wolno Krauze. — Gdybym siedział z tyłu...

Dostałbym całą serię, pomyślał. Ot tak, dla pewności. Zamachowiec zrobił błąd. Nie powinien strzelać w głowę. Nie byłoby problemu z identyfikacją.

Kosa sięgnął po butelkę i rozlał resztki bimbru. Potem wstał, przykręcił karbidówkę. Jaskrawy płomyczek zgasł. W mroku izby można było dostrzec, jak przez szpary w okiennicach sączy się blade światło. Dniało.

Skrzypnęły zawiasy okiennic, do izdebki wpadł świeży podmuch. Na tle jasnego prostokąta okna Krauze widział tylko ciemną sylwetkę porucznika, którego twarz kryła się w mroku.

— W rzeczy samej, Jurek — usłyszał jego poważny głos, w którym drgały nutki współczucia. — Coś mi się wydaje, że na tym się nie skończy. Ale nie masz wyjścia.

Krauze nawet nie odpowiedział.

\* \* \*

Ostatni zgasł środkowy silnik. Dwułopatowe śmigło zrobiło jeszcze pół obrotu, z rur wydechowych strzeliły wypchnięte z cylindrów ostatnie kłęбки spalin. Ustała wreszcie wibracja wstrząsająca od kilku godzin blaszanym pudłem transportowego junkersa.

Pierwsza wstała dziewczyna. Właśnie dziewczyna, nie kobieta, tak Krauze myślał o niej od początku, odkąd ujrzał ją pierwszy raz. Może przez szczupłą, drobną sylwetkę, a może przez dołeczki w policzkach, które pojawiały się, kiedy się uśmiechała. Ale uśmiechała się rzadko.

W każdym razie do niego rzadko się uśmiechała. Chyba nigdy, pomyślał teraz, choć spędzili już ze sobą trochę czasu, jeszcze w Warszawie. Za to przyłapywał ją czasem na ukradkowych spojrzaniach, czujnych i badawczych. Wtedy nie wyglądała już dziewczęco. Miała dobrze ponad trzydziestkę.

Nie czekała, aż podoficer Luftwaffe odblokuje drzwi, sama zaczęła się mocować z zamkiem. Udało jej się, właz uderzył z łomotem o falistą blachę kadłuba. Kobieta wychyliła się, jedną ręką przytrzymując zwieszającą jej się z szyi, nieodłączną leicę.

— Heidi! — rzucił ostro Diehl, kiedy już miała wyskoczyć na zewnątrz. Zamarła posłusznie wsparta jedną dłonią o krawędź drzwi.

— Wracaj na miejsce i czekaj.

Krauzemu wydawało się, że Heidi nieznacznie wzruszyła ramionami, ale na tym się skończyło. Wróciła schylona i usiadła na obciążonej brezentem konstrukcji z rurek, która w transportowym junkersie imitowała siedzenia.

Piekielnie niewygodne, pomyślał mimochodem Krauze. Po wielogodzinnym locie miał obolały tyłek. W obawie przed myśliwcami lecieli na niskim pułapie. Junkersem rzucało w dziurach powietrznych, co chwila żołądek podjeżdżał do gardła. A twarde rurki wpijały się w ciało.

Jak zauważył, Diehl też wyglądał na wykończonego. Esesman przez cały lot drzemał lub udawał, że drzemie. Raczej to drugie, bo w blaszanym wnętrzu rezonującym od huku gwiazdowych silników trudno raczej o prawdziwy sen. Ale przymknął oczy, kiedy tylko wystartowali z Okęcia. I otworzył je dopiero tuż przed lądowaniem, kiedy silniki zmieniły ton i transportowiec zatrzęsł się w zniżaniu.

Krauzemu to nie przeszkadzało. I tak nie dałoby się rozmawiać, nie przekrzykując się z całej siły. Przynajmniej miał czas, żeby pomyśleć.

A było o czym. Jego wzrok przyciągnęły zwalone na stertę bagaże. Wojskowe plecaki Heidi i *Rottenführera* Jeschke, który okazał się kimś w rodzaju adiutanta i zaufanego Diehla, w każdym razie nie odstępował go ostatnio nawet na krok. Niegdyś eleganckie, teraz odrapane, skórzane walizki esesmana. I na tym wszystkim starannie przymocowany przed startem, okrągły, kartonowy pojemnik niczym pudło na kapelusze.

Ale Krauze wiedział, że nie zawiera ono nakrycia głowy. Tylko całą głowę, a raczej to, co z niej pozostało. Jasną, wypreparowaną czaszkę.

Przymknął oczy. Od huku silników podczas lotu wciąż dzwoniło mu w uszach. Przestał zwracać uwagę na podniesiony głos pilota, który natychmiast po tym, jak zgasły motory, począł się wyklócać z kimś z obsługi polowego lotniska. Przed oczyma stanął mu znów moment, kiedy po raz pierwszy ujrzał czaszkę.

Spodziewał się tego widoku. Domyślał się już wcześniej, co mógł znaleźć doktor Otto Diehl, zatruty niemiecką ideologią antropolog. Ale co innego domyślać się, co innego zobaczyć. Dotknąć.

To było niewiarygodne. Sklepienie czaszki jaśniało kremowym kolorem świeżo wypreparowanej kości. Mógł przesunąć palcem po wałach nadoczodołowych, mniej wydatnych niż w kopalnych znaleziskach, ale wyraźnych i charakterystycznych. Zobaczyć masywną żuchwę bez bródki, z dużymi, silnymi zębami i sporym odstępem za trzonowcami. Cechy plezjomorficzne zgadzały się co do joty, podobnie jak automorfie. Niepotrzebne było nawet przeprowadzanie pomiarów.

Trzymał w dłoniach czaszkę *homo neanderthalensis*.

Teraz też poczuł ukłucie wstydu na wspomnienie chwil uniesienia, które wówczas przeżył. To nie było wykopalisko, zbrunatniałe kości, z których ciało odpadło przed dziesiątkami tysięcy lat. Które przeszły proces fosylizacji, nadający im gładkości i ciężaru. Jakby usprawiedliwienie, że nie są już ludzkimi szczątkami, a tylko znaleziskiem, cennym materiałem porównawczym. Trzymając w dłoni brunatne ułamki sklepienia czaszki, łatwo zapominało się, że kryły kiedyś żywy, myślący mózg. Jestestwo rozumnej istoty ludzkiej.

Ludzkiej? Krauze otworzył oczy. Oto najważniejsze pytanie, pomyślał. Tylko czy odpowiedź na nie jest warta tego wszystkiego?

Heidi trąciła go łokciem w bok i wymamrotała zdawkowe przeprosiny. Wierciła się niecierpliwie na brezentowym siedzisku i co raz ustawiała coś w swojej leice, choć przecież nie zamierzała robić zdjęć. Ale Diehl wciąż siedział wsparty o blaszaną ścianę, z przymkniętymi oczyma, jakby na coś czekał. Albo na kogoś.

Zadawanie pytań nie miało sensu. Esesman nie udzielał już wyjaśnień, odkąd zyskał pewność, że jego nie całkiem dobrowolny współpracownik podjął już ostateczną decyzję. Stał się milczący i opryskliwy, przestał być jowialnym młodszym kolegą, którego rolę tak doskonale odgrywał na początku. Teraz wydawał już tylko rozkazy, a wszystkie wyjaśnienia zachowywał dla siebie. Czasem pozwalał sobie jedynie na zdawkowe „dowiesz się w swoim czasie”.

Tylko na początku, jak przypomniał sobie Krauze, okazał pewien niepokój i wyraźną ulgę. Zaraz po tym, kiedy wreszcie kapitan zatelefonował pod jeden z numerów, których nauczył się na pamięć. Ten warszawski.

Krauze domyślał się, dlaczego. Diehl nie przypuszczał, że do ich ponownego spotkania dojdzie tak późno, nie liczył się najwyraźniej z aż takimi komplikacjami. I obawiał się najwidoczniej, że kapitan mógł zbyt wiele dowiedzieć się o nim samym.

Przez otwarte drzwi do wnętrza samolotu wpadał świeży, wiosenny powiew. Niósł ze sobą wilgoć deszczu, zapach rozmokłej ziemi zmieszany ze smrodem lotniczej benzyny. Kobieta obok nie przestawała się wiercić, niecierpliwie zdmuchiwała kosmyk rudych włosów, który wciąż niesforne opadał na jej lekko piegowaty policzek. Jeschke drgnął, oparł swojego nieodłącznego szmajsera o stertę bagaży i zaczął nadłuchiwać. Trącił Diehla w ramię.

*Rottenführer* miał dobry słuch. Dopiero po chwili Krauze usłyszał charakterystyczny warkot terenowego volkswagena. Esesman otworzył oczy, skinieniem głowy wskazał otwarty właz. *Rottenführer* bez słowa podniósł broń, ruszył do wyjścia. Po chwili zniknął na zewnątrz.

— Siadaj — rzucił krótko Diehl, kiedy Heidi też zaczęła się podnosić. — My jeszcze poczekamy.

Znów posłuchała bez słowa.

\* \* \*

Jechali błotnistą drogą, spod opon tryskały fontanny gęstej mazi. Jeschke prowadził dobrze. *Kübelwagen* ani razu nie ugrzązł w wyrwach w rozjechanej gąsienicami nawierzchni. Robiło się coraz widniej. Wstawał pochmurny, wiosenny dzień.

Gęsty deszcz spływał po przedniej szybie, wycieraczki ledwie nadażały ze zgarnianiem. Krople bębniły w brezentowy dach głośno i były słyszalne nawet przez wysiłony warkot silnika na niskich biegach.

Krauze próbował się rozglądać, jednak przez strugi deszczu widział niewiele. Rozległe pola, mizerne sosnowe i brzozowe laski. Raz czy drugi zamajaczyły zrujnowane chałupy, a raczej to, co z nich pozostało — strawione ogniem szkielety więźby dachowej, sterczące kominy. Krajobraz był jakby znajomy. Budził w kapitanie niejasne wspomnienia. Jeszcze sprzed wojny: polowanie w majątku znajomych. Dalekie kresy, pomyślał Krauze, pewnie niedaleko frontu.

Przed maską nagle zamajaczyła sylwetka żołnierza w długiej pelerynie. Jeschke zaklął, nacisnął hamulec. Samochód ślizgał się przez chwilę, zanim znieruchomiał. Żandarm dał znak tarczką sygnalizacyjną na krótkim drążku. Silnik warknął głośniej i zgasł.

*Rottenführer* odwrócił się i spojrzał na Diehla. Esesman nieznacznie pokręcił głową. Podoficer skrzywił się tylko, ale nic nie powiedział. Bębnił niecierpliwie palcami po kierownicy. Wycieraczki zamarły. Szybę szybko pokryły spływające strumyki. Sylwetka żołnierza w pelerynie rozmyła się, straciła ostrość. Tylko deszcz bębnił coraz silniej w brezent. Krauze drgnął, kiedy zimna kropla spadła mu na kark. Widać jakiś szew w rozkładanym dachu zaczął przepuszczać wodę.

Najpierw poczuli, zanim zobaczyli, dlaczego właściwie stoją. Wibrację, która z gruntu poprzez koła przeniosła się na karoserię, Krauze wyczuł najpierw łokciem dotykającym drzwiczek. Zanim zdążył zrozumieć, co oznacza, ujrzał wielki, niewyraźny kształt, który przetoczył się w poprzek drogi. Za nim następny.

Jeschke włączył wycieraczki. Poprzez półkola przetarte na szybie ujrzeli potężne cielsko kolejnego czołgu, który przejeżdżał właśnie przez niewidoczne wcześniej skrzyżowanie. Na pancerzu za wieżą siedzieli okutani w peleryny piechurzy.

— *Scheiße* — mruknął Jeschke i znów odwrócił się do Diehla. Tym razem esesman nie zareagował.

Podoficer wykrzywił w uśmiechu zarośniętą gębę. Jego oczy zabłysły.

Jęknął rozrusznik. Blaszana karoseria zadygotała wstrząsana równą pracą tłoków. I za chwilę silnik zawył, kiedy nie puszczając sprzęgła, Jeschke wcisnął gaz do dechy.

To nie może się udać, pomyślał Krauze, zaciskając rękę na metalowym uchwycie przy drzwiach. Nie w taką pogodę, kiedy kierowcy tych czołgów są ślepi jak krety, bo komu chciałoby się wystawiać głowę przez właz? Widzą niewyraźnie poprzednika w kolumnie i zdają się całkiem na żandarmów kierujących ruchem.

Poryw wiatru zmienił na chwilę kierunek zacinających strug deszczu. Zanim znów zalały szybę, można było zobaczyć wyraźniej kolejną panterę, nawet dostrzec szczegóły. Zachlapano, pogięte błotniki, numer taktyczny na pokrytym *Zimmeritem* panczerzu. Bryzgi błota spod gąsienic.

Wtedy Jeschke zwolnił sprzęgło. *Kübelwagen* zabuksował chwilę na gruntowej drodze i skoczył do przodu, aż przyspieszenie wgniotło pasażerów w fotele. Krauze, wciąż kurczowo trzymając się uchwytu, zdążył jeszcze zobaczyć, jak pokryta dwudniowym zarostem gęba podoficera krzywi się w radosnym uśmiechu.

Temu skurwysynowi to się podoba, mignęła Krauzemu myśl.

W mętym, celuloidowym bocznym okienku zamajaczyła przez moment twarz żandarma. W zasadzie biała plama pod hełmem, z czarnymi punktami wytrzeszczonych, przerażonych oczu. Coś chyba krzyczał, ale ryk silnika na niskim biegu i wysokich obrotach zagłuszał wszystko.

Wozem zatrzęsło, kiedy wpadł w głębokie koleiny. Zwolnił, koła znów buksowały chwilę, zalewając wszystko dookoła fontannami błota. Kapitan poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła, kiedy za okienkiem ujrzał wielką, niewyraźną, ciemną masę. Rosła gwałtownie, przesłaniała już cały celuloid.

Jeschke mocował się z dźwignią zmiany biegów. Ale wciąż się przy tym śmiał i szczyrzył żółtawe zęby. Silnik zawył jeszcze głośniej. Wóz znów skoczył do przodu. Po brezentowym dachu chlasnęły głośno strumienie blocka wyrzuczonego gąsienicami czołgu, który przewalił się za nimi. O centymetry, jak sądził Krauze.

Warkot przycichł, jechali już równo. Gruntowa, zniszczona droga po przejeździe przez skrzyżowanie wydawała się autostradą.

— Dobrze, Jeschke — rzucił Diehl oszczędną pochwałę. — A teraz się pospiesz.

Esesman najwyraźniej dosłyszał ciche przekleństwo kapitana.

— Jest ryzyko, jest zabawa — skwitował krótko. — Chcesz żyć wiecznie, kolego?

Krauze ze zdziwieniem poprzez warkot silnika dosłyszał cichy, złośliwy chichot Heidi. Oni wszyscy są szaleni, pomyślał.

\* \* \*

— Nigdzie nie odchodź — burknęła Heidi tonem ni to rozkazu, ni to przygany.

Stała oparta o terenówkę, nie dbając, że pomalowana matową farbą karoseria cała zachlapano jest błotem. Przeszło już padać, chmury były coraz rzadsze, czasem błyskało nawet słońce, odbijając się w kałużach i podsiąkniętych wodą koleinach.

Krauze pokręcił głową. Nie zamierzał się nigdzie oddalać. Czuł się niepewnie w pozbawionym dystynkcji niemieckim mundurze polowym. Wprawdzie opaska na ramieniu świadczyła o przynależności do organizacji Todta, ale mimo wszystko wolał nie sprawdzać tym razem, czy dokumenty są wiarygodne. Nie tu, tuż za frontem.

Nad wioską przetoczył się przeciągły, niski grzmot. Brzmiał jak odgłos odległej wiosennej burzy. Pasował do niego widok skłębionych, ciemnych chmur nad horyzontem. Ale to nie była burza. A i chmury nie były zwykłymi chmurami.

To dym, pomyślał Krauze. Tłuste kolumny wzbijały się w górę, widoczne nawet z oddali na tle

szarego nieba. Gdzieś daleko, za ledwie widoczną na horyzoncie siną kreską lasu, trwała bitwa. Płonęły czołgi, może nawet te, których kolumnę napotkali po drodze. Jednak nie, uświadomił sobie, że dym był czarny. To paliły się sowieckie maszyny napędzane ropą.

Bezwiednie odszedł parę kroków i przysłonił dłonią oczy.

— Nie odchódź — powtórzyła Heidi z naciskiem.

Odwrócił się powoli.

— Bo co? — spytał zaczepnie. — Zastrzelisz mnie? Diehl kazał ci pilnować?

Przytaknęła bez uśmiechu na piegowatej twarzy. Zdmuchnęła z policzka niesforny kosmyk rudych włosów.

— Owszem, kazał — odparła. — Ale nie zastrzelę. Liczę, że nie jesteś idiotą.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, choć wcale nie było mu do śmiechu. Przeciwnie, wyczuwał zbliżające się niebezpieczeństwo. I czuł się bezradny bez broni, w obcym mundurze. W zrujnowanej, wyludnionej wiosce tuż za frontem, który — jak wszystko wskazywało — właśnie został przerwany.

Popatrzył machinalnie na horyzont. Do tłustych, czarnych słupów dymu dołączyło kilka jaśniejszych. Tym razem oberwali Niemcy. Sinoszare kity płonącej benzyny wzbijały się w niebo. Znów przetoczył się stłumiony odległością grzmot artyleryjskiej salwy.

— To tylko zwiad — parsknęła Heidi. — Nie przejmuj się, Iwan tak robi. Rozpoznanie bojem, tak to nazywają. Nie muszą się liczyć ze stratami, i tak mają wystarczającą przewagę.

Popatrzył na nią uważnie. Ta drobna kobieta intrygowała go, odkąd się pojawiła. Jeszcze w Warszawie, w mieszkaniu na Litewskiej, w niemieckiej dzielnicy. Cekał tam przez tydzień pozbawiony jakichkolwiek informacji, czując się jak w areszcie domowym. Przez kilka dni towarzystwa dotrzymywał mu tylko Jeschke, wyraźnie zły z powodu cywilnego ubrania, jakie przyszło mu nosić. Podoficer nie był dobrym kompanem. Traktował wprawdzie kapitana z pełną, nakazaną najwyraźniej atencją, ale widać było, że najchętniej zastrzeliliby go przy próbie ucieczki. Nie dawał się też pociągnąć za język, nagabywania zbywał półsłówkami.

Krauze miał już wtedy wrażenie, że atmosfera zagęszcza się, że nieznane niebezpieczeństwo jest coraz bliżej. Coraz więcej wskazywało, że Diehl prowadzi własną grę, o której nie wiedzą nawet jego przełożeni. W każdym razie nie wszyscy. Kapitanowi udało się raz podsłuchać rozmowę telefoniczną, podczas której esesman łąał w żywe oczy. Był zdenerwowany, i w końcu zorientował się i ściszył głos. Ale zbyt późno, i Krauze mógł wysnuć jednoznaczne wnioski.

Potem wyjechał, a właściwie zniknął, bez pożegnania, bez wyjaśnień. Mógł naturalnie wciąż pozostawać w Warszawie, ale intuicja podpowiadała Krauzemu, że tak się nie stało. Czuł podświadomie, że ważą się właśnie losy Ottona Diehla, niegdyś całkiem przeciętnego antropologa, obecnie mordercy, fanatyka opętanego jakąś obłądną ideą.

Wstrząsnął się, otulił dokładniej brezentową peleryną. Zimny wiatr ciągnął nad rozmokłą ziemią, ale to nie chłód był przyczyną nagłego dreszczu.

Wreszcie, kiedy Diehl wciąż nie wracał, a twardy zazwyczaj podoficer poczynał zdradzać coraz więcej oznak niepokoju, Krauze też miał już dość. Targały nim wątpliwości. Wmawiał sobie, że gra, którą podjął, może być ważna, może nawet wpłynąć na losy wojny, jak kiedyś wymknęło się nieopatrznie Diehlowi. Ale nie mógł też odsunąć od siebie podejrzeń, że oto stał się zwykłym kolaborantem, który za cenę zaspokojenia ciekawości i własnych ambicji sprzymierzył się z wrogiem. Nie pomagała nawet świadomość, że przecież nie miał wyboru. Nie teraz, kiedy wiedział już, kim był Diehl. I co robił.

Nawet wspomnienie niewiarygodnej czaszki szczerzącej poźółkłe zęby nie pomagało. Bo czymże było nawet największe antropologiczne odkrycie w obliczu wojny? Jaki mogło mieć na nią wpływ? Krauze był coraz bardziej przekonany, że sam z kolei jest tylko narzędziem ku

zaspokojeniu ambicji esesmana. Kimś, kto może potwierdzić jego odkrycie.

Wciąż bił się z myślami, rozważał nawet możliwość ucieczki. Wtedy dołączyła do nich Heidi. I znów pewne sprawy zaczęły wyglądać inaczej.

Otrząsnął się z zamyślenia, słysząc teraz, że coś do niego mówi.

— Nie kręć się tak — w jej tonie zabrzmiało rozbawienie. — Usiądź w wozie i czekaj. Nie potrwa to długo.

Owszem, pomyślał, zwłaszcza jeśli Ruskie się przebiją. Odgłosy salw artyleryjskich ucichły, ale mogło to oznaczać, że atak został odparty. Ale też coś wręcz przeciwnego. Być może gąsienice T-34 miażdżyły właśnie stanowiska niemieckich dział.

Popatrzył na błotnisty placyk okolony nienaruszonymi, o dziwo, chałupami. Na samym środku tkwił wrak ciężarówki, który osiadł nisko na felgach. Z opon została tylko drucziana osnowa. Żebra pałaków, na których niegdyś rozpięta była plandeka, sterczały w górę. Rysowały się na tle chmur niczym żebra szkieletu dinozaura. Blachy nadwozia pozbawione farby zdążyły już zrudzieć na deszczu.

Spalona ciężarówka była jedynym widowym śladem wojny. Gdyby nie ona, mogłoby się wydawać, że wieś wyludniła zaraza. Wciąż jeszcze na płotach wisiały gliniane garnki, ocalały nawet szyby w małych okienkach, choć nie rozjaśniał ich od wewnątrz żaden płomyk. Połyskiwały tylko martwo, kiedy słońce na chwilę wychynęło zza chmur.

Krauze wiedział, że kiedy się odwróci, zniknie złudzenie spokoju i martwoty. Z tyłu za nim stał półgąsienicowy transporter, a żołnierz przy erkaemie popatrywał nieufnie, odkąd zajechali do wioski. Jak każdy frontowiec nie lubił wizyt SS ani podejrzanych cywilnych osób. Zazwyczaj nie wróżyły niczego dobrego.

Jak to na froncie. I tu panował bałagan. Stanowisko dowodzenia powinien ochraniać co najmniej pluton. Tymczasem poza jednym SdKfzetem nie widać było innych pojazdów, ani też innych żołnierzy. Dobre parę minut wcześniej odjechał goniec. Niesamowicie ubłocony piechur na jeszcze bardziej ubłoconym motocyklu. Jedynie cienki bicz anteny niewidocznego, ukrytego za chatą wozu łączności wskazywał, że wciąż ktoś stąd dowodzi. Przyjrzawszy się bliżej, można było dostrzec pęk kabli polowych linii telefonicznych wychodzący przez uchylone okienko.

— Jerzy... — usłyszał Krauze nagle. I zamarł zdziwiony. Nawet nie tyle napięciem w głosie Heidi, ile tym, że kobieta pierwszy raz zwróciła się do niego po imieniu. I to po polsku.

Odwrócił się. Heidi dała niecierpliwy znak, wskazując na samochód, i nie czekając na jego reakcję, sama wślizgnęła się do środka. Krauze stał chwilę, czując na sobie obojętne, znudzone spojrzenie żołnierza na trans — porterce. W końcu posłuchał dziewczyny, zastanawiając się intensywnie, skąd, u diabła, zna jego prawdziwe imię? Mógł jej powiedzieć Diehl, ale nie pasowało to do jego zachowania, do nieufności i ostrożności, jaką demonstrował w ostatnich dniach.

Nieufności graniczącej wręcz z paranoją, uświadomił sobie Krauze. A także fakt, że w oczach *Hauptsturmführera* coraz częściej pojawiał się starannie maskowany strach.

— O co chodzi? — spytał obcesowo, nie bawiąc się już w uprzejmości ani nie zachowując ostrożności. — Co tu się dzieje?

Nie musiał nawet pytać. Też miał niejasne przeczucie, że sprawy zmierzają ku rozstrzygnięciu. Że już wkrótce się dowie, na czym polega tajemnica, której tak obawiał się Otto Diehl. Człowiek traktujący innych ludzi jak obiekty doświadczeń.

Nie odpowiedziała. W półmroku pod brezentowym dachem dostrzegł błysk jej spojrzenia. Przez chwilę spoglądała mu prosto w oczy, a on miał dziwne uczucie *deja vu*. Wspomnienie pierwszego przeblýsku zrozumienia, uczucia, że rozwiązanie sprawy jest blisko.

I wiązało się to ze spojrzeniem tej właśnie, intrygującej, rudowłosej kobiety. Z nieuchwytną

nicją porozumienia, która nawiązała się między nimi.

Zanim spróbował ponowić pytanie, poczuł w dłoni chłodny, znajomy kształt.

— Schowaj — rzuciła Heidi szorstko. — I o nic nie pytaj. Teraz wychodzimy z samochodu i zachowujemy się normalnie. Tak normalnie, jak tylko potrafisz.

Wydawało mu się, że skrzywiła wargi w uśmiechu. Ale nie był pewien. Gęste, ciemne chmury spowiły znów niebo, w półmroku pod brezentowym dachem *Kübelwagena* widział tylko jasną plamę jej twarzy. I błysk zmrużonych oczu.

Nie patrząc, przeladował czterdziestkępiątkę, trzasnął skrzydełkiem bezpiecznika. Wsunął broń za pasek starym, konspiracyjnym sposobem.

— On ci kazał dać mi broń? — spytał jeszcze.

Znów nie odpowiedziała, choć przecież wiedziała doskonale, o kogo pyta.

— Wylaż — burknęła tylko i poparła polecenie mocnym szturchnięciem pod żebro.

\* \* \*

Znów zaczynało padać. Jeszcze nie tak jak rankiem, deszcz siąpił ledwie, ale podmuchy wiatru ciskały w twarz rzadkie, zimne krople. Krauze stał oparty o terenówkę, słysząc za sobą niewyraźne przekleństwa żołnierza w transporterze. Kątem oka widział profil Heidi, jej ściągnięte w oczekiwaniu rysy.

Wciąż nie wiedział, na co czekają. Ale był zadowolony, czując za paskiem znajomy ciężar pistoletu.

Nie czekali długo. Zbite z koślawych desek drzwi chaty mieszczącej punkt dowodzenia otworzyły się z rozmachem, aż uderzyły o futrynę. Wszedł z nich Diehl.

Nie oglądając się, ruszył przez placyk. Już z daleka widać było, że jest wściekły. Szedł, nie zważając na kałuże i koleiny, rozchlapując błoto. Poły jego skórzanego płaszcza powiewały na wietrze. Za nim podążał Jeschke. Ten przynajmniej w plamistym kombinezonie Waffen-SS pasował do tego miejsca.

Krauze dostrzegł, że podoficer rozgląda się czujnie i niesie swojego szmajsera tylko pozornie nonszalancko.

Już się nie dziwił. Zaczynał rozumieć. Plan Diehla, jakikolwiek był, zaczynał się załamywać. Okazało się, że Otto Diehl nie jest wszechmogący, a jego papierki i pełnomocnictwa niewiele znaczą na froncie. Nieważne, jakie pieczęcie i czyje podpisy na nich widnieją. Popatrzył na Heidi i poczuł falę gorąca, kiedy zobaczył, jak wargi kobiety poruszają się, jakby klęła bezgłośnie. Podążył za jej spojrzeniem.

Z chaty wychodzili ludzie — oficer i trzech żołnierzy. Młody kapitan, którego jasne włosy rozwiewał wiatr, miał ściągniętą gniewem twarz, co nawet z tej odległości dawało się dostrzec. Dłoń opierał na rozpiętej już kaburze walthera i wbijał ciężkie spojrzenie w plecy Diehla. Pozostali bez żenady trzymali peemy w gotowości do strzału.

Nie jesteśmy tu mile widziani, pomyślał Krauze z dziwną mieszaniną satysfakcji i gniewu. Jeszcze raz spojrzął na kobietę, pochwycił jej wzrok. Wydawało mu się, że leciutko pokręciła głową. Postanowił jej zaufać, sam nie wiedział, czemu.

Rozluźnił się, odetchnął głęboko, lekko odchylił połą peleryny, by w każdej chwili móc chwycić kolbę pistoletu. Spod oka śledził poczynania żołnierzy, którzy pozostali blisko chaty.

Byli zapewne doświadczonymi frontowcami, ale stali zbyt blisko, widać pewni siebie, nieprzygotowani na jakiegokolwiek niespodzianki. Machinalnie ocenił odległość, nie była zbyt duża. Ale i przewaga siły ognia ogromna.

Diehl stanął przy volkswagenie, nie patrząc nikomu w oczy. Z rozmachem otwartą dłonią

huknął w maskę, aż zadudniło. Spod chałupy dobiegł krótki, urągliwy śmiech, który zaraz zamilkł uciszony krótką komendą oficera.

Krauze miał już pewność, że ten pokaz bezsilnej złości był starannie przemyślany. Tym bardziej że Diehl odwrócił się zaraz i zaczął rugać *Rottenführera*, który stanął na baczność i wytrzeszczał tylko ślepią niczym pierwszy lepszy rekrut.

Głos esesmana, z początku podniesiony, kiedy wykrzykiwał przekleństwa, cichł po chwili coraz bardziej zjadliwy. Kapitan poczuł, jak Heidi bierze go pod ramię.

— Uważaj teraz — syknęła mu do ucha, zanim sam zdążył się zorientować, że Diehl mówi do nich wszystkich. Coraz ciszej, by nie dosłyszał nawet kaemista na półgąsienicowym SdKfz.

— Mamy jedyną szansę, wszyscy. Ty też, Krauze, nie możemy już wrócić, spaliliśmy mosty. Więc rób to, co my wszyscy, a może przeżyjesz. Zaczyna Jeschke.

— *Jawohl!* — wrzasnął podoficer. To wciąż należało do przedstawienia.

Do przedstawienia, które jak dotąd się nie powiodło, spostrzegł Krauze. Żołnierze ze stanowiska dowodzenia nie sprawiali wrażenia skłonnych zniknąć z powrotem w chałupie. Widać postanowili się upewnić, czy pozbyli się nieproszonych gości.

— Terenówką nie dojedziemy — wyjaśnił Diehl półgłosem. Odwrócił się już od podoficera, który począł się krzątać przy samochodzie i wyciągniętą nie wiadomo skąd, przybrudzoną szmatą przecierał starą — nie zabloconą szybę, na której wycieraczki zrobiły dwa czystsze nieco półkola. Szmajsera oparł o karoserię, jak spostrzegł Krauze, jak najbliżej Diehla.

— Ten skurwysyn zawiadomił już posterunki na drodze, mają nas zawrócić. A na bezdroża ten grat się nie nadaje.

— Co zamierzasz? — spytał krótko Krauze. Diehl popatrzył mu uważnie w oczy.

— Jedziemy na jednym wózku, kolego — odparł zimno. — Możemy przeżyć albo wszyscy, albo żadne z nas. Dlatego, jeśli przychodzi ci do łba coś głupiego...

Oczy esesmana zwężyły się ostrzegawczo. Kapitan omal nie parsknął śmiechem.

— Daj spokój, kolego — odparł z równym chłodem w głosie. — Nie jestem idiotą. I jeśli chodzi ci o to, czy będę w razie czego zabijał Niemców...

Skrzywił się cynicznie.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Diehl — dokończył. — Cała przyjemność...

Wydawało mu się, że Diehl uśmiechnął się drwiąco. I na przyjemność nie musiał długo czekać.

\* \* \*

Jeschke odrzucił szmatę w błoto. Popatrując z ukosa na *Hauptsturmführera*, z udawaną obawą począł grzebać w kieszeniach. Wyjął w końcu pogniecione pudełko, wyciągnął z niego zmiętego papierosa. Przesuwał się przy tym nieznacznie, jakby chciał schronić się przed deszczem pod osłonę burty transportera.

Heidi szukała czegoś na siedzeniu volkswagena. Z całej jej sylwetki widać było teraz zgrabny tyłeczek opięty mundurowymi spodniami. Diehl stał przy samochodzie i postukiwał nerwowo palcami o blachę. Choć ten drobny gest był z daleka zapewne niewidoczny, cała jego postawa sprawiała wrażenie zniecierpliwienia. Tylko z bliska można było zobaczyć szybkie, ukradkowe spojrzenie, jakim zmierzył odległość od peemu opartego o karoserię.

Napięcie wyraźnie opadło. Jasnowłosy kapitan zdjął dłoń z kabury. Jego żołnierze gapili się na tyłek Heidi, wymieniając między sobą przyciszone uwagi.

Czas, jak zwykle w takich chwilach, zwolnił.

Jeschke macał się po kieszeniach z coraz większą irytacją. Zgnieciony, zgięty papieros sterczał mu z kącika ust. Wreszcie popatrzył w górę na zmokniętego żołnierza przy kaemie.

Ten uśmiechnął się niepewnie i rzucił spojrzenie na swojego dowódcę, i nie widząc sprzeciwu, machnął zapraszająco ręką. Nie mógł przecież opuścić posterunku.

Gęba Jeschkego rozjaśniła się uśmiechem. Chwycił klamrę przyspawaną do pancerza, postawił nogę na pokrytych rdzawym nalotem, zabłoconych trakach gąsienicy. Podciągnął się w górę.

Krauze odwrócił wzrok. Wiedział, co się za chwilę stanie. Był gotów. Skupił uwagę na jasnowłosym oficerze.

Zanim jeszcze dobiegło go głucho stęknienie, zobaczył, jak oczy Niemca rozszerzają się ze zdziwienia i zaskoczenia. Jak sięga dłonią do kabury z wykrzywioną w złości twarzą.

Machinalnie rejestrował szczegóły. Widział je ostro, jak zwykle w walce. Żołnierze podrywali szmajsery.

Złowił błysk wystrzałów. Sam wyszarpnął pistolet zza paska, opadając jednocześnie na prawe kolano, by stanowić jak najmniejszy cel. Jak go nauczono w ośrodku cichociemnych. Drugą ręką podparł broń, zanim jeszcze przyrządy celownicze najechały na jasną plamę odległej, wykrzywionej już teraz przerażeniem twarzy. I już bez udziału świadomości palec nacisnął spust.

Dziura w czole oficera wciąż była jeszcze czarna. Nie zdążyła wypełnić się krwią, kiedy z boku, zdawało się, tuż nad uchem Krauzego, rozszczał się empi. Z tyłu dobiegł odgłos pocisków bębniących o blachę volkswagena. Przeciwnicy otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia.

Kapitan padł na ziemię, przetoczył się po niej. W miejscu, w którym leżał, seria wzbijała fontanny błota. Mam nadzieję, mignęła bezsensowna myśl, że Heidi zdążyła schować dupę. Nacisnął spust, nie celując nawet, by choć trochę wspomóc Diehla, przydusić żołnierzy ogniem. Kolejna seria przeorała grunt tuż przed nim.

Przemknęło mu przez głowę, że to na nic. Nie mają przecież szans, są odkryci jak na patelni. Wciąż strzelały co najmniej dwa szmajsery. Osłaniający stanowisko dowodzenia piechurzy byli doświadczeni. Już otrząsnęli się z szoku, jakim była śmierć dowódcy. I kiedy myślał, że ostatni, desperacki plan Diehla zawiódł, z odgłosem, jakby ktoś rozdierał monstrualnie wielką płachtę płótna, odezwał się MG-34.

Jeschke zmitrzążył nieco czasu, próbując wyrwać komandoski sztylet spomiędzy żeber drgającego jeszcze kaemisty. Odepchnął wreszcie ciało, przyłgął policzkiem do kolby erkaemu. Nacisnął spust.

Pierwsza seria poszła za wysoko, chlasnęła po ścianie chałupy, znacząc ciemne belki trądem jaśniejszych przestrzelin. W powietrzu zawirowały drzazgi i odłamki drewna. Ale choć niecelna, zmusiła dwóch ocalałych piechurów do przerwania ognia i wcisnęła ich w błoto.

Następną Jeschke wymierzył już lepiej. Opuścił nieco lufę w perforowanej chłodnicy. Z morderczej odległości kilkudziesięciu metrów wiązka pocisków o szybkostrzelności teoretycznej tysiąca dwustu strzałów na minutę nie mogła chybić.

Krauze przymknął oczy i schylił głowę. W ustach miał smak błota i krwi z przygryzionej wargi, a pod powiekami obraz kotłującej się ziemi i wirujących wraz z nią krwawych strzępów.

Erkaem zachłysnął się i umilkł nagle. Cisza dzwoniła w uszach.

— Szybciej, do wozu! — wrzasnął Diehl, wypluwając błoto. Poderwał się z ziemi. — Heidi, do kaemu! *Schneller!*

Stłuczone kolano zapulsowało bólem. Krauze podniósł się i omiół otoczenie lufą pistoletu.

— Jeschke umie tym jeździć? — wskazał transporter. Diehl szarpnął go za ramię.

— Jeschke umie jeździć wszystkim — warknął. — Szybciej, myślisz, że ich było tylko tyłu? Trzymaj łeb niżej!

Przerzucił broń przez plecy i pobiegł zgięty do *Kübelwagena*. Krauze poszedł za jego przykładem. Kiedy dopadli burty samochodu, erkaem znów rozszczał się serią. Tym razem krótką i oszczędną. Heidi celowała w okna chaty, by tych, którzy zostali wewnątrz, definitywnie

zniechęcić do wyglądanía.

Jęknął rozrusznik. Jazgotał długo, wreszcie silnik SdKfzeta zapalił, zawył głośno, kiedy Jeschke brutalnie go przegazował. Chmura błękitnych spalin wystrzeliła z rur wydechowych i przesłoniła na chwilę sylwetkę rudowłosej kobiety z kolbą erkaemu przyciśniętą do policzka.

— Bierz! — Diehl wyrwał z wozu elegancką skórzaną walizkę i cisnął ją Krauzemu pod nogi. Sam tulił do piersi okrągłe pudło, jakby zawierało najcenniejszy skarb.

— Zabieramy się stąd!

Kapitan nie czekał. Podbiegł do transportera, najpierw przerzucił walizkę przez wysoką pancerną burłę, po czym sam podciągnął się na krawędzi. But ześlizgnął się z pokrytej błotem gąsienicy. Krauze na moment zawisł na rękach. Pomogła mu Heidi. Oderwała się od kaemu i szarpnęła pelerynę. Po chwili spoczął na dnie przedziału bojowego, na mokrych, śliskich deskach usianych mosiężnymi łuskami. Obok, ciężko dysząc, przypadł Diehl.

— Ruszaj! — wrzasnęła Heidi. Mocniej chwyciła obrotnicę kaemu.

Zgrzytnął źle wysprzęglony bieg, silnik ryknął głośniej i znów wyrzucił z rur wydechowych kłęby niebieskawego dymu. Traki gąsienic drgnęły. Ośmiotonowy transporter ruszył majestatycznie, zawadził o volkswagena i odrzucił go na bok z chrzęstem dartych blach niczym dziecinny samochodzik. Można było dosłyszeć poprzez ryk silnika, jak Jeschke na przemian klnie i zanosí się radosnym śmiechem.

On jest dokładnie tak pierdolnięty, jak się wydaje, pomyślał Krauze. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Podniósł oczy i popatrzył prosto w pobladałą, pokrytą błotem i krwią twarz Diehla. Nad ich głowami znów rozszczękał się MG i obaj machinalnie skulili się, by gorące łuski nie posypały się im za kołnierze.

Heidi krótkimi, mierzonymi seriami demolowała wóz łączności, wielkiego henschla z blaszaną budą. Samochód osiadł na przestrzelonych gumach. Pociski rozbijały szyby szoferki, dziurawiły blachę. Krauze wychylił się zza burty w samą porę, by zobaczyć jak benzyna z przestrzelonego baku zapala się z głuchym stęknięciem. Jak cała ciężarówka ginie w kuli płomieni. I na chwilę przymknął oczy, kiedy wypadła z nich ludzka sylwetka cała ogarnięta ogniem. Nie słyszał krzyku, ryk silnika zagłuszał wszystko.

Opadł znów na podłogę. Spojrzał w górę, na ściągniętą, rozświetloną pożarem twarz rudowłosej kobiety. Heidi musnęła spust. Wystrzeliła trzy, może cztery pociski. Cios łaski, pojął Krauze. Dostrzegł, że z kącika zmrużonego oka po policzku spływa łza.

A może tylko kropla deszczu.

Transporter wspiął się, przewalił przez płytki rów przy drodze. Lufa kaemu uniosła się w górę. Nie było już do czego strzelać. Wioska, z której wznosiła się w górę kolejna kolumna dymu, zostawała w tyle.

Nie rzucało już tak bardzo, pole było równe, a i Jeschke zwolnił nieco. Krauze ze stęknięciem podciągnął się na twardą, drewnianą ławeczkę. Pochylił się i chwycił Diehla za ramię.

— Kurwa, powiesz mi wreszcie, o co chodzi? — spytał, przekrzykując warkot silnika i szczęk gąsienic.

Esesman uniósł głowę. W jego spojrzeniu błysnęła wściekłość.

— Wszystko przez ciebie, Krauze! — odrzyknął. — Za długo marudziłeś, *Mensch!* I teraz mamy przesrane!

Krauze miał dość. Pochylił się, chwycił Diehla za mundur na piersi, szarpnął z całej siły.

— Ale, kurwa, co jest za późno?! — wrzasnął. — Co przesrane? Gadaj wreszcie albo się wypchaj!

Diehl zaniósł się śmiechem, który zmienił się szybko w paroksyzm kaszlu. Krztusił się dłuższą

chwilę.

— Wszystko — odparł, kiedy już mógł znowu mówić. — Przyszłość pierdolonej rasy ludzkiej...

Kapitan rozwarł palce, Niemiec osunął się znów na podłogę wstrząsanego szybką jazdą po bezdrożach przedziału bojowego SdKfzeta. Podparł dłońmi głowę, ramiona drgały mu od tłumionego, histerycznego chichotu.

Krauze złowił ostrzegawcze spojrzenie Heidi. Nie teraz, zdawały się mówić oczy rudowłosej kobiety. Wzruszył bezradnie ramionami.

A kiedy? — pomyślał. Ale wiedział, że w tej chwili niczego się od Diehla nie dowie.

Kanciaste pudło transportera zachwiało się, przechyliło. Silnik zawył głośniejszy, gdy Jeschke brawurowo wjeżdżał w rozryty gąsienicami parów. Znowu poprzez hałas dobiegł niski grzmot artyleryjskiej salwy.

Front był coraz bliżej.

\* \* \*

Deszcz bębnił o brezentową płachtę. Na zgrubieniu szwu nabrzmiewała kropla. Coraz większa. Połyskiwała w blasku małej żaróweczki w drucianej osłonie, jedyne oświetlenie przedziału bojowego transportera.

Światelko było żółtawe i słabe. Akumulator wyczerpał się prawie podczas desperackich prób, które podejmował Jeschke, by uruchomić silnik. Ale wszystkie okazały się daremne, SdKfzet tkwił zaryty maską w głębokim parowie.

I tak mieliśmy szczęście, pomyślał po raz któryś Krauze. Nie wszyscy, przyszła refleksja, kiedy z drewnianej ławeczki pod burtą transportera dobiegł cichy jęk i bolesne stęknienie.

Odchylił się do tyłu, oparł głowę o zimną, pancerną płytę. Mieliśmy szczęście, powtórzył w myśli. Ten parów, który okazał się pułapką, był też wybawieniem. Przymknął oczy.

Ujrzał znów sylwetkę T-34 przypominającą szarżującego słonia, z wyciągniętą naprzód lufą osiemdziesięciopięciomilimetrowego działka niczym długą trąbą. Stukot odłamków po pancerzu, kiedy ciemne krzaki wybuchów wykwiwały coraz bliżej, a Jeschke rzucał maszyną w oszalałych skrętach. Gąsienice darły trawę, wyrwały fontanny darni, transporter kołysał się, lecz do zbawczej linii lasu było jeszcze daleko. Krauze zapamiętał oderwane obrazy — ściągniętą twarz Heidi przytrzymującej bezwładną głowę Diehla, jego przymknięte powieki, spod których błyskały białka. Nieobsadzony kaem na obrotnicy — lufę kołyszącą się w takt podskoków transportera i luźną taśmę amunicyjną huśtającą się i tłukącą o blachy. I neandertalską czaszkę pozbawioną żuchwy, przetaczającą się po podłodze niczym w upiornym tańcu szkieletów.

Kropla deszczu oderwała się wreszcie od brezentu. Pod przeciekającym szwem plandeki formowała się kolejna.

Słychać było tylko jednostajny szum deszczu. Odgłosy walk ucichły już dawno. Pancerna szpica Sowietów przetoczyła się dalej. Heidi miała rację, pomyślał Krauze. To jeszcze nie ofensywa, zaledwie rozpoznanie bojem. Skrzywił się. Zastanawiał się, na ile ułatwili Rosjanom zadanie, niszcząc jeden z punktów dowodzenia na zapleczu frontu.

Był świadom, że niedługo front znów się ustabilizuje, w wyłom ściągną nowe siły Wehrmachtu i wszystko znów zamrze w oczekiwaniu na kolejną ofensywę. Trzeba stąd zwiewać, pomyślał, i tak mamy przerąbane u wszystkich. Jeśli będziemy zbyt długo czekać, załatwią nas jedni lub drudzy. Bez różnicy.

Zaklął pod nosem. Niczego się nie dowiedział. Nie zrozumiał. Tajemnica pozostała tajemnicą. *Hauptsturmführer* Otto Diehl miał ją niebawem zabrać ze sobą do grobu. Roześmiał się mimo

woli. Była w tym wszystkim jakaś cholerna, ironiczna sprawiedliwość. I potwierdzenie obaw. W końcu ginął z ręki swoich. Tak głupio...

Krauze bezwiednie pokręcił głową. Zaczynał godzić się już z myślą, że nie zrozumie do końca, w imię czego Diehl ryzykował tak wiele, aż w końcu zaryzykował o jeden raz za dużo. I wszystko nagle straciło sens. Co gorsza, sam stracił możliwość powrotu. Została tylko czaszka. Niewiarygodna jako odkrycie naukowe, ale bez znaczenia w obliczu wojny. I zdrady, bo też wszyscy poczytywać go będą za zdrajcę.

Słyszał oddech Diehla, płytki i przyspieszony. Paskudna rzecz taki postrzał w brzuch, pomyślał, spoglądając na bezwładną postać rozciągniętą na drewnianej, wąskiej ławeczce pod przeciwległą burtą transportera.

Polowy opatrunek przesiąkł krwią, prawie czarną w mżącym świetle małej żarówki. Ale i tak nie miało to znaczenia, to wewnętrzny krwotok zabijał. Twarz Niemca była blada, pod zamkniętymi oczyma kładły się już sine cienie śmierci.

Może jest w tym jakaś pieprzona sprawiedliwość, pomyślał po raz kolejny Krauze. Może musi zapłacić za każdą śmierć, którą sam zadał. On własnoręcznie, i nie tylko własnoręcznie, w imię swojej obłędnej idei.

Zresztą, już zapłacił. Chyba najbardziej bezsensownie, jak tylko mógł.

Przymknął oczy, oparł głowę o zimny pancerz. Próbował jeszcze raz zanalizować, zrozumieć, co się właściwie stało. Bezsens, pomyślał, głupi przypadek. Ale musiało się tak skończyć, bo Diehl sam się prosił o śmierć.

\* \* \*

Gąsienice ślizgały się jeszcze chwilę w rozmięklej ziemi, ryły głębokie koleiny. Transporter prawie obróciło bokiem, zanim się zatrzymał. Jeschke prowadził z istic kawaleryjską fantazją.

Diehl poderwał się z miejsca. Ledwie pojazd znieruchomiał, stanął wyprostowany, nie bacząc na trzask serii idących górą nad płonącymi zabudowaniami.

Nie próbował się kryć. Spoglądał tylko przed siebie. Na zapadniętej, postarzałej nagle twarzy kładły się odbłyśki pożaru. Coś zabłysło nagle w kącikach oczu. Krauze pojął, że to łyzy wściekłości. Ostatecznego zawodu.

— Dalej się nie przebijemy — powiedział Diehl głucho. Jego słowa dało się słyszeć nawet przez trzask i huk ognia, postukiwanie wystrzałów i równy warkot silnika na jałowym biegu.

— Nie przebijemy się! — wrzasnął ponownie i uderzył otwartą dłonią w blachę, aż zadudniło w ciasnym wnętrzu transportera. — Jeschke, cofnij się...

Usiadł znów pod odsłoną pancerza. Zgrzytnął bieg, wóz drgnął, gąsienice buksowały chwilę, zanim odzyskały przyczepność. SdKfz przetoczył się przez niewielkie wzniesienie, miażdżąc szczątki jakiegoś pojazdu, chyba lekkiej przyczepki amunicyjnej.

Pod osłoną ocalałych jeszcze budynków było spokojniej. Nawet zbłąkane kule przestały dźwięczeć od czasu do czasu po burtach. Krauze wyjrzał ostrożnie przez osłonięty pancernym szkłem wizjer. Obok transportera przebiegała grupka piechurów. Widział tylko ciemne, niewyraźne sylwetki w migotliwym blasku pożarów. Kiedy dostrzegł niesione przez żołnierzy maczugi pancerfaustów zrozumiał, że zaraz mogą się spodziewać sowieckich czołgów.

— Diehl... — Szarpnął esesmana za ramię. Ten spoglądał na niego przez chwilę nieprzytomnym wzrokiem.

— Trzeba stąd spieprzać! — Krauze potrząsnął Niemcem. Miał wrażenie, że przemawia do kukły, krawieckiego manekina z zastygłym na obliczu wyrazem tępej rezygnacji.

— Zaraz tędy pójdzie natarcie. A my jesteśmy znakomitym celem w tym pudle...

Rozejrzał się bezradnie, widząc, że Diehl nie reaguje.

— Heidi, kurwa mać! — wrzasnął. — Jeschke!

Powoli, bardzo powoli wargi Diehla rozciągnęły się w uśmiechu. Błysnęły zęby. Esesman chwycił Krauzego za przegub, zacisnął palce.

— Spieprzać? — spytał cicho, ledwie dosłyszalnym głosem. — Nie ma dokąd spieprzać. Ani dokąd wracać.

Gdzieś niedaleko eksplodował pocisk z granatnika. Odłamki posypały się po pancerzu niczym grad. Wszyscy bezwiednie wtulili głowy w ramiona, Jeschke nasunął głębiej na oczy swój okryty płamistym pokrowcem hełm. Tylko Diehl pozostał wyprostowany, wpatrzony w przestrzeń, jakby to, co działo się dokoła, jego nie dotyczyło. Grzebał w skórzanej aktówce.

— Popatrz! — syknął, podsuwając Krauzemu pod nos połyskujące w mdłym świetle odbitki. — Już jest za późno, by wracać...

Równą serią rozszczał się erkaem. Nad odkrytym przedziałem bojowym na tle ciemnego nieba pomknęły smugowe pociski. Blisko, pomyślał Krauze. I za wolno jak na MG. To diegtiariew.

Odrzącił rękę Niemca, kartoniki posypały się na podłogę. W nagłym rozbłysku bliskiej eksplozji wydawało mu się, że rozpoznaje, kogo przedstawia zdjęcie. Ale zaraz zapadła znów ciemność rozjaśniana tylko odbiciem pożaru.

Heidi poderwała się ze swego miejsca.

— Otto... — krzyknęła. Musiała podnieść głos, strzelanina była coraz gęstsza i bliższa. Krauze nie wiedział, czy to wyobraźnia płata mu figle, ale przysięgłby, że słyszy już niski ryk czołgowego diesla.

Okrzyk rudowłosej kobiety wyrwał Diehla z bezwładu. Esesman poderwał się, sięgnął do kabury. Wyszarpnął walthera, przeładował.

— Otto! — W głosie Heidi nie było zaskoczenia. Była tylko prośba. Kobieta drgnęła, jakby chciała przypaść do esesmana, który cofał się w kierunku tylnej rampy transportera. I znieruchomiała, kiedy ten wycelował prosto w nią.

— Nie próbuj! — wrzasnął Diehl. — Jeszcze jest szansa. Dadzą mi piechurów, przebijemy się. Byle osłonili nas na początku, to niedaleko...

— To już za frontem. — W głosie Heidi drżało napięcie. — Nic tam nie ma, Ottonie, przepadło. Zginiesz.

Diehl pokręcił głową. Oczy błyszczały mu gorączkowo.

— Zginiemy, chciałaś powiedzieć. — Zaśmiał się chrapliwie. — Ale jeszcze jest szansa. W końcu jestem pewnie najstarszy stopniem w tej zaszrannej dziurze! Nie odmawia się oficerowi SS!

Odwrócił się i chciał zeskoczyć na ziemię. W ostatniej chwili poślizgnął się i wyciągnął rękę, by chwycić krawędź włazu. Walther wypadł mu z dłoni, odbił się od krawędzi podłogi i zniknął w ciemności. Choć odbezpieczony, nie wypalił.

Diehl z trudem złapał równowagę. Zawahał się, po czym zeskoczył.

Strzelanina przygasła na moment. Krauze zrobił ruch, jakby chciał rzucić się za Diehlem w mrok. Powstrzymał go twardy uścisk Heidi.

— Zostaw, Jerzy — powiedziała cicho, zbliżając twarz do jego ucha, aż poczuł delikatny powiew jej oddechu. — Tak widać musi być. On już przegrał.

Wydawało mu się, że słyszy w jej głosie żal.

\* \* \*

Flara wystrzeliła z raketnicy z odgłosem otwieranej butelki szampana. Magnezjowy ładunek

zapłonął pod maleńkim spadochronikiem i kołysał się, zalewając okolicę ostrym, widmowym blaskiem.

Groteskowy, wydłużony cień kładł się za Diehlem idącym przez zorane gąsienicami i oponami pole. Drgał i załamywał się na nierównościach niczym żywe stworzenie. Garstka piechurów stłoczona w płytkiej, naprędce wykopanej traszei patrzyła z niedowierzaniem, jak esesman idzie wyprostowany, nie bacząc na pociski, które raz po raz przeszywały powietrze, uderzały z tępym pacnięciem w glinę lub z trzaskiem wgryzały się w belki ocalałych jeszcze zabudowań.

Krauze przestał się już kryć za pancerną burtą transportera. Patrzył zafascynowany. Obok siebie słyszał szybki oddech Heidi i nerwowe posapywanie Jeschkego, który opuścił swoje miejsce za kierownicą.

Ktoś poderwał się z okopu, wybiegł przygarbiony naprzeciw Diehla. Zatrzymał się tuż przed nim.

Nie było słyhać żadnych słów. Krauze zacisnął palce na krawędzi pancernej blachy.

Magnezja już się dopalała, mały spadochronik opadał coraz niżej, cienie stawały się coraz dłuższe. Zdążyli jeszcze zobaczyć, jak Diehl cofa się o krok, maca dłonią u pasa machinalnym, odruchowym gestem.

— Otto, nie! — Krauze wiedział już, co się za chwilę stanie. Zdążył się jeszcze zdziwić, kiedy dotarło do niego, że pierwszy raz nazwał Niemca po imieniu.

Flara zgasła. Gęstą, nieprzeniknioną dla nieprzywykłych oczu ciemność rozdarł jaskrawy błysk pistoletowego wystrzału.

\* \* \*

— Szybciej!

Jeschke docisnął gaz, transporter zakołysał się na nierównościach. Gnali w ciemność po zrytym pociskami polu. Głowa Diehla przetaczała się bezwładnie, z kącika ust sączyła się ciemna strużka krwi, spływała po policzku. Na mundurowej bluzie rosła ciemna plama.

— Już po wszystkim — stęknął esesman. — Trzeba mnie było tam zostawić.

— Nic nie mów! — syknęła Heidi. — A ty go trzymaj. Krauze skinął głową. Patrzył, jak kobieta rozcina mundur, zręcznie mimo wstrząsów i podskoków gnającego transportera. Jak przykładła tampon osobistego opatrunku, dociska bandażem. I miał świadomość, że to wszystko na nic. Postrzał w brzuch. Zapewne pocisk zatrzymał się w kręgosłupie, bo Diehl miał bezwładne nogi, ciągnęły się za nim niczym za przejechanym kocurem.

— Ja... — Esesman znów stęknął z wysiłku, przygryzł wargi. — Ja muszę... Jerzy...

Wydawało się, że chce wskazać wzrokiem coś na podłodze. Jego ciało zadrgało z bólu i wysiłku, opadło bezwładnie.

— Jerzy... — Głos załamywał się, stawał bełkotliwy i niewyraźny. — *Du Arschloch...* Za późno, wszystko...

Już nie słyhać było gniewu, tylko rezygnację. I coś jakby kpinę.

— Za długo... — Słowa przeszły w głębokie westchnienie. Twarz Diehla zadrgała w paroksyzmie bólu. Chwilę trwało, zanim mógł mówić dalej. O dziwo, Heidi już nie protestowała. Przeciwnie, wyglądała, jakby czekała na coś z napięciem.

— Miałeś, Jerzy, wszystko na wyciągnięcie ręki... — Powieki esesmana drgnęły, skrzywienie warg tym razem było bolesne. To drwina, zrozumiał Krauze.

— Miałeś wszystko... Ale to ja zrozumiałem, ja poskładałem wszystko do kupy. Rozumiesz już?

— Tak, Otto — Krauze odwrócił wzrok. — To ty miałeś rację. Już rozumiem.

Diabła tam rozumiem, przemknęło mu przez głowę. Ale co mam mu powiedzieć? Zacisnął bezwiednie palce na ramionach Diehla. Ten nawet nie poczuł, jak wpijają się w ciało.

Krauze miał świadomość, że ciężko ranny człowiek jest mordercą. Że jeśli istnieje sprawiedliwość, powinien tak umierać setki razy. Jednak nie mógł pozbyć się współczucia. Jakaś pierdolona zawodowa solidarność, myślał bezradnie. Wciąż widział w Niemcu antropologa. I nie mógł zapomnieć pasji, która błyszczała w jego oczach, kiedy mówił o wymarłych dawno ludzkich rasach.

Wstrząsnął się. Wcale nie tak dawno, jak się okazuje.

Transporterem nie rzucało teraz tak mocno. Widać Jeschke opanował się już, prowadził ostrożniej. Odgłosy potyczki oddalały się i cichły, przez ryk silnika dobiegały już tylko co głośniejsze armatnie salwy.

— Za późno — westchnął Diehl. Krauze bardziej odgadł słowa z ruchu warg, niż usłyszał. — Nie zdążyliśmy.

Esesman otworzył szeroko oczy pociemniałe od bólu. Odwrócił głowę z wysiłkiem, wpił spojrzenie w twarz Krauzego. Ten zrozumiał i pochylił się nad rannym.

— Byłeś mi potrzebny... — wionął mu do ucha zduszony szept; Diehl tracił siły. Szeptał coraz wolniej, coraz dłuższe były pauzy między słowami, wypełnione ciężkim oddechem. — Miałeś... Dać świadectwo... Tobie by uwierzyli...

Przymknął powieki.

— Nie zdążyliśmy... Oni zniszczyli dowód, jedyny... Głowa opadła mu na piersi. Krauze poczuł, jak ciało Niemca wiotczeje w jego uścisku. Potrząsnął nim, nie myśląc, co robi. Usłyszał, jak Heidi odetchnęła głośno. Nie zwrócił na to uwagi.

— Jaki dowód? — syknął wprost do ucha Diehla, umazanego zasychającym błotem. — Jaki, kurwa, dowód?

Esesman uczynił ostatni wysilek.

— Żywy... — wyszeptał. — Za późno... Zastrzelili... Zwiśł bezwładnie w ramionach Krauzego. Krauze poczuł na sobie wzrok Heidi. Popatrzył w brązowe, głęboko osadzone oczy kobiety.

— To koniec — stwierdziła głucho.

Ze zdziwieniem dostrzegł na jej twarzy ulgę.

\* \* \*

Diehl odetchnął głębiej, jęknął cicho. Ale blade, jakby przezroczyste powieki nawet nie drgnęły. Heidi dotknęła czoła umierającego, pokręciła głową.

— Kim ty właściwie jesteś? — spytał Krauze, niespodziewanie dla samego siebie. — Może teraz wreszcie powiesz?

Rudowłosa milczała przez chwilę. Opuściła wzrok.

— Jego asystentką — odparła wreszcie wymijająco. — Przecież nas przedstawiono, nie pamiętasz?

Roześmiał się tylko, aż Jeschke, który dotąd siedział oparty o pancerz, z przymkniętymi oczyma, jakby nic już go nie obchodziło, uchylił powieki. Podoficera opuściła cała energia. Cała niespożyta, zdawałoby się, siła i okrucieństwo. Przywodził na myśl wiernego psa, który pogodził się już ze stratą swego pana i czeka tylko na nieuniknione, spoglądając od czasu do czasu wilgotnym wzrokiem. Kiedy już będzie po wszystkim, najwyżej zawyje, przemknęło Krauzemu przez głowę. Wierny pies. *Der treue Hund...*

Zaśmiał się jeszcze raz i nagle urwał. Wszystko zaczęło się układać. Zdjęcie. Zobaczył je w

przebłysku olśnienia. A raczej tego, kogo przedstawiało.

— Kłamiesz — powiedział powoli. — Uważasz, że z jego śmiercią coś się skończy. Ale nie grasz po jego stronie, prawda?

Słyszał słowa, jakby wypowiadał je ktoś obcy. To było olśnienie. Kawałki układanki wpadały na swoje miejsca. Nieznacznie odchylił połą kurtki, by w każdej chwili móc sięgnąć do pistoletu zatknętego za paskiem. Popatrzył z ukosa na podoficera, który znów przymknął oczy i czekał. A ty, Jeschke, po czyjej jesteś stronie?

Głupie pytanie. Pamiętał rozpacz w jego oczach. I wściekłość.

— Nie dopilnowałeś, Jeschke — skrzywił się. — Marny z ciebie piesek, zdajesz sobie z tego sprawę. Mało czujny. Ciekawe, co zrobisz teraz?

Heidi nie zareagowała. Otarła delikatnie czoło Diehla. Wydawało się, że powieki *Hauptsturmführera* drgnęły.

— Odpowiedz. — Krauze podniósł się. Jego dłoń powędrowała nieznacznie w pobliże kolby pistoletu.

Nachylił się nad leżącym, nieprzytomnym Diehlem. Chwycił za kołnierz mundurowej kurtki, potrząsnął. Głowa Niemca uniosła się, stuknęła o deski, gdy puścił.

— *Du verfluchter...* — przekleństwo Jeschkego zabrzmiało jak warkot zrywającego się do ataku, wściekłego psa. *Rottenführer* wyciągnął wielkie łapska gotów udusić Krauzego gołymi rękoma. I zamarł, zajrzawszy w czarny otwór lufy colta. Trzasnął bezpiecznik.

— Zostań tam, gdzie jesteś — ostrzegł Krauze chłodno. — Nie zrobię mu krzywdy.

Ręce podoficera opadły bezwładnie. Zdawał sobie sprawę, że nie ma szans. Tylko jego oczy błyskały krwawą wściekłością.

— Heidi! — rzucił ostro Krauze. Kobieta poderwała głowę. — Daj mu coś, doprowadź do przytomności. Przecież się na tym znasz, choć na chwilę.

Nawet nie drgnęła. Spoglądała chłodno i beznamiętnie.

— On i tak umrze, dobrze o tym wiesz. Ale ja muszę...

Przerwała mu, skrzywiła się ironicznie.

— Nic nie musisz, Krauze — wycodziła. — A on niczego już nie powie, on umiera. Nie ma takiej siły, która przywróciłaby mu przytomność. I...

Zawiesiła głos na moment, uciekła spojrzeniem.

— Mów — przynaglił ją. — Gadaj, bo...

— Bo co? — wpadła mu w słowo. — Nic już nie jest ważne, Krauze. Skończyło się. Na szczęście.

Poczuł, że nerwy mu puszczają. Czerwona mgielka przesłoniła oczy.

— Może, kurwa, dla ciebie! — syknął. — Ale nie dla mnie!

Uśmiechnęła się tylko, co wprawiło go w jeszcze większą wściekłość. Jeschke był czujny, zwęszył okazję. Sprężył się, czekał na najmniejszy błąd.

— Jesteś ciekaw? — spytała Heidi powoli. — Jak on? — Ruchem brody wskazała Diehla. Zaśmiała się cicho.

— To uważaj — dodała. — Możesz skończyć jak on. Nagle poczuł, jak złość ustępuje. Zastąpił ją lodowaty spokój. I pustka.

— Tak? — spytał powoli. — To uważaj...

Odwrócił się do Jeschkego. Popatrzył w jego przekrwione, nabiegłe rozpaczą oczy. I spokojnie ściągnął spust.

Strzał zabrzmiał ogłuszająco w zamkniętej przestrzeni. Pocisk zrykoszetował z brzękiem o pancerz, jeszcze niezdeformowany, choć zniósł po drodze cały wierzch głowy *Rottenführera*. Fontanna krwi i mózgu zmieszana z odłamkami kości chlusnęła na burtę transportera.

Jeszcze dzwoniło im w uszach, jeszcze palce Jeschkego nie przestały drgać, kiedy Heidi spytała spokojnie:

— Teraz moja kolej? Jesteś głupi, w ten sposób niczego się nie dowiesz.

Zaprzeczył ruchem głowy. To bez sensu, pomyślał. Jestem...

— Jesteś taki sam jak on — zaśmiała się kobieta. — Ale dobrze, powiem ci. — Głos jej stwardniał. — A potem...

Krauze odłożył pistolet. Zobaczył, że Diehl otworzył oczy i spogląda półprzytomnie. Wargi esesmana drgnęły.

Oboje jak na komendę zbliżyli się do niego i pochylili.

— *Der Totenkopf...* — Szept był cichy, chrapliwy. — *Gib mir...*

Heidi pogładziła rozpalone czoło. Krauze pochylił się, sięgnął po neandertalską czaszkę, położył ją na piersi Diehla. Patrzył, jak palce Niemca gładzą delikatnie kość, przesuwają się po wydatnych łukach nadoczodołowych. Wydawało mu się, że w oczach esesmana dostrzega prośbę, może nawet rozkaz. Pochylił się. Ale usłyszał tylko ostatnie, głębokie westchnienie.

Deszcz bębnił w brezentowy dach transportera. I słychać było już tylko oddechy Krauzego i Heidi.

— Co potem? — spytał Krauze wreszcie. Nie widział twarzy kobiety. Spoglądał w podłogę. Ale był pewien, że się uśmiecha swoim kpiącym uśmiechem.

— Potem zdecyduję, co z tobą zrobić, Jerzy — odparła po dłuższej chwili.

\* \* \*

Prawie nie widział jej w ciemności. Mała żaróweczka ledwie już mżyła. Widać było żarzący się, cieniutki drucik. Akumulator był na wyczerpaniu.

Heidi objęła ramionami kolana i skuliła się na ławce. Włosy zakrywały nawet jaśniejszą plamę jej twarzy.

— Co chcesz wiedzieć? — spytała. Skrzywił się.

— Prawdę.

— Którą? Jego prawdę? Tę, w którą uwierzył i dla której zginął? Czy moją? A może jeszcze inną?

Wzruszył bezradnie ramionami.

— A która jest prawdziwa? — W głosie Krauzego zabrzmiała gorycz.

Jej ramiona zadrgały w tłumionej wesołości.

— Żadna — odparła. — I każda. Ta, w którą zechcesz uwierzyć.

Odwrociła się do niego i odrzuciła włosy z twarzy.

— Ta, w którą potrafisz uwierzyć.

Milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Bawił się swoim coltem. Obracał w dłoni znajomy kształt. Ciężar broni budził pokusę. Kilka zamkniętych w nim jedenastomilimetrowych śmierci wabiło ostatecznym spokojem.

Położyła mu swą ciepłą dłoń na nadgarstku.

— Nie myśl o tym — powiedziała cicho. — To nie jest rozwiązanie...

Żachnął się.

— A skąd możesz wiedzieć, o czym myślę? A nawet, jeśli wiesz... To jakie mam szansę? Spaliłem mosty, jak on...

Wskazał w ciemność na sztywniejące na ławce ciało Ottona Diehla.

— Ja dużo wiem — szepnęła spokojnie dziewczyna. — Zaczynaj się przyzwyczajać do tej myśli. Będzie ci łatwiej.

Wyjęła mu z dłoni pistolet. Nie bronił się przed tym.

— Najpierw jego prawda. Jest najprostsza, możemy od niej zacząć. Najłatwiej w nią uwierzyć. I najłatwiej z jej powodu zginąć.

Oparł się o pancerz. Przez mundur czuł chłód metalu. Słuchał cicho wypowiedzianych słów, spokojnej relacji o straszliwych uczynkach i obłądnych rojeniach. I czasem miał wrażenie, że Heidi mówi o nim samym. O obsesji, której gotów był poświęcić tak wiele.

— Jesteś lepszy od Diehla. Bardziej doświadczony. I on o tym wiedział, dlatego cię wybrał. Kiedy wydawało mu się, że odkrył tajemnicę. Musiał poskromić swoje ambicje, uznać twoją wyższość. I w końcu ocalił ci życie.

W głosie Heidi zabrzmiała ironia.

To prawda, myślał Krauze wpatrzony w ciemność. Winien mu jestem życie. A przynajmniej te kilka tygodni.

Otto Diehl. Przeciętny antropolog, bez osiągnięć. Miał tylko ambicje, wielkie i nieposkromione. Obłąkańcze idee rasowe stały się jego jedyną szansą. Wojna zaś okazją do wcielania ich w życie. I całkiem przypadkiem stanął na progu odkrycia.

— Szukał potwierdzenia dla teorii. O niższości Słowian i Żydów. — Heidi mówiła cicho, beznamiętnie. — Z miernego naukowca stał się mordercą. Piął się w górę, był członkiem *Ahnenerbe* i szczerze wierzył w te wszystkie bzdury. Że istnieją inne rasy, gorsze, prymitywniejsze. Bzdura, powiadasz?

Roześmiała się głośno.

— Do czasu. W końcu znalazł. Dowód masz tu, niedaleko, spoczywa na jego piersi. *Homo neanderthalensis* jak żywy, nie znalezisko sprzed tysięcy, a nawet setek lat. Jak ta twoja czaszka, której poświęciłeś pół życia i reputację. Jednak nie bzdury, prawda, przyznaj? Też uznałeś, że oto nadszedł czas, że ci, którzy cię wyśmiewali, przyznają ci rację?

Nie odpowiedział. Zaciśnął tylko pięści.

— Nie pamiętałeś wtedy, że to nie wykopalisko? Że tę istotę trzeba było zabić, by zrobić z niej preparat? To przecież tylko czaszka... *Der Totenkopf*...

— Przestań — poprosił cicho. Potrzęsnęła głową.

— Nie jesteś lepszy od niego — stwierdziła zimno. — W niczym.

— Nie jestem — odpowiedział.

Chwilę trwała cisza. Heidi parsknęła z odrazą.

— Nieważne — mruknęła. — Obaj już zapłaciliście. Albo zapłacicie. I...

Zawahała się na chwilę.

— Twoje przewiny są mniejsze — dodała cicho. I co z tego? — chciał spytać. Ale nie spytał.

— Nieważne — powtórzyła. — Wracajmy do rzeczy. Otóż Diehl uznał, że dokonał odkrycia wszech czasów. Gorsze, prymitywniejsze rasy istnieją. Niemcy mają rację, trzeba uwolnić świat od zarazy. I wreszcie uzyskali naukowe potwierdzenie, pierdolone moralne prawo. Jak się domyślasz, był pełen radości i wiary. Oto wreszcie będzie kimś. I wielce się rozczarował, biedak.

Krauze domyślał się tego.

— Został wyśmiany? — spytał. Przypomniały mu się jego własne doświadczenia.

— Owszem. — Heidi zaśmiała się zgrzytliwie. — Bo jego odkrycie było za dobre, a gorsza rasa za prymitywna. On nie znalazł wzorcowego Żyda ani Słowianina. Znalazł cholernego neandertalczyka. Coś absolutnie niewiarygodnego. Albo wybryk natury, jak uznali szanowni profesorowie z *Ahnenerbe*. Antropologowie jak z kozich dup trąby. Zwykli niedouczeni doktrynerzy.

Parsknęła pogardliwie.

Ale Diehl nie był niedouczony, pomyślał Krauze. Nie był aż tak zaślepiiony. Zaczął szperać,

gromadzić informacje. A potrafił kojarzyć. I stał się niewygodny.

— Masz rację — powiedziała Heidi. Krauze zdziwił się. Czyżbym mówił na głos, pomyślał. Nieważne.

— Doszukał się Stołyhwy. I znalazł ciebie. Tak, skorzystał ze znajomości w Generalnym Gubernatorstwie. Wasza organizacja jest niezłe spenetrowana. A poza tym... Widzisz, on umiał kojarzyć. Ale miał tendencje do teorii spiskowych...

Przed oczyma Krauzego stanęło znów zdjęcie. Widział je przez moment za ledwie, ale utrwaliło się w pamięci ostro, mógł je w każdej chwili przywołać, jakby miał je przed sobą. *Der treue Heinrich. SS-Reichsführer* Heinrich Himmler. Okrągła twarz z cofniętą bródką, szkiełka okrągłych okularów. I naniesione na zdjęcie linie pomiarów antropometrycznych.

— Przecież to, kurwa, jakaś bzdura — szepnął z rezygnacją. — Idiotyzm.

Dostrzegł w ciemności, że Heidi kiwa głową.

— Owszem, idiotyzm. Ale dla niego logiczny. Przecież wiesz, że jeśli dogrzebał się do Stołyhwy, to i do twojej teorii. I wyciągnął wnioski po swojemu. Bo tak był ukształtowany, był produktem epoki. Miejsca, w którym przyszedł na świat.

Tak ukształtowany... Krauze przetarł oczy, piekły go z niewyspania, a może tylko podrażnione spalinami i gazem prochowym.

— Zaraz... — zaczął z namysłem. — Jakiej znów, cholera, teorii? O czym ty mówisz?

Rudowłosa kobieta przysunęła się bliżej, oparła na jego ramieniu. Przez mundurową kurtkę czuł ciepło jej ciała.

— Ty mi powiedz — szepnęła. — To przecież twoja teoria. No, prawda, nie tylko twoja.

Chciał się odsunąć, ale przyłgnęła mocno. Jakby zziębnięta chciała się rozgrzać.

Zamyślił się. Wracał pamięcią do czasów przed wojną, kiedy mógł być tylko porucznikiem rezerwy. A przede wszystkim antropologiem. Jakże śmieszne wydawały się teraz wszystkie wcześniejsze namiętności. Wszelkie porażki, nieznaczące, bo przecież kogo tak naprawdę obchodzi ewolucja hominidów? Zagadka ludzkiego pochodzenia? Minął już czas emocji, wielkich zmagania darwinistów, kiedy za głoszenie obrazoburczych teorii można było stanąć nawet przed sądem. Teraz klótnie ograniczały się do środowiska akademickiego. I to był kiedyś mój cały świat, pomyślał Krauze. Ale któż przypuszczał, że antropologia stanie się narzędziem ludobójstwa? Któż w najśmielszych snach przewidywałby, że w jej imię przyjdzie walczyć? I zabijać.

— Teoria rozwoju linearnego — zaczął powoli Krauze. Nie dziwił się już niczemu. Widać tak trzeba. — Najpowszechniej uznawana zakładała, że rozwój gatunku ludzkiego przebiegał stopniowo, wcześniejsze formy przekształcały się w coraz doskonalsze, coraz lepsze...

Urwał i wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów.

— Neandertalczyki byli naszymi przodkami — mówił niewyraźnie z niezapalonym papierosem przyklejonym do warg. Poklepywał się po kieszeniach w poszukiwaniu ognia. — Potem... Potem po prostu zmienili się w nas. Udoskonalili. Ich cechy, charakterystyczna budowa, rozplynęły się w nas...

Szczęknięto kółko zapalniczki, benzynowy płomyk wydobył na chwilę z mroku twarz dziewczyny. Błyszczące oczy.

— Ale to nieprawda. — Krauze zaciągnął się głęboko, wydmuchnął dym. — Coraz więcej na to wskazuje. Nie byliśmy kiedyś sami, *homo neanderthalensis* żył obok nas. Był odrębnym gatunkiem. Świadczą o tym znaleziska. Kiedyś, wierzę głęboko, ten pogląd zwycięży. Przeżyliśmy, bo mieliśmy więcej szczęścia.

Zamilkł na chwilę. Było coś dziwnego w tej rozmowie. Prowadzonej tonem akademickich rozważań we wnętrzu półgąsienicowego SdKfzeta cuchnącego krwią i śmiercią.

— Więcej szczęścia — mruknęła Heidi. — On tak nie uważał. Oceniał własną miarką. Własną i

jemu podobnych. Już rozumiesz?

Rozumiał. Zaciągał się głęboko. Żar na końcu coraz krótszego papierosa rozbłyskiwał w ciemności i oświetlał na moment pancerne burty. A rudowłosa kobieta cichym głosem opowiadała o obsesji Ottona Diehla.

Diehl wierzył w teorię innego gatunku. Nie mógł nie wierzyć, przecież miał dowody. Te dawniejsze, kopalne. Cały dorobek Stołyhwy i Krauzego. Cóż z tego, że zlekceważony. I wreszcie własny okaz. Tym bardziej niewiarygodny, że współczesny.

Miotał się, bo nikt nie docenił znaczenia odkrycia. A wręcz przeciwnie. Okazało się niewygodne.

Mimo to nie rezygnował. Miał warunki, pomyślał Krauze z goryczą. Skorzystał z nich, na ile mógł. Z całej rzeszy „naukowców”, zwykłych hochsztaplerów i nawiedzonych orędowników wyższości rasy aryjskiej. Miał też do dyspozycji „rozkaz o komisarzach”, zalecenie badań antropometrycznych schwytanych sowieckich oficerów. Wykorzystał je do własnych celów. I wreszcie osiągnął cel.

— Żywy egzemplarz, jak to nazywał. — W głosie kobiety pojawiły się twarde nutki. — Miał szansę na przeprowadzenie już nie tylko badań morfologicznych. Także behawioralnych, może i wiwisekcji. Ale zaczynał się bać. Wietrzył wokół siebie spisek. Potworny, przerastający wszystko, co sobie do tej pory wyobrażał. Cóż, był produktem swej epoki. I twórczo rozwinął swoją teorię.

Heidi mówiła dalej w zasadzie już niepotrzebnie. Otto Diehl wierzył, że neandertalczyki nie wyginęli, myślał Krauze. Byli eksterminowani, przez nas, przez *homo sapiens*. Tylko nie do końca. A najgorszą rzeczą, jaką można zrobić, to zabić wroga — prawie.

Pstryknął niedopałkiem. Żar zatoczył łuk w ciemności i zgasł z sykiem w kałuży na podłodze, która powstała z kropel spadających z przeciekającego brezentu.

Trudno go nie rozumieć, kołatało się Krauzemu w głowie. Diehl widział, co się dzieje, co „człowiek rozumny” potrafi zrobić innym „ludziom rozumnym”. Nawet brał w tym udział. I wreszcie uwierzył, że ktoś za tym stoi. Że to zemsta prawie z za grobu, że jest inspirowana, kierującą nią niedobitki. Doskonale zakamuflowane, podobne do nas zgodnie z ewolucyjną konwergencją. Obce ludy.

Zagłada całych narodów, całych ras. I zrobimy to własnymi rękoma. A ktoś inny będzie się śmiał ostatni.

— Ty mnie znalazłaś? — spytał cicho, choć w zasadzie pytanie było retoryczne. Heidi, kimkolwiek była, wiedziała zbyt wiele.

— Tak — usłyszał zaskoczony. Spodziewał się, nie wiedzieć czemu, że będzie zaprzeczać. Ale na zaprzeczanie było zbyt późno.

— Byłeś potrzebny — ciągnęła spokojnie. — Jemu, ale nie tylko. Dla niego byłeś niekwestionowanym autorytetem, wiesz. On jednak był naukowcem, mimo wszystko. Chciał weryfikacji.

Krauze uśmiechnął się mimo woli i zaraz spoważniał.

— To chyba nie wszystko.

— Owszem — przytaknęła. — Byłeś... Jesteś wrogiem. Kimś z drugiej strony. Śmieszne, prawda?

Od razu pojął, o co chodzi. Skrzywił się tylko.

— Śmieszne... Bo to ja myślałem, że będę musiał zdradzić, przejść na stronę nieprzyjaciela. Tymczasem to on. Bo myślał, że stoi po stronie nieprzyjaciół rodzaju ludzkiego. Cóż, nie mylił się tak bardzo. I byłem potrzebny nie tylko do weryfikacji. Miałem być paszportem na tamtą stronę.

Milczała. Nie było sensu nawet potwierdzać, to było oczywiste.

— Spalił mosty. Zaczął podejrzewać spisek prehominidów. A jego podejrzewali... Pies to

trącał, o co. Włazł komuś na odcisk. Pewnie też wietrzą spiski. Nawet wiem, komu włazł...

Poczuł, jak kiwa głową.

— Heinrich Himmler. Według Diehla zakamuflowany neandertalczyk, który osobiście kieruje zagładą. — Wyczuł, że kobieta uśmiecha się w ciemności. — Wierzysz w to? — spytała nagle.

Parsknął śmiechem w odpowiedzi.

— Ależ skąd! Wierny Heini ma po prostu taką paskudną mordę. A biedny Otto w tym stanie widział strachy za każdym węglem.

Spowaźniał.

— I nie bez powodu. Widać dobierali mu się do tyłka. A i przy okazji mnie. Ciekawe...

Urwał na chwilę. Przed oczyma stanęła mu znów strzelanina w Lesie Kabackim. Wtedy to on był celem.

— Ciekawe — podjął po chwili — co myśleli o mnie? Bo wiedzieli, prawda?

Myślał, że nie odpowie. Ale pomylił się.

— Owszem, wiedzieli. Nie dało się dotrzeć do ciebie bez wzbudzania podejrzeń. To było wkalkulowane, i tak nie mieliście wiele czasu. Nie mieliśmy.

— Dlaczego? — spytał sucho.

Odsunęła się od niego. Siedziała sztywno, odwróciwszy głowę, choć przecież i tak nie mógłby w ciemności dostrzec jej twarzy.

— Bo nie mogłam dopuścić, żeby mu się powiodło. Liczyłam na ciebie, na twój rozsądek, na wiedzę. Tak, znałam cię wcześniej i wiedziałam o tobie dużo. — Wyczuł, że znów uśmiecha się w mroku. Mógł sobie nawet wyobrazić ten uśmiech. Tylko skrzywienie warg. — Jak o wszystkich, którzy zajmowali się kiedykolwiek tym tematem.

— Ale dlaczego nie mogłaś? — naciskał. — Przecież, pomijając te jego durne spiski, to odkrycie na miarę...

Urwał. Widział jaśniejszą od mroku plamę jej twarzy, kiedy się do niego zwróciła. Poczuł, jak kładzie dłoń na jego dłoni.

— Jerzy... — powiedziała cicho. — Nie jesteście na nie gotowi. Jeszcze nie. A może nigdy nie będziecie.

Odrzącił ją.

— W co ty grasz, Heidi? Kim w ogóle, do cholery, jesteś? To ty miałaś dostęp do dokumentów, tam, w Anglii. Intelligence Service?

Bardziej domyślił się, niż zobaczył, że jej ramiona drgają od tłumionego śmiechu.

— Naprawdę się jeszcze nie domyślasz?

\* \* \*

— Żyjemy wśród was — mówiła cicho, wsparłszy głowę na jego ramieniu. Bezwiednie gładził dłonią jej miękkie, rude włosy. — Od tysięcy lat. I jesteśmy podobni, ale inni. Obcy.

To nie do wiary, myślał Krauze, czując pod opuszkami palców ciepło kobiecego policzka. Przyłapał się, że porównuje. Stara się uzmysłwić sobie cechy, które mogłyby ją wyróżniać z tłumu. I nie znajdował. Czując ukłucie wstydu, przesunął dłoń niżej, na podbródek.

Nie odsunęła się, ale poczuł, jak jej policzki się ściągają.

— Zawsze antropolog? — spytała i w jej głosie zabrzmiały weselsze nutki. — Przeprowadzasz badania?

Cofnął dłoń zbyt gwałtownie. Przytuliła się mocniej.

— Daj spokój, to miłe — mruknęła cicho. — Fajny z ciebie facet, Jerzy. Ale jak się domyślasz, nic by z tego nie było. Mówiąc naukowo, jednym z kryteriów przynależności do gatunku jest

zdolność krzyżowania się. Nie możemy się krzyżować.

Starsze ludy, pomyślał, obecne w legendach i w podaniach, zawsze towarzyszyły ludziom, od zarania dziejów. Kiedyś przyjmowane za coś naturalnego, potem coraz rzadsze, odchodzące w niebyt. Elfy, gnomy, krasnoludy. Ewolucja hominidów, nie prosta drabinka, ale raczej ogromny kandelabr.

Skrzywił się, przypomniał sobie, jak próbował kiedyś, w beztroskich przedwojennych czasach, czerpać inspirację z baśni. A nawet z przekazów historycznych. To pseudonauka, zakrzyknęły autorytety, i na zawsze pozostało mu piętno hochsztaplera. Dopiero bezlitosna wojna pokazała, że miał rację.

— Tak, Jerzy — powiedziała cicho Heidi. Wciąż tak nazywał ją w myślach, choć zapewne imię jej brzmiało inaczej. — Żyliście obok was, podobni, ale odmienni. I żyjemy nawet w czasach, kiedy *homo sapiens* oszalał.

— Znasz moje myśli. — To nie było pytanie, to było stwierdzenie.

Pogładziła go po dłoni.

— Nie — zaprzeczyła z wahaniem. — A raczej nie do końca. Prędzej emocje. Znam cię, poza tym sporo o tobie wiem.

— Nieważne — burknął. I tak czuł się wystarczająco niepewnie, by dalej drażnić tę sprawę. — Powiedz lepiej... No właśnie, podobni. A przecież on...

Nie musiał precyzować, by wiedziała, że chodzi o czaszkę o wyrazistych cechach, jakby przeniesioną wprost z kultury mustierskiej.

— Cóż, zdarzają się i tacy — odpowiedziała. — Diehl miał szczęście. Nawet on nie mógł się pomylić.

Zamilkła.

Krauze siedział obok niej, gładził ją wciąż po policzku, po włosach. Czuł na swojej dłoni ciepło jej oddechu. I nie wiedział już, czy myśli, które kłębią mu się w głowie, są jego własnymi. Czy może rudowłosa, obca kobieta właśnie coś do niego mówi bez słów.

Kiedyś odkryjemy prawdę, może już niedługo. Poznamy lepiej tych, co żyli obok nas. Bo przecież przeszłość znamy zaledwie z kilkunastu znalezisk, ze zdeformowanych kości. Więcej w tym wszystkim naszej interpretacji i naszych życzeń. Naszych wyobrażeń. Jeszcze przed nami odkrycie innych ludzkich istot, tak nam bliskich i jednocześnie odległych. Bo nasze drogi rozeszły się dawno temu.

Może kiedyś, uśmiechnął się Krauze, ktoś odkopie małego hominida, którego nazwie — bo ja wiem — krasnoludem kopalnym? Niewiarygodne, ale jest w tym jakaś logika. Jeśli jeszcze okaże się, że datowanie sięga czasów historycznych...

Już wiedział, czego obawia się Heidi. Neandertalka, uświadomił sobie z całą ostrością. Obca. Choć wciąż potrafił myśleć o niej tylko jako o kobiecie.

— Skoro potrafimy niszczyć się nawzajem, to co zrobilibyśmy z wami? — powiedział powoli. — Temu chciałaś zapobiec?

Ścisnęła go mocno za rękę.

— Nie tylko, Jerzy, nie tylko... — szepnęła. — Macie takie powiedzenie: ludzie są różni.

Poczuł, jak się odsuwa.

— Masz papierosa? — spytała. Podsunął jej otwartą paczkę. Trafiła bezbłędnie w ciemności.

Kiedy przypalał papierosa, widział jej błyszczące, wpatrzone w siebie oczy.

— Ludzie są różni — powtórzyła. — I my też, Krauze. Wierz mi.

Pokiwał głową.

— Sądzisz, że rojenia Diehla mogą okazać się prawdą? Że ktoś z was zemści się za zagładę?

— Nie — zaprzeczyła. — Nie za zagładę, przecież jej nie było. To jedna z teorii, błędna. Kiedyś

się o tym przekonacie. Przecież żyjemy.

Zaciągnęła się głęboko. Ognik papierosa rozjarzył się, oświetlił jej twarz. Krauze zobaczył, że Heidi się uśmiecha.

— Ale potrafimy nad wami panować... Przynajmniej nad jednostkami. Hej, co z tobą?

Przestał słuchać. Nie potrafił opanować ataku śmiechu. Skręcał się na ławce, łzy ciekły mu po policzkach.

Biedny Diehl, uświadomił sobie. Co też on musiał przeżywać. Tajna międzynarodówka prehominidów, która manipuluje historią. Toż to lepsze niż Protokoły Mędrców Syjonu...

Uspokajał się powoli. I spostrzegł, że Heidi wcale się nie śmieje.

— Nie mogliśmy... Nie mogłam do tego dopuścić — powiedziała ostro.

Zrozumiał, że mówi całkiem serio.

— Nie teraz, bo niebezpieczeństwo jest zbyt realne. Dlatego byłam z wami od chwili, kiedy, na nieszczęście dla siebie, Otto wpadł na trop.

Zdusiła niedopałek na drewnianym siedzisku.

— Miałeś jedną jedyną szansę. Pomylić się.

Pokiwał głową. Wiedział już, że jego rolą było zdezwuowanie Diehla.

— A jeśli bym się nie pomylił? — spytał cicho. Milczała chwilę.

— Nie ty jesteś ważny, Jerzy. Przykro mi. Nie odpowiedział.

— Ale skończyło się lepiej — dodała ciepłej. — Już nie jesteś potrzebny.

Poderwał głowę. Wpatrzył się w ciemność, tam, gdzie domyślał się jej oczu.

— I co teraz? — spytał.

Usłyszał, jak się przysuwa. Poczul jej dłonie na swoich policzkach.

— Teraz zapomnisz — szepnęła, wionąc mu ciepłym oddechem prosto w twarz. — Bo przecież chcesz zapomnieć, prawda? Pomogę ci...

Długo nie odpowiadał. Wreszcie kiwnął głową, bez słów. Rzeczywiście, chce zapomnieć, myślał.

Tak było naprawdę. Ale jedno chciał zapamiętać. Spojrzenie głęboko osadzonych, brązowych oczu.

Położyła mu palec na wargach.

— Nic nie mów, Jerzy. Tak będzie lepiej. Wydawało mu się, że słyszy w jej głosie ledwie dostyszalną nutę smutku.

### III

Słoneczna plama wędrowała powoli po betonowej posadzce. Wkrótce wypełni na ścianę nad pryczą. Wtedy już będzie ciemniejsza, bardziej pomarańczowa, i szczególnie niebawem, kiedy niewidoczne słońce będzie dalej chylić się ku zachodowi.

Plama pojawiała się jedynie latem, kiedy blaszane blindy przesłaniające zakratowane okno nagrzewały się od upału. Leżąc na pryczy, można było zobaczyć tylko skrawek nieba, błękitny, jak dziś, albo szary, kiedy przesuwaly się za nim chmury. Był zbyt mały, żeby dostrzec ich kształty, tylko czasem widać było rąbek albo białe, cieniutkie strzępy cirrostratusów.

Ale żeby je ujrzeć, trzeba było ułożyć się na pryczy, twardej, zbitej z desek, okrytej wystrzępionym kocem. A to w dzień było surowo zakazane.

Krauze siedział przy opuszczanej ze ściany półeczce pełniącej rolę stolika. Taboret był przyśrubowany do podłogi, podobnie jak prycza. Spoglądał na swe dłonie. I czekał.

Czekał już bardzo długo.

Popatrzył na plamę jasnego światła. Zdawała się drgać lekko i migotać niczym żywa istota. Wiedział, że to z powodu rozedrganego, rozgrzanego powietrza nad blaszaną blindą. Ale ilekroć spojrzał, jego wargi wykrzywiały ledwie widoczny uśmiech.

To było irracjonalne. Ale pierwszy raz słoneczną plamę ujrzał, kiedy wrócił do celi po wysłuchaniu wyroku. Już dawno, parę miesięcy temu. Po raz pierwszy wiosenne słońce stało na tyle wysoko, by zajrzeć w przesłonięte blachą okno.

To było tylko złudzenie. Ale wydawało mu się, że czuje zapach rozwijających się pąków, wiosennej ziemi zroszonej pierwszym ciepłym deszczem. Aromat wiosny przebijał się przez smród cuchnącego chlorem kibla. I pomyślał w nagłym przebłysku nadziei, że póki słońce zaglądać będzie do celi, wędrować jasną plamą po betonie posadzki, poty jego życia. Aż wreszcie dni staną się coraz krótsze, słońce zblednie, przestanie grać. I wszystko się skończy.

Na korytarzu zastukały podkute buty, zgrzytnęła klapka judasza. Nie poruszył się nawet, choć z tyłu ogolonej głowy poczuł prawie dotknięcie wzroku strażnika. Po dłuższej chwili ponownie szcęknięła stal, kroki poczęły się oddalać. Aż ucichły.

Krauze uśmiechnął się bezwiednie do jaśniejącej na podłodze plamy. Wciągnął głęboko powietrze, jakby spodziewał się, że poczuje woń rozgrzanego upałem piasku i trawy spalonej słońcem. Ale tylko zakrztusił się ostrym odorem chloru.

Kaszlał chwilę, nie mogąc złapać oddechu. Łzy popłynęły spod stale zaczerwienionych, zaognionych powiek, podrażnionych nie tylko chemikaliami, ale też światłem mocnej, stuświecowej chyba żarówki, która płonęła w celi dzień i noc. Więzień musiał być wszak pod kontrolą. Nie można dopuścić, by ktoś skazany prawomocnym wyrokiem zupełnie nielegalnie podciął sobie żyły, na przykład tępą łyżką.

Popatrzył w okno, na cynkowaną, pociemniałą od deszczy blachę blindy. Wiele by dał, żeby choć raz zobaczyć niebo, całe i bezkresne, nie tylko mały, prostokątny skrawek. Ale wiedział, że i to już utracił, nikt nie da szans nawet na to. Ci tutaj nie rozstrzeliwali w lesie, nad dołem pachnącym świeżo rozkopaną ziemią. Strzelali w potylicę w cuchnącej krwią i śmiercią, mrocznej piwnicy, na betonowej, posypanej trocinami podłodze.

Małe kreseczki wryte paznokciem w olejnej farbie opuszczanej na łańcuszkach półki układały się w dni, tygodnie i miesiące. Lipiec tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, pomyślał Krauze mętnie. Dobry rok. Szkoda, że ostatni.

Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze słońce stoi wysoko, nie zbladło, nie zatacza coraz niższego łuku

po widnokręgu. Jeszcze nie jesień.

Jeszcze tli się nadzieja. Choć już powinna zgasnąć. Bo przecież wyrok już dawno zapadł.

\* \* \*

— Nie pamiętam...

Ten śledczy nie był brutalny. Nie bił. Nie musiał przecież. Nie kazał siedzieć na taborecie odwróconym do góry nogami, nie kazał odprowadzić więźnia do karceru, do którego, w ramach urozmaicenia, napszczano po kolana wody. Nie zrywał paznokci.

Nie musiał, to wszystko zrobili już inni przed nim. I też nie doczekali się odpowiedzi.

Młody kapitan wyglądał na śmiertelnie znudzonego. To istotnie była już tylko formalność, ciężka, męcząca praca. Najgorsze dlań było, że musiał ukrywać pogardę dla tej istoty, która siedziała przed nim skulona na stołku stojącym na środku pokoju przesłuchań. Dla wroga klasowego, a przede wszystkim zdrajcy. Hitlerowskiego sługusa.

Sprawa była jasna. Nieważna pamięć, ważna dokumentacja. Kapitan zaciągnął się papierosem, popatrzył na teczkę, na wysypujące się z niej papiery, protokoły przesłuchań, donosy. Na zdjęcie, małą odbitkę z pozaginanymi rogami. Jeszcze raz odruchowo porównał zapadniętą twarz człowieka na taborecie z tym bezczelnym faszystą w mundurze z opaską organizacji Todt.

Za cholerę bym skurwysyna nie poznał, pomyślał po raz któryś. Ale w teczce są dokumenty, są zeznania. Prawdę mówili, że każdy zapluty karzeł reakcji z Niemcami się kumał, Polakom w plecy strzelał.

Jeszcze raz dla porządku przeglądał papiery. Jego chłopska, naznaczona piegami twarz zachmurzyła się, wargi poruszały bezgłośnie, kiedy sylabizował równe rzędy liter. Protokoły przesłuchań. Zeznania.

Spomiędzy kartek wypadło małe, legitymacyjne zdjęcie. Młody chłopak uśmiechał się zuchowato, na twarzy kładła się ćwiartka łuku, kawałek pieczęci. Śledczy zmarszczył brwi, lubił porządek w aktach. Skąd to, psiamać, wypadło? — pomyślał ze złością. Akta były obszerne. Przez chwilę przekładał kartki, usiłował dopasować małą, wyblakłą fotografię do któregoś z zeznań. Złościło go, że nie pamiętał dobrze, sprawa była jasna, nie poświęcił wiele czasu na lekturę.

Już chciał zapytać więźnia, kiedy okazało się, że wyciągnął w końcu ten właściwy dokument. Protokół przesłuchania. Ze złości omal nie uderzył się otwartą dłonią w czoło. Jak mógł zapomnieć? Kosa, taki rzadki pseudonim. Mimo że też wróg, omamiony przez londyńskich plutokratów, to przecież przejrzał zdrajcę.

Kapitan zastanawiał się chwilę, wachlował od niechcenia plikiem kartek. W zasadzie warto by przesłuchać jeszcze raz, tak dla pewności. W końcu to kluczowe zeznanie, to ono pogrzyżyło do reszty imperialistyczne — go szpiega. Skrzywił się.

Może i warto, ale już się nie da. Dla bandytów, którzy wciąż kryli się po lasach, wrogów władzy ludowej, nie mogło być pobłażania. Nawet jeśli ich zeznania pogrzyżyły innych, tych stokroć gorszych. Bo zakamuflowanych i groźnych.

Popatrzył na skulonego człowieka. Strach pomyśleć, co taki jeszcze mógłby zrobić, gdyby kto trzeba nie okazał rewolucyjnej czujności. Jeszcze raz przebiegł w myśli szczegóły sprawy.

Jerzy Krauze. Przedwojenny oficer i jakiś tam doktor, diabli wiedzą od czego. W papierach napisane, ale kto by to wyrozumiał, w każdym razie pożytku z niego, co z psa gnoju. Inteligent, mać jego smutna, znaczy wróg klasowy. Uciekł do Anglii, potem przerzucony do Polski przez swych londyńskich mocodawców. Po to, żeby zamiast z okupantem walczyć stał z bronią u nogi.

Żeby tylko stał. Są zeznania i dokumenty, że współpracował z SS. A potem zniknął. I zamiast siedzieć na Zachodzie jak mysz pod miotłą wrócił do Polski.

Śledczy przewrócił kartkę. Tak, już w czterdziestym szóstym. Na ziemię odzyskane, do piastowskiego Wrocławia, gdzie udało mu się wkręcić na uniwersytet. Ale na szczęście organizacja partyjna wykazała się czujnością i szybko zwróciła uwagę na czarną owcę. Ale sprawa i tak była jasna. Ktoś go musiał przerzucić do kraju, pogrobownicy sanacji, niewątpliwie.

Zmarszczył brwi. I ktoś musiał to ułatwić. Sporo wciąż było takich, co czekali, aż przyjedzie Anders na białym koniu.

Chłopska, piegowata twarz śledczego skrzywiła się w złym uśmiechu. Niedoczekanie, pomyślał. Zacisnął palce na dokumentach. Ech, jak ja was, kurwy, nienawidzę... Jakbym was wszystkich wystrzelał...

Spokojnie, nakazał sobie, tylko spokojnie. Trudna służba, ale pożyteczna. Wkrótce wyplenimy całą reakcję.

Ostatnie arkusze w teczce były sztywniejsze, grubsze. Fotokopie. Adnotacje na odwrocie świadczyły, że zabezpieczono je podczas rewizji. Cwany był, dywersant, na widoku trzymał. Widać pewny swego.

Śledczy uniósł sztywną kartę, zbliżył do oczu.

— *Le crane de Nowosiółka...* — sylabizował z wysiłkiem. — *Consi... consid...* Tfu, język można połamać!

Ani chybi szyfr, skonstatował. Mimo wszystko trzeba będzie dać komu trzeba, chociaż ten gad powinien jak najszybciej dostać dziewięć gramów ołowiu w łeb. A może lepiej nie dawać. Na cholere komu kłopot. W łeb i do piachu, a te bzdury do archiwum.

Popatrzył jeszcze na niewyraźny, rozmazany rysunek. Coś jakby czerep, pomyślał. Pewnie dla niepoznaki. No cóż, sprawa jasna. Przyjedzie taki i naszpieguje jak ostatni sukinsyn.

Odłożył papiery i zgarnął je starannie do teczki. Trzasnęła gumka, kiedy zamknął po raz ostatni kartonowe okładki. Jeszcze tylko wypisać dyspozycję do archiwum i wciągnąć na dziennik.

Na biurku został tylko jeden arkusz. Protokół ostatniego przesłuchania.

Śledczy odchylił się na krześle, przeciągnął, aż chrupnęło w stawach. Ciężka służba, pojawiła się po raz kolejny refleksja, niewdzięczna. Trzeba powstrzymywać odrzę, nie można wyjąć tetetki, rozwalić gada na miejscu. Bo jest, kurwa, praworzędność. Kurwa, socjalistyczna.

Skinął na żołnierza, który podpierał ścianę i dłubał z namysłem w nosie. Już czas.

Skulony na taborecie człowiek ni to stęknął, ni jęknął, kiedy osłonięta perforowaną chłodnicą lufa pepeszki dźgnęła go w nerki. Podniósł na śledczego zaczerwienione, zaognione oczy pałające w wychudłej twarzy.

— Podpiszcie.

Poobijane, pozbawione paznokci palce nie potrafiły utrzymać chemicznego ołówka.

— Nic nie pamiętam...

Na szerokiej twarzy oficera śledczego pojawił się dobrotliwy uśmiech. W końcu nie było tak źle. To już ostatni dzisiaj. Trudna służba też kiedyś się kończy.

— Podpiszcie, podpiszcie... Przecież to i tak już nieważne.

Grafit zachrobotał po papierze.

\* \* \*

Plama słonecznego światła wpełzła powoli na pryczę. Na korytarzu znów rozbrzmiały kroki.

To nie w porządku, kołatało się w głowie Krauzego, kiedy szczykały rygle. To nie w porę. Nie powinno tak być.

Podniósł się z taboretu, nie odwracając nawet. Ktoś coś mówił, wyszcze kiwał słowa, może rozkazy? A może odczytywał jeszcze raz sentencję wyroku z zatłuszczonej, pogniecionej kartki?

Słowa zlewały się ze sobą, nie były już ważne. Krauze nie obejrzał się nawet, kiedy brutalnie wykręcili mu ręce do tyłu i poczuł na nadgarstkach zimny dotyk stali. Kajdanki zacisnęły się mocno, do bólu.

Miał jeszcze chwilę, zanim ktoś szarpnął krótki łańcuszek, obrócił go do wyjścia. Spoglądał na plamę światła, nie drżącą już, bardziej pomarańczową. Oszukałaś mnie, myślał. Oszukiwałaś cały czas.

Ktoś szarpnął łańcuch kajdanek, w górę, aż zabołały wykręcone stawy. Inny pchnął w plecy. Za otwartymi, żelaznymi drzwiami celi był już tylko pusty korytarz. I ciemna czeluść schodów.

Do piwnicy.

Krauze uderzył boleśnie o futrynę. Byłby upadł, gdyby żołnierz o obojętnej twarzy nie chwycił go za ramię. Wydawało mu się, że usłyszał cichutki trzask odpinanych sprzączek kabury.

\* \* \*

Jakże długie potrafią być schody, kiedy trzeba iść po nich w ciemnościach rozjaśnianych tylko słabymi, mżącymi żółto żarówkami. Jakże ciężko zstępować po wyslizganych betonowych stopniach ze skutymi na plecach dłońmi.

Drewniana podeszwa więziennego sabota ślizga się na krawędzi, na wilgotnej, ciemnej plamie. Ten, co idzie z tyłu, szarpie kajdanki, aż podrywa więźnia, którego ściągniętą twarz wykrzywia ból.

— *Idi, swolocz!* — pada syczące przekleństwo.

— Już niedaleko — wtóruje mu zadowolony rechot z tyłu, tym razem po polsku. — Na kolanach się, ścierwo, dowleczesz.

Nagły chłód z tyłu czaszki, skóra martwieje. Czy to już zimny dotyk lufy na potylicy? Tak po prostu, na schodach?

Skazaniec zastyga, czekając na cichy trzask skrzydełka bezpiecznika. I huk, którego już nie usłyszy. Pocisk 7,62 jest zapewne szybszy od przewodzenia nerwów.

Jeszcze nie. Kolejne szarpnięcie, kolejne przekleństwa. Polskie i rosyjskie.

Schody się kończą. Tu jest jaśniej. Żarówka w drucianej osłonie daje więcej światła. Pod nogami przesypują się trociny. Pachnie żywicą, świeżym drewnem.

I śmiercią.

Kolejne drzwi, stalowe, pociągnięte szarą farbą. Żołnierz przerzuca mosina z długim, czworograniastym bagnetem przez plecy. Stuka.

Zgrzytają zawiasy.

\* \* \*

Mały pokoik w suterenie, jasne, bielone ściany. Proste biurko na środku. Ze ściany, z oleodrukowego portretu, spogląda świdrująco Feliks Edmundowicz.

Krauze pod naciskiem szorstkiej dłoni na ramieniu opadł na taboret. Podniósł wzrok na oficera za biurkiem. Było mu już wszystko jedno. Już jednak pożegnał się z życiem. Ale machinalnie rejestrował szczegóły.

Radziecki mundur, prosta bluza przecięta paskiem koalicyjki. Błękitne wyłogi. Enkawudzista.

Szczupła, wygolona twarz oficera drgnęła nieznacznie. Zwężyły się głęboko osadzone, ciemnobrązowe oczy.

— Rozkuć! — padł cichy rozkaz po polsku. Bez wyczuwalnego obcego akcentu.

Żołnierz za plecami Krauzego wydał z siebie jakieś nieartykułowane chrząknięcie. Zatupał niezdecydowanie podkutymi buciskami po betonowej posadzce.

— *Towaryszcz kapitan...*

— Rozkuć! — Enkawudzista nie podniósł nawet głosu.

Zabrzączał krótki łańcuszek. Przez długą chwilę żołnierz nie mógł trafić kluczykiem w zamek. Wreszcie kajdanki opadły. Krauze znów mógł rozcierać posiniałe, zdrętwiałe dłonie.

— I wypierdalać — dodał radziecki kapitan. Skrzywił w uśmiechu blade, niedokrwiste wargi.

Coś znajomego było w jego sylwetce, budziło niejasne wspomnienia. I lęk. Głęboko zagrzebany w podświadomości. Dawno zapomniany. Więzień poruszył się niezgrabnie na twardym taborecie. Nie, nie zapomniany, uświadomił sobie, a przynajmniej nie z własnej woli.

Ktoś kiedyś kazał zapomnieć. I dopiero teraz Krauze miał wrażenie, że oczy śledczego przewiercają go na wylot, że ów człowiek wie o nim wszystko.

Zachwiał się. O beton stuknęła żelazna piętka kolby mosina, kiedy strażnik niezgrabnie chwycił za więzienną, szorstką bluzę. Wzrok oficera złagodniał nieco, ale wciąż pozostał chłodny i skupiony.

— No, kapralu, nie słyszeliście rozkazu? W podskokach miało być.

Krauze pozbawiony nagle oparcia omal nie zsunął się z taboretu. Równowagę odzyskał dopiero, słysząc skrzypienie zawiasów ciężkich, stalowych drzwi. Żołnierz rzeczywiście zniknął w podskokach.

Czego jeszcze ode mnie chcą, zastanawiał się z trudem Krauze. Myśli formowały się powoli, jakby umysł wypełniała gęsta, wilgotna mgła. Zaczynało mu się kręcić w głowie. Mały pokój w suterenie pociemniał nagle, z obrzeża pola widzenia wypelzała czerń. Ginęły w niej szczegóły, rozmazywały się i zanikały. Mógł już tylko skupić wzrok na twarzy śledczego, na jego jasnych, rudawych włosach podciętych sowiecką modą „pod donicę” i na czarnych, otoczonych brązem źrenicach, nieruchomych jak u węża, przenikliwych, które zdawały się zaglądać w samo sedno bezbronnego umysłu.

Chciał unieść rękę. Nie mógł. I tylko bezradnie czekał, czując, jak coś na kształt zimnych paluchów grzebie mu pod czaszką. Jak opadają kolejne zasłony niepamięci.

Już wiedział. I zamiast ulgi nadszedł strach. Odrwane obrazy.

Spieczone, popękane wargi Ottona Diehla. Odrzucona trafieniem głowa jasnowłosego oficera. Jego wytrzeszczone oczy zmieniają się nagle w ciemne jamy oczodołów pod masywnymi łukami brwiowymi. Szerzą się w drwiącym uśmiechu poźółkle zębiska osadzone w zuchwie bez podbródka.

I spojrzenie. Ciemne punkty źrenic w głęboko osadzonych oczach. Opadający na policzek kosmyk rudych włosów. Dłuższych niż u tego człowieka.

Człowieka?

Krauze zeszytniał nagle, wyprężył się na taborecie, widząc, jak oficer wychodzi zza biurka, jak zbliża się do niego. Poczul dotyk na ramionach. W głowie kołatało się jedno zdanie, wypowiedziane kiedyś przez dawno zmarłego esesmana.

Przyszłość ludzkiej rasy.

Śmiech ochrypty i spazmatyczny odbił się od ścian pokoju w suterenie. Miałeś rację, skurwysynu, myślał Krauze, zwijając się w kurczach. Oni są wśród nas, kierują nami. I będą, dopóki się nawzajem nie wytłuczemy. I wreszcie będzie sprawiedliwie.

Dłonie śledczego zacisnęły mu się na ramionach. Czuł, jak twarde palce wpijają się w ciało. Oficer czekał, aż ustaną drgawki, podobne bardziej do ataku padaczki niż zwykłego śmiechu.

— *Nu, Jurij Iwanowicz* — powiedział wreszcie łagodnie i zaraz przeszedł na polski. — Pośmialiśmy się, śmiech to zdrowie. Widzę, że nie muszę już wam niczego wyjaśniać.

Krauze bezwiednie pokręcił głową. Śledczy zdjął mu dłonie z ramion, odstąpił o krok.

— I dobrze. — Uśmiechnął się chłodno. — Zatem wiecie, towarzyszu doktorze, że mam dla was propozycję. A wy, naturalnie, ją przyjmiecie.

Wyciągnął rękę, złożył palce na kształt pistoletu. Odciągnął kciukiem wymaginowany kurek.

— Bo alternatywą jest... — Zmrużył oko. — Paf! Przynajmniej oszczędził gadaniny o ideałach, uśmiechnął się w duchu Krauze. O lojalności. I o zdradzie, której przecież nie popełniam. Bo kogo, kurwa, mam zdradzić?

Rudowłosy śledczy przysiadł na biurku. Popatrzył w rozłożone papiery, jakby rzeczywiście musiał zaglądać.

— No to zaczynamy. Na początek... Mówi wam coś nazwisko Diehl? Otto Diehl?

Krauze zwlekał z odpowiedzią. Nie żeby cokolwiek ukryć, zdawał sobie sprawę, że nic się ukryć nie da. Spoglądał tylko w twarz śledczego. I zamiast gładko wygolonych policzków i rudych włosów widział tylko połyskującą nagość czaszki. Ciemniejsze linie szwów na ciemieniu. I kształt.

Prawie ludzki.

— A nie zapytasz o profesora Stołyhwo? — Popatrzył wyzywająco tam, gdzie dostrzegał już tylko jamy oczodołów. — O czaszkę z Nowosiółki? Kolego...

Ból odezwał się tępym uderzeniem z tyłu głowy. W oczach pociemniało. Myśli rozpierzchły się na chwilę, zanim z trudem zdołał je pozbierać.

Kiedy ponownie zogniskował wzrok, nie widział już nagiej kości, wyszczerzonych, błyszczących zębów. Tylko kpiące spojrzenie śledczego. Nie podskakuj, zdawało się mówić, sam widzisz, jak to się kończy. Jeszcze jesteś potrzebny, ale...

Zanim z ostateczną rezygnacją skinął głową, pomyślał jeszcze, że Otto Diehl mógł mieć rację. To, co nie udało się wiernemu Heinrichowi, im może się udać.

*Jerzy Roś*

# **OLAF I BUTY GINTERA**

Jerzy Roś urodzony w 1966 roku, archeolog, kustosz Muzeum Regionalnego PTTK w Olkuszu, przewodnik turystyczny po Jurze Krakowsko–Częstochowskiej, autor książek i artykułów poświęconych historii i kulturze swojego regionu. Dotychczas nagrodzony odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” (w 2001 r. przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego), dyplomem za szczególne zasługi dla zabytków kultury żydowskiej (w 2004 r. przez Ambasadę Izraela) oraz w konkursach literackich: „O Gmerk Olkuski” — 2003, 2004; „Zima Prozy” Bolesław — 2004, 2005, im. H. Snopkiewicz w Zawierciu 2005 i Centrum Herdera Uniwersytetu Gdańskiego.

Olaf, jeszcze tylko trzy kilometry i już strażnica, już kończymy. Trzy kilometry toru kolejowego. Trzeba go pilnować. Z dwóch powodów: po pierwsze, tym torem jadą na front wschodni wagony z zaopatrzeniem dla naszych, po drugie, po lewej stronie torów zaczyna się już Rzesza, Tysiącletnia Wielka Rzesza, a po prawej stronie, w sosnowym lasku, Generalna Gubernia. Ci głupi Polacy nijak tego nie mogą zrozumieć i ty, zdaje mi się, też nie za bardzo rozumiesz. To jest granica i już. Kto ją nielegalnie przekracza, ten jest przestępcą. Na początku chodzili sobie ot tak, jak przed wojną. Trzeba ich było gonić, łapać, odstawiać do aresztu, pamiętasz? To już ponad cztery lata, jak sobie tak chodzimy po tych torach, co roku fasuję nowe buty. Te, które mam dzisiaj na nogach, są całkiem nowe. Jeszcze trochę uciskają, ale rozchodzę je. Codziennie dwanaście kilometrów marszu. Albo z Ilkenau do Wolbromia pieszo, a z powrotem przejazd pociągiem, albo najpierw pociągiem, a później krok za krokiem, marsz po torach. Idzie się szybko i równo. Podkłady ułożone regularnie. Już po pierwszym miesiącu przyzwyczałem się do rytmicznego przeskakiwania z jednego na drugi. Na początku mnie denerwowały, bo jestem wysoki, mam długie nogi i wolałbym, żeby odstęp między podkładami były nawet szersze. Mógłbym stawiać większe kroki. Szlibyśmy szybciej i szybciej kończyłaby się nasza służba. Ale się przyzwyczałem, a tobie to i tak wszystko jedno.

Trzeba uważać, patrzeć pod nogi i rozglądać się na boki. Na razie jest spokój. Nie ma partyzantów ani bolszewickich spadochroniarzy, ale uważać trzeba. Mogą rozkręcić tory albo podłożyć minę. Od paru miesięcy front jest już całkiem blisko, słychać armaty. Ruch na torach też coraz większy. Pociągi jeżdżą w tę i z powrotem. Chyba coś się dzieje, bo armaty od wczoraj słychać jeszcze wyraźniej niż wcześniej, ale to nie nasze zmartwienie, bo my pilnujemy torów, a nie służymy w artylerii. Co nie, Olaf? Tu jesteśmy u siebie. Wróg tu nie dotrze, bo za torami już Rzesza. Już niedługo użyjemy *Wunderwaffe* i będzie po wojnie. Nie będziemy musieli płatać się po tych cholernych torach, biegać po kamiennych nasypach, polach i lasach za przemytnikami, uciekinierami, bandytami. Wrócimy do siebie, w nasze góry, i do końca życia nie pójdę na dworzec kolejowy. Chyba że będę musiał. Ale na razie pociągów i torów to już mam dość.

Towarowe z czołgami i amunicją na wschód, ze złomem i rannymi na zachód. Nie lubię tych szpitali polowych na żelaznych kołach, teraz, zimą, to przynajmniej wagony jadą zamknięte, ale latem ranni wystawiali obandażowane głowy z okien wagonów albo siadali na stopniach w otwartych drzwiach. Ten bez nogi, tam — ten bez ręki. Straszny widok. Zaraz mi się przypomniało, jak ze trzy lata temu zaczęli wozić Żydów na zachód. Pamiętasz, jak się dziwiłem: po jasną cholere wiozą ich z powrotem do Rzeszy? Przecież przez parę lat ich wysiedlaliśmy, wywoziliśmy, a teraz z powrotem. Sierżant mówił, że wiozą ich do fabryki mydła w Auschwitz. Pewnie do pracy, bo nasi chłopcy musieli iść na wojnę, tak jak ja. Jak sobie pomyślę, jak tam rodzice dają sobie radę w Schwalbach z gospodarstwem, to aż się martwię. Brat jest jeszcze za mały. Bardzo przydałby się im ktoś do pomocy, choćby nawet i Żyd. Tylko czy Żydzi umieją pracować? Na pewno im do tego nie spieszo. Jak ich wieźli tymi pociągami, to wyłamywali deski w podłodze i ścianach wagonów i skakali z pędzącego pociągu. Akurat tu musieli skakać! Bo wydawało im się, że mogą się schować w lesie, który widzieli przez zadrutowane okienka. Czasami zaczepiali o podwozie wagonu i pociąg włókł ich kilka kilometrów, zostawiając krwawą smugę z resztek ubrań i strzępów skóry. Z tymi przynajmniej nie było kłopotu. Większe kawałki nabijało się na bagnet i w krzaki, jak najdalej od torów, żeby tak nie śmierdziało. Gorzej było z tymi, co skoczyli na stok nasypu, połamali nogi albo się zaplątali w druty sygnalizacyjne. Do pierwszego, jakiego znalazłem, wezwałem cały patrol, podjechaliśmy drezyną, załadowaliśmy go i do Ilkenau, na gestapo, pamiętasz? Później już nie byłem taki głupi, nie dość, że durny Żyd akurat musiał wyskoczyć w połowie naszego odcinka i musiałem te sześć kilometrów, w tę i z powrotem, dymać drezyną z ręcznym napędem, to później jeszcze ją umyć. I znaleźć dwóch Polaków, żeby

wykopali dół dla Żyda na łące koło dworca. Bo gestapowiec tylko spojrzął na niego i wyjął pistolet.

Nigdy więcej.

Dwa lata temu i w tamtym roku znaleźliśmy jeszcze kilku, co dychali. Kolejnego od razu zastrzeliłem, to znów się okazało, że było za blisko dworca w Wolbromiu, nasi usłyszeli strzał, zarządzili alarm, zjechali się i *Bahnschutze*, i żandarmeria, i straż graniczna. Sierżant mnie zbluzgał przy wszystkich. No to następnych już bagnetem. Lepiej było z tymi, co odwlekli się chociaż kawałek od torów, chcieli się schować w lesie. I tak się ich znalazło, nie, Olaf? A przynajmniej nie trzeba było się męczyć z odciąganiem trupa i szukaniem jakiejś dziury. Wystarczyło, tak dla spokoju sumienia, ściąć kilka gałęzi z sosny i przykryć zwłoki. Albo zimą przysypać śniegiem. Chociaż zimą to Żydów już chyba nie wozili. Za to cały czas wozili Polaków. Ci też próbowali czasem uciekać. Zresztą, oni zawsze uciekają. Od samego początku, jak tu jesteśmy, to bez przerwy gonimy Polaków.

Zaczął się od przemytników. Ledwie wytyczyliśmy granicę, to zaraz zaczęli nosić towar. Do Rzeszy kielbasę, szynkę, jajka, masło, a z Rzeszy pończochy, kawę, sól, papierosy, naftę, zapalki. I tak przez cały czas przez nasyp łazili, w tę i z powrotem, i to nawet za dnia. Nie dość, że to pas nadgraniczny i pobyt osób nieuprawnionych jest zakazany, to jeszcze łamali przepisy kolejowe. Pierwsi złapani to się tylko głupio uśmiechali. Próbowali częstować papierosami, wódką albo oddawać część towaru lub pieniądze. Mnie — niemieckiego żołnierza — próbowali przekupić, myśleli, że to jeszcze polskie czasy! Jak pierwszych paru dostało po mordzie, to od razu zmiękli. Przestali chodzić mężczyźni, zaczęli na handel posyłać baby albo dzieci. Wtedy odbierało się towar, szczególnie te starsze tak śmiesznie zawodziły: „łojesujesu”. Młodsze próbowały ucieczki, czasem rzucały tobołki, myśląc, że zadowolimy się kawałkiem boczku albo paroma flaszками bimbru. To sobie mogliśmy pozbierać później. Pędziło się po lesie za taką. Nabiegać się czasem trzeba było, karabin i ciężkie buty przeszkadzały, bagniet obijał się o uda, spod hełmu ściekał pot, ale jak się jedną albo drugą dopadło, to dopiero była zabawa. Wiosną i latem to od razu na ściółkę, zedrzeć bluzkę i spódnice. Chyba żadna nam nie uciekła, co, Olaf? Szybko się nauczyłeś, żeby taką tylko trochę potarmosić, przestraszyć, wtedy się nawet nie broniły. Zimą albo kiedy padał deszcz, ciągnęło się je do strażnicy. Dzwoniło się na *Kripo*, a zanim policja przyjechała, to na zapleczu to, co zawsze. Jak był dobry miesiąc, to łapało się ze trzy albo cztery takie. Jak po wojnie wrócę do Schwalbach, siądę z kumplami przy piwie w gospodzie „Mutter Kraus”, to chyba nigdy mi nie uwierzą, że miałem tyle bab. Przez cztery lata to będzie... Sam nie wiem, przestałem je liczyć przy dwudziestu trzech czy czterech. A to był chyba drugi rok służby. Gorzej było z chłopakami. Jak się ich zauważyło, to nawet tobie, Olaf, ciężko było ich dogonić. Z karabinu też niełatwo takiego trafić. Dwóch położyłem, a pamiętasz, Olaf, jak temu gówniarzowi, co uciekał przez pola, odgryzłeś chyba z pół dupy, zanim cię odciągnąłem? Niósł ze trzy kilo czekolady. To się Kurt musiał ucieszyć, jak dostał tę paczkę ode mnie. Zwłaszcza że to było akurat w październiku, na jego urodziny.

Przejazd kolejowy. To tutaj gdzieś leży ta kobieta, co wyskoczyła z pociągu z dzieckiem. Chyba Żydówka, a może Rosjanka, kto to wie? Co za pomysł, żeby wyskoczyć z pociągu z takim małym dzieckiem. Chociaż fakt, małej nic się nie stało. Matka musiała jakoś tak skakać, że całą siłę uderzenia wzięła na siebie. Potłukła się niezłe, ale była jeszcze na tyle mocna, że spory kawałek odpełzła w las. Ty je obie znalazłeś, pamiętasz? Mnie się już nie chciało taki kawał od toru łązić. Zazwyczaj tych, co wyskoczyli i uciekli gdzieś dalej od torów, nie goniliśmy. Nawet jak były ślady krwi albo wydeptany śnieg. Niech się o nich martwi straż graniczna albo gestapo. My, Olaf, pilnujemy torów. Ale tamta była bardzo ładna, chociaż potłuczona tak, że się nie broniła. Po wszystkim przykryłem ją gałęziami i chciałem przegrzebać zawiniątko leżące obok. Myślałem, że

ma tam coś do jedzenia, może jakiś kawałek polskiej kiełbasy dla ciebie. Odwijam szmaty, a tam dziewczynka, patrzy na mnie tymi niebieskimi oczkami...

Coś się dzieje za lasem. Strzelają. I to dużo. Słysząc nie jakieś pojedyncze strzały jak czasem nocami, tylko całe serie z karabinów maszynowych. Może SS robi porządek we wsi. Dzisiaj rano przejechało przez miasto z piętnaście ciężarówek, chyba gdzieś w tamtą stronę. Zatrzymali się tylko na chwilę i zajęli się tym młodym, co go we wtorek zgarnęliśmy na torach. Chłopak był z Hannoveru, jechał na front i parę kilometrów stąd wyskoczył z pociągu. Dezercja. Ale nie miał szczęścia, to znaczy trochę miał, bo mógł zamarznąć z tą swoją złamaną nogą, ale go znaleźliśmy. Fajny był chłopak, pogadaliśmy trochę, zanim zatrzymałem następny przejeżdżający pociąg i wciągnęliśmy go jakoś do środka. Mówił, że się bał wschodniego frontu i dlatego wyskoczył. Chciał wracać do domu. Odstawiłem go do strażnicy, przecież to Niemiec. Nie kujnę go bagnetem ani nie walnę jego głową o drzewo, jak zrobiłem z tym rosyjskim dzieciakiem. A dziś rano powiesili go na placu przed dworcem w Ilkenau, jak wychodziliśmy na patrol, akurat to widziałem.

Olaf, szybciej, nie rozglądaj się. Musimy dotrzeć do strażnicy, coś się naprawdę dzieje. Jeszcze kilka minut marszu... O, ktoś przebiega przez tory... Dwóch, trzech, czterech w naszych mundurach. Chyba kogoś gonią. A z lasu, od wschodu, biegną następni, chyba ze dwudziestu, a dalej jeszcze inni. Oni nie gonią, oni uciekają! Strzały... To chyba Rosjanie! Bieg! Olaf, bieg! Stój! W mieście też strzelają. Na bok, Olaf, skacz z nasypu. Przejdziemy przez pola. Tylko szybko, jeszcze szybciej. Ale tu śniegu. Biegnij pierwszy, przetrzesz drogę. Będę się ciebie trzymał. Biegnij, szybciej! Straszny mróz, powietrze suche, nogi się zapadają po kolana. Szybciej, jasna cholera, strzelają do nas! Pewnie Sowietci weszli na nasyp kolejowy, który nas do tej pory zasłaniał, i mają nas teraz na tym zaśnieżonym polu jak na strzelnicy. Kule albo świszczą nad głową, albo wyrzucają w górę fontanny śniegu. Nie strzelają najlepiej. Zresztą to już dość daleko. Chociaż został spory kawałek do wsi, dobrze, że cię, Olaf, mam, pociągniesz. Wszystkich wyprzedziliśmy, jeszcze ze sto — dwieście metrów i schowamy się za stodołami. A później dalej na zachód, jak najdalej, jak najszybciej. Z tyłu na polu nie ma już nikogo. Prawie wszyscy leżą, może jeszcze ze trzech naszych biegnie. Karabin maszynowy! Szybciej, Olaf. Po co ja się oglądałem, bylibyśmy już prawie koło stodoły! Karabin bije długimi seriami, ale zdążymy. Jeszcze kawałek. Śnieg spada ze strzechy stodoły strącony serią, co przeszła nam nad głowami. Zanim celowniczy weźmie poprawkę, wskoczmy za węgiel, odpoczniemy chwilę, a później pobiegniemy dalej na zachód...

\* \* \*

Straszny mróz dzisiaj. Już parę dni tak trzyma. Głowa boli, ale to nie od zimna, tylko od bimbru, co go wczoraj Wawrzek postawił. Zadowolony był, bo przy jednym znalazł srebrną papierośnicę, a przy drugim zegarek i obrączkę ze złota. Ja mam dwa łańcuszki, też chyba srebrne, z medalikami. Jeden z Matką Boską dałem Hance, a drugi w przyszły piątek zawiozę do Olkusza na targ, może kto kupi. Jak ruski komendant kazał pochować niemieckie trupy, tośmy je z całego pola ściągali. Wystrzelali ich chyba ze trzydziestu, popatrzyli tylko i poszli dalej na zachód. Sołtys miał zbierać karabiny i listę zrobić tych, cośmy ich za górką pochowali. Lekko ich pogrzebać nie było. Kilofami trzeba było ziemię kuć, bo zmarznięta więcej niż pół metra głęboko. Każdy miał taką blaszkę na szyi z numerem albo nazwiskiem albo jakieś papiery po kieszeniach. Sołtys sumiennie odpisywał do zeszytu, lepiej z Ruskimi nie zadzierać. Jeden Niemiec tylko został, akurat koło mojej stodoły. Ta czarna sobaka, prawdziwy diabeł, na trzy kroki do niego nie dopuszcza. Już dwa dni waruje przy nim, do gardła się rzuca każdemu, kto bliżej podejdzie. Myślałem, że się znudzi albo że w nocy zamarźnie, ale nie, dziś już ze trzy razy wyglądałem za stodołę — siedzi cały czas. Wieczorem pójdę chyba do sołtysa, jeden karabin pożyczę i bydlaka ustrzelę. Zależy mi, bo z

daleka widać, że ten za moją stodołą całkiem nowe buty ma na nogach, oficerki. Szkoda psa, bo dobra z niego gadzina, od pana nie odejdzie. O, szczekają obydwa, i ten za stodołą, i mój Misiek. Coś się dzieje, trzeba zobaczyć.

To stary Kozubski z synem przyszli po moje buty. Aż z tamtego końca wsi im się chciało. Stary z widłami, a młody z kłonicą od wozu. Ano zobaczymy, jak im pójdzie.

— Ej, Kozubski, co wy tu chcieliście?

— A, to ty, Stachu... Pochwalony... Za tym Szwabem my przyszli. Nie będzie przecież tak leżał.

— Zostawcie go. Na moim polu leży, niech sobie leży.

— A pies?

— Co pies? Też na moim, to mój!

— Na co wam on, wielki taki, wiecie, ile będzie żarł? Macie już psa...

— Mam jednego, a jak będzie trzeba, to i drugi, choć wielki, się uchowa. Stać mnie.

Młodszy tylko ramionami wzruszył, wziął widły od starego i ruszył ku zwierzęciu. Dźgał przed sobą widłami, usiłując odepchnąć sobakę od zwłok. Pies cofał się i uskakiwał w bok. Starał się zająć przeciwnika z tyłu, czekał, czasem zastygał, głucho warcząc. Wreszcie młody Kozubski, odczekawszy do sprzyjającej chwili, zamachnął się i rzucił widłami. Chybił. Pies natychmiast skoczył do przodu, obalił bezbronny w głęboki śnieg i zacisnął szczęki na rękę młodego, którą ten rozpaczliwie osłaniał gardło. Stary Kozubski rzucił się naprzód, wymachując kłonicą. Psa odgonił, ale przy okazji walnął syna w drugą rękę i sam się przewrócił. Pies przywarował przy zabitym Niemcu. Tamci wśród przekleństw zbierali się ze śniegu.

— Kozubski, idźcie wy do domu, zostawcie go w spokoju.

— Przynieście, Stachu, co, siekierę albo kija, ubijemy go...

— Swojego psa sobie kłonicą ubijcie, a tego zostawcie.

Poszli. Szkoda psa, spodobał mi się. Trzeba będzie coś wymyślić. Jutro to będzie już trzeci dzień, jak nic nie je, na tym mrozie to chyba zesłabnie. Poczekamy do rana.

Faktycznie osłabł, na trzeci dzień, po południu. Szarpał się i próbował gryźć, jak żeśmy go ze Staszkiem, moim synem, na łańcuchu do stodoły przywiązywali. Ale nie dał rady.

— Staszek, idź do domu, niech matka kaszy nagotuje i trochę mleka doda, przynieś miskę i postaw mu. Tylko uważaj, żeby cię nie capnął.

Niewiele z tego Niemca będę miał. Płaszcz postrzelany, całą serię w plecy dostał. Pas sobie zostawię i bagnet, przyda się. Ma zegarek, w kieszeniach trochę pieniędzy, scyzoryk, bez obrączki, to chyba nieżonaty, i chyba niepałący, bo papierosów nie ma, może zgubił? W portfelu legitymacja ze zdjęciem... Ginter jakiś tam. Buty nie chcą zejść z nóg, przymarzły.

— Staszek, na cóż się gapisz? Daleś psu zreć?

— Dałem.

— Żre?

— Nie ruszył nawet.

— To nic, jeszcze trochę zgłodnieje, to ruszy. Gorzej z butami, zaczyna się ściemniać. Nie zostawię ich przecież na noc, bo znów przyjdzie Kozubski albo kto inny i ukradnie.

— Staszek, idź do szopy, przynieś pieniek, ten do rąbania drzewa, i siekierę, tylko tę ostrzejszą, z czarnym trzonkiem.

Sztywny ten Niemiec. Nawet powiek mu nie idzie zamknąć, bo zmarznięte na kość. Trzy dni na takim mrozie. Ale z drugiej strony, to dobrze. Nikogo po sąsiedzku nie widać, wszyscy siedzą w ciepłych chałupach. Tak, pieniek pod nogi, trzeba będzie wysoko ciąć, nad kolanem, żeby butów nie uszkodzić. Raz... Trzeba będzie poprawić... Dwa... E, łatwo poszło, jakby brzozowy konar rąbać. Teraz druga noga. Raz... Dwa...

Równy trzymaj, Staszek.

I... Trzy... No, gotowe. Ty odniesiesz pieńki i siekiere, a za to przyniesz widły i łopatę. Nie będziemy go ani ciągnąć za górkę, ani kuć ziemi. Pod jabłonką mamy taki nieduży dół po wapnie, pełen gnoju, co go na wiosnę miałem pod ziemniaki dać. Gnój tylko z wierzchu pewnie przymarzał. Niemca się wrzuci do dołu i gnojem przysypie. Akurat się do tego dołka zmieści, bo jak mu te nogi obciążę, to mocno skrócił. A na wiosnę, jak ziemia odmarznie, to się tam wyrówna.

— No widzisz, Szwab, zmądrzałeś, kaszę żeś zeżarł...

— Czemu Szwab, tato?

— A, tak będzie miał na imię, co za różnica.

No, długo nam zeszło, matka już poszła spać. W piecu przygasło, ale obiad czeka, jeszcze ciepły, blacha też rozgrzana. Buty się tu postawi, to odmarzną. Na wszelki wypadek można by trochę drzewa dorzucić. Nie wiem, czy się rozpali. Może tymi papierami podłożę. Tę legitymację to dam sołtysowi, ale reszta papierów, listy, zdjęcia, to mi niepotrzebne. O, tuś jest, jak ci to było... Ginter, z matką, ojcem i chyba bratem, takim jak mój Staszek. Na co ci to przyszło...

— Staszek, pójdziesz do sołtysa. Zanieś mu karabin, tę blaszkę i papiery. Tylko nie zgub. Jakby się sołtys pytał, gdzie my go zakopali, to nie mów. Powiedz, że nie wiesz, że ja sam zakopywałem. Jak chce, to niech przyjdzie się zapytać. I tak mu się nie będzie chciało. No, idź już.

O, jak się ładnie rozпалиło. Żeby mi się tylko buty nie przypaliły, bo coś śmierdzi. Może już puściły? Można by od razu przymierzyć. Rzeczywiście, puściły. Do sieni trzeba wyjść. Może rękawice włożę. Jakby to wyciągnąć? Jedna poszła, teraz drugą...

— Staszek, przytrzymaj, nie tak, za piętę, o, dobrze, idzie, już jest nasz. Weź, Staszek, te nogi i wrzuć tam, gdzie wiesz...

— Ale noc, już ciemno, tato, mróz, tyle co od sołtysa wróciłem.

— Bierz, bierz. Jak się matka rano obudzi i te nogi w sieni znajdzie, to nas tak prześwieci, że lepiej zanieś to od razu do sadu.

\* \* \*

Jakiś samochód zajechał. Nikt z rodziny, bo takiego to żaden nie ma. Rejestracja też nie nasza ani ludzi nie znam. Może nie do mnie? Ładna ta dziewczyna, czarna, szczuplutka. O, jakbym tak był ze czterdzieści lat młodszy...

— Dzień dobry. Czy pan Stach?

— Tak. Stanisław Stach. O co chodzi?

— Ja jestem z Olkusza, ze Stowarzyszenia Miast Partnerskich, może pan czytał o nas w gazecie...

— Nie.

— My mamy miasto partnerskie w Niemczech: Schwalbach koło Frankfurtu, i pan Kurt, który jest tu ze mną, przyjechał właśnie stamtąd. Jego starszy brat w czasie wojny służył tu w naszej okolicy. Był żołnierzem. A szukamy pana Józefa Stacha.

— To mój ojciec był Józef, ale i tak wszyscy mówili na niego Stach. Takie już mamy nazwisko, co to może być i imieniem.

Tamten zaszwargotał coś. Dziewczyna zaczęła tłumaczyć:

— To taki niesamowity zbieg okoliczności. Pan Kurt przypadkiem się dowiedział, że Olkusz w czasie wojny był włączony do Rzeszy i nazywał się Ilkenau. A jego brat właśnie tu przez cztery lata całą wojnę służył. Zginął w styczniu czterdziestego piątego. Pan Kurt mówi, że brat nawet nie był żołnierzem. Był w straży ochrony kolei. Nie był żadnym zbrodniarzem wojennym.

Niemiec wyjął fotografię.

— To jest zdjęcie jego brata. Może pan go poznaje?

— A skąd miałbym go znać? Jak się wojna skończyła, miałem dwanaście lat. Sam niewiele pamiętam.

— Przyszliśmy do pana, bo ten adres i nazwisko jest zapisane w dokumentacji jako osoby, która pochowała jego brata.

— No, to nie ja, mówiłem już, że miałem tylko dwanaście lat.

— To może pański ojciec albo dziadek.

— Ojciec mi opowiadał, że po wyzwoleniu chowali zabitych Niemców...

— A gdzie?

No akurat, już wam powiem. A na zdjęciu jest ten Ginter. Nie poznałbym go, ale zdjęcie sobie zrobił ze swoim psem. Szwab zdechł z dziesięć lat po wojnie, sam go zakopałem, tam gdzie i jego pana. Tylko płycej. Jak spojrziałem na to zdjęcie, to od razu ujrzałem i jego szkliste oczy, i te błyski ostrza opadającej siekiery. I jeszcze lanie od ojca dostałem. Za te obcięte nogi, co je miałem do dołu pod jabłonkę rzucić. Było mi zimno i doszedłem z nimi tylko do stodoły, rzuciłem je Szwabowi, bo chociaż kaszę z mlekiem zjadł, to skamlał z głodu. Rano ojciec zastał go przy ogryzaniu kości. I tym pasem, co go zdjął z Gintera, z klamrą „Gott mit uns”, przylał mi zdrowo.

— Wie pani co? Gdzie ich pochowali, to nie pamiętam, to już tyle lat.

Dobry był pies z tego Szwaba. Tyle lat był z nami, chociaż na łańcuchu przy budzie. W butach też ojciec ładnych parę zim przechodził. Oddałem zdjęcie.

— Tak, teraz sobie przypominam. Był tu taki żołnierz z psem. Ale wydaje mi się, jak tak patrzę na to zdjęcie, że tamten był jakby chyba trochę niższy.

*Paweł Siedlar*

## **BIURKO Z KAUKASKIEGO ORZECHA**

Paweł Siedlar urodzony w 1953 roku w Krakowie, gdzie spędził też dzieciństwo. Dorastał na Podhalu. W młodości był skrzypkiem, malarzem, robotnikiem budowlanym i drogowym, strażnikiem przyrody, trocinkarzem, ładowniczem wagonów towarowych. Od ponad dwudziestu lat mieszka w Warszawie. Pracuje na lotnisku międzynarodowym Okęcie. Żonaty, ma dwóch synów. Jego opowiadania drukowane były dotychczas w „Feniksie” i „Fantastyce”. W roku 2002 w „Fabryce Słów” ukazała się jego powieść grozy pt. *Czekając w ciemności*.

Jako dziecko lubiłem niepostrzeżenie wymykać się z domu. Mogłem potem bez końca wędrować ulicami, zaglądając w każdy kąt, w każdą dziurę. Ciemne bramy wabiły obietnicą nieznanego: ciasne, brudne podwórka z buszującymi po śmietnikach kotami ciekawiły, mroczne studnie piwnic o zapachu pleśni kusiły, budząc w młodym umyśle nieznanne skojarzenia. Tak było, odkąd pamiętam.

Z czasem poznałem dokładnie wszystkie zaułki i zakamarki Starego Miasta. Moi koledzy kopali piłkę albo „zoškę” na Placu Biskupim, bawili się w Indian na Plantach, podczas gdy ja badałem swe otoczenie dokładnie i systematycznie, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, że wciąż rozszerzam zasięg swych wypraw, ciągle poznaję coś nowego. To było ciekawsze niż wszystkie piłki i „zoški” na świecie. To było ciekawsze niż udawanie czerwonoskórych kryjących się wśród rachitycznych krzaczków. To było prawdziwe. Meji wyobraźni nigdy nie poruszał cherlawy blondynek Faryna każący się tytułować „Wielkim Wodzem”. Zaś mały, piegowaty Szafran w roli, dajmy na to, Sokolego Oka wydawał mi się tylko śmieszny i prawdę powiedziawszy — dość głupi. A stary Kraków, jego podszewka, jego kuchnia, były ciekawe i niezmiennie.

Najdalszą granicę mych wędrówek długo stanowił Wawel i położone przy Stradomiu kino „Warszawa”. Pewnego dnia poszedłem dalej niż zwykle, przeciąłem Planty Dietlowskie i zagłębiłem się w nieznaną dotąd dzielnicę. Maszerowałem kawałek ulicą Krakowską, ale nie wydawała mi się interesująca. Skręciłem więc w lewo. Rozglądając się uważnie, szedłem przed siebie. Minąłem jakiś warsztat z odrapanym szyldem. Wiele witryn tutaj pozabijanych było na głucho deskami, a te, których nie zasłonięto, często miały powybijane szyby. Otaczały mnie domy pokryte liszajami odpadających tynków. Z bram ciemniejszych i — jak mi się wydawało — głębszych nawet niż na Jagiellońskiej, Poselskiej czy Brackiej dobiegał dziwny, przenikający wszystko zapach. Stary Kraków, ten, który znałem dotychczas, był brudny, zaniedbany, ale tu sprawy przedstawiały się znacznie gorzej. Tu zaniedbanie i brud były bardziej gruntowne, zakorzenione z dawna, wrosłe w domy i ulice. Gdziekolwiek poniewierały się śmieci i gruz, których najwyraźniej nikt nie miał zamiaru sprzątać.

Meiselsa, Izaaka, Kupa, czytałem nazwy mijanych ulic. Na jednym z domów widniał jakiś napis. Dziwne, jednocześnie zawile i proste litery wymalowane czarną farbą na sparszywiałym, ongiś zapewne żółtym tynku coś mi przypominały. Gdzieś już widziałem takie napisy, podobne litery. Gdzie to było, gdzie to było? — zastanawiałem się. Zajrzałem do jednej z bram. Śmierdziało w niej kotami, moczem i czymś jeszcze. Chciałem wejść dalej, zbadać podwórko, swoim starym zwyczajem zerknąć do piwnic, ale nagle przestraszyłem się czegoś. Stałem sam w pustej sieni. Było mi mdło, duszno, wstrętne. Panowała cisza. Nagle gdzieś wyżej, chyba na pierwszym piętrze, trzasnęły drzwi. Zaskrzypiały drewniane, czarne od brudu i jakby poobgryzane schody. Wciąż stałem bez ruchu, choć bardzo chciałem wyjść z tej bramy. Uciec. Kroki po schodach zbliżały się. Z mrocznej czeluści klatki schodowej wynurzył się mężczyzna. Zobaczył mnie i zatrzymał się zaskoczony. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie.

— Czego tu, gówniarzu? — wychrypiał wreszcie, śmierdział jak ta brama, jak ta ulica. Był nieogolony, wstrętny, nędznie ubrany.

— Czego tu? — powtórzył i postąpił krok ku mnie.

— Czy tu mieszka pan Stanisławski? — spytałem grzecznie.

— Może mieszka, może nie. Co ci do tego?

— Nic. Mam coś dla niego.

— A co? — Znów zrobił krok do przodu, zachodząc mnie z lewej strony.

— Umarł mu wujek i właśnie mnie przysłali, żebym zawiadomił.

— Wujek powiadasz? Umarł? — Już stał w przejściu, blokując mi odwrót.

— Tak. Wujek. Jeśli zna pan pana Stanisławskiego, to niech pan mu o tym powie. Już on będzie

wiedział, co dalej robić. Ja muszę iść. Nie wie pan, która może być godzina?

— Wpół do dupy za dwa jaja — zarechotał. — Nie masz zegarka? Taki ładny, cacany chłoptaś i bez zegarka?

— Nie mam.

— A znasz bajkę o fokach?

— Nie znam.

— To spierdalaj w podskokach. Bo ci się jeszcze co przytrafi. Tu nie mieszka żaden Stanisławski. — Niechętnie zrobił mi przejście.

Na ulicy odetchnąłem z ulgą. Jak tu dziwnie, myślałem. Wszystko jest dziwne. Ten człowiek też był dziwny. Jeszcze takiego nie spotkałem. A wiedziałem już nawet, co to pijak, a nawet (ku zgrozie babci) — zboczeniec. Pijakiem był stary zdun z ulicy Kurniki, który czasem przychodził do babci po zaliczkę. Babcia mówiła do niego „panie wariatuńcio”, a on do babci „szanowna pani administrator” albo „pani dyrektora”.

Zboczeńcem był ten starszy pan, który rozpiął sobie spodnie przy ludziach. Raz go pani Gienia, służąca państwa Kardysiów, zauważyła w naszej bramie i zaraz przybiegła do babci. Potem razem go wypędziły na ulicę w tych rozpiętych spodniach i gnały dobry kawałek drogi. Bo on chciał panią Gienię nastraszyć, ale mu nie wyszło. A jak go już przepędziły na dobre, to pani Gienia powiedziała zdyszonym głosem: „zboczeniec”. Na to babcia krzyknęła: „nie przy dziecku”. Ale to było dość dawno temu. Chyba w zeszłym roku.

A ten człowiek z brudnej bramy śmierdział jak pijak, ale nie bełkotał i nie ślinał się jak Wariatuńcio, no i mówił raczej do rzeczy. Tylko miał w oczach coś takiego, czego Wariatuńcio nie miał i nie mógłby mieć, nawet jakby się bardzo postarał. Zboczeńcem też nie był, chociaż wyglądał podobnie, bo miał rozpięte spodnie. Jego nie udało się wyrzucić na ulicę. Nawet babci.

Zastanawiając się, co może oznaczać słowo „spierdalaj”, nawet nie zauważyłem, kiedy wyostałem się na rozległą przestrzeń.

— Szeroka — przeczytałem napis na tabliczce. Rzeczywiście szeroka, pomyślałem. Zaraz dalej była Miodowa. Z następnej, Starowiślniej, dobiegał szcęk tramwaju.

Ach, więc tu jestem, ucieszyłem się. Po lewej stronie, ze dwa przystanki dalej, powinno być skrzyżowanie. Tamtędy jeździłem na łyżwy. Niedaleko było sztuczne lodowisko „Olsza”. Poczuję się zupełnie pewnie.

Wróćę tramwajem, postanowiłem. Miałem przy sobie trzy złote, prawdziwą fortunę.

Wystarczy jeszcze na oranżadę i „kokoska”.

Tuż obok nas, na Długiej, był sklep „U Jacka”, gdzie sprzedawano oranżadę, słodycze, drewno w wiązkach na podpałkę i wiele innych rzeczy. „Szwarc, mydło, powidło”, mawiała babcia. Wstępowałem tam tak często, jak tylko udało mi się zwędzić złotówkę, a jeszcze lepiej dwie. Ale musiałem podbierać ostrożnie i nigdy nie za dużo na raz, bo babcia była czujna. Zresztą czasem sama dawała mi drobne.

Wsiadłem w „siódemkę” i z głową pełną błogich myśli o czekających na mnie delicjach pojechałem do domu.

Babcia natychmiast zapędziła mnie do skrzypiec.

— Cóż to za dziecko? — wydziwiała. — Nie było cię od południa. Już milicję miałam wzywać.

Codziennie przez dwie godziny musiałem rzepolić kawałki, urozmaicając je od czasu do czasu własnymi wariacjami o tematyce podhalańskiej. Grałem niezłe.

Raz nawet występowałem we „Floriance” na popisie uczniów szkół muzycznych. Lubiłem grać. Nie lubiłem tylko ćwiczyć. Menuety, gawoty i im podobne idiotyzmy wychodziły mi czysto, lecz bezdusznie. Ich ciągłe powtarzanie doprowadzało mnie do szału. Na szczęście babci było wszystko jedno, co gram, bo nie znała się ani na muzyce, ani tym bardziej na zapisie nutowym. Nie miała

więc jak mnie kontrolować. Byłem grał. No to grałem. Tylko że coraz rzadziej zwracałem uwagę na pulpit z rozłożonymi nutami.

Dziś miało być podobnie. Po kilku taktach beznadziejnej „Kołysanki”, którą miałem w małym palcu i odbębniałem tylko dla porządku, zacząłem grać naprawdę.

To było to. Skrzypce przestały być martwym kawałkiem drewna. Ożyły. Spod palców wypływała mi melodia miękka i nieuchwytna, delikatna i subtelna, zarazem pełna jakiejś dziwnej mocy. Była inna od wszystkiego, co dane mi było słyszeć i grać dotychczas. Nie miała nic wspólnego z góralskimi nutkami, które z upodobaniem wplatałem w grzeczne kompozycje dla dzieci. Zatraciłem się w tej melodii, zasłuchałem, grając wciąż od nowa, stale zmieniając jej zawiłą linię, przeskakując od najniższych do najwyższych tonów wariackimi glissandami, których nikt mnie nigdy nie uczył.

— Co to jest? — W drzwiach ukazała się zdumiona twarz babci.

— Och, nic — odparłem niezbyt przytomnie. — Tak sobie gram.

— Czy to masz aby na pewno zadane?

— Nnnieeee — przyznałem z ociąganiem. — To kompozycja dla starszych roczników. Słyszałem, jak coś podobnego grali kiedyś Kaja i Skowron — skłamałem. — Właśnie próbuję ją sobie przypomnieć.

— Kaja, Skowron — powtórzyła babcia z rozmarzeniem. Moi koledzy byli dla niej niedoścignionymi mistrzami i stawiała mi ich za wzór do naśladowania.

— Bierzesz dobry przykład — pochwaliła. — Będą z ciebie ludzie. To, co grałeś, było przepełnione uczuciem. Nie wiedziałam, że tak potrafisz.

Zaskoczyła mnie bardzo, gdyż — jak wspomniałem — nie miała zbyt dobrego słuchu ani rozeznania w muzyce. Poza tym nigdy nie była skłonna do udzielania pochwał.

— Wkładałeś w to duszę — zachwycała się. — To dobrze, to bardzo dobrze. Skończ już i przyjdź na kolację.

— Już? — wyrwało mi się niebacznie.

— Grasz bite trzy godziny bez przerwy — wyjaśniła i spojrzała na mnie z dumą.

Niechętnie odłożyłem skrzypce. Wpasowałem je delikatnie w futerał wyściełany błękitnym pluszem. Po raz pierwszy zauważyłem, że są piękne. Miękką szmatką oczyściłem gryf z osadu kalafonii. Nigdy wcześniej nie robiłem tego bez przypominania. Zamknąłem wieko i pogładziłem je czule, nieoczekiwanie dla samego siebie. To nie było do mnie podobne. Zbyt wiele razy miałem ochotę rzucić o ziemię czarnym pudłem zawierającym narzędzie tortur i złodzieja czasu, który można było wykorzystać dużo przyjemniej. A dziś...?

Na kolację były placki ziemniaczane.

— Babciu, gdzie jest ulica Kupa? — spytałem między jednym kęsem a drugim.

— Kupa?

— No, Kupa, Meiselsa?

— Na Kazimierzu. Dlaczego pytasz?

— Gdzieś słyszałem. — Łyknąłem herbaty, by splukać kłamstwo i odwrócić uwagę babci. Fortel się udał.

— Nie mów z pełnymi ustami. Ciągłe trzeba cię upominać.

— Kazimierz, Kazimierz — medytowałem. — Trzeba tam będzie jeszcze wrócić.

Babcia sprawiała wrażenie cokolwiek nieobecnej myślami. Nagle spojrzała bystro.

— Chodziłeś tam? — zapytała.

— Tak — odpowiedziałem. Upieranie się przy kłamstwie mogło się okazać ryzykowne. Prześwidrowałaby mnie na wylot tymi swoimi czarnymi oczyskami, gdyby faktycznie zechciała wziąć na spytki. Lepiej się było przyznać od razu.

— Nie chodź tam nigdy więcej — przykazała. — To wstrętne dzielnicę.

Domyśliłem się, że gdybym spytał, co znaczy słowo „spierdalaj”, też nie byłaby zachwycona.

— Pomyliłem tramwaj i to dlatego. Trafiłem tam przypadkiem. Zresztą nie widziałem nic wstrętnego. Byłem tylko z brzegu, przy Krakowskiej — uspokajałem.

— Przy Krakowskiej nie ma ulicy Kupa. Jest tylko Meiselsa. Mnie nie oszukasz. Po coś tam laźł?

— Nie laźłem. Samo mi się poszło. Byłem ciekaw, co jest dalej, i to dlatego, babciu.

— To nie jest miejsce dla chłopców z dobrego domu. Tam nie ma nic dla ciebie — przerwała mi niecierpliwie. — Nie chodź tam nigdy więcej! — powtórzyła z mocą.

— Ale dlaczego? Dlaczego, babciu?

— To zła dzielnicę. Zła i wstrętne. Tam mieszkają bardzo źli ludzie. Głównie lumpenproletariat, bandyci, złodzieje, prosty... tego, ten, hm, hm — chrząknęła i zmieniła temat. — Przed wojną mieszkali tam przede wszystkim Żydzi. Raczej ci biedniejsi. Bogatsi, lekarze, adwokaci, powyprowadzali się do lepszych dzielnic. Została biedota. Podczas wojny Niemcy zrobili getto niedaleko stamtąd, na Podgórzu. Spędzili wszystkich Żydów z Kazimierza i z całego Krakowa i zabronili im wychodzić poza obręb murów. A potem ich wymordowali albo powywozili do obozów koncentracyjnych, co omal na jedno wychodzi. Niemcy nienawidzili Żydów — wyjaśniła.

— Wywozili ich do Oświęcimia?

— Do Oświęcimia też. Skąd wiesz?

— Czytałem taką książkę. „Za drutami śmierci” — wyznałem. Nie wolno mi było czytać tej książki. Pewnie dlatego połknąłem ją błyskawicznie od deski do deski. Leżała w szafie u babci i nie była gruba.

— No to już znasz te wszystkie okropności — westchnęła. Bałem się, że mnie skrzyczy, ale nie uczyniła tego.

— Wyobraź sobie taką masę ludzi stłoczoną na małej przestrzeni. I ten głód. I ten brud. I te choroby. W czasie okupacji nikomu nie było lekko, ale to, co się działo tam, za murami, przekracza ludzkie pojęcie. To zrobili Niemcy. Podobno cywilizowany, kulturalny naród. Naród, który wydał Bacha, Beethovena, Schillera oraz wielu, wielu znakomitych artystów i uczonych. Hańba! — krzyknęła cienko.

— A dlaczego Niemcy nienawidzili Żydów? — dociekałem.

— Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. — Zamyśliła się. — Przyjmijmy na razie, że za odmienny wygląd i obyczaje.

— Jak to?

— Żydzi inaczej wyglądali, inaczej się ubierali, inaczej mówili. Nosili brody i pejsy, takie długie sprężynki z włosów po obu stronach głowy, o, tu, z boku. Ubierali się w czarne chałaty. Byli bardzo zdolni i niezwykle sprytni w wielu dziedzinach. Na przykład w handlu nie mieli sobie równych. Może dlatego bywali znienawidzeni?

— No ale dlaczego ja mam tam nie chodzić? — Nie dawałem za wygraną. Zawsze trudno mnie było spławić byle czym.

— Po wojnie na Kazimierz sprowadzono innych ludzi. Znaczną część opustoszałych, pozostawionych przez Żydów domów zasiedlono różnym elementem.

— Jakim elementem?

— Tak się czasem mówi na złodziei i chuliganów.

— I prosty... tego... hm, hm — odpowiedziałem. Popatrzyła na mnie srogo, lecz nie doszukała się drwiny w moim pytaniu.

— Och, idź już, idź. Masz pewnie jeszcze jakieś lekcje do zrobienia?

— Nie — odpowiedziałem. — Jeszcze sobie trochę pogram.

— No to graj — udobruchała się.

Zagrałem więc i było mi smutno, ale i dobrze z tym smutkiem i z tą muzyką. Spać poszedłem późno. Śnili mi się Niemcy i Żydzi, i dużo, dużo twarzy, potem wielu ludzi bez twarzy, a potem dużo ludzi z jedną twarzą, stłoczonych w wąskich uliczkach o zapachu brudu i nędzy. Śniły mi się też nieczytelne litery na pożółkłej ścianie starej kamienicy. Już, już prawie wiedziałem, co oznaczają, lecz one zniknęły. Na ich miejsce pojawiła się młoda kobieta wpatrująca się we mnie uważnie. Była bardzo dziwna, uśmiechała się do mnie albo zaraz miała się uśmiechnąć, ale nie zdążyła, bo też zniknęła, wtedy się obudziłem. Ta kobieta, ta dziewczyna, śniła mi się później jeszcze wielokrotnie — zawsze tak samo. Sprawiała wrażenie, że chce się odezwać, coś mi powiedzieć, uśmiechała się do mnie i zniknęła. Tęskniłem za nią, ale bałem się tych snów, bo było w nich coś, co miało dopiero nastąpić, a czego przeczucie sprawiało, że budziłem się z sercem w gardle. Leżąc na wznak, wpatrzony w mrok prosiłem dziewczynę, by wróciła do mnie, powiedziała wreszcie to, co ma do powiedzenia, i pozwoliła mi dośnić moje sny do końca.

W szkole przy pierwszej okazji spytałem mego kolegę Zbyszka Florkowa, co to są prosty... tego, hm, hm. Zbyszek spytał swego starszego brata Sławka, no i już wiedziałem.

Mimo surowych zakazów babci nie zrezygnowałem z wypraw na Kazimierz. Przy każdej nadarzającej się okazji gnałem tam niecierpliwie, jak na spotkanie z kimś, na kim mi bardzo zależy. Gdy już znajdowałem się pośród tych zdewastowanych domów, pośród brudnych uliczek, usiłowałem dociec, co przygnało mnie znów w to miejsce, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Wiedziałem tylko, że wrócę tu i że będę wracał. Zawsze.

Kilka lat później wyjechałem. Przyszło mi nie widzieć Krakowa ani Kazimierza bardzo, bardzo długo.

\* \* \*

O działalności urzędów zohydzających obywatelom dążenia wolnościowo–podróżnicze można by napisać epopeję, albo nawet kilka. Ja jednak powstrzymam się od szczegółowego opisu rozmaitych udręk, których doświadczyłem, starając się o paszport. Wspomnę tylko o pewnej pani, której jedno wypowiedziane z namaszczeniem zdanie zapadło mi w pamięć, jako że stanowiło coś w rodzaju motta, kwintesencji panującego podówczas w Polsce systemu. W trakcie swojej wędrówki przez kolejne urzędy i biura usłyszałem od nadętej poczuciem własnej ważności, wrednej, tłustej, ubeckiej biurwy następujące słowa: „Gdyby wszystkim obywatelom w Polsce wydawano paszporty, to by wcale w Polsce obywatele nie było.” Dokładnie tak powiedziała. Nie zmyśliłem ani słóweczka.

Jednak dopiąłem swego i znalazłem się za „Wielką Wodą”. Miałem osiemnaście lat i właściwie nic poza tym. Bardzo często nowo nabyta wolność okazywała się trudna i kolczasta, ale nauczyłem się zaciskać zęby i iść do przodu bez względu na przeszkody. Szybko zorientowałem się, że w tym świecie obowiązują zupełnie inne reguły gry niż w pozostawionym za sobą Starym Kraju. Przede wszystkim trzeba było porzucić wszystkie zasady oprócz jednej: tutaj słaby czy tylko niezdecydowany szybko wypadał z obiegu. Tutaj nie wolno się było przyznawać do niewiedzy czy braku umiejętności. Jeśli pracodawca pytał: „Czy robiłeś już kiedyś to a to?”, bezwzględnie należało odpowiedzieć twierdząco i z entuzjazmem. A potem starać się wykonać daną czynność szybko i bezbłędnie. To nie był żaden Peerel z zasadą „czy się stoi, czy się leży”. To była Ameryka.

Podczas rzadko kiedy bezbolesnej edukacji miałem wiele okazji, by przyglądać się Żydom, którzy ciekawili mnie od czasu pamiętnej pierwszej wyprawy na Kazimierz i będącej jej następstwem rozmowy z babcią.

Ortodoksyjni śmieszili mnie początkowo. Nie mogło być inaczej, jeżeli codziennie, wracając z pracy, widywałem siedem postaci różniących się od siebie tylko wzrostem i zarostem, niemal jak rosyjskie „babuszki” wyjmowane jedna z drugiej. Tylko że babuszki były kolorowe, a „moja siódemka” — czarna. To tatuś ortodoks wyprowadzał na spacer czeredkę swych dzieci, żeby się przewietrzyła. Wyobrażałem sobie złośliwie, jak płodzi potomstwo pogrążony w nabożnym skupieniu, być może, recytując po drodze modlitwy, by odegnać myśli jałowe a rozpustne, poprawiając zsuwającą mu się z głowy myckę. Wtedy chichotałem pod nosem.

A on szedł statecznie, powoli, z wyrazem jakowejś duszecznej udręki na wybladłym obliczu, zaś obok niego z identycznymi minami i równie dostojnie kroczył owoc jego ciężkiej pracy i poświęcenia — progenitura. Najstarszy syn miał około siedemnastu lat, najmłodszy około pięciu. Całe stadko maszerowało przez upał odziane w sięgające do połowy łydki, starannie zapięte płaszcze. Wszyscy, oprócz najmłodszego szkraba, mieli na głowach kapelusze. Z czasem przestali mnie śmieszyć. Nabrałem tolerancji dla innych ras, nacji, kultur. Tolerancji właściwej krajowi, w którym się znalazłem. Zrozumiałem, że właśnie ta inność, odrębność wynikająca z wierności tradycji, stała się najważniejszym czynnikiem scalającym naród żydowski na przestrzeni wieków. Ale też ona stała się niejako przyczyną niechęci społeczeństw, wśród których przyszło im egzystować. Zrozumiałem bardzo wiele.

Szef firmy, w której się zaczęliśmy, był młodym nieortodoksyjnym Żydem. Wizytował nas niekiedy przy robocie, przychodząc na teren prac w towarzystwie dwóch czarnych, brodatych i pejsatych postaci. Traktował je z szacunkiem przywodzącym na myśl służalczość. Istniała pomiędzy nimi jakaś bliżej niesprecyzowana zależność. My, pracownicy fizyczni, domyślaliśmy się, że szef jest figurantem. Dość prędko odkryłem, że sama firma nie istnieje jako taka *de iure*, najwyraźniej właściciele nie zamierzali dzielić się zyskami nawet z państwem i w ten sposób unikali płacenia podatków.

W trakcie tych wizytacji „goście szefa” obserwowali nas uważnie. Nic nie umykało ich bystrym oczom. Zauważali każdą zbyt długo lub zbyt krótko przyciętą deskę, każdy zgięty gwóźdź, każdą krzywo wkręconą śrubkę. Nie widzieli tylko nas, roboty, i patrzyli przez ludzi jak przez szkło, dopóki któremuś z pracowników nie zachciało się w ich obecności oddalić, choćby do toalety, nie mówiąc o zapaleniu papierosa czy jakiejś innej formie chwilowej bezproduktywności. Gardzili nami w sposób doskonały, nie starając się tego ani okazywać, ani ukrywać. Byliśmy dla nich powietrzem, zapewne niezbyt wonnym. A przecież śledzili każdy nasz gest, ruch, oceniali wydajność naszej pracy i liczyli. Liczyli z niesamowitą dokładnością i wprawą. Liczyli wszystko. Nie liczył się tylko robot. Zbyt łatwo go było zastąpić.

Nie dziwiłem im się specjalnie i usilnie starałem się nie odczuwać złości ani żalu.

Niby dlaczego mieliby szanować kurwę sprzedającą im się za dwa i pół dolara na godzinę, myślałem.

Ale widać jedynie ja żywiłem takie poglądy, bo pewnego dnia kilku pracowników się zbuntowało. Poszło im o regularne zaleganie z wypłatą. Mechanizm był prosty — każdy dzień zwłoki powiększał konto szefa o odsetki z naszych zarobków. Przy trzydziestu chłopów nie było to mało.

Początkowo próbowali wtłoczyć się do gabinetu gromadnie, ale szef zagroził im drogę, po czym z każdym z nich rozmawiał osobno. Wychodzili więc, trzaskając drzwiami i złorzecząc w bezsilnej wściekłości. Nie przyłączyłem się do nich. Nie można nic wygrać, nie mając w ręku żadnych atutów, żadnych środków nacisku. Wszyscy pracowaliśmy „na czarno”, co oznaczało, że każdy poważniejszy konflikt musiał się dla nas skończyć wylaniem z roboty, a jak się pracodawca postara, to może nawet deportacją.

Szef, zwany pieszczotliwie „krwiopijcą”, miał nas w garści. Gdy burza ucichła, wynurzył się z

gabinetu. Zobaczył mnie na drabinie. Montowałem akurat oświetlenie dodatkowe, ukryte za moldingami — ozdobnymi listwami bocznymi wysoko pod sufitem.

— Czy ty coś z tego rozumiesz? — spytał „krwiopijca” z autentyczną lub udawaną desperacją w głosie. — Ja ich żywię, ja im płacę, ja mam prawo wymagać. A oni są niewdzięczni. Uj, jacy oni są niewdzięczni!

— Nie rozumiem, szefie, ale jeśli pan sobie zażyczy, to zrozumie — odparłem. Spojrzał na mnie dziwnie i polecił po skończonej robocie umyć swój samochód.

Zdaje się, że miał to być dla mnie rodzaj wyróżnienia. Gdy już wsiadał do wypucowanego i nabłyszczanego pontiaka, powiedział „doceniam” i odjechał. Materialnych następstw owego doceniania jakoś nie mogłem się doczekać, toteż postanowiłem inaczej dopomóc swemu szczęściu.

Moi koledzy chętnie opowiadali rozmaite historyjki z gatunku tych, które bawią samotnych mężczyzn i pozwalają na chwilę zapomnieć o pozostawionej w kraju żonie, o ciężkiej, słabo płatnej pracy, o życiu pełnym wyrzeczeń. Zebrałem te opowiadki, dodałem to i owo, doszlifowałem gdzieniegdzie i jako przeraźliwie świńską kompilację wysłałem do półpornograficznego pisemka o nikłych walorach literackich. Po kilku tygodniach, gdy już właściwie straciłem nadzieję na jakąkolwiek odpowiedź i niemal zapomniałem o sprawie, otrzymałem czek na sto pięćdziesiąt dolarów. Razem z nim przyszło zaproszenie do redakcji i propozycja podpisania kontraktu na większą liczbę opowiadań o zbliżonej proveniencji. Teraz mogłem gwizdać na szefa i jego firmę. W ciągu kilku godzin, nie ruszając się z domu, byłem w stanie zarobić tyle, ile u niego przez tydzień. Na razie jednak postanowiłem nie palić za sobą mostów.

W dzień nosiłem gruz, malowałem ściany, szlifowałem moldingi, wykonywałem wszystkie dotychczasowe prace w firmie. Wiezorami zaś pisałem coraz bardziej wybujałe fantasmagorie o tematyce erotycznej. Wciągało mnie to — przyznam. Pełniło też rolę czegoś w rodzaju wentyla bezpieczeństwa dla mego umysłu. No i pozwalało odłożyć trochę forsy.

Przybrałem też sobie stosowny pseudonim — powiedzmy — literacki. Na opowiadaniu sygnowanym moim własnym nazwiskiem prawdopodobnie nikt nawet nie zatrzymałby wzroku, którą to prawdę objawiono mi w redakcji już na wstępie. Inna sprawa, że nie zależało mi na wątpliwej sławie autora literatury wychodkowej, toteż prawda ta nie była dla mnie specjalnie przykra. Mówiąc szczerze, liczyła się tylko forsa. Po kilku miesiącach miałem jej wystarczająco dużo, by kupić trochę zdezelowaną półciężarówkę i pożegnać się z „krwiopijcą”.

Rozstanie nie było całkiem bezbolesne, a już z pewnością nie dla niego.

Pewnego dnia poinformowałem go, że pracuję w firmie tylko do końca tygodnia; zamyślił się i powiedział: *up to you*.

Po kilku dniach zatelefonowałem do niego w sprawie wypłaty, słodki głosik sekretarki oznajmił, że szef wyjechał do Filadelfii i żebym poczekał na pieniądze do następnego tygodnia. Wsiadłem wówczas w samochód i szybko pojechałem do biura. Zbyt dobrze go znałem, by dać się zrobić w rybę. Oczywiście był tam. Nigdzie nie wyjeżdżał. Bardzo się na mój widok ucieszył i szczerze wyznał, że nie ma pieniędzy. Na przedstawiony mu rachunek z wyszczególnionymi kosztami jednostkowymi wszystkiego, co ostatnio zdziałałem (była tam i kwota, którą — jak obliczyłem — spaliłem w benzynie podczas dzisiejszego dojazdu do biura, a jakże), „krwiopijca” bezradnie rozłożył ręce.

— Nie mam, nie mam — powtarzał.

— *Listen to me* — zniecierpliwilem się. — Możesz stracić znacznie więcej niż ja. Wiesz, o czym mówię?

Czułem się mocny, jako że w tak zwanym międzyczasie ukończyłem dwuletnią szkółkę, przysięgałem na *Liberty* i otrzymałem zieloną kartę. To były te ważne rzeczy, którym poświęciłem

ostatni kawałek swego życia. Teraz rozmawialiśmy jak Amerykanin z Amerykaninem. Teraz ja go miałem na widelcu.

— Jesteś mi winien 425 dolarów i 25 centów. Nie zgadzam się na czek — zastrzegłem. Pieniądze były w sejfie. Wiedziałem o tym doskonale.

— Wyjdę na dziesięć minut, a ty skombinuj forszę. — Pozostawiłem mu furtkę, dzięki której mógł zachować twarz. Po około piętnastu minutach, które przeczekałem w bramie, pilnie bacząc, by mi nie dał dyla sprzed nosa, wróciłem. Przywitał mnie kordialnie i wręczył plik nowiutkich banknotów, zapewniając, że pożyczyl je od sekretarki. Dokładnie przeliczyłem brudnozielone, charakterystycznie pachnące papierki.

— Brakuje pięciu dolarów i dwudziestu pięciu centów — stwierdziłem cierpko.

— Niemożliwe, niemożliwe. Przelicz jeszcze raz — oburzył się.

— Sam przelicz.

— Nie do wiary. Niemożliwe. — Zgrabnie udawał zakłopotanie. — Ale ja nie mam. Ja nie mam więcej — próbował kłamać.

— Znów pożycz od niej. — Zaśmiałem mu się w nos. Zrozumiał, że nie pomogą lamenty, wyjął portfel i wywłókł z niego pięć doków.

— Jeszcze dwadzieścia pięć centów — przypomniałem.

— Teraz to ja już całkiem nic nie mam.

Albo nie ma, albo gra do końca dla zasady, pomyślałem.

— Masz — powiedziałem. — Tylko musisz sobie przypomnieć, gdzie. Skrzywił się i wyciągnął quoterkę z małej kieszonki, którą nazywałem „kondoniarką”. Położył pieniążek na biurku przede mną, popatrując smętnie. Wziąłem niklowany krążek w dwa palce, podrzuciłem do góry, schwytałem, obejrzałem, jakbym go widział po raz pierwszy w życiu, i oddałem mu z powrotem.

— To za naukę.

— Za jaką naukę?

— Wiele się u ciebie i od ciebie nauczyłem.

Zdaje się, że zrozumiał, o co chodzi, bo przybrał wyraz twarzy pod tytułem „wyhodowałem żmiją na własnej piersi”. W sumie rozstaliśmy się w zgodzie, życząc sobie wzajem wiele dobrego i uśmiechając się do siebie przyjemnie.

\* \* \*

Woziłem swoim truckiem rozmaite śmieci od rozmaitych nadawców do rozmaitych odbiorców. Nie miała dla mnie znaczenia ani pora, ani miejsce dostawy. Nie miał też znaczenia rodzaj ładunku. Zarzynałem auto, pchając się wszędzie tam, gdzie inni po prostu odmówiliby kursu. Stosowałem stawki najniższe z możliwych. Harować w ten sposób zamierzałem jeszcze przez dwa, trzy lata. Nie inwestowałem w nowy sprzęt, nie płaciłem podatków. Chciałem zarobić jak najwięcej w jak najkrótszym czasie i wyjechać. Wrócić. Mój pobyt poza krajem trwał już dostatecznie długo.

Wśród mojej klienteli przeważali Żydzi. Oni naprawdę potrafili liczyć. Obserwowałem ich uważnie i dokonywałem ciekawych spostrzeżeń. Staralem się też uczyć od nich cierpliwości i elastyczności. Zauważyłem, że Żyd nie mogący zrealizować jakiegoś zamierzenia jednym sposobem nie rezygnuje z niego, nie zniechęca się, tylko szuka innych, często okrężnych metod, pozornie nie mających nic wspólnego z celem, do którego zmierza, prowadzących jednak do niego bezbłędnie.

Oni są mądrzy, myślałem. Łatwo ich nienawidzić, ale trudniej im dorównać. Jeśli nawet nie są genialni, to w każdym razie widzą zysk tam, gdzie ja nie potrafię go dostrzec bez wyraźnego

wskazania. Są konsekwentni i pracowici, gdy trzeba — bezczelni szczególnym rodzajem bezczelności, który nie budząc natychmiastowej agresji, czyni z nich wyjątkowo skutecznych negocjatorów. Wielekroć nie byłem w stanie zrozumieć interesów, które prowadzili. Ale jeśli o drugiej w nocy otrzymywałem polecenie przewiezienia kompletnie zdezelowanych automatów do gry z jakiejś podupadłej jaskini hazardu w zakazanym punkcie miasta do piwnicy domku na peryferiach, a w kilka dni później robiłem dokładnie to samo, tyle że w odwrotnym kierunku, i nie zadawałem głupich pytań, to zasługiwałem chyba na opinię dyskretnego i wygodnego dostawcy.

— Sza — powiedział na odchodne nosaty właściciel całego chłamu.

— Sza — odpowiedziałem, kładąc palec na ustach. Odjechałem w mrok, zastanawiając się sennie, komu i na co była potrzebna cała ta podwójna przeprowadzka.

Na pewno przydała się mnie — zakończyłem dywagacje optymistyczną konkluzją. Zarobiłem prawie siedemdziesiąt dolarów na czysto. Bez podatku.

Związałem się z firmą remontującą stare meble. Wiozłem raz transport luster z magazynów na Brooklynie. Gdy rozładowałem towar, jego właściciel zapłacił mi pięć dolarów ponad ustaloną stawkę. Myślałem, że się pomylił albo że mnie sprawdza, i chciałem mu zwrócić pieniądze. Zależało mi na następnych zamówieniach, a w ich uzyskaniu fama uczciwego z pewnością nie mogła mi zaszkodzić.

— To bonus — wyjaśnił. — Gdybyś któreś rozbił, straciłbym więcej, a tak ja zarabiam więcej, niż tracę.

Zaskoczył mnie tą filozofią. „Zarabiam więcej, niż tracę”, pomyślałem, ciekawy gość. Podobny do mnie, zauważyłem zdziwiony, gdyż od pewnego czasu stosowałem identyczną zasadę, jeśli w perspektywie przewidywałem większe korzyści. Propozycję stałej współpracy przyjąłem chętnie.

Aaron Blumpludder pochodził z okolic Radomia i cokolwiek pociesznie, choć właściwie ładnie, mówił po polsku. Był dokładny, wymagający, oszczędny i w przeciwieństwie do „krwiopijcy” uczciwy w szczególnie sposób.

Siedziałem sobie kiedyś na świeżo dostarczonej kozetce, przyglądając się wyjątkowo krowiastemu kredensowi o obskurnej politurze.

— Co pan siedzisz i nic nie robisz? — Aaron przyłapał mnie na chwili słodkiego nieróbstwa.

— Ja myślę, szefie, zastanawiam się...

— Ale ja to nie widzę, co pan myślisz. Ja nie potrzebuję za to płacić pieniądze — przerwał, nie pozwalając się tłumaczyć. — Jak pan coś wymyślisz, to przyjdź do mnie. Pogadamy. Ale teraz masz pan potracone za pół godziny.

O, żesz ty, westchnąłem w duchu. Oby cię obesrało. Ale nie powiedziałem nic. Na drugi dzień przyniosłem mu starannie rozrysowany plan renowacji mebla wraz z projektami galanterii metalowej w postaci klameczek, zawiasów, okuć i zamków. Do projektu dołączyłem kosztorys.

— To właśnie wymyśliłem wczoraj. — Podsunąłem mu papiery pod nos.

— No i git. — Od razu pojął, o co chodzi. — To się nazywa myślenie, co ja za nie mogę zapłacić moje pieniądze, żeby one teraz były pańskie. Tu masz pan za te pół godziny. — Odliczył dwa papierki. — A to za dodatkowe robotę. — Dorzucił jeszcze trzy. — Wszak spożytkowałeś pan na to jedną godzinę w firmie i jedną poza firmą. Czyż nie tak?

— Tak, ale jedna godzina to cztery dolary, a nie trzy — próbowałem oponować.

— Ja się nie spieram. Ale wtedy co pan myślałeś, to piętnaście minut myślałeś pan o tym, co potrzeba, a piętnaście wcale nie. Powiedz pan z ręką na sercu, było tak? — Zmrużył oko, jakby zrobił mi dobry kawał.

— Tak, szefie — przyznałem skołowany, chowając pieniądze do kieszeni.

— Pan kup sobie portfel — doradził. — Pieniądze trzeba szanować.

— Kupię — zgodziłem się machinalnie.

— No widzisz pan? Najważniejsza jest zgoda. Zgodne ludzie zawsze się dogadają jeden z drugim, jak na ten przykład ja i pan.

Aaron często jeździł ze mną w trasę. Po drodze gawędziliśmy o tym, o owym, dziwiąc się nieco, że nam to gadanie tak fajnie wychodzi. Już nie „panowaliśmy” sobie. On mówił na mnie „Polik”, a ja na niego „Arik”. Opowiedziałem mu kiedyś o „krwiopijcy”. Byłem ciekaw, jak zareaguje. Słuchał z uwagą, nie przerywając. Gdy skończyłem, nie sprawiał wrażenia specjalnie zbulwersowanego, mimo iż nie szczędziłem mało ciepłych słów dla byłego pryncypała.

— Są ludzie i ludzie, są Żydzi i Żydzi — zauważył. — Wielu tak robi, waszych też. Ilu jest takich kontraktorów? No ilu? On albo zajdzie wysoko, albo skończy źle. Ja, widzisz, dorobiłem się sam. Są bogatsi. Ja to wiem bardzo dobrze. To, co ja mam, to nie jest może bardzo wiele, ale jak na mnie akuratnie w sam raz. Ja nie mam kłopot, co zrobić z pieniędzmi, ale jak na to, co mnie potrzeba, to ja mam dość. A nikt się moimi pieniędzmi nie chce ze mną dzielić. Ja mam święty spokój. Ale wierz mi, ja nigdy nie krzywdziłem nikogo na pieniądzach. Bo ja sam jestem z tych biednych, wsiowych Żydków i ja wiem za dobrze, co to jest krzywda. Bo krzywda ludzka to nie jest dobry interes i lubi się odwrócić.

Wielokrotnie jeszcze Aaron miał mnie zaskoczyć niezwykle trafnymi spostrzeżeniami, tak prostymi, że aż banalnymi z pozoru. Ale one nie były banalne. Zawsze dyktowała je specyficzna logika. Arik brał pod uwagę znacznie większą liczbę wariantów hipotetycznego rozwoju sytuacji niż ja. Poza tym miał wysublimowane, nieco przewrotne poczucie humoru i inklinacje do filozofowania. Uczyłem się od niego, lecz inna to była nauka niż ta, którą pobierałem u „krwiopijcy”. Aaron był aż mądry i cierpliwy, a „krwiopijca” tylko drapieżny i przebiegły cwany. Dziś wiem, że nasza wzajemna z Arikiem sympatia była prawdziwa i że interes odgrywał w niej rolę przyprawy, a nie głównego dania.

\* \* \*

Nie leżał mi ten kurs. Cholernie nie leżał. Zbliżał się wieczór.

— Może jedźmy jutro z rana? — zaproponowałem.

— Do jutra to nam może przejść koło nosa dobry interes. Dziś kupimy taniej — nalegał Arik. — Ty widzisz, co tu napisali? Dwa fotele, komoda, stolik. Ty się popatrz na tę cenę.

— Jutro też będzie dzień.

— Jutro to będzie sprzedane i kto inny zarobi nasze pieniądze. Pojadę z tobą, to ci będzie raźniej.

Kopnąłem w opony, w zderzak, zajrzałem pod maskę. Wszystko grało.

— Ty nie szukaj dziury w całym. Ty się chcesz wymigać, a tam czeka na ciebie dwadzieścia dolarów. Za jedną, no, może za dwie godzinki one mogą być twoje. A może ty chcesz więcej? To czemu ty od razu nie mówisz? Ja ci dam dwadzieścia i dwa dolary. Ale więcej nie.

— Nie o to chodzi. Pojadę za dwadzieścia, ale...

— No to jedź, jedź. — Nie dał mi skończyć, jak zwykle, gdy nie był w nastroju do słuchania, a miał na oku dobry interes.

Dojechaliśmy szybko, bez błędzenia i kręcenia. Pusta, bezludna ulica sprawiała wrażenie wymarłej. W jej perspektywie duży, rudy kundel wyżerał coś z przewróconego kubła na śmieci. Wiatr porywał i niósł ze sobą strzępy worków foliowych i gazet. Na chodniku poniewierało się mnóstwo zużytych prezerwatyw.

— Tu przyjeżdżają się rznąć kierowcy wielkich ciężarówek — odpowiedziałem na pytające spojrzenie Arika.

— Ty znasz te strony? Czemuś nie mówił?

— I tak byś nie posłuchał. No chodźmy, jak mamy iść.

Przechodząca drugą stroną ulicy kurewka uśmiechnęła się do nas zachęcająco. Widząc, że nie reagujemy na umizgi, pokazała nam język, zzuła szpileczki i założyła adidas.

— Skończyła robotę na dziś, ale myślała, że jeszcze złapie klienta. Albo robi sobie *lunch-time*. A może miałbyś ochotę dać nura, co, Arik? Ja mogę poczekać — podpuszczałem niktzemnie.

— Ty mnie nawet nie mów. Ty wiesz, jaka ona musi być wyobracana. — Aaron wykrzywił się obrzydliwie i zadrobił nogami, jakby chciał odtańczyć trepaka.

W bramie, do której wchodziliśmy, potknęliśmy się o śpiącego na betonowej podłodze gentlemana.

— Kto śpi, ten nie grzeszy, co? — Dałem Arikowi leciutką sójkę w bok.

— Uś, ty uważaj, bo on się jeszcze rozbudzi. Śpiący facet miał w uszach kolczyki z *Hakenkreuzów*, a na uświnionej rzygowinami koszulce napis „Make love not war”.

— Nie bój się, Arik — uspokajałem. — On tego nie zrobił świadomie. Po prostu spodobały mu się swastyki, które dla niego nie oznaczają nic. Jutro wpakuje sobie w uszy pałeczki do ryżu lub bombki na choinkę.

— Ja się jego nie boję. Ale po co ty potrzebujesz go budzić? Niech on już lepiej śpi.

W głębi bramy trupiasty osobnik o nieokreślonym wieku przyjmował działkę od dealera. Wcale się nie krępowali.

— Ruch w interesie? — zagadnął Arik po przyjacielsku.

— *Fuck of* — odwarknął facet ze strzykawką. Nadchodził nowy klient.

Handlarz nawet nie zmienił igły. Odrobina mętnej cieczy zmieniła właściciela.

— Wtrysk bezpośredni. — Wzruszyłem ramionami. — Chodźmy na górę. Lepiej to mieć już za sobą. No chodź wreszcie, Arik. Jak już przyjechaliśmy, to załatwmy sprawę do końca — zachęcałem, widząc, że gotów jest się wycofać.

W ciemnym, dusznym pokoju siedziało dwóch facetów. Mieli włączony telewizor, ale nie wiem, czy kontaktowali, o co biega. Po oczach poznałem, że są na haju. Wziąłem stolik i fotel. Aaron, sapiąc, zarzucił sobie drugi fotel na plecy. Zanieśliśmy meble do auta i wróciliśmy po komodę. Obaj mężczyźni pętali się po pokoju bez celu. Ich ruchy były niepewne. Wyglądali trochę tak, jakby poruszali się w dość gęstej cieczy.

Właśnie mocowałem sprzęty, krępując je linką, by się nie przemieszczały, gdy z przodu wozu usłyszałem krzyk. Wskoczyłem z budy. Arik stał przyparty do szoferki. Z nosa ciekła mu strużka krwi. Nasi kontrahenci obmacywali go bezczelnie. Pewnie uznali, że zapłaciliśmy za mało, albo coś im się przywidziało. Zawahałem się. Przez sekundę, może dwie, nie wiedziałem co robić. Ludzie w tym stanie są nieobliczalni. A ich było dwóch.

Gniew spadł na mnie jak za włączeniem jakiegoś przycisku. W ułamku sekundy owładnęła mną zimna, rozumna furia. Dostoczyłem do napastników. Dostrzegłem okrągłe z przerażenia oczy Arika. Złapałem za włosy bliżej stojącego mężczyznę i z całej siły szarpnąłem ku sobie. Zatoczył się i wywrócił. Z tym na razie miałem spokój. Drugi jeszcze nie zorientował się w niebezpieczeństwie. Obaj jarzyli bardzo wolno. To było naszą szansą. Pociągnąłem go za włosy jak pierwszego. Odruchowo chwycił się klamki. Wtedy puściłem, a on wyrznął nosem w drzwi, aż huknęło. Sam się do nich przyciągnął i jak na zwolnionym filmie osuwał się właśnie, znacząc białą powierzchnię smugą krwi z rozbitej twarzy. Zaatakowany wcześniej pozbierał się niezdarne. Teraz szedł na mnie sztywno jak automat. W ręce miał nóż, a jego oczy były nieruchome jak oczy umarłych. Zastopowałem go lewym dyszlem i poprawiłem krótkim prawym hakiem w podbródek. Upadł na wznak i tylko przebierał w powietrzu wszystkimi kończynami niczym przewrócony na plecy żółw. Jego kolega na czworakach potrzasał głową, usiłując zebrać się z asfaltu. Na wszelki wypadek kopnąłem go w twarz. Wepchnąłem zdrętwiąłego Arika do szoferki i daliśmy w rurę z

piskiem opon.

— Ten twój były szef, ten „krwiopijca”, to on był bardzo mądry człowiek — stwierdził Aaron ni w pięć, ni w dziewięć, gdy już doszedł do siebie.

— O co ci chodzi?

— O nic. On się dobrze znał na ludziach. On zrobił bardzo dobrze, że on ci zapłacił te twoje pieniądze, chociaż najsamprzód chciał nie. Ja nigdy w życiu nie chcę ci być winien pieniądze ani wcale nic.

— Nigdy nie będziesz mi nic winien. Nie jesteś taki jak on.

— Już ci jestem winien. Może nawet życie? Kto wie? Ty nie bierz mnie źle. U nas się mówi, że lepszy jest jeden cierpliwy niż stu bohaterów. To nie ja tak powiedziałem pierwszy, tylko Król Salomon — zaznaczył skromnie. — Ja myślałem, że ty jesteś cierpliwy, a ty jesteś cierpliwy bohater.

— Nie przesadzaj. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo — pocieszałem go niezbyt szczerze.

— Myślisz? — Zerknął na mnie zezem. — A czy gdyby szło o tamtego, no, o „krwiopijcę”, to też byś się postawił?

— Nie wiem. To był odruch, więc chyba tak. Ale wołałem, że to byłeś ty.

— Taaak? A ja bym wołał, żeby to był on — odparł, nieznacznie dotykając swego nosa, który na szczęście już przestał krwawić.

Potem, to znaczy po tym niefortunnym incydencie, Arik zaczął zapraszać mnie do siebie. Zdaje się, że chciał w ten sposób wyrazić mi swoją wdzięczność. Zarówno on sam jak i jego żona oraz dwie dorastające córki traktowali mnie jak honorowego gościa, a z czasem — domownika. Nie spotkałem dotychczas ludzi, którzy w równie delikatny, a jednocześnie nad wyraz praktyczny sposób potrafili okazywać swą sympatię obcemu w końcu człowiekowi. To było z ich strony bardzo miłe, a w pewnym okresie mego życia bardzo mi potrzebne.

— Żebyś ty był z naszych. Uj, żebyś ty był z naszych — wzdychał Aaron niekiedy, spoglądając to na mnie, to na starszą ze swych córek, siedemnastoletnią dziewczynę o pięknych oczach i dziwnym imieniu Ethel. Wiedziałem, o czym myśli, ale nie podejmowałem tematu. Nie mogłem nic poradzić na to, że nie byłem „z naszych”.

Aaron nieźle grał na skrzypcach.

— Daj, teraz ja spróbuję — poprosiłem kiedyś.

— To ty umiesz grać? — zdziwił się.

— A dlaczego właśnie ja nie miałbym umieć? — odpowiedziało mi się śmiesznie, po „ichniemu”.

Miał dobre skrzypce z czeskiej wytwórni o dumnej nazwie na wyrost.

— „Stradivarius” — zajrzałem przez „efy” do środka i przeczytałem umieszczoną tam etykietkę. — „Made in Czechoslovakia” — zaśmiałem się nietaktownie.

— No co? No, co ty chcesz? Czy Stradivarius nie może być z Czechosłowacji? Czy w Czechosłowacji nie może być coś, co się nie po czechosłowacku nazywa? Czy jak się pies urodzi w kurniku, to czy on się ma od razu nazywać kura, pytam ja ciebie? To są dobre skrzypce. Ty się z nich nie śmiejesz. Ty na nich graj. — Aaron wyraźnie czuł się urażony.

Odwykłymi palcami objąłem smukłą szyjkę, pogładziłem ślimak, trąciłem z brzękiem struny. Maszynkami wyregulowałem strojenie, nieudolnie pociągnąłem smyczkiem.

— Dawno nie grałem. Czuję się stremowany. Wyszedłem z wprawy — tłumaczyłem się cicho, żałując podjętej pod wpływem impulsu decyzji.

— Masz tu dobre lekarstwo. — Arik podsunął mi kieliszek wódki. — Ono jest na to twoje stremowanie.

Przełknąłem palący trunek i niepewnie dobytek pierwszych tonów.

— Nie umiem. Nie potrafię już. Kiedyś umiałem. Podobno nawet nieźle...

— Ty skończ, jak zacząłeś. Ja widzę, jak ty trzymasz te skrzypce. One ci pasują bardzo dobrze. Ty graj albo ja ciebie nie chcę więcej widzieć na oczy. Ty dziś jesteś jak ta primabalerina. Ty się dajesz prosić. To bardzo, ale to bardzo nieładnie. Tremę to mógł mieć taki Szopen Fryderyk, albo Padarewski Ignacy też. Ale na co tobie trema potrzebna do tego twojego małego grania?

Zacząłem grać najbardziej kiedyś zniechęconą „Kołysankę”. Przypomniała mi się babcia i jakoś ciepło mi się zrobiło albo od tego wspomnienia, albo od dużego kieliszka mocnej wódki. Coraz śmielej „zamiatałem” smyczkiem. Zesztywniałe palce odzyskiwały sprawność. Zmieniłem tonację. Flakowata „Kołysanka” utonęła w powodzi innych tonów. Rozkręcałem się. Już nie „zamiatałem”. Prowadziłem smyczek równo, pewnie. Przymknąłem oczy. „To” działa się znów. Jak wtedy. Jak przed laty. Zapomniana melodia sączyła się delikatnie zrazu, by niespodziewanie wybuchnąć kaskadą drapieżnych, a zarazem słodkich dźwięków. Była tęskna i brutalna jednocześnie. To była „tamta” melodia.

Arik siedział jak zahipnotyzowany.

— Ale ty grasz, ale grasz — powtarzał, gdy skończyłem i opuściłem skrzypce. — Ty grasz, jakbyś był z naszych. — W jego ustach słowa te stanowiły komplement wielkiej wagi. — Ale, ale. Ty mi powiedz, co ty grałeś. Bo ja to znam i nie znam, i wiem, jak to się nazywa, i nie wiem. Mnie się zdaje, jakbym to znał kiedyś, jakbym gdzieś słyszał coś podobne, tylko nie wiem, gdzie.

— Nie wiem. To zdaje się nie jest żadna konkretna kompozycja, tylko wariacje na jakiś temat. Pierwszy raz zagrałem ją bardzo dawno temu. Przypadkiem.

Opowiedziałem mu o mojej pierwszej wyprawie na Kazimierz, o snach, które nastąpiły później, o dziewczynie, o wszystkim, co — jak mi się zdawało — mogło mieć związek z ową wyprawą.

— Prawdopodobnie usłyszałem fragment podobnej melodii dużo wcześniej, bezwiednie zapamiętałem ją, bo była dziwna i nowa dla mnie. Równie bezwiednie skojarzyłem ją z tym, co zobaczyłem na Kazimierzu, a jeszcze potem połączyłem wszystko razem z opowieściami babci. Zanudzałem ją wiele razy pytaniami o Żydów, babcia opowiadała jak umiała o nich i o ich zagładzie. Umysł miałem chłonny, podatny, plastyczny. Łatwo ulegałem takiemu czy innemu wrażeniu i pewnie dlatego tak, a nie inaczej, gram dziś. Tak mam zakodowane informacje z wczesnego dzieciństwa i to dlatego... — brnąłem niezręcznie.

— Może tak, może nie. — Aaron poważnie kiwał siwiejącą głową. — Czy ty tę melodię grałeś po opowieściach babci, czy po tym, jak wróciłeś z tego twojego Kazimierza? — spytał nieoczekiwanie.

— Zaraz jak wróciłem, poszedłem grać, żeby nie drażnić babci. Ona mnie czasem biła poniemieckim harapem, a dopóki grałem, to miałem święty spokój.

— Ale ja się ciebie pytam, czy ty wtedy po raz pierwszy grałeś tę melodię?

— Tak. Pamiętam dokładnie. To było wtedy, a nie kiedy indziej.

— Ja ci powiem szczerze. Ja się tobie czasem dziwię — wyznał z zakłopotaniem.

— Dziwisz się? Dlaczego?

— Bo ty nie jesteś Żyd, a tak mówisz i myślisz, jakbyś był. Ja już cię znam. Ja to widzę z dawna, co dopiero teraz tobie mówię.

— Ani ojciec, ani matka nie byli Żydami. Ani nikt z rodziny. Nawet z tej dalszej.

— A sąsiad?

— Jak to?

— Ty nie bądź dziecko. Ty nie udawaj, że nie wiesz, co ja teraz do ciebie mówię.

— Ja sobie wypraszam insynuacje.

— A co ty sobie wypraszasz, pytam ja ciebie? Czy sąsiad Żyd to jest coś niedobre? Ja nie rozumiem teraz ciebie.

— Ty obrażasz moją matkę. Ja nie chcę, nie pozwalam.

— Uj, zaraz obraza. Teraz to ja widzę, że ty jesteś, za przeproszeniem, goj. Oni obrażają się o nic.

— Nie obrażam się całkiem, tylko denerwują mnie bzdury, które opowiadasz. Dużo przebywam wśród Żydów, mam dobry słuch, to nauczyłem się mówić tak, a nie inaczej. Stąd podobieństwo w intonacji, czasem w gestach. Ale nawet nie wyglądałam jak Żyd.

— Całkiem nie, ale troszkę może chociaż? A to nie jest nic. Ja myślę... Ja teraz myślę po tym, coś mi powiedział... — Zawahał się i zamilkł.

— Wyduśże wreszcie, coś tam sobie wykombinował.

— No to ja wymyśliłem, ale ty się nie śmiejesz.

— Nie będę się śmiał, przysięgam. Hajrem. — Położyłem lewą rękę na piersi, a prawą uniosłem nad głowę. Byłem bardzo ciekaw.

— Ja myślę, że jak ty tam poszedłeś na ten twój Kazimierz, to w ciebie wlał dybuk. Taki duch.

— Dybuk? Duch? — Zaśmiałem się nieszczercze mimo złożonej przysięgi.

— Zauważ, że przez cały czas trzymasz się naszych. Ciebie do nas ciągnie.

— Pracuję u was i z wami robię interesy. W tym jesteście dobrzy, więc jednocześnie uczę się od was. Lubię was, Żydów. Intrygujecie mnie nadal, przyznaję. Ale żeby w to od razu mieszać siły wyższe?

— To może być dybuk — upierał się. — Tam wtedy zginęło wielu ludzi naraz i nagle. Tacy ludzie czasem zostają wśród żywych i wchodzą, jak znajdą kogoś, kto się im spodoba. A potem taki z dybukiem mówi nie zawsze tak, jakby chciał powiedzieć, i robi nie tak, jakby robił, gdyby nie dybuk w nim. W środku.

— O, cholera — przypomniałem sobie. — Ja po powrocie z Kazimierza nie tylko po raz pierwszy zagrałem tę melodię, ale na dodatek zagrałem zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Nigdy tak wcześniej nie grałem, bo nie umiałem tak grać. To faktycznie było trochę tak, jakby ktoś grał za mnie. Pamiętam, bo babcia bardzo się dziwiła, a ja pewnie jeszcze bardziej. Okłamałem ją wtedy, mówiąc, że to kompozycja dla starszych uczniów.

— No widzisz? — Arik uśmiechnął się tryumfalnie. — To ty teraz jesteś prawie nasz.

Omiał nie zgodzić się z nim, trochę pod wpływem jego słów, a trochę pod wpływem kilku kieliszków, które połknęliśmy w trakcie dziwacznej rozmowy. Ale naraz doznałem małego olśnienia, które nazywało się Ethel.

— Daj spokój, Arik. To bez sensu — zburzyłem nastrój. — Wiem, że mnie lubisz, i wiem, o co ci chodzi, ale nie jestem Żydem i nic się pod tym względem nie da zmienić. Naprawdę nie miałbym nic przeciwko temu, by być Żydem, ale nie oszukujmy się i nie doszukujmy się nedorzecznosci, dobrze? Czy ty rzeczywiście wierzysz w tego dybuka?

— Czemu ja nie mam wierzyć, jak inni wierzą? Wiara to jest wiara. Tam nie ma nic na pewno.

Nie wracaliśmy więcej do tego tematu. Potem przyłapywałem Aarona na tym, że przypatruje mi się uważnie, gdy myślę, że o tym nie wiem. Oczywiście udawałem, że wcale mnie to nie peszy.

Postanowiłem kupić sobie skrzypce i kupiłem je. Miały ciemną, omiał wiśniową politurę i głęboki, ciepły ton przypominający chwilami altówkę. Wybrałem je spośród wielu, wielu par innych skrzypiec. Kupiłem im też futerał wyściełany błękitnym pluszem. Grywaliśmy często w duecie z Arikiem, ale najbardziej lubiłem grać sam, gdy w mieszkaniu było zupełnie ciemno. Uciekałem w tę ciemność, w tę muzykę. Chroniłem się w niej i wracałem. Wracałem na Kazimierz.

Pewnego dnia wróciłem naprawdę. Miałem trochę siwych włosów na skroniach, spore dolarowe konto w dobrym banku, amerykański paszport w kieszeni, a za sobą dwa nieudane małżeństwa.

Obie były żony nie lubiły ani stukania na maszynie, ani gry na skrzypcach. A o przyjaźń z

Aaronem były zazdrosne. Przed ślubem nie przeszkadzały im moje zainteresowania, sympatie ani dodatkowe źródło dochodów. Obiekcje w stosunku do mojej osoby każda z mych byłych pań wyrażała inaczej. Pierwsza, lubująca się w dyskusjach o sprawach oczywistych i dziwacznych zwrotach, których nie rozumiała, określała mnie mianem, cytując: „żydofila patologicznego”, „alkoholika fakultatywnego”, „rozpustnika zastarzałego” i „wariata ekscentrycznego”. Słowo „ekscentryczny” uważała, zdaje się, za szczególnie wielką i dotkliwą obelgę. Druga — najwyraźniej mniej skomplikowana z natury — wyzywała mnie od głupków, świń, knurów i idiotów.

No i dobrze. W sumie zawsze im szło o nie mające żadnego znaczenia drobiazgi. Ale całe życie składa się z drobiazgów.

„Nie potkniesz się o górę. Potkniesz się o kamień”, rzekł Król Salomon. To był mądry gość.

\* \* \*

Kraków zmienił się bardzo. Zmieniał się wciąż. Przybywało ludzi i samochodów. Remontowano Stare Miasto. Zniknęły kocie łby z Rynku Głównego i z Placu Szczepańskiego. Zburzono barak starej szkoły na Placu Biskupim. Teraz był tam parking.

Moje miasto przeżywało drugą młodość. Ale ja te korzystne — bądź co bądź — zmiany przyjmowałem z daleko posuniętą odrazą. Odeszło coś, co było dla mnie ważne, co było mi bliskie. Wciąż odchodziło.

Spacerując pomiędzy odrestaurowanymi kamienicami, zaglądając w stare kąty, powinienem był odczuwać radość, a odczuwałem tylko żal.

Kazimierz zmieniał się dużo wolniej. Prawie wcale. Trwał taki, jakim go pamiętałem od zawsze. Pojawiło się kilka nowych sklepów, kilka domów otynkowano na nowo. Lecz pozostały przecież całe enklawy nietknięte przemianami, jak wyspy pośród morza atakującego falami przeobrażeń.

Zmiany są konieczne, myślałem niekiedy. Tak jest dużo lepiej. Ludzie chcą żyć inaczej, mądrzej. Ci, których babcia określała kiedyś mianem „elementu”, stanowili coraz mniejszy procent mieszkańców Kazimierza. Byli jednak nadal. Gnieździli się po norach i ruderach, sprawiając, że nie była to dzielnica całkiem bezpieczna. Szczególnie wieczorem i nocą. Ale nie tylko. W niektóre ulice lepiej się było nie zapuszczać nawet za dnia.

Gdy tylko nadarzyła się okazja, wykupiłem mieszkanie przy ulicy Augustiańskiej, w dawnej „polskiej” części Kazimierza. Stąd miałem całkiem blisko do miejsc, których surogatem były mi przez lata pocztówki i malowane własnoręcznie impresje. Zajmowałem się handlem dziełami sztuki i starymi przedmiotami o artystycznym rodowodzie. Co prawda częściej bywały to dziełka, a nie prawdziwe dzieła, ale i tak udawało mi się czasem wyłowić perełkę. Miałem trochę kłopotów z różnymi urzędami, lecz jakoś sobie radziłem, udowadniając, że w Peerelu bardzo trudno jest załatwić cokolwiek, ale jednocześnie wszystko jest do załatwienia. Wychodząc z założenia, że biurwa też człowiek, używałem przekonujących argumentów w postaci kopertówek. Przeciętny urzędnik państwowy zarabiał w tamtych „dobrych” czasach równowartość dwudziestu dolarów amerykańskich miesięcznie lub nieco mniej. Taką też sumę zawierała zazwyczaj kopertka, którą kładłem na panurzędniczym biurku.

Część mych łupów ekspediowałem za ocean, wykorzystując dziurawe prawo celne oraz znajomość z pewnym pazernym konserwatorem sztuki, który za drobne gratyfikacje stawiał swój stempelek na podsuwanych mu przedmiotach.

Działalem według recepty Aarona — „po łyżeczce”, chroniąc swój własny i mych kooperantów tyłek przed dociekliwością rozmaitych organów kontroli. Miałem też coś w rodzaju resztek

sumienia i co cenniejsze znaleziska zostawiałem dla siebie. Wyobrażałem sobie, że w ten sposób chronię „substancję kulturalno–historyczną narodu” (to się teraz tak ładnie nazywało, w ogóle dużo powstało fajnych, nowych nazw) przed zniszczeniem. Być może, zresztą, tak właśnie było. Jeden z pokoi służył mi za magazyn. Zgromadziłem w nim trochę ciekawych porcelanek i fajansów, kilka całych serwisów miśnieńskich, sporo niezłych obrazów. Miałem kilku Kossaków (trzech Wojciechów, dwóch Juliuszów i jednego Jerzego), Boznańską, Mehoffera, Vlastimila Hoffmana, cennego Meyhoffa z 1863 roku, Lilę Pinkasównę i profesora Książka. W katalogach część moich obrazów figurowała jako „zaginione”. Nie miałem zamiaru korygować tego błędu. Pierwotni właściciele obrazów prawdopodobnie już nie żyli. Zaś wdzięczność „ludowego państwa” za ich przekazanie, wyrażona pisemnym podziękowaniem, uściskiem dłoni jakiegoś urzędnika i kilkuprocentową w stosunku do faktycznej wartości gratyfikacją finansową obliczoną w spadających na łeb na szyję złotychkach, po prostu mnie nie interesowała. Poza tym miałem do tych zbiorów stosunek emocjonalny. One teraz stały się moje. Niczyje więcej. Trud, z jakim je pozyskiwałem, wielomiesięczne niejednokrotnie starania i wyrzeczenia niech będą usprawiedliwieniem dla mej zaborczości. Pozostałe pokoje umeblowałem po spartańsku, czyli prawie wcale.

Żyło mi się jak u Pana Boga za piecem. Interes szedł nieźle. W poszukiwaniu zdobyczy włączyłem się po rozmaitych zakazanych dziurach. W dobrych dzielnicach nie miałem czego szukać. Zasiadali krakowianie z dziada pradziada niechętnie wyzbywali się pamiątek niegdysiejszej świetności. Jeśli nawet udało mi się wkraść podstępem do mieszkania wielopokoleniowej rodziny krakowskiej, mogłem to uważać za osobisty sukces wyższego rzędu. Najczęściej po prostu nie wpuszczano mnie do środka.

Właściwie postępują słusznie i nie ma im się co dziwić, myślałem. Przecież na ich miejscu sam bym nie wpuścił przybłędę, domokrażcy.

Pośród przedmiotów przepływających przez moje ręce najważniejszymi bodaj były stare meble. Kalekie, kulawe stoliki, zdezelowane komody, zdekompletowane sekretarzyki i bieliźniarki doprowadzał do stanu względnej używalności wiecznie pijany stolarz z ulicy Węglowej. Potem pchałem je „za wodę”, gdzie po przeprowadzeniu fachowej renowacji osiągały wysokie ceny. W Peerelu panowała moda na „wysoki połysk”, meblościankę i im podobne rzadkie gówny spod sztancy. Szacowne, choć okaleczone sprzęty nie pasowały do wyobrażenia dostatku i awansu tych grup społecznych, które dopiero co go osiągnęły. W domach mieszczan pierwszego pokolenia królowała nowoczesność pojmowana tak, jak mógł ją pojmować ktoś dzielący do niedawna jedną izbę z kozą i kurami. Pośród tego typu ludzi wszelkie starocia popadły we wstydliwą niełaskę. Odwrotna sytuacja zapanowała w Stanach. Tam zamożne warstwy społeczeństwa nasycone postępem, techniką, samochodami, telewizorami, sprzętem elektronicznym i diabli wiedzą czym jeszcze rozpaczliwie szukały związków z tradycją. Sam wiozłem kiedyś swoim vanem z Brooklynu do New Jersey transport pięknie odrestaurowanych mebli, za które nabywca zapłacił siedemnaście tysięcy zielonych papierków. Tak. Bogacący się Amerykanie gotowi byli zapłacić bardzo dużo za złudzenia. Omal nie mając własnej historii, starali się odkupić od innych jeśli nie ją samą, to jej popłuczyny.

— Coś jest cenne nie dlatego, że jest cenne, tylko dlatego, że ludzie chcą to kupić i dają za to duże pieniądze. Potrzeba też dawać cenę przeważnie wyższą niż niższą, żeby oni nie myśleli, że my mamy kiepski towar. Bo byle czego to oni nie kupią — pouczał Aaron.

Aż dziwne, że sam tego nie wymyśliłem.

Moje meble szły jak woda, a za każdą partię otrzymywałem sumę, która w naszych warunkach musiała uchodzić za znaczną. Jakie ceny osiągały tam, pozostawało tajemnicą Aarona. Nie miałem ani ochoty, ani potrzeby jej zgłębiać. Wiedziałem tylko, że po wszystkich zabiegach

wspomaganych dobrymi klejami, właściwą politurą i inwencją pracowników stawały się po prostu cholernie drogie.

Aż kiedyś w norze na poddaszu odkryłem biurko z kaukaskiego orzecha.

Wcale nie miałem tam zaglądać. Schody były obskurne, klatka brudniejsza niż gdzie indziej, i tylko wrodzona dokładność skierowała mnie w ciemny korytarzyk zakończony odrapanymi drzwiami z wyraźnymi śladami kopniaków. Spoza tych drzwi docierały jazgotliwe odgłosy damskie i mniej jazgotliwe, ale równie donośne — męskie. Zastanawiałem się, czy by nie zawrócić, ale zamierzenia swoje lubię doprowadzać do końca, no i, niestety, nie potrafię się cofać, jak już raz zdecyduję się na działanie.

Zastukałem. Stukałem dość mocno i długo, zanim usłyszano mnie wreszcie.

— Nie otwieraj. To może być administrator — zawył głos damski.

— A właśnie że otworzę, otworzę, ty kurwo galamancka, i spuszczyć skurwysyna ze schodów — odpowiedział głos męski.

Pomyślałem tylko, że życie jest ciężkie.

— Co jest? — Chuderlawy chłopina w gaciach przyglądał mi się podejrzliwie.

— Ja do pana. — Przybrałem przyjemny uśmiech numer pięć i pół.

— Co jest? — powtórzył.

— Skupuję stare meble. — Uznałem, że lepiej będzie zaatakować frontalnie.

Stosowałem rozmaite metody, uzależniając dobór środków i argumentów od okoliczności i od osoby potencjalnego kontrahenta. Niekiedy potrzebne były długotrwałe zabiegi dyplomatyczne połączone ze spijaniem rozmaitych płynów, kilkakrotne wizyty, wyczerpujące negocjacje. Czasem trzeba było chwalić, czasem ganić. Różnie. Od Arika nauczyłem się tego, co nazywane bywa „myśleniem alternatywnym”.

— Pan nie jesteś z administracji? — Lustrował mnie od stóp do głów wzrokiem pełnym niechęci.

— A czyja wyglądam na kogoś z administracji?

— Nie — odrzekł po chwili namysłu.

— Czy pan ma w domu jakieś stare, niepotrzebne sprzęty? — spytałem.

— Wszystko mam stare — mruknął.

— Dobrze zapłacę — nęciłem. — Oczywiście pod warunkiem, że znajdę coś odpowiedniego.

— Kobita, ogarnij się, gościa mamy — wrzasnął do środka. Coś się tam zakotłowało.

Przez zagracony do granic możliwości przedpokój wcisnęliśmy się do wnętrza. Takiego syfu nie spotkałem nigdy dotąd. Z gwoździ wbitych w zagrzybione, pokryte zaciekami ściany zwieszały się jakieś szmaty.

— Pan uważa, bo mnie pan postrąca — napominał. Kobieta popatrywała lękliwie. Była błada i jakaś taka rozlazła. Po izbie pętało się kilkoro usmolonych i zasmarkanych dzieciaków.

— No i co pan chcesz tu kupić? — Ironią usiłował maskować ciekawość, może chciwość.

— Zapalisz pan? — Podsunąłem mu papierosy. Rzucił się na nie i capnął dwa od razu. Nie protestowałem. Położyłem paczkę na stole. Były to zwykłe „Sporty”. Nie brałem ze sobą dobrych papierosów, dużych sum pieniędzy, nie ubierałem się elegancko. Nie tu. Nie w tej dzielnicy. W innych, owszem. Nawet chętnie pokazywałem się niezłe ubrany, z pełnym portfelem, dobrymi fajkami i spolegliwą niewiastą w wieku poborowym u boku. Gdy wybierałem się do „Francuza” na „Szyncel a la Milanese”, nie mogłem i nie chciałem wyglądać jak łązęga. Podobnie rzecz się miała, gdy wizytowałem zamożne ongiś krakowskie mieszkania z tradycjami. Ale były miejsca, w których nie należało się „pańszczyć”. Z reguły w takich właśnie pracowałem.

— Prawdę mówiąc, nie widzę tu nic ciekawego — stwierdziłem krótko.

Sprzęty w tym mieszkaniu nie nadawały się do niczego. Nie były stare w moim rozumieniu tego

słowa. Zdezelowane współczesne graty nie interesowały mnie przecież.

— Nie widzę niczego, co mógłbym kupić — dodałem.

— To po coś pan przyszedł?

— Mówiłam, mówiłam, że to z administracji — jęczała kobieta.

Nie lubili mnie ci ludzie, oj, nie lubili. Źle im z oczu patrzyło.

— Czy to jest jedyne pomieszczenie należące, do państwa? — spytałem na wszelki wypadek.

— Nie bądź pan za ciekawy. — Kobieta wciąż nie pojmowała, w czym rzecz.

— Mamy jeszcze strych — odpowiedział mężczyzna. — Ale tam tylko śmieci.

— Obejrzyjmy te śmieci — zaproponowałem, bo coś mnie tknęło. Nie liczyłem specjalnie na nic. Nie wyobrażałem sobie nędzy gorszej niż ta, którą mi zaprezentowano.

— No to chodź pan. Tylko wezmę klucz i światło — zgodził się właściciel.

W małej komórcie piętrzył się stos o trudnym do zidentyfikowania składzie.

— Szajs, co? — zgadnął z jakąś nie pasującą do sytuacji satysfakcją.

— Szajs — przytaknąłem. Zastanawiałem się, ile mu dać na odczepne i za fatygę, gdy nagle blask świecy wyłonił z ciemności detal czegoś, co wydało mi się interesujące.

— Co to jest? — spytałem.

— To? — Zastanowił się. — Nic. Wywaliłem, bo zawadzało. Najsamprzód, jakeśmy żyli na pierwszym piętrze, to tam stało. Ale jak nas wyrzucili, nijak było ustawić. Przeszkadzało.

— Mógłby pan pokazać?

— Co też się zachciewa? I tak pan nie weźmiesz.

— Może wezmę.

— To radź se pan sam. Mnie się nie chce. — Ostentacyjnie skrzyżował ręce na piersiach.

Zrzuciłem marynarkę i powiesiłem ją na kłamce.

— Świeć pan dobrze — rozkazałem. Powoli zacząłem demontować piramidę złożoną z dziurawych garnków, pogiętych kół rowerowych i starych gazet. Przed moimi oczami odsłaniał się intarsjowany w geometryczne wzory blat.

— To stół? — zapytałem.

— Stół nie stół, szafka nie szafka. Moja trzymała toto przy kuchni, ale nie pasowało. Szufladek a szufladek, a żadna do rzeczy.

— To biurko. Stare biurko — wyjaśniłem.

— Pewnie tak. Bierzesz pan?

— Muszę zobaczyć dokładnie. Jest bardzo zniszczone. — Zacząłem przesuwając je na korytarz. Pomagał mi już, licząc na zarobek.

— No i co? — spytał.

— Biorę — odrzekłem krótko. Arik zganiłby mnie okrutnie za jednoznaczne postawienie sprawy już na wstępie. Powinienem był potrzymać go w niepewności.

— Ile?

— Co ile?

— Ile pan chcesz za to?

— Ile pan dasz?

— Dam dychę — zaryzykowałem. Uznałem za rozumne zacząć nisko.

— Mało — skwitował konkretnie. Wiedziałem, że tak będzie.

— Piętnaście?

— To darmo.

— Przecież i tak stało tu bez żadnego pożytku.

— To co innego.

— Dam pięć dych z dostawą do domu — postanowiłem przejąć inicjatywę.

— Daleko?  
— Niedaleko. Na Augustiańską.  
— Wysoko?  
— Trzecie piętro.  
— A jak ja to wezmę?  
— Pożyczysz pan wózek od ciecia albo od piekarza.  
— Niby można. Ale dasz pan stówę.  
— Osiem dych i to wszystko. — Popatrzyłem na niego przeciągle. — Teraz dam na dwa piwa i fajki, zgoda?

— Zgoda. — Potarł dłonią nieogolony policzek i oblizał się. Pewnie miał kaca i perspektywa napicia się mocno go wzruszyła.

— Daj pan na to piwo.

Nazajutrz z samego rana biurko stało przed moim domem. Dorzuciłem jeszcze parę złotych i wraz z cieciem wtaszczyli je na piętro. Dalej zająłem się nim sam. Nie chciałem wpuszczać ich do mieszkania.

Niezwykle dokładnie badałem nowy nabytek. Poodłupywany fornir znaczyły ślady przypaleń garnków. Ze szczelin pomiędzy łączeniami wystawały tyłki pogrążonych w letargu pluskiew.

— Dałem ciała — pomyślałem. — Nie było warto. Z drugiej strony, za jednego dolara...?

Mimo wszystko skropiłem biurko terpentyną. Pędzelkiem unurzonym w żrącej cieczy oczyściłem je jak umiałem i obejrzałem dokładnie. W pierwszej chwili zupełnie serio zastanawiałem się, czyby jednak nie wyrzucić grata. Cena, jaką zapłaciłem, nie miała znaczenia. Była ekwiwalentem butelki najtańszej wódki i kilku paczek podłych papierosów. Ale nagle jakoś żal mi się go zrobiło. Właściwie nadal jest to kawał mebla, pomyślałem. Tylko troszeczkę zaniedbany. Poza tym resztki ornamentu na blacie wydały mi się znajome.

Gdzieś już widziałem ten wzór. Ale gdzie? Gdzie to było? Nie mogłem sobie przypomnieć.

— Nie oddam ci go, mój przyjacielu, Aaronie Blumpludderze — postanowiłem przekornie. — Wyremontuję je i zostawię sobie. Jestem poważnym mężczyzną i powinienem mieć biurko. A właśnie to musiało być kiedyś bardzo wspaniałe. Może, wysyłając je, zarobiłbym ze trzysta papierów, ale drugiego takiego już raczej nie trafię. To co, że zniszczone?

Przyszedł mi do głowy pan Majewski, stolarz z prawdziwego zdarzenia. Moja matka zleciła mu przed laty renowację gdańskich i holenderskich mebli pochodzących z jej ślubnej wyprawy. Ten niewielki facet z bicepsami goryla dokonał wówczas czegoś w rodzaju średniej wielkości cudu. Zaleczył bowiem wszystkie rany i blizny pozostawione na fornirze przez moje i mego brata dziecinne łapki uzbrojone w rozmaite mordercze narzędzia. Pozostawił meble w stanie bliskim ideałowi, czym zyskał sobie trwale miejsce w mej pamięci. Zawsze lubiłem ludzi wytrwałych i zręcznych.

Znalezienie go nie będzie trudne, kombinowałem. Oczywiście pod warunkiem, że jeszcze żyje.

\* \* \*

Żył i wyglądał dobrze. Sprawdziłem to już następnego dnia i zaproponowałem robotę. Przyjął ją natychmiast. Czasy nie sprzyjały odmowie dobrego zarobku.

— Panie Majewski, co pan o tym sądzi? — zapytałem, pokazując mu biurko.

— Ciężka sprawa — rzekł zwięźle. — Ale rzecz warta jest zachodu. Łączenia na jaskółczy ogon i na obce pióro. Chce je pan dla siebie?

— Tak.

— Ma pan oko. To rarytas.

— Czy potrafiłby pan odtworzyć również ornament?  
— Się wie.  
— Napije się pan?  
— Się nie odmawia.  
— To po małym?  
— Po małym albo po dużym. Głupi odmawia, jak niegłupi stawia.  
— Kiedy zacznie pan robotę?  
— Zaraz za chwilę albo zaraz potem. Dawno nie miałem w rękach czegoś takiego.  
— No to siup? Połknęliśmy.  
— Ale to będzie kosztowało parę złotych — uprzedził.  
— Ile?  
— Dużo.  
— Co to znaczy „dużo”?  
— Sześć do ośmiu paczek, jak pan chce mieć na glanc. Wszystko zależy od materiału.  
— Niech pan użyje najlepszego, panie Majewski. Jeszcze dodam coś ekstra.  
— Ma być na wczoraj?  
— Niekoniecznie.  
— Czyli mogę się bawić?  
— Ile dusza zapragnie. Niech pan robi jak dla siebie.  
— Się wie.  
— Ale wie pan co, panie Majewski, niech pan ocali, co się da, a sztukuje tylko to, co konieczne.  
— Kiepska sprawa, bo mało jest do ocalenia. Przynajmniej z tego, co teraz widzę.  
— Coś tam pan wykroi. Znam pana od lat. Pamięta pan meble mamy? Wiem, jak pan z nimi walczył.  
— A ja pamiętam pana, ot, tycim szkrabem — rozczulił się. — Sam mam już wnuki w pana bywszym wieku.  
— Ja też pamiętam pana troszkę młodszym — zauważyłem.  
— Ech, co to się zrobiło z człowieka.  
— Nie to chciałem powiedzieć. Nie jest z panem źle. Jeszcze niejednemu młodemu dałby pan radę — przypochlebiałem się.  
— A bo tacy to teraz i młodzi.  
— Jakby nie patrzeć...  
— Zrobię, co będę umiał — obiecał. Wiedziałem, że mogę na nim polegać.  
Majewski całe dni spędzał przy robocie. Renowacja mebla wymagała wielu klejeń i sztukowań. Najwięcej kłopotów było z blatem.  
— Nie ma takiego materiału. — Majewski bezradnie rozkładał długie ręce. — Gdzie pan dziś dostaniesz orzech kaukaski, heban, mahoń? Może lepiej byłoby podrobić czym innym? Taki *ganz* nowy byłby jeszcze lepszy i taniej by pana wyniosło — zachęcał.  
— Widzi pan, panie Majewski, chodzi mi o to biurko, o ten materiał, o ten wzór, o autentyczność — perswadowałem.  
— Mogę zrobić tak samo, a czym innym.  
— Nie chcę tak samo. Chcę to samo — ucinałem dyskusję i pędziłem po piwo, co łagodziło rozdrażnienie starego stolarza.  
— Swoją ścieżką, kto się nad nim tak znęcał? Po co? Lub dlaczego? — medytowałem głośno.  
— Faktycznie. Wygląda na to, że ktoś kaleczył je celowo. Ale i tak mogło być gorzej — zauważył Majewski. — Aż dziw, że nie skończyło w piecu. Żal bierze, jak człowiek pomyśli, że mogli je spalić. W czasie okupacji krucho było z opałem, a jeszcze tutaj? Strasznie musieli

marznąć Żydkowie, bo u nich to dopiero był mortus. Dziwne też, że go nie sprzedali.

— Może byli do niego bardzo przywiązani?

— Iii, raczej nie to. Chyba nie za bardzo mieli komu sprzedać. Tu we wojnę była nędza taka, że pan sobie nie wyobrażasz.

— Albo nie zdążyli?

— Albo nie zdążyli, bo ich... — Majewski zamilkł i przeciągnął dłonią po gardle.

Podobnie rozmawialiśmy wcześniej. Ale nie potrafiliśmy wymyślić niczego sensownego zarówno w kwestii zdewastowania, jak i ocalenia intrygującego mebla.

\* \* \*

Szedłem sobie pewnego razu ulicą Skaleczną, myśląc o czymś przyjemnym lub nie myśląc o niczym. Miałem akurat skręcić ku Świętej Katarzynie, gdy zatrzymało mnie dwoje młodych ludzi.

— Przepraszamy bardzo, jak trafić na ulicę...

— Jaka, jaką? — nie dosłyszałem rozkojarzony. Obok nas przystanął nieduży staruszek o lasce, mocno przechodzony, ale wciąż jeszcze dziarski „kaźmirski chłopok”. Na oko mógł mieć z siedemdziesiątkę, może więcej.

— Musicie się cofnąć — wtrącił cokolwiek skrzekliwie. — Przejdź przez Krakowską, dalej w Bożego Ciała, Izaaka...

— Proszę pana — wpadłem mu w słowo — proszę pana. Czy po drodze jest skład węgla? — Mój głos docierał do mnie z bardzo daleka. Poczulem zapach wilgotnego mialu.

— Coś pan? — Popatrzył na mnie, jakby zobaczył Marsjanina. — Skład węgla to tam był do trzydziestego dziewiątego roku i zaraz go zlikwidowali. Albo niedługo potem, o ile dobrze pamiętam.

Zostawiłem ich tłumaczących sobie mało zawiłą topografię okolicy. Pędziłem jak do pożaru, potrącając przechodniów i omal nie wpadając pod tramwaj.

Te litery na ścianie, te litery, tłukło mi się po łbie. Wiedziałem już, co oznaczają. Musiałem tylko rzucić na nie okiem. Trochę dalej był skład węgla. Tam stało się coś ważnego.

Coś...

Bez tchu dopadłem bramy, w którą musiałem skręcić kiedyś, przed ponad dwudziestu laty. To była ta brama. W sieni nadal utrzymywał się ten sam kwaśno-cierpki zapach albo bardzo chciałem go poczuć spod nawarstwionych nań innych zapachów, smrodu kotów, moczu, bimbru, nędzy. Skład węgla musiał być na dole. Gdzieś tu. Rozglądałem się niepewnie. Ten korytarz zapewne był wtedy szerszy, tworzył obszerną sień. Pewnie potem zabudowali ją, ale pierwotnie skład węgla musiał się mieścić właśnie tu. Nie gdzie indziej. Zerknąłem po oknach na pierwszym piętrze. Były od bardzo dawna niemyte. W jednym z nich brakowało szyby. Te dwa okna z lewej i jeszcze dwa następne z brzegu. Głęboko wciągnąłem i wypuściłem powietrze, jakbym otrzymał nagły cios. Z okna powiewała firanka. Te okna, ta firanka, te okna, ta firanka... Coś działo się w mojej głowie. Przytrzymałem się ściany, by nie upaść. Na wystającym kawałku brudnego, wyblakłego materiału widniał nie dający się odcyfrować z odległości deseń. Ale ja znałem ten wzór. Na razie nie potrafiłem go tylko odtworzyć. Jeszcze nie. Lecz już za chwilę proste, geometryczne figury odżyły na dobre w mej pamięci. Nie, nie w pamięci. Gdzieś głębiej.

\* \* \*

W domu Majewski powitał mnie dobrą nowiną.

— Zdobyłem materiał — oznajmił tryumfalnie.

— Fajnie, panie Majewski. Bardzo fajnie. Drogo pan zapłacił? — udałem zainteresowanie. Prawdę mówiąc, koszty nie interesowały mnie wcale.

— Iii tam, szkoda gadać. — Machnął ręką. — Dostałem od jednego kumpla z dawnych czasów. Gorzej z tym, że środek biurka jest taki schetany. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak tam ma być.

— Niech pan zrobi tak... — Narysowałem mu schemat. — Ciemniejsze niech idzie na boki, jaśniejsze do wewnątrz. A sam środek, ten romb, ma być czarny.

— Zgrabnie to pan wykombinował. Będzie pasowało do brzegów. Ranty też zrobimy w czerni. Już pańska babcia mówiła, że z pana zdolny chłoptaş, jak pan rysował tych rycerzy, nierycerzy i te postacie z dużymi oczami.

— Postacie z dużymi oczami? Nie pamiętam.

— Wszyscy ludzie na pana rysunkach mieli duże, jakieś podłużne oczy z wyraźnym konturem. Nawet chyba wziąłem sobie jeden z tych rysunków na pamiątkę do domu. Pewnie gdzieś go jeszcze mam. Bo dzieci tak nie rysują. Bo jak dziecko rysuje twarz, to robi kropki zamiast oczu i kreskę zamiast ust. Na głowie też rysuje kreski, niby włosy. A pan rysował te podłużne oczy, wyraźne, choć zawsze takie same usta, no i wszyscy mieli ni to czapki, ni to hełmy. A oczy zamalowywał pan w środku albo na czarno, albo na zielono. Aż się babcia pańska trochę z tego śmiała. Że niby pan im zakleja te oczy plastrami.

— Nie pamiętam tego. Zupełnie nie pamiętam. Ale teraz, jak pan zaczął o tym mówić, to jakby coś mi się zaczęło przypominać. To musiało być cholernie dawno.

— Pan był wtedy bardzo mały. Wszyscy ludzie się dziwili, że takie małe dziecko rysuje i że takie dziwne rzeczy mu wychodzą. Za przeproszeniem, omal w majtki pan jeszcze walił, a już pan rysował. No, może ciut przesadzam, ale niewiele. Ja wtedy robiłem u państwa serwantkę. Dobrze zrobiłem i spodobała się moja robota. No to dali mi meble do remontu i pan pamięta te meble. A ja pamiętam wcześniej. Bo meble reperowałem ze dwa lata po serwantce. Mama pańska chciała pana oddać na naukę rysowania i malowania, ale tam powiedzieli, że za wcześnie. Zresztą babcia była przeciwna, bo ona z kolei od początku chciała wy kierować pana na skrzypka. Grywa pan jeszcze na skrzypcach? — zainteresował się.

— Grywam czasami.

— To niech pan zagra — poprosił nieoczekiwanie. — Ależ pana dręczyli tymi skrzypkami.

— Dziwnie pan gra — stwierdził, gdy skończyłem. — Ja się na tym nie znam, ale jakaś ta muzyka... — Nie potrafił znaleźć odpowiedniego określenia. Nie podobała mu się moja powracająca melodyjka z wariacjami, ale nie chciał tego powiedzieć wprost.

— Nie leży panu, co?

— Bez urazy, ale faktycznie nie leży. Za nerwowa jakaś, za dziwna. Nie po naszymu pan gra.

Zamknąłem futerał i wdziałem najbardziej dziadowską marynarkę z mej kolekcji strojów dziwacznych a praktycznych.

— Możliwe, że wrócę późno. Niech pan schowa klucz pod słomiankę, jak pan będzie wychodził — poleciłem Majewskiemu i poszedłem się napić.

Bar „Kazimierz” składał się z dwóch części. W pierwszej z nich postawiono szynkwasy i gablotę wypełnioną podejrzanymi sałatkami o osobliwym kolorze, połówkami jajek z wbitymi w nie zapałkami i podobnie potraktowanymi kawałkami ongiś żółtego sera pokrojonego w kostki. W tej salce nie było stołów i krzeseł. Najwyżej można sobie było oprzeć kufel o wąską ladę ciągnącą się pod ścianą. W ciasnym pomieszczeniu kłębił się tłum niedopitych meneli i lumpów, „kaźmirskich chłopoków” i podejrzanym indywiduów spędzających nad jednym kuflem całe popołudnie. Druga sala była większa i nazywała się „konsumpcyjna”. Różniła się od pierwszej tym, że konsumowano w niej nie piwo, a wódkę, i nie stojąc, a przy stolikach. Pod gorzałę trzeba było sobie zamówić

jakiegoś popychacza w rodzaju stuletniego bigosu lub mielonego obrzydliwca. Unikałem tamtej sali z kilku przyczyn. Po pierwsze, nie miałem ochoty na zagrychę. Pewnego dnia skusiłem się na pieczeń rzymską z grzybkami, a ona wspominała mnie potem dotkliwie mimo usilnych prób neutralizowania jej spirytualiami. Po drugie, kelner oszukiwał. Nie miałbym o to pretensji, gdyż każdy orze, jak może, a on nie miał tu od kogo otrzymywać napiwków. Ale jego ręce zawsze były brudne, za paznokciami nosił żałobę po kocie, czerwony nos wycierał w paluchy i pierdział głośno podczas serwowania potraw, co było zabawne tylko za pierwszym razem i tylko do pewnego stopnia. Trzecia przyczyna miała podłoże czysto strategiczne — trudniej się było stamtąd ewakuować w wypadku rozróby. A takie zdarzały się często. Nie widziałem żadnej realnej przyczyny, by w nich uczestniczyć.

Stawałem sobie w pierwszej salce i wpasowywałem się w tłum. Żłopałem piwo, słuchając — nie słuchając, myśląc — nie myśląc.

Nie miałem nic wspólnego z idiotycznym światem stworzonym przez płaskich, głupich, żalonych półludzi przychodzących tutaj.

Ich płytkie sądy, rozmowy o niczym, drażliwość w sprawach tego, co nazywali honorem (a jakież to był honor, pożał się Boże), kłótnie i bójki, którym oddawali się z upodobaniem, wszystko to, co składało się na nich takich, jakimi byli i jakimi mieli pozostać, napawało mnie odrazą i pogardą.

Dlaczego więc tu przychodziłem? Chciałem się poczuć lepszy na ich tle? Może i tak. Ale w takim razie dlaczego paliłem „Sporty” i ubierałem się po dziadowsku?

O kilka ulic dalej miałem wygodne mieszkanie. Na strzeżonym parkingu stał opel kapitan. A lazałem między ten tłum. Między to bydło.

Dlaczego? — zastanawiałem się coraz częściej. Próbowiałem tłumaczyć swe postępowanie wrodzoną skłonnością do socjologii stosowanej. Tylko że tam nie było nic wartego obserwacji i badania. Sprowadzone do najniższych z niskich instynkty nie miały w sobie nic zajmującego już po pierwszych dwóch seansach. To nie było to.

Więc co? — zadawałem sobie pytanie.

Nie wiem, odpowiadałem.

W pobliżu bufetu zaczął się tumult. Młody, dobrze ubrany byczek kłócił się z barmanką. Nie był stąd. Nie znał reguł gry. Zaraz otoczyło go kilku miejscowych. Czekali na taką okazję i doczekali się. Teraz odwlekali tylko moment ostateczny, delektowali się sytuacją. Znałem dobrze scenariusz. Podobnych spektakli widziałem już wiele tu i gdzie indziej. Wszystkie były do siebie bardzo podobne. Dlatego teraz obojętnie przyglądałem się przygotowaniom do małej egzekucji. Obcy chciał coś tłumaczyć, wyjaśniać.

— O co chodzi panowie? O co chodzi? Ja tylko chcę resztę i nic więcej.

Frajer.

Potem popełnił drugi błąd. Na ostrzegawczo–prowokujące pchnięcie w ramię, stanowiące zarówno coś w rodzaju probierza zachowań ofiary, jak i uwerturkę przed właściwym koncertem — tak zwaną „mukę” — odpowiedział tym samym. Zamiast przydzwonić w mordę zaczepiającego ile siły i natychmiast spierdzielać jak najdalej. Przebicie się przez tłum pijących było trudne, ale nie niemożliwe dla zdesperowanego osiemdziesięcio-, może dziewięćdziesięciokilogramowego samca. Ale on próbował bronić swoich racji albo godności. Dlatego się stawiał. Głupi. Jednocześnie po oczach poznałem, że się boi. Widzieli to również osaczający go coraz ciałniejszym kręgiem napastnicy. Akurat im nie zależało na udowodnieniu żadnych racji.

Chłopcy dobrze wiedzieli, co robić z „ręcami i nogamy”. W okamgnieniu przybysz znalazł się na ziemi. Pierwsza trójka zgodnie kopała leżącego. Karali go za porządne ubranie, za odżywiony wygląd, za gładką twarz. Pozostali przyglądali się w milczeniu, czekając na swoją kolejkę.

— Może wystarczy, panowie? — zaryzykowałem. — To szczaw i śmierzdel.

— Ty też chcesz wpierdolić obskoczyć? — zaproponował konkretnie najbliższy, zły, że zawracam głowę i przeszkadzam w zajęciach sportowo–dydaktycznych.

— Nie chcę — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Zostawiłem niedopite piwo sąsiadowi z lewej strony i wyszedłem.

Nie spiesząc się, wędrowałem pustą uliczką. Naraz za sobą usłyszałem tupot.

Gonili mnie? Nadstawiłem ucha gotów do ucieczki. Nie. Biegł tylko jeden człowiek. Przystanąłem pod murem i udałem, że sikam. Zatrzymał się za mną i czekał, aż skończę. To było z jego strony ładnie, szlachetnie.

— Daj się odlać spokojnie — poprosiłem cicho, odwracając się jednocześnie i waląc go czołem w nasadę nosa.

— Dobrze weszło — ucieszyłem się, widząc, jak pada, trzymając się za twarz.

— Dlaczego mnie zaczepiasz? — spytałem. — Przecież nie zrobiłem ci nic złego?

Potem skopałem go okrutnie i bezlitośnie, tak jak on kopał z kumplami tego tam, w barze. Tyle tylko, że ja czyniłem to dużo bardziej metodycznie i ze znacznie większą znajomością anatomii. Zadowolony z siebie poszedłem do domu i wyciągnąłem skrzypce. Trochę sobie pograłem. Potem rozsiadłem się przy biurku i tak siedziałem przez jakiś czas. Wyciągnąłem jedną szufladkę, potem drugą. Było bardzo funkcjonalne, choć na moje potrzeby nieco zbyt wielkie. Pięknie prezentowało się teraz. Lubilem je. Lubilem nie tak, jak lubi się nowo nabytą rzecz.

— Moje biurko. — Poglądziłem gładką powierzchnię. „Będzie wypucowane do perfidii”, przypomniałem sobie zapewnienie Majewskiego.

— Do perfidii — powtórzyłem głośno i zaśmiałem się. Odpowiedziało mi odbite wysoko echo. Mieszkanie miało ze trzy i pół metra wysokości i prawie nie było umeblowane. Prosty stół i dwa krzesła w kuchni, leżanka w pokoju południowym, to było wszystko. Teraz do pokoju środkowego doszło biurko. Nagromadzone pieczołowicie łupy zajmowały najmniejszy, północny pokój. Było więc moje mieszkanie duże i prawie puste jak — nie przymierzając — bęben. To dawało pogłos. A ten śmiech nie był mój. Zamiast niskiego, grubawego „he, he, he” usłyszałem coś pomiędzy radosnym „ha, ha, ha” a „hi, hi, hi” ze dwie oktawy wyżej.

— Ho, ho, ho — zawołałem w ramach eksperymentu akustycznego, lecz tym razem nie dostrzegłem żadnych anomalii. Zagrałem sobie jeszcze jeden melancholijny kawałek, bo niespodziewanie zrobiło mi się smutno. Potem poszedłem spać.

\* \* \*

Wszyscy są przestraszeni. Siedzimy przy okrągłym stole i boimy się bardzo. Bo oni zaraz przyjdą, a my nie mamy się czym wykupić. Bo tatę wcześniej dał im to, co udało mu się zabrać z domu na Krzywej. Miał taki woreczek, w woreczku pierścionki i pudełeczko. A w pudełeczku kamyki. Te kamyki to były rubiny. Takie od zegarków. Malutkie. Ale było ich bardzo wiele. Całe pudełeczko malutkich, czerwonych kamyczków. One wyglądały jak robaczki w tym pudełeczku. Ale nawet jakby tatę miał jeszcze ten woreczek albo trochę miękkich, albo lepiej twardych, to też by nas wzięli, bo jest już za późno. Bo oni teraz będą brali wszystkich. My wiemy, my wszystko wiemy. Oni czasem najpierw mówią, że na wieś, że na wywczas w takie specjalne miejsce, gdzie jest dużo jedzenia i zdrowo. Tak mówią. Ale my wiemy i tak. Mówił nam jeden oficer. Bo oni nie wszyscy są źli. A ten był z Austrii i nazywał się Karl Weinisch. On raz przyszedł naprawić zegarek do tatę, a ja akurat — nie byłam w geszeft i potem on przychodził, chociaż ja myślę, że jego zegarek wcale już nie był popsuty, tylko on tak mówił, żeby przychodzić i żeby mieć po co przychodzić, jakby inni pytali, po co on przychodzi do Żydów. A o mnie mówił, że jestem piękna i

żebym na siebie uważała, bo jestem jeszcze bardzo młoda. No to ja uważałam. Ale teraz już nie uważam, bo nie ma co jeść i wszyscy są głodni, i ja już... Nie uważam, żeby było co jeść. Oni zaraz przyjdą po nas i dlatego boimy się, i wszystko mamy przygotowane, tylko że nie bardzo było co przygotować, bo my już nic nie mamy. A może to nie jest prawda, co pan Karl mówił z tatę? Może straszyl tylko? Ale po co on by straszyl właśnie nas? Pan Karl przychodził do tatę i myślę, że on miał interes, bo przychodził to z jedwabiem, to z takim papierem do pisania listów w dużych paczkach, to z pomadkami, to z winem, to z innymi rzeczami. Oni dużo razem mówili po cichu. A o mnie mówił, że jestem piękna, za każdym razem, jak przychodził. Raz słyszałam, jak tatę i marne mówili o nim i o mnie, kiedy myśleli, że ja nie słyszę. Oni długo mówili z sobą i nie wiedzieli, co trzeba zrobić. No bo jak pan Karl przychodził, to on tak patrzył na mnie, że było widać, co on sobie myśli. Ale wcale nie był bezczelny. Był bardzo grzeczny. I dlatego ani tatę, ani marne nie wiedzieli, czy mnie schować, jak on do nas idzie, czy też nie. Ale marne raz powiedziała, że będzie, co będzie, i nie kazała mi się chować. Aż kiedyś nas zostawili samych bez nikogo. A potem Karl powiedział, że on przyjedzie po wojnie. Że przyjedzie. Po mnie. I że się ożeni. Ze mną. On jest młody i ja wiem, że on nie kłamał wcale, bo on już nie potrzebował tak kłamać. Mówił też, że trzeba uciekać i że on spróbuje kogoś znaleźć, kto pomoże za pieniądze. Ale któregoś razu on nie przyszedł, chociaż miał przyjść, i potem nie przyszedł już nigdy. A jeszcze potem to nas wyrzucili bez rzeczy i nie mieliśmy już domu na Krzywej ani wcale nic. I wtedy przestałam na siebie uważać, bo zostaliśmy bez niczego i nie było co jeść. Bo tych, co tu mieszkali, to też zabrali bez rzeczy jak nas, tylko że dalej. Może na tę wieś, na te wywczas. Ale Karl mówił, żeby nie wierzyć i żeby się wykręcać, i nie dawać wywieźć, i dlatego tatę dał te rubiny, żeby nie wywozili jeszcze całkiem, i już nie mamy nic. A oni przyjdą zaraz. Już idą. Już ich słyszać na schodach. Oni już idą. Idą po nas.

Obudziłem się zlany potem. Na granicy snu i jawy majaczyły w mroku ulatujące, niknące postacie, okrągły stół i unoszący się nad nimi, omal namacalny strach powodujący gwałtowne bicie serca. Nigdy nie paliłem w łóżku. Teraz jednak sięgnąłem po papierosy. Kilka razy sztachnąłem się jak samobójca. Uspokajałem się z wolna.

— *Techomes jechasjumo...*

— Co?! — Usiadłem jakby pchnięty jakąś sprężyną. — Co? Kto tu?

— *...jordo bymekolos kemo oven* — odpowiedziała ciemność.

Co mogły oznaczać słowa, które usłyszałem? Kto je powiedział? Nie miałem wątpliwości co do tego, kim byli i na co oczekiwali zgromadzeni wokół okrągłego stołu ludzie. Nie pamiętałem ich twarzy, oprócz tej jednej, twarzy młodej dziewczyny z cieniem dziwnego uśmiechu w ciemnych oczach. Tę zapamiętałem dobrze, gdyż tylko ona odwróciła się do mnie jak aktor do widza, podczas gdy inni opuścili głowy, zamierając w fatalistycznym bezruchu i zasłaniając swe oblicza gestem zwątpienia i rozpacz. Ona wstała od stołu i przeszła do pokoju obok. Wychodząc, spojrzała na mnie. Byłem tego pewien. Wykonała też ręką niedokończony, niedomknięty gest, który mógł oznaczać „żegnaj”, lecz oznaczał „jeszcze się zobaczymy”. Przynajmniej taką miałem nadzieję, gdyż była to dziewczyna z moich dziecięcych snów.

\* \* \*

Nowy dzień rozpoczynałem niechętnie i bez entuzjazmu. Z uczuciem łagodnego kaca fizycznego i dużo bardziej dotkliwego — moralnego. Ubierałem się, mamrocząc pod nosem rozmaite brzydkie wyrazy.

Majewski już dłuwał przy biurku, robiąc ostatni szlif, a ja jadłem jajecznicę i popijałem ją piwem, bo mi zabrakło herbaty. Myślałem ze wstrętem, że życie jest jak srajpapier: długie, szare i do dupy. Nie mogłem też sobie darować wczorajszej akcji po niefortunnej wizycie w barze.

Po coś się mieszał, palancie? — wymyślałem sobie. Po coś go jeszcze skopał?

Bo się należało skurwysynowi, odpowiedziałem.

Nie wystarczyło ci, że dostał ze łba i padł jak strucla?

Nie. Ich należałoby wytepić, wybić do nogi, pętało mi się ponuro po mózgowicy.

Przecież to ludzie. Wstrętni, ale przecież ludzie.

Nie, to nie ludzie. Człowiekiem jest się wtedy, kiedy ma się powody do życia. Oni ich nie mają. To było. Wstrętne, żalosne i zbędne, a nawet szkodliwe. Tak, tak. Przede wszystkim szkodliwe — usprawiedliwiałem przed sobą własny postępek, własne myśli, własne poglądy niespodziewanie uwolnione spod kontroli.

Pieprzyć normy etycznie — moralne, myślałem. One są dobre tylko w stosunku do tych, którzy je wyznają. Ci tam nie mają żadnych norm, żadnych zasad. Są mierzwą. Dlaczego więc mnie miałyby obowiązywać jakiegokolwiek zasady w stosunku do nich? Naraz przypomniałem sobie głos, który usłyszałem w ciemności.

Jak to było? Nie potrafiłem odtworzyć skomplikowanego zdania pomimo wielkich wysiłków. Bueee, beknąłem z niesmakiem i chciałem znów walnąć się na wyrko.

*Techomes jehasjumo jordo bymekolos kemo oven*, zabrzmiało znów, ale tym razem wewnątrz, w środku mojej głowy.

Wyrwałem ołówek z ręki osłupiałego Majewskiego i jak umiałem zapisałem dziwne słowa na kawałku gazety. Teraz miałem je czarno na białym.

Znałem pewien antykwariat na Starym Mieście. Wydawało mi się rzeczą logiczną, że zasuszony jak mumia antykwariusz, którego pamiętałem jako wiekowego jeszcze sprzed okresu mej omal dwudziestoletniej emigracji, będzie wiedział, co oznacza zanotowany byle jak cytat. Wyglądał na bardzo uczonego, a co najważniejsze, był starozakonny. Przynajmniej tak mi się zdawało. W Polsce nikt teraz nie nosił ani pejsów, ani cokolwiek zabawnych strojów, jakie widywałem w Stanach. Tam z kolei nikt się niczemu nie dziwił, przynajmniej jeśli chodziło o ubiór.

Nieważne, czy jest Żydem, czy nie, myślałem. Ale jeśli jest taki mądry, na jakiego wygląda, to będzie wiedział, co oznacza usłyszane przeze mnie zdanie. Oczywiście, jeśli oznacza cokolwiek. Przecież to może być kompletny bełkot moich własnych, znękanych alkoholem zwojów mózgowych, rozważałem i taką możliwość.

— Pan szanowny sobie życzy? — spytał, popatrując sponad grubych szkielec. Akurat czytał coś, z czym najwyraźniej miał kłopoty. Odniosłem wrażenie, że przeszkadzam mu okropnie, i zrobiło mi się głupio.

— Ja bardzo przepraszam. Mam nietypową sprawę. Chodzi mi o tłumaczenie. To oderwany fragment, dość przypadkowy, ale ważny.

— Tu pan nie możesz przetłumaczyć. Tu pan możesz kupić starą książkę — wyjaśnił. — A co pan potrzebujesz tłumaczyć? — zainteresował się.

— To jest coś starego, coś niezwykłego. Jedno krótkie zdanie. Nikt inny nie chciał się podjąć tłumaczenia — plotłem. — Dopiero pan...

— A w jakim ono jest języku?

— Właśnie zapomniałem powiedzieć na początku. To jest według mnie zdanie hebrajskie. Mam je zanotowane, o, tu. — Pokazałem mu świstek. — Pan zna hebrajski, prawda?

— Znam również grekę i łacinę, i niemiecki, i rosyjski. — Wyprostował się dumnie, przesuując dłońmi po zapadłej klatce piersiowej. — Niech pan da to pismo.

— To z Księgi Mojżesza — oświadczył, ledwie spojrzawszy. — Powinno być zapisane tak... — Rzucił na papier kilkanaście znaków z prawej strony do lewej.

— Ale co oznaczają, co oznaczają te słowa? — niecierpliwiłem się.

— „Otchłanie ich pochłoneły, przepadli w głębinach jak kamień”. Skąd pan...

— Dziękuję, bardzo dziękuję. Naprawdę bardzo mi pan pomógł. — Nie dałem mu skończyć pytania. Nie chciałem mu tłumaczyć wszystkiego od początku. Zajęłoby mi to zbyt wiele czasu. Musiałbym zacząć od dzieciństwa, od mej pierwszej wyprawy na Kazimierz, od wcześniejszych jeszcze poszukiwań.

— To było dla mnie bardzo ważne — zapewniłem, wycofując się tyłem. Co więcej mogłem powiedzieć człowiekowi, choćby nie wiem jak mądrymu?

Szedłem zamyślony, nie patrząc, którędy ani dokąd idę. Nogi niosły mnie same, ciągnęły jak dobry koń ciągnie wóz z pijanym woźnicą wprost do rodzinnej zagrody. Zaleciał mnie zapach „pypków” na gęsim smalcu. Podniosłem wzrok. Na Krakowskiej mały był jeszcze ruch o tej porze. Weiss („Sprzedaż Wiktuałów”) kłócił się zajadle z Holzerem („Obuwie damskie i męskie”). Oni często żarli się z samego rana, skakali sobie do oczu, wymachiwali rękami. Tak było zawsze, dopóki nie pojawił się pierwszy klient. Weiss miał swój geszeft obok Holzera, po sąsiedzku, przez ścianę. Opodał przysłuchiwał się Susser („Skład win — Susser i synowie”). Poważnie gładził brodę i słuchał, milcząc. Tylko słuchał. Jak zawsze. Za to jego syn gadał jak nakręcony. Z zakładu dochodził jego nosowy głos. On poszedł w matkę z tym swoim gadaniem. U Girsza i Gronnera („Fabryka wędlin koszernych, codziennie świeże kielbaski na miejscu i na wynos”) też jeszcze nie było nikogo. Stary Grinbaum przysiadł przed witryną i wsparty o laskę usiłował grać się w rachitycznych, zbyt wczesnych promieniach słońca. Na rogu niewidomy skrzypek grał jakąś rzewną melodię. Jego muzyka mieszała się z głośnym, zawodzącym śpiewem dobiegającym z otwartego okna na pierwszym piętrze. Dwie dziewczyny śmiały się głośno, pokazując palcami coś, czego nie widziałem. Zaraz zza zakrętu wynurzył się Szloma Rubinstein, syn akuszerki. On miał feler w mowie i tak wielkie pecełe, że dziewczyny śmiały się z niego, a nie do niego. U wrót synagogi żebrak mamrotał swoje prośalne pomruki. Nieco dalej był sklep, w którym kupowałem makagigi. Już dochodziłem, już wspinałem się po schodkach...

Trzask! Czar prysnął!

Nie było sklepiku. Nie było żebraka. Gdzieś podziały się chichoczące dziewczyny. Stałem przed zabita deskami witryną. I nie pachniało już „pypkami” na gęsim smalcu ani makagigami, ani rodzynekami, ani śledziami. Gdzieś odeszła kakofonia kłócących się ze sobą, lecz znajomych i przyjaznych zapachów. Przepadło tamto miasto i żyjący w nim ludzie. *Techomes jechasjumo jor — do bymekolos kemo oven*. Okryła je otchłań zapomnienia, zalała fala innych ludzi, nieświadomych przypadłej im roli hien i sępów, ostatnich grabarzy obcej, a przez to niezrozumiałej kultury. Wszystko utonęło w odmętach dziejów. Jak kamień.

Cofnąłem się w Krakowską. Bar „Kazimierz” przywitał mnie nową wywieszką na wystawie.

„Zapraszamy na napoje mleczne” — przeczytałem koślawe kulfony na brudnej kartce wyrwanej z zeszytu w kratkę i pewnie byłbym parsknął śmiechem, bo czego jak czego, ale napojów mlecznych nikt akurat tutaj nie szukał. Ale zaraz pomyślałem o „codziennie świeżych kielbaskach na miejscu i na wynos” i odechciało mi się śmiać. Bo w tych murach, pod tym łukowatym stropem, Girsz i Gronner mieli swój handel jeszcze przed chwilą.

Zamówiłem piwo. Po dwóch łykach przestało mi smakować. Poczulem się jak w grobowcu.

Nie będę tu więcej przychodził. Nie będę tu więcej pił, postanowiłem. W knajpie było jeszcze prawie pusto. Może dlatego poczułem ich obecność szczególnie mocno. Bo oni byli tu wciąż. Popołudniami i wieczorami ginęli w pijanym tłumie ludzkiego śmiecia, w hałasie przekleństw i wrzasków, w smrodzie najtańszych papierosów i zastarzałego potu.

Odstawiłem niedopity kufel, na który już od dłuższej chwili popatrywał łapczywie podpierający ścianę dziadek, i wyszedłem.

\* \* \*

Majewski właśnie ukończył robotę. Przecierał miękką szmatką lśniące płaszczyzny, ścierając z nich wymaginowane pyłki.

— Doskonale, doskonale, panie Majewski — pochwaliłem. — Wiedziałem, że mnie pan nie zawiedzie. Ile jestem winien ostatecznie?

— Wypadło więcej, niż myślałem z początku, bo więcej było roboty. Myślę, że dwa tysiące i dwieście nie będzie za mało — krępował się mocno.

— Nie będzie i za dużo. — Doliczyłem pięć paczek, górką. — Jestem bardzo, ale to bardzo zadowolony — wyjaśniłem, widząc jego zdziwienie. — Niech pan przyjmie jako premię, dobrze?

— Ale to dużo. To dużo za dużo — protestował dość szczerze.

— Za taką robotę nie za dużo. Nie jestem taki biedny, na jakiego wyglądam — dodałem, by nie dostał wrzodów na sumieniu.

— Jakby pan miał coś więcej w podobnym guście, to niech pan da znać. Nikt panu lepiej nie zrobi. U pana dobrze się pracuje, bo co do czasu dajesz pan folgę, na ręce nie patrzysz i w ogóle. — Wykrzywił się porozumiewawczo.

— Komu jak komu, ale panu na ręce nie będę patrzył. Pamięta pan, jak mnie przy panu kiedyś zostawili? Będzie ze trzydzieści lat temu. Albo lepiej. Śniadanie mi pan wtedy zrobił. Pamięta pan?

Majewski pociągnął nosem, jakby się miał zaraz rozplakać, i tęsknie zerknął na barek.

— Co pan powie na wężówkę? — Sądziłem, że w ten sposób go splawię, gdyż nieoczekiwanie dla samego siebie zachciałem być sam. Odczułem jakiś nienaturalny, dziwny niepokój, pozbawiony konkretnego źródła.

— Co mam powiedzieć? Jak inni piją, to i ja mogę. Wężówkę też.

Wypiliśmy więc wężówkę i pół litra czystej — ojczystej. Stary stolarz trzymał się mężnie.

— Jakby pan miał coś podobnego, to tylko do mnie, tylko do mnie — powtarzał.

— Się wie — podchwyciłem jego powiedzonko. — Jak będę miał jakąś większą robotę, to tylko do pana. Duperelami nie będę zawracał panu głowy. Ale z poważną sprawą tylko do pana — zapewniłem i rozstaliśmy się. Oczekałem, aż na schodach ucichło jego człapanie, i zamknąłem drzwi. Było mi czegoś żal, a jednocześnie czułem się bardzo szczęśliwy.

Biurko pyszniło się przede mną przywróconą mu urodą. Ocalone fragmenty odświeżone warstewką nowej politory niedostrzegalnie łączyły się z dodanymi detalami w harmonijną całość. Wodząc po nim dłonią jak po gładkiej tafli lodu, nie potrafiłem wyczuć żadnych rys, żadnych nierówności. Majewski okazał się mistrzem nad mistrzami.

Wykręciłem numer centrali telefonicznej. Miałem w Wiedniu kolegę. Pomyślałem, że dobrze byłoby coś sprawdzić.

— Połączenie otrzyma pan za dwie i pół godziny — oznajmiła zakatarzona niewiasta w słuchawce. — W jakim języku będzie rozmowa?

Zazwyczaj w takich wypadkach informowałem, że będę używał wschodniego dialektu Bantu albo Kiswahili. Wyobrażałem sobie konsternację paniąki telefonistki i minę etatowego pana słuchacza oraz parę innych jeszcze, równie krzepiących rzeczy. Czasem próbowałem obliczać, ile kosztuje utrzymanie armii takich palantów i darmozjadów, ale gubiłem się w rachunkach.

— Będę rozmawiał po polsku — oświadczyłem tym razem zgodnie z prawdą. Byłem daleki od robienia sobie jaj z kogokolwiek. Czekać na połączenie, skracałem sobie czas popijaniem piwa.

— Słuchaj! — wrzasnąłem bez wstępów, gdy usłyszałem głos Romka. — Muszę mieć wszystko, co uda się zebrać na temat faceta, który nazywa się Karl Weinisch.

— Wszystko, to znaczy co?

— Czy żyje, a jeśli tak, to czy był w Krakowie podczas wojny?

— Czyli chodzi o kogoś starego?

— Tak, ale nie bardzo starego. Wtedy mógł mieć około dwudziestu pięciu lat, a na pewno nie więcej niż trzydziestkę.

— Czyli teraz miałby około siedemdziesiątki?

— Tak jakby. Zależy mi na nim.

— Mogę wiedzieć, po co ci on?

— Mamy wspólnych znajomych. Załatwisz mi to?

— Spróbuję. Zadzwoń, jak będę coś miał.

Zadzwoił już nazajutrz.

— Mam twojego Weinischa. Namordowałem się, bo w Wiedniu, w książce telefonicznej, znaczy się, jest trzy strony Weinischów, w tym kilku Karłów. Nasz Karl Weinisch mieszka na Porzellangasse. To przyzwoity *Bezirk*, ale nie najlepszy w Wiedniu. Ten Weinisch jest zamożnym człowiekiem i...

— Czy był w Krakowie podczas okupacji? — przerwałem mu. Nie obchodził mnie status majątkowy Weinischa, dokładnie tak samo jak to, czy ma, dajmy na to, perkaty nos lub pryszczę na tyłku.

— Był. Sporo wysiłku kosztowało mnie wyduszenie z niego tej informacji. Z początku nie chciał gadać, ale przedstawiłem się jako członek Towarzystwa Przyjaźni Polsko–Austriackiej. Dałem mu do zrozumienia, że szukam Austriaków, którzy pomagali rodzinom polskim w czasie wojny. No wiesz, coś musiałem powiedzieć, nie?

— Lepiej nie mogłeś wymyślić. Zresztą, rzeczywiście chodzi o coś podobnego, choć nie dosłownie i nie całkiem. Ale bardzo blisko. Czyli wiemy już, że facio był w Krakowie podczas wojny?

— Tak. Dokładnie.

— Czy pamięta nazwiska ludzi, z którymi utrzymywał kontakty?

— Nazwisk nie, ale wspomniał o zegarmistrzu z małej, cichej ulicy. Nie jest w stanie wymówić jej po polsku, ale skręcało się tam z Langestrasse. Ten zegarmistrz był Żydem i mieszkał tam, a zakład miał gdzie indziej. Potem zakład mu zlikwidowali i on zajął się handlem pokątnym. Tenże Weinisch zaopatrywał go od czasu do czasu z własnym, jak się domyślam, profitem. Bo przecież nie z miłości do Żydów. Potem Weinischa wysłali na front wschodni, gdzie stracił rękę. Zdaje się, że ta zsyłka miała związek z jego handlową działalnością, ale o to już nie pytałem, bo i tak by mi nie odpowiedział. On, oczywiście, przedstawił wszystko jako pomoc humanitarną, a ja zapewniłem, że dołożymy starań, aby dostał medal i dyplom dla ratujących życie ludzkie. Musiałem jakoś umotywować swoje małe śledztwo. Obiecałem mu też zaproszenie do Krakowa.

— I co?

— Ucieszył się. „Kraków, Kraków, piękne galicyjskie miasto, piękne kobiety, mili ludzie. Tam kiedyś też była Europa”. Zdaje się, że obudziłem w nim jakieś ciepłe wspomnienia. Zauważ, że nie mówił Krakau, a Kraków. To ładnie o nim świadczy, choć popsuł trochę wrażenie tym „galicyjskim miastem”.

— Doskonale to rozegrałeś. Dziękuję ci.

— Ale powiedz, skąd tak naprawdę ten Weinisch przyszedł ci do głowy?

— Widzisz, to jest długa historia i nie na telefon. Za długo bym musiał gadać. I tak bulnę jak za zboże — znalazłem wykręt umożliwiający mi przerwanie rozmowy. — Kiedyś ci opowiem... Może — obiecałem.

— Rozumiem, jasne.

— Jak będziesz w Polsce, to wdepnij do mnie.

— Ja? W Polsce? — zdziwił się. — Chyba po trzeciej?

— Jak to po trzeciej?

— Po trzeciej wojnie światowej. — Zaśmiał się. Był w Peerelu spalony jako emigrant polityczny i *persona non grata*.

— Jeszcze raz dzięki serdeczne. Zrobiłeś kawał dobrej roboty. Trzymaj się.

— Dooobra. Czeeeść. Jakbyś jeszcze czegoś potrzebował, to możesz na mnie liczyć. — Odłożył słuchawkę. Zaraz usłyszałem znamienne, cichy trzask. Widocznie pan podsłuchiwał również odłożył swoją.

Langestrasse to Długa, myślałem. Swoją drogą, nie mieli Szwabiska inwencji. Przemianowali jak leci i gites. Od Długiej odchodzi Krzywa. To tej nazwy nie potrafił wymówić Weinisch. Wszystko się zgadza. Weinischowi zepsuł się zegarek. Wstąpił do warsztatu, spodobała mu się zegarmistrzówna, więc kontynuował znajomość i chyba zaczął nawet odwiedzać ich w domu, co akurat w jego przypadku było związane z poważnym ryzykiem. Weinisch prowadził interesy ze starym. Był zbyt nieśmiały lub zbyt kulturalny, by od razu zaatakować wprost. Ale przychodził do niej, czemu nie ma potrzeby się dziwić, jeśli rzeczywiście była taka piękna. W jakiś sposób starał się ich ocalić, udzielając dobrych rad, ale możliwości miał żadne. Oni z kolei nie mieli możliwości, by z jego rad skorzystać. Nie mieli jak i gdzie uciec. Czekali więc końca, będąc w pełni świadomymi jego nieuchronności. Tyle tylko zyskali, że nie wywieziono ich od razu do getta czy do obozu, a wyrzucono z aryjskiej dzielnicy na Kazimierz, gdy jeszcze mieli się czym wykupić. Potem nie było już ratunku ani dla nich, ani dla całej reszty. Tak było. Tak musiało być. To nie interesy trzymały pana przy nich, panie Weinisch. Jakie to mogły być interesy dla pana? Dla nich — tak. Owszem. Były ważne, bo pozwalały przeżyć, a raczej przevegetować kolejny tydzień, może tylko dzień, rozmyślałem.

A pana zesłano na wschód za te interesy, panie Weinisch. Stracił pan rękę. Ryzykował pan życiem. Z powodu przyjaźni do Żydów? Nie oszukujmy się. Pan się zakochał. Tak. Zakochał w nieczystej Żydówce. Wbrew instrukcjom, wbrew kategoriycznym rozkazom, wbrew idei, wbrew samemu *Führerowi*, a pewnie i wbrew sobie, myślałem o mimowolnym okupancie, Austriaku, człowieku zapewne dość delikatnym i wrażliwym, nie do końca subordynowanym trybiku w maszynie wielkiej wojny.

Byłem troszkę pijany i dlatego wnioski, które wysnuwałem, wydawały mi się pewne, niepodważalne, a co najważniejsze — logiczne, zwyczajne, wpływające same z siebie, łączące w sensowną całość sny i realia. Nie budziły ani wątpliwości, ani zdumienia.

Tak było. Tak musiało być, powtarzałem, sącząc piwo i wypalając mnóstwo papierosów.

\* \* \*

Zapadał zmierzch. Nie włączałem światła. Mijały minuty, godziny. Siedziałem bez ruchu, wpatrzony w mrok. Czekałem. Wyczułem raczej, niż usłyszałem, szelest drobnych kroków. To była ona. Dziewczyna o smutnym uśmiechu, dziewczyna o migdałowych oczach, patrzyła na mnie spod długich rzęs, spod cudownie regularnych brwi. Znów stała w drzwiach, tych samych, za którymi zawsze znikwała. Tym razem weszła do środka, nie zamykając ich. Poszedłem za nią. Pod oknem stała maszyna do szycia. Nieco z boku pod ścianą widniało biurko. Było masywne i zarzucone skrawkami materiału. Leżały na nim duże krawieckie nożyce. To było moje biurko z kaukaskiego orzecha. Poza nim, maszyną do szycia i jednym kulawym krzesłem w pokoju nie było innych sprzętów. A potem nie było i dziewczyny. Nie było nikogo. Szmaty poniewierały się po podłodze. Na blacie biurka krzepła rozległa plama krwi. Krew znaczyła też podłogę. Jej ślady prowadziły ku drzwiom i na klatkę schodową. Podążyłem za nimi. Krwią zachlapane były schody do parteru i jeszcze niżej, do piwnic.

Otworzyłem pierwszą z brzegu szufladę biurka. Wyjąłem z niej długi, cienki, zaostrowany jak dłutko śrubokręt.

Pewnie Majewski zapomniał, pomyślałem. Schowałem narzędzie do kieszeni, połknąłem szybko setkę whisky i wyszedłem w noc.

Od Wisły nadciągała mgła. Gęsty opar kładł się na miasto. Obserwowałem, jak mętne, szare kłęby, pełnąch wzdłuż Skawińskiej, powoli, bezgłośnie, pochłaniają kolejne kamienice. Lubilem taką pogodę. Mając za plecami ścianę mgły, skierowałem się tam. W cichej, bezludnej uliczce odgłos mych kroków niósł się daleko. Założyłem dziś podkute buty o wzmocnionych metalem, tępych nosach. Kupiłem je na Canal Street. Tego typu obuwie było używane przez amerykańskich robotników budowlanych, gdyż dobrze chroniło palce stóp przed zmiżdżeniem. Z bramy, do której się zbliżałem, dobiegł szmer. Zatrzymałem się. Pomyślałem, że dobrze byłoby zapalić, ale nie chciałem się oslepić. Nie teraz. Czekali na mnie. Ruszyłem do przodu. Przede mną wyrósł długi, chudy cień. Dwa inne stanęły za mną, na wypadek gdybym próbował ucieczki.

Odór przetrawionej gorzały zaleciał mnie wraz ze stęgnięciem zaskoczenia i bólu, gdy z całą siłą wbiłem śrubokręt w brzuch bandyty. Zanim zdążył upaść, okręciłem się półobrotem. Wykonując głęboki unik, zadałem jednocześnie cios do tyłu, mierząc tam, gdzie powinien się znajdować przynajmniej jeden z napastników. Lecz ich już nie było. Uciekli, widząc niekorzystny dla siebie obrót sytuacji.

Macie szczęście, robaczki. Spodziewaliście się czegoś zupełnie innego. Inaczej to miało wyglądać.

— No i co, przyjacielu mojej żony? — Pochyliłem się nad leżącym. — Teraz spokojnie mogę się zająć tylko tobą. To miłe, prawda?

Jęczał głucho, zwinięty, skurczony, zmięty jak łachman.

— Zaopiekuję się tobą, ale nie tu. Pozwól. — Ująłem go pod pachy i zawlokłem do bramy, w której on sam wraz z kolegami jeszcze przed minutą czaił się na pierwszego lepszego przechodnia. Teraz był ofiarą. — Nie wrywaj się i nie wierzgaj — uspokajałem. — To ci nic nie da. Trudno jest się poruszyć, jak się ma w brzuszku dziurkę na dwadzieścia centymetrów.

Posapywałem, krępując mu ręce na plecach jego własnym paskiem wyrwanym ze szlufek. Ułożyłem go wygodnie pod ścianą. W świetle zapalniczki ujrzałem odrażającą mordę, na której oprócz bólu widoczne było zwierzęce wprost przerażenie. Tego przerażenia było chyba nawet więcej niż bólu. Bardzo chciałem, by było tak właśnie.

— Auu — syknąłem. — Oparzyłem się w paluszek — wyjaśniłem.

Przyświecając sobie, wpakowałem mu paczkę higienicznych chusteczek pomiędzy pieńki siekaczy i dalej, w głąb śmierdzącej paszczy.

— Chyba nie masz większych polipów w nosku? — zagadywałem pieszczotliwie. — Mógłbyś mi się za szybko udusić, a ja chcę się pobawić. Dobry, dobry chłopczyk.

Miłe zwierzątko. Nie kasa — pochwaliłem, poklepując go po nieogolonym policzku. — Pewnie myślisz, że jestem pierdolnięty? Dobrze myślisz. Jestem. Ale tylko trochę.

Potem osmaliłem mu brwi i rzęsy.

— To tylko początek — uprzedziłem. Próbował pęłzać, bronić się. — To na nic. Nie uciekniesz już — uspokajałem.

Na ulicy rozległy się miarowe kroki. Nadciągał patrol milicji. Dla mnie nie byli groźni. Na ogół trzymali się z daleka od bram, a w tej na dodatek panował taki spokój. Nie mieli ochoty ani potrzeby zaglądać właśnie do niej. Na wszelki wypadek cofnąłem się nieco. Niepotrzebnie. Już przeszli. Wróciłem do jeńca.

— Widzisz, kochanieńki? Nic ci już nie pomoże. A może chciałbyś sobie krzyknąć, wezwać koleśków? Tak? Proszę. — Usunąłem prowizoryczny knebel. — Krzyknij sobie — zachęciłem.

Nateżył się, ale tylko jęknął.

— Brzuszek cię boli — szepnąłem domyślnie. — Nie możesz krzyczeć. To dobrze. To bardzo dobrze, bo mógłbyś nam ściągnąć na kark jakichś nieproszonych gości. Ale knebelek dostaniesz i tak, na wszelki wypadek. Ponownie wepchnąłem mu wilgotne chusteczki do szeroko otwartego, ciężko łapiącego powietrze pyska.

Z furią obiema nogami wskoczyłem mu na brzuch. Zbyt długo panowałem nad sobą. Teraz deptałem wstrętnego insekta, unicestwiałem wielką wesz.

— Ty skurwysynu, gnojku, parszywcu, kanalio. Ty gnido, chuju posrany, cwelu, parowo, śmierdzieliu, śmieciu. — Dyszałem wściekle, czując, że czubek buta raz po raz zagłębia się w ciało, miążdży wątrobę, łamie zebra.

Kolejnym kopnięciem trafiłem w twarz. Usłyszałem trzask pękających chrząstek.

Dobrze ci tak, pomyślałem z mściwą satysfakcją. To, co niszczyłem czysto fizycznie, było ucieleśnieniem wszystkiego, czego nienawidziłem wielką nienawiścią. Do dziś nie zdawałem sobie sprawy z jej rozmiarów.

Już się nie ruszał. Naskoczyłem mu jeszcze obiema nogami na głowę. Coś chrupnęło. Ująłem trupa za stopy i powlokłem w dół. Jego czerep wystukiwał po schodach powolny, głuchy rytm: stuk, stuk — stuk, stuk — stuk, stuk.

Złożyłem go w piwnicy, w której pewna młoda dziewczyna ukryła przed wielu, wielu laty trupa wrogiego żołdaka. Nagle poznałem bieg wydarzeń i ich kolejność, związek przyczynowo–skutkowy zachodzący pomiędzy nimi. One zjawily się w mym umyśle niespodziewanie wyraźne, jakby tkwiły w nim od dawna. Nie były mi już potrzebne wizje ani żadne inne obrazki pomocnicze. Całość tkwiła we mnie, jakbym sam przeżył minioną tragedię, jedną z wielu, wielu odrębnych tragedii składających się na historię narodu mieniącego się wybranym. Wiedziałem już wszystko. Wiedziałem.

\* \* \*

Kolbami i wrzaskiem wypędzili na ulicę tłum czarnych, groteskowych w swej bezradności i poniżeniu postaci. Dotarli do mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie z fatalistyczną rezygnacją oczekiwała czwórka od dawna pogodzonych z losem ludzi. Piąta, piękna, choć wynędzniała i biednie odziana, młoda kobieta, usiadła przy maszynie do szycia w pokoju obok. Nie reagowała na gardłowe „*mus, raus, schneller, wychodź prędko, prędko*”, jakby rozkazy zupełnie jej nie dotyczyły.

— *Ach, so* — ucieszył się mężczyzna, który stanął w progu.

Nie poruszyła się nawet.

— *Was ein wunderschönes Mädchen! Franz, komm mit!* — przywołał kolegę. — Co ty na to?

— *Judenhure.* — Franz wzruszył ramionami. — Trzeba sprowadzić na dół całą tę *Schweinebande.*

— Sprowadź. Ja tymczasem zabawię panią. Możesz wrócić i też skorzystać — zachęcał.

— Schodzę, ale wrócę. Pospiesz się, koleżko. — Franz mlasnął oblesnie. — Daję ci piętnaście minut.

Zaraz dał się słyszeć tupot gromady ludzkiej pędzonej sztolnią stromych schodów ku swemu przeznaczeniu. Spod okna dobiegały płacze, krzyki, pomstowania, ostre głosy komend, szczekanie psów, przekleństwa.

Żołnierz z niepotrzebną gwałtownością pchnął dziewczynę na biurko. Nie bronila się wcale. Sprawiała wrażenie uległej, bezwolnej, jakby sennej. Starala się przybrać możliwie jak najmniej niewygodną, omal zachęcającą pozycję. Mężczyzna rzucił się na nią. Jedną ręką rozpinął szeroki,

żołnierski pas, drugą już gmerał łączywie pod jej sukienką. W momencie gdy wpełził na nią, wsuwając się pomiędzy jej szeroko rozsunięte uda, dziewczyna zdecydowanym ruchem wbiła mu w plecy wyciągnięte spod skrawków materiału i szmat, długie, ostre krawieckie nożyce. Zesztywniał i wyprężył się w paroksyzmie bólu. Chciał się podnieść, lecz ona przytrzymała go, przytuliła jak kochanka jedną ręką, drugą zaś ponawiała ciosy. Krótki ryk utonął w nieprawdopodobnym jazgocie dobiegającym z ulicy.

Dziewczyna uwolniła się spod spoczywającego na niej ciężaru. Stojąc obok, nadal wznosiła i opuszczała mordercze narzędzie. Czasem trafiała w człowieka, czasem w biurko. Działała jak zaprogramowana maszyna, której ramię ma do wykonania tylko jedno jedyne zadanie. Nagle opamiętała się, rozejrzała wokół siebie, jakby szukała czegoś, co jest jej bardzo potrzebne. Przerzuciła stos łachmanów, ale nie znalazła żadnego skrawka na tyle dużego, by zawinąć weń zwłoki i zwlec je po schodach jak wór. Ujęła je więc za nogi i ciągnęła za sobą, a ich głowa stukala do taktu spazmatycznych, szarpiących ruchów: stuk, stuk — stuk, stuk — stuk, stuk.

Zgięta wpół, wytrwale jak mrówka wlokła zbyt wielki dla niej ciężar. Trup krwawił obficie. A ona ciągnęła go dalej i dalej. Tam, w piwnicy, w bocznej wnęce, złożyła swe brzemie. Wyprostowała się, z lękiem spojrziała w kierunku schodów i wyszła, zataczając się ze zmęczenia, drżąc na całym ciele. A jeszcze potem, mniej więcej po dziesięciu minutach, zabrzmiał sucho pojedynczy strzał. Franz pomścił swego kamrata.

Jakie znaczenie ma czas i jego upływ, myślałem, paląc papierosa za papierosem. Jakie znaczenie ma cokolwiek, jeśli minione — zdawałoby się — zdarzenia trwają wciąż zatrzymane gdzieś obok nas w swoim niedostrzegalnym przez nikogo bycie. Jak niewiele i jak wiele trzeba, by uwolnić je, odrzebać spod popiołu niepamięci. Co je uwalnia? W jaki sposób? Co spokojnego, dość leniwego, starającego się nie wadzić nikomu człowieka zmienia w bestię?

W miarę zadawania sobie kolejnych pytań i nie znajdowania na nie odpowiedzi ogarniał mnie spokój. Przystawały mi się trząść ręce. Wewnątrz odczuwałem jedynie niezbyt dotkliwe zmęczenie i obojętność. Otwierając kolejną paczkę elegancko opakowanej, powolnej śmierci, myślałem o niedostrzegalnych, a przecież niemożliwych do rozerwania więzach, którymi pęta nas przeznaczenie. W niepodważalnie logiczny sposób łączyłem odległe od siebie fakty. Istniał ścisły związek pomiędzy moimi nieuświadomianymi sobie, dziecięcymi poszukiwaniami a późniejszymi ucieczkami do miejsc, które odnalazłem, nie wiedząc o tym. Istniał związek pomiędzy tymi miejscami a grą na skrzypcach i tym, co na nich najchętniej wygrywałem. Moje późniejsze sympatie, sentymenty, interesy łączyły się ściśle z ludźmi podobnymi do tych, których znałem kiedyś dawno, dawno temu. Wróciłem do nich, do ludzi z czasu przeszłego. Wróciłem, by żyć pośród nich w mieście, którego nie było, choć wciąż stały te same domy i tak samo nazywały się ulice. Dotarło do mnie, że wszystko, co świadomie i mniej świadomie czyniłem, podporządkowane było określone celowi i wiodło krętymi drogami do korzeni, do punktu wyjścia.

Los, traf, przeznaczenie? — myślałem. A może dybuk? Może Aaron miał rację? Kto wie?

„Wiara to jest wiara. Tam nie ma nic na pewno”, przypomniałem sobie jego słowa.

Dlaczego jednak zabiłem tego człowieka? — zastanawiałem się jednocześnie. Dlaczego? czy po co? Bo przecież nie z zemsty. Nie on i nie jemu podobni byli winni zagładzie dawnych mieszkańców Kazimierza. Oni przyszli później. Wypełnili opuszczone domy, tak jak jakiś gatunek zwierząt wypełnia opróżnioną niszę ekologiczną. Pomyślałem też, że może podświadomie zniszczyłem w nim pewien symbol, wyobrażenie bluźniercy profanującego sacrum, ale to wytłumaczenie od razu odrzuciłem jako zbyt mądre i zbyt patetyczne. Potem zrozumiałem, że krwawa ofiara z ludzkiego bydlęcia była swego rodzaju katalizatorem projekcji i posłużyła wyzwoleniu z mego umysłu czegoś, co w niewytłumaczalny sposób znalazło się w nim. Bo przecież nie mogłem pamiętać tamtych zdarzeń. Urodziłem się już po wojnie.

Wszystko ma swoją wartość i cenę — znów posłużyłem się cytatem z Arika. „Cena nie powinna przekraczać wartości”, pouczał mnie niekiedy.

Tylko że wartość jest pojęciem względnym, dodałem od siebie. Cena akurat tego życia w zamian za poznanie tej właśnie prawdy nie wydawała mi się zbyt wysoka.

Po co jednak i na co było to wszystko? Po co miałem poznać tę prawdę?

— Wszystko ma swój cel, nawet jeśli go nie znamy — odpowiedziała dziewczyna. Znów wpatrywała się we mnie ogromnymi, smutnymi oczami o migdałowym wykroju. Zjawiała się po raz ostatni — wiedziałem, że nie ujrzę jej już nigdy więcej.

— Zaczekaj, nie odchodź, powiedz mi... — próbowałem zatrzymać ją nadaremnie. W powietrzu błędziło tylko echo jej głosu: „Idź tam, idź. Wracaj”.

— Gdzie mam iść, gdzie? — zawołałem zdesperowany. — Co jeszcze każesz mi zrobić? Zrobię wszystko, co tylko zechcesz, ale powiedz, co to ma być!!!

Odpowiedziała mi cisza.

Przez otchłań czasu doleciał do mnie śpiew kantora i melodia ślepego skrzypka z ulicy Szerokiej. Sięgnąłem i ja po skrzypce, lecz odłożyłem je zaraz. Było bardzo późno. Nie chciałem narażać się sąsiadom. Nigdy nie lubiłem zadzierać z nikim o drobiazgi.

Wrota synagogi były zamknięte. Do niedawna miał tu pracownię znany rzeźbiarz wielkich monumentów. Dziś czekała na remont, odnowę, konserwację, zdewastowana mocno nie przez rzeźbiarza, oczywiście, a przez lata zaniedbania, niechęci, brak funduszy na koniec. Była zupełnie ciemna. Mimo to zacząłem się do niej dobijać. Odłożyłem pudło ze skrzypcami i obiema pięściami waliłem w drzwi, budząc głośne echa gdzieś tam wewnątrz. Udało mi się wreszcie oprócz echa obudzić i ciecica, który otworzył mi wściekły i pijany jak bela. Zamknąłem mu gębę banknotem, więc poszedł spać i o nic już nie pytał.

Zapaliłem świecę, a od niej papierosa. Stałem zupełnie sam w pomieszczeniu, którego sklepienie ginęło gdzieś hen wysoko w ciemności. Panowała ogromna cisza. Stałem pośrodku tej ciszy, czując się jak kiedyś, jak przed laty, gdy krążąc uliczkami mego miasta, usiłowałem dotknąć tajemnicy, a ona umykała wciąż i wciąż, pozostając stale i niezmiennie na wyciągnięcie ręki. Teraz tajemnica zbliżała się sama. Ja tylko wyszedłem jej naprzeciw. Moje oczy przebijały ciemność poza zasięgiem blasku wątego płomyka świecy. Stałem w miejscu, gdzie ongiś znajdował się almemor. Oni byli tuż. Czuję ich wszędzie dookoła siebie. Uniosłem skrzypce, wsparłem policzek na podbródku, musnąłem struny mocno naciągniętym smyczkiem. Pustka i wielkość sali sprawiały, że tony mych skrzypiec stawały się potężne, zwielokrotnione, wspaniałe. Grałem. Grałem sobie, grałem im. Grałem pamięci ludzi umarłych, a przecież żyjących w tych murach, w tym mieście. Zaczęli tańczyć. Korowód postaci w tałasach z Księgami Tory w ramionach ginął w mroku i wylaniał się, nie mając początku ani końca. Byli w nim ci, których znałem i których nie znałem. Byli wszyscy. Zgromadzili się razem i było ich wielu, bardzo wielu. Więcej, niż mogła pomieścić stara synagoga. A przecież mieścili się bez trudu. Przybyli po swoje siedem *hakafoth*, siedem przepisanych rytuałem okrążeń, których nie dane im było dokończyć przed laty. Pojawiali się i znikali w ciemnościach, odchodzili w nieskończoność, a na ich miejsce przybywali wciąż nowi i nowi, jakby przerwany ongiś tan nigdy nie miał się skończyć, jakby ta noc, ich noc, trwać miała wiecznie. Aż nagle wszystko ustało. Grałem jeszcze przez chwilę, dopóki nie zrozumiałem, że gram już tylko szarzejącej ustępującym mrokiem pustce. Pierwsze ogniwo długiego, splątanego łańcucha zdarzeń połączyło się z ostatnim. Nic więcej nie mogło się już zdarzyć. A potem wstał świt.

*Maja Lidia Kossakowska*

**SZKARŁATNA FALA**

Maja Lidia Kossakowska urodzona w 1972 roku w Warszawie. Z wykształcenia jest archeologiem śródziemnomorskim, z zawodu dziennikarką, autorką fantastyki i poetką. Debiutowała w 1997 roku na łamach magazynu „Fenix” opowiadaniem *Mucha*. Od tamtej pory opublikowała kilkanaście opowiadań i mikropowieści — w „Feniksie” i „Magii i Mieczu”, a ostatnio w licznych antologiach. W 2004 roku w wydawnictwie Fabryka Słów opublikowała pierwszą powieść pod tytułem *Siewca Wiatru*, a rok później pierwszy tom cyklu *Zakon Krańca Świata*. Jej opowiadania pięciokrotnie otrzymały nominację do nagrody im. Janusza A. Zajdla, a opowiadanie *Beznogi tancerz* zostało w 2000 roku uhonorowane nagrodą Asocjacji Polskich Pisarzy Fantastów „Srebrny Glob” w kategorii „opowiadanie roku”.

Trzask pękającego metalu oznaczał, że koniec właśnie nadszedł. Los okrętu był przesądzony. Uderzenie japońskiej torpedy rozerwało kadłub na pół. Jasny, srebrzysty ślad torowy migotał jeszcze na wodzie, gdy śmiertelnie ugodzony okręt zmienił się nagle w dwie ogromne, bezkształtne bryły metalu. Niszczyciel „Storm” tonął.

Już nie wyglądał jak smukła maszyna stworzona, żeby walczyć. Stał się wielką trumną, gotową zanieść na dno ludzi, którym jeszcze przed chwilą wiernie służył.

Marynarze, którzy zdołali opuścić wrak, miotali się bezradnie w wodzie. Kołyszące się na falach czarnego, połyskliwego morza tratwy wyglądały jak zabawki. Nielicznym udało się uchwycić płytkich, metalowych burt i dostać się do wnętrza. Próbowali więc ratować rannych. Wiele rąk wyciągało się, żeby pomóc kolegom wdrapać się do środka, ale bezgwiezdna, tropikalna noc wisiała nad rozbitkami jak kir. Ciemność utrudniała jakąkolwiek akcję ratunkową.

Po powierzchni morza rozlewała się brunatna plama ropy, jakby tonący okręt krwawił.

Podporucznik Josh Talbot z całej siły uczeplił się długiej, rozszczepionej deski. Oblepione ropą palce ślizgały się bezradnie. Tańczący na fali kawałek drewna wyrwał się z rąk jak ryba. W prawym boku Talbota odzywał się nieznośny ból, ostry niczym dźgnięcie sztyletem. Oddech wiązał w gardle, ślina miała smak krwi.

Złamane zebro, pomyślał. Chyba przebiło płuco. Jezu, kiepsko to wygląda.

Daleko majaczące niczym cienie na tle nocnego nieba niszczyciele „Raven” i „Spencer” zawracały, żeby podjąć rozbitków. W oczach Talbota wyglądały jak okręty widma. Prąd zepchnął go daleko za rufę konającego „Storma”. Nie miał szans na ratunek, nawet gdyby mógł sprawnie pływać. A nie mógł. Ból w boku wzmagął się z każdym oddechem, w głowie szumiało. Sól osiadająca na wargach mieszała się z krwią, dając paskudny, metaliczny posmak w ustach.

Huk eksplozji ozwał się nagle, potężny i głęboki. Za nim natychmiast rozległy się następne, jakby po dnie kroczył niewidzialny olbrzym. To plunęły ogniem japońskie baterie brzegowe. Te, których według rozpoznania wcale tam nie było.

Żebyście wszyscy zdechli, pieprzone japońskie świnię, pomyślał rozpaczliwie Talbot.

Pozostawało jedynie patrzeć, jak „Raven” i „Spencer” manewrują, żeby nie oberwać, zbierając na pokład tyłu rozbitków, ilu tylko dają radę w tej sytuacji. I pogodzić się z myślą, że tym razem zabrakło szczęścia. Los na loterii życia dostał ktoś inny.

Josh z trudem odwrócił głowę i zobaczył, że „Storm” prawie zupełnie pogrążył się w wodzie. Wyczuł ledwie zauważalne drgnięcie pod powierzchnią, jakby cień fali, która jeszcze nie zdążyła się rozejść. I wtedy zrozumiał.

— Święty Jezu — szepnął. — Bomby głębinowe!

Potężne tąpnięcie, jakby sam Bóg trzasnął pięścią w dno morza, wstrząsnęło światem. Talbot poczuł, jak impet uderza w niego, wydziera mu z ramion deskę, zgniata niczym świstek papieru. Zalała go cuchnąca ropą woda.

A więc tak się umiera, zdążył pomyśleć, zanim ogarnął go mrok.

\* \* \*

— Panie poruczniku? — Rozpoznał chropawy, irlandzki akcent MacKinneya. — Żyje pan?

Z trudem przełknął ślinę. Wciąż miała smak krwi. Ołowiane, chmurne niebo wyglądało jak cholerne wieko trumny. Spróbował się odezwać, ale natychmiast wstrząsnął nim atak głuchego, rozdzierającego płuca kaszlu. W boku bolało tak, jakby ktoś dźgał go sięgającym niemal do serca bagnetem. Z trudem uspokoił oddech i splunął. Nie chciał patrzeć. I tak wiedział, jaki kolor ma wydzielina.

— Ktoś jeszcze przeżył? — wyszeptał.

— Tak, sir — odezwał się marynarz nazwiskiem Wiliams. — Jeszcze ja. I Johnson. Ale jest w bardzo kiepskim stanie. Nie wiemy, czy przetrzyma do wieczora, sir.

Talbot z trudem uniósł głowę. Johnson leżał obok. Twarz miał woskowo bladą, rysy wyostrzone i ściągnięte. Klatka piersiowa podnosiła się w urywanym, chrapliwym oddechu. Nie miał żadnych widocznych ran, ale wydawał się bliski przekroczenia granicy śmierci.

Obrażenia wewnętrzne, pomyślał Talbot. Z pewnością nie przeżyje nocy. Już wygląda jak trup. Oberwał przy wybuchu bomb głębinowych. Tak jak ja.

— Długo jesteśmy na wodzie? — spytał ochryplym szeptem.

— Całą noc, sir — mruknął MacKinney. — Od świtu minęła może z godzina.

Josh oblizwał wargi.

— Domyślcie się, dokąd nas niesie? Marynarz wzruszył ramionami.

— Gdzieś między Nową Georgią a Kolombangarą, sir. Spycha nas na południowy wschód.

Pięknie, pomyślał Talbot. Prosto na Japońców. Sądząc z wyrazu twarzy, MacKinney też o tym wiedział. Wiliams wbijał ponury wzrok w horyzont.

— Jak wyglądamy z zaopatrzeniem? — spytał Talbot.

— Nie najlepiej, sir. Mamy racje żywnościowe na jakieś trzy dni i właściwie tyle. Bierzymy wodę, chociaż na razie sytuacja jest pod kontrolą. Gorzej, że diabli wzięli wiosła. Tratwa bardzo oberwała. Nie wytrzyma długo, sir.

Josh patrzył na szare niebo nad głową. Niewiele więcej mógł zrobić. Nie pozostało nic prócz oczekiwania. Dryfowali po spienionym, nieprzyjemnie rozkołysanym morzu. Czterech ludzi zdanych całkowicie na łaskę losu. Niezbyt ciekawa perspektywa, bo los bywa kapryśny jak marcowa pogoda.

Talbot zapadał co chwila w trans na granicy jawy i snu. Czas przestał płynąć. Świat skurczył się do dwóch szarych płaszczyzn. Tej na górze i tej poniżej. Josh trwał w odrętwieniu.

Ocuciło go ciepło. Promienie słońca padające prosto na twarz. Mimo straszliwego osłabienia od razu wyczuł, że zaszła jakaś zmiana.

Tratwa się nie kołysze, pomyślał. Nie słyszę fal. Z trudem poruszył palcami. Wyczuł drobne, szorstkie grudki. Piasek. Leżał na piasku.

Spróbował otworzyć oczy. Wielkie, błękitne niebo wznosiło się ponad nim przebite lśniącym ćwiekiem słońca. Chciał się poruszyć i usiąść, ale tylko zakaształ chrapliwie.

— Niech pan leży spokojnie, sir. — Zobaczył pochyloną nad sobą końską twarz Wiliamsa. — Wyrzuciło nas na brzeg.

— Wiem — wyszeptał z wysiłkiem. — Johnson?

— Nie żyje — powiedział Wiliams. — Umarł od razu, ledwo wyciągnęliśmy go na piasek.

Przed oczami Talbota eksplodowały złote błyski. Zatrokana twarz Wiliamsa zmaląła, zasnuła się mgłą. Źle, zrozumiał Josh. Nie wywinę się. To koniec. Przynajmniej umrę na łądzie, patrząc w niebieskie niebo. Zawsze coś.

Świat nagle pociemniał i Talbot znów stracił przytomność. Kiedy się ocknął, zobaczył pochylonego nad sobą MacKinneya. W oczach marynarza dostrzegł troskę i dziwne zakłopotanie.

Boże, pomyślał, zastanawiają się, co zrobić. Nie chcą mnie zostawić, a nieść przecież nie mogą. No dobra, Talbot. Czas nadszedł. Trzeba się zachować jak mężczyzna.

— Jak się pan czuje, poruczniku? — usłyszał.

Zdobył się na błądy uśmiech.

— Tak jak wyglądam, MacKinney — wymamrotał bardzo cicho.

Mówienie sprawiało mu ból. Tak jak wszelkie przejawy istnienia.

— Słuchaj — wychrypiał. — Musicie mnie zostawić. Idźcie w dżunglę i starajcie się znaleźć krajowców. Są do nas przychylnie nastawieni. Pomogą...

Zabrakło mu oddechu i rozkaszał się gwałtownie. Marynarz zbladł.

— Nie ma mowy, panie poruczniku. Nie zostawimy pana...

Talbot uciszył go niemrawym ruchem ręki.

— To rozkaz, MacKinney — szepnął. — Nie utrudniaj, dobra? Weź Wiliamsa i idź. Zabierzcie wszystko, co zostało. Zostawcie mi tylko trochę żarcia i nóż. Ten wyszczerbiony. Słyszysz?

Marynarz głęboko wciągnął powietrze.

— Panie poruczniku, nie może pan... Talbot poczuł, że ogarnia go gniew.

— Mogę, MacKinney — warknął. — Wydałem rozkaz. Zabieraj graty i ruszaj. Rozumiesz?!

Marynarz opuścił głowę.

— Tak jest — powiedział niechętnie. — Za pozwoleniem. Chciałbym tylko wiedzieć, czy pan porucznik na pewno się dobrze zastanowił?

Talbot zamknął oczy.

Jasne, pomyślał. Mało rzeczy tak starannie przemyślałem. Uwierz mi, MacKinney.

— Wiem, co mówię — szepnął, nie unosząc powiek. — Idźcie już. Dacie sobie radę.

Marynarz wstał. Rozglądał się niepewnie. Talbot wziął głęboki oddech, starając się powstrzymać kaszel.

— Nie dajcie się dorwać Japsom — powiedział. — A teraz wynoście się.

MacKinney stał chwilę bez ruchu.

— Powodzenia, sir — mruknął w końcu. Talbot nie odpowiedział.

Idź już wreszcie, pomyślał. Niech los ci sprzyja bardziej niż mnie.

Nie patrzył za odchodzącymi. Z zamkniętymi oczami leżał na piasku, ciesząc się ciepłem słonecznych promieni.

\* \* \*

Zapadał w krótkie drzemki, a może omdlenia. Budził się i wpatrywał w błękitną kopułę nieba. Już nie czuł bólu. Ogarnął go spokój, rozległy i leniwy jak fale oceanu.

Nie takie straszne to umieranie, pomyślał i osunął się w kolejną pozbawioną marzeń drzemkę.

Fala przyboju jest czerwona jak krew. To nie odblask zachodzącego słońca, tylko głęboki, niepojęty szkarłat w głębinie, widoczny na powierzchni niczym ścieżka wiodąca wprost ku zapadającej za horyzont, pomarańczowej kuli światła. Kusi, żeby na nią wstąpić.

Dałbym radę, gdyby nie to uporczywe łomotanie bębnow. Słyszę je nieustannie. Oszaleć można od przemożnego, ogłuszającego terkotu. Widzę strzelające iskrami ogniska, sylwetki krążących wokół istot. Ludzkie cienie tańczą. Powtarzają słowa, w których jest żądanie, jest prośba, jest moc. Chcą czegoś ode mnie. A ja muszę odejść szkarłatną ścieżką.

Nie pozwalają mi. Przywołują. Czuję ból i wściekłość. Wszystko zabarwia się kolorem gniewu, barwą krwi. Ściskam rękami skronie i tarzam się po piasku, żeby uciec od tego cholernego, pieprzonego hałasu. Tancerze są coraz bliżej, zacieśniają krąg. Brązowa skóra połyskuje w świetle płomieni jak miedź. A piekielne kołatki huczą gorzej niż nurkujące bombowce.

Jestem zbyt słaby, żeby się obronić. Zapadam w piasek czarny jak noc, lepki i gęsty. Pograżam się w mroku, w ciemności pełnej szklanych odłamków gwiazd.

\* \* \*

Myliłem się. To nie gwiazdy, tylko oczy. Tysiące błyskających w mroku białek oczu, którymi wyłożone są ściany i podłoga chaty. Patrzą na mnie. To nieprzyjazne spojrzenia. Znaczące,

gniewne łypnięcia posyłane intruzom. Jestem obcy. Czuję, że nie mam prawa przebywać w chacie. Stać pod ciężkimi, groźnymi spojrzeniami przodków o innej niż moja krew. Nie rozpoznają jej zapachu. Nie znają smaku.

— Obcy — mówią wyraźnie i gniewnie.

Zewsząd padają pytania. O klany, totemy, imiona zmarłych ojców i dziadów. O chwalebne czyny i zwycięstwa. Nie mam im nic do opowiedzenia.

— Obcy! — wołają oskarżycielsko. — Wróg!

— Nie — szepczę. — Nie wróg. Walczę przeciw Japończykom.

I nagle uświadamiam sobie, że nienawidzę Japończyków. Za bestialskie torturowanie jeńców. Za strzela — nie do bezbronnych pilotów, którzy zdołali wyskoczyć z uszkodzonych maszyn. Za marynarza *Ralph Simpsona*, któremu japoński rozbitek wpakował nóż w brzuch, kiedy ten podawał mu filiżankę kawy. Za zaciekle, nieludzkie oczy, wąskie ślepie diabłów.

To wróg, z którym walczę, myślę. Wróg z pustą twarzą i bezmyślnym okrucieństwem w żrenicach. Jak owad, a nie człowiek. Każdy japoński żołnierz jest identyczny, jakby zabijany wciąż powstawał z martwych. Chcę zniszczyć każdego z tych fanatycznych szaleńców, którzy wtargnęli na cudzą ziemię, żeby podpalić świat.

Cienie w chacie ogarnia wzburzenie. Rozumieją mnie. Podzielają mój gniew. To nasz wspólny klan, wspólny totem. Nienawiść wobec wroga.

— Zabij! — wołają. — *Oromatua! Oromatua!*

Słowa zlewają się w szum. Bliski, przenikający wszystko śpiew morza. Przyływ?

Stoję na ścieżce. Jest wąska, pełna zdradliwych rozpadlin. Wysoka, stroma skała zamyka świat niczym mur. W dole gniewa się morze. Uderza ze złością w głazy na brzegu, fala za falą. Słyszę jego niski, głęboki ryk.

Na ścieżkę pada ogromny cień. Podrywam głowę, ale jest za późno na ucieczkę. Topór dzierzony w dłoni olbrzyma opada nieubłaganie. Miażdży mnie, wgniata w czarną, bezgwiezdną noc. I zostaje tylko ciemność.

\* \* \*

Niebo nabrało intensywnego odcienia błękitu, niczym susząca się na sznurze dziewczęca sukienka. Słońce przyjemnie grzało skórę. Talbot chłonał ciepło. Dobrze, życiodajne ciepło, które leczyło i przynosiło nadzieję.

Poruszył się ostrożnie. Ból w boku odezwał się natychmiast, ale obezwładniające poczucie słabości znikło. Ustał też krwotok z ust. Talbot czuł się nadspodziewanie dobrze. Wciąż był osłabiony i wycieńczony po dwóch dobach spędzonych w wodzie, ale gorączka i zawroty głowy ustąpiły. Kostucha odeszła. Zniknął jej mroczny, zimny cień, który spowijał go od chwili wylądowania na wyspie.

Żyję, pomyślał. Kto by uwierzył?

Mglisto przypominał sobie jakieś nieprzyjemne zwidy, dziwne wrażenia, których doznawał, leżąc bez przytomności. Był tam olbrzym z toporem, tańczące dzikusy i ogniska na plaży. Majaki rodem z awanturniczych powieści, jakie czytywał, będąc dzieckiem.

Wiedział, że znajduje się w kiepskiej i niebezpiecznej sytuacji, lecz w tej chwili rozsądek żołnierza musiał ustąpić radości ocalonego *Robinsona*. Nie martwił się, że nie ma zapasów i schronienia, że wokół kręci się pełno wrogów, a on poza wyszczerbionym nożem nie ma żadnej broni. Żył. To na razie było najważniejsze.

Rozejrzał się. Wąski pasek plaży omywały fale spokojnego morza. Na horyzoncie majaczył odległy, siny kształt sąsiedniej wyspy. *Kolombangara*, pomyślał Talbot i poczuł leciutkie ukłucie

niepokoję. Tu wszędzie jest pełno pieprzonych Japsów. Więcej sukinsynów niż mrówek.

Ściana tropikalnego lasu zaczynała się tuż na granicy plaży. Wydawała się równa i gęsta niczym żywopłot. Po prawej widniała łacha piasku zamknięta potężnym zwałiskiem skalnym wdzierającym się wąskim klinem w morze. A tuż obok kołysał się łagodnie poruszany dłońmi wiatru kokosowy zagajnik.

— Jak w raju — mruknął Josh. — Gdyby tylko dobry Bóg zechciał stworzyć Ewę podobną do Rity Hayworth i sprzątnął tych wszystkich Japońców.

Ale na horyzoncie majaczył spowity mgiełką zarys Kolombangary. Talbot westchnął.

— Coś mi się zdaje — szepnął do siebie — że nici z Ewy. A Japsów będę musiał pozbyć się sam.

\* \* \*

Dżungla przypomina katedrę. U góry ciemne, zielone sklepienie z liści i gałęzi, podparte niekończącymi się kolumnami pni. Wiązki grubych jak męskie udo korzeni wyrastają z nich niczym przypory. Na dole goła, wilgotna ziemia. A raczej błoto. Jest wszędzie. Czasem czuję, jakby wżerało mi się w skórę, tworząc osobliwy tatuaż. Pokrywa ciało lepką, śliską warstewką, maluje bure półksiężycy za paznokciami, maże się nieustannie.

Dżungla ocieka wilgocią. Jest tak parno, że chyba nauczyłem się oddychać wodą, nie powietrzem. W zielonym mroku dżungli naprawdę czuję się, jakbym nurkował. To dziwny świat. Tu wszystko, co pragnie przeżyć, pnie się w górę, ku słońcu. Ptaki, zwierzęta kłębią się w gąszczu liści nad moją głową. A ja swoją szansę na życie znalazłem na ziemi, w korzeniach wysokiego jak maszt drzewa.

Najpierw zobaczyłem koc. Przypominał szary łachman. Był w całkiem dobrym stanie, tylko brudny. Nie spleśniał ani nie zetlał. Dziwne. W lesie każda rzecz zaraz nasiąka wodą i gnije.

Były właściciel pledu leżał nieopodal, ubrany w resztki munduru piechura. Śmierdział paskudnie, ale postanowiłem mu wybaczyć. W końcu okazał się moim dobroczyńcą. Oddał mi to, co miał najcenniejszego. Racje żywnościowe, bagnet i pięć ślicznych, eleganckich granatów. Ważę je w dłoniach i nie mogę się nacieszyć. Dobrze znów mieć broń.

Dokuczają mi tylko złamane żebro. Musiałem ścisnąć pierś paskiem, żeby zmniejszyć ból i swobodniej oddychać. A tak przecież byłem pewien, że się przekręcę. Widocznie jestem silniejszy, niż myślałem. Piję deszczówkę, babrzę się w błocie, żrą mnie wszechobecne, niezniszczalne komary, jednak nie choruję, chociaż od dnia przybycia na wyspę nie widziałem na oczy słynnych, gorzkich i mdlących pastylek przeciw malarii.

Ciekawe, co się stało z Wiliamsem i MacKinneyem? Nawet jeśli wyszli cało, nie ma co liczyć, że sprowadzą pomoc. Są pewnie przekonani, że nie przeżyłem.

Jem ryż i suszone ryby, które jakimś cudem nie zgniły. Mają dziwny smak, ale nie powinienem narzekać. Otrzymałem prawdziwe skarby. Wytwory wprost z samego serca Imperium Wschodzącego Słońca. Dzięki, wielki cesarzu. Zjadam twoje ryby z intencją, żebyś się jak najszybciej przekręcił. Razem ze swoją płaskonosą, wąskooką armią.

Na razie nie natrafiłem na żadnego żywego Japońca. Ale teraz, z pięcioma wybuchowymi kumplami u boku, będę mógł go godnie powitać.

\* \* \*

Deszcz spadł bez uprzedzenia. Po prostu ociekających z liści i gałęzi kropel robiło się coraz

więcej, aż zageściły się w prawdziwą ulewę. Woda szemrała monotennie, jakby próbowała opowiedzieć zawiłą i niesłuchanie nudną historię.

W dżungli w czasie deszczu nie ma się gdzie schować. Talbot siedział oparty plecami o pień drzewa. Patrzył, jak wielkie, ciężkie krople uderzają w ziemię. Niedługo przestanie padać, pomyślał.

Uczył się dżungli zdumiewająco szybko. Niemal tak szybko, jak zapominał o domu. Ameryka przestała istnieć. Zastąpił ją gąszcz splątanej, ociekającej wilgocią zieleni.

Deszcz ustawał powoli. Spływał łagodnie po liściach, jakby chciał je ukołysać do snu. Zrobiło się niemiłosiernie parno. Mgła przyszła niespodziewanie. Jeszcze przed chwilą unosiła się tuż nad ziemią lekkim, zwiewnym oparem, a teraz rozlała się szeroko, topiąc pnie drzew w mlecznej bieli.

Poczuł przebiegający wzdłuż krzyża dreszcz. Mgła nie przybyła sama. Przyproceedziła z sobą niepokój. Irracjonalne, zwierzęce poczucie zagrożenia.

Josh oblizwał wargi. Próbował wsłuchać się w odgłosy lasu, ale mgła tłumiła dźwięki. Ruszył ostrożnie przed siebie, starając się czynić jak najmniej hałasu. W lepkiej od potu dłoni ścisnął granat.

Ciała leżały na ziemi pokryte warstwą wszechobecnego błota. Spowite mlecznym oparem niczym całunem niemal całkowicie zniknęły w poszyciu dżungli. Mało brakowało, żeby Talbot potknął się o wyciągniętą, sękatą jak korzeń rękę.

To nie Japończycy, pomyślał. Tubylcy.

Trupów było kilka. Sześć, a może siedem, jeśli leżący w korzeniach drzewa kształt też był ciałem, a nie zwalonym, przysypanym ziemią konarem.

Talbot oblizwał usta. Raz po raz po plecach przebiegały mu dreszcze. W lesie panowała dziwna, głucha cisza. Powietrze zrobiło się gęste od wilgoci, parne niczym w saunie, ale Josh byłby w stanie przysiąc, że mgła jest lodowato zimna. Jakby na potwierdzenie jego ramiona i kark pokryły się gęsią skórą.

Coś jest nie tak! — krzyknął ostrzegawczy głos w głowie. Coś jest cholernie nie tak, stary!

Talbot przymrużył oczy.

W bladej, mlecznej bieli, między korzeniami wielkiego drzewa, tam gdzie leżał trup, który jednak nie okazał się gałęzią, poruszały się jakieś kształty. Skulone, przykucnięte cienie, zdecydowanie człekokształtne.

Mamrotały do siebie niskimi, monotonnymi głosami podobnymi do pomruku zwierzęcia. Pochylały się nisko nad ciałem, a wtedy Talbot słyszał wyraźnie, że szeptom towarzyszą jeszcze inne dźwięki. Miękkie, paskudne młaśnięcia, jakieś zgrzyty, trzask, jakby łamanych kości, i odgłos żucia.

Przełknął gęstą, lepą ślinę i właściwie bez udziału woli ruszył do przodu. Granat ślizgał się w mokrej od potu dłoni.

Trzy wychudzone, skupione wokół ciała postaci nie zwracały na niego uwagi. Talbot stał nie dalej niż pięć metrów od miejsca uczyty. Oddychał płytko, w skroniach słyszał łomotanie krwi.

— Nie wierzę — szepnął. — Boże, nie wierzę.

Stwory żarły zapamiętałe. Widział, jak odrywają zębami kawały napuchłego, mocno już nadgniętego mięsa. Wokół unosił się smród rozkładu.

Talbot poczuł podchodzącą do ust gorzką falę mdłości. Znów z trudem przełknął ślinę, za wszelką cenę sta — rając się nie zwymiotować. Sytuacja, w której w każdej chwili można zostać zaatakowanym przez trójkę nagich, wyraźnie oszalałych kanibali, nie jest najlepszym momentem na rzyganie.

Wtem jeden ze stworów uniósł głowę. Z nienaturalnie szerokich ust pełnych grubych jak pocisk karabinowy, ostrych kłów zwisał płat oderwanej ze zwłok skóry.

Talbot cofnął się odruchowo.

Potwór patrzył na niego wąskimi, bystrymi oczami. Lśniły zielono w ciemności jak ślepie kota. Wąską, trójkątną twarz okalały brudne, zlepione w strąki kudły.

Teraz oba pozostałe też przestały jeść, podniosły głowy i gapiły się na Talbota. Nagle ten bliższy syknął przeciągle jak rozwścieczona puma.

— *Atua!* — warknął. Josh drgnął.

— *Atua!* — podchwycił drugi. — Ty *Oromatua!* Niewolnik *Samulayo!*

Nie mówił po angielsku, ale Talbot go zrozumiał.

— Pieprzeni kanibale! — krzyknął wściekle. — Potwory! Trupożercy!

Stwory obnażyły kły.

— *Oromatua!* — zasyczały gniewnie. — Obcy!

Zakołysały się, jakby zamierzały rzucić się na Talbota, ale zamiast zaatakować odwróciły się i błyskawicznie zniknęły we mgle.

Josh poczuł, że uginają się pod nim kolana. Oblał się lodowatym potem. W uszach mu szumiało, w skroniach waliło tętno. Spróbował uspokoić oddech.

— Pieprzeni kanibale — powtórzył już do siebie. — Jezu Chryste, żarli na pół zgniętego trupa.

Przesunął ręką po twarzy. Dłoń drżała wyraźnie.

Wysoko, w zielonym sklepieniu gałęzi, odezwał się pojedynczy ptak, lecz zaraz zamilkł jakby spłoszony.

Talbot poczuł, że musi wyjść na słońce, musi odetchnąć świeżym powietrzem, a nie wilgotnym, przesyconym wonią rozkładu odorem dżungli, bo inaczej się udusi. Zawrócił i niemal biegiem puścił się przez gęstwinę niskich krzaków i młodych drzewek. Byle do plaży, do morza.

Pędził, nie odwracając się za siebie, żegnany przeciągłym, smętnym lamentem ukrytego w gałęziach ptaka.

\* \* \*

Dobrze zrobiłem, wracając na plażę. Inaczej pewnie nie ja zdybałbym tych Japońców, a oni mnie. Łazili jakoś tak bezradnie, jakby czegoś szukali. Może tego piechura z kocem? Było ich czterech. Trzech żołnierzy i jeden kapral, sztywny jak kawał kija. Wydierał się cały czas w tym swoim przypominającym szczekanie języku.

Przyczailem się na skałach pewien, że mnie zauważą. Do diabła, musieli mnie zauważyć. Ale nie. Patrzyli w moją stronę, praktycznie prosto w oczy, lecz nic nie wskazywało, że mnie widzą. Nieudacznicy jacyś.

Serce mi waliło, rozsądek podpowiadał, żeby przeczekać. Jednak pięciu śmiertelnych przyjaciół dopominało się uwagi. Poczulem, że powinienem wysłuchać ich argumentów. Podczołgałem się bliżej. Mogłem stąd widzieć wyraźnie płaskie, świecące od potu twarze wrogów. A oni wciąż mnie nie dostrzegali.

Rzuciłem pierwszy granat. Prosto pod nogi sadzącego się kaprała. Rany, co to był za piękny wybuch. Wyrwało go w powietrze i cisnęło o piach. Wszyscy pozostali też upadli. Nie czekałem. Posłałem im kolejne w nadziei, że przeniosą sukinsynów do wieczności.

Dwóch, w tym nadęty kapral, zginęło od razu. Jeden rzeził, próbując wepchnąć z powrotem do brzucha wyrwane wnętrzności. Minąłem go i rzuciłem się biegiem za ostatnim, który uciekał chwiejnym krokiem. Dopadłem żółtka bez trudu. Musiał być niezłe przygluszony i poturbowany, bo krew ciekła mu z nosa i uszu. Chlasnąłem go nożem po gardle. Upadł z charkotem, zalewając się lepkiem, gorącym szkarlatem. Leżał na ziemi, wywalając na mnie wytrzeszczone ze strachu oczy. Jego ciałem wstrząsały drgawki.

Gotów, pomyślałem i wróciłem do żółtka z flakami na wierzchu.

Żył jeszcze, więc pochyliłem się, żeby i jego potraktować nożem.

— *Obakemono!* — jęknął z przerażeniem, próbując zasłonić się ręką.

— Jasne. — Wyszczrzyłem zęby. — Już po tobie, żółtku.

Przejechałem mu po gardle, zanim zdążył zrozumieć, co się dzieje. Zadygotał i charcząc, starał się złapać oddech.

— Za późno, stary — zanuciłem. — Żegnaj, moje słoneczko. Zdychasz!

Zwycięstwo wprawiło mnie w euforię. Chciało mi się śmiać i tańczyć. Krew wrogów pachniała ostro, pobudzająco. Wymierzyłem potężnego kopniaka nieruchomemu kapralowi.

— Trzeba było się rozglądać zamiast wrzeszczeć — powiedziałem serdecznie.

Przekręciłem go na wznak i przez chwilę wpatrywałem się w martwą twarz. Nieżywy nieprzyjaciel. Piękny widok.

Teraz siedzę, żuję sprasowane śliwki, przyglądam się trupom i liczę zyski. Zapas żarcia, ręczne granaty, karabiny, amunicja. Niezły arsenał.

Do doskonały zapas, żeby wyruszyć na wojnę. Moją małą, prywatną krucjatę przeciw żółtkom o płaskich pyskach.

\* \* \*

Słońce miało się ku zachodowi, ale Talbot postanowił nie opuszczać plaży. Między skałami, w małej, płytko sklepionej jaskini, znalazł sobie tymczasową kryjówkę.

Wokoło było tak spokojnie. Morze szumiało, fale cicho kładły się na brzegu. Strzępiaste głowy kokosowych palm chyliły się łagodnie głaskane podmuchami wiatru.

Jak w raju, pomyślał Josh.

Siedział na skale, wpatrując się w horyzont. Niebo fioletowiało, nadchodził szybki, tropikalny zmierzch. Powietrze zrobiło się rześkie, upał zelżał znacząco. Tylko woda przybrała nagle dziwny, czerwony odcień. Szkarłatna kreska biegła jakby tuż pod powierzchnią morza w stronę zachodzącego słońca.

Dziwny jakiś ten refleks, zastanowił się Talbot. Chyba nie będzie w nocy deszczu, powiedział sobie i wtedy kątem oka zauważył ruch. Odwrócił głowę.

Daleko po lewej krajowcy ciągnęli po piasku czółno. Widział wyraźnie trzy prawie nagie postaci popychające łódź. A za nimi podążali Wiliams i MacKinney!

Talbot poderwał się na nogi.

Dzięki ci, Jezu! — myślał gorączkowo, ratunek przybywa!

Wdrapał się na szczyt skały i zamachał gwałtownie rękami.

— Hej! — krzyknął ile sił w płucach. — MacKinney! Wiliams! Tu jestem! Poczekajcie!

Nie zareagowali. Widocznie nie usłyszeli wołania. Poruszali się powoli, nienaturalnie sztywno. Widocznie są ranni albo wycieńczeni, pomyślał Talbot.

— Hej! — wrzasnął jeszcze raz. — To ja! Talbot! Słyszycie?!

Nie słyszeli. Podążali za czółnem ze wzrokiem wbitym w horyzont. Krajowcy też nie zwracali na krzyki najmniejszej uwagi.

Cholerne łamagi, pomyślał Josh i zaczął pospiesznie złazić ze skały. Zeskoczył zwinnie na piasek i wciąż pokrzykując, puścił się biegiem w stronę towarzyszy.

Starucha zjawiła się chyba znikąd. Zabiegła mu drogę, wywijając sękatym kijem i wyrzucając potok gniewnych, niezrozumiałych słów. Wiatr od morza szarpał jej łachmanami, a na szyi dzwoniły sznury muszelek i dziwacznych paciorków zrobionych z kości. Oklapłe, pomarszczone piersi wyglądały jak dwa puste woreczki.

— Nie wiem, o co chodzi, ale nie mam czasu! — zawołał Josh, starając się ominąć kobietę. — Muszę się dostać do łodzi!

Krzyknęła coś wściekle i podniosła na niego zagniewaną twarz. Promienie słońca załśniły matowo w sinych, pozbawionych tęczyówek i źrenic oczach.

Jest ślepa jak kret, pomyślał Talbot ze zdumieniem. Jakim cudem tak sprawnie się porusza?

Daleko na plaży krajowcy spychali czołno na wodę. Josh poczuł, że ogarnia go rozpacz.

— Wiliams! — wrzasnął najgłośniejszym głosem. — MacKinney! Ogłuchliście, cholera?!

Marynarze maszerowali sztywno przed siebie. Żaden nawet nie odwrócił głowy.

Talbot poczuł napływającą falę złości. Przecież nie mogli nie słyszeć! Rzucił się do biegu, ale ślepa starucha złapała go sękatą, twardą dłonią za nadgarstek. Wykrzykiwała coś wściekle, aż na wąskich, wyschłych jak rzemień ustach pojawiła się piana.

Talbot szarpnął się, ale uścisk nie zelżał. Spojrzał w pomarszczoną, wykrzywioną gniewem twarz. Malowało się na niej jawne oburzenie.

— *Oromatua!* — zaskrzeczała kobieta gniewnie. — *Oromatua!*

Przecież nie mogę uderzyć niewidomej staruszki, pomyślał. Ale, do diabła, czy mam inne wyjście?

MacKinney wsiadał właśnie do łodzi. Wiliams stał nieruchomo, gapiąc się w przestrzeń.

— Wiliams!!! — ryknął Talbot ze złością. — Wiliams, cholerny sukinsynu!!!

Marynarz nawet nie drgnął.

Josh szarpnął wściekle i wyrwał ramię z palców staruchy. Straciła równowagę i niechybnie upadła, ale Talbot już na nią nie patrzył. Pędził w kierunku łodzi, wymachując rękami.

— MacKinney! — krzyczał. — Poczekajcie!

Wiliams wsiadał właśnie do czołna. Zamarł na chwilę i odwrócił się. Na jego obojętnej dotąd, bladej twarzy pojawił się cień zdziwienia.

Nareszcie, pomyślał Talbot. Zobaczył mnie, pieprzony głuchman!

Oczy marynarza wpatrywały się w sylwetkę biegnącego dowódcy z głębokim niedowierzaniem. Wiliams przekrzywił głowę niczym zdziwiony pies.

— Wiliams, to ja! — krzyknął Josh. — Talbot!

Teraz i MacKinney się odwrócił. Gapił się na Talbota jak na niezwykle zjawisko.

— Co jest?! — wrzasnął podporucznik, który znajdował się już tak blisko, że nie mógł pozostać nierozpoznany. — Powariowaliście?!

Wtedy usłyszał świst przelatującego kamienia i w jednej chwili świat zapadł się w ciemność.

\* \* \*

Ocknąłem się z twarzą w mokrym piachu i eleganckim guzem na czerepie. Po czołnie i moich ludziach, oczywiście, ani śladu. Cudownie. A w dowództwie cały czas nawijali, jak to tubylcy nas kochają. Widocznie nie mieli na myśli starych bab. Cholerna, pieprzona starucha. Czego chciała, do diabła? Wariatka czy jak? Niezła była jak na ślepa, nie ma co. Gwizdnęła mnie kamieniem aż miło. Od razu straciłem przytomność.

Nie rozumiem, co się stało z MacKinneyem i Wiliamsem. Przecież musieli mnie rozpoznać. Może byli chorzy? Mieli takie dziwne, puste spojrzenia. I poruszali się jakoś sztywno. Pewnie malaria albo inne tropikalne diabelstwo. Widocznie myśleli, że mającą.

Co za pieprzony pech. Szczerze mówiąc, płakać mi się chce. To szokujące, nie? Podporucznik marynarki nie powinien się załamywać. Nie wolno. Gównem prawda. Zresztą wcale się nie załamuję. Będę siedział na tej cholerniej wyspie, póki nie zdechnę i nie załatwię każdego Japońca, jakiego zobaczę.

Po prostu diabelnie mi żal straconej okazji.

Wróciłem do dżungli. Plaża mnie przygnębia. Ostatnio nie czuję się najlepiej. Chyba w końcu dostałem malarii. Mam dreszcze, całe ciało mnie swędzi. Straciłem apetyt. Zdaje się, że coś dziwnego dzieje się z moją twarzą. Pali jak spieczona słońcem, chociaż cały czas siedzę w cieniu. Wyczuwam na skórze jakieś dziwne zgrubienia, jakby linie. I broda mi wcale nie rośnie. Utkwiłem tu chyba ponad tydzień temu, a policzki mam gładkie. Pewnie od błota. Musiałem się zarazić jakąś skórą chorobą.

Prawdopodobnie mam też gorączkę. Boję się, że mój stan jest poważny. Są takie momenty w ciągu dnia, których nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Dziwne uderzenia gorąca, jakieś urywane, poplątane sceny i mgliste wspomnienia potem. Być może, to skutki malarii. A może urazu głowy. Pamiątka po miłej starszej pani z oczami jak gotowane jajka. Nie wiem. Zresztą, czy to ważne? Choruję i tyle.

Męczę mnie koszmarne sny. Bardzo wyraziste, choć urywane, jak poszczególne klatki z filmu. Zabijam w nich Japończyków. Szczerze mówiąc, robię koszmarne rzeczy, jak Superman, który oszalał. Łamię karki, odrywam głowy, miażdżę butami klatki piersiowe, wyrwam ręce i nogi. Nie imają się mnie kule, a raczej trafiają we mnie, owszem, ale nie szkodzą bardziej niż uządlenie pszczoły. Patrzę w te przerażone, wytrzeszczone oczy, na wykrzywione łękiem twarze i czuję radość. Potężną, głęboką euforię. Oto wypełniam misję. Po to zostałem powołany. Po to przybyłem. Cały mażę się gorącą, słodko pachnącą krwią i tańczę. Cudowne uczucie. Ale całkiem chore, wiem.

Te majaki są przypuszczalnie skutkiem choroby i przemęczenia. W końcu żyję w ciągłym napięciu. Tak naprawdę zabiłem pięciu żółtków. Trzech ustrzeliłem na ścieżce, którą znalazłem. Ukryłem się i czekałem, aż będą szli. Nie mieli szansy. Wszyscy zginęli na miejscu. Na szczęście nie musiałem ich dobijać. Nie powiem, żebym się szczególnie wzdragał, ale nie lubię tego robić. Dwóch załatwiłem bagnetem. Pierwszy nie przynosi mi chwały. Włazł w krzaki i wstyd powiedzieć, co zamierzał robić. Wystarczyło rozplatać mu gardło jak kurczakowi. Drugiego zabiłem, kiedy odpoczywał. Jadł te swoje suszone ryby i niczego się nie spodziewał. Ale to była naprawdę niezła akcja. Oddział liczył pewnie z piętnastu chłopów. Wystawili wartowników, ale równie dobrze mogliby sobie darować. Są okropnie nieudolni. Prześlizgują się obok, tak blisko, że mógłbym im napluć na buty, a i tak mnie nie widzą. Nie wiem, jak to się dzieje. Naprawdę powinni mnie zobaczyć. Żyjąc w lesie, zacząłem wyczuwać dżunglę. Rozumiem ją, słucham, poznaję. Jest mi bardzo przychylna. Udziela schronienia, maskuje przed wzrokiem nieprzyjaciół, karmi i hołubi. Polubiliśmy się. Jesteśmy jednej krwi. Czuję jednak, że Japońców nie darzy podobnym uczuciem. Odślania mi ich, podaje na widelcu, a jedyne, co mi pozostaje, to sprawnie użyć noża. Tak jak w wypadku tamtego żółtka. Miał pecha, bo usiadł na skraju obozowiska w pewnej odległości od reszty. Dlatego dżungla go wybrała. Podczołgałem się cicho i wbiłem mu nóż pionowo pod brodę, trochę z boku. Nawet nie stęknął. Oparł się tylko o drzewo i zmarł z kawałkiem cuchnącej, suszonej ryby w ustach. Z trudem pohamowałem śmiech. Pięknie się zaprezentuje w swoich żółtych zaświatach. Odczołgałem się spokojnie i cicho. Nikt mnie nie dostrzegł. Nie bałem się nawet przez moment. W końcu dżungla mnie strzeże. To dobra opiekunka. Hojna i serdeczna. Gdybym umiał, napisałbym dla niej wiersz w podzięce. Ale nie umiem, więc poświęcam jej każdą kroplę nieprzyjacielskiej krwi, która za moją sprawą wsiąka w poszycie lasu. I wiem, że ta ofiara przypada jej do gustu.

Wyrzynam kolejny karb na patyku, na którym zaznaczam zabitych Japońców. Głęboki, wyraźny karb. Jestem zadowolony. Słucham powolnego kapania kropel ściekających z liści i jestem pewien, że dżungla też odczuwa radość.

\* \* \*

To nie bezładna kupa gnijących gałęzi, jak mogłoby się zdawać. To bunkier. Czuję go. Dżungla mnie tu przyprowadziła nie bez powodu. Mam zniszczyć ten parszywy wrzód, tę cuchnącą żółtkami norę. Uśmiecham się ostro, drapieźnie. Nic przyjemniejszego nie mogło mnie spotkać.

Czuję się przez chwilę w krzakach, podchodzę jak najbliżej i obserwuję. Siedzą w środku niczym robaki toczące przegniły pień. Jest ich czterech. Szczęzę w uśmiechu zęby. Szkoda, że tak niewiele.

Dżungla czeka. Czuję na karku jej gorący, przyspieszony oddech. Jest podniecona. Namawia mnie, żebym uderzył. Słyszę jej ponaglenia w głosach ptaków, szumie liści, poruszeniach gałązek.

Zaraz, moja piękna. Zaraz. Zaczekaj jeszcze chwilę.

Teraz!

Rzucam granat. Szybkuje w powietrzu i wpada w sam środek szczeliny strzelniczej. Śmieję się cicho. Niezły jestem, co?

Wybuch wywala w powietrze błoto, gałęzie i nadgniłe belki. Słyszę wrzask i szamotaninę wewnątrz. I już pędzę, a adrenalina gotuje się w moich żyłach.

— *Oromatua!* Zabij! — woła za mną wilgotna zieleń.

Jestem w bunkrze. Widzę przerażone, płaskie twarze, czuję zapach krwi. Żółtek strzela do mnie, ale ja się usuwam, prześlizguję między kulami. Nie wierzy. Gapi się pełnymi lęku oczami, a wtedy dopadam i jednym ruchem wyginam lufę tego jego żalosego karabinu. Wtedy zaczyna wrzeszczeć.

— *Ko — we! Ko — we! Obakemono! Obake...!*

Łapię go za głowę i jednym ruchem skręcam kark. Japoniec opada jak szmaciana kukła.

Słyszę, że drugi żółtek cały czas strzela, ale, oczywiście, nie może mnie trafić. Odwracam się do niego z karabinem w rękach, ale nie zadaję sobie trudu naciskania spustu. Walę kolbą w okrągły, pokryty gładkimi, czarnymi włosami łeb. Trzaska jak arbuź. Czerwien bluzga na ściany bunkra.

Słyszę wysoki, szaleńczy pisk. Kolejny Japoniec rzuca się na mnie. Czarne oczy płoną wściekłością i niedowierzaniem. To sam pan kapral. Proszę, co za zaszczyt. Mundur ma podarty i poplamiony krwią. Widać oberwał podczas wybuchu granatu. Uśmiecham się paskudnie. Myślę, że należy mu się specjalne traktowanie. Sięgam po karabin maszynowy i z łatwością wyrwam go ze stanowiska. Bojowy pisk zamiera na wargach kaprala, a ja zamierzam się i z rozmachem rozwalam mu łeb ciężkim kawałem metalu. Rozpęka się jak rozdeptana pomarańcza. Czerwona pomarańcza, rzecz jasna.

Co za piękne przedstawienie. Oddycham głęboko, radośnie. I wtedy sobie przypominam. Był jeszcze jeden.

Wyciągam bagnet. Dżungla lubi mój nóż. Poświęcone tylko jej narzędzie ofiarne. Zaraz napijesz się krwi, przyjaciółko. Tylko znajdę tego żółtka.

Gdzie jesteś, gołąbku? Gdzie się ukrywasz?

Ach, tam! No proszę.

Leży na ziemi skulony, przykryty kocem. I myśli, że go nie zobaczę. Naiwniak.

Podchodzę cicho z bagnetem w dłoni. Uśmiecham się cały czas. Piękny, szeroki uśmiech po prostu nie schodzi mi z twarzy.

Jednym ruchem odrzucam koc. Wiecie, że strach cuchnie? Paskudnie, jakoś piźmowo. A ja nie lubię nieprzyjemnych zapachów. Wprawiają mnie w zły humor.

Patrzę w spoconą, wykrzywioną przerażeniem twarz. Wygląda brzydko, niemal nieludzko. Japoniec cały się trzęsie. Żaloseny strzęp życia.

— *Obake...* — jęczy słabo. — *Obakemono!*

— Ależ tak — mówię. — Masz rację, stary. Pochylam się. W mojej ręce lśni bagnet. Japończyk wydaje stłumione stęknięcie i przestaje drżeć. Zapach strachu miesza się z wonią krwi.

Unoszę bagnet i pozwalam, żeby czerwone krople ściekały na ziemię.

— To dla ciebie, opiekunko i przyjaciółko — szepczę.

Czy mi się zdaje, czy zieleń ma dziś naprawdę głęboki odcień?

\* \* \*

Dżungla jest moim domem. Moją katedrą. Patrzę na sklepione wysoko gałęzie i odczuwam spokój. Płynne, szmaragdowe światło przenika przez liście jak przez witraże. Smukłe kolumny drzew stoją obok siebie strzeliste i dumne. Las jest pełen piękna i niezwykłego majestatu.

Wysłuchuję się w jego głos. Odwieczny, nieustający szept ściekających po liściach kropel, krzyki ptaków wysoko w gęstwinie, szum wiatru. Staram się zrozumieć tę mowę, pojąć dżunglę i zrozumieć, czego ode mnie oczekuje.

Każdy ma w życiu jakieś miejsce. Ten las czekał na moje przybycie. Należę do niego. Zostałem stworzony, przywołany, aby tu pozostać. I muszę bronić swojej ziemi. A w zamian ona daje mi siłę.

Obserwuję wrogów, cichy i nieuchwytny jak cień. Są tacy nieporadni. Poruszają się niezgrabnie, tupiąc buciorami. Nie potrafią patrzeć. Nie chcą nauczyć się lasu. Gubią drogę, nie umieją rozpoznawać najprostszych znaków i grzęzną w błocie, drżą na deszczu, lękają się ciemności. Są beznadziejni. Walczą z drzewami, z lianami, wycinają krzewy, ale na nic ich wysiłki. Las jest wieczny.

A ja stoję w cieniu zawsze za ich plecami. Obserwuję i czekam.

Wysłuchuję się w słowa lasu.

Niedługo znów zabrzmią. Niedługo w szeleście liści usłyszę szept:

— *Oromatua*. Zabij.

I podążę wypełnić rozkaz. Spełnić swoją misję.

Już niedługo.

\* \* \*

Kapitan Hidachi ubrany w czysty, elegancki mundur krążył wokół stołu sprężystym krokiem. Na twarzy miał wyraz niechęci przemieszanej z lekką pogardą. Widać, że jest tu nowy. Widać gołym okiem, pomyślał porucznik Yachira.

Wizyta przełożonego nie zapowiadała nic dobrego. Yachira poczuł nagle falę głębokiego znużenia. Domyślał się, czego będzie dotyczyła rozmowa.

Chciałbym mieć to za sobą, pomyślał.

Kapitan Hidachi zatrzymał się tuż przed podwładnym i zmierzył go srogim spojrzeniem. Kołysał się przy tym nieznacznie na piętach, jakby sądził, że przyda mu to godności.

— Otrzymałem wieści, że na wyspie wylądowały potajemnie oddziały nieprzyjaciela. Zadają naszym żołnierzom dotkliwe straty. Czy to prawda, Yachira? — spytał ostro.

Porucznik z trudem stłumił westchnienie.

— Nie wiem, panie kapitanie.

Brwi przełożonego uniosły się w górę, nadając twarzy komiczny wyraz.

— Co to ma znaczyć, Yachira? Jak to pan nie wie?!

Porucznik uniósł wzrok i wytrzymał spojrzenie Hidachiego.

— To prawda, że ktoś morduje naszych żołnierzy. Jednak żaden oddział nieprzyjacielski nie przedostał się na wyspę. Podejrzewam, że za straty odpowiedzialni są krajowcy.

Kapitan parsknął gniewnie.

— Niech pan nie udaje głupca, Yachira. Dzicy krajowcy nie mieliby szans w starciu z armią cesarza! To muszą być dywersyjne działania wroga!

Porucznik opuścił głowę.

Przypomniał sobie trupy. Ludzi z roztrzaskanymi czaszkami, połamanymi kończynami, skręconymi karkami. Amerykanie zabijali inaczej. Ta rzeźnia w ogóle nie wyglądała na dzieło rąk ludzkich. Podobno jedna z ofiar żyła jeszcze, gdy do bunkra dotarł oddział rozpoznawczy zaniepokojony milczeniem kaprała Okori, który nie zgłaszał się przez radio. Ludzie powtarzali potem z lękiem ostatnie słowa konającego. *Obakemono*. Demon.

Yachira spojrział na przełożonego.

— Podobno to nie żaden oddział, ale jeden człowiek — powiedział ostrożnie.

Kapitan zbladł. Jego okrągła, pokryta potem twarz dosłownie skamieniała z oburzenia.

— Co to za kpiny, Yachira?! Jeden człowiek! Czy pan próbuje znaleźć absurdalne wytłumaczenie dla własnej nieudolności? Jak jeden żołnierz wroga mógłby zadać naszym oddziałom tak znaczne straty?

Tym razem porucznik westchnął.

— Ludzie mówią, że to demon — stwierdził cicho.

Hidachi stał przez chwilę osłupiały, a potem wybuchnął śmiechem.

— To jakieś szaleństwo, Yachira. Szkodliwy zabobon, z którym trzeba definitywnie skończyć! Wyślemy natychmiast grupę poszukiwawczą, która nie spocznie, póki nie odnajdzie tego Amerykanina i nie dowiedzie, że to człowiek z krwi i kości.

Yachira milczał.

Kapitan zmierzył go pełnym niedowierzania spojrzeniem.

— Chyba nie wierzy pan w te brednie, Yachira?

Porucznik zwilżył wargi.

Sam już nie wiem, w co wierzę, pomyślał.

— Oczywiście, że nie, kapitanie Hidachi — zaprzeczył głośno.

Na ustach przełożonego pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Zorganizuje pan oddział. Natychmiast. W ciągu trzech dni Amerykanin ma być martwy. Jeśli jest jakiś pojedynczy Amerykanin. Moim zdaniem to cała dywersyjna grupa, którą trzeba jak najszybciej unieszkodliwić. Niech pan pamięta, Yachira. Trzy dni.

— Tak jest, kapitanie Hidachi — powiedział porucznik.

Mam trzy dni na schwytanie demona, pomyślał. Jakże pełen buty to rozkaz.

\* \* \*

Talbot ukryty w gęstwinie krzaków obserwował Japończyków. Mijał właśnie trzeci dzień akcji. Akcji, która od początku przebiegała inaczej, niż zaplanowano. Gotów był się założyć, że żołci nie przewidywali specjalnych problemów. No bo czy tak trudno zabić samotnego rozbitka? Josh uśmiechał się szeroko. Bawiło go, jak cholernie się pomylili.

Trzeba bardzo uważać, żeby z tropiciela nie stać się zwierzyną, pomyślał.

Japońscy żołnierze szli z wyraźną niechęcią, starając się trzymać jak najbliżej siebie. Na ich twarzach malowało się napięcie. W kącikach oczu mieszkał niepokój.

Pachnieli strachem.

Po wąskiej, bagnistej ścieżce nie mogli poruszać się inaczej niż gęsiego. Ci, którym przyszło

maszerować na końcu, zdradzali oznaki największego zdenerwowania. Często przelykali ślinę, wzdrygali się na każdy dźwięk, rozglądali nieustannie, jakby mieli głowy osadzone na drucie.

Talbot, ukryty między wielkimi, wilgotnymi liśćmi, bezszelestnie przesuwał się równolegle z oddziałem.

Czekał. Nie na jakąś sprzyjającą okazję. Takie zdarzały się właściwie co chwila. Chciał, żeby napięcie wśród Japończyków stało się nie do zniesienia. Miał zamiar pokonać ich własnym strachem.

Do tej pory udało mu się zgnać trzech. Dwóch wartowników: jednego nocą, a kolejnego tuż przed samym świtem. Nie zdążyli nawet zauważyć, że umierają. Tak jakby Talbot stał się niewidzialny. Czasem myślał, że naprawdę tak jest. Wrogowie nie mogą go dostrzec, bo znajduje się pod opieką dżungli. Ona pozwala mu wtapiać się w tło, znajdować schronienie w każdej gęstwinie, każdym wykrocie.

Trzeciego załatwił naprawdę koncertowo. Ściągnął po prostu ze ścieżki jak w starych filmach o Indianach. Pod nosem wszystkich pozostałych. Japoniec nie zdążył nawet zaskomleć. Szedł sobie ostatni, kręcąc się ze strachu, jakby miał osę w dupie, a potem już leżał z rozplątanym gardłem. A wokół była tylko ściana wrogiej, ociekającej kroplami deszczu zieleni.

Dżungla znów napiła się krwi.

Talbot otarł pot z czoła. Cholernie parno dzisiaj, pomyślał.

Nie czuł się najlepiej. Co chwila oblewały go nagłe fale gorąca. Niekiedy miał wrażenie, że czas płynie dziwnie wolno. Żółtki poruszali się wręcz majestatycznie, każdy ruch wydłużał się nienaturalnie. Jak na zwolnionym filmie.

W głowie Talbota huczał wtedy rój, w skroniach krew waliła jak młot.

A parny, przesycony wilgocią las szeptał ponagłająco.

— *Oromatua! Oromatua! Zabij!*

\* \* \*

Zrywam się i biegnę. Jest tak nieznośnie gorąco, że nie mogę oddychać. Rzucam granaty. Wybuchy podrywają w górę fontanny błota. Wyglądają jak rozkwitające nagle bure kwiaty. Rozpryskują się tak powoli. Ciała wrogów skręcają się od uderzeń odłamków, wolno jak płatki wiśni opadają na ścieżkę. Biegnę, strzelając. Oni strzelają także. Widzę każdą przelatującą kulę. Są przeraźliwie powolne. Mogę je bez trudu ominąć. Albo odbić ręką w razie potrzeby. Nie są w stanie bardziej mi zaszkodzić niż rzucone dłonią dziecka pestki śliwek.

Wrogowie krzyczą. W ich głosach słyszę przerażenie. Wpadam między nich jak jastrząb w stado kur. Jednym ciosem strącam głowę z karku najbliższego żółtka. Drugiego chlastam nożem po szyi.

Krzyki zmieniają się w jeden wysoki, histeryczny wrzask. Słyszę go gdzieś w głębi umysłu, bo w uszach mam tylko szum. Już nie strzelają. Uciekają w popłochu. Wolno. Bardzo wolno.

— *Obakemono!* — wołają. — *Obakemono!*

Świst w powietrzu. Srebrzysty błysk opada w dół, ale nie tak szybko, żebym nie zdążył go schwycić. Łapię szablę w locie i jednym ruchem przełamuję na pół. Widzę wytrzeszczone, pełne przerażenia oczy Japońca. Nie może uwierzyć w to, co się stało. Gapi się na kikut szabli, jakby to była odcięta ludzka ręka.

Uśmiecham się szeroko.

Japończyk próbuje się cofnąć, ale nie jest dość szybki.

— Proszę, proszę, sam pan oficer. To wielki zaszczyt zabić szanownego pana — mówię i wyprowadzam piękny, czysty cios.

Żółtek łapie się z charkotem za gardło. Krew płynie gorącą, buzującą strugą. Japoniec przewraca się, miota przez chwilę w drgawkach i nieruchomieje.

Kolejny karb na moim patyku.

Rozglądam się, żeby ocenić sytuację. Wrogowie uciekają. Jakoś brakuje chętnych, żeby stawić mi czoła. Jednemu człowiekowi z nożem. Wstyd. Co by cesarz powiedział?

Uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Wypełniam misję, a to zawsze jest źródłem radości.

Być może, nie zdołam zabić wszystkich. Część pewnie ucieknie. Ale i tak jestem zadowolony. Dopadam ich bez trudu. Jednego po drugim, metodycznie. Próbują uchylić się przed moim nożem, ale on uderza jak błyskawica. Próbują wyrwać się z uścisku, lecz równie dobrze mysz mogłaby usiłować wyplątać się ze splotów pytona. Odrzucam martwe ciało wroga i równocześnie chwytam za ramię kolejnego, przebiegającego obok. Słyszę paskudny dźwięk, jakby trzask łamiącego się kija, i ręka Japończyka odrywa się od tułowia.

Wrzask dosłownie kaleczy uszy. Upuszczam wyszarpane ramię. Cały jestem ubabrany krwią. Ostro, cudownie pachnącą krwią nieprzyjaciół.

Dżungla oddycha gorącem. Boże, jak parno. Dyszę ciężko niczym zwierzę. Przed oczami widzę złote rozbłyski, w uszach mi szumi.

Liście szepczą do mnie czule:

— *Oromatua!* Zabijaj!

Słucham ich głosu. Przecież przybyłem tu niszczyć wrogów.

Uciekają w popłochu. Przewracają się o martwe ciała towarzyszy. W oczach mają tylko bezmyślny, zwierzęcy strach.

— *Oromatua* — mówi dżungla. — Zabij. Więc zabijam.

\* \* \*

Talbot obudził się ze snu obolały i rozbity. Przeciągnął się ze stęknięciem. Całą noc dręczyły go koszmary. Okrutne majaki, w których zabijał Japończyków. Wytlukł gołymi rękami cały oddział.

Potrząsnął głową.

— Wariujesz, stary — mruknął.

W ustach czuł niemiły, gorzki posmak. Splunął pod nogi.

Napiłbym się mleka, pomyślał.

Niedościgłe marzenie. Na wyspie żyły tylko dziczące świnie, jaszczurki i robactwo. Wtedy przypomniał sobie o kokosach. Świeży miąższ przyjemnie orzeźwiał. I z pewnością zawierał mnóstwo pożytecznych składników.

Czas urozmaicić dietę, powiedział sobie. Wróci na plażę do kokosowego zagajnika. A jeśli będzie spokojnie, wykąpie się w morzu.

Perspektywa kąpieli, zmycia z siebie potu i błota, wyprania munduru, a raczej tych strzępów, które z niego zostały, była niezwykle kusząca.

Talbot wstał, przeciągnął się jeszcze raz i ruszył przed siebie.

Przedzierał się przez zarośla, gdy powiew wiatru przyniósł nieprzyjemny zapach. Paskudny, ciężki odór rozkładającej się w upale krwi. I woń nieświeżego mięsa. Ostrożnie rozgarnął liście.

Serce zabiło mu gwałtownie, ścisnęło się dziwnym lękiem.

Postąpił kilka kroków i znalazł się na ścieżce.

Wciągnął ze świstem powietrze i zamarł w bezruchu.

Ciała martwych Japończyków wyglądały groteskowo, jak porzucone kukły z tunelu strachów. Talbot patrzył na wykrzywione lękiem, stężałe twarze, na wyszczerzone w śmiertelnym grymasie zęby. Niektóre trupy były pozbawione głów, które leżały nieopodal na ścieżce ułożone w zgrabny

stosik jak piłki. Wyrwane ramiona i nogi poniewierały się obok podobne do uschłych gałęzi. Rozchlastane gardła uśmiechały się szeroko, jakoś obrzydliwie lubieżnie.

Obok ciał przykucnęły wychudłe stwory o długich, skłębionych włosach. Wąchały krew, ale zaraz odsuwały się z jawnym obrzydzeniem. Jeden odwrócił się i spojrzał na Talbota płonącymi, zielonkawymi ślepiami. Obnażył kły i prychnął ostrzegawczo.

Josh poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

To niemożliwe, pomyślał. To majaki wywołane gorączką.

Ale głęboko w sercu obudził się nagle lęk. Bo cała ta jatka wyglądała zupełnie jak w koszmarze, który śnił zeszłej nocy. Zupełnie tak samo.

Zadrzał.

Zielonooki stwór oblizwał wargi długim, sinym językiem. Wydał chrapliwy skrzek, a jego towarzysze odpowiedzieli krótkimi szczęknięciami.

Odchodzą, pomyślał Josh. Pożerają tylko ciała tubylców, żeby dusze nie mogły powrócić i pozostały na zawsze w swoich klanowych wioskach, na Zachodniej Wyspie. Obcy nie mają tam wstępu. Muszą się błąkać między zaświatami a ziemią. Na zawsze.

Nie miał pojęcia, skąd o tym wie.

Nie miał też pojęcia, kim jest i co się z nim dzieje.

— Mój Boże — szepnął. — Chyba oszalałem.

Zaprzagnął wydostać się natychmiast z dżungli. Przestać oddychać parnym, przesyconym wilgocią powietrzem. Zanurzyć się w wodzie, umyć twarz, leżeć na słońcu i zapomnieć o tym koszmarze. O potwornym śnie, z którego nie może się obudzić.

Ruszył przed siebie biegiem, słysząc za plecami ostre poszczekiwanie *atua*, demonów, które pożerają trupy.

\* \* \*

Woda była cudownie chłodna, przejrzysta jak kryształ. Talbot parskał, nacierał się piaskiem, zanurzał i nurkował, czując, jak kąpiel przywraca mu siły. W słońcu na rajskim, spokojnym wybrzeżu duszne koszmary dżungli blakły i rozwiewały się niczym mgła.

Josh znów myślał trzeźwo.

To tylko gorączka, powtarzał sobie. Cholerna bagienna gorączka. Japońców na pewno załatwili krajowcy. Przecież nienawidzą ich jak zarazy za wszystkie okrucieństwa, jakich od nich doznali. A te demony to jedynie przywidzenie. Wytwór wycieńczonego malarią umysłu. Może małpy albo zwykła gra cieni w zielonej, parnej martwocie lasu.

Kąpał się długo, a gdy wreszcie wyszedł z wody, usiadł na kamieniu, żeby obeschnąć. Otworzył nożem kokos i zaczął wydłubywać koprę. Pokrzepiony wyrzucił pustą skorupę i dotknął rozłożonego do suszenia munduru. Był leciutko wilgotny, więc Josh uznał, że może się ubrać.

Naciągnął spodnie i koszulę, otrzepał stopy z piasku i założył buty.

Dość tego, postanowił. Nie mogę dłużej tkwić na tej cholernej wyspie. Muszę odszukać tubylców i skłonić ich, żeby przetrzucili mnie do swoich albo chociaż zawiadomili kogoś, że tu utknąłem. Jeśli dłużej będę siedział w dżungli jak zwierzę, oszaleję albo przekręcę się na malarię.

Podniósł się i wtedy spostrzegł Japończyka.

Żółtek gramolił się na skałę niedaleko wylotu jaskini, która służyła Talbotowi za kryjówkę. Nie miał bronii, chyba że nóż, ale z tej odległości Josh nie był w stanie ocenić. Poczuł nagłą suchość w gardle, serce zerwało się do gwałtownego galopu.

Chryste Panie, pomyślał. Jeśli znajdzie ukryty między skałami arsenał, będzie po mnie.

Skulony, żeby jak najmniej rzucać się w oczy, ruszył biegiem, starając się przeciąć Japońcowi

drogę. Przeskakiwał po kamieniach u stóp skalnego złomu z nadzieją, że w głębokim cieniu nie będzie widoczny, zanim nie zbliży się znacznie do przeciwnika.

Jednak został dostrzeżony wcześniej. Twarz Japończyka wykrzywiła się ze strachu. Krzyknął coś piskliwie i ruszył szparko pod górę.

Talbot zaklął i też zaczął się wspinać. Ostre krawędzie skał kaleczyły mu dłonie, a żółtek skakał zwinnie jak kozica.

Dokąd tak pędzi, kretyn? — zdumiał się Josh. Wspinanie się na skałę nie miało sensu. Tamten dawno już minął wylot jaskini z ukrytą bronią, ale brnął dalej w górę. Pewnie ma gdzieś własną kryjówkę, pomyślał Talbot i oblał się zimnym potem. Chciał zaryzykować, zboczyć do groty i zabrać stamtąd karabin, ale wtedy Japończyk mógłby zdążyć dotrzeć do swego arsenału i powitać go paroma kulkami.

Jezu, co za idiota ze mnie, jęknął w duchu. Dlaczego nie zabrałem karabinu albo chociaż kilku granatów? Kretyn. Jak ten Japoniec mnie zabije, będę sam sobie winny. Wszystko przez tę pieprzoną malarię. Mąci mi w głowie.

Postanowił, że dopadnie przeciwnika, zanim ten dotrze do swojej kryjówki. Żółtek wyglądał na wycieńczonego. Na jego koszuli czerwieniły się ślady krwi. Wspinał się dzielnie, ale wyraźnie słabł. Talbot zacisnął zęby i przyspieszył. Sapał z wysiłku, ale był już naprawdę blisko wroga. Tuż nad jego głową majaczył szczyt skały. Gdzie ten sukinsyn ma broń? — myślał gorączkowo. Na wierzchołku? Po drugiej stronie, od morza?

Przed nosem widział teraz buty i chude łydki przeciwnika wystające z postrzępionych spodni. Wyciągnął rękę, żeby złapać za kostkę. Japończyk pisnął histerycznie.

— *Obakemono!* — wrzasnął. — *Ko — we! Ko — we!*

Na jego twarzy malowało się przerażenie.

Co za pieprzony tchórz, pomyślał Talbot z gniewem. Japoniec zerwał się do ostatecznego wysiłku i stanął na szczycie skały. Balansował przez chwilę, żeby złapać równowagę, a potem rzucił się do ucieczki. Nawet nie próbował podjąć walki czy strącić Talbota ze skały, wykorzystując chwilową przewagę.

Josh poczuł, że ogarnia go wściekłość. Chciał dorwać tego tchórzliwego żółtka, skończyć z nim i wreszcie mieć spokój. Wdrapał się na szczyt i puścił w pogoń za uciekinierem. Ostre krawędzie skały były śliskie i zdradliwe. Kamienie osuwały się spod nóg, buty co chwila wpadały w głębokie rozpadliny, co groziło złamaniem kostki lub gorzej, runięciem w dół urwiska. Daleko u stóp kamiennego urwiska niebieskie, gładkie jak obrus morze obmywało kamienne złomy.

W pewnym momencie Japończyk potknął się i upadł. Rozczapierzone palce uchwyciły się skały, nogi znalazły w ostatniej chwili oparcie. Ale ta chwila zwłoki wystarczyła, żeby Talbot go dopadł. Szarpnął za mundur na karku i poderwał w górę.

Twarz Azjaty, blada, złana potem, wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

— *Obake!* — syknął i zamachnął się, próbując uderzyć Josha w szczękę.

Talbot zablokował niepewny cios, a wtedy przeciwnik kopnął go w nogę. But ześlizgnął się, ale Talbot zdołał znaleźć oparcie.

— Ty parszywe ścierwo — warknął.

Zamierzył się, żeby przetrącić Japońcowi kark, lecz tamten się uchylił. Uniknął ciosu, ale stracił równowagę. Zamachał rozpaczliwie rękami i wczepił się niespodziewanie w Talbota. Josh poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Szarpnął wściekle, żeby oderwać zaciśnięte kurczowo dłonie przeciwnika, ale już było za późno. Runęli szepieni prosto na obmywane łagodnymi falami kamienie daleko, daleko w dole.

\* \* \*

Josh otworzył oczy. Słońce stało jeszcze wysoko na błękitnym niebie. Promienie świeciły tak mocno, że musiał przymrużyć powieki. Nie czuł najmniejszego bólu.

Niemożliwe, pomyślał. Przecież muszę być martwy. Nikt nie przeżyłby podobnego upadku.

Usiadł i rozejrzał się. Na kamieniu opodal leżał Japończyk. Wydawał się całkowicie spokojny, jakby pogrążony we śnie. Nie miał na ciele śladów najmniejszych obrażeń.

— Coś tu nie gra — mruknął zaniepokojony Talbot. — Coś tu cholernie nie gra, kolego.

Japończyk westchnął cicho i zamrugął. Po chwili otworzył oczy. Usiadł nagle sztywno, wyprężony jak struna. Wydawało się, że nie dostrzega Talbota. Wpatrywał się z napięciem w morze. Zaciśnął palce i stęknął cichutko.

— Co jest? — szepnął Josh.

Nad falami unosiła się dziwna, kłębiasta chmura. Przybliżała się szybko i nagle Talbot zobaczył, że tworzy ją korowód widmowych postaci. Tak groteskowych i obrzydliwych, że aż zabawnych. Była tam starucha z nienaturalnie długą szyją i wytrzeszczonymi oczami. Stwór o ogromnej głowie, z której wyrastała kolejna, o wielkich, rozwartych do wrzasku ustach. Jednooki potwór, któremu ze środka czerepu wystawał piejący kogut. Zwierz podobny do małpy, z pękiem czaszek zamiast głowy, dzierżący w dłoni pałkę. Ropucha z trojgiem ślepi. Cudaczny potwór podobny do meduzy czy parasola, wyciągający mackowate ramiona. I mnóstwo podobnych dziwadeł.

Japończyk zadrżał. Z jego ust wydobył się cichy jęk. Stwory płynęły ku niemu nad falami, wrzeszcząc i skrzecząc. Talbotem nie interesowały się wcale.

Japończyk dygotał. Jego pobladłe wargi poruszały się bezgłośnie, jakby w modlitwie. Wtem nad horyzontem rozbłysło światło, jakby zapłonęło nagle drugie słońce. Jasność przybliżała się, rozświetlając całe niebo białym blaskiem. Ogarnęła w mgnieniu oka chmurę demonów i pochłonęła ją całkowicie. W środku świetlistej kuli majaczyła jakaś postać spowita w długą, lśniąca szatę. Miała wiele par ramion zastygłych w skomplikowanych gestach. Jej spokojne, tchnące dobrocią oblicze jaśniało blaskiem.

Talbot spojrzał na siedzącego na skale Japońca. Na bladej, wycieńczonej twarzy malował się wyraz niezemskiego szczęścia. W kącikach oczu szklily się łzy. Wyciągał ręce do zjawy, a jego usta powtarzały jeden wyraz jak mantrę.

— Kannon! Kannon!

Bogini zatrzymała się na skraju wody, otworzyła ramiona. Japończyk powstał jak w transie, wpatrzony w cudowną postać ruszył na spotkanie zjawy.

Josh obliznął spierzchnięte wargi. Idzie nad piaskiem, pomyślał oszołomiony. Jego stopy nie dotykają ziemi.

Z wyciągniętymi ramionami i wielką radością na twarzy Japończyk wstąpił w krąg światła. Wtedy nastąpił rozbłysk i lśniąca kula zniknęła.

Talbot siedział przez chwilę bez ruchu. Potem podniósł się, westchnął i zagryzł wargę.

— A więc tak to wygląda — powiedział cicho. — W końcu już dawno powinienem się domyślić.

W płaskim kamieniu, w którym powstało lekkie wklęsnięcie, zebrało się trochę wody. Talbot ukląkł i przejrzał się w tafli. Zobaczył twarz całą pokrytą sinymi liniami tatuaży i płonące, zielone jak dżungla oczy.

Usiadł ciężko na piasku i ukrył twarz w dłoniach. Trwał tak nieruchomo aż do zachodu słońca. Potem wstał, otrząpał ubranie. Zrobił się głodny.

Najwyższa pora coś zjeść, pomyślał.

\* \* \*

Siedzę na plaży i patrzę, jak cichym krokiem nadchodzi cudowny, fioletowy zmierzch. Widok jest tak piękny, że aż nieprawdziwy.

Na ognisku, które rozpałem, piecze się prosie. Pachnie naprawdę kusząco. Niedługo dojdzie i będę mógł zacząć kolację.

Właściwie niczego mi nie brakuje. Tubylcy składają mi ofiary, dżungla jest moim domem. Nie ma przede mną tajemnic. Może trochę doskwiera mi samotność. Ale do tego łatwo się przyzwyczaić. Mogłem przecież trafić o wiele gorzej.

Kiedy naprawdę mi źle, mogę iść do wioski, poszukać towarzystwa jakiejś dziewczyny. Traktują mnie naprawdę miło. W końcu nie robię im krzywdy, a moje awanse to rodzaj wyróżnienia. Podnoszą ich prestiż, sprawiają, że czują się lepsze, wybrane.

Niekiedy fala o zmierzchu robi się szkarłatnoczerwona. Wtedy wiem, że nadpływa czółno z Zachodniej Wyspy. Widzę, jak przewoźnicy zabierają dusze do krainy przodków. To poruszający widok. Pełen dostojęstwa.

Tradycja pełni w życiu krajowców bardzo ważną rolę. Wiele się o nich dowiedziałem. Mogłbym nawet napisać książkę. Pewnie byłaby przydatna niejednemu naukowcowi.

Czasem odwiedza mnie Kui, ślepa strażniczka zaświatów. Już nie traktuje mnie ostro. Wie, że zrozumiałem. Jestem *Oromatua*. Demon, widmowy cień. Tubylcy mnie przywołali, żebym ich strzegł przed Japończykami. Usłyszałem wołanie, kiedy umierałem z ran na plaży, i dlatego się tu znalazłem.

Odkrycie prawdy o sobie przyniosło ulgę. Wiele rzeczy znalazło się na właściwym miejscu. Zrozumiałem, dlaczego widzę w ciemności. W jaki sposób potrafię pozostawać niezauważony. Czemu dysponuję siłą znacznie przewyższającą ludzką. Przyzwyczaiłem się nawet do swojej nowej twarzy. Tatuaze oznaczają przynależność do świata duchów. A oczy są całkiem fajne. W domu poderwałbym niejedną dziewczynę na to wściekle zielone, świecące spojrzenie.

Naprawdę uważam, że mogłem trafić gorzej. Nie wiem, czy kiedykolwiek stąd odejdę. Powoli przyzwyczajam się do myśli, że to moje miejsce na zawsze. Chociaż stare legendy mówią, że demona można zabić. Musi wtedy trafić do jakichś zaświatów, prawda?

Może odejdę, kiedy wypełnię swoje zadanie. Gdy wyspa będzie bezpieczna. Ale nie wiem, czy to kiedykolwiek nastąpi. Nie wiem nawet, czy tęsknię. Za domem, rodzicami, dziewczyną, którą zostawiłem. Moje dawne życie nie znaczy dla mnie więcej niż sen. Słodki, odległy sen o kimś całkiem innym niż ja.

W duszy wierzę, że mój czas się wypełni i przeniosę się w jakiś wyższy wymiar. A jeśli nie, to cóż. Płakać nie będę. Zawsze powtarzam, że mogło być gorzej.

Patrzę na łagodne, srebrzące się morze. Palmy kołyszą strzępiastymi głowami. Piasek jest biały, miękki, nagrany słońcem. Jak w raj. W małym, prywatnym raj. W stworzonym na mój użytek. *Oromatui*. Widmowego cienia.

*Mateusz Sychała*

# **LAZARET**

Mateusz Sychała urodzony w 1983 roku w Szamotułach pod Poznaniem. Student Dialogu Społecznego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Poeta od zawsze, choć bez osiągnięć, prozaik od niespełna półtora roku. Wielki pasjonat broni, zwłaszcza dawnej. Jak dotąd publikował w miesięczniku „Science–Fiction”. Związany jest również z serwisem internetowym Carpe Noctem ([www.carpenoctem.pl](http://www.carpenoctem.pl)), promującym literaturę grozy.

Przez rozbite okno kamienicy przy skrzyżowaniu Miłej i Zamenhofa wpadały promienie słońca, rozświetlając zdemolowane wnętrze mieszkania. Odbijały się od poszarzałych ścian, krążyły wokół nielicznych sprzętów rzucających fantastyczne cienie. Od czasu do czasu usilnie próbowały dosięgnąć kryjących się pod parapetami żydowskich powstańców. Mężczyźni oczekiwali w napięciu. Jakub co chwila przestawiał ułożone w rzędzie na podłodze butelki, popstrykując przy tym amerykańską zapalniczką. Natan, ciemnowłosy, wysoki osiemnastoletni chłopak, niecierpliwie wyglądał przez okno, ściskając w dłoni pistolet *vis*. Pozostali sprawdzali broń, doładowywali zapasowe magazynki; niektórzy modlili się szeptem. Oczekiwali tak już drugą godzinę niepewni, czy w ogóle zacznie się właśnie dzisiaj, lecz gotowi. Gotowi na śmierć, tak przynajmniej sądzili.

— Idą! — rozlega się cichy głos dowódcy. — Na miejsca!

Wszyscy zajmują pozycje i zastygają w bezruchu.

Czekanie. Długie minuty wloką się nieubłaganie, serca podchodzą do gardeł. W końcu z zewnątrz słychać miarowy tupot żołnierskich butów. Dowódca unosi w górę rękę, by dać sygnał do ataku. Natan wygląda przez okno. Na ulicy pojawia się spory oddział Wehrmachtu. Dwie kolumny szeregowców kroczą dumnie po obu chodnikach, pośrodku jadą dwa odkryte wozy pancerne. Niemcy idą pewnie i spokojnie, nie spodziewają się oporu. Chłopak spogląda znacząco na dowódcę. Ten jeszcze czeka. Chce wybrać najlepszy moment... W końcu opuszcza rękę.

Partyzanci podrywają się, dopadają okien. Natan robi miejsce Jakubowi, który wychyla się z płonącym koktajlem Mołotowa. Rzut jest celny — butelka trafia do jednego z pojazdów, eliminując obsługę cekaemu. Jakub rzuca po raz drugi, trzeci, czwarty. Następnie chwytą opartego o kaloryfer stena, repetuje i zajmuje pozycję. Obok niego usadawia się Natan. Rozlega się przeciągła kanonada. Amunicji mają mało, starają się więc strzelać oszczędnie, uważnie dobierając cele. Znaczna część Niemców pada, zanim mają szansę zorientować się, co się w ogóle dzieje. Kończą się naboje. Jakub opiera się o ścianę, zmienia magazynek. Jego towarzysz wchodzi na parapet, chcąc rozeznaczyć się w sytuacji. Dostaje kulę w bok. Jakub w ostatniej chwili chwytą go za kurtkę i ściąga do mieszkania. Sam kończy przeładowywanie i wraca na stanowisko. Pięć minut później automat szczeka metalicznie. Powstaniec odrzuca go i rozgląda się za pistoletem rannego.

Strzały milkną. Walczący rozglądają się zaskoczeni. Ulica pustoszeje. Pozostają tylko wyjący z bólu, czołgający się ranni. Po chwili Jakub słyszy jakiś szeleszczący dźwięk. Odgłos nasila się, jakby jego źródło przybliżało się z każdą sekundą, przechodzi wreszcie w gęsty, przerywany piszczeniem klekot. Żyd ostrożnie omiata pobojuwisko wzrokiem. Jego rozbiegane spojrzenie błądzi. Dopiero po kilku sekundach lokalizuje przyczynę hałasu — rozpędzone gąsienice. Pojazd zatrzymuje się, ciężko wznosi lufę. Prosto na jego okno.

— Czołg! — krzyczy partyzant. Próbuje dźwignąć bezwładnego Natana. Wlecz go po podłodze. Dzieje się coś dziwnego. Cienie rzucone przez znajdujące się w pokoju sprzęty nie są już takie jak przedtem. Wyzwalają się, krążą po ścianach, przybierają nowe kształty. Stają się żywe, wyciągają ciemne ramiona w kierunku uciekających. Jakub bezskutecznie usiłuje ciągnąć towarzysza. Czołg podnosi lufę, cienie krążą drapieżnie. Wszystko wydaje się mozolne, mozolne i nienaturalne, jak gdyby zbliżająca się śmierć robiła sobie pamiątkową fotografię.

Powietrze rozdziera potężny huk. Okno wylatuje wraz ze ścianą. Podmucha rzuca Żyda do przodu. Mężczyzna wypada przez drzwi i w fali betonowych odłamków stacza się po drewnianych schodach. Świat milknie. Ranny leży wśród szkła i gruzu, oddycha ciężko. To już koniec, już koniec, nie przyjdą tu, myśli. Klatka schodowa zajmuje się ogniem. Pożar rozprzestrzenia się szybko, płomienie liżą ściany. Jakub z wysiłkiem unosi głowę. W ich blasku dostrzega pełznące po suficie cienie. Przybliżają się z każdą sekundą, wyciągają swoje nienasycone łapska...

— Nie! — krzyczy powstaniec. — Nie! Nie! Nie! Przytrzymują go jakieś silne ręce. Nad nim

mającą dwie białe postacie. Ich rozmyte twarze są piękne, przywodzą na myśl anioły.

— Siostró, morfina!

Rannym ponownie wstrząsają drgawki. Wyrwa się, rozkopuje pościel, nieświadomy, gdzie jest i co się z nim dzieje. Ręce przytrzymują go znowu. Lekkie uklucie w nogę przynosi ukojenie. Rozchodzi się od niego przyjemne, znieczulające ciepło. Jakub leży już spokojnie, obraz nabiera ostrości. Żyd widzi tynkowany sufit, dochodzą go jakieś szepty. Spogląda. To rozmawiają dwie kobiety w białych kitlach, chyba pielęgniarki. Dwa łóżka dalej odpoczywa Natan. A więc udało się, nic im już nie grozi. To wszystko było tylko strasznym majakiem. Zamyka oczy.

Stojąca na parapecie lampa oliwna rzuca na podłogę blask.

Cienie się gromadzą.

\* \* \*

Kupka gruzu drgnęła. Wilhelm wyczołgał się na wierzch i strzepnął z siebie pył. Okolica była pusta i obskurna. Czarne od sadzy i brudu kamienice spoglądały ku niemu złowrogo, jakby sprzymierzyły się z powstańcami i chciały pochować go żywcem pod zwaliskiem z własnych cegieł. Na pełnej odpadków ulicy ścielił się trup, głównie niemiecki. Przygotowali się, pomyślał żołnierz, a jednak się przygotowali.

Wilhelm nie lubił Warszawy. Jeśli mógłby wybierać, wolałby służyć na południu, nawet w samej Afryce. Uważał, że to lepsze niż siedzieć w mieście z tysiącami Żydów. Dlatego ucieszył się, kiedy dowództwo podjęło decyzję o ostatecznej pacyfikacji getta. Do tej pory zajmował się zwykle pakowaniem tych szurów do wagonów na *Umschlagplatzu*, teraz miał okazję postrzelać osobiście. Tylko, do cholery, nikt nic nie mówił o stawianiu oporu. Generał Stroop zapewniał, że eksterminowani pozostaną bierni, tymczasem jego oddział wpakował się w pułapkę i został zmuszony do odwrotu. To, że omal nie zginął, nawet go nie złościło. Nie mógł po prostu przyjąć do wiadomości, że został pokonany przez Żydów. Przez wstrętnych, odpowiedzialnych za przedwojenny kryzys lichwiarzy toczących żyły świata niczym choroba. Że to właśnie oni, ci sami, których tak bardzo się brzydził, ośmielili się stawić opór Rzeszy.

Zaczął przerzucać gruz w poszukiwaniu swojego karabinu. Kiedy go odnalazł, przetaił rękawem, przewiesił przez ramię i ruszył ku murom otaczającym enklawę. Należało jak najszybciej przedostać się na aryjską stronę i dołączyć do reszty kompanii.

Opuszczał już ulicę, gdy nagle się zatrzymał. Przyszło mu do głowy, że generał może uznać jego długą nieobecność za czasową dezercję, a wtedy nie ma zmiłuj...

Obrócił się na pięcie. Zdjął karabin i sprawdził stan magazynka. Może jeśli przyniesie kilka żydowskich głów, sprawa zakończy się inaczej? Nie zastanawiając się dłużej, ruszył w głąb getta.

\* \* \*

— Natan, żyjesz?

Chłopak poruszył się na łóżku.

— Tak. Nic mi nie jest.

Podwinął nogi, podniósł się i usiadł. Pomasaował swój owinięty bandażami bok.

— Kula przeszła na wylot. Miałem szczęście. A ty?

Jakub spróbował się podnieść. Zabolęła go noga. Odrzucił koc i przyjrzał się kończynie dokładnie.

— Chyba dostałem odłamkiem. Boli, ale nie wygląda groźnie.

Zsunął nogi na podłogę. Syknął.

— Mogę stać. Gdzie jesteśmy?

— To chyba szpital polowy. — Natan wskazał na dwóch pozostałych pacjentów leżących na pryczach przy ścianach. Nie ruszali się. Najwyraźniej oberwali mocniej i jeszcze nie odzyskali przytomności.

Średniej wielkości pomieszczenie mieściło sześć rozstawionych co pół metra łóżek. Przy każdym stała nocna szafka oraz nocnik — najwyraźniej nie korzystano tu z łazienki czy wychodka. Pościel była świeża i czysta, jej biel aż kłuła w oczy. Dwie wolne prycze przygotowano starannie — wygładzone prześcieradła nęciły, zapraszając do odpoczynku; najwyraźniej czekano na nowych pacjentów. Ściany pomalowano białą farbą, teraz mocno już zszarzała i przybrudzona. Sufit popękał, na całej szerokości przecinała go wielka, czarna rysa. Trzy okna w drewnianych, nadgryzionych przez czas ramach wychodziły na biedne podwórze. Znajdowały się naprzeciwko łóżek, tak że budzący się spoglądali w pierwszej kolejności właśnie przez nie na ciemną wnękę bramy i małą, obskurną komórkę, prawdopodobnie składnicę opału. Całą resztę zasłaniało potężnie rozrośnięte drzewo posadzone tuż pod oknami. Wyciągało swe długie konary, rzucając na ściany pomieszczenia niewyraźne, cieniste kształty. Z pokoju prowadziły dwa wyjścia, jedno po prawej, drugie po lewej stronie. Na parapecie oliwna lampka, teraz zgaszona, jako że na dworze było jeszcze jasno.

Natan wstał z jękiem i zbliżył się do jednego ze współpacjentów. Mężczyzna o semickich rysach leżał bez ruchu nakryty kocem pod samą szyję. Głowę miał owiniętą bandażami, na jego twarzy widniał grymas cierpienia. Powstaniec szturchnął go lekko.

— Nieprzytomny — stwierdził, odwracając się do towarzysza. — Musiał mocno oberwać. Szkoda, bo nasz.

— Ten też — odrzekł pochylający się nad drugim nieznanym Jakub. — Połatali go, ale widać, że flaki miał na wierzchu.

Nagle pod podłogą coś zachrobotać. Przeciągły, przyciszony odgłos wciskał się w uszy, wywołując u obu Żydów gęsią skórkę. Spojrzeli po sobie pytająco, po czym przywarli do desek, nasłuchując. Wysoki dźwięk trwał jeszcze przez chwilę, niemiłosiernie raniąc słuch, i w końcu ustał.

— Co to mogło być? — zapytał Natan.

— Nie wiem. Może drzwi skrzypią?

Za drzwiami znajdującymi się na prawo od nich rozległy się kroki. Obaj wskoczyli do łóżek jak na komendę. Przykryli się dokładnie, starając się sprawiać wrażenie, jakby w ogóle nie wstawali. Dopiero teraz Jakub odczuł, że noga naprawdę go boli.

Do sali weszła dziewczyna ubrana w biały kitel. Czarne warkocze opadły na kształtne piersi, gdy kolanem przytrzymała tackę, drugą ręką usiłując zamknąć za sobą drzwi. Symulujący sen pacjenci zsunęli nieco koce, chcąc przyjrzeć się jej dokładniej. Kobieta szybko uporowała się z drzwiami i trzymając oburącz pełną ampułek i strzykawek tackę, zbliżyła się do mężczyzny z raną głowy. Dotknęła ręką jego czoła i pokiwała głową z niezadowoleniem. Następnie podeszła do Natana. Zabrała się do odmierzania porcji lekarstwa, ale kiedy zobaczyła, że chłopak śpi, ampułkę wraz z metalową łyżką położyła na szafce. Przyszła kolej na Jakuba. Dziewczyna podeszła do niego cicho, niemal bezszelestnie, co łypiącemu raz po raz okiem Natanowi wydało się niezwykle dziwne. Zbadała dłonią temperaturę czoła. Zadowolona odsłoniła ranną nogę i delikatnie nacisnęła. Powstaniec krzyknął, zrywając się jednocześnie do pozycji siedzącej. Do tej pory nie miał pojęcia, że rana sprawia mu tyle cierpienia. Pielęgniarka uśmiechnęła się.

— Wiedziałam, że pan nie śpi — oznajmiła. — I pana kolega również.

— Ale skąd? — zapytał, próbując ukryć swoje zażenowanie.

Natan przestał udawać i usiadł na pryczy.

— Można nauczyć się rozpoznawać — odrzekła życzliwie. — Nasi pacjenci zwykle najpierw reagują strachem. Wielu budzi się, myśląc, że wciąż są na polu bitwy.

— To... szpital? — odezwał się Natan.

— Dawniej była tu klinika doktora Krauzego. Teraz urządziłyśmy prowizoryczny lazaret. W końcu jest wojna.

— Urządziłyście?

— Tak. Jest nas trójka. Jestem Maria, siostra Polskiego Czerwonego Krzyża. Siostrę Sonię poznacie wkrótce. Czasem pomaga nam stara akuszerka z getta.

— Polka? — zainteresował się chłopak.

— Tak. Przekroczyłam mur jeszcze w styczniu. Siostra Sonia pochodzi stąd.

Jakub poruszył się niespokojnie, coś sobie przypominając.

— Co z powstaniem! — niemal krzyknął. — Jak nasi?!

Siostra Maria zrobiła poważną minę.

— Nie najlepiej. Na początku szło dobrze. Potyczki przy Zamenhofa, na rogu Nalewek i Gęsiej oraz na placu Muranowskim dały Niemcom w kość i zmusiły ich do odwrotu. Stracili nawet dwa czołgi. Teraz jednak zdobywają getto dom po domu. Zaczęły się też bombardowania.

Mówiąc, pielęgniarka szykowała strzykawkę. Kiedy skończyła, odwróciła się z powrotem do Jakuba. Ten na widok igły skrzywił się jak małe dziecko.

— Po co kłuć?

— Ano po to, żeby pan nie krzyczał. Rana nie jest ciężka, ale dość nieszczęśliwa i przez to bolesna.

Nie zważając na dalsze protesty, przebiła się przez opatrunek i wcisnęła tłoczek. Żyd poczuł rozchodzące się po nodze błogie ciepło. Zrobiło mu się nadzwyczaj przyjemnie, jakby wypił setkę wódki. Siostra skończyła zabieg i odwróciła się do szafki, żeby rozmontować strzykawkę. Wtedy go zobaczył.

Siedział na ścianie za jej plecami, wyciągając swe szponiaste, płaskie dłonie tak, że stawały się przedłużeniem jej własnych rąk. Rąk, które przed chwilą zrobiły mu zastrzyk.

— Cień! — krzyknął rozpaczliwie.

Maria i Natan spojrzeli zaskoczeni.

Ale cienia już nie było. Jeszcze przed chwilą górował nad wątłym ciałem kobiety, otulając ją niemal całkowicie, teraz jednak nie pozostał po nim najmniejszy ślad.

— Co? — Natan nie zrozumiał. Pielęgniarka milczała.

— Nie ufam jej — Jakub przeszedł na jidysz.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się, zebrała leki i wyszła.

— Co ty gadasz? — Natan zapytał w tym samym języku.

— Wtedy, jeszcze przy Zamenhofa, wydarzyło się coś dziwnego. Widziałem... cienie.

— Co widziałeś?

— Cienie... Nie wiem... — Chwycił się oburącz za głowę. — Nie potrafię tego wytłumaczyć.

— Jakub, byłeś w szoku, na granicy przytomności. Mogłeś widzieć różne rzeczy.

— Tak, ale... On znowu tu był. Nad nią... Albo w niej.

— Wiesz co, najlepiej zrobimy, jeśli położymy się i prześpimy.

Powstaniec pokiwał głową.

— Masz rację.

Naciągnęli koce i zamilkli. Cisza trwała kilka minut. Nagle Jakub zapytał:

— Czujesz?

Natan głęboko wciągnął powietrze, smakując przez długą chwilę. W końcu odpowiedział:

— Dym. Z dobrego tytoniu.

Zerwali się równocześnie, gdy tylko zrozumieli, o czym rozmawiają. Zaczęli chodzić w tę i z powrotem, rozglądając się badawczo po pokoju. Przeszukawszy wszystkie kąty, mieli już zrezygnować, kiedy Jakub, stąpając ciężko kontuzjowaną nogą, przysunął znaleziony stołek i usiadł. Spojrzał tępo na ścianę i wzdrygnął się. Przywołał kompana ręką.

— Zobacz — szepnął, wskazując przed siebie. Natan podniósł wzrok.

Siedzący jak na krześle mężczyzna uformowany z cienia rzucanego przez gałęzie drzewa palił papierosa.

\* \* \*

Zaplecze wypełniał charakterystyczny zapach jodyny. Poustawiane na półkach flaszki i butelki mieniły się odcieniami brązu, błękitu i czerwieni. Nie było tu okien — główne źródło światła stanowiły ogarki umieszczone w srebrnym siedmioramiennym świeczniku stojącym na stole, przy którym pracowała siostra Maria. Kobieta cierpliwie odmierzała składniki na dokładnej, aptecznej wadze. Tuż obok majaczył płomyk spirytusowego palnika podgrzewający naczynie z jakimś zielonym wywarem; po stole wałały się resztki wyschniętych maków.

Pielęgniarka podeszła do szklanej szafki znajdującej się pod ścianą. Przyjrzała się uważnie. W końcu otworzyła drzwiczki i sięgnęła po słoik. Zawierał żółtą substancję. Na przyklejonym do ciemnego szkła kawałku plastra widniał duży napis: siarka. Maria starannie zamknęła szafkę i wróciła do stołu. Zdjęła naczynie z wywarem z palnika, odstawiła je na żelazny, miniaturowy trójnóg i zabrała się do otwierania słoika. Wtedy skrzypnęły jedyne w tym pomieszczeniu drzwi — siostra Sonia wsunęła się do środka. Była starsza i niższa od swojej koleżanki; włosy miała równie ciemne, długie, upięte w kok. Drobnym krokiem zbliżyła się do aparatury, obrzucając wszystko spojrzeniem szarych oczu.

— Przygotowałaś wywar? — zapytała surowo.

— Tak. Pozostało tylko zrobić roztwór.

Sonia pokiwała z zadowoleniem głową. Wzięła do ręki pustą główkę maku.

— Sprzątnij tu. Nie ty masz się narkotyzować. Jesteś potrzebna.

— Regularnie rozpylam jodynę. To powinno wystarczyć, przynajmniej na razie.

Starsza pielęgniarka westchnęła.

— Niedługo zabraknie składników, a wtedy...

Nie dokończyła i sama zaczęła zbierać zużyte rośliny. Maria wróciła do pracy. Odkręciła słoik z siarką, zaczęła odmierzać. W tym czasie Żydówka skończyła sprzątanie i zbierała się do wyjścia. Zanim opuściła pokój, zapytała:

— Zajrzałaś do pacjentów?

Polka uniosła się znad wagi wyraźnie ożywiona.

— Ci nowi sądzą, że nie znam jidysz — rzekła. — Są silni. Ale pozostali...

— Jak ten z raną głowy?

Maria zamilkła na chwilę, jakby się zastanawiając. Po jej twarzy przebiegł wyraźny skurcz.

— Już niedługo — powiedziała cicho.

Jej koleżanka pokiwała głową po raz drugi.

— Kiedy skończysz, idź przygotować miejsce.

Gdy dziewczyna doprowadziła proces syntezy specyfiku do końca, zapadł już zmrok. Wygasiała palnik, w misce z wodą umyła ręce, chwyciła ciężki świecznik i wyszła. W sali pacjentów panowała cisza, znak, że wszyscy spali. W przedsionku Maria narzuciła na siebie podbity futrem kubrak. Kwietniowa noc była ciepła, ale kobieta nie miała innego okrycia wierzchniego. Z menorą

w rękę przekroczyła próg domu. Księżyc rozświetlał podwórze, dokładnie widziała kształty kamienic tworzących mały wewnętrzny dziedziniec; pod oknami kołysało się stare drzewo.

Skierowała się ku ciasnej komórce. Odczepiła haczyk, wślizgnęła się do środka i trzymając świecznik przed sobą, zaczęła schodzić po skrzypiących stopniach.

\* \* \*

Czarna rysa sufitu wydawała się Jakubowi szersza, niż kiedy oglądał ją poprzednim razem. Może to tylko jego wyobraźnia, a może w dach niedawno trafiła jedna z bomb, których Niemcy od początku powstania rzucali na getto coraz więcej, i sufit zwyczajnie nadpękł? Wiedział, że jego rana, mimo że nie jest śmiertelna, wywołuje majaki. Rana Natana również. Nie potrafili inaczej wyjaśnić tego, co ostatnio widzieli. Obaj mieli wykształcenie, obaj starali się myśleć racjonalnie. Dlatego postanowili położyć się do łóżek i zapomnieć o całej sprawie. Pomimo tego Jakub nie mógł opędzić się od myśli, że tam w kamienicy przy skrzyżowaniu Miłej i Zamenhofska zmarł i teraz znajduje się w zaświatach. Myśl była oczywiście niedorzeczna, lecz spędzała mu sen z powiek. Leżał więc już czwartą godzinę, gapiąc się w ryse i wsłuchując w eksplozje. Po jakimś czasie zauważył, że wybuchy następują bliżej z każdym kwadransem. Wniósł z tego, że mimo początkowych sukcesów powstańców Niemcy wypierali ich bardzo szybko...

Niespodziewanie tuż nad jego łóżkiem rysa zgrubiała. Była teraz potężną, szeroką na kciuk szramą rozlewającą się po suficie niczym strumyk. Powstaniec wyteżył wzrok. Mógłby przysiąc, że szrama poruszała się, wręcz kotłowała. Nagle coś błyskawicznie oderwało się od niej, tak szybko, że leżący ledwo to zauważył. Przymknął oczy i potrząsnął głową. Kiedy je otworzył, szrama stała się na powrót zwyczajnym pęknięciem. Zaśmiał się sam do siebie. Głupoty, pomyślał.

Uspokojony obrócił się na bok, chcąc dać odpocząć plecom. Omal nie spadł na podłogę. Za Natanem, nad pierwszą pryczą od drzwi, na której spoczywał pacjent z potrząskaną czaszką, ze ściany wychylał się ludzki kształt. Spokojny, oglądający nieprzytomnego z wielką uwagą, zdawał się nie wiedzieć, że jest obserwowany. Jakub opanował cisnący mu się do gardła krzyk i po cichu zsunął się na deski. Na czworakach podpełzł do łóżka towarzysza. Pociągnął za koc.

— Natan! — syknął. — Natan, obudź się!

Zdezorientowany chłopak wybełkotał coś bez sensu.

Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, że ktoś przytyka mu do ust dłoń.

— Ciii. — Drugą dłoń Jakub przyłożył do własnych ust. Głową wskazał w kierunku cienia.

Natan odwrócił się powoli. Cień nadal trwał pochylony nad rannym. Widmowymi kończynami dotykał jego głowy i klatki piersiowej, zupełnie jakby przeprowadzał badanie. W nierzeczywistych palcach pojawił się zarys podłużnego przedmiotu. Cień zbliżył się do pacjenta jeszcze bardziej, niemal położył się przy nim; wyciągnął rękę w kierunku obandażowanego ciemienia. Obserwatorzy rozpoznali skalpel. Czując, że stanie się coś okropnego, usiłowali zareagować, lecz strach całkowicie ich sparaliżował. Cień jednak wyprostował się jakby olśniony genialną myślą. Gdzieś daleko rozległo się echo przeraźliwego wrzasku. Obu powstańców przeszedł dreszcz. Odruchowo spojrzeli w okno, a kiedy z powrotem odwrócili się ku ścianie, była pusta. Nieprzytomny mężczyzna spoczywał spokojnie, jego klatka piersiowa poruszała się nieznacznie, lecz stale i miarowo.

— To On — skrzeknął jakiś głos.

W rogu na małym stołku siedziała gruba babina, z której obecności wcześniej nie zdawali sobie sprawy. Przełykając ślinę, Jakub pomyślał, że staruszka znajduje się w pokoju od samego początku i od samego początku jest świadkiem ich dziwactw. Trzymała na kolanach kłębek brązowej wełny oraz druty; z jej wytartego, zapinanego na guziki fartucha zwisał niedokończony sweter. Czerstwą

twarz pokrywały liczne bruzdy wyłobione przez czas i troskę. Fałd szyjny zwijał się i opadał na dekolt, obwisłe piersi z trudem przebijały się przez ubranie. Zmęczonymi, lecz wciąż przenikliwymi, podkrążonymi oczami staruszka patrzyła w okno, jakby mogła zobaczyć więcej niż oni.

— Co? — zapytali jednocześnie.

— To On — powtórzyła babina. — Chce go.

Zatkało ich ze zdumienia. Stracili pewność, czy aby są przytomni. Kobieta wstała i skierowała się do wyjścia. Natan przemógł się, kiedy zamykała za sobą drzwi.

— Któż? — wykrztusił drżącym głosem.

— Doktor — szepnęła przez próg.

\* \* \*

Ulica ciągnęła się już dziesiątą minutę marszu. Wehrmacht jeszcze tu nie dotarł, a pomimo tego na chodnikach leżały trupy. Żołnierz pochylił się nad jednym z nich. Chłopiec musiał leżeć tu już długo — rozpoczął się proces rozkładu, palce obgryzły mu szczury. Wzdęty brzuch i trupio blada skóra sugerowały śmierć głodową. Wilhelm zaśmiał się. Obliczenia wskazywały, że w wyniku działań eksterminacyjnych w Restgetcie\* pozostało jakieś siedemdziesiąt tysięcy Żydów. Nieźle jak na te pół miliona, które znajdowało się tu na samym początku, pomyślał.

Wyprostował się. Po obu stronach ulicy stały zrujnowane kamienice. Budynki krzyczały biedą i cierpieniem swoich mieszkańców umierających w męczarniach z chorób i braku podstawowych środków do życia. Większości domów nie pokrywała farba, tynk ostał się zaledwie na kilku; wiele oplakatowano na żółto, ostrzegając przed tyfusem. Zabrudzone okna skrywały zatęchłe, niesprzątane miesiącami wnętrza. Wystawy sklepów starannie zabito deskami, drzwi pozamykano. Nie było tu żywego ducha. Warszawskie słońce zachodziło, wiatr gnał po chodnikach śmieci i stare gazety, a szeregowiec stał samotnie wśród zalegających pod nogami trupów. Zagłębiał się w tę ruinę coraz bardziej, a nadal nikogo nie spotkał. Wyglądało na to, że jego plan zakończy się fiaskiem. Sięgnął do chlebaka. Jedzenia miał dosyć, ale każda spędzona tu godzina utrudni mu wytłumaczenie się przed dowódcą.

Rozważał właśnie możliwość wzięcia jako trofea głów zmarłych, kiedy usłyszał odgłos kroków. Momentalnie poderwał karabin, palec powędrował do spustu. Żołnierz rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Wyszedł na środek ulicy, jego wysokie buty zastukały na bruku. Coś poruszyło się na elewacji budynku po lewej. Nerwowo przyłożył karabin do policzka. Na cudem ocalałej połaci farby zamajaczył dziwny cień. Wilhelm skrzywił się, spojrzął za siebie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby go rzucać. Teoretycznie fronton ściany dałby radę, ale...

Kształt powoli przesunął się ku drzwiom prowadzącym na klatkę schodową. Wydłużył się, wychudł i rozciągnął, rozdzielając na dwa, czy raczej wykształcając... Nie, to niemożliwe. Wilhelm opuścił karabin i odpiął manierkę z wodą. Pociągnął łyk, po czym odwiesił ją na miejsce. Cień wciąż tam był, wyraźnie wskazując rozczapierzoną dłońią na drzwi. Niemiec wzruszył ramionami. Zarepetował broń i ruszył przed siebie. Osobliwy kształt zniknął, dopiero kiedy żołnierz przekroczył próg.

Korytarz zalegała ciemność. Schody z chybotliwą poręczą zaczynały się po lewej i ciągnęły w górę, niknąc za zakrętem. Po prawej znajdowały się na wpół uchylone drewniane drzwi prowadzące do piwnic. Śmierdziało tu moczem, więc Wilhelm obejrzał wszystko pobieżnie i chciał wrócić na ulicę, gdy usłyszał oddech. Stał w miejscu, nasłuchując uważnie.

---

\* Restgetto — tzw. „getto szczątkowe”, które podległo właściwej, ostatecznej eksterminacji [przyp. autora]

Jakiś kształt oderwał się od schodów i runął prosto na niego. Niemiec wrzasnął i wypadł na zewnątrz, omal nie robiąc w portki. Utykający, zarośnięty Żyd zbiegł ze stopni i zaczął rozpaczliwie uciekać. Szeregowiec szybko pojął, co się stało, i ruszył za nim. Mężczyzna był w połowie bocznej uliczki, gdy nagle potknął się i przewrócił. Wilhelm podszedł do niego niespiesznie. W oczach Żyda malowało się przerażenie. Jego spieczona уста drgały, ręce przyciskały owiniętą niedbale bandażami nogę. Skórę miał pożółkłą jak stary papier, a na jego czole perlił się pot. Na twarzy żołnierza pojawił się triumfalny, okrutny uśmiech. Wreszcie znalazł to, czego szukał.

Opuścił lufę karabinu, wtykając kolbę pod ramię. Oblicze Żyda przybrało wyraz straszny, jakiego Niemiec nigdy wcześniej nie widział.

— *Nein, bitte!* — wyjęczał.

Wilhelm dzielił go kolbą.

— Języka panów się używa, co!?

Ponownie opuścił karabin. Już wciskał cyngiel, kiedy wpadł na pewien pomysł. Rzesza też mlekiem i miodem nie płynie, szkoda kuli na kogoś takiego jak ten tu...

Położył broń na bruku i dobył długiego bagnetu. Żyd zamknął oczy.

Powietrze rozdarł zwierzęcy krzyk. Chwilę później Wilhelm przywiązywał do pasa głowę zawiniętą w zdartą z ciała koszulę. Cień czekał załamany na ceglanym łączeniu pobliskiej rudery. Niemiec podziękował mu, przytykając palec do skroni. Kształt uklonił się z gracją, po czym wskazał na ulicę; zaczął płynąć po kolejnych budynkach. Zachęcony szeregowiec ruszył za nim.

\* \* \*

Kontury sufitu rysowały się niewyraźnie, gdy Jakub otwierał sklezione zmęczeniem powieki. Wygiął się pod ciepłym okryciem, rozciągając zeszywniałe członki. Ranna noga zaboląła go najpierw lekkim ukłuciem, przebiegła po niej nieprzyjemna fala mrowiu; następnie wstrząsnęły nim rozlewające się po całym ciele dreszcze. Musiał mieć gorączkę. Wzrok zdążył już się wyostrzyć, sklepienie przecinała ta sama czarna linia.

— Natan? — zawołał, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Zawołał powtórnie, a gdy i tym razem nikt się nie odezwał, zebrał siły i podniósł się. Na zewnątrz zapadła już noc — światło dawała teraz tylko oliwna lampka umieszczona na parapecie. Jego towarzysz siedział na swoim łóżku odwrócony do niego plecami. Głowę miał opuszczoną, ręce ułożone na kolanach; najwyraźniej wpatrywał się bez celu w podłogę.

— Stary, co jest?

Chłopak powoli odwrócił się ku niemu. Wzrok miał szklisty i mętny, jakby nieobecny. Rozdziawił usta, lecz nie wykrztusił ani słowa. Odsunął się tylko, by Jakub mógł zobaczyć łóżko pod ścianą. Było puste. Pacjent z obandażowaną głową zniknął.

— Boże... — szepnął Jakub. — Gdzie on jest?

Natan ożywił się.

— Kiedy się obudziłem, już go nie było.

Starszy powstaniec usiłował wstać, opadł jednak na posłanie z jękiem. Noga zaczynała znów boleć.

— Na pewno poszedł do ubikacji i zaraz wróci... — tłumaczył.

— Nie — przerwał mu chłopak. — Nie wróci. Tu nie ma wychodka, poza tym leżał nieprzytomny.

— Sugerujesz więc...

— ...Że go zabrał.

— Co ty pleciesz, to niemożliwe.

— Przecież nam mówiła! Mówiła, że Doktor go chce!

— Nie wierzysz chyba starej, przesądnej kobiecie! — wytknął Jakub, podnosząc głos.

Natan westchnął. Podrapał się po rozczochranej głowie.

— Masz rację — przytaknął. — Ale przecież obaj wiemy, że dzieje się tu coś dziwnego. Co, jeśli następny będzie on? — Wskazał na mężczyznę zajmującego posłanie po lewej stronie przyjaciela. — Albo my?

Jakub zacisnął zęby, dźwignął się i przesunął na kraniec łóżka. Przysunął stojący nieopodal stołek. Usiadł i ostrożnie rozmasował bolące miejsce. Natan położył się z powrotem.

— Wiesz co — zaczął niepewnie starszy z towarzyszy — czasem myślę, że po prostu nie żyjemy i trafiliśmy do Szeolu\*.

— „Pamiętaj, że śmierć nie zwleka, a przymierze Szeolu nie zostało ci odkryte”<sup>\*</sup> — zacytował ironicznie drugi partyzant. — Chodzi ci o te cienie?

— Tak... A zresztą, nie wiem. Przecież broniliśmy narodu?

— To bez znaczenia — ciągnął chłopak. — Nasi ojcowie wierzyli, że Jahwe strąca w Otchłań wszystkich i nie jest ważne, czy ktoś był grzesznikiem, czy też nie.

— Mówisz, jakbyśmy naprawdę już nie żyli!

— Ty zacząłeś.

Kłótnię przerwał zduszony wrzask Jakuba. Noga zabolala tak mocno, że Żyd zachwiał się i spadł z zydelka. W tym samym momencie rozległ się potężny huk. Okno otworzyło się na oścież wypchnięte nagłym podmuchem wiatru i rąbnęło z wielką siłą o ścianę. Szyba zatrzęsała się, wydając cichy jęk, ale wytrzymała. Stracona lampa roztrzaskała się natomiast w drobny mak; olej rozlał się po podłodze, tworząc sporą kałużę, po czym w mig pokrył się niebieskim płomieniem. Jakub, nie wiedząc, co się dzieje, nadal krzyczał. Skulił się w kłębek, drgając spazmatycznie. Jego oszalały z przerażenia wzrok padł na ścianę. Mężczyzna momentalnie zamilkł. W łunie pożaru widać było cieniste kształty. Wlatywały z ciemnego, czarnego niczym węgiel podwórza. Właściwie jeden po drugim wślizgiwały się niepostrzeżenie, korzystając z nadarżającej się okazji, uważne i ostrożne, lecz szybkie i zdecydowane zarazem. Padały na mury, a stamtąd ośmielone i pewne swego rozbiegały się w szaleńczym tańcu, krążąc i wirując pomiędzy łózkami. Ich upiorne, postrzępione ciała przemykały po twarzach pacjentów, jakby świadomie potęgując i chłonąc wywołane przez siebie przerażenie.

Natan również je dostrzegł. Włosy stanęły mu dęba.

— Ratunku! Ratunku! — wydarł się i zemdłał, opadając na pryczę.

Do sali wpadły obie pielęgniarki. Sonia zdusiła ogień jakimś kocem. Maria podbiegła do leżącego powstańca z gotową do użycia strzykawką.

— Nie, nie chcę spać! — zaprotestował rozpaczliwie Żyd. Zapomniał o ranie i zaczął się wściekle miotać.

Unieruchomiły go jakieś szorstkie, silne ręce. Stara akuszerka wyrosła jak spod ziemi i pewnym chwytem zdusiła resztkę drzemających w nim sił. Poczul ukłucie. Żyły wypełniło mu znajome ciepło rozprzestrzeniające się po ciele w mgnieniu oka. Świat wydał się odległy, mały i nieważny. Strach ustąpił miejsca nieświadomości, stając się mglistym wspomnieniem; powieki opadły same. Jakub zasnął.

---

\* Szeol — podziemny świat ciemności, który u wczesnych Hebrajczyków wyobrażał krainę cieni zmarłych [przyp. autor]

\* Mądrość Syracha 14,12; za: BT [przyp. autor]

\* \* \*

Stał pośrodku pustego pomieszczenia. Ściany były świeżo wybielone, malarz musiał skończyć robotę całkiem niedawno. Podłogę zamieciono, parapety przetarto; nawet uważny obserwator nie znalazłby na nich ani drobin kurzu. Okna wyglądały na dopiero co wstawione. Ich ramy pachniały lakierem. Gładki sufit niemal zlewał się z resztą, nie nosił śladów najmniejszego zadrapania. Dwoje drzwi bez klamek znajdowało się na dwóch krańcach pokoju, dokładnie naprzeciwko siebie. Powstaniec rozglądał się zdezorientowany, nie mogąc podjąć decyzji, z którego wyjścia skorzystać. Nagle z lewej strony rozległ się niewyobrazalny, ścinający krew w żyłach skowyt. Żyd zbliżył się do drzwi, zza których dochodził głos, zawahał się przez chwilę, lecz w końcu delikatnie pchnął. W powstałą szparę wcisnął głowę.

Pokój wypełniały sprzęty szpitalne — szklane szafki z lekami, dwa posłane łóżka, parawanik, waga lekarska oraz stojący w kącie wieszak ze zwisającym białym fartuchem. Stwierdziwszy, że nikogo tutaj nie ma, wsunął się do środka. Przeszedł w tę i z powrotem, oglądając wszystko dokładnie. Wtem wrzask powtórzył się. Jakub dopiero teraz zauważył przy ścianie za parawanikiem wąskie schodki wiodące w górę. Odstawił przesłonę na bok i wszedł na stopień. Stare drewno zatrzeszczało. Starając się nie powodować hałasu, rozpoczął wspinaczkę. Szedł bokiem, badając następne stopnie i omijając te, które mogły zdradzić jego obecność. Wreszcie stanął przed kolejnymi drzwiami. Z walącym sercem nachylił się i spojrział przez niewielki prześwit.

Na krześle dentystycznym siedział zakrwawiony mężczyzna. Ręce i nogi miał przywiązane skórzanymi pasami, głowę unieruchomioną. Nagi tors pokrywały liczne bruzdy, nacięcia i pęcherze. Wargi mu drgały, czoło przecinał straszliwy paroksyzm bólu. Górował nad nim stojący do Jakuba bokiem, ubrany w biały kitel oprawca. W dłoni dzierżył skalpel, w uszach miał końcówki stetoskopu. Oglądał ofiarę dokładnie, przesuwając słuchawkę po zakrwawionym ciele.

— A może tutaj? — zwrócił się do pacjenta ciepło. Nie czekając na odpowiedź, precyzyjnie rozciął jeden z napęczniałych bąbli. Na wpół obłąkany pacjent ryknął, szarpiąc się w napiętych pasach. Z wrzodu wypłynęły krew i czarna ropa. Pokój wypełniło bezsilne łkanie.

Krzyk wzdrygnął podglądającym powstańcem tak, że niechcący dotknął uchylonych drzwi, które zaskrzypiały głośno. Upiorny lekarz odwrócił się natychmiast. Jego twarz wykrzywił uśmiech szaleńca.

— Nowy pacjent! — powiedział radośnie.

Żyd zerwał się i co tchu popędził na dół. Potknął się o ostatni stopień, przeleciał metr do przodu i wpadł prosto w parawan, obijając się dotkliwie. Próbował się wydostać, lecz na próżno. Płachty sztywnego do tej pory materiału ożyły i owinęły go niczym węże, uniemożliwiając ruch. Schody zatrzeszczały, człowiek ze skalpelem był coraz bliżej...

Jakuba obudziło uklucie w nodze. Koszula przesiąkła potem i przykleiła się do skóry. Kończyna nie bolała, specyfik podany przez siostry jeszcze działał, przebiegało po niej tylko lekkie mrowienie. Powstaniec podniósł się i rozejrzał. Słońce wstało jakieś dwie godziny temu. Natan siedział nad pustym łóżkiem drugiego pacjenta, wpatrując się beznamiętnie w poduszkę. Spostrzegłszy, że jego kompan się obudził, rzekł cicho:

— Nie ma go.

Tego było za wiele. Starszy powstaniec odrzucił pierzynę, wstał i chwytając się ram kolejnych łóżek, przesunął się ku drzwiom po lewej. Pchnął je i wpadł do pomieszczenia obok. Zamiast spodziewanych łóżek, szafek, parawanu i innych sprzętów spostrzegł zaniedbany, zagracony śmieciem pokój. Wąskie schody pozostały jednak na swoim miejscu. Kulejąc, dopadł ich, sforsowanie przeszkody zajęło mu dobrych kilka minut. Wszedł na strych. Tutaj również nie

znalazł tego, czego szukał. Po narzędziach kaźni nie został ślad. Podłogę pokrywała warstwa pyłu, po kątach walały się nadżarte przez czas kartony wypełnione po brzegi starymi rupieciami.

Jakub pokuśtykał do najbliższego i zaczął chaotycznie przetrząsać jego zawartość. Kiedy nie natrafił na żadną wskazówkę, zrezygnował, chwycił zaśniedziałą kulę i ruszył z powrotem. Po chwili stał przed przyjacielem. Chłopak pospiesznie przeszukiwał szuflady nocnych stolików.

— Nie ma naszych rzeczy — oznajmił. — Zabrały je. Zanim powstaniec zdążył coś powiedzieć, rozległ się znajomy chrobot. Dochodził spod podłogi, tak jak przedtem. Spojrzeli po sobie zdecydowani na wszystko. Natan wyjął ukrytą w poszewce poduszki łyżkę, wziął nocnik, oparł sztuciec o parapet i trzema uderzeniami złamał go przy końcu. Z tak uzyskanym szpikulcem ruszył ku drugiemu wyjściu. Ubrani w same koszule wydostali się na korytarz, lecz nie zastali tam nikogo. Droga prowadziła do dwóch kolejnych sal, w jednej znajdowały się przygotowane dla następnych rannych posłania, zaś z drugiej, zamkniętej na klucz, dochodził gryzący zapach chemikaliów; korytarz kończył się przedsionkiem. Znaleźli się na podwórzu otoczonym murami sąsiednich budynków. Okna zabarykadowano, inne wejścia również; odsłonięte pozostały tylko te od lazaretu, pod którymi szumiało drzewo. Palona cegła błyskała w słońcu, wypełniając zakątek czerwoną poświatą. Rozejrzeli się w poszukiwaniu wejścia do piwnicy. Zobaczywszy otwartą na oścież komórkę, podeszli bliżej i zajrzeli do środka. Na końcu długich schodków majaczyło rozproszone światło. Nie zastanawiając się dłużej, zaczęli się skradać. Dotarłszy na dół, wyjrzeli zza rogu.

Ich oczom ukazała się straszna scena. Przy świetle latarni dwie pielęgniarki oraz stara akuszerka wpychały martwe ciało ich byłego współpacjenta do niszy w ścianie. Obok stała ciężka kamienna płyta, której odsuwanie i zasuwanie mogło powodować ów rozlegający się pod podłogą hałas. Piwnica była ponura i ciasna, zasnutą grubymi pajęczynami. Komory grobowe pokrywały wszystkie cztery mury, zupełnie jak w katakumbach.

Natan nie wytrzymał.

— Coście z nimi zrobili!? — wykrzyczał, rwąc się do przodu. Wysunął przed siebie ułamaną łyżkę, co wyglądało bardziej komicznie niż groźnie; pomimo tego kobiety się przestraszyły.

— Spokojnie. — Siostra Sonia wyciągnęła rękę, próbując go ułagodzić. — Wszystko jest w porządku.

— Zabiłyście ich! — Chłopak zapłakał. — Dlaczego?!

Spojrzały na siebie pytająco.

— Nie, nie zabiłyśmy, uspokój się — włączyła się Maria. — My tylko ich chowamy.

— Co?

— Chowamy ich. Po getcie szaleją Niemcy, nie można w ziemi, a ciała umarłych z ran gniją. Urządziłyśmy więc mały cmentarz.

Natan wypuścił szpikuliec, usiadł i zaczął się kołysać. Siostra Sonia przykucnęła przy nim i wzięła go w ramiona.

— A więc umarli z ran... — zrozumiał Jakub. — A my myśleliśmy, że...

— Że chcemy was otruć? Dostawaliście tylko środek przeciwbólowy, siarczan morfiny. Mamy trochę maku, więc produkujemy go same.

— Przepraszamy was. Trudno nam w to uwierzyć, widzieliśmy ostatnio dziwne rzeczy. Jakby cienie, żywe i inteligentne... Nieważne.

— To Doktor, mówiłam wam — wyskrzeczwała babina. — Chciał ich i dostał. — Wskazała na trupa.

— Cicho, stara! — zdenerwowała się Maria. — Przestraszysz ich tak, że nigdy nie wyzdrowieją!

— Niech mówi — zdecydował Jakub. Pielęgniarka zamilkła.

— Dawniej, na długo przed wojną — podjęła akuszerka — kiedy warszawskim Żydom dobrze się powodziło, w miejscu dzisiejszego szpitala założono klinikę dla bogatych. Pracowałam tu wtedy jako sprzątaczką, więc słyszałam to i owo. Przybytek prowadził Abraham Krauze Orcinus, doktor medycyny, specjalista z zakresu neurologi, jak mawiali.

— Neurologii — poprawiła Maria.

— A diabeł go tam wie — prychnęła stara. — W każdym razie był to dziwny jegomość, zamknięty w sobie, bardzo mądry i całkowicie pochłonięty swoją pracą. Nikt nie wie, jak doszło do tragedii. Pewnego dnia doktor wymordował pacjentów, po czym zastrzelił się we własnym mieszkaniu przy ulicy Żytniej. Od tego czasu nawiedza dawną klinikę, aby zbierać okrutne żniwo nawet z zaświatów. Ja sama uniknęłam śmierci tylko przypadkiem — rozchorowałam się i nie przyszłam do pracy.

— To wszystko bzdury! — zarzuciła siostra. — Może i stało się coś strasznego, ale to nie znaczy, że mamy u siebie upiora!

Powstaniec westchnął.

— Gdzie to mieszkanie? — zapytał.

— Na Żytniej, niedaleko stąd.

Maria zrozumiała, że perswazja jest z góry skazana na klęskę.

— Przygotuję wam ubrania — zaproponowała.

\* \* \*

Przemykali wśród ruin, klucząc pomiędzy zwaliskami w poszukiwaniu osłony. Powietrze wypełniały dochodzące z oddali gwizdy pocisków, strzały i wybuchy. Niemcy od początku walk zrzucili na getto znaczną ilość bomb burzących i zapalających, obracając część dzielnic w perzynę. Zmienili też taktykę — zamiast zdobywać domy po kolei podpalali je, wykurzając obrońców prosto pod lufy własnych karabinów. Powstanie upadało, ale dwóch Żydów myślało teraz zupełnie o czym innym. Musieli to wiedzieć. Musieli odkryć, jaką tajemnicę skrywał zmarły doktor, i to za wszelką cenę.

Natan czuł się dużo lepiej, prowadził więc podpierającego się kulą towarzysza. Wróg jeszcze tu nie dotarł, lecz mógł pojawić się lada chwila. Parli naprzód, potykając się i klnąc, gnani łuną nadchodzącego pożaru. Weszli na Żytnią. Ulica była zniszczona mniej niż pozostałe, bomby dosięgły niewielu budynków. Przyspieszyli, mijając kolejne klatki schodowe w poszukiwaniu właściwego adresu. W końcu znaleźli. Chłopak posadził kompana na kupie gruzu, a sam przyjrzał się tabliczce z numerem, ścierając z niej pył. Zgadzało się. Wtem Jakub syknął:

— Ktoś idzie!

Natan rzucił się na ziemię w samą porę. Z bocznej uliczki wyłonił się niemiecki żołnierz. Pod pachą trzymał karabin, u pasa dyndało mu przesiąknięte czymś czerwonym zawiniątko. Kroczył uważnie, jakby podążał za przewodnikiem. Nikogo więcej jednak nie widzieli.

\* \* \*

Wilhelm oswoił się już z wiodącym go cieniem, niemniej przydługawa wędrówka zdążyła go znużyć. Wtedy właśnie po drugiej stronie ulicy coś się poruszyło.

Odbezpieczył i skierował się do źródła odgłosów. Był prawie nad miejscem, gdzie kulili się Jakub i Natan, kiedy na budynku przed nim zamajaczył znajomy kształt. Utworzony z cienia mężczyzna pokiwał palcem i wskazał na pobliski lej po bombie.

— No co ty? — zamarudził Niemiec, lecz kiedy kształt nie zniknął, poszedł we wskazanym kierunku. Cień przepłynął do leja, tuż obok szeregowca. Żydzi odetchnęli.

W uszach wszystkich zapiszczało. Niebo przecięła smuga pocisku. Wilhelm podniósł głowę, przesłonił oczy.

— Moździerz chyba — powiedział. — Dobrze, że nigdy dwa razy w to samo miejsce...

Potężny huk wstrząsnął ulicą, kiedy pocisk trafił prosto w mówiącego, zamieniając go w miazgę i rozrzucając resztki w promieniu kilkunastu metrów. Na ziemi pozostały tylko nadpalone buty.

— No chodź! — Natan szarpnął przypatrującego się z niedowierzaniem przyjaciela.

Wstali i weszli na klatkę schodową odnalezioną kamienicy. Posępne schody ciągnęły się w górę zakręcając ostro przy krótkich, dwubiegunowych korytarzach z wejściami do mieszkań. Część z nich zamknięto na cztery spusty, część stała otwarta, ukazując puste, zdewastowane wnętrza. W wysoko umieszczonych okienkach szyb nie myto od lat, światła słonecznego docierało tu bardzo mało i wszystko spowijała ponura zasłona półmroku. W nozdrza wciskał się odór stęchlizny i szcurzych odchodów. Mężczyźni szli powoli, przystając co chwilę i sprawdzając tabliczki na drzwiach. Jakub, któremu pokonywanie licznych stopni sprawiało dużo większą trudność, trzymał się z tyłu, ufając spostrzegawczości kolegi. Długo jednak nie mogli trafić na właściwą kwaterę. W końcu schody się skończyły; ujrzeni wykładany białoczarnymi kafelkami korytarzyk, na którego końcu znajdowały się zabite deskami wierzeje.

— To musi być tu — stwierdził Natan.

Starszy powstaniec usiadł pod ścianą, aby złapać oddech, młodszy zaś zatarł dłonie i zabrał się do usuwania przeszkody. Odrywanie desek zajęło mu dziesięć minut. Przetarł rękawem miedzianą tabliczkę, po czym odczytał na głos:

— „A.K. Orcinus”. Jesteśmy na miejscu — dodał. — Mieszkał na poddaszu.

Jakub podniósł się i razem przekroczyli próg.

Gdyby nie wiedzieli, że kawalerkę wynajmował kiedyś człowiek uczony, pomyśleliby, iż przez długie lata wił tu sobie gniazdko jakiś leniwy tramp. Nie było tu przedsionka, wchodziło się od razu do głównego i zarazem jedyne pomieszczenia. Podłogę zalegały pomięte papiery, zbutwiałe elementy garderoby, przybory toaletowe, słowem, nagromadzone w wyniku długiego niesprzątania śmieci. Na środku ulokowano prostokątny stół i krzesło, teraz pokryte grubą warstwą kurzu. Na stole leżały gazetowe wycinki oraz niedbale porzucony rewolwer — najwyraźniej ciało samobójcy usuwano w pośpiechu, nie przejmując się ani okolicznościami wydarzenia, ani dobytkiem zmarłego. Po lewej stronie stała podwójna szafa zdobiona osobliwym, poczerniałym już ornamentem roślinnym. W głębi, pod ceglany murem przegradzającym strych w połowie długości, rozsypywało się niegdyś piękne i drogie biurko. W kącie po prawej spoczywała okuta żelazem i obciążona popękana skórą skrzynia, której wieko przyciskał stary gramofon z okazałą tubą. Tuż obok niej majaczył wciąż podłączony piecyk gazowy. Dwa duże dachowe okna były brudne, tak samo jak te mniejsze na klatce schodowej, lecz dzięki swej powierzchni wpuszczały więcej światła. Okazałe pajęczyny oklejały belki stropu, po których raz po raz przebiegały przestraszone obecnością intruzów myszy. Od całości bił smród starzyzny.

Przybysze zbliżyli się do stołu. Jakub zdmuchnął kurz i zaczął przeglądać wycinki, ukradkiem spoglądając na rewolwer. Natan uważnie zbadał podłogę.

— Musiał zastrzelić się, siedząc przy sekretarce — powiedział, wskazując pod nogi krzesła. Widniała tam czarna plama zaschniętej krwi.

— I miał dziwne zainteresowania — dodał drugi Żyd. — Popatrz. Fragmenty artykułów z francuskich i niemieckich czasopism medycznych traktujące o zjawisku bólu. Ból somatyczny, trzewny, ból skóry, bóle psychogenne, pojawiające się w nieistniejących już, amputowanych kończynach. Ponadto teksty o zapobieganiu bólu, przepisy na leki opioidowe, pełna instrukcja

uzyskiwania morfiny. Niezła kolekcja.

— Siostry mówiły, że był neurologiem. Może prowadził jakieś badania?

Jakubowi przez myśl przemknęły sceny z sennego koszmaru. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

— Z pewnością coś się wyjaśni, kiedy przeszukamy biurko i kufer — stwierdził chłopak. Swojego zamiaru zrealizować jednak nie zdążył.

Przesuwające się ponad budynkiem słońce ustawiło się w takiej pozycji, że prześwietlone belki rzuciły na ścianę podłużny cień, który natychmiast zmienił kształt. Urósł i wyprostował się, wykształcił ręce i nogi. Po chwili, zupełnie już wolny, błyskawicznie przeskoczył na ukośny sufit i zaczął miotać się po całym pomieszczeniu, pojawiając się w coraz to nowych miejscach. Jednocześnie podłoga zatrzeszczała długo i nienaturalnie, przywodząc na myśl upiorny chichot.

Natan nie wytrzymał. Chwycił leżący na stole rewolwer i bez namysłu strzelił. Kula utkwiała w murze obok biurka, nie wyrządzając widmowemu przeciwnikowi szkody.

— Czego chcesz, do diabła?! — zawołał chłopak. — Zostaw nas w spokoju!

W odpowiedzi trzeszczenie podłogi wzmogło się. Strzelec wodził lufą za tańczącym cieniem, naciskając spust jeszcze cztery razy. Pociski posypały się wokół, dziurawiąc deski i wybijając jedno okno. Ostatni trafił w piecyk, i to tak nieszczęśliwie, że odłupał kurek służący regulacji płomienia. Strumień gazu syknął i strzelił w górę, zapalając się od wywołanej trafieniem iskry i zamieniając w prawie metrowej długości pochodnię. Ogień oświetlił przeciwną ścianę jasną luną, w której stanął cień mężczyzny. Był teraz jakby bardziej żywy i wyraźny. Powstańcy dostrzegali liczne szczegóły: dobrze widoczny zarys kamizelki i uprasowanych na kant spodni. Powiewało na nim coś, co postronny obserwator mógłby wziąć za pelerynę czy rozpięty płaszcz. Towarzysze wiedzieli jednak, że to szpitalny kitel. Spoglądał na gości spode łba, dziko i drapieżnie. Natan wycelował i pociągnął za spust, ale rozległo się tylko głuchoe kliknięcie. Zrezygnowany odrzucił broń i powtórzył:

— Czego chcesz?!

Podłoga zatrzeszczała po raz ostatni, po czym umilkła na dobre. Doktor wskazał stojący na skrzyni gramofon. Wiedziony intuicją Jakub pokuśtykał i nastawił urządzenie. Zamiast spodziewanej muzyki rozległo się piszczenie zużytej płyty. Natan machnął ręką, lecz starszy powstaniec zrozumiał.

— Cicho! — syknął. — Słuchaj!

Cień obrócił się bokiem i zaczął otwierać usta. Piski skleiły się w wysoki, nieznośny głos.

— Witajcie.

— Czego od nas chcesz? — tym razem zapytał Jakub. — Dlaczego nas dręczysz?

— Za życia — podjęło widmo — byłem Abrahamem Orcinusem, doktorem neurologii.

— To już wiemy. Rozumiem, że twoja dusza nie może zaznać spokoju. Czy jest coś, co możemy dla ciebie zrobić?

Piskliwy głos zarechotał.

— Zrobić? Nie możecie zrobić nic ani dla mnie, ani dla siebie!

— Jak to?

— Kiedy stąpałem pośród żywych, spotkałem się z wieloma ciężkimi przypadkami chorób i zranień. Niektóre udało mi się wyleczyć, innych nie. Z czasem zrozumiałem jedno: tym, co je wszystkie łączyło, był ból. Ból polega na odczuwaniu bodźców, gdy te osiągną poziom centralnego układu nerwowego. Jednak związek między odczuciem bólu a bodźcem uszkadzającym tkanki nie jest jednoznaczny i stały. Są ludzie niewrażliwi na cierpienie, jak na przykład cukrzycy, którzy tracą czucie w stopach. Są też tacy, dla których problem stanowi nawet zwyczajny dotyk. Po długich i krwawych eksperymentach odkryłem, że istnieje pewien stan świadomości nazwany przeze mnie „fazą bólu”. Podczas intensywnego cierpienia moi pacjenci potrafili komunikować się

między sobą bez względu na miejsce i odległość. Natomiast doznając mąk przekraczających wszelkie granice, nawet oddziaływać na otoczenie. Wkrótce staliśmy się panami i otworzyły się przed nami wielkie możliwości. Pomyślcie tylko: niewidomi mogli postrzegać, i to pełniej, bo nie przez oczy, lecz wysyłając cząstkę siebie, gdziekolwiek chcieli; głusi znów słyszeć, i to bez pośrednictwa słów; sparaliżowani zaś w postaci cieni wstać z łóżek. Nie wspominając o bogactwie czekającym na tych, którzy zdecydowali się zapłacić cenę... Ja sam własnymi rękami uszkodziłem sobie odpowiedni nerw mózgowy, wywołując tak zwane bóle przewlekłe...

— Świr — powiedział mimowolnie Jakub.

— Otóż to! — Doktor ożywił się. — Wizja nowego życia oświała mnie do tego stopnia, iż nie przewidziałem skutków swoich działań. Niedługo każdy bodziec, dotknięcie czy podmuch wiatru, stały się dla mnie niewypowiedzianą katorgą. W końcu straciłem rozum, zabiłem pacjentów i popełniłem samobójstwo. Tutaj jednak spotkało mnie kolejne rozczarowanie. Jako człowiek nauki nie wierzyłem w życie pozagrobowe, chciałem tylko, aby koszmar się skończył. Po „drugiej stronie” okazało się, że „faza bólu” jest niczym innym jak nieśmiertelną cząstką świadomości. Kiedy człowiek umiera, cierpi. Cierpienie to jest ostatnim uczuciem, jakiego doznaje. I tak zostaje już na wieki. Sami więc widzicie, że egzystencja nie ma sensu. Pozostaje wam jedynie przyspieszyć to, co nieuniknione, i umrzeć.

— A ty chcesz nam w tym pomóc? — zadrwił partyzant.

Widmo uśmiechnęło się złowieszczo. Płyta dobiegła końca i pisk zamienił się w cichy szum. Płomień z uszkodzonego piecyka nieco przygasł, doktor zmałał i skurczył się. Pomimo tego rozczapierzył pazury i wyciągnął je w kierunku Żydów.

Wtedy rozległ się długi gwizd. Mężczyźni odruchowo spojrzeli w górę, szukając niewidocznego źródła hałasu. Nagle budynkiem wstrząsnął potężny łomot. W jednej chwili prawa część dachu rozpadła się trafiona niemiecką bombą. Pocisk przeszedł dalej, zarywając podłogę i druzgocząc mieszkania na niższych piętrach. Jakub zdążył rzucić się do wyjścia, gdy trafiony deską w głowę Natan wpadł do powstałej dziury, w ostatnim momencie chwytając się poszarpanego brzegu. Wrzasnął na cały głos świadomy, że długo tak nie wytrzyma. Orcinus zniknął, zaś starszy Żyd pospieszył koledze z pomocą. Położył się na brzuchu, podczołgał do otworu i wychylił głowę.

W jednej chwili osiwiął.

W dole, gdzie powinny znajdować się kawałki potrzaskanych posadzek i domowych sprzętów, wirowała gęsta, czarna masa podobna do zamieszanej w filiżance kawy. Dziesiątki i setki cieni spletały się, wyjąc potępieńczo w bolesnym uścisku. Jakubowi wydawało się, że umysł przecinają mu tysiące myśli, a jednocześnie nie myślał o niczym. Leżał i patrzył, jak z makabrycznego orszaku wyłamują się pojedyncze kształty i podnoszą się ku zwisającemu Natanowi, jak owijają mu się wokół nóg, ciągnąc nieubłaganie. Gdy chłopak runął w otchłań, Jakub poderwał się i uciekł na schody. Zbiegł, zapominając nawet o piekającej ranie nadwerężonej kończyny, i wyszedł w pozołgę ulicy.

\* \* \*

Drzewo płonęło. Emanujące od niego ciepło dało się wyczuć już w bramie. Drzwi do lazaretu wyważono, leżały teraz na podwórzu wdeptane w ziemię. Wybite okna spoglądały smutno na stojącego naprzeciw człowieka o białych włosach. Jego wzrok był pusty, pusty i tępy. Jakub ocknął się z głębokiej apatii i przekroczył próg. Przedsiónek zniszczono doszczętnie, nie zostały się nawet haki do wieszania palt. W wejściu do sali, w której spędził ostatnich kilka dni, leżała martwa siostra Maria. Druga pielęgniarka trzymała ją w ramionach, tuląc i łkając. Na widok Żyda

podniosła głowę, a wyraz jej twarzy potwierdził, że Niemcy dotarli i tutaj. Przeszedł obok i znalazł się w pokoju ze swoim łóżkiem. Pościel została pokłuta bagnetami i rozrzucona, na podłodze leżały kupki pierza zmieszane z odłamkami szkła z potraskanych szyb. Powstaniec zbliżył się do jednej z prycz i legł jak długi.

Kiedy się obudził, na stołku przy parapecie siedział Natan. Płonące drzewo dogorywało zamienione w czarną, osmaloną szczapę. Jakub zerwał się i wybałuszył oczy, nie mogąc uwierzyć. Chłopak wstał i bez słowa wyrzwał na zewnątrz.

— Ty... Ty żyjesz! Ale jak? — zapytał zaskoczony Jakub.

— Zostałem, żeby się pożegnać. Poza tym muszę dbać o swoje dobre imię.

— Co?

— Ech — westchnął nieoczekiwany gość. — Podejdz tu.

Posiwiwały Żyd pokuśtykał.

— Widzisz, morfina trochę cię opóźniła, a tu nie ma miejsca na zwłokę. Wszystko musi być jak w zegarku — jeden pacjent, jedno łóżko, jedna...

Od strony bramy padł strzał. Zabłąkana kula ugodziła Jakuba w pierś. Ten zachwiał się, spojrzął na rozlewającą się na koszuli czerwoną plamę, po czym runął bez życia.

— ...trumna — dokończył Natan. Strzepnął spodnie i wyszedł przed budynek. Zabawił tu wystarczająco długo. Powstanie dobiegało końca. Niemcy niedługo wysadzą synagogę na ulicy Tłomackiej, a oni też przecież mają straty. Cięż czy ciało, dla Śmierci to wszystko jedno. Dusza — rzecz pierwszorzędną. Nie może czekać.

*Szczepan Twardoch*

**STILLE NACHT**

Szczepan Twardoch urodzony w 1979 roku, z wykształcenia socjolog, mało zainteresowany wyuczoną profesją, bardzo za to zainteresowany historią idei. Student filozofii, chwilowo na urlopie dziekańskim — praca magisterska czeka na lepsze czasy. W odległych na razie planach doktorat z socjologii. Ślązak i katolik — o czym pamięta i nie daje zapomnieć. Debiutujący pisarz (*Oblęd rotmistrza von Egern*, Fabryka Słów, 2005) i publicysta, z pasją i zacięciem. Znamca broni białej i miłośnik każdej innej. Uprawia szermierkę historyczną i strzelectwo sportowe.





Siódma dwie. Frycek podciągnął wyżej drugi koc i spojrzął na łóżko obok. *Feldfebel* jeszcze spał. Kozuch, którym dowódca się przykrył, unosił się w równym rytmie. Chłopcu nie chciało się już leżeć w łóżku, ale w chacie było tak zimno, że perspektywa odrzucenia kilku koców, aby w kalesonach i podkoszulku dobiec do lodowatego munduru, wydawała się do tego stopnia nieprzyjemna, że postanowił poczekać, aż Schlieebex wstanie i każe rozpalić w piecu. Gdy oczy przyzwyczały się do ciemności, ujrzał jodelkę, którą wczoraj postawili w kącie chaty i ustroili ozdobami z kolorowego papieru, łańcuchem z cynfolii, w którą Mama zawinęła przysłane na święta kielbasy z barana i boczek.

Właśnie — święta! Dzisiaj Wigilia. Dlatego ciągle jeszcze leży w łóżku zamiast od godziny być na nogach. A jednak na myśl o Wigilii Frycek posmutniał. Pierwsze Boże Narodzenie bez rodziców. Bez braci, siostry, bez starzika i starki, nie zobaczy ujka Rudolfa, który mieszka w Berlinie i zawsze przywoził swojemu chrześniakowi piękne prezenty.

Jeszcze rok temu nie myślał o wojsku, kiedy siedział z rodzicami przy wieczerzy. Konopiotka, wigilijna kapusta, makówki i moczka, której nie znosił. Potem prezenty, ujek Rudolf przy wioził mu wiatrówkę, „lufbiksa”, jak mówią na tę broń — zabawkę na Śląsku. Mama była zła, bo przecież wojna i nie dość, że są inne, ważniejsze potrzeby, to jeszcze karabin pod choinką — to zły znak — a co będzie, jak go od wojska nie wyreklamują? Frycek za nic miał babskie żale i przed pasterką w tajemnicy poszli z ujkiem i tatą postrzelać z okna do widocznego w wątlym świetle latarni pniaka.

Dzisiaj wiatrówka leży sobie spokojnie zawinięta w naolejoną szmatę na *sranku* w sypialni rodziców. Zabronił młodszemu bratu dotykać, chyba że przy ojcu. Kiedy Frycka zmobilizowali, mama wpadła w histerię i na widok wszystkiego, co jej się kojarzyło z wojskiem, zaczynała szlochać. Tata schował nawet swoje mundurowe spodnie i bluzę, które zakładał, schodząc do warsztaciku w piwnicy.

Jakże to wszystko było dawno! Miał wrażenie, że mieszka tutaj w tej chacie od zawsze. *Feldfebel* Schlieebex nie dawał zapomnieć, jakie Frycek ma szczęście. „Słuchaj, Muszol, ja swoje odsłużyłem przez cztery lata w okopach pierwszej wojny”. Schlieebex nie potrafił dobrze wymówić nazwiska „Musioł”, zresztą w *Soldbuchu* chłopiec miał wpisane „Muscholl”. Zaczynając swoją tyradę, którą Frycek znał na pamięć, podoficer dźgał się wskazującym palcem w zawieszony na lewej kieszeni bluzy Żelazny Krzyż, który dostał za jakiś bohaterski czyn podczas wojny okopowej. „Ale ty to masz szczęście. Twoi rówieśnicy mrą jak muchy w Rosji, a ty sobie siedzisz tutaj jak u Pana Boga za piecem. Ciepło jest, masz co jeść, nikt do ciebie nie strzela. Ech, raz zobaczyłbyś z bliska prawdziwą nawałnicę żelaza, Muszol, to byś się tak ze strachu posrał, że gównem by ci się dopiero w butach zatrzymało” — perorował Schlieebex. Miał rację. Gdy Frycka powołano, matka zanosila się płaczem. Nic dziwnego — młodych Ślązaków wysyłano najczęściej na front wschodni. Z klasy Frycka trzech już nie żyło, los jednego był nieznanym, a sześciu biło się na stepach Ukrainy, Środkowej Rosji, pod Leningradem. Jednak Frycek miał chrzestnego. Gdy tylko dostał kartę mobilizacyjną, ojciec wysłał telegram do brata. Ujek przyjechał w ciągu kilku dni, zamknął się z ojcem w kuchni i rozmawiali długo. Poborowy razem z matką podsłuchiwali pod drzwiami, jednak bracia rozmawiali bardzo cicho. Rudolf był kimś znacznym w NSDAP, pracował w ministerstwie. Rano matka była o wiele spokojniejsza.

Dopiero kiedy Frycek wrócił do domu po pierwszym obozie szkoleniowym, mama się wygadała, że już jest załatwione — jedzie do Norwegii. Na obozie liznął smaku wojaczki i był niepokieszony — chciał się bić! Marzył o przeniesieniu do pancerniaków, widział siebie jako nieustraszonego dowódcę czołgu z Krzyżem Rycerskim. Tymczasem w Norwegii nie dostanie nawet odznaki szturmowej. Przecież tam się nic nie dzieje! Miał pretensje do rodziców. Przez nich nie zostanie bohaterem. Jednak razem z nim na przepustkę przyjechało z frontu wschodniego dwóch kolegów z klasy. Karlik, ten piękny, wysportowany, odważny Karlik... Spotkali się pod

kościółem. Karlik nosił przypiętą do munduru wstążkę orderu, jednak Fryc nie patrzył na odznaczenia. Patrzył na okaleczoną twarz kolegi, za którym kiedyś oglądała się każda dziewczyna — Karlik nie miał nosa, a całą twarz pokrywały blizny po odmrożeniach. Alojz, przyjaciel z ławki, nie powiedział do Frycka ani słowa. Stali przed kościołem. Lojzik chwycił kolegę za guzik mundurowej bluzy, pokręcił tylko głową, odwrócił się i odszedł. Alojz, najbliższy przyjaciel, z którym dzieliło się kiedyś wszystkie tajemnice! Od tego czasu Fryc już bez żalu myślał o służbowym przydziale.

Trafił na dobrego dowódcę. *Feldfebel* Hoimar Schlieebex, weteran pierwszej wojny światowej, w cywilu aptekarz, był sprawiedliwy i serdeczny. Jego aparycja doskonale odpowiadała temperamentowi: był niski, pulchny i brzuchaty. Czerwone policzki, perkaty nos, ciemne oczy i płowa, przerzedzona przez czas fryzura dopełniały obrazu saskiego mieszczucha. Jak mówił, pamiętał siebie z 1914 roku, kiedy jako osiemnastoletni gówniarz trafił na front. Był zagubiony i przestraszony. Jednak zaopiekował się nim dobry człowiek, więc teraz zwraca swój dług. Dowodził trzema szeregowcami i kapralem radiotelegrafistą. Razem stanowili załogę nieistotnej strategicznie stacji meteorologicznej niedaleko Kautokeino, na samej północy Norwegii, za kołem podbiegunowym. Na święta dwóch szeregowców dostało dwutygodniowe przepustki do domu, kapral na dwa dni do Tromsø, i w drewnianej chacie zostali tylko we dwóch.

— Fritz... — głos dowódcy przerwał chłopcu rozmyślenia.

— No? — odpowiedział Frycek niezbyt regulaminowo.

— Ja ci dam „no”, huncwocie. Wyciągaj dupę z łóżka i rozpal w piecu, darmożjadzie jeden — wymruczał podoficer, dokładniej okrywając się kożuchem.

Fryc westchnął, odrzucił koce i szybko dobiegł do krzesła, na którym wczoraj wieczorem powiesił mundur. Nie był wysoki, jak większość śląskich mężczyzn, ale praca fizyczna ukształtowała mu ładną figurę. Miał szerokie barki, silną klatkę piersiową i wąskie biodra. Tylko nogi wydawały się nieproporcjonalnie szczupłe. Ubrał się szybko, zapalił lampę naftową, spojrzął pod piec i zaklął. *Donnerwetter*. Drewno się skończyło, trzeba założyć płaszcz i wyjść na mróz, klinami i młotem rozbić kilka kłoców, siekierą porąbać trochę sosnowych szczap na rozpałkę. Westchnął raz jeszcze, ubrał się i wyszedł na dwór — tam noc polarna, słońce i tak nie wstanie, a po ciemku nie będzie rąbał drewna. Wbrew regulaminowi uruchomił więc dieslowski agregat prądotwórczy, zapalił elektryczną lampę na tyłach chaty i zabrał się do roboty. Wytaczał spod zadaszania przetrzynięty piłą kłoc drewna, ustawiał na równym miejscu, przykładał klin, lekko pobijał młotem — w domu na taki mówiło się pyrik — i gdy klin zagłębił się w drewno na tyle, że nie przechylał się pod własnym ciężarem, Frycek cofał się, brał młotem zamach zza głowy i walił w klin z całych sił. Najczęściej jeden cios wystarczył, by kłoc pękł z trzaskiem, ale uderzać trzeba było umieć. Nie wystarczyła sama siła. Dietlef, hamburczyk wielki jak góra, który teraz pojechał do domu na święta, mimo że był od młodego Ślązaka silniejszy, z rąbaniem radził sobie o wiele gorzej. Nie wiedział, że trzeba dobrze zgrać zamach, krok, ugięcie nóg w kolanach, pochylenie tułowia. Wreszcie nie wiedział, że ręce muszą być luźne, aby młot spadał swobodnie. Frycek jako mały chłopiec nauczył się rąbać drewno i operować młotem i siekierą, więc teraz szybko rozwałił kłoc za kłocem. Kiedy rozbił kilka, odłożył młot i kliny i siekierą zaczął rozdrabniać drewno na zgrabne polana. Mimo że termometr wskazywał osiemnaście stopni poniżej zera, chłopiec po paru kwadransach pracy rozgrzał się, zdjął płaszcz, pozostając w szaliku i pulowerze założonym na bluzę. Pomyślał sobie, że tak jak frontowi żołnierze za walkę wręcz dostają srebrną odznakę z karabinem w dębowym wieńcu, czołgiści z czołgiem, lotnicy z samolotem, i tak dalej, tak on mógłby dostać „Odznakę drwala” z siekierą.

Mógłby coś przypiąć do munduru, rąbanie drewna to główne zajęcie. Karabin wisi na kołku w chacie i — jak jest tutaj już ósmy miesiąc — potrzebny był raz, kiedy jacyś bandyci ostrzelali z

daleka ich posterunek. Fryc porwał wtedy karabin ze ściany i strzelił kilka razy przez okno w nieokreślonym kierunku, podobnie zrobili wszyscy towarzysze. I na tym walka się skończyła. Partyzanci uciekli, nikt nie został nawet ranny.

I tak płynął mu czas — na rozmowach z kolegami, rąbaniu drewna, przygotowywaniu posiłków. Ostatnio radiotelegrafista, *Gefreiter* Knoblauch, z nudów zaczął uczyć Frycka obsługi radia, co urozmaicało codzienną rutynę. Wcześniej chodzili jeszcze do lasu i próbowali polować. Raz zdołali zastrzelić niewielkiego dzika, ale potem z góry przyszedł rozkaz, żeby z uwagi na aktywność partyzancką nie opuszczać bez powodu kwater, więc i to się skończyło.

Przeplatając te rozważania myślami o śniadaniu, bo już burczało mu w brzuchu, porąbał w końcu dość drewna, zapakował wszystko do wielkiego kosza i zarzucił go sobie na plecy. Kiedy ruszył do drzwi, trzydzieści metrów od chaty na granicy kręgu sztucznego światła zauważył ludzką sylwetkę. Człowiek był niski, przygarbiony i miał charakterystyczne wysokie nakrycie głowy — Lapończyk. I tak nikt inny nie zapuszczał się w to odludzie. Do najbliższej wioski było pięć godzin marszu piechotą. Zimą raz na tydzień przyjeżdżały do ich bazy konne sanie z zaopatrzeniem. Lapońscy myśliwi czasem pukali do drzwi chaty. Frycek nie był pewien, czy odróżniają ich od norweskich żołnierzy, którzy wcześniej pełnili tutaj służbę. Lapończycy zdawali się nie dostrzegać faktu, że trwa wojna, nie wszyscy mówili po norwesku, którym całkiem znośnie władał *Feldfebel*.

Pukali do drzwi i w zamian za wódkę albo naboje oferowali mięso i skóry (co było, oczywiście, nielegalne i czego Schlieebex wyrozumiale nie dostrzegał). Fryc ucieszył się — może ten będzie miał królika albo ryby i wyhandlowałby coś dobrego. Odstawił kosz i zachęcająco pomachał ręką do przybysza. Ten jednak nie reagował. Chłopiec wzruszył ramionami i wszedł do domu. Jeżeli tubylec zechce, to sam przyjdzie. W izbie podoficer spał jeszcze. Frycek rozpałił w piecu, napełnił wodą ciężki, okopcony imbryk. Zgodnie z tradycją Wigilia to dzień postu — Schlieebex był protestantem, pewnie postów nie przestrzegał, więc chłopiec postanowił zjeść śniadanie, zanim dowódca wstanie. Ukroił pajdę chleba, wyciągnął z beczułki płat solonego śledzia. Gdy woda na piecu zawrzała, zaparzył kawę. Zapach napoju dotarł wreszcie do nozdrzy Saksończyka. *Feldfebel* usiadł w łóżku, przejechał ręką po karku i sprężyście wyskoczył z pościeli. Sypiał w śmiesznie cywilnej, długiej koszuli nocnej. Mimo że izba jeszcze nie wypełniła się ciepłem, nie wkładał munduru. Zacerpnął lodowatej wody z miednicy i prychając, przemył twarz i kark, a następnie przystąpił do gimnastyki. Po dziesięciu minutach skłonów, przysiadów i pompek, którym towarzyszyło głośne stękanie i wzdychanie, ubrał się i siadł przy stole.

— No cóż tam, Fritzi, narąbałeś dość drewna? Dzisiaj Wigilia, musi być ciepło w domu...

— Tak jest — odpowiedział chłopiec. — Widziałem jakiegoś Łapa, ale nie podchodził bliżej.

— Aha. Dobrze. Ukrój mi chleba, synku. Ja zobaczę, co to za jeden. Aha, i kawy nalej. Jest dość mocna?

— Mocna, mocna, *Feldfebel*. Tylko płaszcz załóżcie. Zimno na dworze jak w psiarni.

Schlieebex skinął głową, założył kozuch i otworzył drzwi — i stanął twarzą w twarz z Lapończykiem. Tubylec był stary. Nosił tradycyjny lapoński strój haftowany czerwoną i zieloną nicią. Wysoka czapka dodawała mu wzrostu, ręce w reniferowych rękawicach splótł na piersi i stał tak, jakby czegoś oczekiwał. Saksończyk trochę się przestraszył, ale zaraz odzyskał rezon i zapytał po norwesku:

— No, czego chcesz?

Lapończyk nie odpowiedział, stał dalej bez słowa. Niemiec powtórzył pytanie, bez efektu.

— Rozumiesz po norwesku?

Nic. *Feldfebel* podrapał się po łysinie, następnie wskazał palcem na stojącą na półce butelkę z wódką i wykonał gest, jakby wlewał gorzałkę do gardła. Potem pokazał palcem na sanie i swój kozuch. Lapończyk nie zareagował.

— To chyba wariat jakiś... — powiedział podoficer, odwracając się do Frycka. — I cóż ja mam z nim zrobić?

— Nie wiem, ale zamknijcie drzwi, *Feldfebel*, bo tu się nigdy ciepło nie robi.

— No, racja. Dobrze, w końcu Wigilia jest, może nawet Laponiec ludzkim językiem przemówi. Wyjdę na dwór i spróbuję się z nim dogadać, ale weźże karabin i patrz na niego przez okno. Bóg raczy wiedzieć, co dzikusowi przyjdzie do głowy, nie chciałbym sam na sam z wariatem zostać.

Ślązak skinął głową. Gdy dowódca wyszedł, zamykając za sobą drzwi, Fritz zdjął mauzera ze ściany, przeładował, odbezpieczył i stanął przy oknie. Obserwował, jak *Feldfebel* stara się nawiązać z Lapończykiem kontakt. Ten jednak stał w bezruchu. Frycek był pewien, że nie będzie musiał użyć broni. Stał więc rozluźniony i z rozbawieniem obserwował Schlieebexa, który czymś, co przypominało pantomimę, usiłował porozumieć się z tubylcem. Lap kojarzył się chłopcu z indiańskimi wodzami z książek Karola Maya. Saksończyk chyba sam się dobrze bawił, bo odwrócił się do myśliwego tyłem i zaczął udawać jelenia, kuśtykając na trzech kończynach, podczas gdy wolną dłoń rozcapierzył nad głową, aby udawała poroże. I wtedy Lapończyk nagle zaskakująco szybko pochylił się do swoich sań i wyjął dubeltówkę.

Adrenalina uderza do głowy w mgnieniu oka, zwalniając cały świat. Tak wiele mamy wtedy czasu na myślenie... Frycek podrzuca karabin do ramienia i gdy kolba przemierza ogromną przestrzeń między biodrem a obojczykiem, już wie, że nie zdąży. Patrzy, jak dwie lufy myśliwego powoli kierują się w stronę Schlieebexa.

Ale strzał ciągle nie pada. Kolba już przy policzku, tak bardzo nagle drżą ręce, oko, szczerbinka, muszka, kurczowo ściąga spust, zwielokrotniony przez ściany huk wystrzału ogłusza, cały świat milknie w przeciągłym, wierzącym dzwonieniu w uszach. Lapończyk powoli osuwa się na ziemię, na czerwonym kabacie nie widać krwi, Schlieebex przewraca się, wstaje, potyka się, podnosi znowu, biegnie do drzwi, Frycek tkwi cały czas z karabinem przy ramieniu, oszołomiony patrzy na ciało na śniegu, jednak najwyraźniej widzi maleńką dziurkę w okiennej szybie. Natarczywie nasuwają mu się pytania: dlaczego się nie stłukła?, dlaczego pocisk zamiast wybić całą szybę wywiercił tylko dziurkę?

Schlieebex wpadł do izby, nie wiedząc ciągle, co się stało, chwycił pistolet maszynowy. Widząc, że chłopiec nadal stoi przy oknie i celuje z karabinu, dopadł go w dwóch skokach, krzycząc „kryj się!”, ściągnął na ziemię.

— Co się stało? — zapytał.

— On... Wyciągnął z sanek flintę... Chciał was zastrzelić, *Feldfebel*...

— O, psiakrew. Widziałeś ich więcej? Był jeszcze ktoś oprócz tego wariata?

— Nie wiem, *Feldfebel* — wyjąkał przerażony Frycek.

Schlieebex zaklął jeszcze raz pod nosem i na czworakach szybko dopadł skrzyni, w której trzymali ekwipunek. Nałożył na głowę hełm, do kieszeni wrzucił dwa magazynki i pospiesznie wrócił do okna. Nie wypuszczając peemu z dłoni, wyrzwał na sekundę, zlustrował przedpole i schował się natychmiast.

— Nikogo. *Donnerwetter*.

Dalej na czworakach przebiegł do drugiego okna i znowu wyrzwał. Nie zauważywszy nikogo, podpełzł do drzwi i zasunął skobel.

— Pewnie czekają, aż wyjdę, dupki. Frycek, opamiętaj się, iluś ich widział? — zapytał, siedząc przy framudze.

Chłopiec zaczynał orientować się w całej sytuacji. Ilu widział?

— *Feldfebel*, melduję, że nikogo nie widziałem. Ten Lap wyciągnął flintę, to strzeliłem.

Stary podoficer pomyślał chwilę, po czym zdecydował. Z bronią przy ramieniu pchnął lekko drzwi, te uchyliły się. Przez szparę Schlieebex widział leżącego w śniegu Lapończyka.

— Rusza się, psiakrew... Gówno, wychodzimy.

Wstał i wyszedł przekonany, że ewentualni współnicy myśliwego musieliby już jakoś dać znać o swoim istnieniu. Nikogo nie było, tylko postrzelony Lapończyk na śniegu. Leżał na brzuchu, na haftowanym czerwonej nicią kaftanie plama krwi była ledwie widoczna. Kula z Fryckowego karabinu uderzyła go w kręgosłup, między łopatkami. Żył i ciągle miał nadzieję — próbował uciec. Rękami niezdarnie zgarniał śnieg, jakby chciał zaczepić o coś zgrabiąją dłoń, wbić w coś palce jak pazury — potem już postronkowate mięśnie pociągnęłyby chude ciało i odsunąłby się od tego, który strzelił mu w plecy. Podoficer zbliżył się do leżącego ostrożnie, trzymając go na muszce, odkopnął powiazaną drutem dubeltówkę poza zasięg rozpaczliwie teraz grabiących śnieg dłoni i butem przewrócił Lapończyka na plecy. Frycek odłożył karabin i wyszedł z chaty. Podniósł ze śniegu strzelbę, chwilę szukał dźwigni, którą trzeba pociągnąć, by otworzyć broń, znalazł, nacisnął, otworzył i zamarł.

— Dziwny jakiś ten myśliwy — stwierdził Schlieebex, przypatrując się postrzelonemu z zainteresowaniem. Nie otrzymał odpowiedzi, zmarszczył brwi i odwrócił się do chłopca — ten z otwartymi ustami wpatrywał się w lufy dubeltówki. Były puste, nie było w nich naboji.

— Ta strzelba nie była załadowana. On chciał pokazać, że chce kupić naboje. Dlatego wyciągnął broń. — wyrzucił z siebie Frycek i łzy spłynęły mu po policzkach.

*Feldfebel* przypomniał sobie błotnisty lej w Belgii, na dnie którego leżał zwinięty w kłębek, obejmując rękami głowę w pikielhaubie. Jednak nie chronił się tam przed artyleryjską nawałą, która skończyła się kwadrans wcześniej. Chciał osłonić siebie przed tym, co stało się przed chwilą. Obok leżał Francuz, w jego tłustym gardle tkwił bagnet. Francuz nie miał hełmu, był krępy, łysy i niechlujnie ogolony. Głowę otaczało sadło spięte ciasnym kołnierzem, tworzyło na karku cztery fałdy pokryte siwą szczecina. Francuz wyglądał jak ojciec strzelca Schlieebexa i był pierwszym człowiekiem, którego strzelec Schlieebex zabił własnoręcznie. Wskoczył do leju, chowając się przed ogniem artyleryjskim, i nie zauważył młodego Niemca. Było ciemno, a mundur strzelca Schlieebexa pokrywała gruba warstwa rudego błota. Kiedy więc Francuz przytulił się do ściany leja, strzelec Schlieebex wyciągnął z pochwy bagnet i wbił go w gardło wroga, spełniając swój żołnierski obowiązek.

Dlatego wiedział, że nie może pomóc chłopcu znieść brzemienia tego czynu. Cierpienie jest szczelne, nie można dotknąć go z zewnątrz. Nie widzimy ani nie czujemy cierpienia innych, widzimy tylko objawy bólu. Próbuując pomóc, przypominamy lekarza, który leczyłby gruźlicę, podając syrop na kaszel.

Lapończyk jęknął. Fryc nagle oprzytomniał i rzucił się do rannego. Zaczął rozsznurowywać mu kaftan, jakby rozluźnienie ubrania mogło pomóc na kręgosłup zgruchotany pociskiem. Stary myśliwy nagle obiema rękami chwycił chłopca za bluzę. Cienkie palce o zgrubiałych stawach powoli zacisnęły się na szarym materiale jak szpony, rękawy kurty zsunęły się, odsłaniając nadgarstki — na obu wytatuowany był skomplikowany ornament jak bransoleta oplatający starczą, luźną skórę. Schlieebex stał obok z palcem na spuście, ale nie reagował. Młody żołnierz nie chciał wyzwalać się siłą, a starzec swymi zadziwiająco silnymi rękami przyciągał chłopca do siebie. Wpatrywał się intensywnie w oczy Frycka, otworzył usta, odsłaniając bezzębne dziąsła, i zaczął śpiewać. Młody Ślązak nigdy nie słyszał takiego śpiewu. Z gardła Lapończyka wydobywał się niski, wibrujący, modulowany dźwięk, przerażający i pierwotny. Myśliwy puścił mundur chłopca, lecz ten ciągle trwał pochylony, jakby dalej ciągnęły go niewidzialne już dłonie. Lapończyk podniósł prawą dłoń — palce ułożył tak, jak Chrystus na obrazach układa swoje, prezentując rany po gwoździach: wskazujący i środkowy wyprostowane, a pozostałe podkurczone, lecz niezastłaniające środka dłoni. Myśliwy szybkim ruchem dotknął czoła, ust i piersi chłopca, przerywając jednocześnie śpiew. Powiedział cztery krótkie słowa, zabrzmiały śpiewnie i

egzotycznie. Po chwili milczenia Schlieebex stwierdził, że w końcu trzeba przerwać te gusła.

— Frycek, chłopie, musimy go zabrać do domu — powiedział.

Chłopiec milczał, więc Schlieebex podszedł i potrząsnął nim mocno.

— Fryc! Bierzemy go do domu! Bo tu zamarzniesz!

— On nie żyje — odpowiedział głucho chłopiec.

\* \* \*

Trzy godziny później zmęczeni Schlieebex i Fryc siedzieli w izbie przy stole, ogrzewając dłonie o blaszane kubki z gorącą kawą, zaś ciało Lapończyka szybko zamarzało w płytkim grobie. Żołnierze, używając kilofów i łopat, zdołali wykuć w ziemi mogiłę głęboką na kilkadziesiąt centymetrów. Obok ciała położyli strzelbę i cały ekwipunek łowcy, po czym przykryli wszystko czterema gładzami. Na saniach nie znaleźli skór ani mięsa ubitych zwierząt, tylko skórzane woreczki z ziołami, grzechotkę i kilka pokrytych znakami kręgów szyjnych renifera. Gdy skończyli, niebo rozjaśniło się jak na pół godziny przed świtem i zamiast ciemności zapanowała szarość. Zza horyzontu słońce nie wyjdzie wcale.

Podoficer czuł, że słowa wyjaśnienia i pocieszenia są jedynym narzędziem, jakim może pomóc chłopcu. Zaczął, gdy tylko zabrali się do kopania. Mówił jak człowiek, który ceni słowa, bo nie wypowiada ich zbyt wiele. Nie zalewał chłopca potokiem erudycji, nie brylował, nie upajał się dźwiękiem własnego głosu. Stawiał długie pauzy między wyrazami i jeszcze dłuższe między zdaniami, jakby układał sobie w głowie każdą frazę, zanim ją wypowie. Mówił najpierw o przyczynach, potem o tym, że naciskając spust, chronił dowódcę, o tym, że na wojnie nie można zakładać, że potencjalny wróg ma broń niezaladowaną, potem o przypadku, potem o odpowiedzialności. Frycek słuchał, nie przerywając. Był inteligentnym chłopcem i rozumiał wszystkie argumenty swojego dowódcy, ale nie potrafił się z nimi zgodzić. Wciąż słyszał niezrozumiałe ostatnie słowa Lapończyka. Gdyby mógł mu wytłumaczyć! Prosić o przebaczenie! Wyłożyć, że musiał strzelić! Zamiast tego miał świadomość, że myśliwy umierał przekonany, że spogląda w oczy podstępnego mordercy.

Jednak, bez wątpienia, słowa dowódcy pomogły. Fryc czuł się paskudnie, ale wysiłek fizyczny wyrwał go z odrętwienia, w jakie wprawiły go hipnotyczne słowa i świdrujące, czarne oczka Lapończyka. Schlieebex specjalnie zaprzął go do świątecznej krzątany, by nie dać mu zbyt wiele czasu na myślenie. I gdy tylko rozgrzali się kawą, nakazał Fryckowi ponownie wyszorować drewnianą podłogę, nie omijając żadnego kąta, przewietrzyć pościel, wyczyścić piec, popiołem posypać schody i dróżkę do urządzeń meteo, nanieść nowego, ładnego drewna — śmiejąc się w duchu, kazał wybierać równe polana, wyłącznie brzożowe, aby „przynajmniej na święta to porządnie wyglądało”.

Gdy chłopiec skończył, na dworze panowały ciemności. Należało uruchomić znowu agregat, spisać dane meteo i przez radio przekazać je do centrali. Frycek założył kozuch i z kartką i ołówkiem wyszedł na dwór. Diesel nie chciał odpalić — chłopiec spojrział na termometr, dwadzieścia osiem poniżej zera. Trudno. Naniósł sosnowych szczap, odgarnął śnieg spod maszyny, zmiął stary numer „Völkischer Beobachter” i pod silnikiem urządzenia rozpałił małe ognisko. Chętnie schowałby się na kwadrans do chaty, uciekając od mrozu, ale wiedział, że Schlieebex wściekłyby się, gdyby zobaczył, że zostawił ogień pod agregatem. Czekał więc, podskakując i machając rękami, aby trochę się ogrzać. W końcu dotknął dłonią silnika — był już ciepły. Zaskoczył od razu, wyrzucił chmurę dymu i po chwili pykał już miarowo. Elektryczna lampa nad stacją przez chwilę żarzyła się niemrawo, a kiedy Fritz zwiększył obroty silnika, rozblęsnęła jasnym światłem. Spisał dane ze stacji — temperatura, ciśnienie, wilgotność; zmierzył

grubość pokrywy śnieżnej, chociaż od dawna nie padało, i wrócił do chaty. Podał Schlieebexowi kartkę. Podoficer, jak zwykle kręcąc nosem, że młody bazgrze jak kura pazurem, pięknym, uroczystym pismem przeniósł dane do książki, po czym uruchomił radio, nowoczesny, czterolampowy nadajnik „Telefunken”. Przekazał komunikat, wymienił parę świątecznych grzeczności i wyłączył radio. Frycek wstał ociężale — do jego obowiązków należało wyłączenie generatora po zakończonej transmisji, jednak podoficer wstrzymał go.

— Zostaw, niech działa. Dzisiaj Wigilia, posłuchamy audycji w „Deutsche Welle”.

Frycek usiadł znowu do stołu. Nie czuł się najlepiej. W skroniach tętnił puls i piekły go oczy. Schlieebex zauważył, że chłopiec jest rozpalony. Położył mu rękę na czole.

— Doskonale, brakowało tylko gorączki. Wskakuj do wyra. Tę Wigilię spędzisz, biedaczku, w pościeli.

Fryc posłusznie zrzucił mundur i położył się do łóżka. Próbował zasnąć — ale gdy tylko zamykał oczy, widział twarz umierającego Lapończyka. Czuwał więc, grzejąc się pod pierzyną. Saksończyk tymczasem za — parzył herbatę, zastanowił się chwilę i wyciągnąwszy z szafki butelkę, wlał do obu kubków po kieliszku sznapsa. Podał chłopcu gorące naczynie, spojrzał na zegarek — już osiemnasta, już czas. Mieli piękny odbiornik „Siemensa”, z zielonym okiem w eleganckiej obudowie z orzechowego drewna. Schlieebex przekręcił gałkę i delikatnie kręcąc nią w lewo i prawo, z szumów i trzasków wyłowił znany głos spikera „Deutsche Welle”. Wigilijna audycja była chyba najbardziej wzruszająca ze wszystkich programów w ciągu roku. Schlieebex nie przyznałby się do tego nikomu, ale żadne przemówienie *Führera* nie wywołało w nim nigdy takiego przyływu patriotyzmu i miłości do Niemiec, jak wspólne śpiewanie „Stille Nacht”, razem, wszędzie tam, gdzie byli niemieccy żołnierze. Myślał wtedy o swoich *Kameraden* walczących na wszystkich frontach tej całej wojny, od skutych lodem rosyjskich pustkowi, przez piaski afrykańskich pustyń, ciche głębiny Atlantyku, niebo nad Anglią, po ich zapomnianą przez świat izbę w norweskiej chacie. Co do młodego Ślązaka, to w ogóle miał wątpliwości, czy chłopiec czuje się Niemcem. W śląskim *Wasserpolnisch* mówi na pewno lepiej niż po niemiecku. Był przekonany, że sprawy narodowej tożsamości w ogóle Frycka nie obchodzą. Spojrzał na chłopca, który pograżał się tymczasem w apatii. Nie zasypiając, gapił się w sufit.

Rozpoczęła się audycja. Najpierw spiker wygłosił krótką pogadankę o historii niemieckich obyczajów świątecznych. Następnie — standardowy komunikat o sytuacji na wszystkich frontach. *Ja, ja, natürlich*, pomyślał Schlieebex. W zeszłym roku ogłaszali przez radio zwycięstwo Niemiec, w tym przekonują, że nie możemy oddać zwycięstwa, za rok będzie, że musimy zwyciężyć, za dwa, że nie możemy ponieść klęski, a za trzy... Ech, Bóg raczy wiedzieć. W końcu spiker zapowiedział, że rozpoczyna się właśnie tradycyjne doroczne śpiewanie „Stille Nacht” przez żołnierzy na wszystkich frontach. „Pierwsza zwrotka odśpiewana zostanie przez żołnierzy naszych wojsk okupacyjnych w Paryżu. Paryż, czy mnie słyszycie?”. W głośniku rozległy się trzaski, ucichły nagle i przemówił łagodny głos z wyczuwalnym berlińskim akcentem. „Cisza, ludzie. Jesteśmy na antenie”. W tle ledwie słyszalny śmiech, dźwięk sztućców stukających o naczynia, trącanie się kieliszkami. Wreszcie po chwili głośnik wypełniła pierwsza zwrotka kolędy, wyśpiewana rozbawionymi, fałszującymi głosami...

*Stille Nacht! Heilige Nacht!  
Alles schläft; einsam wacht  
Nur das traute hoch heilige Paar.  
Holder Knab' im lockigten Haar,  
Schlafe in himmlischer Ruh!*

Frycek nagle wygiął się w pałąk, jakby puszczono przez niego prąd o wysokim napięciu, charcząc przerażająco. Schlieebex doskoczył do chłopca, lecz zanim zdążył położyć na nim dłonie, młody Ślązak bezwładnie spoczął w pościeli bez przytomności.

\* \* \*

W Paryżu o osiemnastej było już ciemno. Padał lekki śnieg szarpany dojmującym, lodowatym wiatrem. Na *rue* imienia Dumont de Urville, żeglarza, który opływał cały świat, a zginął w jednej z pierwszych katastrof kolejowych, śnieg pokrywał szyby zaparkowanych w rzędzie służbowych mercedesów i adlerów. Wzdłuż neobarokowej fasady hotelu „Majestic”, siedziby sztabu niemieckich wojsk okupacyjnych we Francji, szło trzech młodych żołnierzy. Z uwagi na sąsiedztwo tak poważnej instytucji starali się zachowywać przyzwoicie. Wartownik przy wejściu uśmiechnął się do siebie — nad wyraz dokładny, spokojny i równy krok zdradzał, że chłopcy zdążyli już sobie podpisać i teraz całą siłę woli germańskiego wojownika wyteżają, by nic nie było po nich widać.

Horst, Bruno i Fritz nieudolnie ukrywali nie tylko szmer wypitych dwóch butelek koniaku, ale prawie parskali od tłumionego śmiechu. Siedzieli na kwaterze u Bruna, gdy Frycek wymyślił zupełnie nowy sposób na spędzenie Wigilii — pójdą do burdelu! Absurdalny pomysł od razu się chłopcom spodobał, zwłaszcza gdy Horst zaczął argumentować, że kiedy jak kiedy, ale w święta oficerowie do domu publicznego nie pójdą, więc nie będzie tak jak zwykle, że dla żołnierzy zostaną tylko stare i brzydkie kurwy. Wezmą sobie najładniejsze dziewczęta, po butelce szampana, upiją się wesoło i pójdą na górę... Kwadrans później maszerowali rażno po paryskim bruku, rycząc na całe gardło *Vor der Kaserne, Vor dem großen Tor, Stand eine Laterne, Und steht sie noch davor*, nie pamiętali dalszych zwrotek, więc bez końca powtarzali pierwszą, zmieniając się i razem wykrzykując refren, *Wie einst Lili Marleeeeeeen*. Przycichli dopiero obok sztabu, minęli go i skręcili w przecznicę, gdzie wybuchnęli śmiechem. Szli dalej, zataczając się, niewinnie zaczepiając nielicznych przechodniów i strojąc sztubackie miny do szacownych paryżanek spoglądających z dezaprobatą zza firan. Wreszcie stanęli przed drzwiami, które niczym nie odróżniały się od innych. Jednak chłopcy znali je dobrze. Żaden z nich nie przyznał się, że nigdy jeszcze nie był w środku, nie przypuszczając, że koledzy mogą tak samo kłamać. Mieli więc wszyscy odważne i zadziorne miny bywalców i lwów salonowych. Bruno, najstarszy, nacisnął przycisk elektrycznego dzwonka, Horst wyjętym z tylnej kieszeni spodni grzebieniem przyczesał gęstą czuprynę, zaś Fritz dyskretnie ściągnął z palca ślubną obrączkę. Drzwi otwarła im burdelmama — ubrana z wyzywającą elegancją balansującą na granicy kiczu, zniszczona kobieta. Dla swojej profesji była wręcz archetypowa, chociaż chłopcy nie mogli tego wiedzieć, bo była pierwszą właścicielką takiego interesu, jaką widzieli, oraz nie wiedzieli, co to „archetyp”. Kobieta zmierzyła chłopców wzrokiem i otaksowała ich skromne, pozbawione odznaczeń mundury. Chłopcy liczyli, że w Wigilię z powodu niewielkiego popytu na tego rodzaju usługi skorzystają z dziewcząt normalnie przeznaczonych dla oficerów. Jednak *mademoiselle* Leroux była doświadczoną *businesswoman* i nie prowadziła działalności charytatywnej; magia świąt nie nastrojała jej poza tym zbyt przyjaźnie do świata. Chłopcy dostaną takie dziewczyny, na jakie ich stać.

— Ile chcą oni pieniądza wydać na dziewczyna? — zapytała łamaną niemczyzną, gdy wspięli się już po schodach.

Bruno i Horst spojrzeli na Frycka. On trzymał pieniądze — służyli razem na tyle długo, by stwierdzić, że gdy Fritz gospodaruje wspólnymi pieniędzmi, wychodzą na tym najlepiej. Ślązak, kiwając głową, wyjął z kieszeni portfel. Otworzył go z pietyzmem, odliczył reichsmarki i bez

słowa podał plik burdelmami. Ta szybko przeliczyła banknoty, oszacowała, że na oficerską zabawę żołnierzy nie stać, a na żołnierską dali jej trochę za dużo. Panna Leroux dbała o dobre imię firmy. Odliczyła więc połowę różnicy między ceną za trzy dziewczyny dla szeregowych a kwotą, jaką otrzymała, i oddała Fritzowi, resztę traktując jako napiwek. Chłopak ze zdziwieniem przyjął resztę. Gdy wkładał pieniądze do portfela, między palcami zaplątało mu się zdjęcie. Niewielki prostokąt cienkiego kartonu z ząbkowanym brzegiem i wyretuszowanymi cieniami. Na specjalnym tle z romantycznym greckim pejzażem stało metalowe, secesyjne krzesło. Fritz w galowym mundurze i jego żona w prostej, białej sukni z welonem i długimi rękawiczkami.

Żonaty był dopiero pół roku. Frida była dobrą i piękną dziewczyną i Fritz nie wątpił ani chwili, że ją kocha. Znali się długo, w zasadzie od dzieciństwa. Zaręczyli się trzy dni po rozpoczęciu wojny z bolszewikami — dziewczyna miała nadzieję, że Fritz jako żonaty uniknie poboru. Ślub wzięli pół roku później, Frida była już wtedy w ciąży, ale na tyle krótko, że przed ślubem wiedział o tym tylko *farorz*, który machnął ręką — *niy ma o czym godać*. Dziecko jeszcze się nie narodziło, ale chłopiec wiele o nim myślał. Frida pisała do męża codziennie, wydając fortunę na znaczki, a Fritz, nie mając ani lekkiego pióra, ani swobody w wyrażaniu uczuć, pisał raz w tygodniu. Jego listy były krótkie i rzeczowe, ale żonie, która dobrze go znała, wystarczały. Wiedziała, że gdy jej Frycek na zakończenie listu, w którym zdaje raport z tego, co się dzieje w Paryżu, pisze, że „ckni mu się za nią i chętnie by ją zobaczył”, to znaczy więcej niż płomienne wyznania mężów jej koleżanek, którzy w listach pisali, jak bardzo miłują, a na miejscu pewnie zadawali się z tymi rozpustnymi Francuzkami — a jej Frycek przecież nie był taki.

*Mademoiselle* Leroux schowała pieniądze do wypchanej gotówką torebki, otworzyła drzwi i wystudiowanym gestem zaprosiła żołnierzy do środka. W sali panował stosowny do rodzaju lokalu półmrok. Ściany pokryto czerwoną, pluszową tapiserią, w alkowach wisiały nieprzyzwoite obrazy w pozłacanych ramach, a za barem wysoki i chudy mężczyzna w fartuchu i z fryzurą na brylantynie niedbale wycierał szklanki. Przy kilku stolikach siedziały dziewczęta. Niektóre z gośćmi. Oprócz Fritza, Bruna i Horsta w lokalu było jeszcze dwóch Niemców w mundurach: zalany w trupa szeregowiec w mundurze Luftwaffe chrapał na stole, a gefrajter z piechoty emablował znudzoną prostytutkę, która udawała, że pozwala się uwodzić. Bruno natychmiast przysiadł się do rudej dziwki, która nie była pierwszej młodości, ale za to dysponowała bez wątpienia największym biustem w lokalu. Horst siadł przy najbliższym stoliku, bo siedząca przy nim kurwa pociągnęła go za rękaw, zaś Fritz przez chwilę rozglądał się po sali. W kącie siedziała mała brunetka, jak na tutejsze standardy skromnie odziana. Nie wykonywała żadnych zachęcających gestów.

Iluzje przekonują nas wtedy, gdy realizują nasze pragnienia, a Fritz, idąc do burdelu, chciał pójść do łóżka z dziewczyną, nie z dziwką, więc nie próbując dociec, jakim sposobem ten anioł niewinności mógł znaleźć się w takim miejscu, przysiadł się do stolika. Dziewczyna prawie nie mówiła po niemiecku, on znał po francusku tylko parę słów. Nie rozmawiali więc. Koledzy poszli już do pokojów, a Fritz z Francuzką siedzieli jeszcze nad dwoma kieliszkami koniaku. Dziewczyna znała spojrzenie chłopców, których peszyły przepastne dekolty, wypełnione pulchnymi pagórkami piersi, odsłonięte aż do bioder uda spowite w jedwab i koronki pończoch i podwiązek, rozchyłone wargi zwilżane samym koniuszkiem języka. Dla tych, którym wszystkie te atrakcje, zleżałe jak dwutygodniowy pączek na wystawie, nie wydawały się szczególnie pociągające, była ona. Siedziała i całym arsenalem wyrachowanych niewinnych spojrzeń, rumieńców, dyskretnego uśmiechu przysłanianego wierzchem dłoni wyczarowywała iluzję, w którą nie można było, oczywiście, uwierzyć przez wzgląd na jej zawód i otoczenie, ale można było dać się przekonać. Fritz nie był głupcem, nie wierzył, ale pozwolił się zaczarować. Pomyślał tylko, że dziewczyna ma małe, sterczące piersi, zupełnie jak Frida, zanim zaszła w ciążę, po czym wstał, wziął swoją dziwkę za rękę i poszli do pokoju.

Gdy zaczęła się rozbierać, czar przysł. W końcu była tylko kurwą dla szeregowców. W oficerskiej części burdelu były czarodziejki, których czar niewinności trwał, nawet jeżeli właśnie wprawnie wprowadzały w najwyższe arkana rozkoszy dwóch mężczyzn naraz, nawet wtedy ich techniczne mistrzostwo nie przeszkadzało w tkaniu iluzji, że to wszystko po raz pierwszy. Brunetka Fritza nie była aż tak doświadczona, jej uroki działały tylko na dole przy stoliku. W pokoju stała się zimnym manekinem, którym w istocie jest każda płatna dziwka, chociaż najlepsze potrafią ukryć to pod warstwami pudru i aktorstwa. Z tych właśnie byłyby świetne gwiazdy filmowe. Francuzka wystudiowanym gestem pchnęła chłopca na łóżko, rozpięła żakiet i odwróciwszy się plecami, powoli zsunęła spódnicę. Nie lubiła mężczyzn i sądziła, że ci w zasadzie nienawidzą kobiet, że pociąga ich jedynie widok pośladków i piersi oraz kopulacja. Nie wiedziała, że tak naprawdę w domu publicznym wielu szuka nie rozładowania napięcia, bo to mogą załatwić sami w miejskim szalecie, lecz zapomnienia, ciepła, podziwu i powrotu do chwil odkrywania tajemnic. Póki nie zyska tej wiedzy, nie dostąpi wyższych stopni wtajemniczenia swojego zawodu. Fritz patrzył na nią z żalem. Już nie mógł dłużej udawać przed sobą, że dziewczyna jest niewinna i że zależy jej właśnie na nim. Przez chwilę pomyślał o Fridzie, poczuł wyrzut sumienia i rozważał nawet, czy nie uciec z pokoju. Potem wyobraził sobie swoich towarzyszy ryczących ze śmiechu, że Fritz uciekł na widok dziewczyny. Postarał się zatem nie myśleć więcej o żonie i skupił się na podziwianiu ładnych pośladków swojej dziwki.

Gdy później siedziała na nim okrakiem, opierając ręce na jego chudym torsie, a jej piersi podskakiwały rytmicznie, chłopiec oprócz profesjonalnie dostarczanej rozkoszy czuł głęboki smutek. Nawet dobrze opanowane westchnienia, jęki i wreszcie krzyki, które wydawała dziewczyna, nie mogły zatrzeć upiornego wrażenia, jakie wywarło jej puste spojrzenie wbite w ścianę gdzieś za nim. Fritz zrozumiał, że Francuzka jest teraz gdzieś bardzo daleko. Nie mógł wiedzieć, że mała Dominique siedzi teraz przed kamiennym domem w Prowansji, wdychając woń rozpalonego sierpniowym słońcem rozmarynu i bazylii, zaś jej ojciec, zabity w kampanii 1940 roku, wraca właśnie stromą ścieżką, niosąc dwie perliczki na obiad, który Dominique ugotuje.

Po wszystkim zsunęła się z Fritza i chciała bezwiednie wypowiedzieć zwykłą formułkę, że „było cudownie, jeszcze nigdy nie rznął mnie taki mężczyzna, mam nadzieję, że nie będę musiała długo czekać na twój powrót”, ale spojrzała w jego oczy i zrozumiała, że on również był daleko. Fritz z rozdartym sercem stał na progu wagonu całego przystrojonego kwiatami i patrzył w okoloną blond lokami twarz swojej Fridy. Po jej policzkach spływały wielkie łzy. Dłonie położyła na swoim okrągłym brzuchu, w którym nosiła ich dziecko. Rana w sercu Fritza była płytka i już wtedy na peronie miłość, zaufanie i łzy Fridy pokrywały ją delikatnym balsamem. Wtedy wiedział — wystarczy, że go nie zabiją, a przecież bycie żołnierzem w Paryżu jest bezpieczniejsze niż praca na kopalni. Wystarczy, że wróci do swojej żony i dziecka, a łzy wyschną i po ranie w sercu nie zostanie nawet blizna. Teraz, po dwóch kwadransach z paryską prostytutką, serce Fritza było rozdarte na dwoje i nie ma innego balsamu na taką ranę niż czas. Jednak nawet to panaceum nie goi ran do końca. We wrażliwej tkance zawsze pozostanie blizna. Czasem ropiejąca.

Dziewczyna przykryła się kocem i czekała, aż klient wyjdzie. Fritz zapiął spodnie i szelki, nałożył kurtkę, spojrzał na swoją płatną kochankę i zrozumiał, co wypełnia jej duszę. Chciał pogłodzić ją po policzku, aby jakoś podzielić swój smutek, lecz gdy tylko wyciągnął rękę, cofnęła się jak dzikie zwierzę. Odwrócił się i wyszedł. Dziewczyna jak zwykle podmyła się, otarła łzy, nałożyła swój roboczy strój i zeszła do baru. Na korytarzu spotkała właścicielkę burdelu. Ta wiedziała — mała Dominique jest tutaj dopiero rok, tak szybko się nie przywyka, za jakiś czas jej przejdzie. Poklepała dziewczynę po plecach, mrużąc swoje zwykłe *c'est la vie*, i poszła odprowadzić klientów. Chłopcy, przechwalając się, dopinali kurtki i zakładali płaszcze, Fritz śmiał się głośno i opisywał cycki i tyłek swojej kochanki, gdy Bruno wylewnie zachwycał się objętością

wdzięków prostytutki, z którą — jak mówił — miał okoliczność.

Kiedy szli ulicą, aby zakończyć miły wieczór w jakiejś knajpie, Fritz, nie mogąc znieść ciężaru ślubnego zdjęcia w portfelu, mimochodem wyjął je, udając, że szuka po kieszeniach zapalek do fajki, zmiął w dłoni i gdy jego towarzysze wysforowali się nieco do przodu, wrzucił kartonik do kratki ściekowej. Później zalali się w trupa i zataczając się ulicami, ledwie trafili do koszar, zwalili się do łóżek, nie ściągając butów, i zachrapali ciężkim, pijanym snem.

\* \* \*

Schlieebex próbował przytrzymać rzucającego się na posłaniu Fritza, z niejakim zażenowaniem patrząc na wypychającą spodnie chłopca erekcję. Po chwili młody Ślązak zwiotczał cały i opadł luźno na posłanie. *Feldfebel* usiadł i zaczął się zastanawiać, czy nie należałoby wezwać lekarza. Zmierzył chłopcu temperaturę — czterdzieści stopni. Zrobił mu chłodny okład na czoło z mokrej ścierki i rozmyślał. Chłopak leżał dalej bezwładnie. W „*Deutsche Welle*”, gdy powoli cichły głosy paryskich żołnierzy, rozległ się miękki baryton spikera. „Dziękujemy przedstawicielom wojsk okupacyjnych w Paryżu. Spod wieży Eiffla przenosimy się na zaśnieżone stoki Arraratu, w Kaukaz, gdzie wśród dumnych góralskich plemion nasi dzielni żołnierze stają tam, gdzie nie powstała jeszcze stopa żadnego germańskiego wojownika w historii. Oddajemy głos naszym dzielnym żołnierzom, spadkobiercom Aleksandra Wielkiego, którzy stoją już u bram Azji”. Zamiast paryskiego zgielku zapanowała pełna skupienia cisza, przerywana jedynie tłumionymi przez transmisję skrzypnięciami krzesel i dalekimi odgłosami kanonady. Ktoś cicho odliczył *eins, zwei, drei* i kilkanaście głosów zaśpiewało:

*Stille Nacht! Heil'ge Nacht!  
Die der Welt Heil gebracht,  
Aus des Himmels goldenen Höhn,  
Uns der Gnaden Fülle läßt sehn,  
Jesum in Menschengestalt!*

\* \* \*

Dupek. Łajdak. Gnida. Fritzowi nie mieściło się to w głowie. Jak ten łajdak mógł! I leży, skurwiel, na pryczy, jakby nic się nie stało, na plecach, a w wyciągniętej nad głową dłoni obraca swój nowy Krzyż Żelazny. Krzyż Żelazny! Pierwszej klasy! A Fritz nie dostał nic. Nawet pochwały.

A przecież Moritz nie był złym kolegą. Poznali się dwa lata temu, gdy przydzielono ich do tego samego plutonu w dniu inwazji na Rosję, ale jeszcze daleko za linią frontu, w Prusach Wschodnich. Zaczynali jako obsługa karabinu maszynowego. Moritz cały czas podpadał dowódcy, więc ten wyznaczył go na celowniczego — to najbardziej niebezpieczna funkcja w plutonie, „Strzelec jeden” rzadko żyje długo. Fritzowi zrobiło się żal małego i chudego Bawarczyka, więc zgłosił się na ładowniczego. Razem dawali sobie radę. Frycek miał wycucie do personalnych gier i Moritz, stosując się do jego rad, wypadł po jakimś czasie z listy podpadniętych. Po pół roku obaj dosłużyli się *Gefreitera* i dalej byli w tym samym plutonie.

Fritz nie uważał się za nazistę. Dobrzy naziści pewnie tylko się z tego cieszyli, w końcu Fritz miał ojca Polaka. Zniemczył sobie nazwisko na Schimansky, ale to nie mogło zmienić faktu, że ojciec nie tylko był Polakiem spod Krakowa, ale przyjechał na Śląsk w 1918 roku walczyć z

Niemcami. Między jedną wojną domową a drugą poznał w Katowicach blondynkę, Gerdę Siegling, nowoczesną dziewczynę, która przed wojną mieszkała w Paryżu i tam przejęła trochę niefrasobliwego nastroju stolicy świata.

I tak Andrzej Szymański, bojownik o polskość Śląska, po zbiorce POW biegł do garsoniery, którą wynajął specjalnie do schadzek z Gerdą. Gdy wchodził do środka, ona leżała naga na pościeli. Andrzej szybko zrzucił ubranie i kochali się godzinami, śmiejąc się, gdy sąsiedzi z dołu nie mogli już znieść krzyków i hałasu, jakie wywoływało rozklekotane łóżko na sprężynach.

Kiedy leżeli potem nadzy, rozgrzani miłością i ciepłem bijącym od kaflowego pieca, Gerda robiła Andrzejowi wyrzuty, że na nocnym stoliku kładzie swój pistolet, a ona nie chce oglądać broni. Andrzej w końcu zaczął zostawiać broń w kieszeni płaszcza.

Świat, Śląsk, Polska, Niemcy, POW, *Selbstschutz*, wojna, zemsta, narody, Ententa, prezydent USA Woodrow Wilson, włoscy i francuscy żołnierze, czołgi i gaz bojowy, okopy, Dmowski, Piłsudski, Korfanty, rewolucja, bolszewicy, Lenin, marszałek Petain, Francja, król angielski — wszystko zostawało zamknięte za drzwiami.

Tutaj była Gerda, której złote loki rozsypywały się po poduszce, a ona tak cudownie nie wstydziała się swojej nagości i wdzięcznie przyjmowała jego duże dłonie przesuwające się po jej pośladkach i plecach.

I w tym pokoju w jej gorącym ciele wstrząsanym jeszcze oddalającymi się spazmami rozkoszy począł się mały Fritz.

A cztery miesiące później wszystko to, co zostawiali zamknięte za drzwiami garsoniery, wdarło się do ich życia. Gerda powiedziała Andrzejowi przy kawiarnianym stoliku: „jestem w ciąży”. Andrzej poprosił ją o rękę. Potem zastanawiał się, dlaczego on, polski nacjonalista, zakochał się w Niemce.

W czasie przygotowań do skromnego ślubu postawił jeden warunek — dzieci wychowają na Polaków. Gerda zgodziła się wzruszeniem ramion. Narody nie miały dla niej znaczenia. I tak młody Fryderyk (imię po dziadku Andrzeja) wychowywał się na Polaka.

Andrzej ciągle był spóźniony i w końcu wrócił do domu zbyt późno. Był zgorzkniały, pijany i rozgoryczony, bo zamiast Polski miał tylko Katowice. Idea, dla której piętnaście lat wcześniej gotów był umrzeć, sparszywiła, skurwiła się i rozmyła w śląskiej polityce. Wszedł do pokoju swojego syna, aby widokiem spokojnie oddychającego pod kołdrą syna ukoić swoją nieodłączną towarzyszkę mizantropię.

Jednak łóżko było puste. Nie było też Gerdy. Był za to list.

Andrzej przez wszystkie te lata uprawiał politykę. A politykę uprawia się, spędzając godziny na naradach przy mocnej kawie, na bankietach przy wódce, na spotkaniach przy papierosie. Trzeba przemierzyć kilometry wysokich korytarzy śląskiego Sejmu, wdrapywać się na schody do tysięcy mieszkań, domów i kwater, odbyć tysiące rozmów telefonicznych. Zawierać niechciane przyjaźnie, pozbywać się znajomych wbrew sympatii. Andrzej oddał się polityce — Polsce, jak sądził na początku — bez reszty.

I tamtego dnia nie było Gerdy i Fryderyka w domu.

Chłopiec wiele czasu spędzał z ojcem matki, dla którego najdonioślejszym wspomnieniem z dzieciństwa była wojna 1870 i cesarska koronacja w Wersalu, nie bardzo było mu więc w smak, że jego wnuk miałby być Polakiem. Dziadek Frycka, Ernst Siegling, był skromnym urzędnikiem na poczcie i w bezpośrednim starciu, którego stawką była narodowość chłopca, nie miałby szans ze swoim zięciem, zaprawionym bojownikiem. Jednak Andrzej oddał syna walkowerem.

I dlatego właśnie sierpniowego poranka 1937 roku Gerda ze swoim synem siedziała w samochodzie jadącym mikołowską szosą na Gliwice.

Dwa lata później Fritz w szeregach 28. Dywizji Piechoty Wehrmachtu przemierzył tę samą

drogę, lecz w drugą stronę.

W 1937 roku jechał, tuląc płaczącą matkę, z silnym postanowieniem, że zostanie dobrym Niemcem, czym najdotkliwiej ukarze ojca. Trzy tygodnie później po załatwieniu formalności wstąpił do Hitlerjugend, a na wiosnę 1938 zaciągnął się na ochotnika do wojska. Mówił po niemiecku z twardym akcentem. Koledzy dokuczali mu, przezywając „wasserpolakiem”. Bronił go wtedy Moritz, zawstydzając innych przemową, w której zarzucił szydercom, że ich zasługa w byciu Niemcem jest taka, jaką świnia ma w byciu świnią. Urodzili się Niemcami i nic więcej, tymczasem Fritz wybrał bycie Niemcem, jego niemieckość jest efektem świadomej decyzji. Chłopak zapamiętał sobie te słowa i był ze swojej niemieckości dumny, i pielęgnował przyjaźń do Moritza.

Ale teraz, w wigilię świąt Bożego Narodzenia na Kaukazie, czuł tylko nienawiść, zazdrość i żal. Cóż takiego uczynił na tym patrolu jego przyjaciel, czym bardziej zasłużyłby na Krzyż niż on? Czy to tylko tym, że Moritz był z bawarskiej szlachty i jego ojciec podobno dwadzieścia lat temu poznał *Führera*?

A jego, Fritza, pominięto, bo ma ojca Polaka. Wyparł się go, zmienił nazwisko, walczy dla Niemiec, a oni nim gardzą. Jego ojciec miał herb, Dąbrowa, ale to nic — lepszy byłby ostatni lajdak, szewc albo krawiec, byle rodzony Niemiec.

Lecz Fritz przejął od swego ojca subtelny zmysł, cechę, która pozwala intuicyjnie dostrzegać rozkład nakładających się na siebie matryc oficjalnych struktur i wewnętrznych powiązań.

Bez tego zmysłu widać po prostu kompanię. Jest major, który dowodzi, są oficerowie, podoficerowie i szeregowcy. Bez tego zmysłu nie uda się żadna polityczna gra — bo jakże grać, nie widząc boiska, kiedy nie umiemy dostrzec, że w tej kompanii najpotężniejszy jest nie major, a zwykły kapral, ordynans Boli. To on ma dostęp do majora, kiedy ten pogrąża się w artystycznej depresji i wspomina piękne czasy, w których arystokratyczne nazwisko nie było zobowiązaniem, lecz eleganckim dodatkiem do nihilistycznego życia berlińskiej bohemy. Swoje *von* i *zu* pisał wtedy tak, jak zawiązuje się jedwabny krawat.

A dzisiaj zamiast po porannym espresso siadać do maszyny do pisania dowodzi bandą prostaków. Zamiast wygodnej bonzurki i fularu gruba wełna munduru *feldgrau*. Żeby nie zwariować, zamyka się w swojej kwaterze (ściany z desek, przez które ciągle przesypuje się ziemia...) z butelkami gruzińskiego koniaku i pisze. Nikt nie ma wtedy do niego dostępu inaczej niż przez ordynansa, który rozumie, jak obce są panu majorowi wojenne obowiązki. Major ufa mu, a on tego zaufania nie zawiedzie i nie nadużyje. Podejmuje decyzje takie, jakie sam pan major by podjął, gdyby zechciał się zniżyć do ich poziomu. Opracował nawet system podawania papierów do podpisu — przypina je klamerkami do podłużnej deseczki, ułożone w schodki, zaś miejsce, w którym pan major ma złożyć podpis zaznacza czerwonym atramentem. Dowódca wie, jak ważne są dokumenty, więc czasem, co kilka dni, poświęca swój czas i każe przynieść papiery. Uprościł swój autograf, opracował jego wojenną wersję pozbawioną manierystycznych zawijasów i secesyjnego kroju liter — w ciągu minuty jest w stanie podpisać i piętnaście papierów.

Jednak dokumenty to nie wszystko. Kiedyś kapral nie potrafił dobrze referować problemów. Mówił: „Panie majorze, brakuje nam amunicji, co robić?” albo „Sierżant Munch kolbą karabinu stłukł swojego podwładnego, strzelca Kirsta, czy zechce pan zareagować?”

Gdy pan major miał nastrój artystyczny, podobne pytania ściągały go brutalnie na ziemię. Nic dziwnego, że często wpadał we wściekłość, raz nawet strzelił w stronę ordynansa z pistoletu. Ale kapral pojął, gdzie leży kość niezgody, i zaczął przedstawiać sprawy w sposób następujący: „Panie majorze, zabrakło nam amunicji, zechce pan podpisać zamówienie do zaopatrzenia — o, tu — to środowym transportem przyjdzie”, „Sierżant Munch stłukł strzelca Kirsta kolbą, ale Kirstowi się należało, bo to obibok i złodziej. Pozwoliłem sobie przekazać Munchowi, że pan major nie życzy

sobie więcej tego typu zająć w kompanii, ale tym razem jeszcze sierżant nie zostanie ukarany”. Pan major, nie odrywając wzroku od książki, kiwał tylko głową.

Dlatego właśnie na wszelki wypadek Fritz od początku służby starał się przypodobać kapralowi. Ot, tak dla świętego spokoju. Podrzucił mu czasem coś dobrego z matczynej paczki, przyniósł zdobyczną butelkę wina, zaoferował pomoc w glansowaniu majorowych butów. A kapral lubił Ślązaka i nieraz odwdzięczał się małymi przysługami i uprzejmościami, na których zasadza się każda sympatia.

Fritz dostrzegał też rzeczy subtelniejsze, takie jak niewidoczna dla niewprawnego oka miłość kaprała. Kapral Böll mianowicie kochał Adolfa Hitlera.

Nie sprawiał wrażenia zapiekłego nazisty, nie należał do tych butnych mężczyzn, którzy ciężkimi butami tupali po bruku każdego niemieckiego miasteczka. Kapral Böll był niepozornym chłopcem, grzecznym i spokojnym, osieroconym przez zabitego pod Sommą ojca. Pochodził z pobożnej robotniczej rodziny, wychowywał się z matką, która pracowała jako służąca w bogatych domach. Böll nie miał rodzeństwa, a matka nauczyła go, że trzeba wtapiać się w tłum, nie wdawać w dyskusje, słuchać poleceń i wykonywać je jak najlepiej.

Ich mieszkanie składało się z pokoiku z kuchnią, a honorowe miejsce na ścianie zajmowało zdjęcie ojca w mundurze, podmalowane bladymi pastelami. Mały Böll wdrapywał się na szeszlony, opierał dłońmi o ścianę i wpatrywał w mężczyznę oprawionego w szkło. Prawa ręka ojca opierała się na bagnecie, lewą przyciskał do piersi. Wzrok przykuwała duża głowa o pulchnych policzkach zabarwionych różowym kolorem z kontrastem wąsików podkreślających perkaty nos, podkręconych i nasmarowanych brylantyną. Głowę wieńczyła okrągła czapka z czerwono-biało-czarnym bączkiem, lecz uwaga chłopca skupiała się na dwóch baretkach oczu, dużych i ciemnych jak u dziewczyny, tak dziwnie nie pasujących do tej porządnej, niemiecko-mieszczańskiej fizjonomii. Okolone długimi rzęsami wpatrzone były w jakiś punkt znajdujący się daleko za obiektywem ładowanego szklanymi kliszami aparatu, którym zdjęcie wykonał Johann Dreise, jak informowała dystygnowana pieczętka na passe-partout.

Mały Böll, patrząc na zdjęcie, co jakiś czas raptownie się odwracał przekonany, że stary Böll patrzy na coś, co pojawia się na przeciwległej ścianie, na coś wartego takiej skupionej uwagi, co złośliwie znika, gdy tylko przyszedł kapral odwróci głowę, aby zobaczyć To, Na Co Patrzy Tata.

Ciężki pocisk z francuskiego moździerza zmieszał ciało Taty z belgijską glebą, a potem razem z deszczem spłynęło ono w ziemię, zmieniając się ostatecznie w błoto, czyli mokry proch. Na zdjęciu młody Boli zbudował legendę ojca, wąsatego, odważnego mężczyzny, który ciągle bije Francuzów, chociaż wszyscy inni się poddali. Arnim Böll, którego ciała nikt nie widział, bo zniknęło, w głowie syna dosiada karego konia i z karabinem w dłoni gna przed sobą całą francuską dywizję. Zapędził się już tak daleko, że nie może wrócić. Czasem tylko spogląda przez ramię, ale jego wzrok nie pada wtedy na małego synka, lecz na To, Na Co Patrzy Tata.

Matka Boli kręci głową, słuchając słów, które jej smutny syn mruczy pod nosem, pochylając się nad talerzem z zupą, a przyszedł kapral Böll, dorastając, zaczyna rozumieć, że nie ma żadnego karego konia, że to nie rumak, a błoto pod Sommą niesie to, co zostało z jego Taty.

Zbiega się to w czasie z odkryciem Niemiec, którego młody Boli dokonuje przypadkiem, pytając mamę, dlaczego Samuel nie idzie z nimi w niedzielę do zboru. To łączy się jakoś z odkryciem śmierci ojca, zlewa się w jedno i zamienia w rozpaczliwy, dumny patriotyzm. Wychowanie i skromność nie pozwalają młodemu Böllowi chodzić na manifestacje, nie przyłącza się do bojkotów, nie bierze udziału w zamieszkach, ale gdy ma piętnaście lat, zaczyna pojmować, że ten dziwny człowiek z małym wąsem rozumie ofiarę Arnima Bölla, który wsiąkł w belgijską ziemię. Wszyscy inni zapomnieli, a ten człowiek rozumie. Ten człowiek rozumie, jak mały Boli patrzy na czerwone i grube dłonie swojej matki, kiedy ta wraca wieczorem ze służby.

Młody Boli nie uważa się za dość dobrego, aby zapisać się do Hitlerjugend, gdy HJ staje się obowiązkowe, chłopiec jest już młodym mężczyzną, zaś do NSDAP nie wstępuje, bo nie jest, w swoim pojęciu, godny tego zaszczytu. Gdy trafia do wojska, jego matka nie może już nad tym ubolewać, bo umarła. Wśród nowych kolegów Böll tylko raz publicznie mówi o swoich uczuciach do Wodza. Wyśmiany — milknie.

Zrozumiał, że nie powinien opowiadać o swoim uwielbieniu. Nigdy nie czuł potrzeby dzielenia się swoimi uczuciami. Chciał służyć Niemcom, służąc kanclerzowi.

Ciągle jest cichy, skromny i pracowity, i przez wzgląd na te cechy zostaje ordynansem i awansują go na kaprała. Jednak jest tylko człowiekiem, nie stał się prywatnym świętym narodowego socjalizmu. Nie całym sercem poświęcił się idei, ma również swoje, osobiste namiętności. Jedną namiętność. Nienawiść.

Böll, dorosły, mądrzejszy Böll, nienawidzi tych, którym służyła jego matka, biedna wdowa po bohaterze wojennym. Tych, którzy gdy ojciec i jemu podobni wsiąkali w ziemię, nie wyściubiali nosa z pałaców. Tych, którzy nie odrywając wzroku od książki, unosili tylko nogi, aby matka Bölla mogła umyć parkiet pod fotelem, na którym oni umościli swoje tłuste zadki.

Także Fritz dzięki swej zdolności dostrzegł nienawiść kaprała Bölla.

Nagle leżący obok syn bawarskiego arystokraty Moritz, obracający w palcach swój Żelazny Krzyż, rozgoryczenie Fritza, wpływ Bölla na dowódcę kompanii i jego prywatne namiętności połączyły się w głowie młodego Ślązaka w możliwość działania, a następnie w decyzję.

Pozwalamy w sobie mieszkać poglądom, których nie pielęgnujemy. Nie należą do ścisłego rdzenia intelektualnej formacji, jaką dane nam było odebrać, żyją w nas na poboczu, nie myślimy o nich za wiele, nie przypuszczamy nawet, że chcielibyśmy ich bronić. I czasem życie wystawia na próbę nie główną część naszego światopoglądu, lecz testuje coś, w co wierzyliśmy niejako na marginesie.

Kiedy zapytali Moritza, czy to prawda, że wyrażał się pogardliwie o *Führerze*, uspokoił się — nic prostszego niż wyłgać się z takich podejrzeń. Bał się, że zapytają jeszcze raz o *Feldfebla* Grunna, którego osobiście zastrzelił, ratując życie paru kaukaskim góralom. Wymyślił wtedy mocną historyjkę o rosyjskim snajperze, w którą prowadzący polowe śledztwo uwierzyli, bo chcieli wierzyć. Bał się również trochę, że zapytają o Żelazny Krzyż... Tak się cieszył z tego kawałka metalu, taki sam z dumą nosili jego ojciec i dziadek, tak się cieszył, że wróci do domu i w oczach ojca stanie się godnym dziedzicem rycerskiej krwi. Tym razem Krzyż należał się bardziej młodemu Ślązakowi — ale Moritz tyle już dla niego zrobił, że to drobne oszustwo potraktował jako niewielką rekompensatę za swoją sympatię. A zatem — drobnostka...

I z powodu tego spokoju właśnie tym bardziej zdziwił się własnym słowem. Słyszał je, wydobywały się z jego gardła, ale nie mówił ich sam. Mówiła za niego krew, której kolor na błękitny zmienili ofiarą życia złożonego w piaskach hrabstwa Edessy mężczyźni śmierdzący potem, odziani w kolczugi i hełmy. Moritz nie mógł tego wiedzieć, ale to właśnie te słowa sprawiły, że stał się godnym potomkiem szewca z Norymbergi, Ottona, który ginąc, swojego syna Hermanna uczynił rycerzem (koń potyka się na piasku, popręg nie wytrzymuje ciężaru odzianego w kolczugę wojownika i ten wali się na ziemię razem z kulbaką, próbuje wyswobodzić stopy ze strzemion, ale saraceńska lanca jest szybsza).

Najpierw jednak spłodził syna — i tak linia przelanej krwi doszła aż do Moritza, który ciągle dziwiąc się własnym słowom, po raz trzeci potwierdza: tak, drwiłem sobie z *Führera*. Dlaczego? Ano, bo ten nieślubny, plebejski bastard obraża swoją nędzną osobą całe Niemcy. Dlatego, że tylko dzięki drwinie mogę ciągle kochać ten naród, kiedyś tak wielki, a dziś splugawiały tak bardzo, że pozwala takim nędznikom być jego władcami. Jakże wzniosłe było posłuszeństwo cesarzom, potomkom najlepszych niemieckich rodów, jakże podła jest służalczość dla tego łajdaka. Jeden z

przesłuchujących, przystojny kapitan noszący na szyi gwiazdę Pour Le Merite, najwyższego odznaczenia Cesarstwa, zaciska mocno zarysowane szczęki, aż grają mięśnie na policzkach, a Moritz odnajduje zrozumienie w jego głębokich, szarych oczach. Kapitan patrzy na pozostałych dwóch oficerów, lecz ci myślą o innym człowieku, który tak wiele może i siedzi teraz za nimi na prowizorycznym stołku, i uśmiecha się z satysfakcją.

Moritz sądził, że go rozstrzelają. Zamiast tego siedzi teraz na podłodze bydłowego wagonu. Nie ma już pasa, dystynkcji, Żelaznego Krzyża. Korzystając ze światła przebijającego się przez szpary między deskami, z których zbudowane są burty wagonu, Moritz czyta dziwną książeczkę, którą wcisnął mu ukradkiem stalowooki kapitan, szepcząc, że nic więcej nie może zrobić:

*Damals wurde es mir deutlich, daß die Panik, dereñ Schatten immer über unseren großen Städten lagern, ihr Pendant im kühnen Übermut der Wenigen besitzt, die gleich Adlern über dumpfem Leiden kreisen. Einmal, als wir mit dem Capitano tranken, blickte er in den betauten Kelch wie in ein Glas, in dem vergangene Zeiten sich erschließen, und er meinte traumend: „Kein Glas Sekt war köstlicher als jenes, das man uns an die Maschine reichte in der Nacht, da wir Sagunt zu Asche brannten”. Und wir dachten: Lieber noch mit diesem stürzen, als mit jenen leben, die die Furcht im Staub zu kriechen zwingt.\**

Umrze w Dachau dwa miesiące później, zaraziwszy się tyfusem. Zaprawdę, umrze rycerską śmiercią.

Kapral Böll glansuje metodycznie wysokie oficerki majora, spokojny i syty spełnioną nienawiścią.

Fritz siedzi na pryczy i myśli, gdzież teraz może być Moritz.

\* \* \*

Gorączka nie opadała. Schlieebex jeszcze raz poprosił o pomoc przez radio, bo okłady ani aspiryna nie pomogły. I po raz kolejny spotkał się z odmową. Z wściekłością walnął pięścią w aparat, szarpnął za wszystkie kable — coś trzasnęło, poszedł dym i wszystko zgasło.

Ukrył twarz w dłoniach, zastygł tak na minutę, po czym podniósł głowę, spojrzął na bożonarodzeniową choinkę i postanowił kontynuować dalej kolędę, którą ktoś tam pewnie śpiewał do mikrofonu „Deutsche Welle”. Wyprostował się na krześle i niskim głosem zaśpiewał cicho:

*Stille Nacht! Heil'ge Nacht!  
Gottes Sohn, o wie lacht  
Lieb' aus deinem göttlichen Mund,  
Da uns schlägt die rettende Stund'.  
Jesus in deiner Geburt!*

Frycek otworzył oczy i podniósł się na pryczy.

— *Feldfebel*, co się dzieje? — zapytał. Saksończyk przyskoczył do chłopca.

— Leż, Frycku, leż. Nic się nie dzieje, wzywałem pomoc przez radio, już wysłali po ciebie transporter — trajkotał. Dotknął czoła chłopca i cofnął zaraz dłoń zaskoczony. Gorączka ustąpiła,

---

\* Wówczas stało się dla mnie jasne, że panika, której cienie rozpościerają się zawsze ponad każdym z naszych wielkich miast, ma swój odpowiednik w odważnej bucie tych nielicznych, którzy jak orły krążą nad stłumionym cierpieniem. Pewnego razu Capitano, pijąc z nami, spojrzął w pokryty rosą kielich jak w szklaną kulę ukazującą przeszłość i w rozmarzeniu powiedział: — Żaden kielich szampana nie był wspanialszy od tego, który podano nam do maszyny tej nocy, gdy obróciliśmy Sagunt w perzynę. A my pomyśleliśmy: zawsze to lepiej runąć wraz z nim, niż żyć z tymi, których strach zmusza do pełzania w prochu. „Na marmurowych skałach”, Ernst Junger, tłum. Wojciech Kunicki

nagle, jak duch — gorączkowy pot jeszcze nie zaschnął, ale skóra była już chłodna.

— Czujesz się już lepiej? — zapytał coraz bardziej zdziwiony Schlieebex.

— No, zwyczajnie, *Feldfebel*. Nijak się czuję — odpowiedział Frycek.

Drzwi domku impetem eksplozji wyrwane z zawiasów wleciały do środka i wyrznęły w okno naprzeciw. Z ciemności natychmiast odezwały się pojedyncze strzały, a kilka pocisków głucho pacnęło o drewniane ściany domu. Wszystkie szyby posypały się w rozdzwonionym deszczu odłamków, spadając na podłogę i meble. Frycek i *Feldfebel* jak wystrzeleni z procy skoczyli po broń, dopadli do pozbawionych szyb okien i zaczęli strzelać w ciemność.

Odpowiedziało im kilka strzałów. Frycek nic nie widział, ale przeładowywał karabin, naciskał spust i znów przeładowywał, strzelał w ciemność, podczas gdy przeciwnicy widzieli ich doskonale w rozświetlonych prostokątach okien. Gdy skończyły mu się naboje w magazynku, zorientował się, że jest cicho — już nikt nie strzelał. Przycupnął więc za oknem, wpatrując się w ciemność, wyglądając jakiegoś ruchu, czegoś, do czego mógłby wycelować.

Nic nie zauważył.

— Co to było, *Feldfebel*? Poszli sobie?

Nie usłyszał odpowiedzi, odwrócił się — Schlieebex leżał na podłodze, krwawiąc obficie z rany pod obojczykiem. Był nieprzytomny. Chłopiec znalazł szybko bandażę i opatrzył ranę jak umiał najlepiej. Następnie postarał się ułożyć swego dowódcę wygodnie na podłodze, podłożywszy mu pod głowę zrolowany koc. Gdy przyklęknął, poczuł nagły ból w lewym ramieniu — dotknął palcami rękawa bluzy i cofając je, ze zdziwieniem stwierdził, że są czerwone od krwi. Postrzał! Jak mógł wcześniej nie zauważyć? Nie bolało wcale. Ściągnął więc kurtkę i obejrzał ranę. Nie wyglądała groźnie, raczej jak zadraśnięcie. Owinął więc byle jak bandażem i założył kurtkę. W izbie zrobiło się lodowato. Frycek przez chwilę rozważał, czy najpierw wzywać pomoc, czy raczej zająć się prowizorycznym osłonięciem wyrwanych drzwi i wybitych okien, aby ochronić się przed zimnem. Zdecydował, że najpierw wezwie pomoc — usiadł więc do nadajnika i spróbował go uruchomić. Nie udało się — po chwili zauważył pozrywane kable. Nie znał się na tym i po paru próbach naprawienia aparatu poraził go prąd.

Wziął pistolet maszynowy *Feldfebla* i zaczął przygotowywać się do drogi. Z drewni wyciągnął lekkie sanki i wtaszczył je do izby. Niemalym wysiłkiem ułożył na nich swojego dowódcę, księgę kodów (wiedział, że tej niepozornej książki nie można w żadnym wypadku zostawić wrogowi), mapy, z karabinu wyjął zamek i schował do kieszeni, żeby nie zostawiać wrogowi sprawnej broni, amunicję cisnął gdzieś w śnieg. W nogach Schlieebexa ułożył trochę jedzenia, następnie przykrył swój ładunek dwoma płaszczami i kożuchem, po czym obwiązał mocno rzemieniami. Ubrał się ciepło, kożuszek przepasał dodatkowym pasem, do którego przywiązał sznur od sanek, do kieszeni włożył dwa pełne magazynki. Już na dworze przypiął narty, na piersiach powiesił peem, wziął kijki i nie zważając na pulsujący ból ramienia, które teraz zaczęło przypominać o ranie, sprawdził kierunek na kompasie i dziarsko ruszył drogą, którą — jak mu się wydawało — znał doskonale. Gdy mijał miejsce, w którym zakopali Lapończyka, przystanął na chwilę, przeżegnał się i zmówił krótki pacierz.

Na nartach posuwał się dosyć szybko mimo ciężkiego ładunku. Jednak siły opuszczały go jeszcze szybciej. Po dwóch godzinach marszu był wyczerpany, ale szedł dalej. Wreszcie, gdy fosforyzujące wskazówki zegara stwierdziły, że idzie już piątą godzinę, postanowił zrobić krótki odpoczynek. Odpiął rzemienie sań, narty i usiadł, opierając się o pień wysokiej jodły. Zdjął rękawice i odgarniając futra i tkaniny, dotknął szyi swojego dowódcy.

Hoimar Schlieebex nie żył.

Człowiek, który przeżył nawałę żelaza w okopach wojny światowej, nieraniony przez żaden z miliardów pocisków wystrzelonych w tamtych dniach, zginął od jednej z kilkunastu kul

wystrzelonych tego wieczoru. I od norweskiego, polarnego zimna.

Frycek otulił się mocniej płaszczem, podciągnął kolana pod brodę i schował twarz w ramiona. Krew powoli wypływała z niezasklepionej rany, spod źle założonego opatrunku, a mróz szybko przegryzał się przez owczą skórę kozucha i wełniane sploty płaszcza.

\* \* \*

*Frycek, Frycek. Stowej, syneczku, stowej, co byś niy był za niyskoro...\**

\* \* \*

Wstań. Uniósł więc łokcie, wparł się dłońmi w pylistą ziemię, uniósł grzbiet. Wargi miał popękane, usta, nozdrza i oczy pełne drobnego, na pył zmielonego pustynnym wiatrem piasku. Trzeba iść do światła, które gorzeje nad horyzontem, a delikatnym blaskiem rozjaśnia rosnące nieopodal krzewy tamaryszku. Frycek podciąga więc kolana, klęka i z trudnością wstaje. Ziemia, zeschnięta na pył, pokryta jest siatką płytkich pęknięć. Kałuże w czerwcu, gdy po deszczu mocno zaświeciło słońce, pokrywały się taką samą warstewką splekanego, zeschniętego błota, myśli Frycek. Tylko tutaj pęknięcia są takie, że mogłaby uwięznąć w nich stopa. Gdyby miał karabin, mógłby użyć go jako laski, ale nie ma broni ani oporządzenia. Idzie więc, chwiejąc się i potykając, w stronę zorzy, która różowym i niebieskim światłem rozpala niebo. Nie jest sam. Zewsząd pojawiają się podobne mu postaci, idące tak samo chwiejnym krokiem, inni leżą jeszcze na ziemi albo właśnie wstają. Nie zwracają na siebie uwagi, idą do przodu w stronę światła.

Jest już jasno jak w dzień. Sklecona z desek i bali szopa — oto, na co wskazują mieniące się promienie światła. Fritz wchodzi do środka, gdzie nad wymoszczonym sianem korytem pochyła się wysoka postać. Obok, przykryta derką, wolno oddycha kobieta. Spoczywające w korycie niemowlę niedawno się narodziło. Czarne włoski oblepiają miękką czaszkę, mokre jeszcze od wód płodowych, dziecko zaciska maleńkie piąstki, zaciska powieki na ślepych oczkach, matka nie obmyła go jeszcze z krwi. Frycek pochyła się nad maleństwem, a ono otwiera oczy i chociaż nie powinno, patrzy i widzi, spogląda Fryckowi w oczy, i wszystko — szopa, mężczyzna, kobieta, koryto, dziecko — wszystko znika. Ziemia z hukiem wypiętrza się we wzgórze, a Fryc klęczy, kolanem przyciska do solidnej belki wątłe ramię skazańca i drewnianym młotem uderza w łeb hufnala, który z obrzydliwym chrzęstem przebija się między kośćmi, ścięgnami i chrząstkami nadgarstka. Skazaniec wypręża się, krzycząc, a Frycek z zaciśniętymi z nienawiści zębami wbija długi gwóźdź, nie bacząc na to, że krew obryzguje mu twarz i dłonie. Nagle jest ich tutaj tak wielu i pomagają mu postawić krzyż, ale Fryc wie, że to on jest tutaj najważniejszy. Krzyż już stoi i okładają go jeszcze kamieniami, aby stał pewnie, i spoglądają na prężące się mięśnie skazańca, które jeszcze próbują utrzymać ciężar ciała. Ach, czemuż nie jest tylko z materii światła! I gdy w końcu mięśnie wiotczeją i ramiona wyciągają się w dół, żebra nie mogą już ścisnąć przepony, napręża się raz jeszcze, udaje mu się nabrać tyle powietrza, aby po raz tysięczny wyszeptać ciche słowa rozpacz, i umiera. Fryc, płacząc, chwyta za leżący obok karabin, wspina się na palce i bagnetem przebija bok, ostrze prześlizguje się między żebrami. Skóra rozstępuje się pod stałą i z rany wypływa kropla krwi, po czym spomiędzy żeber skazańca tryska ogromny strumień wody, wielki i świetlisty. Oblewa Frycka, mundur rozmaka na nim jak mokry papier i spływa razem z wodą, stal bagnetu zamienia się w rdzawy pył, a woda ciągle płynie i obmywa Frycka z wszelkich namiętności i z ciała, które spływa z niego warstwa po warstwie i wsiąka w wyschniętą ziemię.

---

\* Frycek, Frycek. Wstań, synku, wstań, żebyś się nie spóźnił...

Woda zmywa też ziemię, krzyż, kamienie i wszystko. I zostaje tylko Friedrich i Skazaniec, który jest już samym światłem. Mówi do chłopca po imieniu i podaje mu świetlistą dłoń, aby ułatwić ten pierwszy, najtrudniejszy krok w górę.

*Rafał Chojnacki*

# **KOLYSKA**

Rafał Chojnacki urodzony w 1977 roku, swoją przygodę ze słowem pisany rozpoczął jako autor piosenek, a później również dziennikarz muzyczny (prowadzi m.in. portal [www.folkowa.art.pl](http://www.folkowa.art.pl)). Fantastyką interesuje się od dziecka dzięki wstawiennictwu starszego kuzyna, wówczas działacza polskiego fandomu i posiadacza sporej biblioteczki, w tym tzw. klubówek. Szczególne zamiłowanie do horroru i grozy zaowocowało obecnie tym, że współtworzy internetowy serwis Carpe Noctem ([www.carpenoctem.pl](http://www.carpenoctem.pl)).

Działa jeszcze grzmiały, gdy pierwsi wyzwolenicy ruszyli do domów. Drogi zapełniły się wracającymi pieszo, a pociągi wiozły nie tylko zdobyte przez zwycięską armię dobra, ale również setki ludzi, którzy po latach pracy w niewoli wracali w rodzinne strony.

Nie zawsze docierali tam, gdzie początkowo chcieli. Niekiedy zatrzymywali się gdzieś na krótki czas, a potem zostawali tam i prowadzili życie w miejscach, o których wcześniej nawet nie słyszeli. Nie czuli się tam obcy, bo też nikt nie był tutejszy. Niemców wysiedlano, a ich domy zajmowali Polacy wracający z Rzeszy. Dla tych pierwszych tworzono prowizoryczne obozy przejściowe, w których oczekiwali na deportację pozbawieni zarówno dobytku, jak i godności. Resztki ukrytego dobra oddawali niekiedy za chleb czy osełkę masła. Czuli już tylko niepewność i strach.

\* \* \*

Maria poznała Piotra Kwietnia w majątku rolnym na robotach przymusowych na południu Rzeszy. Sama pracowała jako podkuchenna. Pomagała w przygotowywaniu posiłków dla robotników z folwarku — zarówno wolnych, jak i więźniów. Tych ostatnich była tam prawie setka, więc pracy w kuchni nie brakowało.

Piotr Kwiecień był jednym z robotników przymusowych: postawnym, młodym mężczyzną z Kujaw, do którego wiele dziewcząt robiło maślane oczy. Nawet Niemki stały zalotne uśmiechy w stronę młodego, przystojnego Polaka. Ale widział tylko Marię.

Kiedy do majątku dotarły wreszcie amerykańskie wojska, dziewczyna szybko odrzuciła konkury czarnoskórego oficera i równie szybko przyjęła oświadczyzny Piotra. Być może powodem był mały Zbyszek, który pojawił się na świecie kilka tygodni wcześniej.

Z decyzją o powrocie do Polski młodzi też nie zwlekali. Niewiele jeszcze wówczas myśleli o tym, co mieliby robić i gdzie zamieszkać do czasu, aż odnajdą rozrzucone przez wojnę rodziny. Bo że odnajdą, w to nie śmieli nawet wątpić.

Po długiej podróży trafili do wsi o nazwie Włoszczowa. Tu dostali z przydziału dom i zagrodę. Uchodźcy czekający na transport do Rzeszy wciąż jeszcze mieszkali w prowizorycznych barakach, a do opustoszałych chałup sprawnie kwaterowano Polaków.

Wojna obeszała się z Włoszczową bardzo łagodnie, niemieccy osadnicy również nie zdołali za wiele zabrać, nowym lokatorom nie brakowało więc niczego poza elektrycznością, której jeszcze we wsi nie było. Kwietniowie szybko zdołali jakoś urządzić się na gospodarstwie.

Noc w domach bez prądu zapadała jakby szybciej. Kiedy Piotr zjeżdżał z sąsiadami z pola, było jeszcze jasno, ale godzinę później zwykle zaczynało się zmierzchać. Zostawało tylko tyle czasu, by pomóc młodej żonie w kilku cięższych pracach, czasem coś naprawić, przytulić na chwilę małego Zbyszka i zasiąść do kolacji. Tę ostatnią spożywali już zwykle przy blasku naftowej lampy.

Zaraz po kolacji, jeśli dziecko już spało, małżonkowie kładli się do łóżka, by zaznać choć odrobiny bliskości. Ostatnimi czasy nieczęsto jednak mieli ku temu okazję. Małemu wyrzynały się ząbki i trzeba go było zwykle dość długo kołysać, zanim usnął, a i tak budził się często i popłakiwał.

Tego dnia niemal wszystko wyglądało podobnie, tylko Piotr wrócił troszkę później niż zwykle. Musiał wymówić się od uczestnictwa w libacji z okazji imienin nowego wójta Włoszczowej. Wymówienie się oznaczało wypicie „karniaka” — szklanka wódki na pusty żołądek nie była tym, o czym marzył młody osadnik. Cóż jednak miał zrobić? Gdyby nie wypił, nie byłby „swój”.

Po kolacji Kwietniowie znaleźli się w dużym, małżeńskim łóżu. Piotr przewracał się z boku na bok, ciężko trawiąc alkohol przemieszany z wieczornym posiłkiem. Maria zapadała powoli w sen. Jej oddech stawał się coraz równiejszy i spokojniejszy. Wyczulone ucho matki usłyszało jednak, że stojąca w dużej, kuchennej izbie kołyska zaczęła się nagle miarowo poruszać. Chwilę później mały

Zbyszek zakwilił cicho.

— Nie kołysz go teraz, bo się obudzi i nie będzie mógł usnąć — powiedziała Maria, z trudem powstrzymując ziewanie.

— Ja go nie kołyszę — usłyszała niespodziewanie tuż obok siebie głos Piotra.

Na krótką jak mgnienie oka chwilę oboje wstrzymali oddechy. W tym czasie kołyska zaskrzypiała jeszcze raz, a dziecko zaczęło płakać. Zerwali się oboje. Maria drżącymi rękoma szukała zapalek. Kiedy wbiegła do kuchennej izby z migoczącym kagankiem, Piotr już sprawdzał, czy wszystkie okna i okiennice są zamknięte. W pomieszczeniu nikogo poza nimi nie było. Mały Zbyszek wciąż płakał i dopiero ciepłe dłonie matki ukoiliły go do snu.

\* \* \*

Szpadziewicz spał konia. Już kilka dni temu słyszał, że w tej okolicy dzieje się coś niedobrego. Wiedział, że któraś ze świeżo osiedlonych polskich rodzin ma kłopoty. Nie chodziło raczej o takie z innymi ludźmi. Wojna przetoczyła się przez te ziemie kilka razy, nic więc dziwnego, że pełno tu było pozostałości po złej śmierci.

Na drodze do Włoszczowej kilkakrotnie mijał większe i mniejsze grupki, czasem pojedyncze rodziny, prowadzone na zachód — w kierunku najbliższego węzła kolejowego. Na widok polskiego oficera nawet radzieccy żołnierze przestawali znęcać się nad wysiedleńcami. W jego spojrzeniu było coś, co sprawiało, że nagle odchodziła im ochota do okrutnej zabawy. Coraz częściej słyszało się w okolicy o polskim oficerze, który pojawia się znikąd, zawsze wtedy, gdy ktoś próbuje krzywdzić cywili. Jednak Szpadziewicz wiedział, że ta maskarada nie może potrwać długo. Nie dalej jak tydzień wcześniej omal nie zabił radzieckiego sierżanta.

Rosjanie bawili się, strzelając z automatów do stodoły, w której zamknęli niemiecką rodzinę. Szpadziewicz pojawił się niczym duch i kazał im odejść, grożąc raportem. Sierżant był tak pijany, że nie zwrócił najmniejszej uwagi na oficerskie dystynkcje Szpadziewicza, za to dosadnie wytłumaczył Polakowi, gdzie ma jego raport. Nie było już odwrotu. Chwilę później czerwonoarmista próbował podnieść się z ziemi, plując własnymi zębami. Żołnierze z jego oddziału nie odważyli się zaatakować oficera, a może po prostu byli nieco trzeźwiejsi od swego dowódcy. Polak miał jednak pewność, że tym razem odpowiednie osoby w NKWD nie przegapią informacji o samowoli polskiego żołnierza. Wkrótce będzie więc musiał pozbyć się przebrania i rozważyć ewakuację za granicę.

Kiedy dojechał do skrzyżowania dróg, za którym zaczynała się Włoszczowa, doszedł go swąd spaleniźny. Niewątpliwie źródłem aż nadto intensywnego zapachu był wypalony do kamiennych fundamentów drewniany kościół. Reszta budynków wyglądała dość dobrze i tylko kościół przeszkadzał najeźdźcom. Szpadziewicz wciąż nie mógł pozbyć się zwyczaju myślenia o Sowietach właśnie w tych kategoriach. W czasie wojny walczył z hitlerowcami, ale teraz, widząc niemieckie rodziny pędzone niczym bydło do pociągów, nie potrafił żywić nienawiści do tych ludzi.

\* \* \*

Chałupa, której Szpadziewicz szukał, nie różniła się specjalnie od innych, ale wiedział, że to szósty dom po lewej stronie za skrzyżowaniem. Nowa władza nie dociągnęła tam jeszcze prądu, więc powoli zbliżający się zmierzch był dla wszystkich sygnałem, że czas wracać z pola i zamknąć się na cztery spusty w domu. Mimo że w pobliżu stacjonowało wojsko, nie brakowało band

grasujących po okolicznych lasach.

Nowi mieszkańcy jeszcze nie czuli się wspólnotą, niemal nikt tu nikogo nie znał. Część z nich pewnie jeszcze ruszy gdzieś dalej, na nieco spokojniejsze tereny, może wróci do miast. Ale póki co dla nich walka się skończyła — rozpaczliwie próbują odbudować na tym kawałku ziemi świat, który znali przed wojenną zawieruchą.

\* \* \*

Szpadziewicz zsiadł z konia, odruchowo wygładził mundur i podszedł do wysokiej, niedawno malowanej furtki. Zarzucił uzdę na płot i okręcił dwa razy wokół szerokiej sztachety. Gospodyni nie spuszczała go z oczu, widać było, że obecność żołnierza ją niepokoi.

— Męża nie ma, do młyna pojechał — powiedziała, zanim jeszcze Szpadziewicz zdążył się odezwać.

— Nie szkodzi, mogę poczekać — odparł oficer. — Ja zresztą do was obojga, bo słyszałem nieco o waszych problemach. Można by rzec, że ptaszki w lesie sporo o nich ćwierkają.

Kobieta przez dłuższą chwilę taksowała go wzrokiem. W końcu z jej twarzy ustąpiło napięcie, choć wciąż jeszcze nie wyglądała na uspokojoną. Pamiętała, że Piotr wspominał o całej sprawie wójtowi, może więc oficer przychodził od niego. Wreszcie ruszyła w stronę furtki i zdjęła rygielek.

— Wejdźcie, panie oficerze, tylko na gęsi uważajcie, bo nie lubią obcych.

Ptaki, jakby zachęcone wypowiedzią gospodyni, ruszyły w kierunku przybysza z głośnym sykiem. Ten jednak tupnął głośno oficerkami i całe stadko niechętnie rozeszło się po podwórku, hałasując przeraźliwie. Gospodyni uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd zobaczyła go przed furtką.

— Siądźcie sobie, a ja zaraz przyjdę — powiedziała, wskazując na stojący przy podwórkowym stole stary taboret pomalowany niedawno tą samą farbą, co płot. Sama weszła na chwilę do domu.

Szpadziewicz usiadł na taborecie i rozejrzał się po obejściu. Wszystko wyglądało na nieco podniszczone, ale sumiennie wysprzątane. Najwyraźniej nowi gospodarze dobrze sobie radzili z tym, co otrzymali. Na drzwiach kołysała się drewniana tabliczka z napisem „Kwiecień”. Kiedy się wprowadzali, Piotr uparł się, by tam zawisła, taką samą mieli przed wojną na drzwiach jego rodzice. Wiedział więc, że dobrze trafił — to o tej rodzinie opowiadali mu ludzie.

Sam dom był niewielki, składał się najprawdopodobniej z dwóch izb i strychu. No i piwnicy, bo zsyp na węgiel wskazywał na to, że budynek był podpiwniczony. Po przeciwnej stronie podwórka stała stodoła, czy też raczej stodółka, bowiem nie dałoby się tam pomieścić więcej niż dwóch krów i paru prosiąt. Do niej dobudowano też mały kurnik, nowy, prawdopodobnie postawiony już przez Kwietniów.

Gospodyni wyszła, trzymając na ręku małe, kilkumiesięczne może dziecko. Niosła też dzbanek, a w kieszeni fartucha pobrzękiwały szklanki. Szpadziewicz podniósł się i odebrał z jej dłoni naczynie wypełnione, jak się okazało, świeżym mlekiem. Młoda Kwietniowa raz jeszcze się do niego uśmiechnęła, wyjęła z przepastnej kieszeni dwie szklanki i ustawiła na stole.

— Ja naleję — zaoferował się oficer. Tymczasem matka usiadła naprzeciw niego, sadzając sobie brzdąca na kolanach. W tej prostej czynności było tyle ciepła, że Szpadziewiczowi aż zadrżała ręka. Widział właśnie na własne oczy, co stracił, co poświęcił i czego pewnie już nigdy nie będzie mu dane zakosztować...

Kwietniowa nie zauważyła tej chwili wahania, zapytała bowiem wprost:

— Co takiego pan o nas słyszał, że zdecydował się nas odwiedzić?

Oficer nie odpowiedział od razu. Chwilę jeszcze wpatrywał się w sielski obrazek. W końcu jednak przymknął oczy, a gdy znów popatrzył na młodą matkę, nie było w jego spojrzeniu nic, co

mogłoby świadczyć o tej odrobinie słabości, którą właśnie sam w sobie odkrył.

— Ludzie mówią, że macie jakieś kłopoty — powiedział.

— Ludzie mówią wiele rzeczy, panie oficerze — odparła Kwietniowa.

Szpadziewicz pokiwał w zadumie głową.

— Tak, ale zwykle nie opowiadają o domach, w których przesuwają się przedmioty, i o hałasach, których źródła nie daje się w żaden sposób wyjaśnić.

Tym razem to kobieta nie odpowiedziała od razu. Dziecko próbowało najwyraźniej wdrapać się na stół, być może, spodobał mu się mundur Szpadziewicza.

— Czy naprawdę jest pan żołnierzem? — zapytała tak, jakby było to najbardziej oczywiste pytanie pod słońcem. Takim samym tonem mogła go zapytać o godzinę lub poprosić o wskazanie kierunku.

— Aż tak rzucają się w oczy różnice? — odrzekł Szpadziewicz, zręcznie kamuflując odpowiedź.

— Nie — usłyszał. — Nie twierdzę, że w naszym wojsku nie ma troskliwych oficerów, ale pan jakoś nie pasuje mi do tych, którzy to niedaleko koszarują razem z czerwonoarmistami. To po prostu widać, jest w panu jakiś taki przedwojenny sznyt, którego próżno szukać u dzisiejszych wojskowych.

Oficer bacznie przyglądał się młodej dziewczynie, którą wojna zbyt szybko uczyniła dorosłą. Skąd u niej taka przenikliwość? Przecież nie mogła zbyt wiele pamiętać z dawnych czasów. A może tak ją wychowano? Tak czy owak, postanowił, że powie jej prawdę.

\* \* \*

Tej nocy u Kwietniów długo paliły się świece. Gdyby ktoś ich wówczas podsłuchiwał, wiedziałby, że tajemniczy wojskowy najpierw z uwagą wysłuchał opowieści Piotra Kwietnia, a później sam opowiadał małżonkom historie, od których włos jeżył się na głowie. Wspólnie ustalili, jak zaradzić kłopotom Kwietniów. Szpadziewicz miał pomóc w rozmowie z poprzednią właścicielką gospodarstwa, a dokładniej w wydostaniu tej kobiety na kilka godzin spod straży pilnujących dworca żołnierzy. Ułożył też plan, według którego Maria miała kierować rozmową z Niemką.

Na szczęście nikt ich nie podsłuchiwał, bo wówczas szybko rozstrzelano by „londyńskiego szpiega” i jego przybyłych z Niemiec popleczników. Już za samo podszywanie się pod oficera groziłaby mu kula w łeb. Chyba że uznano by go za szaleńca. Tyle tylko, że tego szaleńca zbyt wiele osób w okolicy potrafiłoby rozpoznać jako człowieka, który rozstawiał po kątach radzieckich żołnierzy i potrafił dać w pysk pijanemu polskiemu oficerowi.

\* \* \*

Berta Grundal usiadła na krześle, gniotąc w dłoniach kraciatą chustę. Szpadziewicz od razu zauważył jej zaczerwienione od płaczu oczy. Kobieta pociągała nosem, czasem ocierała go chustą, najwyraźniej była przestraszona. Nie przeszkadzało jej to jednak, by rozglądać się bacznie po izbie. Minęło trochę czasu od chwili, gdy musiała opuścić ten dom. Wiele się tu zmieniło. Nie było choćby starej maszyny do szycia, starego, dużego stołu, na którego miejsce pojawił się mniejszy, bardziej współczesny mebel. Nie zmieniło się natomiast to, co sprawiało, że od kilku lat Berta Grundal czuła w tym domu strach.

Rankiem, kiedy wywołano ją do bramy, była pewna, że młoda Polka przyniosła jej chleb i

mleko. Co prawda były umówione dopiero za dwa dni, ale zdarzało się, że tamta czasem przychodziła szybciej. Zwykle odbywało się to w ten sposób, że przekupywany papierosami wartownik na chwilę zostawiał je same, wówczas dziewczyna dawała jej prowiant. A Niemka, by odwdziżyć się za pożywienie, opowiadała czasem, gdzie można znaleźć ukryte w obrębie gospodarstwa dobra. Wielu jej sąsiadów robiło podobnie, mogli dzięki temu czasem trochę pohandlować. Być może, niektórzy wierzyli też, że jeszcze wrócą w te okolice.

Tym razem jednak czekał na nią młody oficer, który powiedział, że zabiera ją na kilka godzin. Nie miała innego wyjścia jak pójść z nim, zdziwiła się jednak, gdy okazało się, że udają się do jej domu. Byłego domu. Teraz oficer siedział naprzeciw niej.

— Niech się pani nie denerwuje — powiedział po niemiecku Szpadziewicz.

Zaczerwienione oczy Berty wpatrywały się z zaciekawieniem w polskiego oficera. Widać było, że się boi, jednak to nie oficer był źródłem lęku, choć oczywiście strach przed polskim mundurem nie byłby teraz niczym dziwnym.

— Czego ode mnie chcecie? — zapytała. Kwietniowa, która wcześniej pouczona przez Szpa — dziewczyna miała już przygotowaną w głowie listę pytań, teraz odpowiedziała jednym z nich:

— Pani Grundal, niech mi pani powie łaskawie, jak długo wyście tu mieszkali przed nami? Może pani powiedzieć?

— A czemu mam nie mówić? Z pięć lat będzie.

Osadnicy z początku wojny, przemknęło przez myśl Szpadziewiczowi. Wnikliwie przyglądał się Niemce, mając nadzieję, że dostrzeże w jej zachowaniu coś, co naprowadzi go na rozwiązanie zagadki, a zarazem kłopotów Kwietniów.

— A dobrze wam się tu żyło?

— Czemu mnie dręczycie? Dobrze czy niedobrze, ale na swoim. Mąż zginął na froncie, to sama tu gospodarzyłam. Ciężko było, ale dawałam sobie radę.

— Nie gniewajcie się, przecież ja nie ze złośliwości — uspokajała ją Maria.

— To mówcie prosto, czego chcecie. Uczciwie mówcie. Ja też was nigdy nie oszukiwałam — odczęła się Berta Grundal.

Kwietniowa przytaknęła. Mimo że sama doświadczyła wielu upokorzeń od Niemców, współczuła tej kobiecie.

— Chodzi mi o to, czy w tym domu nie wydarzyło się wam nic dziwnego?

To było to! Szpadziewicz zauważył, jak Niemka rzuciła dzikie, pełne strachu spojrzenie na niskie drzwiczki w rogu pomieszczenia. Trwało to może ułamek sekundy, ale on na taki znak właśnie czekał i nie mógł go przegapić.

— Nie wiem, o co może pani chodzić — odparła spokojnie bez chwili namysłu.

— A może ktoś z sąsiadów coś takiego opowiadał? — Polka trzymała się dalej linii rozmowy wyznaczonej przez oficera.

— Nic takiego sobie nie przypominam, kochana. — Berta Grundal zdołała najwyraźniej wziąć się w garść. — Nic takiego sobie nie przypominam, moja droga.

Szpadziewicz był już przekonany, że po dobroci i z własnej woli Niemka nic już więcej nie powie. Niechętnie uciekał się do przemocy wobec cywili, a brutalnego traktowania kobiet nie tolerował, ale wiedział, że zastraszenie rozmówczyni może przynieść pożądany skutek. Powolnym, nieco niedbałym gestem wyciągnął z kabury pistolet. Oczy obu obecnych w izbie kobiet rozszerzyły się ze strachu. Oficer skierował broń w kierunku Niemki.

— Co tam jest? — zapytał, kiwając głową w kierunku niskich drzwiczek.

Berta Grundal ciężko odetchnęła. Jej ręce mocniej zacisnęły się na chuście.

— A co ma być, panie oficerze? Piwniczka — odparła, lecz głos wyraźnie jej się łamał.

— Ale ja się pytam, co tam jest, że tak się jej boisz? — Szpadziewicz nie ustępował.

Maria ochłonęła z chwilowego przerażenia. Ona wiedziała już, że oficer blefuje. Niemka nie mogła tego wiedzieć. Dłuższą chwilę zwlekała z odpowiedzią, więc trzeba ją było ponaglić. Szpadziewicz odbezpieczył pistolet.

— Zejdiesz tam, skoro to tylko piwniczka. Albo powiesz nam, czego się boisz — rozkazał.

Niemka straciła już resztki animuszu. Podbródek jej drżał, a w oczach pojawiły się łzy.

— Nie zejść! — zaprotestowała histerycznie. — Tu mnie zabijcie, a nie zejść.

— A co tam jest? Mówże, kobieto! — krzyknął oficer.

— Trupy, panie oficerze. Trupy. Czasem nocą słyszałam, jak skrobią w drzwi — wyrzuciła to z siebie niemal jednym tchem.

W izbie zaległa cisza. Szpadziewicz spojrzał na Marię. Przeważenie, jakie zobaczył w jej oczach, sprawiło, że zdecydował się wyprowadzić ją z izby, zanim podejmie dalsze śledztwo.

— Niech pani wyjdzie na chwilę — powiedział, odciągając delikatnie kobietę w stronę drzwi. — Proszę — dodał.

Musiał sam ją odprowadzić na podwórze. Maria cały czas milczała, ale kiedy już usiadła, zajęła się stojącą obok krzesła kołyską. Oficer zauważył, że działała jak w transie. Miał nadzieję, że to tylko chwilowy szok. Zostawił ją i wrócił do izby. Berta Grundal siedziała wpatrzona w drzwi do piwniczki. Po jej policzkach ciurkiem płynęły łzy.

— Nie mogłam tego nikomu powiedzieć, dlategośmy nie wołali księdza — zaczęła sama, zanim Szpadziewicz zdążył ją o cokolwiek zapytać. Opowieść nie była długa, ale sprawiła, że oficerowi zrobiło się najzwyczajniej żal siedzącej przed nim kobiety. Zrozumiał też wreszcie, na czym polega jej tragedia. I bynajmniej nie była to deportacja do Niemiec.

\* \* \*

To było dwa lata temu, jesienią. Mój mąż dostał powołanie do wojska i musiał szykować się już do wyjazdu do jednostki. Mieli go zabrać na front wschodni, gdzie nagle zaczęło brakować żołnierzy. Wcześniej wystarczyło kilka świstków od lekarza, by uniknąć powołania, jednak sytuacja się zmieniła. Kilku chłopów po otrzymaniu takich wezwań uciekło do lasu. Większość rozstrzelali żandarmi, resztę najprawdopodobniej wykończyli w lesie wasi ludzie. Mój mąż, Karl, nie należał nigdy do najodważniejszych. Wiedział, że na froncie ma większe szansę, niż samotnie tułając się po lesie w miejscach, gdzie wszyscy będą go mieli za wroga lub dezertera.

W naszej wsi urządzono punkt zborny dla okolicznych poborowych. Na dzień przed zbiórką poborowych we wsi pojawili się partyzanci. Ostrzelali posterunek żandarmerii, który mieścił się koło kościoła, co to z niego dziś tylko zgliszcza zostały. Nie udało im się jednak całkowicie go zniszczyć — musieli się więc wycofać. I w ten sposób trzech Polaków, uciekając przed ostrzałem, znalazło się na naszym podwórzu. Przegramolili się przez płot, by zmylić pościg. Sąsiedzi, podobnie jak my, pozamykali się w swych domach i nawet nie odważyli się wyglądać, Karl jednak nie mógł wytrzymać, żeby nie spojrzeć przez okno.

Miał w piwnicy schowaną starą dubeltówkę. Trzymał ją tam razem ze strojem i przyborami myśliwskimi, które przywiózł jeszcze z Bawarii. Zbiegł po nią, kiedy zobaczył tych trzech. Słyszeliśmy strzały we wsi i było jasne, że skoro do nas weszli, będą chcieli schronić się w domu. Być może uważali, że jeśli pogrożą nam bronią, to będą mogli u nas przeczekać, a później po cichu uciec do lasu. Wywalili drzwi. Nie były zbyt mocne. Wkoło posypały się drzazgi, a ja przestraszona zaczęłam krzyczeć. Karl akurat wyszedł z piwnicy, zdążył więc strzelić pierwszy, zanim któryś z napastników wymierzył. Jeden z partyzantów upadł, drugi wystrzelił do męża z pistoletu, a trzeci uciekł. Kolejny strzał z dubeltówki był równie skuteczny jak pierwszy. Myślę, że to trwało kilka sekund.

Staliśmy przez chwilę, oboje nie wiedząc, co zrobić. Karl właśnie z zimną krwią zabił dwie osoby. Kiedyś był myśliwym, ale nie sądziliśmy oboje, że tak dobrze strzela. Nie wiem, czy powinnam mówić, że „dobrze”. W każdym razie celnie. I wtedy przyjrzelśmy się leżącym w wejściu zwłokom. Jeden z nich nie był Polakiem. To był Johann, syn naszych sąsiadów. Jak się później okazało, zakochał się w młodej dziewczynie, która zaopatrywała partyzantów w prowiant. Ludzie we wsi gadali, że to ona zbałamuciła młodego Niemca, a ten, by udowodnić jej swą miłość, wystąpił przeciwko własnym rodakom. Ale ludzie to mówią różne rzeczy.

Gdyby to byli Polacy, skończyłoby się na krótkim przesłuchaniu i Karl zostałby uniewinniony, sami wiecie — wojna ma swoje prawa. Spisano by tylko protokół i byłoby po sprawie. Jednak w przypadku młodego Niemca chodziło o co innego. Zresztą nie tylko o to chodziło. Pewnie za zastrzelenie zdrajcy też nic by mu nie zrobiono. Jednak jak mogliśmy spojrzeć w oczy własnym sąsiadom?

Karl zakopał ciała w piwnicy, a ja pozmywałam krew.

Na efekty długo nie musieliśmy czekać. Po pierwszym piątku coś zaczęło hałasować. Nawet nie sprawdzaliśmy, co to było. Po prostu wiedzieliśmy.

Dwa lata nie wchodziłam do tej piwnicy.

\* \* \*

Szpadziewicz siedział przez chwilę, wpatrując się w twarz starszej od niego o jakieś dwadzieścia lat kobiety. Płynęły po niej łzy wstrzymywane przez dwa lata. Dwa lata życia z koszmarem.

Teraz zmusił ją jeszcze do wyjawienia ponurej tajemnicy, którą chciała zapewne zabrać ze sobą do grobu.

Jednak bardziej, niż litował się nad Niemką, chciał pomóc Kwietniom. Westchnął ciężko, pomógł kobiecie wstać, wyprowadził na zewnątrz.

Maria siedziała na ganku, tuląc do piersi dziecko. Wyglądała już znacznie lepiej niż przed kilkoma minutami. Póki Szpadziewicz nie wyprowadził Niemki za furtkę, nie powiedziała ani słowa. Ale kiedy wrócił, usiedli przed domem, a oficer zaczął powoli opowiadać. Ostrożnie dobierał słowa, choć już w połowie opowieści zorientował się, że po szoku, jaki wywołały pierwsze słowa Berty Grundal, młoda Polka całkiem już ochłonęła. Dlatego też powiedział jej wszystko, co słyszał dotąd o podobnych przypadkach. A w czasie wojny było ich niemało.

Kiedy Piotr wrócił z pola, zjedli wspólnie kolację, a około północy pod pozorem odprowadzania gościa wyszedł z nim na drogę. Kiedy upewnili się, że nikt ich nie obserwuje, pojechali na koniu Szpadziewicza w kierunku lasu. Gdzieś tam miała być nowa kryjówka ludzi „Sępa”. Dla nich wojna jeszcze się nie skończyła.

\* \* \*

Wrócili przed świtem, tym razem na podwórzu Kwietniów przywiązano dwa konie. Wraz ze Szpadziewiczem i Kwietniem do domu przyjechał jeszcze jeden człowiek. Niczym specjalnym się nie wyróżniał, ale kiedy już wszedł do izby, natychmiast wyjął z podróżnej torby kropidło i menażkę i skropił wszystko wkoło święconą wodą. Po śniadaniu Piotr poszedł do pracy, a goście młodych Kwietniów zabrali się do dzieła. Dzień to najlepszy czas na uporanie się z dręczącymi ludzi demonami.

Ksiądz Michał — tak bowiem zwracano się do nowego przybysza — był kapelanem polskich

partyzantów z Pomorza. Szpadziewicz znał go od kilku lat, podobnie jak znał „Sępa”, człowieka, który jeszcze przed wojną był polskim oficerem, a obecna polska władza nazywała go „bandytą”.

W oddziale partyzantów ksiądz Michał sprawował funkcję kapelana, był też przedwojennym podchorążym. Ponoć potrafił w ciężkich chwilach równie sprawnie strzelać ze stena, co wspierać chłopców modlitwą. Musiała to być prawda, bo jako jeden z niewielu przeżył niemiecką oblawę pod Kościerzyną.

Ksiądz zabrał się do pracy z wprawą godną najbardziej doświadczonych egzorcystów. Rozpoczął od pełnej skupienia modlitwy i poświęcił izbę, w której Maria stawiała kołyskę z małym Zbyszkciem. Potem zszedł do piwnicy, trzymając w ręku starą naftową lampę.

Pomieszczenie było suche, ale pachniało nieco nieświeżo, zapewne brakowało mu porządnej wentylacji. Na wprost schodów znajdował się kojec, w którym w zimie trzymano ziemniaki. Teraz był pusty. Zapach fermentującej kapusty walczył o prymat ze stęchlizną. Całą ścianę pokrywały półki pełne przetworów. Stały tam obok siebie spore słoje i całkiem niewielkie słoiki i garnuszki. Młoda gospodyni umiała najwidoczniej zadbać o to, by w zimie dieta rodziny nie stała się monotonna. Przy półkach stała sporych rozmiarów beczka, ksiądz, już wchodząc, wyczuł zapach kiszzonej kapusty. Poświęcił jeszcze w przeciwległy kąt, w którym znalazł hałdkę z węglem. Tam postanowił rozpocząć. Postawił lampkę na ziemi, po czym pokropił dookoła wodą święconą. Przez chwilę nic się nie działo, choć znając opowieść Kwietniów, spodziewał się najgorszego — udręczonej duszy nie mogącej zaznać spokoju. Bo jeśli nie mogła trafić do nieba, to pewnie należała już do Złego. Mławy płomyk lampki zadrgał tylko nieco, ale prawie przez cały czas pełgał niepewnie, nie było więc w tym nic dziwnego. Wreszcie ksiądz rozpoczął modlitwę...

I wtedy światło zgasło.

Księdza Michała owionął chłód. W piwnicy już wcześniej nie było ciepło, lecz teraz w jedną chwilę przemarzył na kość. Zamknął oczy, by wyobraźnia nie zaczęła płatać figli. Nie opanował jednak drżenia rąk i kropidło wypadło ze zmarzniętych palców. Pochylił się więc, by je podnieść, i odruchowo spojrział w dół. Spodziewał się egipskich ciemności, kiedy więc po otwarciu oczu stwierdził, że otacza go blask, natychmiast podniósł wzrok.

Spojrzenie księdza zetknęło się z upiornym spojrzeniem widma. Dokładnie w miejscu, które wydało się egzorcysty najbardziej podejrzane — przy stercie węgla, gdzie klepisko było naruszone — majaczyła bijąca migotliwym światłem postać. Jej wzrok zdawał się wwiercać w umysł kapłana. Ksiądz Michał zauważył tylko, że z rozbitej głowy widma wciąż ścieka krew, jej kolor był jaskrawozielony. Oczy zjawy miały w sobie coś hipnotyzującego i duchowny nie mógł oderwać od nich spojrzenia. Wiedział, że ma przed sobą ducha niemieckiego żołnierza, widać było dokładnie nawet guziki przy mundurze Wehrmachtu. Na pewno nie był to jeden z polskich partyzantów, o których wspominała Berta Grundal. Coś się tu nie zgadzało.

Drżące dłonie księdza natrafiła wreszcie na leżące na klepisku kropidło. Chwycił je tak, jak tonący łapie koło ratunkowe. Modlitwa sama popłynęła z jego ust, mimo że był w tej chwili niemal skrajnie wyczerpany. To coś najwyraźniej wysysało energię z żywych stworzeń. Aż strach pomyśleć, co mogło zrobić dziecku. Prawdopodobnie nie miało jeszcze tyle siły, by kogoś skrzywdzić, ale pierwszy byłby pewnie najsłabszy spośród domowników.

Duchowny widział, że jego modlitwa odnosi pożądany skutek. Zjawy szeroko rozwarła pełne bólu oczy. Wreszcie dał się słyszeć pierwszy od jakiegoś czasu dźwięk. Przywodził na myśl iskry przeskakujące pomiędzy dwoma przewodami energetycznymi. Nagle upiorne światło zgasło.

Moje modlitwy zostały wysłuchane, przeszło przez myśli wyczerpanego księdza. Opadł bez sił na klepisko. Słyszał kroki na schodach, lecz w tej chwili nie miało to znaczenia. Czuł jeszcze, że ktoś go unosi, ale tracił kontakt z rzeczywistością.

\* \* \*

Pierwszym, co duchowny zobaczył po przebudzeniu, była zatroskana twarz Marii. Właśnie zmieniała mu na głowie zimny okład.

— Coś przez chwilę bardzo hałasowało. — Kapłan wpierw usłyszał, a później zobaczył podchodzącego do łóżka Szpadziewicza. — Dobrze, że zszedłem niepomyślnie na księdza ostrzeżenia.

— Musicie o czymś wiedzieć — odparł z wysiłkiem.

— A ksiądz musi oszczędzać siły — orzekła Maria.

— Dobrze, ale najpierw mnie posłuchajcie...

\* \* \*

Szpadziewicz nie czekał nawet, aż ksiądz skończy opowiadać. Wyszedł z domu, a po chwili gnał już konno w kierunku stacji kolejowej. Nie było go ledwie pół godziny.

Kiedy wrócił, z księdzem Michałem było już nieco lepiej. Oficer miał jednak nie najlepsze wiadomości.

— Bertę Grundal wywieziono wczorajszym transportem repatriantów do Niemiec. Być może, nigdy nie dowiemy się prawdy.

— Jestem niemal pewien, że to był jej mąż — odparł duchowny. — Szkoda, że nie uda nam się odkryć ich tajemnicy.

Nazajutrz Kwietniowie pożegnali swoich gości. Mimo zapewnień księdza, że dom jest już bezpieczny, wyjechali w ciągu miesiąca.

**MONS 44**

Marcin Wroński urodzony w 1972 r. — z zawodu głównie redaktor i autor tekstów dla dzieci, z własnej chęci głównie pisarz. W XX wieku był związany z nurtem „trzeciego obiegu”, w XXI zadebiutował jako fantasta w „Fahrenheitcie” (2004). Później wraz z Pawłem Muszyńskim pisał dla „Esensji”. *Wielki bestiariusz praktyczny* w odcinkach — połączenie fantasy, kabaretu i felietonu. Autor zbioru opowiadań fantasy *Tfu, pluje Chlu! czyli Opowieści z Pobrzeża* (Fabryka Słów, 2005), obecnie kończy pracę nad pierwszym tomem wyrastającej z nich powieści *Wąż Mario. Mons 44* to: „efekt mojego pobocznego zainteresowania dziwactwami historii — tej mikro i tej makro, tym, co by było, gdyby było, a pewnie nie było”.

Oficjalna strona autora: <http://www.wronski.fabryka.pl>

Gustav Glaubner drżał razem z całą ziemią — mokrą i rozdygotaną wybuchami granatów. Ta sama breja miała kiedyś urodzić niemieckie ziarno na niemiecki chleb — jak obiecywał Wódz. Jednak gdy Glaubner leżał twarzą w błocie, a w ustach czuł smak ziemi i krwi, nie wierzył w Niemcy ani w Wodza. Nie miał w głowie żadnych narodowosocjalistycznych myśli, tylko kulił się w nadziei, że wojna nie zauważy go i kolejny granat rozerwie się gdzieś obok, zabije kogoś innego. Nagle coś ciężkiego spadło mu na plecy. Odłamek? Nie, czułby wtedy gorąco. Ostrożnie odwrócił głowę, spojrzął spod hełmu. To Mathias Hitz leżał przy nim i otwartą dłonią walił go w łopatkę.

— Co?! — zapytał Gustav.

— Dwie minuty!

Tak, za dwie minuty przestanie się kulić i pobiegnie naprzód albo oficer rozwali go na miejscu. Oficerowie niemieccy nauczyli się tego od sowieckich. Podobnie jak wielu innych pożytecznych rzeczy, choćby zmasowanego używania czołgów. Gdyby tu były czołgi! Gdybyż pojawił się *Sturtngeschutz* albo choć byle co!

— Nie bój się, Bóg z nami — zaśmiał się Mathias, klepiąc dłonią kłamrę pasa. Ale wryty na niej napis *Gott mit uns* całkiem zniknął pod lepkiem błotem. Nagle Hitz umilkł i z otwartą gębą zapatrzył się w niebo.

Tak, niebo na tej wojnie bywało ciekawym miejscem do patrzenia. Gdy ziemia drży od pocisków, nie od gąsienic tygrysów, niekiedy takie spojrzenie wywabia zza chmur kilka messerschmittów. Przynajmniej tak zdarzało się jeszcze dwa lata — rok temu, póki *Gott* i Wódz nie schowali się każdy w swoim bunkrze, coraz rzadziej zsyłając pociechę. Jednak Gustav podążył za wzrokiem Mathiasa i też zastygł z otwartymi ustami. Bo oto nad nimi otworzyły się wrota niebios i wyszli z nich aniołowie. Pierwszy wskazał mieczem ognistym sowieckie pozycje, a na ten znak cały anielski pluton spokojnie ruszył do ataku. Rusecy przerwali ostrzał i zapadła taka cisza, jaką Glaubner słyszał tylko, gdy topił się w Wiśle. Cisza, jakby czas stanął. Przerwał ją Hitz.

— *Ach, du Scheifie!* — zaklął, ale jego głos rozbrzmiewał zachwytem. — Widzisz to?! Widzisz? Za Boga i Wodza! — Podniósł się, chciał poderwać z błota także Gustava, jednak ten nie był w stanie wstać z klęczek przygnieciony cudownym widokiem. Wojownicy Pana szli przesłonięci nieco dymem, a ich dowódca wciąż wskazywał mieczem wschód.

— Ty świński tchórze! — Mathias pobiegł za aniołami.

\* \* \*

— Leni, to lepsze niż berliński stadion! — zachwycił się Otto Lautschner, kadrując ścianę kamieniołomu w ramkę z dłoni i kciuków. Pochłonięty tym obrazem oddalił się kilka kroków, sprawdził odczyt światłomierza i znów spojrzął na granitową skałę. Kobieta o nosie Kleopatry i niesfornych włosach na jakiś czas przestała go interesować. Zupełnie nie pasowała do tej scenerii, bo choć nosiła w duszy monumentalne wizje, choć była najlepszym filmowcem III Rzeszy, to z wyglądu pasowała raczej do roli pasterki. A dla operatora wygląd to podstawa. Została więc sama na środku krateru, z którego tysiące rąk i kilofów wyrwały tony skał. Spojrzała niepewnie na równy szereg więźniów w pasiakach, z cudacznymi, okrągłymi czapkami na głowach i z kolorowymi winkłami na piersiach. Wprawdzie esesmani trzymali ich z daleka, ale mimo to bała się tych ludzi. Niedobrze, bo właśnie oni mieli grać w jej nowym filmie — piątym, o który osobiście poprosił ją Wódz, ale też pierwszym, o którym nie dowie się ani prasa, ani nawet koledzy.

— Pani Riefenstahl! — Oficer SS stanął przy niej i wskazał ręką więźniów. — Powinniśmy zacząć. Wyselekcjonowaliśmy dla pani tylko młodych, zdrowych, wysokich Aryjczyków.

Niepewnie ruszyła za nim, a dzikie, głodne spojrzenia przeszywały Leni jak aparaty

rentgenowskie.

— Reszta należy do pani. Amerykanie mówią chyba na to *casting*? — Esesman uśmiechnął się jak Rudolf Valentino na fotosie „Krwi i piasku”.

Więźniowie patrzyli wrogo, jednak stali spokojnie, nie pokazując po sobie żadnej nadziei ani ambicji. Nie tak powinni wyglądać aktorzy szukający angażu — pomyślała Leni. W każdym razie ona nie tak patrzyła na reżysera Fancka, gdy ważyły się losy jej roli w „Świętym szczyście”. Tamtego dnia kontuzjowane kolano bolało jak diabli, przypominając, że koniec z tańcem, koniec ze sceną, że teraz już albo — albo. Dlatego mimo cierpienia była gotowa ubrać twarz w każde uczucie, jakiego zapragnąłby Fanek, a każdy jej uśmiech i każda łza wyglądały piękniej niż prawdziwe. A ci tutaj? Zrobiliby wszystko, czego się od nich zażąda, jednak z wdziękiem kukieł. Tak, był taki film, do którego pasowali — „Metropolis”, tyle że zrobił go już Lang szesnaście lat wcześniej, a ona zamierzała kręcić coś zupełnie innego! Przejechała wzrokiem po szeregu mężczyzn w pasiakach. Wszyscy wyglądali tak samo. Nagle parsknęła stłumionym śmiechem.

— Czy coś jest nie w porządku? — zapytał uprzejmie oficer.

— Przepraszam. To tylko takie skojarzenie.

— Proszę powiedzieć, pani Riefenstahl.

— Wyglądają jak stado zebr. Wszyscy tacy sami. Chyba tylko oni potrafią się rozróżnić. Rozbawiło mnie, że pewnie wy nie potraficie?

Esesman zaśmiał się tak serdecznie, że gdyby nie stałe ten sam lodowaty wyraz oczu, pewnie nawet ona dałaby się nabrać na jego wesołość.

— Istotnie, pani Riefenstahl, nie potrafimy. Dlatego mają numery.

— A gdyby nie przebierać ich za zebry?

— Wtedy obozowi krawcy nie mieliby zajęcia — odpowiedział wyrozumiale, choć jego źrenice rozszerzyły się w zdziwieniu jak puste oczodoły *Totenkopfa* na esesmańskim otoku. Nie pierwszy raz stuprocentowy nazista patrzył tak na nią, pół- czy ćwierćnazistkę, nie dowierzając, że to właśnie ona nakręciła „Triumf woli”.

— Czapkiii zdjęć! Kurtkiii zdjęć! Koszuleee zdjęć! — wydarł się podoficer, a funkcyjni więźniowie powtórzyli to jak echo.

Leni przesłała wzdłuż szeregu. Bez pasiaków dalej byli nie do rozróżnienia. Nie patrzyła więc na ich sylwetki, tylko w oczy — czy jest w nich ta wola gry, wyjścia poza siebie i całkowitego wejścia w rolę, jak w niej przed „Świętym szczytem”. Musiała aż kilka razy chodzić w tę i z powrotem, aby wybrać dwudziestu cokolwiek obiecujących. Nie, to z pewnością nie będzie film na miarę jej talentu! Może więc dobrze, że nikt się nie dowie, kto go kręcił...

Oficer dostrzegł jej niezadowolenie, ale taktownie milczał. Jednak to właśnie on po chwili rozproszył zły nastrój Leni, gdy więźniowie podeszli do skrzyni z kostiumami.

— Skrzydłaaa włóż! — krzyknął z porażająco poważną miną.

Roześmiała się. Nawet ten Żyd Chaplin nie zagrałby tego lepiej!

\* \* \*

Doktor Bruno Fehr już od kilku lat próbował wyjednać spotkanie z Himmlerem lub choćby Goebbelsem, ale odkąd w 1939 Karl Wiligut z powodu „podeszłego wieku” musiał opuścić SS, a Otto Rahn „popęnił samobójstwo”, całe komando *Ahnenerbe* poszło w odstawkę. Słusznie, niemiecką duchowość powinni kształtować zdrowi Aryjczycy, nie szaleńcy i pederastci. Jednak losy wojny nie ułożyły się jak w „Mein Kampf” i dziś nawet oni byłiby III Rzeszy bardzo przydatni. Fehr mimo rozpacz i upokorzenia powoli zaczął już godzić się z faktem, że jako uczeń i bliski współpracownik Rahna został na zawsze zepchnięty na boczny tor. Ale pewnego

jesiennego dnia 1944 roku nieoczekiwanie wywołano go z wykładu i dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach jednocześnie wskazali mu otwarte drzwi mercedesa:

— Polecono nam zawieźć pana do Kancelarii Rzeszy. Godzinę później stał u szczytu stołu, przy którym zasiadli minister propagandy Goebbels, minister spraw wewnętrznych *SS-Reichsführer* Himmler i szef sztabu Wehrmachtu feldmarszałek Keitel.

— A mówiłem panom, że jeszcze usłyszycie o *SS-Ahnenerbe* — zagaił żartobliwie Himmler.  
— Oto jej członek, doktor Bruno Fehr, historyk. Opowie nam o swoim projekcie, zanim o nim zapomni. Szybko zapomni. To jasne, Fehr?

— Tak jest, *Reichsführer*.

— Zatem proszę zaczynać.

Zaczynać! Nie tak łatwo zacząć referować coś, co przygotowywało się od lat — z coraz mniejszą wiarą, że ktoś będzie tego słuchał. Czy powiedzieć na początek zwyczajnie: Pozwólcie, panowie..., czy może: Dziś Tysiącletnia Rzesza...? Fehr przetarł okulary i oparł rękę na swoim notesie, jakby miał przysięgać na Biblię.

— Od prawie dziesięciu lat badam tajną, można by rzec, boczną historię wojen. — Odchrząknął. — Interesują mnie niedocenione przez sztabowców rozwiązania taktyczne i techniczne. Zwłaszcza boczna historia po — przedniej wielkiej wojny może oddać nam nieocenione usługi. Odkąd Sowietci stanęli na linii Wisły, sytuacja na froncie wschodnim przypomina to, co działo się w 1914 roku pod Mons. Wówczas, jak panom wiadomo, dowództwo niemieckie przerwało front, zmuszając Brytyjczyków i Francuzów do wycofania się. A jednak nie zdołaliśmy wdrzeć się wystarczająco głęboko i wróg zatrzymał nas na swych dalszych pozycjach obronnych. Gdyby, panowie, ówczesny atak przebiegł prawidłowo, dziś pewnie nie musielibyśmy o nim rozmawiać, bo już żadna wojna nie byłaby Niemcom potrzebna. Ale i teraz, gdyby nasze wojska przerwały front wschodni, odcinając Sowietom linie zaopatrzenia, znów zmusilibyśmy ich do obrony jak w 1941...

Keitel ziewnął i zapalił papierosa. Fehr zrozumiał, że pora przejść do konkretów.

— W 1914 pod Mons Brytyjczycy i Francuzi wycofali się, ale nie uciekli w panice, ponieważ stała się rzecz, która w cudowny sposób podtrzymała ich morale. Otóż, osłaniali ich aniołowie. Dokładniej, oni myśleli, że pomagają im aniołowie — pospieszenie wyjaśnił, widząc, że feldmarszałek ze śmiechu zakrztusił się dymem. — W rzeczywistości zobaczyli tylko film: białe postaci ze skrzydłami wyświetlone przez projektor z naszego samolotu. I tu właśnie dochodzimy do istoty rzeczy! Ów film miał wspomóc morale naszych wojsk, jednak ktoś popełnił wówczas karygodny błąd: założono odwrotnie taśmę. I jak w lustrzanym odbiciu prawa strona stała się lewą, a lewa prawą. Anioły zamiast mierzyć we wroga mierzyły w nas. Jednak mimo tej katastrofalnej pomyłki jest jasne, że film spełnił swoje zadanie psychotechniczne. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, nasze wojska zatrzymałyby się dopiero w Paryżu.

— Ma pan jakieś dowody?

— Jeśli pan feldmarszałek pyta o archiwa sztabowe, to nie. Po niepowodzeniu operacji wszystkie dokumenty zostały zniszczone. Poszlaką może być jednak legenda o aniołach osłaniających żołnierzy, która szerzyła się wśród Francuzów i Brytyjczyków walczących pod Mons. Aby ją ośmieszyć, nasz wywiad opłacił pewnego grafomana nazwiskiem Machen. — Fehr zajrzał do notesu. — Arthur Machen. W londyńskim dzienniku „Evening Standard” zamieścił on opowiadanie fantastyczne „Łucznicy” o rzekomym cudzie, a potem wielokrotnie zapewniał, że była to fikcja, którą sam wymyślił, a nie usłyszał od żołnierzy. Zatem świadkowie tamtego wydarzenia zamilkli i nie istnieje żadna publikacja, w której wypowiadałby się o tym któryś z weteranów. Osobiście wiem tylko o jednym, który, być może, mógłby o tym zaświadczyć. Niemniej aniołowie działali pod Mons. I gdyby zechcieli nam pomóc nad Wisłą, śmiały atak

mógłby całkowicie zmienić układ sił tej wojny. Należałoby tylko nakręcić nowy film i wyświetlić go z samolotu naszym żołnierzom.

Keitel spojrział na obu ministrów. Milczeli i słuchali. Cóż, widocznie tylko on tutaj wierzył w armaty, nie w duchy.

— No wie pan! W kinie oprócz projektora potrzebny jest ekran.

— Ekran, panie feldmarszałku, jest potrzebny, aby obraz był jasny i wyraźny. — Fehr nie dał się zbić z tropu, a nawet przeszedł do ostrożnej kontrofensywy. —

A nam chodzi tylko o to, żeby było widać cokolwiek. Żadnych szczegółów, aniłowicie to nie Marlena Dietrich i nikt nie będzie gapił się na ich...

...uda. — Ale to ostatnie słowo zatrzymał już dla siebie, gdy mina Himmlera przypomniała mu, gdzie jest i z kim rozmawia. O tej dekadencjonalnej zdrajczyni nie należało wspominać. Odchrząknął i podjął po chwili:

— Na potrzeby naszej akcji wystarczająco dobrym ekranem może być wilgotne powietrze, dym, chmura... Proszę spojrzeć! — Sięgnął do teczki i wyjął z niej mały projektor na slajdy. Zapaliła się żarówka i Keitel siedział teraz oko w oko z widmem Hitlera wysnuwającym się z jego własnego papierosa niczym dżin z lampy Aladyna. — Czy potrzeba więcej szczegółów, panie feldmarszałku? Czy gdyby żołnierze von Paulusa zobaczyli taki obraz w chmurze na niebie, oddaliby Stalingrad?

— Szkoda czasu, proszę mówić dalej. — Keitel zdusił niedopalek. Hitler zniknął.

— Przedstawiłem panom projekt operacji, którą nazwałem roboczo „Mons 44”. Dziś tylko tyle mogłem zrobić dla Wodza i Rzeszy. Chciałbym dodać jeszcze drobną sugestię. Otóż mamy Leni Riefenstahl, która w „Olimpiadzie” tak żywo i wiernie oddała ruch sportowców, że z aniołami nie będzie miała kłopotu. Jest też wierna sprawie narodowego socjalizmu.

— Tu nie ma pan wszystkich informacji — powiedział Himmler. — W Polsce robiła wielką aferę z każdego rozwalonego Żyda.

— Bo trzeba było być głupim, aby brać ją ze sobą na front. — Goebbels wzruszył ramionami. — Artystom porcuje się życie jak psu mięso. Trzeba pokazywać tylko to, co chcą zobaczyć. Wtedy uwierzą i jeszcze przekonają innych.

— A aktorzy? Wierzy pan, że będą milczeć? — zapytał Keitel.

— Mało to aktorów mamy w obozach? — roześmiał się minister propagandy. — Zagrają swoją rolę i będzie można ich zlikwidować. Bez wzbudzania podejrzeń.

Feldmarszałek nie miał na to argumentu, więc znów zaatakował Fehra:

— Wróćmy do pańskiego świadka, doktorze.

— Oczywiście, jak pan sobie życzy. Tylko... — Historyk zawiesił głos. — Problem w tym, że jak już mówiłem, mamy wyłącznie jednego. Nie wiem, czy on...

— Tak — wtrącił się Goebbels. — Pan doktor ma rację, bo nie ma pewności, czy ten świadek będzie dla pana wiarygodny, Keitel. No, ale czas ucieka, więc przekonajmy się od razu. On czeka za drzwiami.

— Co?! Tutaj?!

— Tak. — Goebbels przycisnął guzik pod biurkiem, a za ścianą odezwał się stłumiony dźwięk dzwonka.

Ktoś otworzył drzwi, z trudem przecisnął się przez nie minister lotnictwa Göring.

— Tak, panowie — zaśmiał się rubasznie. — Wszystko, co powiedział wam ten doktor, to prawda. Tylko dwóch ludzi mogło przemknąć się z projektorem nad pole walki. Jednym był von Richthofen, a drugim... No kto był drugim asem myśliwskim? Kto, jeśli nie Göring?

Dwadzieścia minut później Bruno Fehr znów wsiadał do mercedesa. Wiedział już, że jego plan został przyjęty, choć na razie zostanie przetestowany na jakimś mało istotnym odcinku linii frontu.

Nie wiedział tylko, że jeden z mężczyzn w czarnych płaszczach właśnie podał drugiemu małą karteczkę: „Fehra zlikwidować dziś w nocy. Wypadek samochodowy. Himmler”.

\* \* \*

Gdyby jeszcze w 1935 roku ktoś powiedział Danielowi Anielewiczowi, że zagra w filmie Leni Riefenstahl, postawiłby mu wódkę, ale też uznał za pocziwego kretyna. Wiedział doskonale, że jakby Bóg uczynił go nie aktorem, ale — powiedzmy — belą płótna, to leżałby na jednej z tych podręcznych, choć mało wyeksponowanych półek, może i robił obrót, ale nie napędzał zysku. Szczyt kariery osiągnął aż dwa razy — przy Dymszy (kwestia: „Czym mogę szanownemu panu służyć?”, dwanaście sekund na ekranie, 25 złotych gaży) i przy Smosarskiej („Pani, powóz zajechał”, siedem sekund, 15 złotych). A latem 1944 roku, kiedy życzliwy kolega pouczał go, jak przeżyć w Mauthausen, pokazał między innymi ćmiący ciężkim dymem komin krematorium.

— Tutaj, Danielku — powiedział — szczyt kariery wygląda tak.

Anielewicz bał się więc jakichkolwiek zmian. Bał się, gdy ustawiano go w innej kolumnie niż poprzedniego dnia. Znajomości niemieckiego zawdzięczał wprawdzie, że wolniej niż inni zamieniał się w szkielet, ale strach i tak rósł. Wreszcie podskoczył do gardła, kiedy pisarz blokowy wyczytał numer Daniela i nawet nie kapowie, ale dwaj esesmani zaprowadzili go do wydzielonego baraku. Po miesiącu w obozie każdy wiedział doskonale, że może to oznaczać tylko jedno...

A jednak Anielewicz zaczął dostawać jedzenie warte co najmniej sto papierosów dziennie. Nie chodził już do kamieniołomów, nawet nikt go nie bił za źle posłaną pryczę. Między więźniami specbaraku zaczęły więc rodzić się legendy o interwencjach Czerwonego Krzyża — wszystkie tak samo idiotyczne. Ale najbardziej niewiarygodne było to, co zdarzyło się naprawdę — tydzień później Daniel stanął w szeregu przed Leni Riefenstahl, a ona wybrała go do głównej roli!

Przez dwa dni w śnieżnobiałej szacie i ze skrzydłami na plecach wiódł serafinów do walki z wrogami Pana i wołał: „Na wschód! Na wschód!” Film miał być niemy (niemy, ale kolorowy — na coś takiego przedwojenni żydowscy producenci nigdy nie daliby ani dwóch groszy!), ale reżyserce bardzo zależało na wyraźnym układzie ust, jakby anioł Anielewicz miał wołać do głuchych. Jeszcze dziwniejsze było to, że operator cały czas kręcił pełne, statyczne plany, nie było żadnych objazdów kamery ani zbliżeń — zupełnie nie w stylu Riefenstahl! No i dlaczego nie zaangażowano aktorów z drugiej strony drutów?

Pod koniec drugiego dnia pojawił się oficer SS — ten sam, który wydawał niemieckim i śląskim rodzinom prochy ich zabitych krewnych, opowiadając zbolalym głosem o nagłym ataku serca i wysiłkach obozowych lekarzy.

— Pani reżyser dziękuje wam za dobrą pracę przed kamerą — powiedział, a Leni uśmiechnęła się i skinęła więźniom głową. — Teraz wróćcie do obozu, jednak możecie być pewni, że wasz wysiłek zostanie doceniony.

Potem oboje odeszli w stronę schodów wyrąbanych w ścianie kamieniołomu i wkrótce byli już za daleko, by choćby z ruchu warg poznać, o czym mówią.

— Skoro jest pani z nich zadowolona, ci ludzie już jutro będą wolni. — Oficer uśmiechnął się życzliwie.

— Naprawdę? — ożywiła się. — Może wrócę i sama im to powiem?

— Nie, pani Riefenstahl, to wykluczone. Proszę zrozumieć, taka wiadomość wywołałaby niepotrzebne konflikty z innymi więźniami. Tu przecież karnie pracują wrogowie Rzeszy i kryminaliści. Gdyby się dowiedzieli, że ci pojedą do domu... Mogliby z zemsty wyrządzić aktorom krzywdę, a strażnicy, sama pani rozumie, nie mogą być przecież wszędzie.

— Rozumiem. To naprawdę miło, że pan i o tym pomyślał. — Podała mu dłoń.

— To mój obowiązek, pani Riefenstahl.

— Tak. Dziękuję. Do widzenia.

— To był zaszczyt poznać panią. *Heil Hitler!* Oficer odprowadzał wzrokiem samochód filmowców, póki ten nie zniknął za granitowym usypiskiem. Potem już nie odrywał oczu od zegarka. Przez kilkanaście minut ciszę mącił tylko daleki pogłos pracy w sąsiednich kamieniołomach, aż wdarł się w nią także silnik motocykla. Ciężki *Zundapp* wyjechał z za hałdy i zahamował przed esesmanem.

— Pociąg odjechał, *Sturmbannführer!*

— Doskonale, zaczynać!

I kamieniołom, jeszcze przed godziną pełen aniołów, nagle zmienił się w dno piekieł...

\* \* \*

Starszy politruk Mikołaj Wiernutin już miał wracać z okopów do czekającego ze sto metrów dalej gazika, gdy na przedpolu pojawił się niemiecki patrol i otworzył ogień. Oficer leżał więc w błocie jak inni, osłaniając dłońmi głowę. Niebieską czapkę enkawudzisty zrzucił mu któryś z żołdatów, żeby swym kolorem nie przyciągała uwagi. Politruk sięgnął po nagan, ale ledwo wyjął broń z kabury, Niemcy, a potem i krasnoarmiejcy nagle przestali strzelać.

— Ki czort? — podniósł głowę.

Obsługa karabinu maszynowego zastygła wpatrzona w mgliste postaci ze skrzydłami, które obleczone dymem sunęły na obłoku. Wiernutin znał je i pamiętał z ikon, które przed Rewolucją wisiały w domu jego babki. Sam spalił na stosie pewnie ze dwie setki takich obrazków, gdy nadzorował w Charkowie walkę z zabobonami.

— Gospodi pomiluj — westchnął nabożnie celowniczy cekaemu, a amunicyjny przeżegnał się trzykrotnie. W tym czasie kilkunastu Niemców ruszyło w stronę okopu.

— Strielaj, swołocz! — rozkazał starszy politruk. Amunicyjny wyrwał się z transu i zaczął potrząsać swym towarzyszem, ale ten patrzył przed siebie niewidzącymi oczami. Szeptał jakieś modlitwy.

Wiernutin doskoczył i odepchnął celowniczego od karabinu. Zajął jego miejsce i puścił krótką serię. Źle, za wysoko, odwykł, job jego mać! Dopiero następna seria powstrzymała atakujących. Zwolnił spust i ponad dymiącą jeszcze lufą patrzył, czy kolejni Niemcy poderwą się z ziemi. Ale gdy umilkł cekaem, znów nastała cisza przerywana tylko modlitwami celowniczego. Politruk sięgnął po opuszczony rewolwer i wypalił żołnierzowi w głowę.

— Ty też coś dziwnego widział? — zapytał amunicyjnego.

Żołnierz nie odpowiedział, ale pokazał ręką. Anioły dalej wisiały w powietrzu. Ich dowódca zamierzał się mieczem na cekaem i starszego politruka, a jego usta powtarzały jakieś bezgłośnie rozkazy. Wiernutin odwrócił się znów do żołdaty. Trzasnął go w pysk lewą ręką i kolbą nagana w hełm.

— Ja niczego nie wizu i ty niczego nie widział, job twoju mać! Poniał?

— Da, toczno, towarzyszc kapitan! — wrzasnął amunicyjny, dalej wpatrując się w białe postaci na obłoku.

— Za mną! — Politruk wcisnął mu do garści pepeszę i razem wyszli z okopu.

\* \* \*

Gustav nawet nie zauważył, kiedy Mathias i kilkunastu innych ruszyło do ataku. Reszta plutonu

podobnie jak on zastygła na kolanach, wyznając winy i szepcząc prawie zapomniane modlitwy. Glaubner spowiadał się Bogu najpierw ze wszystkich zabitych mężczyzn, kobiet i dzieci. Kiedy przeszedł już do grzechu nieczystości, nagle wyrósł przed nim sowiecki oficer bez czapki, cały oblepiony czarnym błotem, spod którego świecił tylko niby złe oko order Czerwonej Gwiazdy. Gustav usłyszał szybką, krótką serię i kątem oka zobaczył, jak jego koledzy padają martwi na ziemię. Wtedy poczuł woń siarki i oficer wypalił mu prosto w twarz.

Wiernutin poczekał chwilę, aż amunicyjnemu skończy się bęben pepeszy. Wtedy spokojnie podszedł i strzelił żołdatowi w tył głowy. Kilka suchych trzasków nagana odezwało się jeszcze, kiedy wrócił do okopów. Dopiero potem starszy politruk znów spojrzał na aniołów. Cały czas wskazywali mieczami wschód, ale nie mieli już żadnych świadków, więc zgodnie z dialektyką — nie istnieli.

*Szymon Kazimierski*

# **SONDERFÜHRER**

Szymon Kazimierski urodzony 10 lipca 1942 roku. Lekarz i oficer. Zodiakalny Rak, ale jego charakter jest totalnym zaprzeczeniem cech charakteru ludzi spod znaku Raka. W roku 1979 na Uniwersytecie Warszawskim zdaje egzamin ze znajomości języka arabskiego i wyjeżdża na kilkuletni pobyt do Afryki Północnej i Środkowej. Egipt, Sudan, Czad, Pustynia Libijska i libijskie Tobruk i Benghazi. W roku 1987 jest uczestnikiem dramatycznego seansu hipnozy reinkarnacyjnej, a późniejsze postępowanie sprawdzające potwierdza niesamowite informacje uzyskane podczas seansu. Bardzo silnie wpływa to na jego dalsze życie. Hobby: dalekie, samotne wyprawy motocyklowe, strzelanie z broni sportowej.







Nigdy przedtem nie miałem takich problemów. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się siedzieć nad niezapisaną kartką z głową pełną rojących się pomysłów, będąc jednocześnie zupełnie niezdolnym do przelania ich na papier w jakimś sensownym porządku.

Chcę wierzyć, że powód tego stanu ducha może być tylko jeden: pośpiech. Za szybko chcę opisać to, co się nam przydarzyło przed kilkoma zaledwie tygodniami. Jestem zbyt niecierpliwy. Temat jeszcze się nie ułożył. Siedzę teraz i gapię się przez okno na zasypaną śniegiem ulicę. Myśli wracają uporczywie do tego zimnego, mokrego, trochę strasznego i kompletnie pustego lasu.

Czy wszystko już zamarzło? Czy nie pozostawiliśmy po sobie jakiegoś śladu? Czy nikt nie domyśli się, że to nasza robota? A może ktoś jednak nas podglądał?

Mało to prawdopodobne. Stryj twierdził, że wykluczone. Władek sprawdzał każdego dnia rano, czy kto nie kręcił się w tamtej okolicy. Wychodziło na to, że faktycznie nie. Stryj mówił, że nie ma powodów do obaw, znał Władka od urodzenia i był pewien, że ten wypatrzy i wytropi wszystko. Nawet miejsce, gdzie przed dwoma tygodniami odlał się zając. A jeśli Władek tym razem jednak coś przegapił?

Dziwni faceci ten Władek ze stryjem. Na pierwszy rzut oka wydawali się całkiem przeciętni, ale później... Byli jakby obcy. Całkiem z innej planety, jak to mówią. Między sobą rozumieli się bez słów, innym stwarzali zawsze jakiś, choćby tylko maleńki, dystans.

Kamraci. Zawodowi żołnierze pośród cywili.

Urodzili się po sąsiedzku. Przez płot. W samym środku wojny. Do tego stryjek był starszy od Władka o rok, miesiąc, tydzień i jeden dzień.

Czyż możliwe są aż takie przypadki?

Znów wracam myślami do tamtego miejsca. Wszystko już pewnie przysypał śnieg, a tam, na północy, leży go dobre pół metra. Czemu więc boję się o tym pisać? Nie czarujmy się. Po prostu się boję.

A jednocześnie coś mnie korci, by spróbować, żeby jak najdokładniej opisać wszystko, co się wydarzyło.

Może zamiast w nieskończoność dobierać odpowiednie słowa powinienem przytoczyć relację stryja. To, co powiedział mi przed wyprawą do tuneli. Może wtedy łatwiej mi będzie opisać swoje własne wrażenia, wszystko to, co miało miejsce w trakcie wyprawy.

Kiedy się to zaczęło? Chyba od telefonu stryja. Mówił, że trafił na „bombę”.

Bomba? Tak! Nawet nie atomowa. — Wodorowa!

Po moim przyjeździe przegadaliśmy pół nocy. Opowiedział mi o swoim odkryciu i nie tylko o nim.

\* \* \*

Wiesz, kto to jest, a ściślej, kto to był *Sonderführer*? Nie dziwię się, że nie wiesz. Tego właściwie nie wie nikt. Nawet Niemcy nie wiedzieli. Ja przynajmniej spotykałem tylko takich, którzy nie wiedzieli. A w samym słowie *Sonderführer* jest coś niesamowitego. *Sonder* — to po niemiecku specjalny, nadzwyczajny. *Führer* — to chyba wiadomo każdemu. Wódz, ale też dowódca, kierownik. *Führerem* był Adolf Hitler. Prawie wszystkie stopnie w SS miały końcówkę — *führer*. Tak się to ludziom kojarzy. Połącz teraz jedno z drugim. Wyjdzie ci „nadzwyczajny *Führer!*”, „Specjalny *Führer!*”, „Oho ho! Ten to dopiero musi być *Führer!!!*”. Tak to każdy odbiera.

W rzeczywistości *Sonderführer* to nie był stopień wojskowy. No i nie oznaczał dowódcy o nadzwyczajnych uprawnieniach, ale kogoś, kto dostawał uprawnienia do stopnia oficerskiego, bo powody, dla których znalazł się w armii, były nadzwyczajne.

W ten sposób SS zabezpieczało dobre warunki służby dla specjalistów wysokiej klasy powoływanych czasami do wojska. Specjalistów nie będących żołnierzami, a bardzo potrzebnych w armii. Gdyby takiego powołać w normalnym trybie, miałby stopień szeregowca. Narażony by był na najrozmaitsze szykany każdego zwariowanego kaprała lub feldfebla. Nie wolno by mu było korzystać z kasyna oficerskiego, kwater oficerskich. Nie do pomyslenia w przypadku takiego, powiedzmy, pana docenta Uniwersytetu Berlińskiego. Gdy więc pan docent, spec nad spece od czegoś tam, ale kompletna fujara wojskowa, był potrzebny armii, powoływano go do służby jako *Sonderführera*. Dostawał stopień oficerski, najczęściej podporucznika, czasem majora. No i odpowiedni do stopnia mundur, nieco tylko różniący się od typowego munduru oficera Wehrmachtu. Inne były naramienniki. Inne patki na kołnierzu. Wśród *Sonderführerów* najwięcej było lekarzy i tłumaczy. Mnie trafił się... geodeta.

Całą aferę zapoczątkował mój koleżka Tadzio, wyciągając mnie pewnej słonecznej niedzieli na targ staroci. Niewiele chodziliśmy po bazarze, bo zaraz, na samym początku, Tadzio znalazł stoisko z militariami i nie można go już było oderwać od tego wojennego żelastwa. Obok straganu, na trawniku, stał niemiłosiernie skorodowany niemiecki karabin maszynowy, obok stos niemieckich hełmów, na haczyku wbitym w daszek budki bazarowej powiewała kurtka mundurowa Waffen-SS. Dla Tadzia pełnia szczęścia i obietnica niezwykłości. Mnie niesmaczyła bazarowa tandeta wystawionych eksponatów. Do karabinu maszynowego dokręcono czarną od korozji taśmę naboju przy pomocy dwóch ocynkowanych blachowkrętów, i to jeszcze dostosowanych do śrubokręta krzyżkowego. Podobne mocowania trzymały w hełmach nowiutkie podpinki, wyjęte zapewne z polskich hełmów masowo sprzedawanych kiedyś przez nasze wojsko. Lipa krzyczała wniebogłosy.

W pudełeczkach na straganie zobaczyłem niemieckie odznaczenia wojskowe, guziki mundurowe, sprzączki od pasów.

Machinalnie wziąłem do ręki Żelazny Krzyż, całkowicie pozbawiony już emalii. Na odwrocie widniała data 1939. Boże! Za kampanię wrześniową! Za rozwalenie Polski!

Teraz dopiero zauważyłem, że krzyż, sprzączki i guziki pokryte są czymś w rodzaju brunatnej glinki wżartej głęboko w metal, trudnej do usunięcia. Odrzucony krzyż z brzękiem wpadł do pudełka.

— Z grobów wykopujecie? — powiedziałem, z obrzydzeniem wycierając palce odwiecznym męskim odruchem „o portki”.

Sprzedawca — łysol wystraszył się trochę, speszył i zagadywał. Wyciągnął skądś duże, płaskie, kartonowe pudło, a z niego zniszczone, opalone na krawędziach, zatęchłe pliki dokumentów, namawiając mnie natarczywie do ich nabycia.

— Panie! Niech pan tylko popatrzy, jakie tu są fajne niemieckie pieczęcie. Jakie orły ze swastykami!

Niestety. Dokumenty wcale nie były ciekawe. Owszem, ładnie się prezentowały pomimo upływu lat, ale dotyczyły zobowiązań podatkowych jakiejś gminy. Dopiero na samym spodzie leżał duży brulion.

W prawym dolnym rogu tekturowej okładki wyraźnym, ręcznym gotykiem wykaligrafowano: „Podporucznik Kuno Jost — *Sonderführer*”.

Do gotyku trzeba się przyzwyczaić. Pisany gotyk dla kogoś, kto po raz pierwszy spotyka się z tym pismem, będzie chińską abrakadabrą. Łysol nawijał opowieści o niezwykłych walorach brulionu, ręcznej robocie, szyfrach, tajnych dokumentach. Przeszkadzał. Skupiony przerzucałem kartki. Raptem oniemiałem.

„Miasto płonęło. Polacy pojawiali się zewsząd, krzycząc — *Halt! Halt! Hände hoch!* Chyba nie rozumieli tego, co kazano im wykrzykiwać, bo pomimo że stałem z wysoko wzniesionymi

ramionami, jeden z nich dwukrotnie pchnął mnie bagnietem...”

Spojrzałem na poprzednią stronę.

„Zdenerwowany łącznik meldował, że w III batalionie doszło do zdrady, że żołnierze przyłączają się do Polaków. Pułkownik Fischer z pistoletem w dłoni wraz z oficerami wybiegli, pozostawiając nas na kwaterze”.

Rany Boskie! O czym ten chłop pisze!? Niemcy przyłączali się do Polaków? Gdzie to było? Kiedy?!

Już wiedziałem, że muszę kupić ten brulion. Dobrze, że łysy nie potrafi czytać gotyku. Zdarłby ze mnie za tego *Sonderführera*...

Targowałem się tylko dla zasady, a kiedy brulion należał już do mnie, pożegnałem Tadzia i popędziłem do domu.

Takie stare dokumenty zawsze robią na mnie ogromne wrażenie. Podobnie było i teraz. Brulion *Sonderführera* Josta leżał przede mną na stole, roztaczając wokół charakterystyczny zapaszek kurzu i zestarzałego papieru. Otworzyłem go na pierwszej stronie.

Początek był mało ciekawy. Kuno Jost był geodetą. Na początku 1939 roku został zmobilizowany i jako podporucznik, *Sonderführer*, przydzielony do sztabu I Korpusu generała Petzela, gdzie objął stanowisko w tworzącej się przy Sztapie Korpusu komórce geodezyjno-kartograficznej. W dzienniku zapisywał swoje obawy w związku z atakiem na Polskę i nadzieje, że wojna jednak może nie wybuchnie.

Uderzenie na Mławę i późniejsze działania na kierunku Siedlec *Sonderführer* Jost spędził przy sztabie artylerii Korpusu. Nastroje niemieckiego geodety, które skrzętnie powierzał brulionowi, wahały się od stanu skrajnego optymizmu do skrajnego pesymizmu. Same w sobie te zwierzenia nie były niczym niezwykłym, ale mnie zaciekały, bo jasno z nich wynikało, że dla niemieckich oficerów kampania polska nie była bynajmniej niedzielną przechadzką, jak to później zostało przedstawione. Komórka Josta była mocno zapracowana. Polskie matryce map wykradzione przez niemiecki wywiad okazały się mało przydatne. *Sonderführer* Jost uważał nawet, że polski kontrwywiad celowo podrzucił Niemcom fałszywe mapy.

Opis bitwy, którego fragment tak wstrząsnął mną na bazarze, powstał podczas pobytu *Sonderführera* w szpitalu olsztyńskim.

11 września 1939 Jost został wysłany do 44. Pułku Piechoty, do miejscowości Kałuszyn. Miał przygotować opracowanie geodezyjno-kartograficzne dla artylerii. Mapy po raz kolejny okazały się nieadekwatne do rzeczywistości.

Późnym wieczorem Polacy niespodziewanie kontratakują. Stacjonujący w Kałuszynie 44. Pułk Piechoty, całkowicie zaskoczony skalą i tempem natarcia, broni się nieskutecznie. Ogień polskiej artylerii przesądza o wyniku starcia. Wybucho panika. Niemieccy żołnierze, chłopaki z Olsztyna i podolsztyńskich wiosek, ratując życie, przyłączają się do atakujących. Pułkownik Fischer w obliczu zagłady całego swego pułku popełnia samobójstwo. Masakra 44. Pułku Piechoty Wehrmach — tu trwa w najlepsze, gdy *Sonderführer* Kuno Jost próbuje się poddać. Trafia pechowo. Może zawiniło wiszące mu wciąż u pasa, bezużyteczne w takiej chwili parabellum?

Później jest szpital w Olsztynie.

Mijają miesiące. Zwycięstwo nad Francją zastało Josta w gdańskiej klinice specjalistycznej. Po rehabilitacji został uznany za niezdolnego do służby liniowej.

Do cywila jednak nie poszedł. Nowy przydział to służba w ośrodku naukowym.

Od tego momentu pamiętnik, do tej pory dość obszerny, zaczyna być coraz bardziej lakoniczny. Coraz częściej niemiecki geodeta ograniczał swoje wpisy do kilku krótkich zdań. Jednak nawet z nich można było wywnioskować, że *Sonderführer* Jost pracował nad czymś tajemniczym i ponurym.

„Wysłane do RII i RIII dreżyny doszły pomyślnie. W doskonałym stanie technicznym. Z RIII przysły zapalniki. Ogromny sukces.

Materiały wybuchowe doszły do RIII. Nie eksplodowały. Nadzieja na pomyślny przebieg eksperymentu całościowego.

Tragedia! Ochotnicy z RII! Koszmar! Nie można patrzeć na to, co z nich zostało.

Pogrzeb ochotników na cmentarzu w Gołdapi. Wszyscy zszokowani, a Stary wygląda, jakby za chwilę miał umrzeć na atak serca.

Prace wstrzymane. A było już tak blisko sukcesu. Może Stary pozbiera się wreszcie i zacznie myśleć. To, jak wyglądali ochotnicy po otwarciu bram, śni mi się czasem po nocach”.

W jakim czasie powstawały notatki? Chyba pod koniec roku 1942, bo po nich był wpis dotyczący mało wesołego sylwestra tegoż roku.

Rok 1943 jest dla *Sonderführera* Josta rokiem przeklętym. Czytając jego pamiętnik, coraz rzadziej trafiałem na informacje związane z pracą w ośrodku, za to coraz częściej na wiadomości o nieustannych nalotach na Niemcy. W maju 1943 od alianckich bomb ginie jego ojciec i dziadkowie. W dwa tygodnie później żona i najmłodsza córka. W kilka miesięcy później amerykańska *Luftmine* spada na dom siostry, gdzie przebywali jego najstarszy syn i druga córka, zamieniając wszystko na kationy. Naprawdę tak napisał. Na kationy!

Zapis: „Aluminium!” — musiał dotyczyć ośrodka. Po katastrofie z „ochotnikami” przyszło aluminium, a po nim sukces.

Zastanawiałem się wciąż i wciąż, nad czym pracowano w ośrodku?! Każdy kolejny zapis tylko rozpałał moją ciekawość.

„Zwłoki z RII i RIII przysły bez żadnych uszkodzeń. Odesłaliśmy po jednej parze na RII i RIII. Trzy sztuki wziął doktor na sekcję. Resztę Stary polecił pochować na cmentarzu w Gołdapi”.

Do czego mógł być potrzebny wybitnej klasy geodeta w miejscu, które coraz bardziej zaczyna wyglądać na jakąś wyrafinowaną mordownię? Gdzie po otwarciu bram można natknąć się na koszmarnie zmasakrowanych „ochotników”, gdzie przysyła się sobie i odsyła ludzkie zwłoki, gdzie o wszystkim decyduje jakiś *der Alte*, Stary. Nie starzec przecież, ale szef. A może herszt?

Tajemnica nie pozwalała mi ani na chwilę odłożyć pamiętnika. Czytałem zachłannie kolejne strony.

„Dużo pracy. Powstaje RIV. Celujemy się na nią.

Kolosalny sukces! RII przekazała do nas cały batalion! Żadnych komplikacji. Kolosalne zużycie energii. Wyłączamy całe Wschodnie Prusy. Ludność jest przekonana, że to wojenne oszczędności. Przez naszą RI idą transporty amunicji artyleryjskiej i strzeleckiej z przeznaczeniem na front wschodni. 14 milisekund. Wielkie trudności z nowymi wagonami właściwie uniemożliwiają działania projektu. »Konik szachowy« bardzo zagrożony!”

17 grudnia 1944:

„Wieją. Ucieka ta banda lumpów. Amerykańskie bydło. Mordercy kobiet i małych dzieci. Dwie armie pancerne. Od nas mało poszło, ale współpraca RII, RIII i RIV — znakomita”.

24 grudnia:

„Jedna wielka katastrofa. Już nie mamy niczego do wysyłania. Poza tym kluczowe w obecnej chwili RII zagrożone i bez prądu. Nikt z nas nie spodziewał się tak tragicznie szczupłych zapasów materiałowych.

To koniec. Rosjanie już niedaleko. Ostatnia odprawa u Starego. Stary nie chce wykonać rozkazu. Nie pozwala na wysadzenie w powietrze naszej RI. Ma rację! Proponuję wykorzystanie syfonu. Sam obliczałem. Musi zadziałać. Mróz niewielki. Wysadzamy lód na jeziorze. Palimy baraki”.

Ostatni zapis w pamiętniku, bardzo lakoniczny, dotyczy prawdopodobnie ewakuacji:

„Gdańsk. Szczecin?”

Odłożyłem pamiętnik *Sonderführera* Josta. W głowie mi huczało.

Tajemniczy ośrodek naukowy, gdzie służył *Sonderführer*, musiał znajdować się gdzieś niedaleko Gołdapi. Tamtejszy cmentarz wymieniony był aż dwukrotnie. Nikt przecież nie urządza pogrzebów gdzieś bardzo daleko od swojego miejsca zamieszkania. Chociaż w przypadku tego dziwnego ośrodka wszystko było możliwe. Tym bardziej że Jost pisał o zwłokach przesyłanych z jednego miejsca na drugie. Poza tym, cóż takiego szczególnego mogło być w okolicach Gołdapi? Dlaczego ktokolwiek miałby tam akurat zbudować jakiś tajny ośrodek naukowy? Niczego tu przecież nie ma i nigdy nie było. Ogromne pagóry pokryte puszcza, przepaściste jary, pustkowie, co najwyżej poligony wojskowe. Ledwie to pomyślałem, a sam siebie nazwałem durniem. No właśnie! Pustkowie. Puszcza. Poligony. Gdzie znajdzie się lepsze miejsce na jakąś tajemniczą działalność?

Więc jeśli ośrodek zwany w pamiętniku RI znajdował się w Prusach Wschodnich, chyba niedaleko Gołdapi, to skąd wzięła się notatka o uciekających Amerykanach? Dlaczego ten zapis był dla *Sonderführera* Josta tak bardzo ważny, że wyróżnił go wyraźnie zapisaną datą, co zazwyczaj lekceważył? Amerykanów nienawidził, może to właśnie dlatego?

Siedziałem oszołomiony, wpatrując się w ostatnie zapisane słowa. Ostatnia kartka pamiętnika i ostatnie słowa: „Gdańsk. Szczecin?”.

Wydawało mi się, że tutaj właśnie znajdę rozwiązanie tajemnicy. Postanowiłem jeszcze raz przeczytać, bardzo uważnie, pamiętnik *Sonderführera* i od razu wynotowywać sobie wszystkie dziwne i zaskakujące informacje.

Zanim się jednak do tego zabrałem, minęło kilka dni. Musiałem wyjechać. Nie dało się omotać szefa żadnymi opowieściami, ale dzięki temu nabrałem dystansu do sprawy ośrodka RI. Więc gdy wróciłem, zasiadłem do lektury dużo spokojniejszy niż poprzednim razem. Drobiazgowo wynotowanie wszystkiego, co wydawało się mieć jakieś znaczenie, tak naprawdę niczego mi nie dało. Pałac papierosa, siedziałem z notatnikiem *Sonderführera* na kolanach otwartym na ostatniej stronie, wpatrzony tym razem we własne notatki.

Musiałem tak siedzieć bardzo długo, bo nagle z palącego się papierosa spadł spory walek tytoniowego popiołu, brudząc otwarty pamiętnik. Odruchowo strzepnąłem popiół i w tym właśnie momencie usłyszałem cichutki dźwięk.

Zaintrygowany jeszcze raz trzepnąłem palcami po ostatniej stronie pamiętnika. Dźwięk się nie powtórzył. Ponowiłem próbę, ale tym razem uderzając palcami po wewnętrznej stronie okładki pamiętnika. Tym razem coś usłyszałem.

Obie okładki brulionu na swoich wewnętrznych stronach wyklejone były marmurkowatym papierem. Pod papierem tylnej coś było! Na tyle cienkiego, że gdyby nie dźwięk, nigdy bym tego nie zauważył. Ale było!

Ręce zaczęły mi dygotać. *Sonderführer* Jost coś tam ukrył! Tak nie ukrywa się byle czego!

Po kwadransie rozwarstwiania tektury okładki igłą do szycia już wiedziałem, co ukrył *Sonderführer*. Niewielki prostokąt kalki technicznej. Obramowany starannie wyrysowaną tuszem ramką. Nad ramką kaligraficznie wykonany napis: *Winklerssiedlung. W.s.A.*

To nie była, jak się spodziewałem, mapa. Diabli wiedzieli, co miałem przed sobą. Kłębiące się wiązki cieniutkich linii, być może, miały oznaczać poziomicę jakiegoś terenu. I nic więcej już nie wymyśliłem. Kilka precyzyjnych kółeczek z czarnymi punktami w środku. Przy każdym takim kółeczku sznurek maleńkich cyfr i symboli. Jeszcze jakieś strzałki, niestrzałki... Jedyne, co w tym było wyraźne, to umieszczony poza ramką, u dołu, symbol podobny do oka opatrności, to znaczy trójkąt z czarnym kółkiem w środku, wyposażony, a jakże, w swój sznureczek cyfr i literek. Oglupiały wpatrywałem się w swoje znalezisko. „Oko opatrności” spoglądało na mnie z pogardą.

Jedynę, co uzyskałem, to nazwę *Winklerssiedlung*. Osiedle Winklera. Uznałem, że powinienem ruszyć tym tropem, a być może trafię na ślad tajemniczego RI.

Niczego jednak nie odkryłem. Przewertowałem wszelkie dostępne spisy niemieckich nazw miejscowości i nigdzie, ale to nigdzie w całych Prusach Wschodnich, nie znalazłem miasta, wsi, przysiółka o nazwie *Winklerssiedlung*. Szkic odnosił się do jakiejś miejscowości położonej gdzieś indziej, nie w Prusach.

Jedynym, czego mogłem się uchwycić w poszukiwaniu RI, była Gołdap.

„Jak przeżyjesz Gołdap, Orzysz, to na wojsko .... położysz”, skandowali pijani żołnierze na dworcu olsztyńskim. Dawne to były czasy. Gołdap i Orzysz. Dwa karne ośrodki dla wyjątkowo krnąbrnych żołnierzy. Garnizony, o których opowiadano sobie na ucho. Ogromne tereny poligonów, które istniały od czasów cesarza Wilhelma.

— Nie wiem, czy istnieją tam jakieś budowle z czasów wojny — stwierdził mój znajomy zajmujący się militarnymi zabytkami regionu. — Wojsko na wszystkim trzymało łapę, wszystko było śmiertelną tajemnicą. Wszędzie dookoła wietrzono szpiegów światowego imperializmu. Teraz dopiero, podczas reorganizacji armii, wojsko opuszcza tereny dawnych poligonów. Wiesz co? Skontaktuję cię z panem Jankiem. Mieszka w Giżycku. Nikt lepiej od niego nie zna okolic poligonów Gołdapi.

Pan Janek, wielki, wesoły, piegowaty rudzielec, uradował mnie bardzo, ale i bardzo zaskoczył. Owszem, znalazł w gołdapskich lasach coś wielkiego i tajemni — czego, ale są to jakieś urządzenia... kolejowe. Wojsko właśnie zlikwidowało poligon i możemy tam jechać, choćby w najbliższą niedzielę. Muszę jednak mieć samochód. No i sprawną latarkę.

Pojechaliśmy. Po drodze pan Janek opowiadał mi o miejscu, które było celem naszej podróży.

— Jeszcze w trakcie działań wojennych Rosjanie demontowali tam całe linie kolejowe, szabrując i wywożąc głównie szyny. Tych linii nigdy nie odbudowano. Do obiektów można trafić, idąc po torowisku, byle nie przegapić odchodzącej w pewnym momencie zniszczonej i pozbawionej szyn bocznicy. Można też dojechać samochodem. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy zjechać na prawo z głównej szosy. Kilkaset metrów w głębi lasu leśna droga przechodzi nagle w wąską, betonową, obecnie zarośniętą zielskiem, idealnie równą szosę kończącą się czymś w rodzaju parkingu. I właściwie jesteśmy u wrót naszej tajemnicy. Czyli dokładniej, u wylotu trzech kolejowych tuneli. Z każdego z nich prowadziło torowisko, dalej przechodzące w dwutorową magistralę, ta z kolei łączyła się z główną linią kolejową do Królewca. I wszystko by było w porządku, gdyby nie fakt, że z drugiej strony każdy tunel kończy się ścianą. Widzi pan — mówił pan Janek. — Nikt nie może zrozumieć, w jakim celu linię kolejową o ogromnych możliwościach przelotowych podłączono do ślepych tuneli. Wojsko wykombinowało sobie wytłumaczenie, że są to tunele dla pociągu dowodzenia Adolfa Hitlera. Miały być czymś w rodzaju ukrytych stacji postojowych, schronów na wypadek nalotów, Bóg wie czym jeszcze. Idiocyzm takiego tłumaczenia polega na tym, że dla jednego pociągu nie buduje się trzech tuneli. Nieprawdaż? Na to też znaleziono odpowiedź. Jeden tunel dla pociągu Hitlera, drugi dla Göringa, a trzeci dla Himmlera. A jakże! Głupota wołająca o pomstę do nieba, drogi panie!

Parking, o którym mówił pan Janek, okazał się niewielkim, wybetonowanym placykiem, prawie niewidocznym spod zarastającego go zielska. Tuż obok wznosiło się ogromne, rozległe wzgórze. Na lewo pobłyskiwała tafla jeziora. Pan Janek prowadził.

Zeszliśmy po stromym stoku prosto na stare torowisko. Szyn, oczywiście, już dawno nie było. Zachowały się natomiast równiutko ułożone, betonowe podkłady, pomiędzy którymi tu i ówdzie wyrastały całkiem już duże drzewa. Samo torowisko biegło między obwałowaniami, których wysokość rosła, w miarę jak posuwaliśmy się do przodu. Minęliśmy niewielką krzywiznę i ukazał się nam prosty odcinek toru. Stałem oniemiały. Dopiero teraz zrozumiałem, że nie było żadnych

obwałowań. Wchodziliśmy po prostu w głąb wzgórza. Wznosiło się teraz nad nami groźnie, złowieszczo, na wysokość kilku pięter. Betonowa ściana zamykała wycięty we wzgórzu wykop. Prawie kwadratowy, czarny wylot kolejowego tunelu, w którym ginęło torowisko, przyciągał mój wzrok jak magnes.

— Robi wrażenie, co? — odezwał się pan Janek. Skinąłem głową. Z tunelu wiało grozą.

Z dreszczem podniecenia, a może strachu, ruszyłem do przodu. Moje kroki, choć niepewne, odbiły się echem od ścian tego nienaturalnego kanionu. Spojrzałem pod nogi. Zniknęły kamienie tłucznia. Teraz podkłady stanowiły integralną część równej, nienaruszonej mimo upływu lat, betonowej płyty. Podobnie zresztą było i wewnątrz tunelu. Zapaliliśmy latarki.

— Niech pan zwróci uwagę na ściany — wyszeptał pan Janek. — Wszystko wyłożone jest miką. Widział pan kiedyś coś takiego? A teraz niech pan oświetli sufit.

Zrobiłem, co kazał. Na suficie zobaczyłem przedziwną mozaikę złożoną z metalowych prętów, wstęg i pętli. Kiedy się dokładniej przyjrzałem, zauważyłem pewną regularność. Podstawowy element układu stanowiły dwa pręty wyrastające pionowo z sufitu oraz przymocowane do nich osiem kręgów różnej wielkości. Kręgi, dwa u zakończenia prętów i sześć u jego nasady, zachodziły na kręgi sąsiedniego elementu. Sufit połyskiwał. Podobnie jak ściany wyłożony był miką.

— Panie kochany. Jeśli był to tunel dla pociągu Adolfa, to ja jestem chiński mandaryn — przytomnie powiedział pan Janek. — Cholera jasna wie, co oni tu robili. Pojęcia nie mam. Popatrz pan na ściany. Wszystko, nawet podłoga, wyłożone miką. Widzi pan te ślady? Wszędzie, na podłodze, na ścianach, wszędzie były te druciane pętle. Znalazłem tu leżący kawałek takiego pręta. Dziwny był to metal. Bardzo ciężki, ale nie ołów. Twardy jak cholera. Posłałem koleżkę na Śląsk, by zbadała. Koleżka dzwoni i pyta: „Janek. Gdzie to znalazłeś? To czysty wolfram. Majątek kosztuje!” Jakim cudem tego nikt dotąd nie wyniósł, nie mam pojęcia! Może szabrownikom za wysoko było, a może przychodzili kraść, a nie zwiedzać, to i nikt nie zauważył. A wojsko? Nie wiem. Pewnie im ten wolfram na nic. Albo i zabrali tylko tyle, żeby w oczy nie kłuło. Pojęcia nie mam. Teraz to tylko ja tu przychodzę, a obcych nie przyprowadzam. Pan to co innego, pan za poręczeniem.

Tunel kończył się urządzeniem, które kolejjarze nazywają uporkiem — żelbetową konstrukcją podtrzymującą dwa stalowe zderzaki kolejowe. Miała być zabezpieczeniem, żeby pociąg nie uderzył w zamykającą tunel ścianę.

— I widzi pan, doszliśmy do końca — powiedział pan Janek, omiatając snopem światła końcową ścianę. — Też była pokryta prętami. — Pokazywał odpilowane kikuty sterczące z pokrytej miką ściany. — Wie pan, co przypominają te pręty? Anteny, proszę pana. Anteny. Pociąg wjeżdżał w tunel pokryty wewnątrz antenami i...

— I co? — spytałem z nadzieją.

— I cholera wie, co było dalej — wymamrotał pan Janek. — Cholera wie, ale na pewno coś okropnego. — Gdy będziemy wychodzili, pokażę panu jeszcze coś niezwykłego. Tunele, proszę pana, były zamykane. Każdy miał dwie bramy. Zewnętrzną, stalową, i wewnętrzną, niech pan słucha... Aluminiową! Aluminiową, pokrytą od wewnątrz miką.

Czułem, że nos robi mi się zimny, a skóra na głowie ściąga, podnosząc włosy do góry.

Każdy tunel miał dwie bramy!

„Po otwarciu bram... Aluminium...”

Niedaleko jest Gołdap. A więc jestem na terenie RI. *Sonderführer* Jost pisał, że RI nie został zniszczony. I tak właśnie wyglądał tunel, na obdarty ze wszystkiego, co cenne, ale niezniszczony. Jeśli to był RI, to gdzieś musi być RII, RIII i RIV.

— Panie Janku — spytałem. — Jest pan absolutnie pewien, że nie ma tu gdzieś w pobliżu podobnych budowli? Choćby zgruzowanych?

— Tego, proszę pana, jestem akurat absolutnie pewien. Cóż to? Nie wystarcza panu to, co tutaj mamy? Widział pan tylko jeden tunel, a są jeszcze dwa.

Dochodziliśmy do wylotu tunelu.

— Niech pan patrzy. — Pan Janek zatrzymał się przy wjeździe, pokazując ręką obrzeża tunelu. — Widzi pan?

Odcięte palnikiem wisiały dwa rzędy masywnych zawiasów. Rząd wewnętrzny był bez wątpienia stalowy, ale tu i ówdzie pozostały na nim fragmenty aluminiowych płyt. Na krawędziach torowiska piętrzyły się zwały mikowego kamienia.

— Wycięli skrzydła bram. Z aluminiowych skrzydeł obili mikę...

Drugi tunel nie różnił się niczym od pierwszego. Zajrzałem tylko w ponurą czerń jego otworu i spytałem, czy ktoś mierzył może długość tuneli.

— Sam mierzyłem — z dumą potwierdził pan Janek. — Wszystkie tej samej długości. Równe 286 metrów. Każdy skierowany inaczej. Każdy na innym poziomie. Ten trzeci, do którego idziemy, to po prostu czyste wariactwo. Sam pan zobaczy. Żadnego uzasadnienia dla takiego usytuowania. Nasypy na parę pięter. Pociąg musiał się wręcz mozolić, by wreszcie osiągnąć wjazd do tunelu. Niemcy. Niegłupi ludzie. Czemu ten tunel zrobili tak wysoko? Wewnątrz w zasadzie niczym się nie różni od pozostałych. — Pan Janek z dezaprobatą patrzył na cudaczną linię kolejową. — Jesteśmy już niedaleko naszego parkingu, a tam mam dla pana jeszcze jedno prawdziwie tajemnicze miejsce. Chodźmy na parking. O samochód proszę się nie obawiać — dodał, widząc moją minę. — W promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie ma żywej duszy. Dosłownie. Ptaki tu nie gniazdują. Zwierzęta nie mieszkają. Myśliwi początkowo rzucili się na ten uwolniony przez wojsko poligon, ale wkrótce się przekonali, że nie mają tu czego szukać.

Schodząc, widzieliśmy placyk z moim niebieskim fiacikiem, ale pan Janek prowadził mnie w innym kierunku. W zagłębienie położone tuż koło stromego stoku wzgórze.

Wreszcie stanęliśmy nad betonową płytą niemal całkowicie zarośniętą zielskiem. Poza prostokątnym otworem wypełnionym czarną, zatęchłą wodą. Pan Janek stanął na płycie i przykucnął.

— Wojsko, oczywiście, od razu postanowiło tę wodę wypompować. Pompy pracowały dniami i nocami, a wody nie ubyło na włos. Stąd nie widać, bo tu nisko, ale niedaleko znajduje się jezioro. Stało się wiadomym, że cokolwiek tu było, Niemcy zalali wszystko, tworząc gdzieś pod ziemią połączenie z jeziorem, i pompowanie nie ma jakiegokolwiek sensu. Po latach sprowadzono tutaj pletwonurków... Ci odkryli dwa piętra podziemi i dokładnie je spenetrowali. Na pierwszym znaleźli jakieś urządzenia elektryczne. Dwa rzędy spalinowych generatorów prądu. Wszystkie uszkodzone i nie do użytku. Dolna kondygnacja to szereg pomieszczeń zamkniętych hermetycznie. Drzwi na gumowych uszczelkach. Na każdych drzwiach napisy ostrzegawcze o niebezpieczeństwie gazów bojowych. Czy tam ktoś wchodził, nie wiem. Ale nie sądzę, bo na pewno bym się dogrzebał jakichś informacji.

Poszliśmy jeszcze na brzeg, by przez chwilę popatrzeć na jezioro. Śliczne, bo bezludne.

Próbowałem wyobrazić sobie tamten dzień, a może noc, kiedy kruszono lód ładunkami wybuchowymi, a w powstałe przeręble wrzucano... No właśnie. Co? Co w takich wypadkach zatapia się w przeręblach? Dokumenty? Dokumentację techniczną ośrodka?

— Woda do podziemi leci gdzieś stąd — odezwał się pan Janek. — Osobiście jestem pełen podziwu dla skuteczności działania tej ich instalacji wodnej zabezpieczającej podziemia.

Pan Janek patrzył na mnie, oczekując zapewne potwierdzenia, ale ja nie byłem w stanie powiedzieć jednego słowa. Chciałem podbiec do pana Janka, rzucić się mu na szyję albo pocałować go w rękę. Instalacja wodna zabezpieczająca...

*W.s.A. na planie Sonderführera. Wassersicherheits — anlage! Człowieku! Gdzieś ty miał*

głowę! Gdzieś ty miał oczy! Ale na planie nie było rysunku instalacji. Jakies kółka, cyferki, „oko opatrności”. Mój początkowy entuzjazm stygł powoli. Opanowałem się do tego stopnia, że mogłem jak najbardziej obojętnym tonem zadać pytanie nurtujące mnie od dłuższego czasu.

— Panie Janku, czy to miejsce, gdzie teraz jesteśmy, miało za czasów niemieckich jakąś nazwę? Choćby zwyczajową? Lokalną? Jak to w Polsce nazywało się czasami jakieś pustkowia. Były przecież różne „Czarcie Dolinki”, „Łyse Góry”. Prawda?

— Nigdy o takiej nie słyszałem — zmartwił mnie pan Janek. — Od stu lat zawsze był tu tylko poligon wojskowy. Słowo daję. Zaskoczył mnie pan tym pytaniem. Nie. Ta okolica nigdy nie miała swojej nazwy.

*Winklerssiedlung* nadal musiało pozostać nierozwiązaną tajemnicą.

Po powrocie do domu nie wiem który już raz zacząłem studiować szkic *Sonderführera*. O pracy geodetów nie miałem pojęcia. A *Sonderführer* Jost był geodetą. Zastanawiałem się, czy geodeci mają jakiś inny sposób na opisanie terenu, inny niż sporządzanie map w ich klasycznym wydaniu. Miałem przed sobą coś, co było podobne do mapy, ale nią nie było. Podstawowa rzecz w każdej mapie to podziałka, a tej Jost nie narysował. Patrząc na taki szkic, człowiek nie miał pojęcia o wielkości przedstawionego terenu. Mogły to być hektary pola lub równie dobrze fragment domowego ogródka.

*W.s.A.* wcale nie musi oznaczać wodnego systemu zabezpieczającego, a takie właśnie skojarzenie przyszło mi do głowy dlatego tylko, że rozmawialiśmy wtedy o tym z panem Jankiem. Wszystko wskazuje na to, że sam dalej niczego nie dokonam i potrzeba mi konsultacji mądrego geodety.

Nie musiałem się zastanawiać ani chwili — Włodzio. Absolwent Wydziału Geodezji naszego Uniwersytetu. Spec od geodezji satelitarnej. Kto będzie lepszy? Włodzowi można zaufać. Można mu powiedzieć prawdę.

Włodek od razu powiedział, że jest to fachowy zapis tak zwanych punktów geodezyjnych. W jego ocenie, na podstawie szkicu dość łatwo znaleźć trzy punkty oznaczone symbolami S i podejrzewa, że szkic wykonany został do tego właśnie celu. Kluczem do poszukiwań jest główny punkt geodezyjny, wieża triangulacyjna, czyli to, co ja nazwałem „okiem opatrności”. System oparty na wieżach triangulacyjnych od dawna został już zmieniony na bardziej nowoczesny, więc teraz odnalezienie wieży sprzed lat może być trudne. Ale skoro wiemy, że należy jej szukać koło Gołdapi, istnieje szansa, że odnajdziemy jakieś zapisy w niemieckich archiwach, pod warunkiem, że się zachowały... Geograficzne położenie RI miało dla poszukiwań znaczenie drugorzędne. Gdyby w ocalałej dokumentacji nie znalazły się informacje o samej wieży, można było najwyżej szukać jej pozostałości (solidny, betonowy słup, nad którym wznoszono wieże) na szczytach otaczających RI wzgórz.

*W.s.A.* nie mówiło Włódkowi niczego i — jak twierdził — nie miało nic wspólnego z geodezją. Odpisał sobie symbole i cyferki z „oka opatrności” i kółeczek, został zaprzysiężony i przyjęty do spółki. Po dwóch tygodniach wrócił. Tym razem już z laptopem, w którym miał efekty swoich poszukiwań w archiwum. Wieżę, ogólny szkic terenu, brzegu jeziora. Resztę rozwiązania zagadki szkicu *Sonderführera* Josta mieliśmy znaleźć już w terenie. Sam Włodzio był przekonany, że punkty S będą miejscami, gdzie znajdują się zasuwki wodne instalacji zalewowej — *Schieber*. Podziemia pod betonową płytą to nic innego jak ów „syfon” wzmiankowany w zapiskach *Sonderführera*. Znalezienie „szybrów”, zamknięcie ich i wypompowanie wody z „syfonu” spowoduje otwarcie wejścia do najtajniejszych pomieszczeń obiektu RI. Dlatego niemiecki geodeta tak starannie ukrył swój szkic. Jeśli Włodzio się nie mylił, ten skrawek papieru był mapą do wrót Sezamu.

Żaden z nas nie miał wątpliwości, że system rur zalewowych, szybrów i co tam jeszcze musiał

powstawać razem z obiektem, a więc już w trakcie budowy chronił coś cennego. Czy mogła to być sterownia? Centrala? Serce obiektu? „Syfon” nadal chroni sterownię. Calutką. Nienaruszoną. Ukrytą głęboko pod ziemią.

A jednak Włodzio spodziewał się pewnych trudności. Żeby znaleźć zasuw, trzeba było w pierwszej kolejności odszukać pośredni punkt geodezyjny ukryty gdzieś pod ziemią już w pobliżu ośrodka. Później, jak wynikało z zapisów, *Sonderführer* wprowadził zaskakujące utrudnienie, przechodząc na system podobny do nawigacji morskiej. Obliczenia punktów S należało prowadzić w oparciu o znaleziony pośredni punkt geodezyjny, ale i położenie Gwiazdy Polarnej. Tylko w ten sposób mogliśmy dotrzeć do zasuw, dodatkowo, co wynikało ze szkicu, ukrytych głęboko pod ziemią.

Według Włodzka to ostatnie utrudnienie miało jednocześnie uniemożliwić znalezienie zasuw za pomocą aparatów do wykrywania min.

Kilka dni później Włodek mnie zaskoczył. Oznajmił, że właśnie wraca z RI, gdzie ni mniej, ni więcej znalazł pośredni punkt geodezyjny — płytko zakopany betonowy słupek. Teraz, o ile noc będzie pogodna, znajdzie go bez trudu. Ze słupka i Gwiazdy Polarnej znajdzie zasuwę. Proste. Prawda? Dziecko by sobie poradziło. Och, ci geodeci!

Po długiej naradzie ustaliliśmy, że niczego nie będziemy robić tak długo, aż nie opracujemy rozsądnego sposobu na pozbycie się wody z podziemi. Włodek proponował użyć pomp strażackich, ale stanowczo zaprotestowałem. Pracują hałaśliwie, smrodzą dymem na całą okolicę, nie ma też pewności, że poradzą sobie z taką ilością wody. Jak dotąd pustkowie wokół RI sprzyja nam, ale mozolne i hałaśliwe, może wielodniowe pompowanie wody...

Co do tego, że musimy działać w absolutnej tajemnicy, ani Włodek, ani ja nie mieliśmy cienia wątpliwości. Byliśmy głęboko przekonani o tym, że RI jest teraz naszą i tylko naszą własnością. Tylko my możemy decydować o dalszym jej losie. Cała reszta świata miała dość czasu, by zająć się tajemnicą. Przeszło pół wieku to niemało. Nie chciało się? To teraz wara od naszego odkrycia! Tak wtedy myśleliśmy.

Zdecydowaliśmy więc, że na razie przerywamy działania, aż do czasu, gdy będzie rozwiązana sprawa pozbycia się wody. Postanowiłem opowiedzieć o wszystkim Władkowi...

Stary przyjaciel słuchał w milczeniu, a gdy skończyłem, powiedział spokojnie.

— Skoro *Sonderführer* zbudował syfon, to ja na jego syfon zrobię lewar. Daj trochę pomysłów. Wiesz może, jak głęboko sięgają zalane podziemia? Bo to byłoby w tej chwili najbardziej istotne. Nie wiesz? To też nie problem. Po prostu musiałbym pojechać z tobą do tego RI i na miejscu zorientować się w szczegółach. Wchodzę do sprawy. Pasuje?

Co miałem powiedzieć? Pasowało!

Włodek w skupieniu sondował zalane podziemia zwyczajnym szpagatem obciążonym ołowianą kulką. Na szpagacie co metr znajdowała się kolorowa tasiemka. Łaził dookoła otworu, rozpychając miejscami bardzo wysoko wyrosnięte krzaki. Zapisywał coś na kartce. Zastanawiał się i kombinował.

— No więc tak. Mamy schody. Standard. Każdy stopień po 18 centymetrów. Utrudniają sondowanie, ale chyba niewiele się pomylę, jeśli powiem, że pomieszczenie ma trzy metry wysokości. Nurkowie mówili, że są tam dwa piętra podziemi. Prawda? No to będzie ze sześć metrów do dna. Chodźmy teraz znaleźć miejsce na spuszczenie wody.

Znaleźliśmy. I to niedaleko. Szeroki jar opadał w dół zaraz za parkingiem. Włodek był zadowolony z ukształtowania terenu. Lewar musi zadziałać. Prawo fizyki.

— Spuszczales przecież wino z gąsiora do butelki, stary alkoholiku. To samo zrobimy tutaj. Tylko na większą skalę. Zassanie uzyskam ze starej „szambelanki”, wozu asenizacyjnego. Wezmę go od kolegi, który mieszka niedaleko stąd. Trochę się ten wóz przerobi, uszczelni i będzie bardzo

skuteczny. Bardziej wydajny niż jakiegokolwiek strażackie motopompy. I pracuje bez hałasu. Raz tylko walnie na samym wstępie, gdy ze zbiornika będzie wypalany tlen.

Już na głównej szosie minęliśmy samochód osobowy. Władek, prowadzący nasz wóz, popatrzył uważnie w lusterko wsteczne.

— Zobacz prędko, co ten facet robi! — zawołał. Obejrzałem się. Jeszcze zdążyłem dostrzec, jak samochód skręca w „naszą” drogę do RI.

— Koniec samotności, kochasiu — stwierdził kwaśno Władek. — Turyści już się dowiedzieli. Będziemy musieli serio wziąć to pod uwagę.

Miałem więc nowe powody do zmartwień. Jakiegokolwiek próby wejścia do RI musiałyby nastąpić w czasie, gdy na Mazurach nie ma już turystów. Kiedy? Najlepiej w listopadzie. Wiatr, zimno, deszcz ze śniegiem. Psy nie chcą wychodzić z domu, a co dopiero turyści. Komu wtedy przyszedłby do głowy pomysł wycieczki do odludnych leśnych pustkowi? Powinniśmy to zrobić nawet pod koniec listopada, bo zaraz potem mróz, śnieg, który zasypie ślady.

Kładąc się spać z głową pełną problemów, ani się spodziewałem, że właśnie nadchodzi najgorszy z nich...

Ledwie zasnąłem, a już się obudziłem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Stałem na czymś, co przypominało płaski, blaszany dach.

Wokół mnie panowały ciemności, tylko horyzont był lekko podświetlony ciemnoczerwonym światłem.

Świeciło dygotliwie. Nierówno. W drgającym blasku widziałem zarysy czegoś, co przypominało szpaler bezlistnych krzewów.

Spojrzałem w dół. I zobaczyłem oficera SS. Wpatrywał się we mnie, unosząc głowę do góry, i uderzał się rytmicznie po bryczesach rękawiczkami trzymanymi w prawej dłoni. Wyglądał na wyjątkowo zirytowanego.

— Obserwujemy cię! — wrzasnął, kiedy nasze spojrzenia się spotkały. — Jesteś dla nas zagrożeniem! Niech ci się nie wydaje, że osiągniesz z tego jakieś korzyści! Nie rozumiesz, za co się bierzesz!

Ze złości aż stawał na palcach stóp i opadał na pięty. Stawał i opadał.

Od razu domyśliłem się, że mam przyjemność z *Sonderführerem* Jostem, od razu też przypomniałem sobie, że on nie żyje. Nie bałem się jednak. Czytając pamiętnik, w jakiś sposób polubiłem niemieckiego geodetę. Stał mi się niemal bliskim znajomym. A teraz sterczał przede mną i wydzierał się na mnie.

Wziąłem się pod boki i ryknąłem nie gorzej od niego:

— Milczeć! Milczeć do cholery! Zamknąć mordę! Od kiedy to podporucznik zwraca się tak do kapitana! Radzę zmienić ton! Ani myślę wysłuchiwać tych chamskich wrzasków!

Choć stopień Josta był niemalże honorowym, jednak wojskowy dryl i poczucie hierarchii nie były geodecie tak zupełnie obce. Nie potrafił krzyknąć na wyższego rangą oficera.

— Słuchaj — powiedział już zupełnie spokojnie. — Niepokoi nas twoje postępowanie. Nie zdajesz sobie sprawy, w co się wmieszalesz. Jeśli myślisz, że sprzedasz to komuś, jesteś w wielkim błędzie. Zastrzelą cię, człowieku, zastrzelą! Popelniliśmy straszny błąd, nie niszcząc ośrodka. Profesor nie pozwalał, bo była to praca całego jego życia. My zaś byliśmy przekonani, że odchodzimy tylko na krótki czas. Popieraliśmy wtedy profesora, ale to był błąd, straszny błąd. Trzeba było zniszczyć! Wysadzić w powietrze! Unicestwić! Teraz dopiero to widzę. Teraz dopiero widzę, jacy byliśmy głupi i bezwzględni. — Zamilkł na chwilę i miałem wrażenie, że nad czymś się zastanawia.

— Woda to nie jedyne zabezpieczenie. Jeśli chcesz się tam dostać, zawrzyjmy układ — powiedział, przyglądając mi się uważnie.

To tylko sen, pomyślałem. Zwariowany sen, choć cholernie realistyczny.

— Jaki układ?

— Dostaniesz informacje o ośrodku i powiem ci, jak wejść do centrali.

Nawet we śnie nie bardzo umiałem oprzeć się takiej propozycji.

— A co będę musiał oddać tobie w zamian? Duszę? — zakpiłem.

Ale on się nie roześmiał, nawet nie uśmiechnął. Tylko ze śmiertelnie poważną miną pokręcił przecząco głową.

— Ty tylko podłączysz małą baterijkę od latarki i poruszysz kilka włączników elektrycznych — powiedział.

— I wszystko wyleci w powietrze? Razem ze mną zapewne?

— Nie! — zaprzeczył z mocą. — Po pewnym czasie nastąpi szereg eksplozji niewielkich ładunków rujnujących centralę. Na zewnątrz, jeśli chodzi ci o to, nie powstanie nawet ślad. Wszystko odbędzie się pod ziemią. A ty będziesz już wtedy daleko. Nic nie grozi ani tobie, ani nikomu innemu. To uczciwy układ — zapewnił. — Zrozum, po ośrodku nie może zostać nawet ślad. Trzeba naprawić nasz błąd, zanim skutki naszej głupoty zagrożą całemu światu! To ważniejsze, niż myślisz. Spełnienie tego warunku nie zajmie ci nawet minuty, a w zamian poznasz całą tajemnicę.

Patrzyłem na niego podświetlanego tym czerwonym, drgającym światłem i widziałem napięcie malujące się na jego twarzy.

— Nie musisz się zgadzać. Ale w takim wypadku nawet nie próbuj zbliżyć się do centrali. Spal moje zapiski i zapomnij o RI, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

— No, więc dobrze, zgadzam się — powiedziałem, zupełnie nie rozumiejąc, dlaczego właściwie to mówię. Jakby ktoś inny odezwał się w moim imieniu. Nie ja.

— Powiedz, że przysięgasz — geodeta nie dawał za wygraną.

— Przysięgam — odpowiedziałem, choć wcale tego nie chciałem.

Wtedy po raz pierwszy, dając słowo, odprężył się i uśmiechnął zadowolony.

— Nie musisz usuwać całej wody. Wystarczy tylko usunąć ją z pierwszego piętra. Trzy metry. Głębiej niczego nie ma. To pomieszczenia maskujące. Trzymaliśmy tam nie gazy bojowe, a węgiel i kartofle na zimę. Podobnie generatory prądu. Lipa! Od razu montowaliśmy szmelc. Druga ważna sprawa. Do manewrowania zasuwami konieczny jest klucz sztorcowy. Długość dwa metry, u dołu kwadrat 60 milimetrów. Pierwsze piętro podziemi to rodzaj galerii otaczającej schody. I dwa rzędy betonowych filarów. Po prawej stronie od wejścia na drugim filarze oprzeć prasę hydrauliczną. Popychacz prasy musi działać prostopadle na przeciwległą ścianę, oddaloną od filara o półtora metra. To obrotowa ściana. Będzie się odchyłać. To jest wejście do centrali. Nie będzie w nim wody. Nie ma min i pułapek. Jak ustawić prasę dla zamknięcia, sami zobaczycie. Pierwsze pomieszczenie na prawo, wartownia. Tu na prawej ścianie znajdziesz pionową rurę z zaworem. Odkręć zawór do oporu. Za rurą żelazna szafka. Niezamknięta. Pamiętaj. W centrali wszystko jest pootwierane. W szafce znajdziesz gniazdo na płaską baterijkę. Podłącz baterijkę jak na schemacie. Plus do plusa, minus do minusa. Poprzestawiaj wszystkie dźwignie, jakie znajdziesz w szafce, na dolną pozycję. Jeszcze raz powtarzam. Będziesz absolutnie bezpieczny. Turbina wodna włączy się dopiero z chwilą napełnienia syfonu, a wybuchy nastąpią dopiero w sześć godzin od chwili włączenia turbiny. W centrali możesz robić, co chcesz. Nie zabieraj jednak niczego. Nie stwarzaj dla siebie zagrożenia z powodu niepotrzebnych dowodów. Pozamykaj wszystko przed wyjściem. Zasuń ścianę.

— Dobrze. Zrobię to. Teraz twoja kolej. Coście tam właściwie robili?

— Przecież to oczywiste. Ośrodek zajmował się teleportacją. Przesyłaniem na odległość żołnierzy i sprzętu. Pociąg z wojskiem wjeżdżał do tunelu. Po włączeniu prądu do urządzeń zniknął,

by po 14 milisekundach pojawić się w analogicznym tunelu na zachodniej granicy Niemiec. Potrzeba było zaledwie godzin, by przesłać dywizję pancerną o kilka tysięcy kilometrów dalej. Program miał kryptonim „Konik szachowy”, nietrudno zgadnąć, że było to nawiązanie do tego, jak porusza się skoczek na szachownicy. Poszczególne ośrodki miały kryptonim „Rampa” i numery w kolejności ich powstawania. W RI były tunele A — Anton, B — Berta, C — Casar. Każdy idealnie wymierzony w odpowiadający mu tunel w innym ośrodku. Co do milimetra równoległy, na tej samej, co do milimetra, wysokości. Inaczej nic by nie działało. Pomiary wykonywała moja grupa.

— *A Winklerssiedlung?*

— To była nasza prywatna nazwa ośrodka. Wszystkimi pracami kierował profesor Otto Winkler. Nazywaliśmy ośrodek „Osiedlem Winklera” na jego cześć. Czego chcesz jeszcze?

— Dlaczego współpraca obu tuneli wymagała takiej precyzji wykonania?

— Bo one współpracowały ze sobą energetycznie. Nasz, powiedzmy, wypychał powstałe jony, a drugi zasysał. I odwrotnie. Tamten wypychał, a nasz zasysał. Wtedy to my otrzymywaliśmy przesyłkę. Nikomu ani niczemu taka podróż nie zagrażała. Żołnierzy nawet to bawiło. Odległość między tunelami nie grała żadnej roli. Musiały tylko być ustawione idealnie naprzeciw siebie. Byłeś miał je odpowiednio zbudowane, mogłeś posyłać wojsko choćby do Pernambuco.

— Nikomu nic nie groziło? A ochotnicy? — zapytałem, pamiętając zapiski *Sonderführera* o koszarach, jakie nawiedzały go w związku z nieudanym eksperymentem.

— Ach! — Nawet teraz niemiecki geodeta wydawał się być poruszony wspomnieniem. — To był nieodpowiedzialny wybryk dowódcy RII. Chciał przyspieszyć próby. Znalazł kilku ochotników i nie konsultując z nikim swojej koncepcji, wysłał ich na RI. Profesor, gdyby wiedział, powstrzymałby realizację tego pomysłu. Spodziewał się, że pomimo sukcesów, jakie osiągnęliśmy, przesyłając obiekty martwe, nawet materiały wybuchowe, przesyłanie ludzi wymaga zupełnie innego podejścia. Dowódca RII był przekonany, że wie lepiej. Albo chciał zabłysnąć własnymi dokonaniem. I posłał ich tak jak stali. Nikt nie przeżył... — *Sonderführer* Jost wzdrygnął się lekko. — Nikomu też nie życzyłbym takiej śmierci.

— Ale przecież przesyłaliście ludzi!

— Owszem. Ale później. Znacznie później odkryliśmy, czego potrzebujemy, żeby ludzie mogli wyjść żywi z takiej podróży. Rozwiązanie było dość proste. Ludzi dało się przesyłać w specjalnych wagonach z aluminium. Pierwsze próby przeprowadziliśmy na zwłokach. Potem nie było już żadnych kłopotów. Tak zaskoczono Amerykanów w Ardenach. Amerykanie nie mogli zauważyć naszej koncentracji, bo szukali jej na szosach i kolejach. A skoro tam nie stwierdzono niczego... Mogliśmy działać wcześniej i na większą skalę, gdyby nie te wagony. Aluminium zabierało nam lotnictwo, a tych resztek, które dostawaliśmy, wciąż było mało, by ośrodek pracował naprawdę wydajnie.

Chciałem zapytać jeszcze o wiele rzeczy, ale geodeta uciszył mnie gwałtownym gestem, gdy tylko otworzyłem usta.

— Słuchaj, na mnie już czas. Jedź do RI, tam dowiesz się reszty, o ile jeszcze zostało cokolwiek do odkrywania. Powiedziałem ci wszystko. Teraz twoja kolej. Pamiętaj, że przysiągłeś. Jeśli nie dotrzymasz przysięgi...

Nagle jego twarz, zła i zacięta, pojawiła się tuż przed moją. Odskokczyłem do tyłu i obudziłem się z krzykiem.

Tego samego dnia po południu zadzwonił Władek z wiadomością, że ma już cysternę gotową i przetestowaną, ale trzeba ją holować, więc będę mu potrzebny. Musi mieć kierowcę do beczki, bo ta ma zepsuty silnik.

Powiedziałem mu o prasie hydraulicznej. Pytał o nacisk i o to, co będziemy podnosić. Gdy mu wytłumaczyłem, obiecał, że dorobi popychacze i jeszcze trochę klinów z dębowego drzewa.

Umówiliśmy się na naradę u mnie 18 listopada.

W zasadzie wszystko było gotowe. Musiałem jedynie wykonać jeszcze dwa telefony. Do Władka i Leszka, mojego bratanka. Włodek musi mieć pomocnika, gdy ja z Władkiem będziemy taszczyć nieszczęsną bekę po bezdrożach.

Klamka zapadła. Poszedłem kupić baterijkę.

\* \* \*

Początkowy entuzjizm, z jakim przyjechałem do Olsztyna, przygasł wyraźnie od momentu, gdy stryj zaczął mnie przekonywać, że chyba był w piekle i tam rozmawiał z *Sonderführerem* Jostem. Stryj znany jest w rodzinie jako kawalarz, więc w pierwszym momencie chciałem wyjechać, po części urażony tym, że zrobił sobie dowcip, po części zawstydzony, że dałem się nabrać. Kiedy jednak minęła złość, wyraziłem zgodę na ekspedycję do tajemniczych tuneli. Postanowiłem robić dobrą minę do złej gry, spodziewając się jakiegoś śmiesznego zakończenia całej imprezy.

Na drugi dzień doszło do narady, na której pojawili się dwaj następni uczestnicy wyprawy. Władka, starego przyjaciela stryja, znałem już od dawna. Włodek, geodetę, widziałem pierwszy raz w życiu. Robił wrażenie rozsądnego faceta i zastanawiałem się nieustannie, jakim cudem dał się wciągnąć w dowcip stryja. A może, tak jak i ja, miał być jego ofiarą?

Stryj bez przerwy gadał o *Sonderführerze* i konieczności wysadzenia tajemniczego obiektu. W imię ni mniej, ni więcej pokoju na świecie. Obaj jego kumple przytakiwali mu gorliwie, co w pierwszej chwili wzbudziło we mnie podejrzenia i upewniło, że całe to zamieszanie to jakiś horrendalny kant mojego dowcipnego stryjka. Jednak kiedy zaczęli planować szczegóły — zwątpiłem. Cysterna, lewary, prasa. Kto podejmowałby taki wysiłek, żeby zrobić psikus? Wyjazd ustalono na 20 listopada. Gdy już było wiadomo, kto, z kim, jak i o której będzie jechał, kto zabiera to czy tamto, znalazłem chwilę, by pogadać z Władkiem na osobności. Nie ukrywałem swoich wątpliwości ani też pewnych obaw co do psychicznej kondycji drogiego krewnego.

— Widzisz, stary, znam Heńka dłużej, niż ty żyjesz — odpowiedział mi spokojnie Włodek. — Wiadomo, że Heniek lubi robić kawały. Ale nie takim kosztem. Nie masz nawet pojęcia, ile pracy kosztował mnie ten cholerny baniak na kółkach i przerobienie prasy hydraulicznej. Myślisz, że Heniek prosił mnie o to tylko dlatego, żeby mi się na koniec roześmiać w nos? Czemu Heniek miałby zmyślać niestworzone opowieści, które pojutrze będzie można już zweryfikować? Wyszedłby od razu na durnia. A zapewniam cię, że on bardzo tego nie lubi.

Wreszcie nadszedł „ten” dzień. Wyruszyliśmy jeszcze po ciemku. Na dworze było zimno jak cholera, a wiatr urywał łeb. Czyli pogodę mieliśmy jak na zamówienie.

Jechałem razem z Władkiem. Okazał się miłym i rozmownym kompanem, a także świetnym kierowcą, co nie było bez znaczenia. Spieszyliśmy się. Już od trzeciej po południu zaczynał zapadać zmrok. Mieliśmy sporo roboty do wykonania. Musieliśmy odszukać punkt geodezyjny, ustalić pozycję beczkowitzu w jarze, aby lewar dobrze ciągnął, i zająć się zbudowaniem obozowiska. Później, już z Władkiem i stryjem, mieliśmy układać linię odwadniającą podziemia. Potem pozostało już tylko czekać, aż pojawi się Gwiazda Polarna i Włodek będzie mógł wykonać ostateczne pomiary.

— A co zrobisz, jeśli nie będzie pogodnego nieba?

— Będę próbował kompasem, ale to mniej dokładne i mogą być kłopoty z trafieniem na zasuwę. Wtedy bardziej narobisz się przy łopacie, bo zasuwę są około metra pod ziemią.

Gdy nadjechali „seniorzy”, myśmy już skończyli robotę. Miejsce w jarze, gdzie stanąć miał beczkowóz, było oznaczone. Punkt geodezyjny — odnaleziony, a nad nim Włodek ustawił swoje tajemnicze przyrządy. Na „starych” czekała w termosie kawa, a ja zdążyłem obejrzyć pierwszy

tunel i wejście do zalanych podziemi.

Beczkwóz sprzęgnięty z ciągnikiem stalowym drągiem zatrzymał się tuż obok busa Włodka. Starsi kazali nam zrzucić ze skrzyni ciągnika grube, karbowane rury, a sami poszli do busa rozgrzać się trochę i wypić kawę. Później, już razem, zdjeliśmy cholernie ciężką prasę, jakieś żelastwa i cementowe bryły. Zaasekurowaliśmy ciągnik stalową liną rozwiniętą z bębna, który miał na przodzie, i uwiązaliśmy do ogromnej sosny. Ciągnik warknął i oba pojazdy tyłem zaczęły wolniutko staczać się do jaru. Wszystko dygotało, skrzypiało, podrygiwało. Ku mojemu zdziwieniu ta karkołomna operacja powiodła się bez najmniejszego problemu. Stanęli. Zaciągnęli hamulce. Włodek zrzucił ze skrzyni spore połówki okrągłaków, które stryj natychmiast wpychał pod koła. To naprawdę byli kamraci. Ani jednego słowa, ani zbędnego gestu. Pracowali, jakby całe życie przygotowywali się na tę właśnie chwilę.

Układanie linii poszło piorunem. Rury miały dobrze pomyślane połączenia, które montowało się błyskawicznie. Włodek zatapiał rury w otworze, ustalił głębokość, zablokował stalowymi obejmami. Jeszcze cztery rury za beczką i linia była gotowa. Przemarznięci, trochę umorusani schowaliśmy się do busa. Zbliżała się pora Gwiazdy Polarnej.

Włodek radził, byśmy coś zjedli i kładli się spać. Nie potrzebował nas do pomiarów. A do jakiegokolwiek pracy i tak mogliśmy zabrać się rano, kiedy będzie jasno.

Rano Włodek rozdał nam tyczki z czymś, co nazywał lusterkami. Patrząc przez jakiś przyrząd, kierował każdego a to dalej, a to w lewo lub prawo. Myślałem, że Włodkowi coś się pomyliło, bo posyłał nas bynajmniej nie w stronę jeziora. Biegał pomiędzy nami, od jednego do drugiego, sprawdzał położenie tyczki, potem doskakiwał do swoich przyrządów, wracał, wtykał w ziemię stalową szpilę. Trochę to trwało i nawet zaczynaliśmy się niecierpliwieć. Jednak irytacja minęła nam jak ręką odjął, kiedy okazało się, że pod każdą szpilą znajdowało się żelazne coś z żelazną kłapką. Stryj podnosił owe kłapki, odkrywając kolejne stalowe kwadraty, na które nakładał ogromny klucz i zakręcał zasuwy. Dopływ wody został odcięty.

Byłem już tak zmęczony, że nawet nie mogłem się tym cieszyć. Przed nami był jeszcze spektakl uruchomienia lewara.

Włodek wszedł na beczkę, podniósł klapę i rozpylał w środku beczki jakąś ciecz. W powietrzu śmierdziało benzyną. Kazał nam odejść jak najdalej. Widziałem, jak Włodek zeskakuje na ziemię, i w tym samym momencie błysnęło i grzmotnęło potężnie. Włodek znowu wlaźł na beczkę, a stryj pociągnął za jakąś wajchę. Rury poruszyły się i napięły. Lunęła woda. Włodek zakręcał śruby na kłapie i kazał nam sprawdzić linię wodną, czy gdzieś nie przecieka. Wszystko było w porządku.

Stryjek prosił na kielicha, a kielich mnożył się i mnożył. Co chwila ktoś biegł do otworu i wracał z wieścią, że ubywa. Ubywa! Zaczęło padać, później lać, znowu zerwał się wiatr, ale ubywało. Wciąż ubywało.

Rano było po wszystkim. Gdyśmy podeszli do otworu, zionął na nas ogromną, czarną czeluścią. Rura już nie ciągnęła.

Zanim zjedliśmy śniadanie, zlikwidowaliśmy linię wodną. Samochody wylazły z jaru. Wszystko zostało załadowane i posprzątane. Schody do podziemi oczyszczone ze zgniłych liści. Jedliśmy w milczeniu. Każdy napięty i zamknięty w sobie. Tylko Włodek pozwolił sobie na żart, że niby koniec zabawy i zaczęły się schody. Z wysiłkiem wydusiliśmy z siebie śmiech.

Prasa nie była taka ciężka, ustawiliśmy ją z Włodkiem. Stałem z boku, a Włodek ruszył dźwignię. Wszyscy z napięciem oczekiwali tego, co nastąpi. Nagle skądś spod ściany poleciało trochę wody, za chwilę dało się słyszeć ciche westchnienie i ściana zaczęła się odchyłać. Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Bo przecież to, co widziałem, świadczyło, że stryj się nie mylił! Było dokładnie tak, jak zapowiadał. Obrotowe drzwi w zalanych podziemiach. Nie mógł wiedzieć o tym wcześniej! To co? Mam uwierzyć, że był w piekle?! Że wchodził w układy z duchem?!

Zanim zdecydowałem, czy wierzę w przemawiającego zza grobu niemieckiego geodetę i jego próby zmazania grzechów, Włodek trącił mnie łokciem i skinąwszy głową w stronę obracającej się ściany, powiedział:

— Widziałeś już kiedyś, chłopie, takie egipskie sztuczki?

Odciągnęliśmy prasę na bok, stryj starannie zablokował wrota kawałem solidnej szyny. Włodek z przyrządem podobnym nieco do rowerowej pompki ostrożnie przekroczył próg. Za chwilę wyszedł, kazał sobie poświecić i trochę zdziwiony oznajmił, że powietrze jest dobre i można wchodzić. Nie zwlekaliśmy.

Zaraz za ścianą było nieduże pomieszczenie, zupełnie puste, jeśli nie liczyć wszechobecnego czarnego błota. Stamtąd można było wejść na prowadzące do góry schody. Znowu błoto, ale dalej, na górze, podłoga i ściany pokryte były jedynie warstwą białej pleśni. Minęliśmy syfon.

Dość długi korytarz był już suchy. Poświeciłem do góry. Zobaczyłem kilka okrągłych otworów wentylacyjnych osłoniętych żaluzją poziomych płytek. Wydawało się niemożliwe, żeby system wentylacyjny wciąż działał, ale działał. Nie było duszno, nie było wilgotno. Chyba nawet cieplej niż na dworze.

Na końcu korytarza znaleźliśmy stalowe chyba, bo przyrdzewiałe, dwuskrzydłowe drzwi. Otworzyły się z lekkim tylko skrzypieniem. Za nimi była już centrala.

Staliśmy oszołomieni, omiatając światłami latarek wszystko dookoła. Dość duży hol. Dwoje drzwi na prawo, jedno na wprost. Dwa korytarze. W lewo i na wprost. W prawym dalszym rogu stoliki, fotele i kilka wysokich, metalowych popielniczek.

— To jak robimy? — Stryj jakoś niezdecydowanie rozglądał się na boki.

Włodek wzruszył ramionami.

— Heniu. Idziemy od prawego. Przecież sam tak chcesz.

Pierwsze drzwi na prawo. Dwa biurka. Na każdym telefony, tradycyjne przybory do pisania, pióra na stalówki, ołówki i kałamarze. Za nimi gruba rura z zaworem i metalowa szafka wbudowana w ścianę. W jej zamku tkwił płaski kluczyk. Stryj od razu poszedł do tej szafki. Otworzył ją. Dźwigni było chyba kilkanaście. Wszystkie podniesione do góry. Pośrodku — miejsce na baterię. Solidnie wykonane styki mocujące blaszki biegunów baterii za pomocą śrub. Stryj przyglądał się przez chwilę zawartości szafki, potem odwrócił się i spojrzał na nas. Po raz pierwszy w życiu widziałem, żeby miał tak niepewną minę.

— Rozejrzyjmy się, co tu jeszcze ciekawego — zaproponował, jakby chciał odłożyć wszelkie decyzje na bliżej nieokreślony moment. Nie protestowaliśmy. Pomijając wszystko inne, każdy z nas był ciekawy, jakie jeszcze tajemnice może kryć w sobie RI.

Następne pomieszczenie zaskoczyło nas. Było ogromne. Dwoma rzędami stały wysokie, metalowe szafy z dziwacznymi, przeszklonymi drzwiami. Nad szafami przebiegały rzędy grubych kabli. Obok na specjalnym stoliku widać było konsolę. Trochę podobną do tych, jakie bywają w studiach radiowych.

— Wiecie, co to jest?! — wrzasnąłem niemal, bo szafy od razu przypominały mi coś, a dopiero teraz uświadomiłem sobie dokładnie, co. — To jest... komputer!

— Co? Komputer! Wtedy się jeszcze liczyło na liczydłach albo na takich ręcznych kręciołkach — zaprotestował Włodek.

— Komputer. Słowo daję. Popatrzcie do środka szaf. Widać bębny taśm. To komputer.

Zrobiło się zamieszanie, przekrzykiwaliśmy się nawzajem, kłócąc się o parametry i możliwości tego molocha zamkniętego w szafach. Stryj przypomniał sobie, że coś tam słyszał o komputerach lampowych.

— Gdzie liczone na liczydłach, to liczone. Nie jesteśmy byle gdzie, ale żeby aż tak wyskoczyli do przodu? W głowie się nie mieści. Ja o komputerze dowiedziałem się bodaj dopiero w latach

sześćdziesiątych.

Za komputerem pomieszczenie przegrodzone było drucianą siatką. Na zamkniętych na glucho drzwiach szczyrzyła się trupia czaszka przekreślona symbolem błyskawicy.

Niewiele traciliśmy, nie mogąc dostać się do środka. Świecąc sobie poprzez siatkę, mogliśmy zobaczyć szeregi szaf, zamkniętych lub pozbawionych drzwi, tablic elektrycznych z rzędami porcelanowych bezpieczników i kable, kable, kable. Nie mieliśmy tu czego szukać. Między nami nie było elektryka.

W kolejnym pomieszczeniu też były same kable. Ale jakie! Tak grubych kabli nie widziałem w życiu, a nawet nie podejrzewałem, że w ogóle mogą istnieć. Siatki zapobiegające zbliżaniu się do urządzeń tworzyły ulice i skrzyżowania. Włodek zawołał nas w pewnym momencie. Podeszliśmy.

To już nie były kable! Przed nami w ścianie znajdowało się sześć obetonowanych, gigantycznych otworów. Do każdego z nich wchodziło i nikło gdzieś w głębi pięć potężnych, sążąc z ich koloru, miedzianych szyn.

— To chyba zasilanie tuneli — z nabożeństwem w głosie wyszeptał Włodek. — Pamiętacie? Każdy tunel mógł być nastawiony na dwie funkcje. Wyobrażacie sobie, jakie tu musiało być napięcie prądu?

— Chodźmy stąd — zaproponował Włodek. — Dobrze zrobisz, Heniu, jak wysadysz to cholerstwo. Patrząc się na to nie można — dodał i w duchu przyznałem mu rację, bo patrząc na te gigantyczne instalacje, czułem, jak po krzyżu pełnie mi bardzo nieprzyjemny dreszcz.

Czy mogliśmy jeszcze coś zmienić? Uratować centralę? Ogłosić jej odkrycie? Czy może właśnie podłączyć tę cholerną baterijkę? Tak naprawdę, każdy z nas zadawał sobie te pytania właściwie bez przerwy. Staliśmy, milcząc, w głównym holu centrali.

— Heniek! — Włodek jak zawsze odezwał się pierwszy i po raz kolejny powiedział to, o czym myśleli wszyscy. — Heniek! Decyduj! Nie zazdroścę ci, ale jesteś niekwestionowanym szefem. Szef decyduje.

— No dobra, chłopaki — odezwał się stryj chrypliwie. — Jeśli nie wysadzę tego, to co? Amerykanom sprzedamy, może Roskim, zaprosimy pana Wołoszańskie — go? Przesyłanie wojsk na duże odległości... A jeśli, tak jak mówił Jost, spowoduje to światową tragedię. Może jest już ktoś, kto tylko z powodu trudnego lub niebezpiecznego przerzutu wojska wstrzymuje się przed atakiem? Da się mu takie możliwości i co on wtedy zrobi? Nie mówiąc już o najprostszej konsekwencji, że na drugi dzień po ujawnieniu centrali „nieznany sprawca” wystrzelił wam w łeb z pistoletu. Czy ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia? — Popatrzył na nas wyczekująco. Nikt się nie odezwał. — To proszę wszystkich o wyjście z podziemi. — W głosie stryja słyszałem ulgę. — W razie czego... No, wiecie.

Z podziemi nie wyszliśmy. Czekaliśmy na stryja na końcu korytarza. Przy mokrych schodach. Jakoś nie mogliśmy zostawić go tak zupełnie samego.

Po odkręceniu, zakopaniu i starannym zamaskowaniu zasuw, dokładnym sprawdzeniu, czy cokolwiek nie pozostało z naszej obecności, po raz ostatni stanęliśmy przy wejściu do podziemi. W dole grzmiała i kotłowała się woda. Nagle pojawił się ogromny pęcherz powietrza. Pękł z hukiem, obryzgując nas kropelkami lodowatej wody.

Włodek powiedział coś bardzo nieprzyzwoitego i pierwszy poszedł do samochodu.

## **DODATEK SPECJALNY**

*Andrzej Pilipiuk*

# **KONTYNGENT**

Andrzej Pilipiuk urodzony w 1974 roku, z wykształcenia archeolog, z zamiłowania pisarz, publicysta, niezależny historyk i poszukiwacz meteorytów. Pisarzem postanowił zostać w trzynastej wiosnie życia i odtąd konsekwentnie dążył do raz obranego celu. Zadebiutował w 1996 roku na łamach „Feniksa” opowiadaniem *Hiena* — otwierającym cykl opowieści o losach i przygodach Jakuba Wędrowycza, które zostały zebrane w czterech zbiorach: *Kroniki Jakuba Wędrowycza*, *Czarownik Iwanow*, *Weźmiesz czarno kurę...*, *Zagadka Kuby Rozpruwacza* wydanych przez Fabrykę Słów. Andrzej okazał się pisarzem wszechstronnym, publikując równolegle doskonale przyjęty zbiór opowiadań *2586 kroków*, a także bestsellerowy cykl powieściowy *Kuzynki*, *Księżniczka*, *Dziedziczki*.

Sala kinowa w wojsławickim domu kultury nabita była ludźmi na sztywno.  
— To o czym będą gadać? — Jakub trącił Semena w bok.  
— O dotacjach unijnych — wyjaśnił Kozak. — Znaczy się, jak je dostać. Bo podobno wreszcie mają coś tam wypłacać.  
— Czego to ludzie nie wymyślą — mruknął egzorcysta z uznaniem i pociągnął z flaszki.  
— Tak więc w ramach naszego programu wszystkie zwierzęta muszą zostać zakolczykowane i zewidencjonowane, każde zwierzę musi mieć też swój paszport ze zdjęciem...  
— To mi się podoba! — Wioskowy fotograf, bezrobotny od dobrych 20 lat, zatarł ręce.  
— To niech się przestanie — warknął Wędrowycz.  
— A tak właściwie, po co te kolczyki? — zaniepokoił się Józef.  
— Jak to po co? — zdumiał się prelegent. — Żeby każda świnia czy krowa mogła być zewidencjonowana.  
— A jak jakaś nie będzie miała? — stary drążył temat.  
— No to będzie nielegalna — wyjaśnił prelegent.  
— A, to w porządku — uspokoił się pytający. Dawniej niezłe wychodził na swoje, sprzedając lewe mięso.  
— Oczywiście, nierogaczna i bydło nielegalne będzie konfiskowane, likwidowane i palone. Nie można dopuścić do epidemii BSE. — Pacholek Unii Europejskiej obciągnął marynarkę.  
— Byli już tacy, co nam kolczykowali świnie — wrzasnął Bardak. — I też mówili, że to dla naszego dobra. W Norymberdze ich za to powiesili.  
— Ludzie, no co wy? — zdziwił się gość. — Przecież nie można porównywać tamtych czasów...  
Wędrowycz włożył rękę do kieszeni. Granat spoczywał na swoim miejscu...

\* \* \*

## Wojsławice 1942

Punkt kontyngentowy urządzone w dawnym banku. Obok budynku Niemcy ustawili wagę. Zdane wieprze kwiczały zapędzone do niewielkiego okólnika. Józef podjechał swoją furmanką i zaparkował przed apteką. Wypakował świnie i prowadząc ją na sznurze, ruszył w stronę wagi.  
— *Name?* — okupant odpowiedzialny za eksploatację tego właśnie płachetka podbitego terenu wyciągnął spis.  
— Paczenko, Józef Paczenko.  
— Patchenko... — Niemiec odszukał nazwisko na liście.  
Sprawdził numer wybity na kolczyku wpiętym w świńskie ucho, a potem gestem kazał umieścić zwierzę na wadze.  
— *Donnerwetter!* — zaklął. — Ty zabierz ten szwiń i za pół roku przyprowadź — powiedział.  
— On jeszcze za lekka.  
— We wojnę tuczniaki wolno rosnać — mruknął pod nosem Józwa.  
— Zależy czyje — rozległ się za nim wesoły głos Jakuba. — Moje tuczają się ładnie... *Sieg Heil!*  
— zasalutował z rozmachem, „niechcący” strącając Niemcowi furażerkę z głowy.  
— *Name?* — Niemiec podniósł czapkę i otrzepał o spodnie.  
— Wędrowycz.  
— Wentrofitz... *Hier...*  
Jakub uderzeniem witki wpędził zwierzę na wagę. Okupant zręcznie stuknął odważnikami.  
— O! To jest szwiń! — ucieszył się.

Odznaczył nazwisko na liście, a potem sięgnął po blankiet.

— Dla ciebie dwa litra nafta, kilo cukru i dziesięć litrów wódka — powiedział. — Ty idź w magazyn.

— Ku chwale Trzeciej Rzeszy, *Heil Hitler!* — zasalutował dziarsko Jakub i zaraz dyskretnie splunął, żeby nie zapeszyć.

Obaj przyjaciele ruszyli do swoich wozów.

— I co? Twoja świnia znowu okazała się za chuda? — Egzorcysta pomógł kumplowi zapakować chudobę na furmankę.

— Ano tak jakoś od trzech lat nie przytyła ani kilograma...

— Nie wolno tak głodzić zwierząt...

— Wiesz, te kolczyki są z ebonitu... Biorę trochę gorącej pary i można przełożyć na nowego warchlaczka...

— A, to co innego. Ja to swoją nakarmiłem osoloną śrutą i dałem dwa wiadra wody do popicia, z dwanaście — piętnaście kilo dorzuca.

— Ciekawe, jak radzi sobie Semen?

— Po kozacku. Łazi po polach na Białej Górze, zbiera ołowiane kulki z pocisków i przed odstawieniem na skup faszkuje świniaka czystym ołowiem przez rurkę do żołądka. Najwyżej zdechnie po drodze, ale to już ich problem, nie nasz...

— Cholera! — zdumiał się Józef. — Do głowy by mi nie przyszło.

— Zagadujesz i byłbym zapomniał! — Jakub walnął się w głowę, aż zadudniło.

Wyciągnął z kieszeni pokwitowanie i wieczne pióro. I pomyśleć, że w szkole nie lubił matematyki...

\* \* \*

Prelegent popił wody ze szklanki.

— Otwarcie rynków europejskich zapewni wam lepszy zbytny na wasze produkty — powiedział.

— A ceny skupu żywca wzrosną? — warknął ktoś.

— Nie przewidujemy. Podrożeje mięso w sklepach, ale większość zysków przechwycą pośrednicy. Dlatego jedną z dyrektyw unijnych jest, abyście zakładali grupy producenckie.

— Byli u nas tacy, którzy kazali zakładać kołchozy — wrzasnął ktoś z sali. — Na widłach ich wynieśliśmy!

— Ludzie, no co wy? — Gość był wyraźnie zgorszony. — Poza tym Unia w ramach wspierania najbardziej zacofanych regionów przyzna waszej wsi...

— To jest miasteczko! — Pierwsze śmierzące jajko chybiło celu i roztrzaskało się o ścianę.

Mówca popatrzył na tłum z rosnącą obawą. Wyglądało na to, że dostał naprawdę trudny teren.

— ...waszemu miasteczku dostawę deficytowych produktów w cenach zwolnionych z podatku vat.

— Wszystko to już było. — Józwa pociągnął z flaszki kumpla i też pograżył się w zadumie...

\* \* \*

Niemiec obsługujący magazyn był stary, miał dobronny wygląd i także usposobienie. Wziął do ręki kwity, rzucił tylko okiem i zaraz wyliczył należne towary. Dwadzieścia litrów nafty, dziesięć kilo cukru i sto litrów wódki. Po chwili przyjaciele, objuczeni jak wielbłądy, dźwigali skarby do wozów.

— Dopisujesz te zera i dopisujesz... Nie boisz się, że cię w końcu złapią? — Józef nie mógł wyjść z podziwu.

— A niech tylko spróbują... — Wędrowycz odchylił płaszcz, pokazując wiszącego na konopnym sznurze stena. — Podjedziemy jeszcze pod gospodę i spływamy do domu. — Tracił nogą worek, z którego wystawał koniec linki hamulcowej.

Szkop ze skupu zapakował ostatniego tuczniaka na ciężarówkę. Otrzeptał ręce i ruszył w stronę magazynu.

— *Guten Tag*, Hans, nie widziałeś mojego psa?

— Nie. A co?

— *Donnerwetter!* Puściłem, żeby sobie pobiegał, i gdzieś przepadł. Diabli nadali.

— Pewnie Polaczki ukradli. Rodowodowy owczarek, będą poprawiali rasę swoich kundli...

— *Zum Teufel!*

— Trudno, stało się... Nie martw się, może jeszcze wróci. Wydałeś wszystko?

— *Ja, natürlich.*

— To bierz papiery i idziemy na obiad. Tam sprawdzimy protokoły.

Siedli w gospodzie przy stoliku zaopatrzonym w kartkę *Nurfür Deutsche*. Barman zakręcił się na jednej nodze, postawił im po kieliszku sznapsa i pobiegł do kuchni.

— No to za zwycięstwo — Freder wznosił toast. Stuknęli się i wychylili.

— Uuu, mocny bimberk — pochwalił Hans. — Umieją w Polsce wódkę robić. Swoją drogą, muszę w poniedziałek iść do okulisty. Coś mi się wydaje, że zaczynam ślepnąć...

Barman postawił przed nimi talerze z gulaszem. Niemiec ze skupu nadział kawałek mięsa na widelec.

— Cielęcina — zidentyfikował. — Cholera.

— Robią nas w konia jak chcą — mruknął jego towarzysz. — Wszystkie cielęta miały być kolczykowane i wysyłane do Rzeszy. A tu widać ciągle jakieś ukrywają...

— Może to i lepiej? — mruknął Freder. — Przynajmniej mamy co zjeść... Pokaż te protokoły.

Szybko zsumował obie kolumny i zaklął pod nosem.

— Co się stało? — zaniepokoił się jego kumpel.

— Znowu manko.

— Dużo brakuje?

— Dziewięćdziesiąt litrów wódki, a i w innych produktach się nie zgadza.

— *Verflucht!* Ale przecież kwity... — Wyciągnął i przeglądał je dłuższą chwilę.

— *Meszit!* Zera któryś dopisał!

Kopnięty stolik poleciał pod ścianę. Hans wyrwał z kabury broń i wycelował w kumpla.

— A ty skąd znasz żydowskie przekleństwa? Barman ćwiartujący na zapleczu knajpy owczarka, na odgłos strzału omal nie dostał zawału. Nakrył pospiesznie „cielęcine” szmatą i rzucił okiem do wnętrza lokalu. Freder leżał na podłodze z malowniczą dziurą w czole. Hans splunął na zwłoki.

— Jeszcze jeden zakamuflowany Żyd — warknął.

— *Aj waj!* — jęknął właściciel lokalu.

A potem dziabnął trzymanym w rękę rzeźnickim nożem. Raz a dobrze.

\* \* \*

— A z tymi dotacjami to jak w końcu będzie? — zapytał Jakub.

— Najpierw musimy wszystko zewidencjonować — wyjaśnił prelegent. — Potem policzyć, a potem może będą i pieniądze.

— Znaczy się, świnie zakolczykujecie teraz, a pieniądze będą, jak się może wydrukują — burknął Bardak, wyciągając zza pazuchy zdechłego kota.

Wędrowycz, choć Bardaków nie lubił, tym razem pokiwał z uznaniem głową.

— Dokładnie tak. W tym roku Unia nie przewidziała jeszcze w budżecie środków na dopłaty bezpośrednie. Program kolczykowania też musicie sfinansować wspólnie, dali środki tylko na komputery.

— To znaczy, wy dostaliście komputery za bezdurno, a my za kolczykowanie mamy zapłacić? — upewnił się Józef.

— No tak — potwierdził prelegent.

Zdechłe koty, zbuki i zgniłe buraki zafurkotały w powietrzu.

\* \* \*

Dwaj inspektorzy weszli na podwórze Józefa i rozejrzeli się wokoło.

— Właściciela coś nie widać — zauważył pierwszy z nich.

— Trudno, kolczykujemy bez niego, rachunek dostanie pocztą. Gdzie mogą być te krowy?

— Pewnie w oborze — błysnął pomysłem jego kumpel.

Pchnął stare, drewniane drzwi i weszli. W półmroku nie od razu dostrzegli wszystko.

— O, panowie do kolczykowania — zarechotał na ich widok Jakub.

W półmroku obory ponuro lśniła naoliwiona lufa stena. Obejrzeni się odruchowo, ale droga ucieczki była już odcięta.

— Pewnie nam dotacje unijne przynieśli. — Gospodarz z rzeźnickim nożem w łapie uśmiechnął się słodko.

Semen bezceremonialnie obszukał ich torby i kieszenie. Protokoły od razu ciepnął do gnojówki. Wyciągnął portfele, zbadał ich zawartość.

— Marna coś ta dotacja — mruknął. — Skąpią nam Niemiaszki pieniędzy. Ale na początek wystarczy.

— Marna, bo z początku polscy rolnicy mają dostawać tylko dziesięć procent tego, co unijni — wyjaśnił Józef. — Jak za Hitlera, nie pamiętasz? Ale może następnym razem więcej przyniosą.

— Yyy... — wykrztusił inspektor.

— Ty, popatrz — zdziwił się Wędrowycz. — To nawet ludzie nie są. Zamiast mówić normalnie, coś bełkoczą...

— „Yyy”, powiedział, znaczy się osioł pewnikiem. — Józef nie na darmo uważał się za intelektualistę. — Ocenić trudno, nie widziałem nigdy osła.

— Ja kiedyś w książce, jak jeszcze biologię studiowałem — mruknął Semen. — Ze sto lat temu to było, pamiętam tylko, że osły mają długie uszy.

— To by się zgadzało — ucieszył się Jakub. — Ale zobacz, coś mi się wydaje, że te dwa są nielegalne.

— Jak to? — przeraził się Kozak obłudnie. — To przecież zakazane!

— Kolczyków nie mają! — Wędrowycz wskazał lufą uszy nieproszonych gości.

— O, choroba, rzeczywiście... — zdumiał się nieszczerze gospodarz. — To niezgodne z unijnymi przepisami. To co, trzeba zarznąć i spalić, żeby tego, no, BSE nie wywołali?

— Szkoda chudoby, bydlę też chce żyć — rozczulił się Jakub, sięgając do torby wyższego inspektora. — Paszporty ze zdjęciami macie? — huknął na nich.

— Eeee — wykrztusił niższy.

— Zakolczykujemy was za darmo. — Jakub wyłowił z porzuconej torby cechownicę. — Ale bydlęce dokumenty musicie sobie wyrobić, bo jeszcze was jakiś weterynarz uśpi...

Dwaj osobnicy, wydając nieludzkie ryki, wskoczyli w ostatniej chwili do ruszającego pekaesu. Posterunkowy Birski odprowadził ich zdumionym spojrzeniem.

— Kuźwa, co się w tej Unii porobiło... — Splunął z obrzydzeniem. — Dawniej geje zwykłe kolczyki w uszach nosili, a teraz tak im odbiło od tej homofobii, że dla zamaskowania krowie sobie zakładają...